JULIAN KLACZKO

PISMA Z LAT 1849 – 51

5907.

ZEBRAŁ

DR. BOLESŁAW ERZEPKI

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 8
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

POZNAŃ 1919 – NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

JULIAN KLACZKO.

PISMA Z LAT 1849-1851

5907.

Nr. Inw. 7288
Seminarium Historyczno - Prawne
Univ. Jag.
Dział V Nr. 2188

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 8.
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

3625

3625

343

JULIAN KLACZKO

5907.

PISMA Z L. 1849-1851

ZEBRAŁ

DR. BOLESŁAW ERZEPKI

Wydz. Bibl. Prawnicza
1806100237

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 8.
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

POZNAŃ 1919. NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.

1904.

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA.

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 8
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

OD WYDAWNICTWA.

W pierwszej połowie r. 1912 doręczył Księgarni naszej dr. Bolesław Erzepki manuskrypt zebranych przez się pomniejszych pism Juliana Klaczki, zapewniając, iż, zanim druk rękopisu tego ukończonym zostanie, otrzymamy odnośną, obszerną przedmowę, która przy tego rodzaju zbiorach jest rzeczą niezmiernie pożyteczną.

Niestety, pomimo naszych najusilniejszych próśb i nalegań, trwających długie lat siedm i pomimo wielokrotnych obietnic i zapewnień ze strony dr. Erzepki, — przedmowy tej nie otrzymaliśmy.

Zwątpiwszy o skuteczności dalszych w tym względzie zabiegów naszych, a nie chcąc, by praca ludzka w składanie, korektę, drukowanie etc. wydawnictwa tego włożona poszła na marne — wypuszczamy je w świat bez przedmowy w tem przekonaniu, że i w takiej formie będzie ono jednak posiadało dla badaczy dziejów naszych wartość cennych dokumentów literackich, oraz dla tak licznych w społeczeństwie naszem wielbicieli Klaczki, stanie się miłą sposobnością bezpośredniego zetknięcia z oryginalną myślą i niepospolitem ujęciem rzeczy, właściwem znakomitemu autorowi „Wieczorów Florenckich"

Pominąć musieliśmy jedynie pewną ilość mniej wartościowych jego listów prywatnych, których opublikowanie bez odnośnego omówienia uważaliśmy za niewskazane.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

DROBNE STUDYA.
KRYTYKI.
PRZEKŁADY.

Socyalizm, Polityka i Narodowość.

L. GUMPLOWICZ KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 4
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW, PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 1
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

Gdy w czasie wielkiego rokoszu Nałęczów i Grzymałów w naszej Wielkopolsce król Władysław Jagiełło na błagalne słowa Jadwigi przyrzekł wrócić biednym kmiotkom wydarty im wśród krajowych zaburzeń dobytek — »któż im łzy wylane powróci?« zapytała święta i litościwa królowa, matka biednych i wzór Polek.

I my w dzisiejszym rokoszu wstecznych rządów przeciwko wolności i sprawiedliwości — i my, chociaż nie tracimy wiary w ostateczne zwycięstwo prawdy, chociaż nie przestawamy ufać, że wydarty nam krajowy dobytek wróconym będzie — i mybyśmy się mogli zapytać: »któż nam łzy nasze wróci?« któż nam wróci krew przelaną, czystą i świętą a skalaną oszczerstwem i bluźnierstwem? któż nam wróci ofiary padłe w sprawie najszlachetniejszej i najsprawiedliwszej na polach Książa, Miłosławia i Sokołowa, na ulicach Lwowa i Krakowa?

Lecz ani łzy uronione ani krew przelana nie powinny zamglić przed naszym wzrokiem drogi, którą duch wszechwładny dziejów postępuje; nie powinny wytępić w nas zmysłu dla nowych i pełnych życia pojęć, wypływających z rewolucyjnego rozbicia; powinny zostawić w nas więcej niż Irydionową myśl burzącej i niszczącej zemsty. »L'émotion passée, il faut que la leçon reste«...

Nauka zaś, która pozostała, jest wielką; gdy zechcemy z niej korzystać, może się stać i zbawienną — a w każdym razie jest ona godną zgłębienia i bliższego zastanowienia się.

Jeśli się bliżej nad rewolucyjnym ruchem roku zeszłego zastanowimy, łatwo nam będzie poznać trzy główne czynniki, które mu popęd nadały; trzy główne myśli

które na zachmurzonem niebie europejskiego świata trójgwiazdą przewodniczącą zajaśniały: były to socyalizm, polityka i narodowość.

Pod wyrazem — tak niebezpiecznym, bo nadużytym, socyalizmu nie rozumiemy bynajmniej owych mrzonek Pana Blanca i utopij Furierystów i Proudhonistów, słowem, owej rewolucyi socyalnej, bezbożnej i bezskutecznej, której tylko ludzie niesumienni lub nieoświeceni, ludzie, którym ni rozwój świata znany ni pamiętny duch wolności i cywilizacyi, życzyć sobie mogą; ale rozumiemy obszerne i rozległe reformy socyalne, do których zarazem z głową i z sercem przystąpić należy, którym powinny przyjść w pomoc rezygnacya z dołu i poświęcenie z góry. Bo niechaj nikt nie myśli, że, usuwając kwestyą socyalnych reform, już ją tem samem i rozwiążemy; leży bowiem w niej sprężyna żywotna, która, im bardziej ściśniona, tem silniej oddziaływa i rozpęknięciem całego społeczeńskiego mechanizmu grozi. P. Thiers, dowodząc słusznie, że chrześcianizm uświęcił cierpienie (déifie la douleur), przepomniał, że tenże chrześcianizm zarówno uświęcał i miłość bliźniego, a p. Guizot, ów żołnierz szturmujący w mury demokracyi i socyalizmu, nie śmie jednak śmiało w oczy zajrzeć owemu sfinksowi teraźniejszego społeczeńskiego ruchu z pełną znaczenia zagadką o prawie do pracy.

Pod wyrazem polityki nie rozumiemy także owej szatańskiej »sztuki oszukiwania«, jak ją nazwał Talleyrand, owej mądrości bez serca, która tak długo frymarczyła dobrem i szczęściem krajów i, wbrew objawionym prawom narodów, na podłej szali swywolnego zysku ważyła narody. Ale rozumiemy pod tem boską sztukę prawości i prawdziwości, która uświęca równouprawnienie wszystkich, wyrzeka się egoizmu dla zasady wolności i dzierży w silnej dłoni krzyżową chorągiew swobody dla wszystkich.

Pod wyrazem nareszcie narodowości nie rozumiemy owych chciwych i podłych zachętek frankfurckich

z obłudnemi demarkacyami, ani madziarskich słowianożerczych zamysłów, ani też gramatyczno-kronikarskich poszukiwań Kollara. Rozumiemy pod tem silny i swojski rozwój narodów do niezawisłego bytu, dążność ich niezmienną i stałą do wytkniętego im w dziejach posłannictwa.

Zdawało się, że Opatrzność sama dla tej trójcy żywotnych myśli wybrała trójcę wielkich narodów, z których każden miał główne zadanie, każdą z tych trzech myśli wyrobić, wykształcić i za jej pomocą ładny ład w życie socyalne, polityczne i narodowe świata zaprowadzić. Socyalizmowi, polityce i narodowości odpowiadały trzy najgłówniejsze kraje Europy: Francya, Niemce i Słowiańszczyzna.

Jakoż Francya, u której narodowość dawno już jest ustaloną, rozwiniętą i do najwyższego szczytu moralnej i intelektualnej potęgi wydoskonaloną, której i polityka już dawno wyrobiona, a choć przez egoizm rządów nieraz skrzywiona, zawsze jednak wytkniętą już i utorowaną miała drogę, Francya, mówię, zdawała się być przedewszystkiem przeznaczoną do wielkiej i zaszczytnej inicyatywy na polu socyalnych reform — reformy te były dla niej gwałtowną potrzebą, warunkiem odrodzenia i chwały pełnem zadaniem.

Niemce nie czuły tej potrzeby, nie miały też i tego zadania. Natomiast dostała im się w udział polityka. Położenie ich środkowe w Europie, graniczność z Francyą, Rosyą, Słowiańszczyzną i Włochami wskazały im ich posłannictwo — a zajęcie się Francyi wewnętrznemi sprawami zostawiło im obszerne, prawie bez spółzawodników, pole do działania. Nawet dążność do jedności narodowej miała na sobie wyraźną cechę polityczną: za jednością szła siła, a za siłą prawo i obowiązek do urządzenia nowego politycznego wszechkształtu.

Słowiańszczyzna, również jak Niemce, nie czuła potrzeby reform socyalnych, bo chociaż nosiła w sobie

zarodki błogie społeczeńskich ulepszeń, te dopiero pod słońcem wolności i samodzielności w bujny owoc się wykluwać mogły; politycznemu ruchowi także nie podobno jej było przewodniczyć, tak długo uśpiona i ledwo na siłach się poczuwająca, mogła tylko posiłkować dobrym zamiarom i szlachetnym celom. Głównem jej zadaniem była narodowość, rodzima samoistność i udzielność — która, niehamowana i tamowana, ale silnie i życzliwie poparta, przechyliłaby ważące się szale na stronę wolności — i tajne brzemię lat wydałoby płód — a nie poród!

Tak w świecie intelektualnym jak i mechanicznym podział pracy jest koniecznym. A w rewolucyjnym mechanizmie roku 1848 zdawał się tak naturalnym i był w rzeczy samej tak oględnie i słusznie na te wielkie narody francuski, niemiecki i słowiański przez Opatrzność rozmierzonym — że skutek zwycięski byłby niezawodnym — gdyby tylko nie brakowało owej jednej rzeczy, bez której nawet rozleglejsze zamiary i najpiękniejsze słowa stają się czczem złudzeniem, miedzią brząkającą i cymbałem brzmiącym — gdyby nie brakowało — miłości.

Miłość ze świętem godłem wolności, równości i braterstwa nie przewodniczyła ruchowi roku 1848. Jej miejsce zajął egoizm z godłem komunistycznego despotyzmu, plemiennej arystokracyi i nieubłaganej nienawiści. Francya, Niemce i Słowiańszczyzna przeniewierzyły się swym świętym obowiązkom — a w miejscu głoszonego szczęścia ludzi i ludów pozostał płacz i zgrzytanie zębów.

Zamiast posiłkować polityce na słuszności opartej i z umiarkowaniem a dobrą wolą przystąpić do reform socyalnych — Francya wyrzekła się pierwszej zupełnie, a zadanie społeczne zawierzyła, jakby umyślnie, niedołężnym i nieudolnym rękom ludzi, u których socyalizm był bawidełkiem odzwierciedlającem własną tylko próżność, lub dźwignią najbrudniejszych, zwierzęcych instynktów.

Zamiast za pomocą silnej jedności ująć w czyste ręce ster polityki europejskiej i ogłosić wolność sobie i innym, Niemce chciały tylko zaokrąglić swoje łupieże, wznowiły tylko ohydnej pamięci politykę zaborów, tem ohydniejszą, że nie poparta dzielnością oręża, ale cynizmem dyalektyki — a dumne mocą swojego majestatu, wzniosły się nad ludzi i pogroziły ludom.

Zamiast rozpłomienić w sobie święty bunt narodowości, zamiast wywalczyć sobie równouprawnienie w wolności, Słowianie rakuscy wreszcie przytłumili w sobie tlejące się iskierki rewolucyi i wywalczyli smutne równouprawnienie w niewoli i stanie oblężenia.

Dziwna, że ludzie ubolewający nad tym rzeczy obrotem, czujący całą podłość obecnego położenia, pałający wstydem i gniewem nad marnymi skutkami tak wielkiej z początku i tak długo oczekiwanej rewolucyi — dziwna, że ci ludzie, zamiast poznania i uznania win przez nas dotkniętych i przez wszystkich popełnionych, powstawają li tylko na Słowian, oskarzają ich jedynie o reakcyą, zrzucają na nich samych cały ciężar moralnego i politycznego upadku. Ślepota i zawziętość w tej mierze doszły nawet do tego stopnia, że jeden z deputowanych naszych na przeszłym sejmie berlińskim nie wahał się podpisać proklamacyi niemieckiej,[1]) w której pobratymcy jego »barbarzyńskiemi hordami« są mianowani — niebaczny, że i jego własny naród nieraz przez Niemców tą nazwą napiętnowanym został.

Wszakże, jeśli się bliżej i sumienniej nad całym biegiem wypadków zastanowić zechcemy, przyjdzie nam wyznać, że ze wszystkich narodów, które w zeszłorocznym dramacie rolę odegrały, Słowianie najmniej na ten zarzut zasłużyli. Nie zaczęli oni reakcyi, — dokończyli ją tylko, wyrzekli tylko ostatnie słowo bezbożnego dyalogu, przez egoizm innych narodów poczętego, bronili tylko z wy-

[1]) Florenty Lisiecki, deputowany z powiatu pleszewskiego. (Przyp. wyd.)

PRAWNO-HISTORYCZ

trwałością rozpaczy stanowiska, na które ich samolubna nikczemność innych popchnęła.

Kongres słowiański w Pradze nie myślał bynajmniej stać się podporą absolutyzmu, głosił on wolność, równość i braterstwo i niezawodnie z większą szczerością, jak ktokolwiek inny. Ale któż przeciw niemu intrygował, któż się cieszył, gdy huk dział zagłuszył jego obrady a ostrza bagnetów rozdarły jego uchwały — któż, jeśli nie ów obłudny liberalizm Niemców i kłamliwa demokracya Madziarów?

Przypatrzmy się bliżej postępowaniu Słowian względem sprawy włoskiej, sprawy świętej i sprawiedliwej, jak nasza. Nie byłże to ów Nugent, który teraz przeciwko Madziarom dowodzi, nie byłże on to, co z bracią Bandierów brał przed kilką laty najczynniejszy udział w szalonem wówczas, ale szlachetnem przedsięwzięciu oswobodzenia Włoch? Nie byłże to słowianin Tommasco, który z takim zapałem i poświęceniem oddał się sprawie weneckiej? I któż w dniach kwietnia zeszłego roku okazał się przychylnym sprawie wolności włoskiej, Madziary czy Serbowie? Podczas gdy sejm węgierski za wstawieniem się Kossutha postanowił wysłać wojska swe do Lombardyi dla popierania austryackiego ciemięztwa — jakież warunki podawał wtenczas patryarcha Rajaczyc węgierskiemu wodzowi w Peterwardynie, jenerałowi Hrabowskiemu? Oto, zobowiązał się, za uznaniem unii słowiańskiej przez Madziarów, odwołać wszystkie słowiańskie pułki z szeregów austryackich we Włoszech i zawrzeć sojusz odporny z Karólem Albertem. Gdzieżże tu była sprawa wolności, a gdzie sprawa despotyzmu?

Chciejmy także bezstronnie ocenić zawód owego okrzyczanego siepacza Jellaczyca; przypomnijmy sobie tylko fakta i data — a może i tu znajdziemy, że zarzut reakcyi przynajmniej nie na jednych tylko Słowianach ciążyć powinien. W kwietniu przeszłego roku Chorwata ów jeszcze nie był służalcem Habsburgów. Głośny w kra-

jach Illiryi przez swoje patryotyczne czysto słowiańskie poezye, poparty całym i wówczas wielkim wpływem Liudewita Gaja, pułkownik Jellaczyc, nie wskutek nominacyi gabinetu wiedeńskiego, ale wskutek rewolucyi czysto słowiańskiej w Zagrzebiu, wyniesiony został na godność bana Kroacyi. Stanąwszy na czele ruchu illiryjskiego, dwa następne warunki podał Węgrom do zgody. — Albo królestwo chorwackie miało stanowić udzielne państwo — albo jednę całość z państwem węgierskiem, ale wtenczas sejm w Peszcie zniósłby szacunkowość (census) wyborów, ogłosił równouprawnienie wszelkich narodowości i przypuścił język słowiański do koła obrad, jak się to dzieje na sejmie federacyjnym szwajcarskim. Kossuth odrzucił te wnioski, zamiast słusznej odpowiedzi zadał bezczelne zapytanie: »gdzie leży Kroacya?« wyrzekł w sejmie »Jellaczyc zdradza króla węgierskiego (!)« i wysłał deputowanych do tego samego parlamentu we Frankfurcie, który zaokrąglał Niemce Czechami i demarkacyą poznańską. Po jakiej stronie demokracya, a po jakiej reakcya?

Wskutek fatalnego zbiegu okoliczności, wskutek nieczystej polityki, która tu, jak i wszędzie, w nieczystem sumieniu narodów swój początek wzięła — zmieniły się w krótkim czasie rzeczy i stronnictwa. Despotyczny madziaryzm i frankfurcko-niemiecka partya wiedeńskiego sejmu zdawały się walczyć za demokracyą, bo przeciwko ..... domowi Habsburgów, a Czesi i Chorwaci, parci ze wszech stron, nie ufni we własne siły, mając tylko do wyboru między wrogami, między Niemcami, Madziarami, Rosyą i Austryą, a sądząc, że Austrya, ze wszystkich wrogów będąc najsłabszym, będzie i najmniej niebezpiecznym, rzucili się w objęcia cesarza i stanęli w obronie reakcyi. Ubolewajmy nad tą koniecznością, nad tem zaślepieniem — ale nie zapominajmy, że Słowianie tak nieszczerymi byli absolutystami, jak Madziary i Niemcy nieszczerymi demokratami.

I czemuż wreszcie, gdy spadła wszelka zasłona, gdy demokracya niemiecko-madziarska w pamiętnych dniach października mogła szczere słowa wypowiedzieć, gdyby była chciała, czemuż wtenczas rewolucyjny Wiedeń, który ogłosił, że walczy za wolność, nie wyrzekł równouprawnienia narodów? Czemuż owa aula wiedeńska, która z takim zapałem przyjmowała zbrojne hufce Polaków, zdobyła się na tyle śmiałych proklamacyj, nie podniosła naszego sztandaru ze świętym napisem »za waszą i naszą wolność«, nie ogłosiła demarkacyi poznańskiej za czyn haniebny i zbrodniczy? Czas był potemu — a chociażby wyrzeczenia takie nie odwróciły Jellaczyca od wiedeńskich murów i ani wstrzymały Schäfera od nacechowania naszej ziemi podłą kresą, — ocaliłyby przynajmniej honor owej rewolucyi — upadłaby przynajmniej z chwałą — i pozostałaby po niej w sercach ludów wdzięczna pamiątka — że celem jej była prawdziwa wolność i demokracya prawdziwa — a nie wolność dla siebie a niewola dla innych, demokracya dla Niemców i Madziarów, a arystokracya Niemców i Madziarów dla Słowian.

Nie miejmy pobłażania dla nikogo — ale bądźmy też sprawiedliwymi dla wszystkich. Nie chciejmy uniewinnić ani Francuzów, ani Niemców, ani Słowian — ale przekonajmy się i wyznajmy sobie raz na zawsze, że najmniej winnymi byli Słowianie.

Cokolwiekbądź, to pewna, że kara dla wszystkich nastąpiła niebawem po zbrodni wszystkich. Przeniewierzając się swoim obowiązkom, i Francuzi i Niemcy i Słowianie przeniewierzyli się sobie samym — własnym interesom.

Francya coraz chyższym krokiem cofa się w tył, w stan opłakańszy nawet, niż za czasów monarchii, z rzeczypospolitej demokratycznej, socyalnej wymazano pomału i ostatni i przedostatni przymiotnik — rzeczpospolita we Francyi teraz nie ma już żadnych przymiotników i żadnych przymiotów — i bodaj, czy pozostały

biedny rzeczownik nie zostanie wymazanym wkrótce brudnym palcem mieszczaństwa.

Niemce żadnej nie mają polityki, czołgają się tylko na klęczkach za wędkami gabinetowych szachrajstw. Nawet jedność się ich rozbiła — bo jakże mógł Bóg dopuścić siły, która tylko siłą niszczącą by była? Na cóżby się przydało tak wielkie ciało dla tak miernego serca?...

Słowianie nareszcie czują już teraz, jak dom habsburski pojmuje równouprawnienie narodowości: poznali już fałszywą swoją rachubę — a jedyną pociechę mają tylko w smutnem przekonaniu, że nie tego chcieli, nie do tego dążyli....

Nie było szczerości, nie było sumienia, nie było miłości nigdzie — stała się niewola wszędzie — i węzeł braterski ludów zamienił się w węzeł gordyjski nie do rozwikłania. Nikt go rozwikłać nie jest w stanie — przetnież go miecz Rosyi?

Wkroczenie Rosyan do Siedmiogrodzia powinno wreszcie okazać wszystkim przepaść, nad którą stanęli, powinno zwrócić wszystkich z bezdroża samolubstwa i zaślepienia na drogę wolności, na której jedynie zbawienie znajdą, powinno skierować umysły narodów do prawdziwych i szczytnych zadań, które im Opatrzność powierzyła. Jednością silni a rozumni cnotą — mogliby razem przystąpić do wielkiego dzieła odrodzenia społecznego, politycznego i narodowego — razem w imię Boga i miłości!

Znajdzież głos ten, głos nie ustający Polski od początku rewolucyjnego naszego ruchu, wreszcie usłuchanie? poznają narody jeszcze przed czasem, gdzie życia prąd, a gdzie życia trąd? — nie będziemyż musieli sobie wkrótce powtórzyć tak powtarzanego niestety słowa w ciągu naszej politycznej przedburzy — słowa: »zapóźno?!« —

Gaz. Pol. nr. 61 i 62 z 16/17 marca 1849.

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW, PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 1
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

Odpowiedź Panu F. Z. z Pleszewskiego.

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW, PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 3
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

Mimo osobistego wielkiego szacunku dla pana F. Z.[1]) — pozwolim sobie nie być jego zdania, w Nrze 60tym Gazety Polskiej wynurzonego: a to nie w moc jakiegoś tam dyplomu hrabiowskiego, bankierskiego lub doktorskiego, ale w moc prostej loiki — której władzę przecież i pan F. Z., mimo wrodzonej demokratycznej niechęci ku wszelkim władzom, uznać zechce.

Otóż wyobrażenie, które pan F. Z. ma o demokracyi, zdaje się nam niezupełnie loicznem. — Pan F. Z. twierdzi, że istotą demokracyi jest opozycya; na to mu odpowiem słowy kompetentnej niezawodnie, bo nie tylko powiatowej, ale i światowej popularności, słowy Waszingtona, że istotą demokracyi jest rząd większości i zastósowanie indywidualnej woli do woli ogólnej. Opozycya jest tylko jednym z licznych przymiotów demokratycznego rządu, ale nie jego istotą. — Wolno opozycyą tworzyć, starać się o jej rozszerzenie i skierowanie opinii ku temu, co owa opozycya za dobre uzna; — ale póty, póki ona nie staje się większością, a tem samem i legalną władzą, powinnością jest każdego prawego demokraty słuchać tej władzy, która czasowo ma za sobą wolę większości. Tak nas naucza loika — prosta, nieubłagana loika — a wątpim, aby powiat pana F. Z. miał inną loikę — ad usum Delphini.

W czasach bezrządu (a Wielkopolska, dopóki nie będzie miała rządu właściwego t. j. narodowego, zawsze

[1]) Na łamach Gazety Polskiej (zob. nr. 42, 47 i 60 z r. 1849) toczyła się między Kajetanem Morawskim z Jurkowa a obywatelem F. Z. z Pleszewskiego polemika w sprawie wyboru posłów w powiecie kościańskim, do której Julian Klaczko dorzucił swoje uwagi w osnowie niniejszej Odpowiedzi. (Przyp. wyd.)

w takim stanie będzie) każden miłujący ojczyznę swoją zwykł się, dla unikania zatarg domowych, poddać tej władzy, która chwilowo ster rządu uchwyci. Mieliśmy tego świeży przykład we Francyi po rewolucyi lutowej. — Już więc z tego jednego powodu należało się powiatowi pana F. Z. zastósować do rozporządzeń komitetu oborczego, uznanego *tacite* przez całe Wielkie Księstwo. Ale komitet ten uzyskał także wyraźne uznanie, uzyskał podstawę legalną, bardzo legalną, demokratyczną — bo ligową; — i dziwi nas mocno, że pan F. Z., tak czynny w obradach kórnickich, a przytem i zastępca w dyrekcyi głównej, mógł o tem zapomnieć i komitet oborczy rzeczą zupełnie obcą Lidze nazwać. Wszakżeż, zaraz na pierwszem posiedzeniu walnego zgromadzenia w Kórniku, delegowani z powiatów wybrali z pomiędzy siebie, na wniosek pana Gustawa Potworowskiego, — deputacyą do porozumienia się z komitetem oborczym względem wyborów. Porozumienie to przyszło do skutku — i tylko zwichniętem zostało zarozumieniem powiatu pana F. Z., jedynego ze wszystkich powiatów, który przez wzgląd, czy to na wygórowane swoje demokratyczne wyobrażenia, czy na posągowe swoje powiatowe popularności, działał w duchu, jeśli nie powiemy staroszlacheckiego liberum veto, — to niezawodnie w duchu radykalnego Buchmana, który »z wyższego stanowiska — zgody nigdy nie pochwalał«.

Nie popularność, ale zasada jest dążnością i normą każdej prawdziwej i prawej polityki; bo popularność jest rzeczą indywidualną i znikomą, — zasada zaś ogólną i trwałą. — Prawdziwy demokrata nie dba o popularność, ale o zasadę; prawy patryota wzgląd ma nie na powiatowe pyszki, ale na chwałę kraju.

J. Kl.

Gaz. Pol. nr. 65 z 21 marca 1849.

Feleton dla Feletonu.

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW, PLAC W. W. ŚWIĘTYCH
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

J. GOMPLOWICZ. KRAKÓW, PLAC M. A. CZARTORYSKIEJ L. 4
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

Redaktorze!

Saul, syn Kisza, z plemienia Benjaminowego, wyszedł w świat szukać osłów swego ojca — a znalazł koronę. Göthe widzi w tem tę naukę, że młody człowiek powinien się puścić w świat literacki, choćby i za osłami — bo któż wie, czy go nie czeka gdzieś korona chwały, laur zwycięstwa? —

Chociaż ani do korony, ani do osłów najmniejszej nie mam pretensyi, i ja teraz, na żądanie twoje, myślę się puścić w świat literacki i doświadczyć wątłych sił moich. — Pamiętam, w młodym moim wieku — (bom się »zestarzał, sczerniał i oszpetniał«, — chociaż nie śmiem dodać, żem »schudł i jakoś dziwnie wyszlachetniał«) — gdy się mozoliłem nad wydobyciem kilku mętnych kropel z hippokreńskiego zdroju, który, tak mi się przynajmniej wtenczas zdawało, w głębi mego serca się ukrywał; pamiętam, żem wtenczas czuł wielką odrazę ku wszelkim »klasycznym«, tj. porządnie ułożonym wierszom i pod tym względem sonet ze swoją zwięzłością i ogładą był dla mnie wbrew poważnemu zdaniu Franciszka Salezego Dmochowskiego najklasyczniejszym, bo najtrudniejszym wierszem — chociaż go wtenczas z uczucia własnej godności nie śmiałem nazwać trudnym; wolałem go z pewnem demokratycznem oburzeniem mianować niewolniczym. — Usposobieniom moim najbardziej odpowiadał dytyramb; — dytyramb.... owe *summum licentiae poëticae!* Bo też pisząc dytyramb, nie potrzeba mi było przebierać każden wiersz palcami i wsuwać w najniestósowniejsze miejsca pewne »ach« i »och«, lub »tak, tak« itp., dla uzupełnienia karnego sze-

regu zgłosek; nie byłem zmuszony, zakończywszy na »cnotę«, przywodzić sobie na pamięć »hołotę, sromotę, pustotę« itd., bo wiesz zapewne, że w dytyrambie rym nie jest tak koniecznym, jak w systemie Hegla i Cieszkowskiego troistość; nie potrzebowałem sobie nawet zadawać tego trochę zawstydzającego pytania: jakaż myśl w tem wszystkiem? — bo myśl zastępowały w potrzebie trzy wykrzykniki i cztery kropki. — O, dziś jeszcze, chociaż chłodny wiatr doświadczenia wyziębił już we mnie poetyczne młodości zapały, i dziś jeszcze, ilekroć sobie przypominam owe błogie chwile rymowych porodów, wykrzykuję mimochodem: niech żyje dytyramb!

Dawno już zsiadłem z Pegaza, a smutne doświadczenie, które przed niedawnym czasem zrobiłem na bardzo konserwatywnej szkapie (spadłem, potłukłem się, a nadomiar nieszczęścia stało się to jeszcze wobec pięknej sąsiadki, która się bez serca ale serdecznie z mego wypadku śmiała), byłoby w stanie odebrać mi wszelką, gdybym jeszcze jaką miał ochotę dosiąść skrzydlatego rumaka. Przebiegłem szybkim krokiem przez zmyślony od poetów świat i teraz pełzam z pokorą po najprozaiczniejszych nizinach powszedniego życia. Mimo to, nie opuściło mnie jednak owe wrodzone demokratyczno-dytyrambiczne usposobienie; dotąd mam wielką, niczem nieprzezwyciężoną odrazę ku temu wszystkiemu, co zakrawa na coś porządnego w myśleniu i pisaniu — i dla tego też nie mogę ci pisać artykułów wstępnych, mimo najlepszych chęci odpowiedzenia twoim redaktorskim wezwaniom. — Artykuł wstępny jest trochę trudnym... chciałem powiedzieć niewolniczym; wymaga pewnego ładu i systemu, pewnej tezy, antytezy i syntezy, wnioskowań i wyników; — wymaga przedewszystkiem pewnej głównej myśli; — słowem, jest tem w publicystyce, czem sonet w poezyi.

Wolę feleton. Feleton może być zarazem i wszystkiem i niczem; przypuszcza wszelkie licencye formy i treści — nawet zazwyczaj i treści nie żąda — dość, gdy się tu

i owdzie coś nakształt tego rzuci, coby, choć i po długiem wahaniu, konceptem nazwać można było. — Jak sztuka dla sztuki, tak feleton dla feletonu tylko istnieje, ma cel w samym sobie, czyli raczej nie ma żadnego celu, a natomiast nieograniczone pełnomocnictwo w szafowaniu wykrzyknikami, kropkami, domyślnikami na miejscu brakujących myśli — słowem, feleton to gazeciarski dytyramb!

Nie wiem, czy ta definicya jest trafną — w każdym razie nie omieszkasz mi za nią być wdzięcznym, bo ona ci z góry zapowiada, czem mój feleton będzie. Będzie on »ciemno-błękitnem nic«, że użyję słów wielkiego humorysty, »snem pchły«, »cieniem zera«, — czemś nieuchwycalnem i nienamacalnem — jak nasza tegoczesna rewolucya.

Nie myśl, żebym nie czuł, jak ubliżającem musi być dla naszej wielkiej rewolucyi to porównanie z moim feletonem. Ale przyznasz sam, że trzeba mieć bardzo wielkie dytyrambiczne usposobienie, by jeszcze w wielkość naszej rewolucyi, ba, nawet w jej byłość uwierzyć. Ja przynajmniej, ilekroć czytam gazety, a w nich mowy królewskie, okólniki ministeryalne i treściwe wyroki z ołowiem i prochem, wycieram sobie bystre oczy poważnemi rękoma — i z hamletowską ironią pytam się: a gdzież ona? tj. owa rewolucya! — Gdy po upadku Napoleona Burbonowie weszli do Francyi: nic się nie zmieniło, powiedział dowcipny Artois, tylko jednego Francuza więcej ma ojczyzna. — I mnieby się chciało nie raz powtórzyć, i jabym mógł powiedzieć: nic się nie zmieniło, tylko kilka monarchicznych podłości więcej posiada historya! Bo jakież inne zmiany zaprowadziła nasza rewolucya? Jakież po niej dzieła? Jakież po niej ślady? Jakież nam zostawiła rękojmie?

Jedyną i nie bardzo pocieszającą rękojmią otrzymaliśmy tylko w rozprzężeniu ogólnem wszelkich zasad społecznych, w zagmatwaniu wszelkich sumień politycznych —

PRAWNO-HISTORYCZ

a co najsmutniejsza, w dekoletowaniu (daruj za ten wyraz obcy, ale bardzo malowniczy) wszelkich obyczajów — moralnych i literackich.

Zostawiając moralność na boku, chcę zwrócić uwagę twoją na literaturę i na jednę z jej córek, która niedawno zrobiła swoje entrée w świecie poznańskim i wiele oczu na siebie zwróciła swem — wygorsowaniem, okazującem jeśli nie piękną płeć, to wielką, za wielką nawet determinacyą.

Otwartość i jawność w życiu publicznem jest niezawodnie rzeczą pożądaną, a zarazem oznaką politycznej pełni. Można powiedzieć, że, jak sztuki piękne się podniosły od czasu, gdy zaczęto wystawiać nagie figury — tak i polityka moralna się podniesie, skoro się nie będziemy wahać w wystawieniu nagich charakterów — a zadanie takie jest równie godnem publicysty, jako i poety, biografii, jako i dramatu.

Ale również publicysta, jako i poeta, nie powinni zapomnieć, że mają tylko z charakterem publicznym do czynienia, a nie z sentymentem prywatnym — powinni oddać narodowi, co narodowego, ale, co osobistego, zostawić osobie, szanować »mały zagon serca«, jak go trafnie nazwał Mably, zakryty cieniem niemego żalu, oblewany tajemniczemi łzami cichej nocy — ową jedyną własność, której się nie odziedzicza, ani puścizną nie zostawia, dla której kolebka jest zarazem i grobem.

Nie tak sądził p. Maurycy Mann — boś się już pewno domyślił, że tu mowa o idealno-realnym dramacie, który niedawno ujrzał światło poznańskie, ofiarując każdemu za cenę bardzo umiarkowaną cząsteczkę z serca jednego z wielkich naszych mężów. P. Mann natrafił na przedmiot wielki, prawdziwie narodowy, mógł wystawić męża, który dla myśli szczytnej i szlachetnej poświęcał się codziennie, cogodzinnie, dokonywał z męstwem, co wszczęło uczucie obowiązku, palił się wciąż ofiarą na ołtarzu ojczyzny, wal-

czył nie tylko z wrogiem, ale i ze swymi sprzymierzeńcami, z ich niewyrozumieniem, zapalczywością i tradycyjną niesfornością, a gdy w nim żary z zewnątrz i z wewnątrz wszystkie wypaliły nadzieje, skamieniał i ścinał się w posąg, ale w posąg Memnonowy, który zawsze zadźwięczy, skoro go promyk narodowej jutrzenki zadraśnie..... Mógłże P. Mann takiego człowieka nam upostaciować? — nie wiem — ale to wiem, że P. Mann tego nie chciał, że wolał posąg zamienić w sylwetkę i z patryoty może bez przykładu zrobić tuzinkowego amanta.

Może się mylę — ale taki commerce en detail najdelikatniejszą cząsteczką serca wielkiego męża, takie wystawienie na sprzedaż miniaturki malowanej motylim pyłkiem najskrytszych, najniedotykalniejszych uczuć — robi przykre wrażenie. Człowieka, którego wyobraźnia narodu zwykła sobie wystawiać w kształcie rycerza zrosłego z bronią, człowieka takiego wymalować w szlafroku sentymentalnym i małżeńskich pantoflach — jest wielką śmiałością — ale i nie małym grzechem.

Zdaje się, że autor sam uczuł niewłaściwość takiego szkicu, który z sumy wielkiego żywota, wybrał ułomny ułamek zwyczajnej przygody. P. Mann, zdaje się, pojął, że naród nie pyta się, czem był doktor Karól dla Kasyldy, ale, czem dla ojczyzny. Miał tej wadzie zaradzić Epilog i Epiepilog, zwyczajny i nadzwyczajny dodatek, w którym już nie bohater romansu, ale epopei, nie kochanek, ale żołnierz i patryota w fajerwerkowym występuje transparencie..... Ale tem zadosyćuczynieniem jeszcze bardziej skrzywdzony został doktor Karól. Bo nie wyglądaż, jakby mąż ten wielki, idąc utartą koleją tylu innych pospolitych ludzi, dopiero po utracie kochanki odzyskał ojczyznę? Ów Epilog i Epiepilog nie jestże rozwlekłym komentarzem lapidarnego napisu: »Mortuus est Gustavus, natus est Konradus?« I czemuż, spytasz się może, co wolnem było Mickiewiczowi, nie miało być wolnem panu Mannowi? Nie chcę być złośliwym — powiem tylko, że studentowi

pustelniczemu godziło się, wyrzekłszy »ostatnie: bądź zdrowa!« zasnąć i obudzić się »Milionem, który za miliony cierpi i znosi katusze« — ale doktor Karól był innym, jak Gustaw — innym przechowała go pamięć narodu — innym powinien był go przedstawić dramat....

Jestże to w istocie dramat? Jestże tu w istocie walka przypadkowości z koniecznością? Jestże tu akcya i katastrofa? Bynajmniej! Jedyna walka toczy się między moksą a książkami lekarskiemi; jedyna akcya odbywa się w bieganiu do apteki po flaszeczkę; jedyną katastrofą jest przypadkowanie zaimka osobistego: ja, ty, on — przez zmoksowaną Kasyldę!

Cały dramat jest tylko monologiem — ale nie Faustowskim, w którym nieskończoność wiedzy rozbija się o skończoność sił ludzkich; dramatyzowany monolog pana Manna wystawia nam walkę wcale innego rodzaju, wcale nie tragiczną i walkę godną rycerza z La Manszy, walkę miłości z kaprysem, z monomanią ukrywania swoich uczuć przed światem. Doktor Karól zwierza się nam w długich i krótkich periodach, rozwlekłych i naukowych zdaniach, nawet i słów i graszkach — z miłości, która w ponurem jego sercu świeci sama sobie, jako lampa w rzymskim grobie, miłości, która opasała pierś jego nakształt włosiennicy, coraz głębiej tonie, tonie, tonie... i wkrótce przetnie mu oddechy.... Ale i nad tem tak gwałtownem, tak namiętnem uczuciem (któremu wreszcie nie odpowiada ani wyobrażenie narodu o charakterze doktora Karóla, o jego silnej woli i gorącem uczuciu obowiązku, którego pierwszą podstawą było wyrzeczenie się samego siebie, ani też cały ustrój samego dramatu) góruje chęć opanowania tego uczucia — nie przed sobą samym — ale przed światem! Świat, ten świat stuoki i stujęzyczny, którym, zdaje się, wysoka natura Karóla tylko gardzić mogła, ten świat nie ma dostrzedz tego, co się w wnętrzu jego dzieje serca, nie ma o tem gadać — ta myśl, to usiłowanie, tak mierne, tak malutkie jest dźwignią wszystkich monologów

i całego dramatu!! Doktor Karól ciągle się drapuje, ciągle układa fałdy swej powierzchowności, — by z pod niej nie wyglądała jego miłość dla Kasyldy... I myślałże pan Mann, że w tem leżała jakaś wielkość? że w tym mniemanym Tytanizmie każde oko nie zaćmione nie rozpozna karłowatej próżności? że każde serce proste w tej wspinającej się sile duszy nie odkryje tego, co właściwą jej było treścią, nie odkryje słabości charakteru? Nie wiem, tego nawet wiedzieć nie chcę, czy w wielkiem sercu Karóla taka się w istocie ukrywała słabość — ale to wiem, że dramatyczne wypotęgowanie tej słabości jest nie tylko moralnym, ale i estetycznym błędem — jest tak samo, jak gdyby malarz wszystkie światła i błyski farb swoich skupiał na ułomną część ciała — na brodawkę w pięknej twarzy, — tak samo, jak gdyby Mickiewicz wielki swój poemat nie uzasadnił na szczytnej walce miłości i obowiązku, patryotyzmu i zakonu, chrześciaństwa i pogaństwa w sercu Wallenroda — ale na »gorącym napoju«, w którym czasami bohater »szukał pociechy«. — Monomania nigdy nie będzie dramatyczną silnią — kaprys nigdy nie zajmie poetycznego miejsca fatalizmu!

Gdyby się autor mnie był przed czasem poradził, jaki ma dać tytuł swemu dramatowi, nie wahałbym się oświadczyć za każdym innym (n. p. za takim, jak: nadzwyczajne skutki moksy) tylko nie za tym, który się utworowi jego dostał. Tytuł »Sztuka i miłość« daje wiele a przynajmniej wcale co innego do myślenia, jak to w istocie dramat ukrywa — przywodzi na myśl »Kabałę i miłość« Schillera, »Serce i świat« Gutzkowa, »Poetę i świat« Kraszewskiego — i każe się spodziewać tej odwiecznej walki indywidualnego uczucia z bezczuciem ogółu. W rzeczy zaś samej sztuka (lekarska NB.) nie walczy tu wcale z miłością, owszem popiera ją, ratuje moksą i flaszeczkami, to *i* nie jest przeciwstawieniem, ale dodatnią, jest to sobie sztuka + miłość = napisaniu czegoś, o czemby nie można było nic gadać.

Jeśli taką była rachuba autora — mam sumienie czyste i nie mogę się obawiać gniewu jego — bom się tak rozgadał o jego dziele, żem nawet i twoją i szanownej publiczności cierpliwość z oka stracił i dopiero na samym końcu się spostrzegł, że, wyszedłszy szukać feletonu — znalazłem recenzyą.

J. Kl.

Gaz. Pol. nr. 85 z 14 kwietnia 1849.

Wieszcze i Wieszczby.

Rys dziejów nowszej poezyi polskiej.

WSTĘP.

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 4
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW, PLAC [illegible] LICZBA [illegible]
Wypożyczalnia książek beletrystycznych i naukowych.

Zamierzam szczupłym zasobem mych zdolności i wiadomości skreślić obraz nowej naszej odrodzonej poezyi i wskazać jej związek duchowy z nowem naszem odradzającem się życiem, które tem właśnie, że pogrobowe, świadczy o sobie, że nieśmiertelne. Zamierzam w przeświadczeniu dobrych chęci, acz wątłych sił, w nieświadomości nawet słowa zaklęcia, wywołać tę epokę, która prawie jeszcze jest teraźniejszością a prawie już przeszłością, i tych ludzi, którzy prawie jeszcze są naszymi braćmi, co z nami gorzki chleb niedoli a słodki nadziei dzielą, a prawie już ojcami, co może w naszej barbarzyńskiej mowie głosu wnuków swoich nie uznają. Zamiar to, którego trudności sobie nie taję, dla którego zwodnych i niebezpiecznych stron nie jestem ślepy, i od któregobym był daleki, gdyby nie obecne okoliczności. W spokojnym czasie Polski zwycięskiej byłbym czekał na zdolniejszych i poważniejszych, na ludzi silniejszego głosu i rozgłosu, pewniejszego umienia i sumienia. Ale w obecnym wojennym czasie Polski walczącej wszelkie takie względy skromności byłyby tylko oględnościami bojaźni, wszelkie poważanie dla osób lekceważeniem rzeczy, a sąd sumienny chyba mnie o urojenia, lecz nie o uroszczenia, obwinić może. Żołnierz, który w bitwie, nie oglądając się na tych, co przed nim i nad nim, spieszy zająć zagrożone stanowisko — taki żołnierz się nie narzuca: on się tylko naraża.

Zagrażającą zaś u nas jest owa polarność ducha, która świat obowiązków i czynów rozkłada, zagrażającą jest przewaga myśli nad uczuciem, przemoga refleksyi nad instynktem. Opinia nasza publiczna, gdy prawie jedno-

głośnie autora Nieboskiej Komedyi wyżej postawiła nad Mickiewicza, stanęła na tej niebezpiecznej wysokości, na jakiej się znalazła Grecya, gdy Pythia Euripidesa mędrszym od Sofoklesa ogłosiła. Czas inaczej osądził co do Grecyi, i pewno inaczej osądzi co do nas; oby tylko bez tej srogiej dla nas jak dla Grecyi nauki: nauki upadku i bez powstania. Czas nasz obecny w odmiennych tylko rysach przedstawia smutną, chorowitą i wyschłą postać wieku XVIII. W wieku owym mieliśmy zwątpienie i dowcip; teraz mamy mistycyzm i fantazyę: jedne jak drugie te same, choć przeciwnie bieżące bieguny, te same, choć odwrotne zwrotniki, równoodległe od równika wiary i uczucia. Podobni do tych, co wyglądali Zbawiciela, gdy już od wieków był przybył, silimy się nad wynalezieniem teoryi, gdy nauka już tak dawną i tylko o jej pełnienie chodzi. I jakżeby się zdziwił nasz czcigodny Karnkowski, gdyby teraz powstał i poczuł, jak znacząco przy każdej okoliczności szafujemy owym tytułem Messyasza, który on może pierwszy u nas w XVI wieku w prostocie swego ducha prostemu zbiorowi swoich kazań nadał! I jakżeby się zdziwili ci wszyscy, dla których Polska była zawsze dogmatem dla poświęceń, gdyby powstali i ujrzeli, jak dla nas jest już prawie tylko tematem dla dyskusyi! Z zupełnem zapomnieniem przeszłości, z zupełnem zobojętnieniem dla teraźniejszości, uganiamy się tylko za jakąś fatą morganą przyszłości, i mamy politykę przyszłości, filozofią przyszłości, nawet poezyę przyszłości!! Jakżeśmy już dalecy od tego zdrowego uczucia, które wielkiego naszego wieszcza pędziło na czele wiekopomnego dzieła kłaść owe tak prawdziwe zdanie Schillera, że, co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości. W obecnem naszem tak spaczonem widzeniu zdawałoby się, że to tylko może żyć w pieśni, co jeszcze wcale nie istniało w rzeczywistości! Wtenczas gdy wszędzie i zawsze sztuka unikała niepewnej, chwiejącej się obecności i, jak snycerz dla swego dłóta szuka twardego

marmuru, szukała minionych wypadków, by ze stwardniałego, ostałego już materyału swe dzieła wyciosać; my z mrocznych cieniów, z przewidzianego dopiero świata, chcemy zlepiać utwory i z nieuchwytnych promieni jakiegoś słońca, które jeszcze nie weszło, utkać przędzę myśli! Wtenczas gdy Grek obecne swoje wojny z Persami tylko w kształcie przeszłych wojen z Trojączuł się zdolnym upostacić, a Rafael dla uwiecznienia współczesnych zwycięstw Juliusza i Leona wywołał minione wieki Grzegorza i malował sale Heliodora, Konstantego i Pożaru; my nawet i twarze ostre, malowane naszej przeszłości oblekamy mgłą tych czasów, »co to jeszcze będą«. Wtenczas gdy Michał Anioł przynajmniej wprzódy genezę odmalował, nim o ostatecznym sądzie pomyślał; u nas nikt prawie o genezie naszej nie pomyśli, a ileż za to porywów do sądów ostatecznych! Tylko na tej naszej biednej ziemi stać i ostać nie możemy. Ale jakże śmiało za to myślą w niebo niebo kusim; ale jakżeż łatwy nam za to zstęp do piekieł: facilis ascensus Averno, jak szydził Wirgili! Wtenczas gdy Platon myśli nasze nazwał przypomnieniem świata, któryśmy przeżyli; my je nazywamy przedpomnieniem świata, w którym dopiero żyć mamy, i marzymy o pieśni, »o której i Bóg nie śni«, a o której nam najmniej śnićby się godziło. Przewrotne Pygmaliony, tchnieniem naszem nie ożywiamy posągów; wycieńczamy tylko siebie samych. Nie mamy jeszcze ani jednej porządnej historyi, a ileż za to porządnych historyozofij; nie zbudowaliśmy jeszcze ani jednej dobrej chałupy, a wystawiliśmy już trzy piętra ludzkości; nie nauczyliśmy się jeszcze katechizmu, a mamy już zapowiedzianą Bożycę w niewiem ilu tomach! Wielka tradycya naszych Staszicow, Czackich, Zanów i Lelewelów już zupełnie przerwana; przyczepiliśmy się za to do rydwanu spekulacyi niemieckiej, który nas wlecze za sobą w zwycięskim pochodzie. W jakiejż poniewierce u nas historya, filologia, sztuka, te jedyne duchowe zajęcia, które są

w stanie skupić, pojednać i połączyć, które, koniecznie żądając spółpracy i spółudziału, opierając się na przeszłych i spółczesnych, są z natury swej tradycyjne, wiążące, społeczne. W jakiem natomiast nierozważnem poważaniu owa Babel filozoficzna, która nam tylko języki zamięsza i sumienia zakłóca, która, koniecznie na sobie oparta, wszystko ze siebie wysnuwająca i sobie tylko świadcząca, jest z natury swej burzącą, rozkładającą, niespołeczną. Bo niechże mi pokażą, proszę, w naszej uniwersyteckiej młodzieży, zapalającej się na zimno nad licznymi systematami swojskiej i obcej spekulacyi, a gardzącej suchą, jak mniema, nauką: ową braterską zgodę, ową szczerą miłość, ów zapał do dobrego i gotowość do poświęceń, które cechowały niegdyś młodzież wileńskiego uniwersytetu, tych Zanów, Czeczotów, Kółakowskich, Kowalewskich, Wiernikowskich, Jeżowskich i t. d., tych maluczkich w duchu i słowach a wielkich sercem, co to skromnie przeglądali stare zabytki naszej historyi, pisali poemata o zgonie tabakiery i tłómaczyli Homera, Herodota i Pindara! Bo niechże mi pokażą, proszę, w tych filozofach wytykających drogę samemu Bogu, w tych wielkich myślicielach, co to sto gwiazd zgasić a drugie sto wzniecić się czują zdolni, ową skorość do uznania, ową przychylność dla wschodzących talentów, z jaką nasz stary zasłużony Rej nieznanemu jeszcze śpiewakowi z Czarnolesia »dank składał«, lub ową szczytną pokorę, z jaką nieśmiertelny Brodziński prosił naszych młodych romantyków o przebaczenie, że o nich był zwątpił na chwilę! My teraz mniemamy się wyższymi, gdy gardzim prawdziwą życiodajną nauką, którą tem zbywamy, że z martwych książek i szpargałów czerpana, a natomiast kusimy się o jakąś nadludzką wiedzę, którą nibyto z głębi samoistnego ducha dobywać mamy i, jak w owej bajce, zarzucamy skrzętnym pszczołom, że swój miód z kwiatów wyssały; zarzucamy my, pająki, co to z samych siebie, samoistnie, oryginalnie snujemy — pajęczynę! I w jakież

przeraźliwe nieraz popadamy z sobą sprzeczności; jakże często z nadmiaru rozumowania tracimy wszelki zdrowy rozum, i, mówiąc językiem naszego starego Marchołta, strzelając często w gęsty las, nie znajdujemy strzały w czas! Między płaskością a przesadą nie znamy środka. Krzycząc do chrypki c z y n u, i czynu słowiańskiego, zaniechamy pierwszych, pilnych i nieodzownych robót polskich; przyczepiając się (i niestety! w przenośni tylko) do krzyża, tylko się na nim wykrzywiamy; a kłócąc się nad zakonem zmartwychwstałych lub nowonarodzonych, upuszczamy z rąk zakon żyjący. I małoż wreszcie u nas takich, co, odwykłszy chodzić, a nie umiejąc latać, kończą tem, że się czołgają? co, nie doczekawszy się wielkiego czynu słowiańskiego, przyjmują mały czyn moskiewski? co, zaczepiwszy siebie na krzyż bezskutecznie, zaczepiają potem skutecznie krzyż na siebie, ten krzyż, o którym pieśń filaretów mówi, że się go Belzebub nie lęka, krzyż 3, 2, i 1 klasy?; co po błędnej wędrówce rycerzy »najnowszego« zakonu odpoczywają statecznie kawalerami orderów?....

Wobec takiego rozdwojenia i rozpadu treści i formy, wobec tego powszechnego rozdźwięku i ogólnego braku miary i umiarkowania, nie zbytecznem może będzie przypomnieć sobie to nasze duchowe zatrudnienie, które z natury swej właśnie, póki się nie wynaturzyło, było ścisłem formy i treści połączeniem, które z istoty swej było harmonią i warunek bytu tylko w mierze miało i umiarkowaniu: jednem słowem, nie zbytecznem może będzie kosmopolitycznej filozofii i samolubnemu materyalizmowi n a r o d o w ą przeciwstawić p o e z y ą. Może się wtenczas okaże, że ten świat idealny więcej miał w sobie rzeczywistości, niż obecny nasz świat rzeczywisty, i że pieśń była większym czynem, niż wszystkie teraz nad nim spekulowania. Może się okaże, że suche badania Lelewela o epoce piastowskiej i skromne rozprawy Brodzińskiego o tańcach i pieśniach narodowych więcej w sobie miały

życia i głębokości, i skuteczniej nas przysposobiły do naszego posłannictwa, niż wszystkie nasze modne hallucynacye o misyach narodów; że Wallenrod doskonalej przeczuł naszą przyszłość, a Dziady i Tadeusz w większej pełni objęły myśl narodową, niż wszystkie nasze mesyaniczne spekulacye i filozoficzne formuły, że Przedświt więcej nas oświecił, niż Przedburze, że wiersz do Matki Polki był lepszą pedagogiką od Chowanny, a Poselstwo z ziemi ucisku więcej nam dało prawd żywotnych, niż wszystkie Objawienia objawień. Może się wreszcie okaże, czy lepiej nam, zawierzając się prądowi rozhukanej wiedzy, zagubić się i zatracić w morzu słowiańskiem, lub, idąc za przykładem Wacława, oprzeć się na ludzie naszym, i w jego zabawach, zwyczajach, tradycyach, pieśniach i tańcach, »w polonezie Kościuszki«, jak właśnie ów Wacław, szukać owego słowa, »co w dobrej ludziom powiedziane chwili, jak trąba archanioła stworzy ich, czem byli«. I niechaj nikt w tem ironii nie upatrzy, co tylko bolesną i z boleścią wypowiedzianą jest prawdą! I niechaj mi nikt zbytniego zaufania w sobie nie zarzuci, kiedy jedyną odwagę, nie w sobie, ale w nieśmiertelnych świadectwach czerpam, które za mną przemawiają i przez które przemawiam! I niechaj mnie nikt tem zrazić nie myśli, że pismu memu zbyt wielki i odległy cel założyłem, kiedy jedynym jego celem jest tylko być drogoskazem!

Niechaj wreszcie mnie nikt przedwcześnie o jednostronność nie obwini, kiedy właśnie unikanie jej zewsząd wyłącznem mojem było zadaniem. Cały ciąg tego dzieła okaże, że koła naszego świata zmrużonem nie zakreśliłem okiem, a pilnując przedewszystkiem steru, i gwiazd się czasem radzić nie zapomniałem. Jeśli do dzieł sztuki miarę przykładałem sztuki, poznawałem i uznawałem jednak, że one się ani tą ani narodową nawet miarą całkiem wymierzyć nie dają, że pozostają zawsze pewne reszty nieskończoności, jakiejby zmysł grecki

niezawodnie zaprzeczył, ale jakiej umysł chrześciański i polski zaprzeczyć niezawodnie nie może. Przeczyłem tylko temu, aby sztuka w ogóle się mogła wyłamać z pod wszelkiej miary i granicy, aby poeci mieli prawo, jak to teraz wielu czyni, w miejscu harmonijnych zgłosek podać jakieś dziwaczne hieroglify i z poezyi, tej tęczy przymierza między niebem a ziemią, zrobić jakąś łunę żarzącą, co mózg wypala a serce spopiela. Jeśli w kilku dziełach wielkich naszych wieszczów musiałem upatrzyć niebezpieczne przesięganie sfer sztuki i życia, i to przesilenie ducha, które, jak wszystko, co nie dalszem kształceniem i uszlachetnieniem jest natury, ale tylko jej przełamaniem, więcej nas przeraża, niż zachwyca; umiałem jednak przyklaskiwać i tej śmiałości, i w tem, co było nieludzkiem, uznać to, co było heroicznego. Nie uznałem tylko tego, aby ten fałszywy w sobie akord, który mistrzowska ręka z czarodziejskiej wydobyła lutni i wnet w pełny, harmonijny rozwiązać umiała, miał się stać tematem dla waryacyj; mniemałem tylko, że po Przedświcie naśladować Nieboską Komedyą gorszem jeszcze jest od pisania Iliady po Homerze. Jeśli wystąpiłem przeciwko luźnemu zamiłowaniu w abstrakcyjnych próżniach, i w bańkach, które suchotnicze tchnienie systematyków wydyma, nie mogłem uznać gwiazd przewodnych, umiałem jednak uczcić tego z naszych myślicieli, którego wprawdzie też i jedynym naszym myślicielem nazwać umiem. Drżę tylko, kiedy nierozważne Faetony tem słońcem kierować się kuszą, niespokojnym o tych uczniów, co ducha mistrza tylko zawezwać a nie owładnąć są w stanie; a prawo wyprzedzenia swego czasu i antycypowania przyszłości tylko tym rzadkim wybranym przyznaję, którzy obowiązków teraźniejszości święcie dopełnili. Przedewszystkiem zaś nie podzielam tego fałszywego a zbyt rozpowszechnionego u nas strachu przed zaskorupieniem się i usychaniem w martwej, jak to mówią, nauce. Nie pierwszy to bowiem raz u nas, że się lękamy wybujania tego, co się jeszcze i nie

wykluło, i któż wie, czy przyszłość z takiem samem zadziwieniem nie będzie spoglądać na obecne nasze narzekania, na pedantyzm i suchą erudycyą, z jakiem my teraz spoglądamy na naszych pisarzy z XVII wieku, którzy w każdem dziele, w każdej przedmowie i w każdej dedykacyi wypowiadali wojnę Zoilusowi »z lisim łbem, psim pyskiem, czarnym zębem i ostremi kłami«, i łżyli tę biedną krytykę, której ani cień nawet wówczas nie istniał.

Że ten mój sposób pojmowania i przedstawienia rzeczy nie wielu mi pozyska zwolenników, nie wielu może i powolnych tylko słuchaczów, wiem niestety. W pewnych czasach (i czemużbym nie miał wprost powiedzieć, że właśnie w naszych i u nas?) daleko łatwiej przepowiadać, niż opowiadać; daleko wygodniej ogłaszać pytyjskie wyrocznie, niż choćby najsumienniejsze wyroki. Tamtych nikt nie sprawdza i do odpowiedzialności nie pociąga; zmylone następstwami, giną w zapomnieniu, usprawiedliwione trafem, wieczne zyskują laury, i mają podwójną korzyść cichej przegranej i głośnego tryumfu. Jakżeż inaczej z rzeczywistemi zdaniami o danej rzeczywistości! Żądając sprawdzenia, obudzają chęć omylenia ich; pod jasne słońce się stawiając, i cień swój widniejszym czynią; śmiało wyzywając sądu, zachęcają do potępienia. Tamte łechcą ducha drugich, jeśli go nie zaspakajają; niezrozumiałe, każden je chce zrozumieć; ciemne, każden się kusi je znaleść jasnemi; łatwo poczęte, są i bez trudu pojęte lub przynajmniej przyjęte, i jednają sobie z góry dwie najsilniejsze słabości człowieka: próżność i próżniactwo. Te natomiast rażą zazwyczaj swą niepozornością, niezadowalniają swą całością, zniechęcają swoją dobrą wolą, a większa część tych, coby się na sąd nie łatwo zdobyli, skoro się zdobędzie na przesądzenie. Ale ja nad łacność pracy przenoszę jej zacność, i niż jej wygodność wolę jej godność. Ludzie, którzy u nas, żal się Boże, nawet i Wrońskiego rozumieją, którzy w ciągłych żyją abstrakcyach i szukają, czego na podsłonecznym

nie bywało świecie, tacy ludzie mnie właśnie zrozumieć nie zechcą, tacy mnie abstrakcyjność zarzucą i usiłowanie moje niepraktycznem nazwą. Bo i to jest niepoślednią cechą spaczonego u nas kierunku, że im skromniejsze nasze siły, tem dumniejsze stawiamy żądania; im mniej mamy poznania, tem mniej i uznania, i im bardziej czyn w słowie trwonimy, tem bardziej po słowie wymagamy czynu. Rewolucyjni z potrzeby w naszem życiu politycznem, pozbawieni wszelkiego wolnego rozwoju i nie uznający czasu między zasiewem i plonem, przenosimy bez potrzeby to nasze rewolucyjne usposobienie i w tę dziedzinę, która najmniej pod owe wyjątkowe prawo poddać się może. Bo jeśli gdzie, to w literaturze twórczość jest powolną i pośrednią; jeśli gdzie, to tutaj myśl długą przebiega elipsę, nim się w czyn wciela; jeśli gdzie, to tutaj niezmierzona czasem przestrzeń między przyczyną a skutkiem. Świat ducha, jak tum gocki, z drobnych, byle trwałych cegiełek się buduje: w okamgnieniu gmach pyszny wystawić mógł tylko Mefistofeles, a żądać tego tylko żartownik Twardowski. Są jednak u nas tacy, co tego nie żartem żądają; którzy razem z błyskiem nie tylko grom usłyszeć, ale i rodzajny jego wpływ na cichy zasiew by widzieć chcieli; dla których wszelka skromna praca jest trwonieniem ducha, a każda książka zbójecką, skoro się ewangelią nie głosi. Dla takich ludzi pisać, nie powiem, że nie chciałem, ale zrozpaczyłem: dla takich jeden tylko mam wiersz Homera:

»Ni prorok ja, ni znane mi znaki przyszłości«.

Lecz i tych, którzy fantastycznym łokciem nieskończoności robót ludzkich mierzyć nie myślą, którzy oddają literaturze, co literackiego, a co ewangelicznego zostawiają ewangelii i nic wreszcie oryginalnego lub mesyanicznego w tem nie widzą, gdy kto serca na prawym zamiast na lewym swym szuka boku — i tych także muszę prosić o pewne pobłażanie, i tych przestrzedz, że się nie wszystkim ich acz słusznym i naturalnym wymaganiom stanie

zadosyć; a jeśli większa część tej winy niezawodnie spada na niedostateczność sił moich, niemała też, i oby to zawsze miano na uwadze! cięży i na samym przedmiocie, naturze mego zadania.

Bo nie łatwem zaiste jest wszelkie takie zadanie, trudnym już sam przez się opis jakiejbądź literatury. Oprócz dokładnej jej znajomości, oprócz wielkiego trudu w śledzeniu szczegółów na pozór najdrobniejszych, trzeba jeszcze do tego czujnego zmysłu dla nieuchwytnych nieraz odcieni piękna, trzeba jasnego poglądu, któryby się masą poszukiwań nie dał zabłąkać i nad masę szczegółów mógł się wznieść do ogólniejszego stanowiska. Przedewszystkiem zaś trzeba dla poznania literatury narodu zgłębić jego historyą, odkryć tajne nieraz nici, z sobą je wiążące, i kwiat sztuki musisz z całym głęboko i daleko rozgałęzionym uszczknąć korzeniem, jeśli ci nie ma zwiędnąć w ręku. Słowo Werulamskiego Bacona, że historya bez literatury jednookim tylko Polifema posągiem, jest prawdą, i na odwrót: bez historyi narodu i literatura jego i sztuka jest księgą z siedmią pieczęciami. Całe tylko hieroglifowe, kamienne dzieje Egiptu są kluczem do tego wielkiego, kamiennego hieroglifu, który obeliskiem i piramidą nazywamy. Cały moralny, religijny i polityczny żywot Hellenów krystalizuje się w dziełach ich sztuki. Bez niego zabłądzisz w ich architektonicznych porządkach i nieme dla ciebie będą wymowne ich rzeźby. Jedynym, prawdziwym komentarzem Iliady i Odyssei jest tylko ziemia Ionu: jej rzeźbność, jej wolność, jej duchowość naprzeciwko symboliczności, niewoli i materyalizmu azyatyckich państw Priama, Krezusa i Kserksesa. Wielki cię tylko wiek Milcyadesa i Periklesa wtajemniczy w wielkość tragików greckich, i tylko przez ateńską Agorę i szkołę sofistów dostąpisz sceny Aristofanesa. Cała myśl chrześciaństwa buduje się w tych gockich tumach z niebowstępnymi łukami, skamieniałemi westchnieniami i trzęsącem się sklepieniem; zawiłe tylko wędrówki germań-

skiego szczepu są wiernymi przewodnikami po ciemnym labiryncie Nibelungów; a Boska komedya Dantego jest tylko przygrawką całego średniowiecznego dramatu, finalnym akordem olbrzymiej symfonii kościoła i państwa, klasztorów i zamków, teologii i scholastyki, którego znowu wesołem i pustem echem jest złota ironia Ariosta i brylantowa humorystyka Cervantesa. Z każdego prawie fresku Rafaela w Watykanie przemawia wielka dyalektyka XVI wieku, i Attyla i Heliodor, Bitwa Konstantego i Pożar Grodu, Msza Bolseńska i Święta dysputa głoszą zarówno tryumf władzy duchowej nad świecką, wyższość wiary nad powątpiewaniem, zwycięstwo Leona nad Lutrem, Trydentu nad Augsburgiem; jak znowu, naprzeciw tej megalografii katolicyzmu, w protestanckich Dürerów, Rembrandtów i Teniersów obrazach uśmiecha się ta spokojność kominka, ta świeża gospodarność, to »ciche i drobne życie«, jak to sami Niemcy trafnie i skromnie nazwali, to mierne szczęście i ta szczęśliwa mierność, najpiękniejsza i jedynie może piękna strona protestantyzmu. Na klasycznej tylko ziemi Gotów i Maurów, inkwizycyi i koranu, mogły powstać te aż do dzikości piękne, aż do świętokradztwa pobożne utwory Lopeza i Calderona, których altos sacramentales ponurym blaskiem autodafów zdają się być oświecone, a w wieku tylko Elżbiety, w politycznym rozwoju ówczesnej Brytanii i olbrzymich jej przedsięwzięciach na lądzie i morzu leży tajemnica tej głębokiej znajomości ludzi i świata, którą w dziełach wielkiego Wiliama zawsze podziwiać będziemy. Wiek to Batorego, który w Odprawie Posłów naszego Kochanowskiego przybrał klasyczną maskę greckiej Melpomeny; a szlachtę tę naszą huczną i burzliwą z czasów Zygmunta III, tę szlachtę rokoszową i kokoszową poznajesz w łacińskich Tytanach Klonowicza. Nieraz w najwolniejszych i najdowolniejszych tworach wyobraźni ukrywa się myśl wieku i duch czasu panuje tam, gdzie na pierwszy rzut oka sama tylko fantazya mistrza władać się zdaje. W fanta-

Wypożyczalnia książek beletrystycznych

stycznym dramacie Burzy Shakespeara, jak sam Ariel niby tylko igra z Calibanem i dla niewinnej zabawki zwodzi, wyśmiewa i prześladuje ten dziwny twór dziwnej wyobraźni; gdy się bliżej przypatrzysz, poznasz, że wieszcz tu stawia i rozstrzyga w duchu swego czasu wielkie tego czasu zadanie, i w owładnieniu elementarnego Calibana przez umnego i umiejętnego Prospera głosi i usprawiedliwia podbicie dzikiej Ameryki przez ucywilizowaną Europę. *Sinfonia eroica* Beethovena nie tylko swym przydomkiem przypomina wielkiego bohatera naszego wieku: każden dźwięk tego rwącego potoku tonów jest echem heroicznych czynów nowego Cezara; tak mistrz swe dzieło pojął i tak je pojętem być żądał. Na obrazie rozbicia okrętu Meduzy genialnego Gericaulta widzisz murzyna, który, wśród powszechnej rozpaczy konających i omdlałych, zawiesza się na najwyższym maszcie i żaglem przywiewa do widnego zaledwie w dali statku, by spieszył z ratunkiem; nie opadłe jeszcze całkiem więzy wskazują, że był nieszczęśliwym niewolnikiem, może właśnie przez tych, co teraz w takiem odrętwieniu rozpaczy pogrążeni, na przedaż prowadzonym; z pod ciemnego pokładu, w którym jęczał może przed chwilą, wyszedł na światło słoneczne; godzina śmierci dla innych jest dla niego godziną życia; z najniższego został najwyższym... i może swoją odwagą i przytomnością uratuje tych, którzy jego tylko zatratę mieli na celu..... Nie odgadujeszże w tym drobnym rysie wielkiej filantropicznej myśli naszego wieku? Ten murzyn z wysokości swego masztu nie woła głosem Gregoirów i Wilberforców o emancypacyą czarnych?... I czemże jest w ogóle cała nasza romantyczność, jeśli nie praworodnem, acz rozpuszczonem dzieckiem tej epoki, którąśmy dopiero przeżyli lub w której jeszcze żyjemy?...

Jeśli odszukanie tego tajnego związku sztuki z życiem utrudza niezaprzeczenie, choć i wynagradza też w dwójnasób pracę historyka, jakżeż trudniejszem ono jeszcze się staje dla tego, co chce pojąć i objąć istotne

dzieje nowoczesnej polskiej literatury. Bo tu, bo u nas, literatura nie tylko z życiem naszem jest ściśle powiązaną, ale i w gordyjski z niem węzeł splecioną; bo u nas poezya nie jest tylko, jak u innych narodów, akompaniamentem politycznego i moralnego bytu, ale nie raz jego tematem prawie; wiąże się z nim nieodłącznie, zlewa się w tę zawiłą a poważną fugę, w której, jak w fugach Sebastiana Bacha, tak niepodobna czasem główną gammę od towarzyszących jej odróżnić. Historya nie jest u nas miarą poezyi, częściej owszem przeciwnie; najczęściej zaś jedna drugą nawzajem mierzy. Za czasów naszej chwały, za Piastów i Jagiełłów, przed czynami milczały u nas pieśni; nieustający baldachim, zrobiony z orłów i chorągwi naszych, zakrywał nam niebo Olimpu, a huczny szum ciężkich skrzydeł husarzy naszych zagłuszał cichy szmer lekkich piór naszej muzy. Od czasów naszego męczeństwa przeciwnie, pieśń zabiera głos pierwszy, a czyny zdają się jej tylko gdzieniegdzie przywtarzać, w odległych spadkach swym akordem dopełniać i chórem ludów jej zwrotkom przygrzmiewać. Rzadko kiedy u innych narodów mistrze słowa brali udział bezpośredni w życiu politycznem, rzadko nawet i u Greków, którzy najmniej sztukę od życia oddzielali. W biesiadach i wiecach Achejczyków, które nam Homer tak pięknie i szeroko opisuje, uderza milczące zachowanie się wieszczów; tak złotousty Femiusz jak i ów Demodokus, »któremu muza wzrok odjęła a słodkiego użyczyła śpiewu,« stoją zawsze na ustroniu, zdala od gwaru bohaterów: tylko w pieśniach dają się słyszeć, bo tylko w pieśniach żyją. U nas inaczej! U nas wieszcze mięszają się do zgiełku, żyją wespół z nami, wszędzie głos zabierają. »Muza może nieraz towarzyszyć życiu, nigdy nie może mu przewodniczyć,« powiedział Goethe, słusznie czy nie słusznie, to pewna, że muza u nas życiu przewodniczyła nie raz, towarzyszyła zaś zawsze. Największy z naszych estetyków, Mochnacki, był zarazem i największym z naszych publicystów, i ten

sam, co klasyków wypłoszył z Parnasu, wystraszył i Konstantego z Belwederu. Prawie wszyscy nasi wieszcze byli żołnierzami; prawie każden z nich, gładząc swe rymy, zaostrzał swą szablę, i jak niejedna Madonna Fiesolego i Rafaela służyła za chorągiew w procesyi, tak i niejedna pieśń naszych mistrzów służyła za sztandar w wojnie. Są u nas czyny polityczne, że nasze spiskowe przytoczę dzieje, które prawie tylko ze stanowiska sztuki, są dzieła sztuki, jak Wallenrod, które prawie tylko ze stanowiska polityki sądzone być mogą i muszą, jeśli się niesprawiedliwości popełnić nie chce; ale w jednym jak i drugim razie sprawiedliwość jest nader trudną. Jeśli to prawdą następnie, że historyk nie powinien się ograniczyć na poznaniu dzieł sztuki tylko w samych sobie, w ich znaczeniu skończonem i objętem w ich mniejszem lub większem przybliżeniu do ideału, ale że jego obowiązkiem nadto, śledzić wpływ tych dzieł na obecność i przyszłość, poznać magnetyzm, że tak rzeknę, ich ducha, i wskazać elektryczną kolumnę, przez którą sięgają i uderzają w serce narodu, jakżeż to trudnem jest znowu właśnie z poezyą naszą! Któż jest w stanie napisać, lub nawet wiedzieć całe dzieje jednej tylko Ody do młodości, jednej tylko improwizacyi Konrada? Któżby sobie zaufał punkt ich wyjścia odkryć i siłę ich sięgności zmierzyć? Takiby chyba musiał zstąpić w cichą izdebkę naszych szkolnych chłopaków, i opisać, jak ci dziwni katechumeni męczeńskiego zakonu, przysposabiając się za młodu do cierpień cytadeli i mężnie antycypując swoją męską przyszłość, wymyślają dla siebie dobrowolne męczarnie i wśród tej dobrowolnej katuszy odśpiewują ponurym, ale silnym i niezachwianym głosem, jak silną i niezachwianą jest ich wiarą: »Pieśń ma była już w grobie, już chłodna!« [1]) Takiby musiał dojrzałemu ich wiekowi towarzyszyć w podziemnych lochach więzień, i widzieć, jak na scenie

[1]) Historyczne.

bez światła i widzów i z poetyczną wiernością, dla której niestety ciche są tylko oklaski narodu a głośne szyderstwa katów, odgrywają pamiętną scenę z Dziadów! Takiby wreszcie musiał pójść za nimi w ów Sybir straszny, w ów kraj obiecany, za czerwonem morzem krwi leżący, i jak owa Peri wschodu uchwycić ich jęk ostatni, i ująć ich łzę ostatnią.... och! bo w tym jęku znajdzie niezawodnie jakąś nutę z Psalmu dobrej woli; w tej łzie odkryje jakiś promień z Przedświtu!.... I tu dotknąłem tej patologicznej strony naszej poezyi, którejbyś napróżno szukał w greckiej, która wyłącznym tylko udziałem chrześciańskiego i polskiego usposobienia. U Greków sztuka, cała i harmonijna, harmonijnie się też na całe rozlewała serce człowieka, nigdy wyłącznie jednego jego organu, jednego uczucia nie wyprężała, wszystkich się zarówno dotykała lekko, i cel swój uważała za chybiony, gdy tylko bezwiednie jeden klawisz ducha silniej niż inne uderzyła. Jakżeż to znaczący, jakżeż to czysto grecki np. ów ustęp Odyssei, w którym Alcinous przerywa śpiew wieszcza, skoro spostrzega, że smutnemi, acz nieznanemi mu przypomnieniami zasępia czoło Ulisesa, skoro widzi, że, zamiast chmury rozpraszać, tylko je zgromadza.... Ale jakżeż to wszystko inaczej znowu u nas! U nas sztuka zdaje się umyślnie naciągać bezustannie jedną, drżącą, krwawą strunę serca i wytężać ją aż do pęknięcia; nasza poezya z wiedzą, jak ów Halban Konradowi, przywodzi nieustannie ponure i tragiczne przeszłości wspomnienia, umyślnie wlewa w duszę najsroższe trucizny, krew ciągle mięsza w puhary wesela; wróży nieszczęścia, opiewa męczarnie, a gdy przerwie, to tylko trzykrotnem biada! I my też inaczej, jak Ulises, słuchamy tych pieśni. Nie, jak on sobie, twarz zakrywamy, nie, jak on, pożeramy w cichości smutek i łzej oddychamy, gdy ostatni dźwięk wydały struny.... My, jak Konrad, z dziką rozkoszą obłąkany wzrok utapiamy w naszych wieszczów, z głośnem biciem pękającego serca liczymy

spadki ich rytmów, a gdy koniec już pieśni, jeszcze końca wołamy i na straszną powieść Wajdeloty straszniejszą jeszcze odpowiadamy Alpuharą! To wszystko mieć na uwadze musi ten, co obraz naszej poezyi skreślić zamierza; wszystkie te cierpienia musi on przecierpieć, wszystkie te bóle przeboleć. Ileż to razy mu się zdarzy w najsłodszych melodyach usłyszeć jęki konających, ileż to razy na tej dolinie Tempy trącić kości męczenników i zmówić pacierz umarłych! W wiekach średnich była u nas piękna legenda o ziemi sandomirskiej, że z każdej jej stopy krew męczeńską wycisnąć można. W nowszych naszych czasach cała nasza niwa poetyczna jest taką ziemią sandomirską.... Z suchych drewien szubienicy buduje się nasz Panteon, i słodkim dźwiękom lutni wtórzy ostry brzęk kajdan!

. . . . . .

Najmłodsza z cór Boga śpiewów, przeżyła nowsza poezya nasza swe siostrzyce, i na świecie nie masz jej równej teraz. Goethe już tylko jako pomnik piramidowy istniał: wielki i świetny, ale grób tylko króla; Byron konające już westchnienia mięszał do dzikiej muzyki dział Missolunghi, gdy ona pierwsze swe dźwięki w świat rozesłała, a odtąd sama bez zaprzeczenia dzierży potężne berło w krainie marzeń. Wieńcem i czołem przenosi spółczesne muzy, a sercem przewyższa wszystkie, które kiedykolwiek były. Mniej świetna i głęboka od niemieckiej, mniej silna i ognista od angielskiej, jest ona więcej od nich szczerą i więcej świętą; ma mniej zalot, ale i więcej zalet, i, jak owe Madonny staroflorenckiej szkoły, jest czysta zawsze myślą, jeśli nie zawsze czysta rysunkiem. Z tego samego pochodzenia, co jej wielkie rówiennice, ma ona jednak sobie właściwe tylko piętno, które ją od reszty odróżnia, osobne wielkie rysy, które ją cechują i które na samym wstępie poznać nam trzeba.

Znamionuje ją przedewszystkiem owa prawda życia, która czynu od słowa nie rozdziela i szczerością

zgonu w potrzebie świadczy szczerości bytu. Nowsza nasza poezya nigdy z pogodnego Olimpu nie poglądała na ludzi; dzieliła z nimi wespół troski na padole płaczu; wniebowzięta, była też i ukrzyżowaną, a z laurem i ciernie umiała sobie wkładać na skronie. Jeśli ofiary i poświęcenia śpiewać lubiła, nie śpiewała ich tylko, innym zostawiając chwałę i zgryzoty; jeśli, jak upiór, krwi żądała, jak upiór też i krew swoją wylała; jeśli się milionem nazwała, za milion też kochała, cierpiała, i, jak matka, czuła w swem łonie bóle swego płodu; jeśli orfeuszowym dźwiękiem poruszała skały, i rąk swych do ich dźwigania nie odmówiła; jeśli śpiewem Tyrteusza zagrzewała do boju, i pierś swoją w szeregach nastawiła, a z archanielskiemi skrzydłami i głosem dzierżyła czasem i miecz archanioła. Prawie wszyscy nasi wieszcze byli żołnierzami, prawie wszyscy są tułaczami; żaden z nich życiem nie skłamał słowu. Nie mają oni klasycznej spokojności Goethego, ale też, jak Goethe, w tył ręce zakładać nie mieli zwyczaju; nie znają nawet i owej cichej pogodności Kochanowskiego, ale też żaden z nich, jak Kochanowski, nie przyjął urzędu Wojskiego, by się od pospolitego ruszenia usunąć. Nowsza muza nie jest tak gładką, jak marmur, ale i nie tak zimną. Czasem nieład widzisz w jej postawie, a w fałdach jej szaty poznajesz brak stylu; ale w jakimże też i zgiełku była broni, w jakim wirze zdarzeń!

Lecz i w tym zgiełku i wirze nigdy nie spowszedniała, i w ziemskiej wędrówce niebiańską swą zachowała czystość. Szałem wypadków nieraz porwana, ciężkiemi próby nieraz dotknięta, odpychała jednak zawsze od siebie szaleństwo francuskiej i zwątpienie germańskiej swej rówiennicy; krwią męczeńską rozpad kraju a świętą wiarą rozpad serca sklejała i, gdy jej najdroższe wydarto nadzieje, na własnej piersi skrwawiła pięście: przeciwko niebu ich nie wzniosła. Z taką sztuką wcielania nigdy jednak ciału nie hołdowała, z takim zmysłem piękna

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 4
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

nigdy jednak w zmysłowość nie popadała, i bez obrazy, jak już nasz Jan z Czarnolesia, mogła przebierać anakreontyki i hymny Dawidowe. I nie jest to może bez znaczenia, że pierwszy wieszcz tej szkoły ukraińskiej, która najwięcej jeszcze ma w sobie ognia ziemskiego, najwięcej jeszcze zmysłowo czuje i pieszczącą wonią zmysłowego wschodu oddycha, któraby wolała »w proch miałki się rozsypywać, niźli kochać półkochaniem i zwać miłość przywiązaniem«, że, mówię, pierwszy wieszcz właśnie tej właśnie szkoły jest zarazem i pierwszym naszym religijnym poetą; że ten sam Bohdan »tak kochał i tak wierzył«, że ten sam duszą, sercem Ukrainiec, co tak żywo, tak plastycznie tworzył tych Kozaków hożych, chyżych, w których krew nie woda, i te Zoryny wietrzne, płoche, których pełne zaklęć usta, że ten sam znowu głębokością Rafaela, naiwnością Francii, potulnością Fiesolego skreślił tę nadludzką, przezroczystą, powietrzną Przenajświętszą Rodzinę!... Różne i liczne dźwięki płyną z naszej narodowej lutni, ale wszystkie srebrne i czyste; tak czyste, że ta lutnia zda się ludzką jeszcze nie tknięta ręką; sam duch zda się tylko Polski, nieskalany, świetlany, po niej przegrywał....

I w rzeczy samej Polska sama jest tą eolską harfą; części Polski jej strunami. Każda nasza prowincya ma swą osobną nutę, na której swoją i swojską nuci melodyą. Jak w życiu politycznem, tak i w życiu śpiewów nie znamy tej despotycznej centralizacyi, która jednowładnie i jednodźwięcznie, monarchicznie i monotonnie, z różnicami życia żywą jego grę zaciera: i na Parnasie naszym, jak i na naszym sejmie, każda prowincya ma swój głos oddzielny. Gdy w poezyi innych narodów ledwie że główne świata strony rozróżnisz i północ od południa, zachód od wschodu oddzielisz, u nas każda strona ma swą strunę, każda ziemia swe niebo. Gdy Byron był tylko ciągłym rozdźwiękiem różnorodnych tonów, gdy Goethe i Schiller tylko dwie złamane połowice jednego

stanowili świata, każden z naszych wielkich wieszczów jest wszechzgodnym z sobą akordem i stanowi świat w sobie cały i organiczny. Gdy na różnice poetów każdego innego narodu wpływały tylko ich indywidualne usposobienia i osobiste charaktery, na różnice naszych składały się zbiorowo: charakter otaczającej ich natury i usposobienie żyjącego z nimi ludu: tamtych indywidualne, tych zbiorowe odróżniają cechy. I tak w poezyi polskiej zdaje się odżywać na nowo harmonijna rozłożystość architektury greckiej, i jak w owym porządku doryjskim, jońskim i korynckim, tak i w naszym porządku litewskim, ukraińskim, wołyńskim, widzisz różne i organiczne ducha budowy, i tu surową energią, tam wdzięczną giętkość, a tam znowu wschodnią już prawie podziwiasz bujność i obfitość.

Ale te różne kolumn porządki jednę dźwigają świątynię, te plastyczne słupy zestrzeliwają się w gockie sklepienia wszechchrześciaństwa; liczne nasze swojskie melodye w jedną się zlewają powszechną harmonię, i w bezmiar sfer naciągnione są tęczowe struny polskiej pieśni. Prawie jak greckie, kształtne i rzeźbne są dzieła naszej sztuki, ale nie jak greckie są w sobie zamknięte: dla całej ludzkości owszem stoją otworem. Miejscowe, prowincyonalne są nasze dźwięki, ale cały świat jest ich diapazonem. I ta uniwersalność poezyi naszej nie jest ową uniwersalnością zobojętnienia muzy Goethowej, która chińskiej słuchała Kliony, gdy nad Renem sprawa wolnych ludów się rozstrzygała; ani ową uniwersalnością zwątpienia muzy Byronowej, która na świat cały kielich swej wylewała goryczy; poezyą naszą cechuje uniwersalność miłości i wiary. Każdą ona boleść by swoją podziela, każden jęk, by najodleglejszy, pełne i dźwięczne w niej znajduje echo, i najwyższa z naszych ód narodowych, która już w kolebce obwiewa skronie dziecka, i nie śpiewana, milcząca, drga w każdem z serc naszych, ta oda każe młodości okiem słońca ludzkości całe ogromy prze-

nikać, w szczęściu spólnem wszystkich widzieć cele, i całą bryłę świata w nowe pchnąć tory!

Przez tę też tylko prawdę życia i czystość duchową, przez tę indywidualną melodyjność i uniwersalną harmonijność, poezya u nas mogła dostąpić tej wielkiej godności, którą tylko jeszcze u Greków niegdyś piastowała. I u nas, jak dawniej u Greków, poezya jest główną i jedyną prawie piastunką narodu. Czem Iliada i Odyssea według świadectwa Platona były u Hellenów, tem Marya, Konrad, Rodzina, Przedświt, są dla Polaków: skarbnicą wiedzy, arką przymierza, jedynym prawie środkiem jedynie estetycznego prawie wychowania. U innych narodów poezya jest tylko wybujałym kwiatem; u nas konarnym pniem życia, na którym się wspinają i wieszają nasze uczucia, myśli i czyny. Z rąk matki poezya nas przyjmuje; opowiada nam dzieje naszych ojców, pieje nam pieśni naszej wielkości, rozgrzewa nas ogniem wiary, i jak ów Halban młodym naszym Alfom na dworze Winrychów łzy ociera a zemstę podnieca. Płomień mógł rozgryść malowane nasze dzieje, skarby mieczowi mogli spustoszyć złodzieje, pieśń uszła cało! tłum ludzi obiega, i karmi ich żalem i poi nadzieją. Być może, nie przeczę, że takie uczuciowe tylko wychowanie ma i szkodliwe swe strony: że, ogrzewając serca, często nam i głowy rozpala, i, idealnie nas kształcąc, nie raz do realności życia nie przysposabia. Ale od kału, który nas otacza i którym nas wrogi umyślnie otaczają, tylko ta eteryczność mogła nas uchronić, przed realnością zepsucia, którą nas zewsząd kuszą, jedyna tylko w tej idealności ucieczka; i przed tym tylko żarnym ogniem mogły prysnąć lody Sybiru i pękać więzy Munkaczu! I cóż, że poezya nasza z naszych wnętrzności żyje i nasze serca gryzie? Póki ona żyje, nie zginiem; p ó k i o n a g r y ś ć b ę d z i e, c z u ć b ę d z i e m....

Wielką już i świetną odbyła ona drogę, większą jeszcze i świetniejszą ma przed sobą. Dziwna, że w swym rozwoju na tym samym stanęła punkcie, na

jakim i my stanęli w naszem życiu narodowem. Jak my, tak i poezya nasza nie wyszła jeszcze z po za sfery epiki i liryki, jak my, tak i ona jeszcze nie stworzyła dramatu, i jak w naszem politycznem działaniu więcej widać indywidualnych czynów, niż dzieł zbiorowych, tak i w naszych próbach scenicznych więcej lirycznych napotkasz ustępów, niż dramatycznej całości. Dziwniejsza jeszcze, że, jak my przed bezpośrednią akcyą życia uciekamy się w dal przyszłości, tak i poezya nasza wolała realny dramat przeskoczyć i sięgać w fantastyczny, a scenę z ziemi od razu przenieść do nieba. Dziwna, że pierwszy z naszych wieszczów, który wszystkie uderzył struny po kolei, jednej tylko dramatycznej nie naruszył i zaraz w przedmowie do swych poezyj wprost wypowiedział, że jeszcze nie przyszedł czas na historyczny dramat! Dziwniejsza jeszcze, że wieszcz ten, właśnie gdy dramat historyczny niewczesnym ogłosił, już był napisał fantastyczne sceny Dziadów! Słaba to strona naszej poezyi, jak i słabą stroną naszego życia.... ale o jednej jak o drugiej nam rozpaczać nie wolno; bo jak życiu naszemu tak i poezyi naszej jeszcze tak daleko do kresu! Za dramatycznym postępem naszego życia przyjdzie dramatyczny postęp naszej poezyi, i jak z pasyi Chrystusa powstał dramat chrześciański, tak i z pasyi Polski powstanie dramat polski.....

Świętej tej pasyi bądźmy tylko godnymi świadkami. U stóp naszej Golgoty czekajmy w cierpieniach i cierpliwie dnia trzeciego. Módlmy się słowem i czynem, módlmy się i tem westchnieniem, »o którem Bóg wie dobrze, że dziś naszej Ojczyzny imieniem.« Szyderstwa siepaczy niechaj nas nie straszą, drżenia ziemi niechaj naszej wiary nie wzruszą. Bo i cóż, że się dzielą szatą Ukrzyżowanego?... Patrzcie! Jego nad ich głową przecież już widne p r z e m i e n i e n i e!

Gon. Pol. nr. 118—121 z 19/22 listopada 1850.

Autobiografia
STASZICA.

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 1
Wypożyczalnia książek beletrystycznych i naukowych.

Staszic!... jedno z wielkich, nieśmiertelnych imion, które świecą na tej niewidzialnej bramie zwycięskiej odradzającego się narodu! jedno z tych imion, które są wieczną głośną chwałą, ale i wiecznym milczącym zarzutem dla potomności, która ich godnie nie uczciła! Któż u nas pomyślał o napisaniu życia tego wielkiego męża? Któż uznał potrzebę wzniesienia mogiły świętej pamięci ojca Hrubieszowa? Doświadczyński dziwił się, że w Wiedniu nie widział pomnika Sobieskiego... jakżeby się dziwił dopiero, gdyby, przejeżdżając teraz swoją staroszlachecką bryczką wzdłuż ulic wielkopolskiej Piły, nie znalazł tam ani jednego prostego napisu, któryby przypomniał, że w tem miejscu urodził się Staszic! Wieluż zresztą Wielkopolan to wie, że się mogą szczycić spółziemstwem tego męża?...

Przeczuł może Staszic to niewdzięczne zapomnienie i może w tej myśli zostawił małą ćwiartkę, na której główne wypadki swego życia spisał?... Nie wiem, ale, czytając te drogie wiersze, ręką niegdyś pełną darów dla narodu i ludzkości kreślone, podziwiając tę biblijną, że tak powiem, prostotę, z jaką wielki patryota »p o b u d k i« tylko swego działania nam opisuje, tak dziwnie różną od tej wzdętej pychy, z jaką się nam przez cały ciąg XVIII i XIX wieku, od Roussa aż do Lamartina, niezmierne w tomach »Wyznania« miernego w treści życia naprzykrzają, mimowoli w tym właśnie braku wszelkiej pretensyi widziałem wielkie i słuszne wyrzuty dla nas. Właśnie ta l a p i d a r n o ś ć stylu ciężyła mi kamieniem na polskiem sumieniu; ta krótkość notatki zdawała się mówić: »i to już dla was niewdzięcznych za wiele!...«

Staszic należy do tej nowej generacyi naszego narodu, która w epoce Kościuszki bierze swój początek, która następuje po czysto szlacheckiej i rycerskiej generacyi, chlubnie zakończonej rycerską konfederacyą Baru, która jest obywatelską i ludową, z miłością wprawdzie, z szacunkiem dla swojej świetnej poprzedniczki, ale i z tem przeświadczeniem, że świat w nowe teraz pchnięty tory, że w miejscu rycerstwa i ludu są lub być powinni tylko Polacy, obywatele, i że patryotyzm i poświęcenie nie są już przywilejem, ale powszechnem prawem.

Ta myśl była przedsterną gwiazdą Staszica. Z pochodzenia mieszczańskiego, spotkawszy na wstępie swego życia »nieprzestępne, jak sam mówi, zapory« w ówczesnym składzie polskiego społeczeństwa, uczuł to boleśnie, ale bez gniewu, bez żądzy zemsty; nad tą »niesprawiedliwością« tylko »myślał«, ale na nią nie wyrzekał; »dziwiła« go tylko, ale nie burzyła. Zamiast się mścić, poświęcał się, i tem poświęceniem doszedł najwyższych w kraju dostojeństw, najwyższej w narodzie chwały, i mógł przy schyłku swego życia te słowa napisać: »Jakżeż to wielki krok zrobiło społeczeństwo ludzkie od tego czasu, jak myśli moje rozpocząłem, do momentu, w którym je w skutku dopełniam!« Od tego roku 1785, w którym wydał bezimiennie życie Jana Zamojskiego i zwrócił na siebie uwagę rodaków, szukających właśnie wówczas siły i ducha w pamięci swych wielkich przodków, aby się ich godnymi okazać potomkami, aż do swojej śmierci, Staszic tylko dobro narodu, tylko chwałę jego miał na celu, i jeden tylko znał sposób odwetowania złego wyrządzonego sobie za młodu przez społeczeństwo: sposób kształcenia lepszego społeczeństwa i ciągłego się dlań poświęcenia. W drugiem swojem dziele, cztery lata później pisanem (»Przestrogi dla Polski«), które większe jeszcze od pierwszego zrobiło wrażenie, Staszic już objawia dwie główne potrzeby narodu, potrzeby reformy politycznej

i naukowej, których zaspokojeniu odtąd poświęcił całą pracę swoją i cały swój zapracowany majątek. Zasługi jego pod względem wychowania, rozszerzenia nauk i podniesienia przemysłu i handlu, są znane. Jego kosztem wystawiony jest pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego był założycielem i prezesem; jemu Warszawa zawdzięcza pomnik Kopernika i on to Lublinowi przeznaczył kolumnę świadczącą o najpiękniejszym i najświetniejszym czynie Polski: unii litewskiej. Jest to zawsze dziwnym darem wielkich mężów, że, stawiając pomniki przeszłości, stawiają je razem i sobie.

W literaturze nie mniej Staszic jest synem nowej generacyi, przedsłańcem nowego naszego piśmiennictwa. To zdanie, niezwykłe, przyznać muszę, może mi się da w innem miejscu obszerniej wyłożyć i udowodnić. Tutaj niech mi wolno będzie tyle tylko powiedzieć, że w głównych pracach Staszica spostrzegamy dwa główne, polarne kierunki, na których zjednoczeniu oparta jest cała nasza nowsza literatura i sztuka Europy. Wszelka epoka, w której się sztuka odrodziła i na nowo zakwitła, zawsze z dwóch zarazem źródeł czerpała: z natury, z rodzimości swojej, i z ideału klasycznego. W tem połączeniu natury, rodzimości, i formy antyki leży wielkość wszystkiego, co prawdziwie wielkiem, ukryte jest życie wszystkiego, co prawdziwie odżyło. To cechuje epokę Dantego i Rafaela, Goethego i Schillera, to także cechuje epokę odrodzonej naszej literatury. Znamionuje się z jednej strony zwrot do natury, do rodzimości ludowej, do podań gminnych, co się w pracach naszych historycznych, w pierwszych tworach romantyków dobitnie wyraża; a z drugiej strony przejęcie się czystsze, serdeczniejsze i głębsze prawdziwemi arcydziełami klasycznej starożytności, co się znowu w usiłowaniach Dmóchowskich, Przybylskich, Grodków, Jeżowskich itp., wyraźnie i nie wyraźnie, z wiedzą i bezwiednie poznać daje. Staszic, tłómaczeniem swem Iliady i dziełem swem o ziemiorodztwie Karpatów, staje właśnie,

jako instynktowy przedsłaniec nowej, rodzimie i klasycznie odradzającej się epoki. Homer, od tak dawna u nas zaniedbany, czyli raczej zupełnie u nas nieznany, bo oprócz jednego ustępu z Iliady przez Jana Kochanowskiego tłómaczonego, nie mamy żadnego tłómaczenia, co więcej, żadnego nawet wydania tego ojca poezyi aż pod koniec XVIII wieku; Homer właśnie pod koniec owego wieku znajduje trzech tłómaczy, a jednym z tych trzech, jednym z tych, co pośredniczą między nami a prawdziwą klasycznością, którąśmy dotychczas w bladych tylko Delillowych i Laharpowych znali odblaskach, jest Staszic! Również z drugiej strony i ziemia nasza polska, dotąd tak zaniedbana i zapomniana, jak natura, tradycya i rodzimość naszego ludu przed romantykami, znajduje pierwszy raz w Staszicu swego badacza i obudza u nas to zamiłowanie do natury, które jest cechą główną nowszej europejskiej i naszej literatury, od Roussa i Bernardina de St. Pierre aż do Goethego i Byrona, aż do Wiesława, Pana Tadeusza i Pieśni o ziemi naszej. Ziemiorodztwo Staszica jest tem w dziedzinie nauki u nas, czem w dziedzinie sztuki są przytoczone dopiero narodowe poemata. Już w r. 1807 (Gazeta warsz. 28. kwietnia) następne Szaniawski wyrzekł zdanie o Ziemiorodztwie: »Od tylu wieków stały na siedzibie naszej rozległe i najeżone Karpatów pasma bez żadnego dla myśli znaczenia. Za naszych dopiero czasów zwiedził one Staszic z genialnym zmysłem, zrozumiał nieme dla innych świadectwo; i odtąd mogą już Polacy śledzić łatwiej naukodajnego ducha w tych martwych opokach, zgadywać niektóre skazówki przedhistorycznego czasu«. Słowa te, jeśli tylko na miejscu Karpatów położym podania ludowe, a na miejsce Staszica romantyków naszych, czyż wówczas te słowa nie dadzą się zupełnie zastosować do nowszej literatury naszej?

Ale największem dziełem Staszica był Hrubieszów. Czy w tem dziele Staszic okazał się synem nowej gene-

racyi i nowej epoki?.... Niech na to pytanie każden sobie sam odpowie! Któż wie nawet, czy pewni organiczni ludzie naszego czasu, czytając zdanie nieśmiertelnego męża, że cywilizacya powinna dojść do tego stopnia, aby każden człowiek mógł być właścicielem.... nie upatrzą w tem okropnego socyalizmu i Staszica nie nazwą — Czerwonym?!

Tyle na teraz o politycznem, literackiem i socyalnem znaczeniu Staszica. Ustępujemy mu głosu, silniejszego od naszego, chociaż już pogrobowy. Notatkę tę autobiograficzną zawdzięczam uprzejmości p. Leonarda Chodźki, który mi ją ze swego tak bogatego i nieoszacowanego zbioru udzielić raczył. Towarzyszy jej druga p. t. »Z k ą d p o w s t a ł m ó j m a j ą t e k«. Napisał ją Staszic z powodu gorszącego procesu, który mu ordynatowa Zamojska wytoczyć chciała, a potem za naradą dobrze myślących cofnęła. Pierwszy to może rachunek pieniężny, w którym nic innego nie ma prócz moralności, i stanowiłby może nauczający dodatek do rozprawy, którą obecnie p. Montalivet o liście cywilnej Ludwika Filipa ogłasza. Notatka ta jest samą statystyką dobrych uczynków i wielkich cnót, której sumę stanowi to, co sumę całego życia stanowiło Staszica: poświęcenie bez granic.

Notatka autobiograficzna brzmi:

Krótki rys życia mego.

W roku 1775, w miesiącu listopadzie, urodziłem się w mieście Piła, z rodziców powszechnie szacowanych. Dziad mój był przez lat 50, zgodnymi głosy gminy miasta tego, wybierany na burmistrza. Wycierpiał wiele prześladowań od starosty Cińskiego. Ten naruszył prawa miasta, odebrał mu własność propinacyi, wielką część miejskich gruntów, leżących obok jego; za to narzucił piaski i wydmy. 20 lat miasto wiodło z tym możnowładzcą proces. Dziad mój, jako pierwszy zastępca miasta, był wystawiony na wszystkie groźby i złości przemo-

żnego. Wytrwały przy swojego urzędu obowiązkach i przy bronieniu dobrej sprawy, doprowadził ją do szczęśliwego końca i odzyskał dekretem wydartą miastu własność.

Ojciec mój był następnie wybierany na burmistrza tegoż miasta przez lat 10, aż do nieszczęśliwego upadku ojczyzny, w którym, przy pierwszym zaborze, miasto to wpadło pod rząd pruski. Item, przez czas urzędowania swego był ciągle wystawiany na prześladowania i srogości napadników naszego kraju, obstając przy ochronie miasta. Okrutny Drewicz uwięził go i męczył kilka miesięcy, aby przymusił miasto dla okupu jego do złożenia nadzwyczajnej kontrybucyi.

Ojciec mój był człowiek wiele posiadający nauki, osobliwie w prawach rzymskich, i biegły w klasycznych rzymskich autorach. Matka była pełna ludzkości, nadzwyczajnie do swoich dzieci przywiązana, mająca wiele religii, ale z nią i przesądy. Tej miłości, jako najmłodszemu z dzieci, i tych jej religijnych uprzedzeń stało się skutkiem od dzieciństwa przeznaczenie mnie do stanu duchownego. W dzieciństwie zdrowie moje było słabe. Miłość ku mnie matki i przesąd skłoniły ją, że uczyniła ślub Bogu, iż od dzieciństwa w poświęconej mu sukience księskiej wychowany będę.

Dopełniła swe śluby; w księskiej odzieży od dzieciństwa byłem wychowany, a, przez wzajemną miłość ku tej najlepszej z matek, rosnąc, wchodziłem w jej czucia. Wszystkie nieustannie ukazywane mi życzenia były, bym zachował stan duchowny, w którym mię Bogu poświęciła. Dla jej się przypodobania, w 15 roku wytłómaczyłem o religii poema Racina. Ojciec mój, ulegając w tem słabości matki, nie zdrażał mię widocznie z zamierzonego przezemnie stanu, ale kierował wychowaniem i zachęcał do nauk. W tym celu radził mi, bym po skończonej krajowej edukacyi wyjechał za granicę do uniwersytetów niemieckich, a bardziej jeszcze zachwalał akademie francuskie.

Jakoż tym końcem oddał mi wcześnie część majątku na mnie przypadającą, abym starał się kończyć nauki w zagranicznym uniwersytecie. Zwiedziwszy uniwersytety w Lipsku i Getyndze, zatrzymałem się lat dwa w Paryżu, przy kolegium francuskiem. Szczególniej oddałem się naukom fizyki i historyi naturalnej. Pierwszej słuchałem pod Brissonem, drugiej pod sławnym d'Aubantem. Przez tego zabrałem znajomość z nieśmiertelnej pamięci Buffonem. Wydał on był wtenczas świeżo Epoki natury. Przy częstej z nim o tem dziele rozmowie, powziąłem myśl wytłómaczenia Epok natury na ojczysty język.

Następnie zwiedzanie gór Alp i Apeninu, gdym powracał do kraju, przekonywało mię, iż ta teorya epok jest dowcipna, ale z naturą niezgodna. To postrzeżenie zwracało coraz więcej uwagę moją na rozpoznanie ziemiorodztwa Karpatów. Zacząłem w tym zamiarze zbierać wszystkie uwagi geologiczne, tak we własnym kraju, jako też przy powtórnem zwiedzeniu Włoch, Alp, Apeninu, Wezuwiuszu i Etny. Nakoniec przez kilka lat zwiedzanie naszych ojczystych Karpatów przyprowadziło mnie do wydania dzieła: O ziemiorodztwie Karpatów i ziemi dawnej Sarmacyi.

Przy wstępie moim na świat uderzyło mię to nadzwyczajnie, że znalazłem w owe czasy przed sobą zapory nieprzestępne w każdym stanie, w duchownym, wojskowym i cywilnym; że zrodzony z tak zacnych i tak cnotliwych rodziców, z ojca tak się w ostatnich czasach poświęcającego za swoją ojczyznę, przecież wszędzie wstydzić się musiałem mego urodzenia, wszędzie je znalazłem okryte wzgardą, odrzucone od czci, od urzędów i od ziemi. Niesprawiedliwość ta, im więcej myśleć zacząłem, tem więcej mnie dziwiła.

To stało się powodem, że zacząłem zastanawiać się i szukać przyczyny źródłowej tego pokrzywdzenia i zboczenia towarzystw ludzkich z drogi ich ogólnego szczęścia. Przy tych uwagach, gdy trafiłem na czas nieszczęść,

gwałtów, rozbioru ojczyzny mojej, dla której, chociaż dla ludzi mego urodzenia była niewdzięczną, przecież wyssałem z rodziców moich najżywszą miłość, a z tą równie mocne uczucie krzywdy i gwałtu wykonanych na Polsce; te dwie niesprawiedliwości uczyniły tak wielkie na mnie wrażenie, że przedsięwziąłem życie od ludzi odosobnione, unikając obcowania; a coraz bardziej zagłębiając się nad źródłem tych niesprawiedliwości, wypływających z tych zasad społeczeństw ludzkich, poświęciłem czas na rozpoznanie gruntowne tych wad szkodliwych ogólnej ludzkiej rodziny, zbierałem uwagi nad głównemi epokami zmiany, powstania i upadania cywilizacyi narodów. Rezultatem tych prac moich ciągle przez lat 40 jest napisane dzieło w sposobie poematu dydaktycznego: Ród ludzki.

W tych uwagach często trafiałem na pytanie: jaki zamiar Stwórcy w człowieku na tym świecie? co najpewniej gruntuje szczęście stałe człowieka? Przekonałem się, że tylko miłość bliźnich ziszczana przez dobre czyny jest szczęściem dla ludzi. Z nimi bowiem ma człowiek najmilsze związki przez wrodzoną mu ludzkość. Najprzyjemniejsze uczucia znajdują się w dobroczynności dla ludzi. Przeto tylko postępuje najlepiej do celu swojego Stwórcy, kto przez ciąg swojego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość drugich ludzi. Ten zaś, kto przez swoje życie poprawi i udoskonali los współczesnych lub całych plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swojego tu istnienia przeznaczenie, czyli te zamiary, jakie najwyższe jestestwo w jego stworzeniu założyło.

W takiem przekonaniu przedsięwziąłem całe moje życie na to poświęcić, abym mógł kilka lub kilkadziesiąt familij los polepszyć i swobodniejszem uczynić ich życie. W tej chęci wcześnie i stale na całe życie ograniczyłem wszystkie moje potrzeby, abym z ich oszczędności mógł dla drugich, odemnie potrzebniejszych, zrobić ofiarę. Szczupły majątek, jaki wziąłem, i to, co przez całe życie zebrać mogłem, z największą starannością ku temu

raz powziętemu celowi obracałem nieprzerwanie. Byłem stały w przedsięwzięciu, raz obranego sposobu życia nie zmieniłem nigdy aż do śmierci.

Z takich przez 50 lat z oszczędności zbieranych funduszów kupiłem włość Hrubieszowską i urządziłem ją dla pięciu kilkuset familij, nadawszy im grunta z prawem dziedzictwa. Dziękuję Opatrzności, że już za życia mojego towarzystwo ludzkie doprowadziło do tego postępu i cywilizacyi stopnia, iż każdy człowiek już może zostać właścicielem ziemi. Jakiż to wielki krok zrobiło społeczeństwo ludzkie od tego czasu, jak myśli moje rozpocząłem, do momentu, w którym je w skutku dopełniam!

Powróciwszy z uniwersytetów niemieckich i z Francyi do kraju, byłem wezwany przez szanownej pamięci Andrzeja Zamojskiego do zarządzenia edukacyą synów jego. W częstych rozmowach z tym najcnotliwszym obywatelem, nieskończenie do swej ojczyzny przywiązanym, a przez długie doświadczenie i przez wielką biegłość w prawach znającym wszystkie wady towarzyskiej zasady kraju naszego, częstemi z nim rozmowami skłoniony zostałem, aby je wystawić narodowi stojącemu nad przepaścią i wskazać ostatni moment do ratunku i pomocy.

W takim zamiarze wydanem przezemnie zostało w roku przed walnym sejmem konstytucyjnym dzieło: Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego; a podczas sejmu napisałem: Przestrogi dla Polski.

Taki jest rzetelny rys mojego życia i pobudki moich główniejszych pism i czynów.

Stanisław Staszic.

Gon. Pol. nr. 130 i 131 z 3/4 grudnia 1850.

Kontuszowe Pogadanki

I Obrazki Z Szlacheckiego Życia

przez

Konstantego Gaszyńskiego.

Paryż, 1851.

J. GUMPLOWICZ KRAK. W. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 4
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW, PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 6
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

W czasach obecnych, gdy literatura nasza, a szczególniej emigracyjna, same tylko potworne wydaje dzieła, gdy młodzi nasi pisarze dźwigają Osę na Pelion, by dostąpić nieba, a o ziemi, o biednej naszej polskiej ziemi zupełnie zapominają, gdy muza nasza gardzi plastycznymi kształtami, które tak misternie wyrobiła wielka nasza przeszłość, i woli się uganiać za cieniami światów niestworzonych i nie do stworzenia, gdy »rymarze« nasi, jak ich już nazwał Wit Korczewski, na paluszkach niedołęstwa wspinają się bogami, Bogu nie na chwałę a ludziom nie na pożytek, gdy, jednem słowem, zamiast rytmicznych ruchów Gracyi, widzimy tylko łamane sztuki słowa i serca i w rozległym kościele piękna tylko »sursum capita!« zamiast »sursum corda!« słyszymy, prawdziwie pocieszającem jest uczuciem znaleść dziełko bez pretensyi i mesyanizmu, bez niebotycznych zachciewań i suchotniczych aspiracyj, napotkać pisarza, który bez niechęci dla przyszłości miłuje drogą przeszłość, nie przesądzając o niczem, nie odsądza wszystkiego, który nie wierzy »w ducha wiecznego rewolucyonistę« ani też myśli, że tylko »z krwi i z błota stary świat«, który, zamiast chmurnych proroctw, daje Kontuszowe pogadanki i, zamiast szalonych apokaliptycznych szkiców przyszłego bożostanu, wystawia skończone obrazki z dawnego szlacheckiego życia.

Konstanty Gaszyński należy do tych naszych skromnych poetów, którzy, jak ci skromni przyjaciele, często napotykani w życiu społecznem, nie robią przedwstępnych obietnic, nie szczycą się z poświęcenia, które kiedyś okażą, nie żądają z góry procentów za kapitał, który

jeszcze kiedyś w nich świat odkryje, ale którzy za to w danym razie, gdy się tego okaże potrzeba, spieszą w pomoc, nie szczędząc siebie, i tem większe oddają posługi, im skromniejszy sposób, w jaki je oddają. W roku 1831, gdy przed potężnym hukiem dział Woli, Grochowa i Ostrołęki umilkli byli prawie wszyscy nasi wielcy mistrze słowa, pieśni Gaszyńskiego rozlegały się po obozach i domkach szlacheckich, zagrzewały ducha wojowników, poruszały serca naszych niewiast. Czarna sukienka Gaszyńskiego jest do dziś dnia jeszcze, na Litwie przynajmniej, jedną z najulubieńszych piosnek, które śpiewa w szarych godzinach jesiennego wieczoru ta skromna nasza dziewica z nad brzegów Wilii i Wilejki, której serce, nie zakłócone jeszcze kwestyami socyalizmu i emancypacyi kobiet, dwa tylko zna czyste uczucia: uczucie Boga i Polski. I teraz, jak w r. 1831, głuche milczenie panuje u nas w krainie ducha; wielcy nasi wieszcze, tak Mickiewicz jak Zaleski, tak Goszczyński jak autor Przedświtu, zawiesili swe złotostrunne lutnie, a chrypliwe (niby to melodyjne) tony, które przerywają tę ciężką ciszę, ledwie że nie przypominają owego »Brekekekeks koaks koaks« żabiego chóru Aristofanesa.... I teraz też występuje nasz Gaszyński znowu ze swoim cichym, skromnym darem i oddaje swe pogadanki tej publiczności, która jeszcze umie czytać bez pretensyi to, co bez pretensyi było pisanem, i nie uzbraja się w teleskop, gdy jej korną ofiarują niezabudkę. Gaszyński ani myśli tworzyć nowej epoki, ani marzy o tem, by miał dać nowe jakieś objawienie; jestem jednak przekonany, że, gdyby przykład jego zachęcił kilku jeszcze równych mu lub wyższych talentem, powstałby u nas rodzaj literatury tak piękny jak użyteczny, któryby, wydobywając z naszej tak świetnej i zapylonej tylko przeszłości zapomniane wielkie i drobne czyny i sceny, obrazy i obrazki, obudziłby dla nich i dla przeszłości naszej pamięć i to, co z pamięcią w każdem dobrem, a więc przedewszystkiem polskiem

sercu idzie w parze, miłość, i większyby szkole i domowi, uczącej się młodzieży i marzącej niewieście przyniósł pożytek, niż wszystkie nasze obecne Jordany, tytaniczne szkice, społeczne poemata, jawy pisane nie na jawie i objawienia zaciemniające tylko dawne stare prawdy. Bo charakterystyczną cechą tych pogadanek Gaszyńskiego, jak i wszystkich jego utworów, jest przedewszystkiem serdeczność, szczera polskość, uczciwa pogodność i prawdziwie miłe przywiązanie do przeszłości, do jej wielkich czynów i małych drobnostek. Tylko głowa, tylko rozum może zerwać z tem, co było, zapomnieć o tem, co istniało, wzgardzić tem, co poprzedziło; serce chce pamiętać i kochać, potrzebuje wspomnień i tradycyi. W tym pięknym organizmie człowieka serce jest materyalnie i moralnie tem pośredniem naczyniem, które obejmuje przeszłość i przyszłość, krew zbiegłą i nabiegającą.

»Jestże dziś, pyta się nasz autor w przedmowie, na całej szerokiej ziemicy naszej choć aby jeden z konfederatów barskich? A starcy, którzy zasiadali na ławach czteroletniego sejmu, lub walczyli pod Kościuszką, jakże zaczynają być rzadcy! Lat jeszcze kilkanaście, a już żadnego żyjącego pomnika tej epoki nie będzie! Polska kontuszowa zasuwa się w przeszłość; owa serdeczna fantazya szlachecka, o której Pasek tak często wspomina, zmienia się na jakąś etykietalną grzeczność salonową; wiadomostki czerpane z gazet zastępują wśród przyjacielskich pohulanek dawne dykteryjki wojenne, sejmikowe i trybunalskie; a czytanie romansów zabiło owe niewyczerpane a wesołe gawędy, skracające niegdyś długie wieczory zimowe pośród rodzinnego koła. Póki więc czas jeszcze, obowiązkiem jest naszym, jak kto może, ocalać od zapomnienia to wszystko, co stanowiło typ pokolenia, którego jeszcze ostatnie szczątki przesunęły się nam przed okiem«.

Tak więc jak mógł, (a Gaszyński może opowiadać anegdoty życia w tym łatwym i przezroczystym stylu, z tem niewymuszeniem i humorystyczną dobrodusznością, które są niezbędnemi atrybucyami tego rodzaju utworów) odrysował kilka znanych mu niegdyś postaci z epoki Stanisławowskiej i spisał tułające się po pamięci opowiadania, słyszane w młodości od tych, którzy już wówczas nazywali sami siebie ludźmi dawnej daty. Nie wzgardził nawet zdarzeniami słyszanemi już i znanemi; i tak np. zabawna anegdota o kalendarzu pijarskim (str. 19 do 20) znajduje się już, jeśli się nie mylę, w pamiętnikach Kitowicza; ale wszystkie te znane i nieznane rysy zebrał w pewną całość Teniersowego obrazku, pociesznej miniaturki, która ci się uśmiecha i której się uśmiechem odpłacasz. Co w moich oczach podwyższa wartość tych obrazków, i na cobym chciał zwrócić uwagę czytelników, to że, mimo widocznego zamiłowania do przeszłości, które nam autor objawia, nigdzie jednak nie znajduję niechęci dla naszej teraźniejszości. Jasne, niezamglone oko, zatopione w dawne czasy, nie patrzy zyzem na obecność; jest równa wyrozumiałość dla tych równych połowic naszego bytu. Zasługa tem większa, że przywiązanie do przeszłości wyradza nie raz pewną niechęć dla następnych pokoleń, jak i przeciwnie, i że łatwo jest na czele pamiętników przeszłości kłaść fałszywe i grzeszne nawet godło: »Et dulce moriens meminiscitur Argos«, jak to uczynił inny genialny, ale niesumienny pisarz, który z taką wielką, lecz fatalną sztuką umie wywołać dawne postacie. Gaszyński nie wie, czy teraźniejszą dążność zespolenia i starcia wszystkich narodów w jedną bratnią społeczność europejską ma nazwać »zgubną lub prowidencyonalną?« czyli raczej wie, że ona w pewnej mierze może być tak opatrzną, jak i zgubną, i że obowiązkiem naszym jest, nie opierając się koniecznemu w duchu czasu otarciu ostrych kątów narodowych indywidualności, starać się zarazem i tem usilniej o zachowanie ich istotnego

bytu i jestestwa. Im rozleglejszem się staje nieskończone tło uniwersalnego ducha ludzkiego, tem troskliwiej przestrzegać musimy plastycznego rysunku narodowych kształtów. To połączenie i zachowanie tła i kształtów zarazem jest wielkiem i nieodzownem zadaniem tak sztuki jak i życia.

Ta bezstronność w osądzeniu dawnych i dzisiejszych czasów już da się poznać, gdy porównamy pierwszą pogadankę p. t. Memorabilia szkolne z powiastką, która się znajduje na końcu tego małego zbioru (Dezydery Boczko), a którą, chociaż ogłoszoną już w r. 1846, autor nie bez myśli i może nawet w tej właśnie myśli zestawienia kontuszowego i frakowego, szlachecko-republikanckiego i emigracyjno-kosmopolitycznego życia, dołączył do Pogadanek. Pierwsza daje nam poznać embrio, że tak rzekę, dawnego szlachcica, pokazuje nam go ab ovo, od początków prywatnego wychowania w szkole u OO. Jezuitów. Wszystkie zabawne i śmieszne strony tego wychowania są tu ostro wyjaśnione. Równość szlachecka, która w szkołach OO. Jezuitów »egzystowała... przed batogiem«, wszystkie dziwne formy kary, począwszy od scamnum asinorum aż do kary raczka, przechodząc przez placentę, którą się dostawało po palcach (»a czasami i gdzieindziej rózgą«) i w skutek których nasz poczciwy memorabilista raz »przez tydzień cały nie mógł usiąść na prost, jeno bokiem«; niezbyt moralna instytucya Censoris secreti, nie bardzo Basedowska nota linguae i dobre ćwiczenia w palcatach, nie tak szczęśliwe w Gradus ad Parnassum, skutkiem czego »felicissime inspiratus comparavi dom nasz do Olimpu, pana ojca do Jowisza, a panią matkę do Junony«; zagwożdżający Alvar i usypiająca Rhetorica itd. itd.: wszystkie te rysy jezuickiego wychowania są tu starannie zebrane, dobitnie nakreślone i tworzą zabawną i, że tak powiem, diafragmiczną harmonię. Ale nie mniej wydatne są i odwrotne strony tej monety i, patrząc

na to zdrowe i czerstwe uczucie naszego memorabilisty, na jego uszanowanie przed rodzicami i pokornością dla Boga, na tę chociaż ograniczoną kompletność jego ducha i tak różną »szlachecką fantazyę«, o której wspomniał Pasek, a nie przepomniał Gaszyński w kreśleniu tego charakteru, prawie mielibyśmy ochotę dziękować albo przynajmniej pobłażać OO. Jezuitom i za Alvara jak i za Rhetorykę, za karę raczka jak i za Gradus ad Parnassum. Muszę tu jeszcze dodać, że wśród tych humorystycznych, grubych i, że tak powiem, drzeworytowych rysów, znajdzie czytelnik tu i owdzie bardzo piękne i delikatne; do tych policzę np., że, kiedy memorabilista miał pierwszy raz wystąpić na scenę szkoły jezuickiej, »posłano po krawca żyda do miasteczka, który mi citissime ze starego ojcowskiego kontusza zrobił nowy«, gdy się zaś później był dostał do Rhetoryki i zaczął »cognoscere quae bona et utilia«, ojciec mu podczas wakacyów(!) kazał zrobić kontusz z nowego sukna i żupan z pięknego paliowego atłasu; przedewszystkiem zaś policzę ten ustęp, w którym opowiada p. Antoni, jak jego małego i krępego »stawiał ojciec na stołku przed sobą i po godzinie albo więcej musiałem się składać na prawo i na lewo palcatem. Jednak, bojąc się uderzyć pana ojca, zasłaniałem się jeno od razów; co on zmiarkowawszy, wołał: »»Nie folguj Antosiu! bo na tem fundament, żeby bić adwersarza««. Przecież mimo consilium nie odważyłem się na podobną licentiam, i nigdy ręka moja nie popełniła grzechu dotknięcia się rodzicielskiego ciała«. Jakżeż tu ładnie i zręcznie w kilku słowach oddana ta wielka cnota staroszlachecka szanowania pana ojca! Bardzo trafnie też autor uczuł potrzebę nadania temu szkicowi bardziej znaczącego i głębszego tła, które szczęśliwie uchwycił w ważnym i jeszcze nie zupełnie ocenionym u nas sporze Pijarów z Jezuitami. Muszę jednak powiedzieć, że tego tła autor wcale nie wykończył, chociaż to mógł zrobić, nie wychodząc w niczem z ramek obrazu; trzeba tylko było

do tego użyć trochę szerszego pędzla i głębszych w pewnych miejscach tonów. Jestto nawet ogólną wadą tych szkiców Gaszyńskiego, że takich głębszych tonów nie mają, że się, że tak powiem, silwetowo trzymają na powierzchni. I tak, kreśląc ten obraz jezuickiego wychowania, zebrał wprawdzie autor starannie wszystkie celujące by i najdrobniejsze rysy, ale zarazem i zapomniał o najgłębszym i najważniejszym, zapomniał o kosmopolityzmie Jezuitów.

Ze wszystkich zarzutów, które nienawiść i słuszny żal robiły temu zakonowi, które się stały przysłownemi i które eksploatowała w ostatnich czasach niezbyt sumienna literatura romansowa, ze wszystkich tych, mówię, zarzutów, które sumienna historya oczyszcza, rozbiera, w wielkiej części odrzuca, w wielkiej części przynajmniej w wątpliwość podaje, jeden pozostanie niewzruszonym: zarzut kosmopolityzmu. Kosmopolityzm ten leżał wprawdzie w myśli wiary, której zakon bronił, w samych też jego zasadach, w poświęceniu, którego szczególniej rzadkie i szczytne dał dowody w Ameryce, w Afryce i Azyi, a o których lekkomyślnie zapomnieć się nie godzi. Gdyby też ten kosmopolityzm u Jezuitów był tylko pozostał idealną nauką, bodźcem do poświęceń, wyższem napomnieniem, i oni i świat by się z tego tylko szczycić mogli. Ale na nieszczęście na tem się nie ograniczyli Jezuici; weszli oni z temi zasadami i z całą ich nieubłaganą surowością w szranki praktycznego życia, mięszali się do polityki i przywłaszczyli sobie wychowanie narodowe: w polityce zaś i w wychowaniu kosmopolityzm jest niebezpiecznym, nieraz i zgubnym, i to jest największą winą tego zakonu. Nie tak to pewna, żeby mu do dopięcia celu wszystkie środki były równe, ale to pewna, że mu do tego wszystkie były równe n a r o d o w o ś c i, i tem sobie i narodom nieskończenie wiele zaszkodził. Tego właśnie najważniejszego rysu nie uchwycił Gaszyński; nawet w jednem miejscu przeciwko jego naturze zgrzeszył. Mam tu na

myśli ów ustęp, w którym memorabilista opowiada, że w szkole jezuickiej nie tylko wertował *Gradus ad Parnassum*, ale i czytał Kochanowskiego, Grochowskiego, Twardowskiego. Jest to historyczny i estetyczny zarazem anachronizm. Kochanowski, właśnie dla swojej tak ostro narysowanej narodowości, nie szczycił się sympatyą pokoleń wychowanych na Alwarze. Jest to tak prawdziwem, że przez cały ten wielki peryod, w którym Jezuici u nas dzierżyli w swojem ręku wychowanie narodowe, od roku 1639 do 1768, żadne się u nas nie pojawiło wydanie Kochanowskiego i, że ten, co go w ów rok po raz pierwszy wydał, był właśnie ów Bohomolec, który, zrzuciwszy sukienkę jezuicką, oddał się wyłącznie narodowym pracom i w swoich *Komedyach na theatrum j. k. mości* widoczną stawiał opozycyą scenicznym dyalogom Jezuitów. Prawdziwa zaś restauracya naszego wieszcza z Czarnolesia, uczczenia tej jego najważniejszej n a r o d o w e j strony, nastąpiła daleko później jeszcze, i przez tego męża, który sam w naszej literaturze rozpoczyna wielką epokę narodowości, piśmiennictwa rodzimego, poezyi ludowej, przez Kazimierza Brodzińskiego; on to pierwszy w przedmowie do swego tłómaczenia Elegij Kochanowskiego i w wielu innych miejscach ocenił godnie wysokie znaczenie tego poety, na którym się ani jezuickie ani pijarskie nawet pokolenia prawdziwie poznać nie mogły. To wszystko nie dowodzi wprawdzie, aby i w owych czasach nie mogli byli się znaleść ludzie, którzy miłowali i pojmowali Kochanowskiego, ale to były w każdym razie tylko akcydensa, czyste przypadkowości, które nie powinny wchodzić w obraz, który zamierza przedstawić typ jezuickiego wychowania. Bo sztuka akcydensa i przypadkowości odrzuca; daje ona, i w tem właśnie jej zasługa, k o n i e c z n o ś ć myśli i formy w jej niczem, żadną przypadkowością, niezmięszanej czystości.

Pozwolę sobie przeskoczyć resztę pogadanek i obrazków tego zbioru, w których czytelnik znajdzie, jak i w tym dopiero co rozbieranym, wiele trafnych przypowieści, anegdotek, spostrzeżeń, natrąci na znane i nie raz szczęśliwie naszkicowane figury z konfederacyi barskiej, z czasów kościuszkowych itd., a przystępuję do obrazku emigracyjnego, kończącego ten zbiór, i o którym już wspomniałem, że jest niejako przeciwstawieniem m e m o r a b i l i ó w. W istocie każden łatwo spostrzeże kontrast mimowolny między tym panem Antonim, wychowańcem jezuickiego, a pp. Boczką i Pafnucym, wychowańcami emigracyjnego kosmopolityzmu. Każden też spostrzeże i uzna bezstronność autora, którą już wyjaśniłem przy memorabiliach, a którą tutaj objawia nie tylko bezparcyalne i równe skreślenie dwóch różnych wyobrazicielów dwóch różnych myśli (arystokracyi i demokracyi), ale nadto i sama forma obrana przez autora. Forma ta romansu tak zwanego d e l g u s t o p i c a r e s c o z nadzwyczajnem szczęściem uchwyconą została przez Gaszyńskiego. Powstała ona w tym XVII wieku, w którym, jak mówi Szekspir, »chłop następował na pięty szlachcica«, i rozwinęła się przedewszystkiem w Hiszpanii, gdzie od dawien dawna aż do dziś dnia stosunek sługi do pana jest bardziej komitywny, niż kontraktowy, bardziej poufały, niż służbisty, a czego w potocznej pamięci są żywymi dowodami Sancho Pança i Leporello w stosunku do Don Quixota i Don Juana. Ten przykład zestawienia pana i sługi i zaintrygowania jednego przez drugiego dał już Szekspir w tych nieśmiertelnych figurach Henryka i Falstaffa, ale większego jeszcze rozmiaru nabrała ta forma w Hiszpanii w sławnych romansach d e l g u s t o p i c a r e s c o Mendoza, Queveda i Alemana. Duszą i myślą tych romansów jest humorystyczne wywyższenie i poniżenie stanów: t o c a n n a (pan) zostaje l a z a r i l l ą (szubrawcem) i naprzemian; »próżność się święci, a świętość próżnuje«, jak mówi Ojcze-nasz, f a m i l i a n t zostaje

włóczęgą a włóczęga familiantem. Tę formę, która w Gil Blas przeszła do Francuzów, a w Simplicissimus do Niemców, uchwycił nader szczęśliwym instynktem Gaszyński dla przedstawienia walki dwóch głównych i sprzecznych opinij wychodźtwa naszego, arystokracyi i demokracyi, w komicznych figurach pana Dezyderego Boczki i sługi jego Pafnuckiego.

Pan, Dezydery Boczko nie wyszedł sroce z pod ogona, był na Litwie posesyonatem i familiantem, nawet i sędzią powiatowym; o wielkich wypadkach naszej rewolucyi może śmiało powiedzieć »quorum magna *fars* fui«, bo był naczelnikiem jednego z licznych powstań litewskich. Wyemigrował nie jako lichy pachołek, ale własną kałamaszką przyjechał do Paryża, z tłomokiem, z pościelą, ze srebrną miednicą, kobiercem i ze sługą Pafnucym. Jako familiant i posesyonat nie umie po francusku i klnie na Francuzów, że go nie rozumieją, gdy nawet w głupich Niemczech oberżysta odrazu go zrozumiał, gdy go nazwał szelmą; a w teatrze nie jest on bardzo miłym towarzyszem, gdyż się co chwila pyta: »a co on mówi? a z czego się to śmieją?« Jako naczelnik nie może naturalnie pozostać obcym polityce i uczęszcza na rue Taranne, 12, gdzie się na początku emigracyi schadzała honoratka nasza. Z początku podobało mu się niezmiernie towarzystwo za to, iż się wszyscy obywatelami zwali; ale, gdy obywatel Krępowiecki zaczął deklamować cieniutkim głosem w imieniu dwudziestu milionów kmiotków, a jednooki Gurowski przed swoim wyjazdem do Petersburga wystąpił z dowodami, iż, aby rewolucya nasza się udała, trzeba było wybrukować czaszkami szlachty polskiej ulice Warszawy, p. Boczko się przestraszył: wspomniawszy na swój klejnot szlachecki, porzucił zgromadzenie Taranne. Bo też p. Boczko był z natury swojej przeciwnikiem wszelkich takich zgubnych innowacyj, a gdy Pafnucy, korzystając z tych samych nauk ulicy Taranne, uważa, że, ponieważ wszyscy ludzie są równi i obywatele, nie godzi

mu się więcej być sługą, naczelnik tylko przez wzgląd, że tego hultaja cała skóra na grzbiecie tyle nie warta, ile jego piękny bursztyn, który kupił w Rydze za dziesięć rubli; ten tylko wzgląd, mówię, czyli raczej mówi naczelnik, wstrzymuje go od sprawienia partaczowi suchej łaźni i wysmagania go porządnie cybuchem. Pan Boczko tak mało się nawet przejął zasadami demokratycznemi, że, gdy go wreszcie odbiega służący, on sobie po prostu myśli go reklamować u trybunału, boć to przecie jego poddańczuk! Przy tak konserwatywnych zasadach, nie dziw, że pan Boczko wierzy, że tylko sejm może zbawić ojczyznę, zwłaszcza, że sam w r. 1831 o włos co nie został deputatem; a żeby ją tymczasowo, nim się sejm zbierze, zbawić, zapisuje się do nowo założonego Towarzystwa Litewskiego i Ziem ruskich. Ale zwołanie sejmu nie przychodzi do skutku, a przez jakieś zajście i Towarzystwo Litewskie i Ziem ruskich traci swój urok. Naczelnik szuka nowego bożyszcza, użycza ucha zgubnym innowacyom, zaczyna nazywać arystokratami tych wszystkich, co mu się nie kłaniali, dowodzi, że szlachta zgubiła Polskę, że szlachta zepsuta i nic już z niej nie będzie, że teraz lud jest wszystkiem i że każdego *Polaka* powinno być dewizą (już wtenczas p. Boczko umiał nie źle po francusku): Tout pour le peuple et par le peuple!!! Jednak pan naczelnik nie jednym skokiem dostąpił tej ostateczności: przechodzi on powoli całą gammę chrypliwych tonów emigracyi, przez konfederacyą do zjednoczenia, przez zjednoczenie do towarzystwa demokratycznego; robi pewne stacye, na którychby chciał pogodzić nawet okrzyczanego w szopie króla de facto z demokracyą de jure; przynajmniej co do siebie, godzi to w ten sposób, że nosi w kieszeni podwójne wizytowe bilety: na jednych po prostu Boczko, a na drugich de Boczko z herbem. Ale w końcu, pchany wielkiem prawem ciężkości ciał a lekkości myśli, wpada w centralizacyą à plat ventre, i teraz pieni się z wściekłości na samo wspomnienie szlachcica,

uczy się na pamięć Prawd żywotnych i Katechizmu demokratycznego, rozprawia o równości i wszechwładztwie ludu, a o gilotynie gada, jako niegdyś o sejmie, to jest, jako o jedynym środku zbawienia ojczyzny!

Przejdźmy teraz do Pafnucego, którego autor nie tak, jak ja (zmuszony do tego formą rozbioru), odłączył od pana Boczki, ale którego fata jeszczeby mógł był ściślej spleść i zwijać z fatami naczelnika, aniżeli to uczynił, i co jest (że nawiasem wspomnę) jednym z wielkich niedostatków tej pocieszej powieści. Pafnucy, poznawszy prawa człowieka i obywatela, porzucił, jak już wiemy, swego pana. Obywatele koledzy wyrobili mu pensyą u komitetu jako cywilnemu Polakowi; z Pafnucego stał się Pafnuckim, przywdział frak czarny kosztem komitetu i nie opuszczał ani jednego posiedzenia przy ulicy Taranne, wotując gorliwie odezwy do Węgrów, Żydów, Włochów, Moskali itd. z głębokiem przekonaniem, że tym sposobem zbawia ojczyznę! Gdy komitet wypróżnił swe fundusze, Pafnucki po chwilowej rozpaczy, zrzuciwszy pychę i obywatelstwo z serca, wszedł do fabryki zapałek chemicznych. Odtąd zaczął się szereg zmian z p. Pafnuckim, którego tu wyliczyć nie mogę, i który zbyt też ryczałtowo wyliczył autor. Dość, że Pafnucki, przeszedłszy koleje roznosiciela aktów i listów (saute-ruisseau, jak to Paryżanie nazywają), komiwojażera czyli komika w emigracyjnym języku, handlarza win, zbieracza podpisów na Polskę malowniczą i t. d., zostaje w końcu panem de Pafnuckim, byłym oficerem, potomkiem wielkiej familii, któremu car skonfiskował milionowy majątek, i który teraz dla zarobku zmuszony jest robić portrety daguerotypem. P. Pafnucki wreszcie w jednym z ostatnich numerów Trzeciego Maja donosi światu i emigracyi, wszem w obec i każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy, iż żałuje mocno tego, iż kiedyś podpisywał manifest przeciw księciu Czartoryskiemu; że wówczas był oszukany i wyciągnięty podstępem, a teraz, gdy mu się otworzyły oczy, poddaje się

bezwarunkowo pod władzę księcia i przysięga mu wierność i posłuszeństwo!

Czytelnik pozna całą zdrową humorystykę i szczęśliwe uchwycenie typu w tej pięknej powiastce, już z tych kilku rysów, które dałem. Wiele innych nie mniej trafnych opuściłem, jak np. ten, że Towiańszczyzna nęciła pana Boczkę z początku, bo prorok, jak on niegdyś, przyjechał z Litwy kałamaszką z tłómokiem i pościelą, a na konferencyi w Nanterre zapewniał go, że ma wielkiego ducha szarego w swojem małem ciele. Nie zahaczył się jednak p. Boczko o Towiańszczyznę, bo mu się nie podobał ceremoniał przyjęcia, gdy mu kazano, jemu naczelnikowi i sędziemu, padać do nóg i całować buty rejenta. Musiałbym całą powieść wypisać, gdybym chciał wszystkie humorystyczne rysy, dowcipne spostrzeżenia i dobroduszne przycinki przytoczyć. Mimo to z żalem mi wyznać przychodzi, że Gaszyński nie dość starannie obrobił ten tak wdzięczny przedmiot, że nie starał się skorzystać z nieprzebranych prawdziwie pomników humorystyki i charakterystyki, które z tego źródła tryskają, i że z niedbałością prawdziwie nie do pobłażania (niech mi autor łaskawie ostrość słów przez wzgląd na to, co i w nich pochlebnego, wybaczyć raczy) upuścił myśl, którą z takim szczęśliwym instynktem był uchwycił. Oprócz wytkniętych już w ciągu samego opowiadania niedostatków, szkic ten emigracyjny cierpi przedewszystkiem na tem, że pozostał szkicem, że autor puścił w świat samym tylko węglem narysowane kontury, kiedy przedmiot najbardziej wykończonej roboty w nieskończonych modulacyach rysunku, tonów lokalnych i reflektowych i tęczowych kolorów wymagał. Tonów tych i kolorytu zupełny brak w tym tak szczęśliwie narysowanym obrazie. Dziełko zdaje się być tylko szematem, peryody tylko napisami do rozdziałów, których nie ma, rozwój jest często faktyczny, nie psychologiczny. Jakieżby bogactwo charakterystyki był mógł bez pretensyi rozwinąć

autor, gdyby był chciał psychologiczne dać powody tych dziwnych peripetii Boczki i Pafnuckiego; jakież pyszne to były ramy dla obrazu, w którymby nie tylko życie emigracyjne, ale nawet francuskie w jego różnych warstwach mógł objąć. Jakżeż to łatwo było wyrobieniem komicznych typów życia obecnego wynagrodzić nam te komiczne maski Albertusa, organisty, studenta itd., które nasza scena w XVI wieku miała i tylko zaniedbała, jak to teraz zaniedbał Gaszyński. Przez tę niedbałość naszą w XVI wieku straciliśmy komedyę narodową, którąby się mogła była równać arlekinom, scapinom, kapitanom spaventym sceny włoskiej; przez niedbałość Gaszyńskiego straciliśmy komiczną epopeę (bo jej nie mamy, choć mamy Monachomachią i Beniowskiego), którąby w naszej literaturze mogła godnie stanąć obok Don Quixota hiszpańskiej, Gil Blasa francuskiej i Simplicissima niemieckiej!

Ależ, zapyta się może nie jeden, czyż to warto posiadać, czyż to się godzi pisać taką epopeę del gusto picaresco o tej naszej emigracyi, która tyle cierpiała, tak wielkie położyła ofiary, tak nieraz i chlubnie się zasłużyła ojczyźnie?... I czemuż nie, odpowiem, kiedy takie wyszydzenie śmiesznych stron życia emigracyjnego tak mało może ubliżyć jego dobrym, pięknym i szlachetnym, jak mało humorystyka Cervantesa, godząca w fałszywe rycerstwo, uwłacza prawdziwemu, walka z wiatrakami walce o grób święty? I czemuż nie, kiedy polityka moralna tak dobrze może zyskać na kreśleniu nagich charakterów, jak zyskała na tem sztuka, gdy się przestano wahać w przedstawieniu nagich figur? I czemuż nie, gdy to wszystko się kreśli z bezstronnością, z równem uczuciem dla każdej strony fałszywej monety luźnej doktryneryi, gdy się to robi w myśli uczciwej, zdrowej i patryotycznej i gdy się kończy słowami, któremi i ja niniejsze sprawozdanie sobie pozwolę zakończyć:

»Cierpim wszyscy za Polskę. Myślim wszyscy wiecznie o Polsce! Gotowi jesteśmy wszyscy poświęcić się za

Polskę! A więc mamy wspólny sztandar, około którego z braterską miłością kupić się należy, a nie radzić pokątnie i zawistnie patrzeć jedni na drugich. Demokrata ośmnastego czy dziewiętnastego wieku, zjednoczony czy scentralizowany, dynastyk, katolik, towiańszczyk, wojskowy, cywilny, Litwin czy Mazur, czyż nie mamy jednej wspólnej i szczytnej myśli, która nas łączy: widzieć Polskę naszą wolną i szczęśliwą?«

K—o.

Gon. Pol. nr. 59 i 60 z 12/13 marca 1851.

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW, PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 6
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

Legenda O Kościuszce

Przez

J. Michelet.

Tłómaczenie z Francuskiego.

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 6
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW, PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 4
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

I.

Francya składa Polsce w zakład przyjaźni silniejszej nad losy obraz święcie wierny męża drogiego obojgu narodom, jednego z najlepszych ludzi, jacy zaszczycili naturę ludzką.

Inni byli równie waleczni, inni więksi może i wolniejsi od słabości. Kościuszko śród wszystkich był w najwyższym stopniu dobry.

Ostatni to rycerz, pierwszy to obywatel na wschodzie Europy. Zdobyta sława dla sztandaru dawnego rycerstwa polskiego; wspaniałość bez granic i miary i wyższa nad rozum; serce czyste jak stal, a przytem dusza tkliwa, niekiedy za tkliwa i zbyt łatwowierna; łagodność, potulność dziecięcia: oto Kościuszko, bohater, święty, prostaczek.

Wielu, a nawet sami Polacy, pełni republikańskiej surowości, ze stanowiska czysto rzymskiego, sądzili ostro tego bohatera serca i natury. Nie widzieli w nim owego wielkiego męża, polityka, jakiego wymagało okropne położenie, w którem go los postawił. Powołany ku obronie rozpacznej sprawy, do walki jak najnierówniejszej, przyjął wezwanie, uwierzył w cud i jako rycerz, jako święty, poślubił wielkodusznie dwa losy: bój zwycięski lub męczeństwo. Lecz co do środków gwałtownych, mogących zapewnić zwycięstwo, chwycenia się ich nie należało żądać od niego. Dusza żelazna, jakiej tak wielkie wymagało niebezpieczeństwo, nie była jego udziałem. Nie pamiętał, powiadają, że był dyktatorem Polski, że powinien był zmusić Polskę, aby się ocaliła sama, że przed nim powinny były zadrżeć: zdrada, samolubstwo, arystokracya.

Poświęcił siebie, i nic więcej; od innych wymagał zbyt mało, przestając na tem, że kładzie swe życie, a ich pozostawił na pastwę wyrzutom sumienia, sam się osłaniając swoją świętością.

Szlachetna wina zbyt ludzkiego serca!... Ach! nie jeden moglibyśmy zrobić zarzut Kościuszce o łagodność i tkliwość. Był ufającym, łatwowiernym, z łatwością dawał się ujmować słowami kobiet i królów. Może uległy nieco ułudom, z duszą poetyczną i romansową, zakochany całe życie (ale w jednej tylko osobie), dziecko mogło nim kierować, i sam też umarł dzieckiem.

Azali błędy te są błędami człowieka lub też błędami narodu? Znajdujemy je wielokrotnie u bohaterów dziejów polskich. Cóż dziwnego, jeżeli nowoczesny obywatel nosi także ich rodzinne piętno? Gdyby był innym, nie byłby tak wiernym wyobrazicielem całej duszy swojej szlachetnej ojczyzny. Jeśli to skazy, skazy te musiały być w tym charakterze. My go kochamy nawet dla tych skaz, poznając w nich starożytną Polskę... I pozdrawiamy cię z tem większą miłością, biedny stary sztandarze!

Pewnaż, że Kościuszko byłby ocalił Polskę wiekszą surowością obywatelską? Wątpię; lecz to pewna, że nadzwyczajna dobroć, dobroć tak wielka, której był pełen, wywarła ogromne skutki, nieskończenie sprzyjające przyszłości jego ojczyzny. Z jednej strony zjednała jej ona serca wszystkich narodów; dużo uległo przekonaniu, że najwyższa dobroć ludzka objawiła się w Polaku. Z drugiej strony w tej wysokiej dostojności moralnej rozmaite klasy w Polsce, tak nieszczęśliwie rozszczepione i odosobnione pomiędzy sobą, znalazły swój ideał wspólny i nowy punkt zjednoczenia. Szlachta powitała w nim rycerza wojen krzyżowych, a włościanie, widząc w nim dobre serce i zdrowy rozsądek, poświęcenie biednego ludu, poczuli, że należy do nich, że był samąż Polską.

W dniu, kiedy ten mąż wiary, wiodąc niewyćwiczone swe hufce przeciw ogromnej armii rosyjskiej, zaprawionej w wojennem rzemiośle i zwycięskiej, zaniechał wszelkich prawideł i starożytnej buty, zaniechał jazdy szlacheckiej, zsiadł z konia i stanął w szeregach kosynierów polskich, w owym dniu dopełniło się wielkie dzieło dla Polski i dla świata. Po ów dzień Polska była tylko bohaterską szlachtą. Odtąd stała się narodem, narodem wielkim i niestartym. Nieśmiertelna iskra żywotności narodowej, zagrzebana tak długo, wybuchła; wróciła ona do serca ludu i spoczywa tam razem ze wspomnieniem Kościuszki.

Pełen poświęcenia, rezygnacyi i prostoty, umiał umrzeć tylko, powiadają. Ależ i w tem nawet dokonał znowu wielkiego dzieła. Obudził on uczucie nieznane sercu Moskali. Barbarzyńscy dla samej Polski, poczęli uczuwać niepokój, widząc ją poranioną, porąbaną na polu bitwy w osobie Kościuszki. Stworzenie najnieufniejsze, chłop rosyjski i sołdat rosyjski, których zgnieciesz raczej, ale nie wzruszysz, nie mogli się oprzeć moralnemu wrażeniu tej wielkiej ofiary; poczuli się w niesprawiedliwości swojej.... Widziano prawdziwe cuda: kamienie płakały i lody podbiegunowe, Kozacy, płakali, przypominając sobie, zbyt późno niestety, o swem pochodzeniu polskiem. Dowódzca ich, Płatów, przybywszy w 1815 r. do Fontainebleau, ujrzał biednego wygnańca, cień nieszczęśliwej Polski, wlekącego jeszcze swój żywot, i płakał gorzko; stary zbój i łupieżnik uczuł się znowu człowiekiem. Do samej śmierci, zaledwie usłyszał nieszczęsne imię, pomimowolnie oczy zachodziły mu łzami.

Ach! jest Bóg na świecie; sprawiedliwość, to nie czcze tylko słowo... W tym to dniu i przez tego człowieka wyrzut bratobójstwa począł się w sumieniu Rosyi... Płaczcie, Rosyanie! płaczcie, Kozacy! ale przedewszystkiem płaczcie nad sobą, nieszczęsne narzędzia zbrodni tak zabójczej dla obu krajów!

Młodzi Słowianie naddunajscy, których z radością widzę podnoszących się do rzędu narodów, bohaterskie dzieci, co niegdyś zasłanialiście świat przeciwko barbarzyństwu, wam także poświęcam ten wizerunek najlepszego ze Słowian, dobrego, wielkiego, nieszczęśliwego Kościuszki.

Wspaniałość, łagodność wielkoduszna prawdziwych Słowian, owe dary niebios, jakie znachodzimy u ich pierwotnych plemion, z rozrzewniającym urokiem zajaśniały w tym człowieku. W nim oddajemy cześć geniuszowi tego wielkiego szczepu; witamy zjawienie się jego bratniem pozdrowieniem.

Młodzi Słowianie, i czegóż wam będę życzył? o co modlić się ma dla was stara Francya, co patrzy na was i z radością widzi dorastających? O waleczność? Nie. Wasza znana jest po całej ziemi. Mamże wam życzyć muzy i pieśni? Wasze pieśni słyną u nas. Częstokroć, w chwilach posuchy, ja sam napawałem się u źródeł Serbii.

Życzę wam, przyjaciele, czegoś więcej. Do chwalebnych początków waszej nowej pomyślności przyrzucam życzenie, dar, błogosławieństwo. Darzę was w kołysce, czem mogę, składając w nią rzecz świętą, co wypłynęła z serca samego Boga:

Bohaterską dobroć starożytnej Polski.

II.

Powiedzieliśmy na innem miejscu: Europa nie jest zbiorowiskiem przypadkowem, czysto mechanicznym składem ludów; jestto wielki harmonijny instrument, lira, w której każda narodowość jest struną i wyobraża dźwięk jakiś. Nie masz tam nic dowolnego; każda jest konieczną w sobie, konieczną względnie do drugich. Odjąć zeń jedną, jestto naruszyć ogólną zgodę, uczynić niepodobną, rozdźwięczną lub niemą ową gammę narodów.

Tylko rozwściekleni szaleńcy, tylko dzieci psotne poważyć się mogą ściągnąć rękę na ten instrument święty, dzieło czasu, Boga, konieczności; zadać cios tym żywym strunom, powziąść myśl bezbożną zatraty jednej z nich, stargania na zawsze wzniosłej harmonii, ułożonej przez Opatrzność.

Obrzydłe te pokuszenia po wszystkie czasy były bezsilne. Narody, o których mniemano, że im odjęto żywot, zawsze zakwitały na nowo, pełne życia, nieśmiertelne. Mógł despota w przystępie dziecinnego gniewu powiedzieć: »Znoszę Szwajcaryą«, Pitt powiedział o Francyi: »Zostanie po niej próżne miejsce na karcie«. Cała Europa, książęta świeccy i duchowni, korzystając z śmiertelnego uśpienia, w jakiem zdawały się pogrążone Włochy, myśleli, że je rozszarpią, rozćwiertują na kawały; każdy wyrwał kęs dla siebie; powiedzieli: »Zginęły«. Nie, barbarzyńcy; one zmartwychwstają, wychodzą żywe, całe z pod kłów waszych. Odmłodzone wychodzą z kotła Medei, zostawiły w nim swą starość tylko: patrzcie! to one, młode, silne, zbrojne, bohaterskie i straszne. Czy je poznajecie?

A czy wiecie, bezrozumni morderce, dla czego żaden z tych wielkich narodów zginąć nie może, dla czego są niezagubne, jeżeli nie niedostępne ciosom?

Nie dla tego to tylko, że każdy z nich w pełnej chwały przeszłości swojej, w usługach ogromnych oddanych rodowi ludzkiemu, ma swą moralną przyczynę istnienia, prawowitość swą i prawo w obec Boga; ale także, ale nadewszystko dla tego, że cała Europa jest tylko jedną osobą, a więc każdy naród jest władzą, potęgą, działalnością tej osoby; tak, iż gdyby było podobna przypuścić na chwilę, że zabito naród jaki, stałoby się Europie, jako istocie żyjącej, którejby odjęto jedną stronę mózgu: istota owa żyje jeszcze, ale w stanie chorobliwym i zgoła niezwykłym, objawiającym jej kalectwo. Oddycha ona z trudnością zaledwie, dotyka

ją paraliż lub obłąkanie; albo też znowu, co można zauważać, straciwszy równowagę, działa jak automat, nie jak osoba, cała czynność jej odbywa się z jednej tylko strony, ślepa, śmieszna i dziwaczna.

Przypuśćcie na chwilę, że niespodziewanie dochodzi nas wiadomość, iż odwieczna nasza nieprzyjaciółka, Anglia, zatonęła, albo też, że Bałtyk odmienił swe łożysko i Niemce przepadły... Jakieżby były, wielki Boże, następstwa tych straszliwych wypadków! Niepodobna nawet wystawić ich sobie. Ekonomia ludzka przewrócona do szczętu, świat toczyłby się jak pijany, cała wielka machina rozbita i rozchwiana fałszywe miałaby tylko ruchy.

Przypuśćcie znowu na chwilę, że bezbożne życzenia zdrajców naszych (pisarzy moskiewskich) zostały wysłuchane, że wojska carskie są tu, że wolność zabita, że Francya skonała we krwi... Zgroza! Matka narodów, ona, co karmiła je mlekiem wolności, rewolucyi, ona, co ożywiała świat światłością swą, żywotnością... Francya zgasła! Straszliwe przypuszczenie!... Życie, ciepło słabnie natychmiast na całej kuli ziemskiej; wszystko blednieje, wszystko ostyga; planeta wchodzi na drogę gwiazd skończonych, co błąkają się jeszcze po niebie samotne, nieużyteczne, wlokąc melancholijnie szczątki bytu, życie umarłe, można powiedzieć, co świadczy jedynie, że żyły niegdyś.

Ciemnota, zbyteczne zajęcie się tem, co z bliska nas otacza, głęboka uwaga, zwrócona na drobniuchne przedmioty z zaniedbaniem wszelakiej rzeczy wielkiej, jedynie nie dozwoliły aż dotąd zastanowić się nad straszliwemi następstwy, jakie pociągnęło za sobą morderstwo spełnione na Polsce, zniesienie owej Francyi północy.

Część ich ukrywano dzięki kłamstwom. Jestto fakt zdumiewający i ku wiecznemu upokorzeniu umysłu ludzkiego, że świat oświaty i cywilizacyi mógł od pół wieku pozwolić się oszukiwać w tej mierze.

Pamiętny to przykład tego, co mogą sztuki myśli: piśmiennictwo i prasa, zręcznie uwiedzione i zaprzedane, gwoli zagaszeniu samego światła, zaciemnieniu jasności dziennej, tak, iż wreszcie ślepy świat w południe samo nie widzi już słońca.

Wpośród tych ciemności, jakie sprowadzili, przyszli sprawcy jej śmierci i śmiało przysięgli na ciało ofiary: »Polski nie było; ona nie istniała... Zabiliśmy nicość tylko«.

Potem widząc osłupienie Europy, jej milczenie, i że wielu zdawało się dawać im wiarę, dodali ozięble: »Zresztą, chociażby była istniała, to zasługiwała na zatratę... Jeżeli była jaka Polska, to było to mocarstwo średniowieczne, państwo wsteczne, poświęcone (to właśnie, co nas obraża) instytucyom arystokratycznym«.

— »Ja, mówią Prusy, jestem cywilizacyą.«

— »A ja, rzecze Rosya (albo przynajmniej przyjaciele jej mówią za nią), ja jestem mocarstwem sprzyjającem postępowi, pod formą samodzierczą mocarstwem rewolucyjnem«.

Nie masz kłamstw tak zuchwałych, któremiby przyjaciele Moskwy nie naigrawali się, zwłaszcza od lat dwudziestu, zdrowemu rozsądkowi Europy.

Nie podobna dziś już mówić o dziejach i polityce północy, nie rozświeciwszy pierwej na nowo tych przedmiotów. Nie moglibyśmy opowiedzieć żywota Kościuszki, nie wyłożywszy przedewszystkiem położenia i życia istotnego Polski i Rosyi.

Słówko więc, jedno słówko uprzywilejowanym kłamcom, potwarcom zaprzedanym, co zwichnęli rozsądek publiczny i sprowadzili ciemności; słówko proste, słówko mściwe; będzie ono jasne przynajmniej... Skoro zagasili światło dzienne, niechże oświeci ich piorun.

Piorun, to prawda.

A prawda jest to:... Ufamy Bogu i zdrowemu rozsądkowi, nie wątpiąc, że wszelakie serce poczciwe w końcu stronic tych powie: »To prawda!«

Szukaliśmy jej chciwie, długo, pracowicie, z żarliwością iście religijną. Byle dosięgnąć jej, żadne ślęczenia, żadne badania przykremi dla nas nie były. Owoce cierpliwych poszukiwań naszych odpowiedziały tym, jakie przynosi loika i rozmyślanie. A teraz, utwierdzeni tą sumienną pracą, wznosim rękę i zaprzysięgamy te słowa nasze:

»Polska, którą widzicie poszarpaną i krwią ociekłą, zaniemiałą, bez pulsu i oddechu, Polska żyje... A żyje coraz więcej a więcej; całe życie jej, ustąpiwszy z członków, schroniwszy się do głowy i serca, tem większej nabrało siły.

»Nie dość na tem. Ona tylko jedna żyje na północy, a żadna inna. Rosya nie żyje«.

Nie bawi nas próżniacze przyglądanie się, jak kilku dowcipniejszych w Petersburgu, ćwicząc się w języku rosyjskim jako w języku naukowym, zabawiało Europę bladem widowiskiem mniemanej literatury rosyjskiej. Gdyby nie głębokie uszanowanie moje dla Mickiewicza, dla błędów świętych, miałbym chęć obwinić go o pobłażanie (powiedzmy raczej, o łaskawość), z jaką raczył mówić poważnie o tej zabawce.

Szkaradny mechanizm biurokracyi wrzkomo rosyjskiej, a w istocie zupełnie niemieckiej, instytucya militarna niemniej sztuczna tego rządu, to wszystko nie zdoła mię omamić.

Powiadam, utrzymuję, przysięgam i dowiodę, że Rosyi nie masz.

Potworna zbrodnia rządu rosyjskiego! zbrodnia rozległa, olbrzymie morderstwo pięćdziesięciu milionów ludzi! Polskę rozdzieliła tylko, nadając jej życie silniejsze, a rzeczywiście zniosła Rosyą.

Przywalona tą zbrodnią, z jej winy, przebiegła ona pochyłość straszliwej nicości moralnej; postępowała wstecz świata, cofnęła się do barbarzyństwa.

Odbywa ona w tej chwili operacyą okropną, jakiej nie przedstawia w dziejach żadne męczeństwo ludowe; objaśnimy to zaraz. Z poddaństwa wraca do niewoli starożytnej.

Duch rosyjski, zwichnięty męczarnią inkwizycyi nikczemnej i podłej (nie mającej, jak hiszpańska, przynajmniej zastawienia się dogmatem), duch rosyjski chyli się w spodlenie, w letarg moralny. Był on łagodnym, wierzącym, posłusznym. Dziś wierzy coraz mniej; wiara jego była w idei familijnej, w ojcostwie. Idea ta pierzcha od niego.

Zjawisko straszne dla świata, ale nadewszystko dla samejże Rosyi. Idea rosyjska osłabła w niej, nie zastąpioną wszakże ideą Europy; utraciła Rosya senną swą marę, władzę ojcowską, a nie poznała prawa, owej matki narodów.

Cóżby to było, gdyby nie miała jeszcze ku podźwignieniu jej z tego nicestwa, w które się stacza, siostry pojmującej obie władze (ojcostwo i prawo), owej siostry, siostry starszej Słowian, w której tkwi życie ich w najwyższem natężeniu, owej siostry, której duch urosł, zgłębił się pod rózgą Opatrzności i w doświadczeniach losu.

Bez niej, bez tej nieszczęśliwej Polski, którą mają za umarłą, Rosya nie miałaby żadnej nadziei zmartwychwstania.

Może ona zamącić Europę, zalać ją krwią jeszcze, ale to nie zasłoniłoby jej samej od zanurzenia się w nicestwie, w głębokiej kałuży ostatecznego rozkładu.

Wreszcie Rosya to czuje. Mimo okrutnego jej rządu, mimo szalonego pana, spychającego ją w przepaść, czuje ona dobrze, że cała nadzieja jej spoczywa w tej Polsce. Ona to czuje; ona przypomina sobie o braterstwie. To wspomnienie i to uczucie są dla niej, dla Rosyi, jej prawowitością, i dla tego Bóg ją ocali.

Żyj, Polsko, żyj! świat błaga cię o to, błagają wszystkie narody; żaden więcej nie potrzebuje tego nad

nieszczęsny lud rosyjski. Zbawienie tego ludu i odnowienie go są dla cię pełną chwały przyczyną istnienia. Im niżej on, ów lud, zapada, tem bardziej twoje prawo do życia wzrasta, tem bardziej stajesz się świętą, konieczną i nieuniknioną.

III.

Nigdy od czasu Edypa, od okropnej zagadki Sfinksa, nigdy przeznaczenie nie cisnęło narodom okrutniejszego zagadnienia ani bardziej tajemniczego, jak upadek Polski.

Dziwna sprzeczność! naród właśnie z pomiędzy wszystkich najbardziej ludzki wytrącono z ludzkości.

Naród wspaniały, gościnny, naród dający, że tak powiem, on, dla którego hojność bez granic była potrzebą serca, ten to naród wydano na łup i odarto.... I oto po całej ziemi żebrze o kawałek chleba.

Lud rycerz, co przelewem krwi swojej tylekroć przeciw Tatarom, tylekroć przeciw Turkom bronił nas wszystkich... ten lud nie znalazł nikogo, coby mu stanął w obronie w ostatniej jego godzinie!

Wiek ośmnasty, który widział jej upadek, był dla Polski epoką szczególniejszej łagodności w obyczajach. Cudzoziemcy, którzy ją zwiedzali naonczas, powiadają, że w kraju, gdzie ani policyi ani żandarma nie było, można było bezpiecznie przebywać ogromne lasy z trzosem pełnym złota. Żadnej sprawy kryminalnej. Rejestra trybunalskie dowodzą, że w przeciągu lat trzydziestu, oprócz zbrodni popełnionych przez cyganów i żydów, nie było ani jednej, popełnionej przez Polaka; ani jednego szlachcica, ani jednego chłopa pod zarzutem morderstwa lub kradzieży.

»U Polaków istniało poddaństwo«, powiadają. A u Rosyan zapewne go nie było? A u Niemców go nie było? Poddaństwo niemieckie było bardzo srogie, nawet za naszych czasów. Jeden z moich przyjaciół widział jeszcze w jednym z krajów niemieckich dziewczynę poddańską

w psiej budzie na łańcuchu. My sami, Francuzi, co tak wiele rozprawiamy, przy wszystkich naszych pięknych prawach, przecież mamy murzyńskich niewolników, nie mówiąc już o negrach białych, o niewolnictwie przemysłowem, które częstokroć stanie za poddaństwo.

Poddany, za rzeczypospolitej polskiej, płacił dwanaście lub piętnaście razy mniej, aniżeli dzisiaj. Do tego, wyjęty był od najstraszliwszego podatku, jaki wybiera Rosya. Szlachta tylko stawała pod bronią. Nie widziano owych długich rzędów młodych wieśniaków polskich, dybami skutych, pędzonych przez Kozaka w służbę wroga Polski, na Kaukaz, do Syberyi, aż na granicę chińską. Połowa ich wymiera śród drogi; biorą nowych, coraz nowych, którzy nie powracają nigdy. Polska na to tylko rodzi, aby wszystka dziatwa jej szła na pastwę Minotaura.

Jakiż był w istocie grzech Polski? Oto ów duch romansowy, ów duch wielkości (fałszywej czy istotnej), co tworzył bohaterów, ale mniej przystawał na obywateli rzeczypospolitej. Każdy był królem i utrzymywał otwarte drzwi dla wszystkich, stoły zawsze zastawione; zapraszano przechodnia, obsypywano go podarunkami. A nie sama jedyna duma i wystawność, ale także ujmująca serdeczność, wrodzona dobroć rzucała ich w ten nadmiar hojności. Cokolwiek ujrzałeś, a podobało ci się w domu gospodarza, mówiono ci: »To twoje«.

I wydawałoby się było poniżającem, nie po szlachecku, nie po polsku, aby było inaczej. Tak dalece tkwiło to w obyczajach, że, biorąc dzieci w gościnę, mawiano im: »Pamiętaj nic nie wymieniać, nic nie chwalić, co zobaczysz. To byłoby niegrzecznie; gospodarz zarazby ci to darował«.

Ta marnotrawna hojność i fałszywa wielkość, życie wystawne rycerza, co żyje chwałą, a rozrzuca złoto, podwójny miało skutek a nader zgubny. Raz, uważali za niskiem dla siebie zajmowanie się sprawami powsze-

dniemi, oddali je w ręce zarządzców, którzy ciemiężyli chłopów. Najwspanialsi z ludzi, najpełniejsi ludzkości, najmniej chciwi, przez tych zgubnych pośredników stali się pomimo wiedzy swej panami nader uciążliwymi.

To usunięcie się od spraw było także przyczyną, iż pozwolili wznieść się przemożnemu wpływowi Jezuitów. Polska w XVI wieku słynęła po całej ziemi z tolerancyi, była przytułkiem religijnej wolności; do niej chronili się wszyscy wolni myśliciele. Przybywają Jezuici; duchowieństwo polskie idzie za ich popędem, staje się prześladowczem. Przedsiębierze trud bezrozumny nawracania syzmatyckich poddanych rzeczypospolitej, bitnych Kozaków. Ci, pochodzeniem Polacy, dzicy, swobodni, jak zuchwały rumak ukraiński, odwracają się, przechodzą na stronę Moskwy. W dniu tym rzeczpospolita polska podała wrogowi swemu oręż, co miał przeszyć jej serce.

IV.

Europa, niepamiętna, roztargniona, zdaje się nie wiedzieć już o niebezpieczeństwie ostatecznem, jakie jej zagrażało przy schyłku wieków średnich, i kto ją od niego zachował.

Najazdy tureckie, innem grożące niebezpieczeństwem, jak napady Tatarów na Europę, nie były jednodziennym potopem, co zalewa, pustoszy i opada. Barbarzyńcy ci, zgoła nie barbarzyńscy pod względem wojennym, ukazywali się w masach potężnych, ściśnionych; wśród chmur jazdy postępowali straszni jańczarowie, najpierwsza piechota na świecie. Zwycięstwo ich było bardzo prawdopodobnem. Zwycięstwo szkaradne, straszne, które nie byłoby zgoła zwycięstwem mahometanizmu. Ów potwór państwa tureckiego, utwór zupełnie sztuczny, bardzo mało mahometański, nie przychodził do nas jako religia lub jako plemię; jak wiadomo, tłumami w jasyr zabierane dzieci wszelakiego szczepu zasilały wojska, lud, co się zwał tureckim; państwo plugawe, straszliwa Sodoma, krwawy

Antychryst. Dreszcz przejmował Europę, słuchając, jakie męczarnie czekały zwyciężonych, wbijanych na pal, lub rozrzynanych piłą.

Polska stanęła poprzed Europą, z Węgrami i Słowianami, z Rumunami naddunajskimi; ona ocaliła ludzkość.

Kiedy bezczynna Europa paplała, rozprawiała o łasce, gubiła się w subtelnościach, owa straż bohaterska zasłaniała ją swojemi szablami. Aby niewiasty Francyi i Niemiec spokojnie zabawiały się kądzielą, a mężowie teologią, trzeba było, by Polak, Węgier, całe życie na czatach, o dwa kroki od barbarzyńców, czuwali z orężem w ręku. Biada! jeśli zasnęli: ciało ich zostawało na posterunku, głowa przechodziła do tureckiego obozu.

Każdy mąż, co rodził się naonczas w owych krajach, wiedział dobrze, że nie umrze na łożu, że życie swoje powinien wydać na męczeństwo. Położenie wielkie! czuć się zawsze tak bliskim stawienia się przed Bogiem! To utrzymywało serca w ogromnem podniesieniu i w ogromnej także swobodzie. Cóż bowiem swobodniejszego nad śmierć? Za życia jeszcze już należeli do niej i jej tylko podlegali. Takimi ludźmi władać można tylko było przez własną ich wolę.

Nic wspanialszego nad ową rzeczpospolitę polską. Wola działała w niej wszystko. Było to jakoby państwo duchów. Nie wiele było przykładów, aby przestępca, choćby najmożniejszy, sam się nie oddał w ręce sprawiedliwości. Nawet zbiegły do obcych krajów, skoro wysłańcy rzeczypospolitej odkryli go, wezwali, wypowiedzieli mu zbrodnią jego, słuchał owego głosu honoru; łańcuch nie byłby go mocniej skrępował; oddawał głowę swoją.

Ideał polski, tak wysoko pojęty, wkładał na rzeczpospolitę ogromne trudności; prawo wymagało od obywateli nieustannych wysileń; jako stanu przyrodzonego, zwyczajnego, wymagało od nich szczytności. Przypuszczało ono w nich zawsze wspaniałomyślność, a przynaj-

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 6
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

mniej chęć bycia wspaniałomyślnymi. W postępie dziejów swoich, Polska zdawała się kroczyć ku rządowi, jakiego dotąd nie widziano jeszcze na tym świecie, rządowi własno-wolności, dobrej woli.

Pomimo późniejszego upadku narodowego, dumy szlachty i ducha jej wyłącznego kastowego, zadającego fałsz starodawnej wspaniałości, pozostała wszakże z owego stanu szczytnego pierwszych czasów pewna dążność rycerska, zadziwiająca skłonność do poświęceń, jakiej żaden może naród podobnych nie dał przykładów.

Jakkolwiek boleśnie to wyznać Francuzowi, hołdując wszakże sprawiedliwości, musimy powiedzieć, iż rządy Francyi, wszystkie używały i nadużywały przyjaźni Polski, bohaterskiej wierności Polaków. Wystawiały ją one na najcięższe próby, nie doczerpawszy się jej do dna nigdy.

Haniebną jest rzeczą, aby w tak wielu traktatach, nawet za rzeczypospolitej, w Bazylei, w Campo-Formio, w Lunewilu, nie było ani wzmianki nawet o Polsce. Ona przelewała naonczas za nas krew swoją strumieniami, tworzyła pod Dąbrowskim owe waleczne legiony polskie, co wszędy nam posiłkowały, równając się, przodkując niekiedy najwaleczniejszym z naszych.

Serce krwawi się, gdy mówić przychodzi o straszliwym szafunku krwi polskiej, dopełnianym przez Napoleona. Ich uległość, ich poświęcenie, zapał uporny dla tego, w którym widzieli sztandar Francyi, budzą podziw, wyciskają łzy. W najopłakańszych przedsięwzięciach, najzupełniej obcych ich sprawie, szafuje nimi bez skrupułu, śle do San-Domingo, rzuca tych ludzi północy w klimaty ogniste, używa do przywrócenia niewoli tych żołnierzy wolności. W najniesprawiedliwszej z wojen, w wojnie hiszpańskiej, znowu Polacy. Francuzi się w niej niechęcą, trudzą, Polacy niestrudzeni znowu.

Jakaż nagroda? Oto taka: Po trzykroć raz po raz, w 1807, w 1809, w 1812 roku, Napoleon oparł się od-

budowaniu ich narodowości, które się samo przez się dopełniało.

Myślicie zapewne, że Polacy, takiego doznawszy obejścia, zachowali w pamięci krzywdy doznane, że przechowują gorzkie wspomnienie uwielbienia, tak źle odpłaconego, nienawidzą to niewdzięczne bożyszcze?... Właśnie zupełnie przeciwnie. Wręcz na opak innym ludziom, przywiązanie ich złem obejściem się z nimi zwiększyło się. Upadek Napoleona, co tylu ludzi oderwał od niego, przyciągnął doń jeszcze serca Polaków. Wyspa św. Heleny podniosła fanatyzm ich do najwyższego szczytu. Śmierć nareszcie umieściła go na ołtarzu. Zwycięsca był dla nich wielkim mężem; zwyciężony i jeniec bohaterem; po śmierci uczynili zeń Mesyasza.

Wielkoduszne popędy wspaniałości, bohaterskie uniesienia serca ku umiłowaniu tego, co nam sprawił cierpienie!

Mieliśmy pod oczyma naszemi cud tego rodzaju, fakt niesłychany, zdumiewający, na wspomnienie którego pot mi występuje... Kolegium francuskie było tej rzeczy świadkiem, przez nią mownica tej uczelni staje się świętą.

Mówię o dniu, kiedyśmy widzieli, kiedyśmy słyszeli wielkiego wieszcza Polski, jej dostojnego wyobraziciela geniuszem i sercem, dopełniającego w obec Francyi całopalną ofiarę z najsprawiedliwszych nienawiści, i głoszącego o Rosyi słowa braterskie.

Przytomni temu Rosyanie poczuli się jakby rażeni piorunem. Oczy ich były wlepione w ziemię.

My zaś Francuzi, wzruszeni aż do głębi duszy, zaledwie śmieliśmy podnieść oczy na nieszczęśliwych słuchaczy polskich, siedzących obok nas na tych ławkach. Jakiejż boleści, jakiejż nędzy brakowało w tym tłumie? Ach! ani jednej. Bieda całego świata była tam w całej zupełności. Tułacze, wygnańcy, banici, starce złamani wiekiem, żyjące gruzy dawnych czasów, bitew; biedne

podeszłe niewiasty w grubej odzieży, wczoraj księżniczki, dziś robotnice; wszystko stracone, stopień, dostatki, krew, życie, mężowie, dzieci; wszystko pogrzebane na polu bitwy, w kopalniach sybirskich. Widok ich przeszywał serce!... Jakiejż to siły potrzeba było, jak ogromnej ofiary i jakiego bólu, aby tak przemawiać do nich, wycisnąć na nich niepamięć i przebaczenie, wydrzeć im to, co im pozostało, i skarb ich ostatni: nienawiść... Ach! jedno tylko mogło ośmielić do zadawania im nowej jeszcze rany: być samemu z pomiędzy wszystkich najbardziej zranionym.

Tak było zapisano i tak się stać musiało. Nie ma co rozprawiać ani przywodzić cośkolwiek za albo przeciw. Było zapisano i rozporządzono, aby Polska, wydzierając sobie Polskę z serca, tracąc z oczu ziemię, odpychając nieskończoność boleści, nienawiści i wspomnień, wzniosła w locie swoim do nieba nawet i Rosyę samą.

Jestto tajemnica orła białego, co spuszcza deszcz krwi swojej i zbawia orła czarnego.

V.

Lat temu niewiele, całe wsie na Litwie zeznawały urzędownie i zeznania swoje stwierdzały przysięgą, jako widziały jak najwyraźniej na niebie wielkie wojska, postępujące od zachodu na północ.

Przywilej to wielkich boleści, dar niebios zlewany na tych, co zbyt cierpią w teraźniejszości, takie uprzedzanie czasu.

Owa wielkość serca, owa wielkoduszność, o którejśmy wspominali, owa łagodność dla wrogów, zasługują też przecie, aby z tych wyniosłych szczytów moralnej natury spojrzenie sięgało daleko i naprzód już widziało naprawy przyszłości.

Ach! dary niebieskie! nigdyście skuteczniejszymi nie były, nigdy większych nie pocieszałyście boleści...

Dajcież im widzieć już dzisiaj świat sprawiedliwy i dobry, który mieć będziemy kiedyś.

Potęga ta, zapewnia wielu, jest w pewnym człowieku. Ja w nią bez trudności wierzę i w tysiącu! Nie byłoż w niewolach żydowskich, w naszych Cewennach i indziej, ludów całych widzących.

Piękna sprawiedliwości Boża! Ów lud piętnowany, przerzynany piłą jako Izajasz, w katowniach dostał skrzydeł proroczych. Nie chodzi już, a lata. Jedynie wzniosłe poemata, jakie zjawiły się ostatnimi czasy, są to owe dwa krzyki Polski: Nieboska-Komedya i Sen Cezary: jakoby głęboki głos męża przeszłości, co jęczał na starym świecie, a wtem mimo wiedzy ujrzał się prorokiem.

Ci, co widzieli jeszcze żałobny wizerunek, przedstawiający Napoleona w śmiertelnej swej koszuli, uwieńczonego wawrzynem, ale wpatrującego się w kartę Europy, na której brakuje Polski, i usprawiedliwiającego się przed Bogiem, ci, mówię, wiedzą, na jakim szczycie widzenia znajduje się dusza polska i jak spoufalona z wyrokami wieczności.

Ani wątpić, że w głębiach tego nieszczęśliwego ludu, któremu nawet jęczeć nie wolno, spoczywa niemało jeszcze widzeń wzniosłych, proroctwa i poezyi. Trzymają je oni w cichości, w sobie, na swą pociechę, na lekarstwo duszy.

Objawienie najsilniejsze Polski w ostatnich czasach, jej poemat ludzki, był ów człowiek nadzwyczajny, który sam jej tylko za dni naszych, w pełni światłości, wczoraj nawet, w r. 1849, stał się legendą.

Znaliśmy go tu, owego męża strasznego, męża-czarodzieja, co bez broni rozpędzał zbrojne zastępy, ranił je spojrzeniem, o którego strzały gięły się bezsilne, przed którym z trwogą cofały się kule działowe; znaliśmy go, jenerała Bema.

Tutaj wydawał się nam człowiekiem łagodnym i dobrym, i nic więcej. Zajmował się niezmordowanie metodami, które miał zastosować kiedyś do nauczania biednych wieśniaków polskich. Wojna była mu wrodzoną; miał ją we krwi, a nie okazywał najmniejszego jej znaku. Twarz jego, nie bardzo rycerska, odbijała smutek. Ku rozweseleniu potrzeba mu było wojny, bitew a strasznych.

Tam wpośród kul, stawał się ujmującym, miłym, pełnym wesołej prostoty. Grad kul ognisty był jego żywiołem; wtenczas wydawał się, jakby pływał śród róż. A przytem ludzki i łagodny. Niebezpieczeństwo nie obudzało w nim ani nienawiści, ani gniewu; wręcz przeciwnie, uroczą wesołość. Nikt mniej nienawidził tych, których zabijał. To też pozostał drogim dla wszystkich, dla Słowian, równie jak dla Węgrów i Polaków. Opiewają go oni razem ze swoimi i chlubią się, że i on także był Słowianinem, z dumą okazując cięcia, któremi ich zaszczycił.

Legenda ta wszczepiona w serce ludów. Wzrasta ona z każdym dniem bujniej, bogacąc się w coraz nowe gałęzie i świeże kwiecie. Niedawno jeszcze temu, kiedy ochotnicy... sercem przyciągani na południe, niechętnie iść musieli na północ: »To wszystko na próżno, mówili, Bem przecie będzie górą. On żyje i żyć będzie. Dzwony od wieków wciąż to tylko głoszą. Słuchajcie! czy słyszycie, jak wołają: Bem! Bem! Bem!... Dzwonią i wiecznie dzwonić będą jego imię.«

VI.

Może to brzmieć dziwnie, ale to pewna, że po rok 1847, Rosya, prawdziwa Rosya, Rosya ludowa była mało co więcej znajomą jak Ameryka za Krzysztofa Kolumba.

Przeczytałem był wszystko, co tylko ważniejszego wyszło w Europie o Rosyi. Z tego wszystkiego nie

wiele byłem mędrszy. Czułem tylko, choć niewyraźnie, że w tem mnóstwie dzieł w ogólności ulotnych pod formą poważną przedstawiano stronę zewnętrzną, strój, nie zaś człowieka.

Badacz przenikliwy, lekki, obdarzony taktem niewieścim, pan Custine, odmalował wyższe towarzystwo rosyjskie, a niekiedy nawet szczęśliwie schwycił w przelocie profil ludowy.

Mickiewicz nakreślił z wysoka ogólne rysy życia słowiańskiego, a zstępując do szczegółów, rzucił głębokie, cudowne oblaski na prawdziwy charakter rządu rosyjskiego. Poszedłby był dalej; nie pozwolono mu. Rosya wywróciła jego katedrę.

Wreszcie dążność Mickiewicza, w szczytnem jego usiłowaniu, by ułaskawić Rosyą, by pojednać wrogich sobie braci, Moskali i Polaków, w idei wspólnego pochodzenia, nie bardzo mu dozwalała kłaść przycisk na to, co stanowi wyłączną właściwość Moskali, co ich wyróżnia od innych Słowian i stawia niżej, ani wskazywać na nędzny stan upadku i spodlenie, w jakie popadł duch słowiański w tem ogromnem państwie.

W roku 1845 Niemiec jeden z Hanoweru, uczony agronom, pan Haxthausen, zwiedzał Rosyą w celu zbadania kraju pod względem rolniczym. Szukał on tylko ziemi i rzeczy ziemskich, a znalazł człowieka.

On odkrył Rosyą. Jego cierpliwe poszukiwania więcej nas oświeciły, niż wszystkie razem książki dotychczasowe.

Świadectwo wybornego dostrzegacza jest tem mniej podejrzane, iż można go uważać za świadectwo samejże Rosyi, za zeznania, jakie czyni Rosya sama o sobie. Był on oprowadzany, objaśniany przez wszystkich wielkich posiadaczy rosyjskich, którzyby niezawodnie ukrywali przed nim prawdę, gdyby był chciał poznawać rząd rosyjski, ale którzy z przyjemnością obznajmiali go

z szczegółami całego życia niższego Rosyi, z mużykiem i siołem, stanem roli i rolnika.

Niemiec, tak oprowadzany, idzie z wolna z sioła do sioła, rozgląda się, bada, wypytuje, jak może; a jakkolwiek pełen służalczego nieco nabożeństwa dla rządu, głębokiego uszanowania dla dostojnych panów, oprowadzających go po swoich dobrach, przecież pomimo to okazuje niepospolitą swobodę zdania.

I jakiegoż domyślacie się wniosku ostatecznego tych poszukiwań, kierowanych w ten sposób przez osoby interesowane? Najmniej spodziewanego, a przynosi on niemały zaszczyt panu Haxthausen.

Nie wypowiada on go w formie ogólnej, lecz co chwila wykazuje, że rolnictwo i rolnik są nędzne, że produkują nader mało, że człowiek nieprzezorny i nieoględny na przyszłość zdaje się niezdolnym do ulepszeń.

Ludność wzrasta szybko, powiadają. Produkcya nie wzrasta, czynności żadnej. Dziwna sprzeczność: życie się mnoży, a zdaje się być rażone niemocą i śmiercią.

Jedno słowo tłómaczy wszystko, a w słowie tem zamyka się Rosya.

Życie rosyjskie, to komunizm.

Forma jedyna, wyłączna, tej społeczności, prawie bez wyjątku. Pod zwierzchnictwem pana, gromada rozdaje grunta, wydziela je swoim członkom: tu co dziesięć lat, tam co sześć, gdzieindziej co cztery, co trzy, gdzie nie gdzie co rok nawet.

Podczas zwykłego rozdziału, rodzina uszczuplona wydarzoną śmiercią dostaje mniej ziemi, rodzina zwiększona dostaje więcej. Tak dalece chodzi jej o to, aby nie utracić z liczby swojej, iż, gdy umiera starzec jaki, stary ojciec naprzykład, rodzina przybiera sobie starca, robi sobie ojca w miejsce zmarłego.

Siła Rosyi (podobnej w tej mierze pod pewnymi względami do Stanów Zjednoczonych) leży w tem, iż ma w swojem łonie rodzaj prawa agraryjnego, chcę mówić,

rozdawnictwo nieustanne ziemi pomiędzy wszystkich przybylców. Nie wiele znachodzi się obcych, coby chcieli korzystać z tego, oddając się w poddaństwo. Ale dzieci przychodzą na oślep, tłumnie, w liczbie ogromnej. Każde dziecko otwierające oczy znajduje dla się dział gotowy, który mu wyznacza gromada; jestto jakoby premium za rodzenie, zachęta najdotykalniejsza płodności.

Potworna siła życia, mnożenia się! straszna dla świata, gdyby siła ta została bez przeciwwagi. Ale działanie śmierci niemniej potworne; dwóch pomocników ma na swoje usługi, obu sprawnych: srogi klimat, rząd sroższy jeszcze.

Dodajmy do tego, że w samymże komunizmie tym, tak bardzo pobudzającym do rodzenia się i życia, tkwi też zato siła śmierci, nieplenności, lenistwa, niepłodności. Człowiek nieodpowiedzialny, polegający na gromadzie, zostaje jakby uśpiony w dziecinnej nieoględności; lekkim pługiem po wierzchu zaledwie porze niewdzięczną rolę; nie troszcząc się o nic, nuci swą przeciągłą jednotonną piosenkę. Ziemia mały plon przyniesie? mniejsza o to, każe sobie przypisać jeszcze jeden łan ziemi: ma żonę, mieć będzie dziecko.

Stąd wypadek nader niespodziany: komunizm podpiera tu rodzinę. Kobieta jest przedmiotem uwielbienia; pędzi życie bez troski; cała praca jej prawie, rodzenie dzieci. Rzeczywiście jest ona źródłem zamożności rodziny; płodne jej łono jest dla męża źródłem dostatków. Dziecko bywa kochane bardzo, przyjście jego na świat pożądane. Śpiewają przy jego urodzeniu, ono przynosi szczęście. Wkrótce umiera najczęściej, to prawda; ale płodna jego matka nie traci ani chwili, aby go prędko zastąpić innem, a przez to zachować dział jego rodzinie.

Życie całe naturalne, w poziomem tego słowa znaczeniu, głęboko materyalne, osobliwiej przywiązujące człowieka, utrzymując go bardzo nisko. Mało pracy, żadnej oględności, żadnej troski o przyszłość. Żona

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 6
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

i gromada, oto ratunek męża. Im płodniejsza żona, tem więcej daje gromada. Miłość fizyczna i gorzałka, płodzenie bezustanne dzieci, co umierają i znowu rodzą się bez ustanku: oto życie mużyka.

Własnością się brzydzą. Ci, których zrobiono właścicielami, co prędzej wracają do wspólności. Obawiają się możliwych niepowodzeń, pracy, odpowiedzialności. Będąc właścicielem, można być zrujnowanym; będąc komunistą, nie, bo nic się nie ma, prawdę mówiąc. Jeden z nich, któremu chciano dać grunt na własność, powiedział: »A jak mój grunt przepiję?«

Osobliwszą byłoby w istocie rzeczą, gdybyśmy pod tymże samym wyrazem komunizmu mięszali rzeczy tak różne, gdybyśmy przyrównywali ten komunizm niedołęstwa i ospałości, skazujący owe ludy na poddaństwo, do bohaterskich społeczności, co były tarczą Europy przeciwko barbarzyńcom, przednią strażą wolności. Serbowie, Czarnogórcy, owe rozliczne plemiona, sąsiadujące z Turkami, w walce nierównej przeciw temu wielkiemu państwu, w każdej chwili zagrożeni porwaniem, pędzeniem w jasyr, wleczeniem za ogonami końskimi, szukali wśród śmiertelnych tych niebezpieczeństw braterskiej jedności w życiu, w śmierci. Taka wspólność, jakto widziano po ich bojach i pieśniach, nie zniedołężniła ani rąk ich ani umysłu.

Jakże różny od tego komunizm instynktowy, przyrodzony, leniwy, który jest stanem niezmiennym tylu pokoleń zwierzęcych, dopóki życie indywidualne i właściwy organizm silnie się nie objawi. Takimi mięczaki w głębi mórz, takimi mnóstwo dzikich mieszkańców wysp południowych, takim w stopniu daleko wyższym, nie troszczący się o nic więcej wieśniak rosyjski. Zasypia on na gromadzie, jak dziecko na łonie matki. W niej znajduje osłodę poddaństwa, smutną osłodę, co, sprzyjając niedołężności, krzepi ją i uwiecznia.

W głębokiej nędzy mużyka rosyjskiego i niemocy otrząśnienia się z niej, jedna tylko strona łagodzi obraz, zdaje się go rozjaśniać promykiem szczęścia: doskonałość rodziny, żona i dziecko. Ale i tu nawet ukazuje się znowu nędza cięższa i źródło spodlenia. Dziecię rodzi się, bywa kochane, ale małej doznaje pieczy. Umiera, aby je zastąpiło drugie, kochane równie, żałowane równie mało. Są to jakoby toczące się nurty rzeki. Kobieta jest źródłem, z którego wypływają pokolenia i toną w głębiach ziemi. Mużyk nie baczy na to. Żona, dziecko, czyliż do niego należą? Ohydne życie poddaństwa wymusza przyzwolenie na smutny komunizm, który pozostawiliśmy w cieniu. Ten, co niema ciała nawet swojego, nie ma ani swojej żony, ani swojej córki. Wszelkie potomstwo jest dlań niepewne. W rzeczywistości, rodziny nie masz.

VII.

Komunizm rosyjski nie jest zgoła instytucyą; jest to stan przyrodzony, zależący od szczepu, klimatu, człowieka, natury.

Człowiek w Rosyi nie jest wcale człowiekiem północy. Nie ma on ani jego dzikiej energii, ani powagi silnej. Rosyanie są południowcy; widać to na pierwszy rzut oka z lekkości ich chodu, z ich ruchawości. Nacisk gwałtowny najazdów tatarskich wyparł ich z południa w to ogromne bagno, co go(!) zwą Rosyą północną. Szkaradna ta Rosya jest nader ludną, gdy tymczasem Rosya południowa, bogata i żyzna, pozostała samotnym ługiem.

Przez ośm miesięcy w roku nieprzebrodzone błota, wszelka komunikacya niepodobna; resztę czasu lody, i podróże ciężkie i niebezpieczne, chyba na saniach. Smutna jednostajność takiego klimatu, samotność, jaką sprawia brak komunikacyi, to wszystko rodzi w człowieku nadzwyczajną potrzebę ruchu. Gdyby nie dłoń żelazna, co ich przykuwa do miejsca, wszyscy Rosyanie, panowie

i chłopi, uciekaliby razem; wszędzieby ich było pełno, wciążby podróżowali. To też im tylko w głowie. Rolnikami pomimo woli, nie mniejszy czujący wstręt do życia wojskowego, stworzeni są na podróżników, handlarzy, także cieśli wędrownych, a szczególniej woźniców; w tem celują osobliwie.

Nie mogąc iść za tym popędem do ruchu, rolnik przynajmniej znajduje upodobanie w zmianie i poruszaniu się na miejscu. Ustawiczny rozdział gruntów, przechodzenie ich z rąk do rąk, stanowią rodzaj podróży wewnętrznej dla całej gromady. Ziemia nudna, nieruchoma, staje się jakby uruchomioną, urozmaiconą, przez tę częstą zamianę.

Powiedziano o Słowianach w ogólności, co przynajmniej prawdą jest co do Moskali: »Żadnej przeszłości, żadnej przyszłości; teraźniejszość sama jest wszystkiem«.

Ruchomi mieszkańce oceanu błót północy, gdzie natura wciąż składa i rozkłada, roztacza, rozprzęga, zdają się oni mieć coś wspólnego z wodą. »Fałszywy jak woda«, powiedział Szekspir. Oczy ich długie, lecz mało co roztwarte, nie bardzo przypominają oczy człowiecze. Grecy nazywają Moskali: Oczy jaszczurcze, a Mickiewicz powiedział lepiej jeszcze, że prawdziwi Moskale mają oczy owadzie, błyszczące, ale bez ludzkiego wejrzenia.

Patrząc na nich, odgadniesz widoczny brak, panujący w tym szczepie. To jeszcze nie ludzie.

Chcemy powiedzieć, iż niedostaje im najistotniejszego przymiotu człowieka: władzy moralnej, poczucia złego i dobrego. Poczucie to i wyobrażenie jest podstawą świata. Świat, co jej nie ma, unosi się jeszcze na falach przypadku, jak chaos moralny, oczekujący stworzenia.

Nie przeczym, że Rosyanie posiadają wiele ujmujących przymiotów. Są oni łagodni i uprzejmi, przyja-

cielscy, troskliwi rodzice, ludzcy i miłosierni. Tylko szczerości, moralności brakuje im zupełnie.

Kłamią niewinnie, kradną niewinnie; kłamią, kradną zawsze, to ich natura. Moskal, to kłamstwo żyjące.

Rzecz dziwna! władza podziwiania, silnie w nich rozwinięta, dozwala im czuć poetyczność, wielkość, wzniosłość może. Ale prawda i sprawiedliwość nie ma żadnego dla nich znaczenia. Mów im o nich, milczą, uśmiechają się, nie wiedzą, co do nich mówisz.

Sprawiedliwość nie tylko że jest rękojmią wszelakiej społeczności, ale stanowi jej rzeczywistość, treść i podstawę. Społeczność, w której ona jest nieznaną, jest społecznością pozorną, bez rzeczywistości, fałszywą i czczą.

Od najwyższego do najniższego, Rosya oszukuje i kłamie: to fantasmagorya, widmo optyczne, kraina złudzenia.

Pójdźmy od najniższego, od żywiołu, który wydaje się jeszcze najgruntowniejszym, od piętna oryginalnego i popularnego Rosyi.

Rodzina nie jest rodziną. Czyż żona należy do męża? Nie, naprzód do pana. Czyje dziecko? Któż to wie?

Gmina nie jest gminą. Na pierwszy rzut oka niby mała rzeczpospolita patryarchalna, dająca obraz wolności. Przypatrz się bliżej: to nędzni poddani, rozdzielający tylko pomiędzy siebie brzemię poddaństwa. Pierwsze kupno i sprzedaż rozbija dowolnie ową rzeczpospolitę. Żadnej rękojmi dla gminy, tak jak i dla pojedyńczego człowieka.

Sięgnijmy wyżej, do pana. Tam sprzeczność ideału z rzeczywistością cięższa jeszcze, a kłamstwo bardziej uderzające. Ów pan, to ojciec w wyobrażeniu słowiańskiem; wymierza po ojcowsku sprawiedliwość, przy pomocy starosty czyli starszego wioski. Ten ojciec, w rzeczywistości to pan surowy, straszny, car na swojej wiosce, większy, jak cesarz w Petersburgu. Bije według upodo-

bania; według upodobania zabiera ci córkę lub ciebie samego; oddaje cię w sołdaty, do kopalń syberyjskich, wyrywa cię z łona rodziny, byś umierał z daleka od swoich, do nowych fabryk, istnych galer, co bezustannie zakopują i pożerają poddanych.

Stan wolnych jest gorszy jeszcze, i nikt nie upatruje korzyści zostania wolnym. Rosyanin jeden, mój przyjaciel, napróżno starał się skłonić do tego swoich poddanych. Wolą oni niepewny los poddaństwa; jestto jakby loterya; niekiedy trafiają na dobrego pana. Ale tak nazwani wolni, podlegli administracyi, tych trafunków nie mają. Jest ona najgorszym ze wszystkich panów.

Administracya ta, w państwie kłamu, jest tem wszystkiem, co tylko być może najkłamliwszego. Ma się za rosyjską, a jest niemiecką; pięć szóste urzędników są Niemcy z Kurlandyi i Inflant. Ród nadęty i pedantski, w najzupełniejszem przeciwieństwie z Moskalem, nieświadomy bynajmniej ani jego życia, ani obyczajów, ani ducha, kierujący nim na opak, ciemiężąc, pacząc strony miłe, oryginalne tej ludności łagodnej i rzeskiej.

W tej ćmie urzędników, nie można spojrzeć bez obrzydzenia na to, co się zowie kościołem, a co tylko jest częścią administracyi. Żadnej nauki duchownej, żadnego niesienia pociechy ludowi. Nauczanie religijne zabronione wyraźnie. Pierwszych, co kazali do ludu, wysłano na Sybir. Ksiądz jest tylko urzędnikiem, i jak urzędnik ma stopnie wojskowe, czyny. Archimandryta moskiewski ma stopień feldmarszałka, kazański jenerała dywizyi. Kościół zupełnie materyalny i wręcz przeciwległy duchowi; rozkiełznany w obyczajach, aż do najdzikszych bezpraw, najwścieklejszych swawoli. Wspomnijmy, bez bliższych wyjaśnień, o owych monasterach niewieścich, z których żaden mężczyzna, raz się tam dostawszy, żywo nie powrócił.

Papieżem Rosyi jest kolegium duchowne, sądzące sprawy religijne; ale samo składa tę przysięgę: »Car jest sędzią naszym«, tak, iż w istocie rzeczywistym papieżem jest car.

Znakomity pod tym względem pisarz, Tołstoj, powiada wyraźnie: »Cesarz jest z urodzenia naczelnikiem religii«.

. . . . . Uwieńczenie tej budowy, na fałszu wewnętrznym opartej, jest w carze.

Widoma opatrzność, ojciec nad ojcami, opiekun chłopów!... Wyłożymy gdzieindziej to straszliwe ojcostwo w jego rozwoju.

Poprzestańmy tu na okazaniu, o ile mieści ono w sobie fałszu, nawet w przymiocie swym najmniej fałszywym, najmniej uległym zaprzeczeniu, w sile i potędze; na wyjaśnieniu, że sama ta potęga, tak uparta, tak uciążliwa, i która wydaje się tak mocną, jest nader słaba w rzeczywistości.

Dwie rzeczy naturalne sprowadziły tę rzecz przeciwną naturze, ten rząd potworny. Smutna niestateczność, na jaką wieczne najazdy tatarskie narażały Moskali, obudziła w nich pragnienie stateczności, spoczynku pod jednym panem. Lecz z drugiej strony, ruchawość właściwa szczepowi rosyjskiemu, jego płynność zbyteczna, czyniły spoczynek ten trudnym. Niepewnego, jak woda, niepodobna go było inaczej powstrzymać, jak za pomocą środka, jakiego używa przyroda ku zatrzymaniu wody, przez ściągnienie twarde, nagłe, gwałtowne, jakie w pierwsze noce zimowe wodę w lód zamienia, płyn w kryształ tak twardy, jak żelazo.

Taki jest obraz gwałtownego przejścia, co stworzyło państwo rosyjskie. Taki jego ideał; taki powinienby być ów rząd: srogi spokój, silna nieruchomość, okupiona najpiękniejszymi objawami życia.

Takim nie jest. Przeprowadzając dalej przytoczone porównanie, powiemy, iż są lody ścięte źle, co wewnątrz

zawierają próżnie, kałuże niezamarzłe, ruchome, zawodzące co chwila. Ich nieruchomość nieruchoma bardzo mało, ich trwałość niepewna.

Dusza rosyjska, powiedzieliśmy to już, zgoła nie posiada tego, co w niewoli nawet koniecznie potrzebne do trwałości. Jest to raczej żywiół, aniżeli ludzkość. Ściskaj, prawie nadaremnie; płynie, wyślizga się. Czemżeż ściskasz? administracyą zapewne; ależ administracya ta nie moralniejsza od tych, których zamyśla urządzać. Urzędnik posiada nie więcej od poddanego jednolitości, powagi, pewności charakteru, uczucia honoru, które jedynie mogą zapewnić skuteczność działaniu jakiegokolwiek rządu. Jak każdy inny, jest on oszustem, lekkomyślnym, chciwym. Jeżeli wszyscy poddani są złodzieje, to sędziowie są przedajni. Jeżeli szlachcic i chłop są zepsuci, urzędnik wart nie wiele więcej. Cesarz wie doskonale, że go sprzedają, że go kradną, że najpewniejszy jego urzędnik nie oprze się pięciorublówce.

Ta władza ogromna, straszna, którą przelewa na wykonawców swej woli, w cóż się obraca po drodze? Na każdym szczeblu przeniewierstwo, przedajność, a stąd najzupełniejsza niepewność skutków.

Gdyby cesarza oszukiwano zawsze, gdyby wola jego bywała zawsze bezsilną, mógłby coś w tej mierze przedsięwziąść i zapobiedz temu. Tak nie jest. Największa wada machiny w tem, że jest kapryśna, dziwaczna w swojem działaniu. Niekiedy najsurowsze rozkazy samodzierżcy pozostają bez skutku. Niekiedy słowo, co mu się wymknie przypadkiem, ma ogromne następstwa i to najzgubniejsze.

Przykład tego: Katarzyna, wysyłając na Sybir wielu Francuzów, zabranych w niewolę w Polsce, zaleciła surowo (szanując opinią), aby się z nimi dobrze obchodzono. Mówiła, powtarzała, nakazywała, groziła. Wszystko na próżno.

Przykład drugi, przeciwny: Mikołaj mówił raz do chłopów z nad Wołgi, iżby go cieszyło, gdyby w przyszłości każdy chłop był wolny. Słowo to padło, jak iskra; bunt ogromny i rzeź panów powstaje, potrzeba wojsk, strumieni krwi na uśmierzenie.

Otóż, jak wszystko, na łasce przypadku! Niekiedy słuchają cesarza zbyt skwapliwie wbrew jego życzeniom; niekiedy zgoła nie. Częstokroć oszukują go, kradną z niesłychanem zuchwalstwem. Naprzykład, pod nosem, pod okiem jego kradną, sprzedają po kawałku okręt liniowy, aż do dział śpiżowych. On to widzi, wie o tem, grozi, bije czasem. Rzeczy przecie pomimo to idą swoim trybem. Każdy dzień przekonywa go dotkliwie i jakby naigrawając się, że ta ogromna władza jest złudzeniem, potęgą bezsilną. Co dzień, bardziej oburzony, rzuca się szamocze, nowych chwyta się kroków i znowu bezsilnych... Sprzeczność upokarzająca! Bóg ziemski, oszukiwany, okradany, naigrawany tak haniebnie!

Zbierzmy w treść. Rosya jest kłamstwem. Jest niem w gminie, gminie fałszywej. Jest niem w panu, w księdzu i w carze. Crescendo kłamstw, pozornych złudzeń!

I czemżeż ten lud? Ludzkością? alboli też naturą, żywiołem, co się poczyna a jest bez organizmu?

Azaliż on z piasku i pyłu, jak tuman, co przez trzy miesiące wznosi się na całej ziemi rosyjskiej? Czy z wody, która przez resztę roku wilgocią, lodem lub błotem czyni rozległe bagno z smutnej okolicy?

Nie. Piasek w porównaniu, opoką; woda nie zdradliwa.

VIII.

Ponieważ Rosya w naturze swojej, w właściwem sobie życiu, jest samemże kłamstwem, jej polityka zewnętrzna i broń przeciwko Europie kłamstwem być muszą.

Wszakże zachodzi tu znakomita różnica. O ile Rosya, jako szczep, jest ruchomą, płynną, niepewną, o tyle, jako polityka i dyplomacya, jest stałą, wytrwałą. Ten rząd, po większej części obcy, częstokroć złożony z Niemców, lub, wedle tradycyi machiawelizmu niemieckiego, z mieszaniny chytrości greckiej i byzantyńskiej, zmienia się mało, uzupełnia z grona mniej więcej jednolitego. Ministrowie, dyplomaci, badacze, szpiegi różnych stopni i obojga płci, to wszystko tworzy jedno ciało, rodzaj jezuityzmu politycznego.

Dwie jedynie potęgi znały mechanizm kłamstwa i wykonywały go na wielką skalę: Jezuici właściwi i ów jezuityzm rosyjski.

Czas nowożytny, wyższy we wszystkiem, uzbrojony mnóstwem sposobów i sztuk nowych, nieznanych starożytności, przedstawia tu dwa nieporównane dzieła systematycznych kłamstw, dwie Iliady przeniewierstw, o jakich przedtem żaden wiek nie mógł mieć nawet pojęcia. Pierwsze, dopełnione przez Jezuitów około czasów Henryka IV: była to cierpliwa ich praca edukacyjna, aby odbudować świat fanatyzmu i mordów, i powtórzyć na wielką skalę rzeź Bartłomiejową pod nazwiskiem wojny trzydziestoletniej. Druga, nowoczesniejsza praca, co trwa już pewnie od wieku, jestto wytrwała intryga, przez którą jezuityzm rosyjski (tak nazywamy tę podziemną dyplomacyę) potrafił nareszcie rozprządz wewnątrz Polskę, zewnątrz otoczyć ją jakby siecią ciemności, obrabiając przeciwko niej całą Europę, pochlebstwy lub złotem pozyskując panujące organy opinii, tworząc opinią udaną, głośność pozorną, czyniącą rzeczy tajnemi, a która wreszcie, uzuchwalona powoli, mięszała do środków chytrości czar postrachu.

Praca ta była bardzo długą, i długiego potrzeba czasu, aby ją zbadać. Ale zaprawdę warto. Ci, co będą mieli cierpliwość śledzenia jej w Rhulierze, Ogińskim i innych nowszych pisarzach, będą świadkami okrutnego,

lecz nader ciekawego doświadczenia politycznego i fizyologicznego, bo ujrzą, jakim sposobem zwierzę z krwią zimną, utkwiwszy blady wzrok swój w zwierzę z krwią ciepłą, jak straszliwy boa w szlachetnego konia, spętało go, przykuło mocą tego spojrzenia, aż wreszcie osłabionego i bezsilnego mogło ssać bezkarnie.

Zaczyna się to zwolna. Z razu są to spojrzenia przychylności, grzeczność sąsiedzka, bratnia troskliwość, jaką budzą w Rosyi rozterki w Polsce.

A tak kocha tę Polskę, że ścierpieć nie może, aby jakikolwiek Polak ciemiężony był przez drugich. Filozofka, zapalona zwolenniczka tolerancyi, szczególniej zajmuje się różnowiercami; przybywa na pomoc wolności religijnej (nieuciskanej nigdy).

To pierwszy środek rozprzęgający, pierwsze działanie Rosyi na Polskę.

Katarzyna właśnie w tym czasie tylko co zabrała była dobra klasztorom rosyjskim. Była nie bez obawy. Umyśliła wtrącić Rosyą w wojnę religijną, wmówić w chłopów, że chodziło o obronę braci ich obrządku greckiego, prześladowanych przez łacinników w Polsce. Wojna przybrała cechę straszliwego barbarzyństwa. Za podnietą tej niewiasty bezbożnej, a wzywającej do wojny świętej, widziano wsie całe męczone, palone żywcem, w imię tolerancyi.

To wszystko jedynie z przyjaźni dla Polski, ku opiece Polaków różnowierców. Nie dosyć na tem; cesarzowa bierze niemniej w opiekę Polaków, wiernych dawnym ich barbarzyńskim prawom, ich dawnej anarchii.

To drugi środek rozwiązujący.

Wielbicielka starodawnej konstytucyi Polski, nie ścierpi przeobrażenia się kraju, ani jakiegokolwiek umocnienia rządu.

W tej drugiej pracy, Rosya szczególniejszego dokłada usiłowania, by stworzyć Polskę przeciw Polsce, jak przeniewierczy lekarz, co, biorąc na się leczenie chorego

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 4
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

pomimo jego woli, umiałby zręcznie w tem ciele żyjącem wzbudzić inne ciała żyjące, wyprowadzić robactwo.

Były tam sceny komiczności obmierzłej. Polacy, owi przyjaciele Moskali, wyprawiali najdziwniejsze sceny patryotyzmu. Widziano jednego z nich na klęczkach w sejmie, na środku sali z sześcioletnim synkiem i ze sztyletem w ręku, jak krzyczał, że go zabije, jeżeli zmienią dawne prawa, że chce zostać wolnym lub zabić swoje dziecko.

To drugie działanie Rosyi. Trzecie, śmielsze daleko, nie tylko jest politycznem, ale społecznem. Jeszcze w 1794 roku, za Kościuszki, Rosya wkracza do Polski, jedynie, by zapewnić mienie niewinnych mieszkańców wiejskich. Wydaje okrzyk Spartaka, hasło do wojen niewolniczych; to pierwsza próba systemu zastosowanego w 1846 przez Austryą przy rzezi galicyjskiej.

Trzeci środek rozkładu.

Nie oręż to moskiewski zwyciężył Polskę; ich język sprowadził rozprzężenie. Zwyciężyli oni trzema kłamstwami.

Cóżby to było dopiero, gdybyśmy mogli wykazać wszystkie kunsztowne sposoby, jakimi Rosya w tymże samym czasie podburzała świat przeciwko Polsce, korzystając mianowicie z wielkiego zapału ośmnastego wieku dla wolności religijnej, wciskając tym sposobem powątpiewanie w myśl europejską, rzucając w zachód pierwszy zaród rozprzężenia!

Określenie głębokie, trafne Rosyi, owej siły rozprzęgającej, zimnego jadu, co wsącza się powoli w organizm, a który obiegając zbezwładnia nerw życia, demoralizuje przyszłe swe ofiary, porzuca je bezbronne; określenie to zawarte w dwóch słowach:

Rosya to cholera!

IX.

Bohater Polski nie jest właściwie Polakiem; należy on do owej tajemniczej Litwy, co labiryntem nieprzeby-

tych puszcz i bagien, zdaje się być pierwszą twierdzą Europy przeciwko Rosyi. Wiele świetnych przymiotów Polski niedostaje Litwie; natomiast posiada inne, poważniejsze. Polacy, w porównaniu, to synowie słońca; Litwini, synowie cienia. U nich zaczyna się północ właściwa i puszcze bez granic. Pieśni ich, pełne słodyczy, noszą w sobie całą smętność klimatu. Dusza litewska lubująca w marzeniach, mistyczna, pełna uczucia nieskończoności i świata przyszłego.

Ojciec Kościuszki był namiętnym, niezmordowanym lubownikiem muzyki; jej poświęcał wszystek czas, wolny od codziennych zatrudnień. Był on z liczby owej drobnej szlachty, jakiej pełno w owym kraju, co to oprócz szabli nie ma nic, żyje po dworach panów lub na kilku zagonach dziedzicznej fortuny. Klient księcia Adama Czartoryskiego, pod nim służył w artyleryi, przez trzydzieści lat pokoju. Wystąpiwszy z wojska, osiadł na wiosce puszczonej sobie od Sapiehów.

Książę Adam, wielki polityk, przedsięwziąwszy trudne dzieło zreformowania narodu w obec nieprzyjaciela i, że tak powiem, pod ręką Moskali, wyszukiwał ze wszech stron ludzi. Nie spuszczał on nigdy z oczu owej rodziny Kościuszków; on to umieścił chłopca (Tadeusza Kościuszkę, urodzonego 1746 r.) w szkole kadetów, świeżo utworzonej przez króla Stanisława Augusta w Warszawie.

Młody Kościuszko wstąpił do niej już przysposobiony. Było to dziecko pełne zapału, chciwe wiedzy i działania. Zdawało się, że życie czynne, którego w długim okresie bezczynności nie mógł doczekać się ojciec jego, wezbrało niejako i wybuchło w jego synu. Pełen żądzy uczenia się w samotnem ustroniu rodzinnem, korzystał on z nauk, udzielanych sobie przez sędziwego stryja, który wiele podróżował, a który co rok przyjeżdżał na kika miesięcy do dworku jego ojca. Prócz tego, sam czytywał Żywoty znakomitych mężów Plutarcha,

robił z nich wyciągi, przyswajając sobie ducha bohaterskiej starożytności.

Dziecko nieśmiałe i pilne, w odosobnieniu swojem, miało coś gwałtownego, rozhukanego, nieukróconego; był to młody rumak wolnych stepów ukraińskich. Jedno wszakże łagodziło tę wrodzoną jego burzliwość, wkładało mu, że tak powiem, wędzidło, a tem było przywiązanie jego do rodziny, a zwłaszcza względy i rycerska opieka, do jakich poczuwał się względem sióstr swoich, dwóch bardzo młodych dziewczynek. Stądto może owa szlachetna i niepokalana tkliwość, jaką miał w ogólności dla kobiety, i szczególniejszy pociąg do dzieci, jaki okazywał całe życie.

Przybył on do szkół w epoce smutnej i dramatycznej, w chwili, kiedy Polska przyjęła króla z rąk moskiewskich. Rzeczywistym królem był odtąd ambasador rosyjski, okrutny Repnin. Przyszło na to, że trzeba było patrzeć, jak z podeptaniem wszelakiego wstydu, bez litości nad ludem tak dumnym, porywał Moskal z łona sejmu posłów oponujących i wysyłał w głąb Rosyi (1767). Ani wątpić, że widowiska takie wywarły silne wrażenie na sercu młodego Kościuszki, podwoiły jego usiłowania; pragnął on co prędzej ponieść usługi swoje poniżonej ojczyźnie. Późno w noc przedłużał swoje prace, dla odpędzenia snu trzymając nogi w zimnej wodzie. Ciężka próba w takim klimacie! Co wieczór zamawiał stróża, który przez całą noc opalał piece gmachu szkólnego. Sznurek przywiązany do ramienia, a przeciągnięty aż na korytarze, wyciągał młodego Kościuszkę z łóżka o trzeciej rano.

Corocznie, w miarę odbytych egzaminów, wyznaczano czterech uczniów, których wysyłano za granicę dla dalszego doskonalenia się w celniejszych zakładach wojskowych Europy. Kościuszko należał do tej liczby. Wysłano go do akademii wojskowej w Wersalu, później do Brest dla uczenia się fortyfikacyi i taktyki morskiej. W końcu przebywał jakiś czas w Paryżu.

Było to około 1770 r. lub cokolwiek później. Nigdy pod względem nauk i sztuk Francya świetniejszym niezajaśniała blaskiem. Wielki okres filozoficzny, otwierający się Duchem Praw, dalej Emilem, zamykał się chwalebnie obroną Sirvena i Calasa. Przez Woltera i Russa Francya dzierżyła niejako najwyższe kapłaństwo ludzkości. Łagodny duch uprzejmości, filantropii i wolności zdawał się stąd rozchodzić po całej Europie.

Dusza młodego Polaka napawała się głęboko z tej czary i przeniknęła miłością ludzi. Został on synem owych czasów, synem tamtoczesnej Francyi. Straszne czasy, jakie nastąpiły później, konieczności najostatniejsze, ich niebezpieczeństwa, niebezpieczeństwa ojczyzny, nie potrafiły go sprowadzić z drogi wytkniętej przez filozofią francuską, z drogi ludzkości i tolerancyi. Pozostał on im wierny kosztem zwycięstwa i życia.

Znajdował się w Paryżu w chwili pierwszego podziału, kiedy Polska, usiłując przekształcić się sama ku lepszemu żywotowi, poniosła za to karę od sąsiadów, żywcem rozszarpana. Kościuszko powrócił, mając natenczas lat 26, i za powrotem otrzymuje stopień kapitana artyleryi, na to tylko, by przy swych działach w bezczynności zasypiał. A przecież niedaleko było szukać wroga, był on w samem sercu Polski. Młody nasz oficer trawił się w tym opłakanym spoczynku, nader mało ukazując się na świecie. Pewnego dnia (1776 r.) cały korpus oficerów zaproszono na wielki bal z okoliczności urodzin królewskich. Kościuszko idzie nań z obowiązku. Tam serce jego podbite: zdobyło go młode dziewczę i zachowało aż do śmierci w swej władzy.

Na nieszczęście los postawił Sosnowską (to było jej nazwisko) i urodzeniem i majątkiem bardzo daleko od Kościuszki. Była ona córką marszałka litewskiego, Józefa Sosnowskiego, dumnego i możnego pana, jednego z owych starodawnych Polaków, królów na szerokich swych włościach, nieubłaganych dla każdego, coby śmiał podnieść

oczy na dostojną ich rodzinę, jak ów sędziwy wojewoda, co przywiązał Mazepę na dzikiego konia.

Ta duma właśnie otworzyła przystęp Kościuszce. Wysłany z korpusem w północne strony Litwy, stanął z pułkownikiem swoim w zamku wojewody. Ten nie przypuszczał ani na chwilę, aby młodzieniec bez znaczenia mógł do tego stopnia zapomnieć niższość swoją, by śmiał kochać jego córkę. Pozwolono mu bezustannie widywać ją, mówić z nią, dawać jej lekcye; z początku uczył jej francuskiego, później miłości. Niewiasty polskie, w kraju tak zawichrzonym, tak wcześnie powołane do udziału w ruchach narodowych, a przynajmniej przysłuchując się ciągłym rozmowom o najważniejszych sprawach krajowych, posiadają niepospolity takt oceniania ludzi. Sądzą ich, bo ich tworzą, używając chwalebnie swej władzy nad nimi, by żądać spraw bohaterskich.

Nigdy miłość nie była mniej zaślepioną ani bardziej zasłużoną. Kochała ona nie zasługę możliwą, przyszłą dopiero, ale już skończonego męża. W trzydziestym roku swojego życia był on już w całej pełni darów i cnót swoich. Objawił się Sosnowskiej tem, czem był rzeczywiście: bohaterem.

Nic jeszcze nie mógł był uczynić, a powierzchowność fizyczna nie przemawiała za nim. W rysach jego uwydatniał się silnie typ słowiański. Sądząc z wizerunków, miał kości twarzy i brody wystające. Nos mocno zadarty nadawał jego postaci coś nie, jak zwykle, pospolitego, ale raczej niezwykłego, dziwacznego i romantycznego, zuchwałego i awanturniczego. Nos, broda, usta, brwi, wszystko zdawało się sterczyć niby zapęd uderzającego naprzód jeźdźca; ale zarazem w rysunku twarzy zarysy nader ustalone, pewne, delikatne, przypominały ścisłość artyleryzysty, co nie uderza na los szczęścia, ale mierzy i dosięga celu.

Oczy jego były bardzo żywe, śmiałe i łagodne. W nich nadewszystko malowała się doskonałość serca

tego wielkiego wojownika. Dawni bohaterowie Polski święci byli. Turcy, którzy doświadczali tylekroć wojowniczego ducha tego szczepu, zauważali w nim przecież nadzwyczajną łagodność, jego dążność ku wszelakiej miłości. Nazywali Słowian narodem gołębim. Ta skłonność miłowania jaśniała w całej osobie Kościuszki. Żaden człowiek nie kochał tak kobiety, i to uczuciem najczystszem. Szczególniej lubił dzieci, które też garnęły się wszystkie do niego. Nadewszystko miłował biednych. Niepodobna mu było zobaczyć biednego i nie wesprzeć; przemawiał do nich z poszanowaniem, z najdelikatniejszymi względami równości.

Od dzieciństwa okazywał on te skłonności chrześciańskiej miłości. Bolesny widok nieszczęśliwego wieśniaka polskiego, uciskanego podwójnie i przez pana i przez kwaterunki, przez ustawiczne przechody obcego żołnierstwa, objadającego go i poniewierającego, zranił głęboko jego serce. Litość, litość boleściwa na niedole ludzkości, jakby zerwała w nim jakieś włókna nerwowe serca i zrodziła jedyne może wady, jakie dostrzedz można było w tej doskonałej naturze.

Te przymioty, te wady nawet stanowiły uroczą całość, której mało serc oprzećby się umiało. Sosnowska była nią tak tkliwie ujętą, że nie wątpiła, by tak, jak ona, w ulubionym jej nie widział każdy równego królom; wyznała więc wszystko swojej matce. Z swojej strony Kościuszko upadł do nóg ojcu i oblał je łzami. Zaufanie to nie powiodło się wcale. Ojciec przyjął je z taką wzgardą, że nie raczył nawet oddalić z domu Kościuszki: zabronił mu mówić z córką, patrzeć na nią.

Ta, egzaltowana w namiętności swej, bezwzględna i śmiała, jak Polka, oświadczyła Kościuszce, że chce być porwaną. Postanowienie gwałtowne! Było to nie tylko rzucać rodzinę, ale opuszczać szerokie dostatki, życie niejako królewskie, by iść za oficerem nieznanego imienia, który nawet straciłby stopień a może i ojczyznę, ścigany

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 6
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

niechybnie zaciekłą nienawiścią możnej rodziny. Było to iść na nędzę, wygnanie.

Ojciec dowiedział się o wszystkiem. Ale szczególniejszą osobliwością, okazującą, jak zemsta droższą mu była nad honor rodziny, pozwolił kochankom dom opuścić. Dopiero opodal zamku zgraja zbrojnych otoczyła ich. Kościuszko miał przypłacić życiem; tymczasem stawił on czoło całej gromadzie, zadziwił ją swoją odwagą, i skończyło się tylko na ciężkiem zranieniu.

Po kilkogodzinnem omdleniu przychodzi do zmysłów... Ona zniknęła; żadnego śladu po niej, oprócz chustki jej, pozostawionej przypadkiem. Podnosi ją, kładzie na piersiach; nosił ją odtąd zawsze we wszystkich bitwach i aż do końca życia.

X.

Kościuszko w trzydziestym roku życia stracił był wszystko, kochankę i ojczyznę. Pierwszą wydano poniewolnie za człowieka, którego nie kochała, druga w poniżeniu, wystawiona na codzienne gwałty gwoli pierwszemu przywidzeniu ajentów moskiewskich. Ohydne widowisko! Prawdziwi Polacy znieść go nie mogli. Sławny Puławski, przywódzca ostatnich bojów, biegł szukać śmierci do Ameryki. Kościuszko poszedł także, i bardzo wielu innych jeszcze mniej znanych.

Oto początek pełnego chwały wychodźtwa polskiego. Od tej chwili Opatrzność, zdawało się, jakby chciała wykorzenić Polskę, wydobyć z niej samej, by ją rozszerzyć i okryć blaskiem chwały. Wyrwała ją z domowych jej rozterek, z ciasnej atmosfery, w której się dusiła, rozproszyła ją po całym świecie. Wszędy, gdzie tylko wojna i chwała, gdzie wolność staczała boje, tam była i krew polska. Krew tę widzimy, niby zaczyn bohaterstwa, w czcią otoczonych posadach rzeczypospolitych obu światów.

Polak pewien powiedział w tej mierze słowa trafne i wzniosłe: »Naród Kopernika, naród, co w astronomii miał pierwszy naukową odwagę pchnąć do ruchu ziemię, naród ów miał uruchomić ojczyznę, roznieść ją po całej ziemi«.

Piękna to była dla Polaka sposobność, owa wojna amerykańska. Silny powiew młodzieńczej świeżości, poetyczne uniesienie rewolucyi, ożywiało tych ochotników wszelkiego narodu, co przybiegli tam na odgłos wolności. Wszyscy pełni jeszcze czystości, zdobni zaprzaniem się osobistych widoków i niewinnością. Lafayetty, Lamethy, Mirandy, Barrasy, ani przewidywali roli, jaką kiedyś odgrywać będą. Wolni jeszcze od ambicyi, nie pragnęli nic dla siebie, wszystkiego dla wolności świata!

Kościuszko, puściwszy się na okrętach naszych z Tulonu, przyjęty był od Francuzów jako współziomek i towarzysz szkólny. Lafayette, wielbiciel wrzącej jego odwagi, nie omieszkał przy sposobności zwrócić nań uwagi Waszyngtona. Jako inżynier, pułkownik, wreszcie jenerał brygady, Kościuszko obok nieustraszonego męstwa polskiego, okazał nieugiętość jeszcze niezbędniejszą, aby utrzymać na wodzy i kierować milicyami amerykańskiemi. Ci żołnierze rolnicy chcieli wracać do zagród swoich; Kościuszko rzekł tylko: »Skoro chcecie, idźcie; ja zostaję,« i żaden odejść nie śmiał.

Miał niejedną piękną przygodę: rany naprzód, to znowu szczęście ocalenia jeńców, których Amerykanie chcieli wyciąć w pień. Stał się także opiekunem sieroty, której ojciec, waleczny żołnierz, poległ, i za jego staraniem rzeczpospolita przyjęła dziecko za własne.

Ameryka cieszyła się swobodą, Polska ginęła. Za powrotem Kościuszki łamała się już z ostatniem przesileniem. Dobywała ostatnich sił, by się przetworzyć, pod oczyma, pod naciskiem straszliwym ciemięzców, pragnących jej skonu. W tak trudnej pracy, wymagającej najzupełniejszej jedności działania, nie działała ona wszyst-

kiemi siłami swemi; spętana od wrogów, była też spętaną i przez siebie samą przesądem narodowym, sprzyjającym dawnym instytucyom, pod któremi Polska dobiła się niegdyś tak wielkiej chwały. Russo naprzykład, którego pytali się o radę, zalecał im odmieniać niewiele.

Ta zbyteczna roztropność była właściwie nieroztropnością. W czasach tak bardzo zmienionych potrzeba było zmiany instytucyi głębokiej, radykalnej. Przez reformy cząstkowe, zewnętrzne, powierzchowne, zwracano baczność wroga, sprowadzano, wywoływano burzę, nie tworząc żadnej siły, mogącej stawić jej czoło. Zmartwychwstanie Polski wobec i wbrew Rosyi, wyzwolenie karła z pod stopy olbrzyma, gotowej zgnieść go, były to rzeczy niepodobne, jeżeli nie wywołano pierwej w tejże Polsce potęgi zupełnie nowej, samego narodu.

Milion szlachty rządziło piętnastu lub ośmnastu milionami poddanych. Mieszczaństwo nieliczne żyło po miastach, które nader mało znaczyły w tym wielkim kraju rolniczym.

Polacy, wspaniali z przyrodzenia i napojeni po większej części wyobrażeniami filozofii owego wieku, chcieli byli zmienić ten stan rzeczy. Trudność usamowolnienia była ta, że w kraju nieprzemysłowym nie dość było powiedzieć poddanemu: »Jesteś wolny!« ale, usamowalniając go, należało mu podać sposobność utrzymania. Obdarzając go wolnością, potrzeba było udarować go ziemią.

Wielu uczniów Russa, panowie rozległych włości, bogaci księża, robili w dobrach swoich próby usamowolnienia na wielką skalę. Nie przestając na uwolnieniu wieśniaka, wydzielali mu grunt, budowali mu nawet pomieszkanie. Przykłady te mogły były z łatwością być naśladowane przez dziedziców większych posiadłości, ale trudniej daleko przez mnogi ogół mniej zamożnej szlachty, która, mając mało poddanych, mało gruntów, ofiarę tę poniosłaby nie z tego, co jej zbywało, ale z tego, co nazywała konieczną potrzebą, z tego, co stanowiło istotne

życie szlachcica: nie mogliby usamowolnić chłopa inaczej, jak zbliżając się sami do życia chłopskiego.

Więc reforma społeczna prowadziła za sobą koniecznie w narodzie reformę moralną trudniejszą jeszcze, ofiarę, nie ze zbytkowości jedynie, ale z pewnych nawyknień wytworności rycerskiej, co, wedle wyobrażeń krajowych, stanowiły samoż szlachectwo.

W tem leżała trudność. I dla tego to, skoro nadeszła chwila, kiedy Polska mogła być jedynie ocaloną przez rewolucyę społeczną, ona poprzestała jedynie na reformie politycznej.

Przyznać też trzeba, że monarcha, który się czynił naówczas opiekunem Polski, król pruski, nie pozwoliłby był na radykalniejszą reformę. Pozwalał on na rewolucyą, ale pod warunkiem, aby była czczą w istocie i bezsilną.

Ustawa rządowa z 3 maja (1791 r.) zniosła dawne prawo anarchiczne, na mocy którego jeden człowiek mógł zerwać każdy sejm. Przypuszczała mieszczan do praw politycznych. Włościan stawiała pod opiekę praw. Czyniła władzę królewską dziedziczną w rodzinie nikczemnego Stanisława Poniatowskiego.

Błąd ten pociągnął za sobą inne. Wojsko powierzono synowcowi króla, młodzieńcowi bez doświadczenia, i pod rozkazy jego poddano Kościuszkę. Ten w 4 tysiące żołnierza pobił dwadzieścia tysięcy Moskali. Ale wiarołomstwo Austryi, co dała przytułek pobitym Moskalom, wiarołomstwo Prus, które odstąpiły Polskę przez siebie zachęcaną i narażoną, zadało cios śmiertelny temu nieszczęsnemu krajowi. Król, aby uniknąć podziału, spodlił się, przystępując do konfederacyi, utworzonej pod wpływem rosyjskim w obronie dawnych swobód. I wtedy to ambasador rosyjski, siejąc postrach śród sejmu, porywając z łona jego najodważniejszych posłów na Sybir, zamykając i głodząc przez trzy dni i króla i sejm, zmusza na pół umarłego króla do podpisania rozbioru (1792).

W akcie ogłaszającym go powiedziano, że ku uczczeniu pamięci tego pięknego zwycięstwa dawnych swobód Polski wzniesioną im będzie świątynia z granitu, pod tarczą mądrej Katarzyny, świątynia wolności!

Co zima, Moskale objadali Polskę. Wieśniak upadał pod brzemieniem kwaterunków. Wszędy same rabunki, bicie, poniewieranie, skwierk i łzy. Ambasador moskiewski Igelstrom, rezydujący w Warszawie, uczył Polaków, czem byli Hunnowie za czasów Attyli. Rabował jednych, więził drugich, drwił sobie ze wszystkich. Ambasadorowie moskiewscy w Warszawie, wszyscy prawie jeden po drugim, mieli jeden nieznośny przymiot: dowcipkowania. Ów, który porwał czterech posłów na Sybir, dodał jako żart, niby dowcipny: że nie myśli przez to ścieśniać wolności zdania.

Moskale przeczuwali dobrze, że w cichości gotowało się powstanie, wszelako nie mogli nic odkryć; oskarżali na oślep, krzyczeli na jakobinizm. Przypuszczali czynny wpływ Francyi a zupełnie mylnie. Kilku jakobinów przybyło do Warszawy, ale nader mało rozwinęli czynności. Jeden Francuz przywiózł wydrukowany już pamflet, pełen ognia i śmiałości, pod tytułem: Nil desperandum. Później, gdy rewolucya wybuchła, wysłano do Turcyi i do Francyi także. Ale Francya sama znajdowała się nad przepaścią. Komitet dobra publicznego nic nie przyrzekał, powiedział tylko: że zrobi, co będzie w jego mocy.

Rewolucya polska 1794 r. nosiła wyłącznie właściwą sobie cechę. Do składu jej wchodziły dwa żywioły ludowe, rzemieślnicy warszawscy, prowadzeni do boju przez szewca Kilińskiego, i chłopi, wezwani na pole bitwy przez Kościuszkę.

Nie mogę wspomnieć tego szewca-bohatera, który rzeczywiście był naczelnikiem mieszczan warszawskich, aby mu choć kilku słów nie poświęcić. Używał on nadzwyczajnej wziętości i wpływu w mieście. Zwykł był

mawiać: »Mam na moje zawołanie sześć tysięcy szewców, sześć tysięcy krawców i tyleż rzeźników«. Ówczesny ambasador moskiewski, gwałtowny Igelstrom, przed którym wszystko drżało, kazał raz przywołać do siebie Kilińskiego i rozgniewał się, widząc przed sobą człowieka spokojnego, nie zdającego się lękać niczego. »Czy nie widzisz, z kim mówisz? (rzecze, odsłaniając płaszcz swój i pokazując na piersi zawieszone gwiazdami) patrz i drżyj!« — »Widziałem ja na niebie piękniejsze gwiazdy, a nie drżałem przed niemi« — odrzekł szewc.

Był to człowiek prosty, równie bogobojny jak odważny. Tło jego charakteru stanowiła nadzwyczajna dobroć. W pamiętnikach swoich nie gani, nie obwinia nikogo; jedyny to pisarz polski z podobnem umiarkowaniem, jedyny także, co zdaje się żałować krwi nieprzyjacielskiej, którą musiał przelewać. Unika on wyrazu zabić. Powie naprzykład, że musiał tamtego oficera rosyjskiego uciszyć, owego uspokoić, innego znowu wyprawić na spoczynek.

Kiliński i inni patryoci warszawscy w najżywszej niecierpliwości oczekiwali chwili wybuchu. Wypadek przyspieszył krok stanowczy. Rozwiązywano armią. Dnia 12 marca, stary oficer, waleczny i ze wszech miar szanowny Madaliński, oświadczył, iż posłusznym nie będzie. Miał tylko 700 ułanów; z małym tym oddziałem przedarł się przez całą Polskę, rozproszył Prusaków, opierających się jego przejściu, i rzucił się w Krakowskie.

Godzina uderzyła. Kościuszko, nieobecny naówczas w Polsce, natychmiast powraca; przybywa do Krakowa dnia 24. marca w nocy (1794). Całe miasto w powstaniu, wszyscy mieszkańcy oczekiwali go z pochodniami i z tryumfem wprowadzili. Obchód wzniosły zapałem a przecież żałobnego wrażenia! Gorejące światła w jaskrawem przeciwieństwie z gęstemi ciemnościami, nie zdawałyż się przepowiadać świetną chwałę tej rewolucyi, tak krótkiej, tak rychło pogrążonej w cieniach nocy?.... Lud płakał

z uniesienia, z miłości ku temu mężowi, z pomiędzy wszystkich bohaterskiemu i dobremu. Wołano: »Niech żyje zbawca!« Okrzyk ten powtarzały głębokie echa starożytnych świątyń, w których spoczywają zwłoki królów polskich; Sobiescy i Jagiellonowie odpowiadali z grobów.

Zamianowano Kościuszkę dyktatorem. Trzy pierwsze jego dzieła były proste i wielkie. Zdawały się one zapowiadać w nim geniusz rewolucyjny, który byłby się może utrzymał, gdyby był lepiej wsparty.

1. Powołanie ogólne wszystkiej młodzieży polskiej, bez różnicy stanu, od 18 do 27 lat.

2. Konfiskata dóbr zdrajców, którzy zaprzedali ojczyznę: wartość ich wynosiła 400 milionów.

3. Tkliwa odezwa do narodu, która musiała wzruszyć do głębi serca, nawet najsamolubniejsze.

Dziesięć dni zaledwie upłynęło. Moskale staczają bitwę (4 kwietnia 1794). Mieli sześć tysięcy ludzi, on trzy tysiące tylko i 1200 koni. W te szczupłej liczbie prawie nie było, właściwie mówiąc, żołnierzy. Jazdę stanowiła szlachta okoliczna. Piechotę, z wyjątkiem kilku oddziałów regularnego wojska, składali chłopi uzbrojeni w kosy; po większej części nie słyszeli oni nigdy broni palnej. Ci biedni ludzie zdziwili się niepomału, widząc dyktatora Polski, stawającego w ich szeregach, a nie na czele jazdy. Nosił ich strój nawet, szarą płótniankę, odznaczającą się jedynie czarnemi pętlicami.

Chłopi ci, z kilku oddziałami regularnymi, stanowili środek kolumny, dowodzony przez Kościuszkę. Zdziwieni zrazu wojenną wrzawą, poszli przecież za nim, i w niepowstrzymanym zapędzie, nie wiedząc, co robią, w bohaterskiej swej nieświadomości rozbili Moskali. Bitwa skończyła się zupełną wygraną, tak, że dwanaście dział dostało się w ręce Polaków, a rozstrzygnęła się tak szybko, że nie mieli nawet czasu ponieść strat; poległo tylko 150, ranionych było 200.

Rzecz szczególniejsza! zwycięscy, tak mało nawykli do zwycięstw, po bitwie ujrzeli się w najzupełniejszym bezładzie. Wielu nawet nie wiedziało, że zwycięstwo po ich stronie. Mnóstwo świetnych przepychem jeźdźców pędziło cwałem aż do Krakowa, przynosząc wieść o przegranej i o śmierci Kościuszki.

Od bitwy owej, i przez cały ciąg wojny, Kościuszko jadał w pośród chłopów, i jak oni, nadzwyczaj skromnie, odmawiając sobie wszystkiego, czegoby mieć nie mogli jego żołnierze. Było to dla wielkich panów, w tej krainie arystokracyi, nieustannem dziwowiskiem, widzieć w Kościuszcie pokorny i szanowny obraz prawdziwego naczelnika ludu, czyniącego się podobnym owemu ludowi najnieszczęśliwszemu w świecie, i przedstawicielem jego w ubóstwie. Ogiński, wielki marszałek litewski, siedząc z nim razu pewnego u stołu, widział, że pije tanie i lekkie bardzo wino, i radził mu wyśmienite burgundzkie, które sam pijał: »Mnie nie stać na tak drogie wino«, odpowiedział dyktator.

Ta prostota życia była rzeczą tak dalece nową i niesłychaną, że w ogóle wydawała się bardziej dziwaczną, jak rozrzewniającą. Wielu uważało ją za śmieszną. Nie mało upatrywało w niej jedynie komedyę polityczną, środek schlebiania ludowi. Ale lud, nawet chłopi, nie od razu poczuli, ile w tem wszystkiem było prawdziwej wielkości.

Kościuszko, obcy wszelakiej zręczności politycznej, szedł w tem jedynie za popędem wielkiej duszy swojej. Zdawało się mu ohydnem, wśród tego tak biednego tłumu, występować jako król teatralny, wyprawiać okazałe biesiady, gdy im zaledwie chleba starczyło. Całe serce jego było w ludzie, jakżeżby życie jego miało być obcem jego życiu? Im bardziej zbliżała się ostateczna chwila i dzień wspólnego skonu, tem bardziej zdawało się naturalnem także życie wspólne tym samym chlebem, przy tymże samym stole; każdy posiłek był jakby komunią pomiędzy naczelnikiem a ludem, przysposobieniem się do szczęśliwej śmierci.

XI.

Miasta, Warszawa, Wilno, oswobodzały się bohaterskiemi powstaniami; ale miasta nie wiele znaczą w Polsce. Los rewolucyi zależał od udziału, jaki w niej weźmie szlachta, rozsypana po dziedzicznych swych siołach. Zdawało się, jakby podwójny strach ją krępował.

Z jednej strony armia rosyjska wkraczała, armia barbarzyńska, co właśnie odbyła wojnę turecką i tam zjednała sobie ohydną głośność ogromną rzezią Izmaiłowa, największem wytępieniem ludzi, ze wszystkich jakie od wieków spełniano na miastach zdobywanych szturmem. Moskale, liczni nader, w pogotowiu do boju, palili wioski, rabowali i pustoszyli wszystko.

Drugi strach, co zdawał się paraliżować Polskę, pochodził od samej Francyi, z strasznych opowieści, okropnie przesadzanych, jakie wszędzie rozsiewali emigranci o naszej rewolucyi. Szlachta polska, opowieściami temi zastraszona, nie wiedziała, czego się ma bardziej obawiać, czy chłopów swoich, czy Moskali? Zgrzeszyła ciężko, zapoznając nadzwyczajną łagodność, jaką z pomiędzy wszystkiej ludności odznaczał się chłop polski. Nie miała wiary w lud. Dla tego też upadła.

Trzeba powiedzieć, że szlachtę otaczały całe zgraje ludzi, których interesem było stawianie przeszkód rewolucyi, zgraje ekonomów, rządzców, plenipotentów, którzy czuli dobrze, że ona pociągnie za sobą usamowolnienie klasy włościańskiej i zmieni do szczętu porządek rzeczy, sprzyjający ich zdzierstwom. Pod pozorem prac rolnych, oświadczyli oni, że pospolite ruszenie było niepodobieństwem, i zatrzymali włościan. Kościuszko ograniczył się na zażądaniu z pięciu dymów jednego tylko żołnierza, a i w tem nie lepiej go usłuchano. Wielu obawiało się zarówno i rewolucyi i Moskali, przeto wynaleźli ten sposób pośredni, że zrana dostawiali do wojska swoich ludzi a wieczorem ułatwiali im ucieczkę.

W ogłoszeniu z d. 7. maja 1794, Kościuszko rzuca się w objęcia ludu. W tym pamiętnym akcie powiedziano, że chłopu wolno porzucić uprawianą przez siebie rolę i iść, gdzie mu się podoba, panu zaś nie wolno odebrać mu tej roli, jeżeli wypełnia prawem oznaczone obowiązki. Wedle brzmienia nowych tych obowiązków zmniejszono pańszczyznę o trzecią część, a w niektórych razach o połowę. Panowie, domagający się więcej, zagrożeni odpowiedzialnością sądową.

Akt ten, zabraniający panom odbierania chłopom uprawianych przez nich gruntów, zdawał się uświęcać powagą prawa zdanie, utrzymujące się ogólnie pomiędzy ludem wiejskim u Słowian, który się uważa za starożytnego i prawego właściciela ziemi. Poddani rosyjscy mawiają często: »Ciała nasze pańskie, ale ziemia nasza.«

Akt Kościuszki był pod tym względem daleko więcej ludowy, niżeli później konstytucya francuska dla Księstwa Warszawskiego. Nie miała ona najmniejszego względu na ten węzeł pomiędzy rolnikiem a ziemią. Dozwala mu iść, gdzie chce, ale opuszczając grunt, który od wieków potem swoim użyzniał, na którym znalazł życie: to prawo usamowolnienia w istocie jest tylko prawem tułania się, żebrania, śmierci głodnej.

Na tę szlachetną i pełną ludzkości propagandę Kościuszki Moskale odpowiedzieli machiawelstwem szatańskiem. Skłonili oni niecnego króla polskiego do wydania manifestu do panów, który straszy ich następstwami tej rewolucyi jakobińskiej. A w tymże samym czasie Moskale przebiegali sioła, wzywając chłopów polskich do wspólnego rabunku.

Spustoszenia przechodziły wszystko, co tylko wyobrazić sobie można. Wojska rosyjskie, prowadzące za sobą ogromną moc wozów, zabierały wszystko dosłownie, nawet przedmioty niekosztowne i najmniejszej wagi. Pewien jeniec polski z zadziwieniem widział, jak jenerał rosyjski Fersen, który przybył z całą rodziną na tę wojnę

o niewątpliwym skutku, prowadził z ogromnymi zasobami łupów wszelakiego rodzaju kilka także wozów cacek dziecinnych, któremi się bawił synek jego.

Nie należy zapominać, że ten najazd Polski był dla dworaków trzech współdzielących dworów tem, co nazywają dobrym interesem, jak dla dworzan Ludwika XIV-go odwołanie edyktu Nantejskiego.

Ulubieńcy Katarzyny, cesarza i króla pruskiego wypraszali sobie z góry te a te majętności polskie i mieli je sobie wydzielane. Ostatni ten monarcha, który dostał z rozbioru część najmniejszą, rozdał pomiędzy dworzan swoich za wiele milionów talarów dóbr w Księstwie Poznańskiem. Cóż dopiero za frymarki odbywały się w Petersburgu między kochankami Katarzyny a tymi, co pod ich imieniem robili interesa. Pałac, sypialnia, łoże tej starej niewiasty były targowicą, giełdą.

Moskale nie występowali nigdy przeciwko wojsku polskiemu, nie mając przynajmniej czterech na jednego, a przytem żołnierz wyćwiczony, zahartowany przeciw prostemu wieśniactwu. Nigdy Kościuszko we wszystkich dywizyach swoich nie miał ogółem więcej nad 33 tysiące ludzi. Gdyby nawet z temi słabemi siłami pobił był Moskali, mieli oni po za sobą w odwodzie Prusy i Austryą, któreby pospieszyły im były na pomoc.

W r. 92-gim Austrya wstrzymała zwycięstwo Kościuszki, w r. 94-tym Prusy mu je wydarły. Szóstego czerwca Kościuszko, upędzając się za Moskalami, dościga ich na pograniczu Krakowskiego, rozbija ich jazdę, łamie piechotę, zabiera działa... Śród zwycięstwa ukazuje się zdala 24,000 Prusaków pod dowództwem samego króla. Wydano rozkaz cofania się, któreby się zamieniło było na zupełną porażkę, gdyby Kościuszko nie zasłonił go kilkoma mocnemi szarżami, które wstrzymały nieprzyjaciela. Ubito pod nim dwa konie i sam dziesięć razy omal nie zginął.

Klęska ta była owocem zdrady zwiadów Kościuszki, które go nie zawiadomiły o zbliżaniu się Prusaków. Zdrada wydała Kraków w ręce Moskali. Dyktator Polski w tak wielkiem niebezpieczeństwie miał zaiste prawo zaprowadzenia sprawiedliwości doraźnej i nieubłaganej, którąby przejęła drżeniem przyjaciół nieprzyjaciela.

Nie miał po temu czasu, może hartu. Lud zrobił to w zapalczywości, czego władza nie zrobiła w sprawiedliwości. Dnia 9. maja wzniesiono w Warszawie trzy szubienice, na których powieszono trzech zdrajców, między innymi głównego ajenta Katarzyny, jednego z oprawców Polski, biskupa Kossakowskiego.

Dwudziestego piątego czerwca, na wieść o wzięciu Krakowa, tysiąc ludzi około uderza znowu na więzienia; wywleczono siedmiu więźniów, z których kilku na nieszczęście, nie tyle winni zdrady jak słabości, nie zasługiwali bynajmniej na śmierć. Ślepa zaciekłość ludu nie przebierała i wszyscy zginęli.

Cios to był okropny dla Kościuszki. »Wolałbym przegrać dwie bitwy!« zawołał. Owa rewolucya, do tej chwili tak czysta, pokalaną! Ów sztandar, bliski zatraty, miał upaść w krew!... Skutek polityczny takiego kroku był zresztą opłakany. Była to chwila, kiedy obwiniono Kościuszkę, Kołłątaja i Potockiego, jakoby chcieli uorganizować wielką rzeź szlachty. Możnaż się było spodziewać, że teraz, tak zaniepokojona, wyśle do boju swych poddanych?

Kościuszko, skoro miał ginąć, chciał ginąć sprawiedliwym. W tym tu razie dał uczuć dyktatorską swą władzę, zaledwie skądinąd widoczną. Rozkazał ukarać morderców i rozkaz wykonano. Lud warszawski pragnął coprędzej sam zmyć ciążącą na nim plamę; ale, jak w położeniu nieszczęśliwem wszystko staje się nieszczęściem, tak i tu skutkiem ukarania tego było ośmielenie tem większe zwolenników państw ościennych.

Naciskany przeważnemi siły Moskali i Prusaków, niewiele wspierany od swoich, Kościuszko cofał się ku Warszawie. Nieprzyjaciele jego przyznali geniusz wojenny, jaki okazał w tym odwrocie, a szczególniej zręczność, z jaką zasłaniał stolicę. Zagrażał jej król pruski i 1-go września miał już uderzyć do szturmu, kiedy niespodziewana wieść uspokoiła trwogę Warszawian. Z jednej strony Polska pod Prusakiem powstała; z drugiej Litwa zbroiła się przeciw Moskalom. Moskale i Prusacy odstąpili.

Krótka zwłoka, co zguby nie odwróciła! Warszawa miała paść pod razami dzikszego jeszcze wroga jak Niemiec. Fanatyczna armia Suwarowa przybywała z rozkazami śmierci. Suwarów głosił zawsze, że to na wyraźny rozkaz swojej najłaskawszej monarchini uskutecznił rzeź Pragi, jak poprzednio rzeź Izmaiłowa.

Armia ta posuwała się dwiema dywizyami, Fersena i Suwarowa. Kościuszko, osłabiony przez oddziały, które zmuszony był oderwać, miał zaledwie wszystkiego siedm tysięcy ludzi. Trzema tysiącami pilnował poruszeń Suwarowa, sam zaś na czele pozostałych czterech tysięcy próbował pobić Fersena.

Każdy widział bardzo dobrze, że trzeba było zginąć, uczcić ostatni dzień świetnym rycerskim popisem. Kościuszko zrobił przegląd i powiedział: »Kto chce, niech wraca do domu«. Nie znalazł się ani jeden, coby go chciał opuścić.

Zawiadomiony w nocy z 4-go na 5-go października, że jenerał rosyjski Fersen przeszedł Wisłę pod zasłoną gęstej mgły i był już tylko o mil 12, postanowił spotkać się z nim przed połączeniem się jego z Suwarowem. Tajemnicę wymarszu powierzył jedynie w. kanclerzowi Kołłątajowi i młodemu Niemcewiczowi, którzy mieli mu towarzyszyć. Niemcewicz był tak pewny, że idzie na śmierć, iż zdjął z palca sygnet i, oddając go Potockiemu,

powiedział z uśmiechem: »Schowaj mi go aż do mego powrotu«.

W ciekawych pamiętnikach swoich smutny maluje on obraz okolic, które przebywali w tem upędzaniu się za nieprzyjacielem. Wypoczywali po dworach, w których papiery, obrazy, sprzęty zalegały ziemię, porąbane szablą kozacką. Kilka starych obrazów antenatów wisiało jeszcze na ścianach, ale podartych, pokaleczonych, jak Polska sama; łupieżcy bawili się, wykalając oczy tym poważnym dygnitarzom. Przypadek zrządził, że pierwszy z tych spustoszonych dworów, w którym się zatrzymał Kościuszko, był właśnie pałacem księżny L.... Było to teraz nazwisko tej, którą tak bardzo kochał!

Miał cztery tysiące ludzi, Fersen miał 17 tysięcy; ale wyższość Fersena była daleko większą jeszcze pod względem artyleryi. Polacy, mając tylko trzy małe działka, niewiele mogli dokazać przeciwko 90 armatom najcięższego kalibru (a wedle niektórych nawet 150). Fersen, prawdę mówiąc, mógł się obejść bez staczania bitwy. Z równiny, na której ustawił swoje baterye, z łatwością zmiatał całą pozycyą, zajętą przez Kościuszkę. Do tego Polacy, mało mając amunicyi, nie mogli nawet utrzymać ognia. Nierówność środków wszelkiego rodzaju była tak wielka pomiędzy obudwoma wojskami, że Fersen nie raczył nawet wsiąść na koń; cały dzień chodził bez szpady, w swoim surducie z pluszu czerwonego, ubraniu najmniej wojennem.

Największą trudnością dla Moskali było posunąć się naprzód i prowadzić działa po gruncie bagnistym, w którym grzęzły. Lecz wreszcie ogromne ich koło ścisnęło i otoczyło ze trzech stron małą armię. Piechota polska, młoda ruchawka, od wczoraj zaciężna, znalazła tam wzniosły koniec. Przetrzebiona od kul działowych, zasypywana kartaczami, szczątkami swymi wreszcie wytrzymuje nieruchoma natarcie broni kolnej, uderzenie i okropne zbliżenie się siedemnastu tysięcy bagnetów.

Świadek naoczny, który nazajutrz widział ich, już odartych, okrywających swemi wielkiemi białemi ciałami pole, na którem walczyli, ziemię biednej ojczyzny swojej, którą tak mężnie bronili, czuł, że mu serce z żalu pękało, i zachował najkrwawsze, najtrwalsze wrażenie boleści.

Kościuszko, usiłując przynajmniej ocalić jazdę, utracił kilka koni pod sobą: wreszcie wsiadł na lichego konia, który się poślizgnął i zrzucił go nad brzegiem bagna. Podniósł się, kiedy chmara kozaków spadła na niego. Nieuważni, nie poznali dyktatora Polski w człowieku tak źle ubranym. Kłuli go spisami, wołając: k r y c z y p a r d o n! Ale on nie odpowiadał. Wtedy jeden z nich, zbliżając się i nacierając nań z tyłu, ciął z całej siły szablą i rozpłatał głowę i szyję aż po łopatki. Pod straszliwą tą raną upadł Kościuszko, a oni myśleli, że bez duszy.

XII.

Rosya ówczesna, tak jak teraźniejsza, miała fabrykę powiastek i wiadomości fałszywych, faktów podrabianych. Nasi emigranci, których tam było bez liku, pomagali dziełu kłamstwa i kłamali z dowcipem. Roztrębywano po gazetach, więcej nawet, ułożono w pieśni, w elegie, zmyślenie, które łatwowierność publiczna przyjęła w dobrej wierze. A przyjęto je tem lepiej, że było patetycznem, rozrzewniającem, że łzy wyciskało.

Przypuszczano, że nieszczęśliwy Kościuszko, czując się ranionym śmiertelnie, miał zrozpaczać o wszystkiem i zawołać: F i n i s P o l o n i a e!

Było to słowo konającego, słowo prawdziwe, zapewne słowo święte; jeden z owych wyrazów, co to wyrywają się, kiedy człowiek, oswobodzony od wszystkiego, słucha samej prawdy tylko. Bohater Polski, on, którego serce było Polską samą, przyznawał, że się skończyła, zostawiał ją przeznaczeniu, przekazywał ją w puściznie zwycięscy.

Kościuszko zostawał przez dwa lata w więzieniu moskiewskiem, później długo w Ameryce, i nie wiedział o niczem. Kłamliwe podanie miało czas rozszerzyć się i ustalić. W 1803 r. powtórzył je jeszcze w swojej historyi pan de Ségur, dawny dworak Katarzyny, luby poeta, co napisał nagrobek dla jej pieska. Wtedy dopiero Kościuszko wystąpił z mocą, z oburzeniem przeciwko temu kłamstwu.

Jakżeż można w istocie przypuścić, aby ten wielki mąż, co był samą skromnością, mógł był wyrzec te dumne słowa: że z jego śmiercią umarło wszystko, i koniec Polski.

Podobne słowa, niegodne w ustach każdego Polaka, w ustach człowieka, któremu Polska powierzyła swe losy, byłyby zbrodnią, zdradą.

Reklamacya ta, tak sprawiedliwa, przeszła niepostrzeżona prawie, lub ją stłumiono. Cała literatura (która niczem jak kopią, rutyną, odgrzewaniem) powtarza po dziś dzień jeszcze bez odmiany słowa wynalazku rosyjskiego: Finis Poloniae.

Otóż rzeczywiście jak się rzeczy miały. Kościuszce zadano dziesięć kroć tyle razów, ile potrzeba na zabicie człowieka; ostatnie cięcie powaliło go bez zmysłów, a z ust jego ani jedno słowo nie wyszło. Przez 48 godzin zostawał tak bez przytomności, bez pulsu i bez mowy. Kozacy otoczyli go, nie posiadając się z żalu, że go pozbawili życia. Wiedzieli oni doskonale, że to był ojciec ludu. O niczem nie prawiono, jedno o prostocie jego bohaterskiej i umiłowaniu biednych. Wszyscy Moskale poczynali go uważać jakby za świętego.

Katarzyna, ludzka i nieludzka, wedle tego, jak jej nakazywała polityka, przykazała dwie rzeczy Suwarowowi: aby dał krwawą naukę Polakom w rodzaju Izmaiłowa, i stąd poszła rzeź Pragi, w której dziesięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci wymordowano bez różnicy; ale jednocześnie przykazała Fersenowi największe względy

dla Kościuszki. Czuła Katarzyna kazała go sprowadzić do siebie, aby go lepiej pielęgnować; wysławiano pod niebiosa jej ludzkość, nazywano Kościuszkę ulubieńcem carycy. Wszyscy dali się uwieść do tego stopnia, że niektórzy Polacy udawali się do Kościuszki, aby uzyskał dla nich wolność!...

Jakiekolwiek były te względy, rzeczywiste czy udane, dość że nie przychodził bynajmniej do zdrowia. Ciągły upływ krwi utrzymywał go w nadzwyczajnem osłabieniu; jedną nogą zupełnie nie władał, a władze umysłowe były jakby sparaliżowane. Powtarzał do samej śmierci, iż żałuje, że tak źle był opatrywany przez chirurgów moskiewskich. Trzebaż sądzić, że w tem wielkiem cesarstwie nie było ani jednego człowieka biegłego, lub też, że ludzie biegli, nie zbyt świadomi rzeczywistej myśli swej pani, nie śmieli przyprowadzić do zdrowia Kościuszkę?

Po dwuletniej przeszło niewoli, Kościuszko wciąż jeszcze z niezgojonemi ranami, z głową obandażowaną, widzi nagle przed sobą coś podobnego do Tatara, istotę małą, brzydką bardzo, bez nosa.

Był to nowy cesarz, Paweł I. Matka jego Katarzyna właśnie co była umarła. »Jesteś wolny, rzecze doń Paweł; jeżeli nie oddawna już, to dlatego tylko, że i ja nie byłem wolny.« Kościuszko nic nie odrzekł: z wzruszenia nie mógł ust otworzyć: zdawał się marzyć i usiłował pochwycić z trudem wątek myśli. Wreszcie przychodząc do siebie: »A moi przyjaciele, czy będą wolni?« spytał cesarza.

Ten nie mniej był wzruszony, patrząc na Kościuszkę. Sparaliżowany, chory i nadzwyczajnie osłabiony na umyśle, bardzo nerwowy, skłonny do łez, pełen nieufności, dziecinnych obaw, naokoło siebie widzący szpiegów: byłby rozrzewnił najtwardsze serca. Wpatrując się weń uważniej, widać, że był raniony, ale głębiej jak było ciało, do dna samego moralnej istoty swojej.

Widząc ten smutny szczątek, sam car i syn jego Aleksander czuli, że mają łzy w oczach. Aleksander płakał, nic nie mówiąc.

Ten biedny Tatar, Paweł, którego podobnież jak ojca uduszono, był trochę waryat jak on, ale miał serce poczciwe. Był on bardzo przeciwnym rozbiorowi Polski; »Teraz, jakżeż oddać, mówił, tę Polskę? Prusy i Austrya zechcąż także oddać część swoją?.... W tem zachodzi trudność!«

Dobre te usposobienia Pawła nazajutrz już znacznie nadwerężyli zdrajcy Polacy, co, zaprzedawszy kraj Moskalom, nie posiadali się z gniewu, widząc Pawła z takiem poszanowaniem dla Kościuszki. Oddano mu wolność, ale jedynie pod warunkiem, że przyjmie od cesarza znakomity dar w dobrach ziemskich. Tem przyjęciem okupił pozwolenie udania się do Ameryki. Cesarzowa, małżonka Pawła, piękna i polityczna osoba, była dlań nader ujmującą przy odjeździe; chciała go osobiście pożegnać. Prowadzono przez apartamenta Kościuszkę, w temże samem krześle na kółkach, które niegdyś służyło Katarzynie; młoda caryca prosiła go o przysłanie jej zboża z Ameryki i darowała mu przepyszną tokarnię; była to jedyna zabawka Kościuszki w jego niemocy.

Pierwszem jego staraniem, stając na ziemi amerykańskiej, było podziękować cesarzowi i zwrócić mu otrzymane od niego dobra. Stany Zjednoczone, wdzięczne swemu dawnemu obrońcy, wypłaciły mu jako żołd zaległy sumę 150,000 franków. Połowę przeznaczył Kościuszko na usamowolnienie włościan w niewielkiej majętności w Polsce, należącej do jego rodziny, drugą zaś połowę na wykupno murzynów i wychowanie dziewcząt kolorowych.

Nic bardziej nie dowodzi rzeczywistej oryginalności charakteru Kościuszki, jak żywe wrażenie, jakie wywierał na lud, na prostaczków, na barbarzyńców, kiedy przeciwnie mędrkowie, literaci z rzemiosła, niczego nie mogli

J. GUMPLOWICZ. KRAK. W PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 6
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

się w nim dopatrzyć. Nodier, który go widział w Paryżu, znalazł go nudnym; zowie go »nieznośnym Tatarem«. Przeciwnie w Ameryce dzicy Indyanie przyjęli go z najwyższem uwielbieniem; te plemiona, nieszczęśliwe, ale prawdziwie bohaterskie, nie mylą się na bohaterach. Naczelnik pokolenia Creeków poprzysiągł mu wieczną przyjaźń; na samo imię Katarzyny, na opowieść o jej podstępnych knowaniach, potrząsał swoim toporem w najokropniejszej wściekłości. »Ona nie wie, wołał, ta kobieta, co mój przyjaciel może jeszcze zrobić!«

Kościuszce, doznającemu tak dobrego obejścia w Ameryce, było zadaleko od Polski. Przybył do Francyi i zamieszkał w Fontainebleau, w głębokiej zaciszy, u pewnego Szwajcara, przyjaciela swojego. Tam doznał największych pociech, jakie go w tem życiu spotkać mogły; stamtąd śledził oczyma cudowne zjawisko, odrodzenie się wojskowe Polski, szczytne zaprzeczenie, jakie legiony polskie zadały kłamstwu moskiewskiemu: Finis Poloniae. Legiony te, zmieszane z naszemi, napełniły całą Europę odgłosem narodowej swej pieśni: Jeszcze Polska nie zginęła!

Młoda rzeczpospolita rzymska, która oswobodzenie swe po większej części zawdzięczała legionom polskim, ofiarowała im w dowód wdzięczności szablę Sobieskiego, którą przechowywała w swoich przybytkach: dowódzca legionów, sławny Dąbrowski, ofiarował ją w ich imieniu Kościuszce.

Oręż ten, zawieszony na ścianie skromnego domku wielkiego męża, musiał tam spoczywać bezczynnie. Kościuszko nie chciał służyć ani Aleksandrowi, ani Napoleonowi. Wiedział on dobrze, że dwaj panowie świata nie zrobią nic dla Polski.

Kościuszko, w pozornej prostocie swojej, osądził doskonale Napoleona. Oficerom polskim, którzy go odwiedzali, powiadał, że powinni pokładać nadzieję we Francyi, ale nie w cesarzu. Któż mógł być

w istocie oswobodzicielem Polski w jej położeniu strasznem? Tylko potężny dawca swobody, tylko śmiały rewolucyonista. Niepodległość narodowa nie zakwitnie tam nigdy, jeno na rewolucyi radykalnej i głębokiej. Oczekiwać jej od tego, co zniszczył rewolucyę francuską, byłoby było szaleństwem.

Kiedy Napoleon, zwycięsca Prus, stanął wobec Polski, u bram tego ogromnego i groźnego świata północy, byłoby mu było na rękę wydobyć Kościuszkę z jego ustronia. W istocie sam dobrze nie wiedział, czego chciał. Kościuszko był proporcem narodowym Polski, nie można było oddzielić ich od siebie, bo oboje(!) jedno stanowili. Napoleon chciał pokazać ten proporzec, ale bynajmniej nie myślał o zabezpieczeniu tej narodowości.

Już dawniej miał myśl szczególniejszą umieszczenia Kościuszki w owym zbiorze szczątków przedpotopowych, który nazywano senatem. Na co oburzony bohater odpowiedział dość porywczo: »Do senatu? I cóżbym tam robił?«

W roku 1806 nowe usiłowania. Posyła doń, kogo? Fouchégo. Sam wybór podobnego pośrednika był już rzeczą nikczemną. Posyłać tego człowieka policyi, zdrady i krwi, w dom ów niepokalany i święty!... Ach! i jakżeż obmyć miejsce, gdzie nogi jego stąpiły?

Ci, co zachowali wspomnienie gwałtownej i strasznej policyi Bonapartego, wiedzą, jak złowrogie wrażenie rzucało w dom cały wejście tej policyi. Na to też zapewne liczono. Myślano zastraszyć, nie Kościuszkę, ale rodzinę Zeltnera, na łonie której żył, rodzinę zagraniczną, a przeto tem bardziej wystawioną na prześladowania. Liczono na wpływ, jaki ta zastraszona rodzina mieć będzie nad swoim gościem. Pomimo to jednak pozostał nieugięty.

»Nie wdaję się wcale do waszych przedsięwzięć z Polską, powiedział Kościuszko, jeśli jej nie zapewnicie rządu narodowego, swobód konstytucyjnych i dawnych

granic.« »A jeśli zabierzem cię przemocą?« rzecze grubiańsko policyant. »Wtedy ogłoszę, że nie jestem wolny!« »Obejdziem się bez ciebie.«

Umiano rzeczywiście obejść się. W kłamliwej proklamacyi z 3. listopada 1806 cesarz kazał powiedzieć Polakom: »Niebawem Kościuszko, powołany przez wielkiego Napoleona, przemawiać do was będzie swoimi rozkazami.« Otoczony policyą Fouchych i Sawarych, Kościuszko w odosobnieniu, jakiem go otoczono, długo nie wiedział o nadużyciu, jakiego się dopuszczono z jego imieniem. A choćby i był wiedział, przez jakiż dziennik, jakąż drogą wiadomości publicznej dałby był poznać swoje zaprzeczenie w tej Europie oniemiałej?

Napoleon, jak wiadomo, nie zrobił nic dla Polski, nic dla jej swobód wewnętrznych i zewnętrznych. Prawo francuskie, biorąc wieśniaka polskiego za dzierżawcę czynszowego, ogłaszało go wolnym, to jest wolno mu było odejść, porzucając ziemię, która go żywiła. Nie zrozumiało ono starożytnego węzła, nadającego włościaninowi pewien rodzaj współdziedzictwa. Był on przywiązany do ziemi, ale też i ziemia była przywiązaną do niego. Prawo to, przez nieświadomość, było nader stronnicze na korzyść szlachcica, przyznając mu prawa bez obowiązków, uważając go za właściciela bez pewnych warunków.

Wreszcie upada Napoleon, a Francya ponosi karę za błędy cesarza. Najazd barbarzyński zalewa nasze sioła. Wszędy pełno kozactwa. Zawitali i do Fontainebleau. Po dziś dzień jeszcze pokazują w lasach tamecznych jaskinię, do której chroniły się drżące niewiasty. Klęski te rozdzierały serce Kościuszki; znosić ich nie mógł. Wychodzi przeciw łupieżcom; zastaje ich, jak ze swawoli palą nieszczęśliwe chaty wioski, która im nic nie zawiniła. Wpada na nich śmiało, a poznając pomiędzy nimi kilku Polaków: »Nieszczęśni! zawoła, kiedy dowodziłem prawdziwym Polakom, ani jeden nie myślał

o rabunku!...« »A tyś co za jeden?« mówili podnosząc szable. »Jenerał Kościuszko.«

I oto ci ludzie, jakby piorunem rażeni, rzucają się gasić pożar, który sami wzniecili. Moskale ze wszech stron pielgrzymują do domku Kościuszki, na ich czele hetman kozacki, stary Płatów, który nigdy bez łez tego spotkania nie wspominał.

Wiadomo, w jak mistycznem usposobieniu znajdował się Aleksander po cudownem oswobodzeniu Moskwy i niepodobnem swem zwycięstwie nad tym, co się był zjawił na ziemi jako zwycięstwo wcielone. Wierzył on, że wszystko zawdzięcza Bogu. Pierwsza myśl świętego przymierza była szczerą istotnie. Ale przymierze to nie mogło być rzeczywiście świętem, nie odpokutowawszy, nie zwróciwszy źle nabytego mienia. W tem była trudność. Jaki przyjąć rok normalny, do któregoby się wrócono? Jeżeli 89ty, wprawdzie powróconoby do starej monarchii francuskiej, ale także musianoby powrócić, złożyć na nowo rzeczpospolitę polską. Jeżeli 94, nie było już wówczas Polski, aleby wtedy należało przywrócić wielką Francyę republikancką, obejmującą Niderlandy, Holandyą, Sabaudyą i Genuę. Skończyło się na zaniechaniu wszystkiego. Zawarto święte przymierze bez żadnej podstawy moralnej. Europa, prawowita i monarchiczna, urządziła się wedle prawa mocniejszego: każdy został przy tem, co zabrał.

Aleksander przechowywał jeszcze pewną chętkę sprawiedliwości. Widząc się z Kościuszką: »Czego chcesz?« rzekł do niego. Kościuszko, rozwinąwszy w milczeniu mapę, wskazał na Dniepr, dawną granicę Polski. — »A więc dobrze, tak się stanie, odparł Aleksander.«

Powątpiewano o tej odpowiedzi. Ale sam Kościuszko w liście do księcia Adama Czartoryskiego (z dnia 13. czerwca 1815) zapewnia, że Aleksander przyrzekł jemu i kilku innym Polakom rozszerzyć Polskę aż pod Dniepr i Dźwinę.

Egzaltacya religijna Aleksandra podówczas czyni tę rzecz zupełnie wiarogodną. Myślał o przywróceniu. Jednego razu, w licznem zebraniu dam rosyjskich, zdjął ze ściany krucyfiks, poprzysięgając, że nie zatrzyma ani tyle Polski, co się zmieści na dłoni. Kobiety, uniesione szczególniejszym patryotyzmem, zaczęły płakać.

Nie wiedziały one, że właśnie niesprawiedliwe posiadanie Polski wstrzymuje i wstrzymywać będzie wszelkie ulepszenia w Rosyi.

Kościuszko żądał, aby w przeciągu lat dziesięciu stopniowo usamowolniono włościan i zabezpieczono im grunta ich; Aleksander nie skłaniał się ku temu. Zmiana taka w Polsce pociągnęłaby w Rosyi ogromną rewolucyą.

Kościuszko przekonał się niebawem, że cesarz nie dopełni nic z tego, co przyrzekł. Widok wojsk sprzymierzonych, które objadały Francyą, był dlań nieznośnym. Wyniósł się do Szwajcaryi. Stamtąd to napisał (w liście do Czartoryskiego) owe słowa, pełne szlachetności i smutku: »Cesarz wskrzesił imię Polski; ale imię, to nie dosyć... Poświęciłem się w ofierze za ojczyznę, ale nie, żeby ją widzieć ścieśnioną do owego kawałka ziemi, co szumnie przystrajają mianem Polski.«

Ostatnie dni jego upłynęły w wielkiej smętności. Nie mógł, nie chciał powrócić do ojczyzny, takiej, jak ją uczyniono. Nieżonaty, bez rodziny, prócz rodziny, której był gościem, zbliżał się do kresu życia i co chwila wyglądał śmierci na obcej ziemi. Razu jednego ktoś mu zaśpiewał znany wierszyk francuski:

Od gałązki oddzielony,
Biedny listku wysuszony,
Gdzie lecisz? — Nie wiem, gdzie lecę....
Niewstrzymanej burzy siła
Nagle dąb ten wywróciła,
W którego byłem opiece.

Był nim do głębi wzruszony i przepisał go sobie natychmiast. Widział w nim obraz swój, biednego, sta-

rego wygnańca, obraz także ojczyzny swojej, miotanej wiatrami północy, śród tylu przygód.

Mało kogo widywał, wyjąwszy: ubogich i dzieci. Dzieci wywierały nań wpływ osobliwszy, zwłaszcza mała dziewczynka, córeczka gospodarza jego Zeltnera, której zajmował się nauką.

Miłosierdzie jego było niewyczerpane. Codzień prawie wyjeżdżał konno, niosąc wsparcie ubogim, wino dla chorych. Chętnie rozmawiał o ich sprawach domowych, słuchał ich z zajęciem i okazywał im względy, za które byli mu jeszcze wdzięczniejsi jak za wsparcie. Nie przemówił do najlichszego żebraka, nie uprosiwszy go pierwej, aby nakrył głowę.

Gospodarz jego wyjechał razu jednego na wronym koniu Kościuszki, na którym on zwyczajnie jeździł, i był zdziwiony, widząc, jak ten towarzysz samotnych przejażdżek jego zatrzymywał się za każdą razą, skoro tylko spostrzegł człowieka w ubogiej odzieży, zdradzając tym sposobem dobre serce, miłosierdzie swojego pana.

Zwyczajnym celem jego przechadzek była pustelnia św. Wereny, niedaleko Solury. Tam siadał u stóp granitowej kolumny, otoczonej drzewami, wystawionej na cześć jednego dobrego Szwajcara czasów dawniejszych, który, wstrzymując od bratobójczej wojny pomiędzy Szwajcarami, rzucił się poprzed wylot działa. Kościuszko lubił wypoczywać pod tym pomnikiem ludzkości. Częstokroć przesiadywał tam całe pół dnia, aż do zachodu słońca, pogrążony w podziwianiu tego ogromnego widoku, obejmującego Alpy i Jura, i nie mogąc się oderwać od swego religijnego dumania.

Był już bardzo bliskim swojego kresu, kiedy miłe zawitało doń poselstwo. Przez całe życie zostawał on w związkach listowych z tą, co wznieciła w nim pierwszą miłość, a która była żoną magnata polskiego. Mąż szanował to czyste i święte uczucie. Umarł, a wdowa pisze do Szwajcaryi, do Kościuszki, mającego wówczas

71 lat, że ona i majątek jej należą do niego, że została nareszcie wolną i że spieszy do niego. Przybywa, znajduje go, ale już bez życia. Nie miał pociechy ujrzeć w ostatniej godzinie ową kobietę, tak statecznie kochaną.

Umarł 1817 roku na łonie rodziny Zeltnerów, unosząc z sobą tkliwe żale wszystkich narodów. Wszystkie opłakiwały oną osobę niewinną i świętą, a przytem bohaterską.

O popioły jego upomniała się Polska; wprowadzone z wielką okazałością do katedry krakowskiej pochowano obok popiołów Sobieskiego. Ale pomnik ten nie był dosyć ludowym. Trzy lata pracowano nad wzniesieniem mu godniejszego: pomnik olbrzymi, wielki jak serce ludu, istna góra, ręką jego zbudowana, a z materyału najczystszego; z marmuru? nie, ani z granitu; ale z ziemi ojczystej, z ziemi, którą miłował!

XIII.

Co się stało z Polską po Kościuszce.

Nie podołano jej zabić.

Strudzony wędrowiec prosi o gościnność. »Jaki kraj twój?« pytają. »Jestem Polakiem,« odpowiada. W ubiegłem stuleciu powiedziałby lub dałby do zrozumienia, że jest szlachcicem polskim. Dziś tego nie potrzeba; wszyscy Polacy są szlachtą w oczach Europy.

Taką chwałą okryło się wychodźtwo polskie, jego legiony, jego bohaterowie, męczennicy, że cała Polska przez nią uszlachcona. Moskwa, mimo wiedzy, ozdobiła cały naród klejnotem rycerstwa.

Pokażcie mi, jeśli zdołacie, jednego człowieka z Litwy lub Galicyi, coby chciał powiedzieć: »Jestem Rosyanin lub Austryak,« gdy może powiedzieć: »Jestem z krainy Bema lub Dembińskiego.«

A to przeświadczenie wyższości tkwi nie tylko w duszy ludzi klas wyższych. Przechodzi ono codziennie

w duszę wieśniactwa. Ostatni z Polaków, zakuty, wleczony w sołdaty moskiewskie, sknutowany, wycieńczony głodem, kiedy upada w drodze i powstaje, dźwigniony spisą kozacką, czuje, że jest męczennikiem sprawy polskiej, czuje się w zacności swej, uważa się za równego tych wszystkich, co cierpią za Polskę. W wojsku, skoro przybywa, stawa obok, w jednym szeregu z najmożniejszymi, najświetniejszymi rodem ziomkami, oddawanymi w sołdaty, wystawianymi na pierwszy ogień celnych strzelców kaukaskich. Tym sposobem dzięki Rosyi tworzy się pomiędzy Polakami węzeł silny bardzo, jakiego bez niej nie mieliby może nigdy, coby nazwać można braterstwem boleści i równością męczeństwa.

Narodowość polska, innemi czasy słabiejąca, nabrała dzięki Bogu cudownej siły i żywości. Można to było widzieć niedawno w Księstwie Poznańskiem. W Galicyi nawet chłop, co, podżegniony, przekupiony od Niemca, zabijał swojego pana Polaka, nie chce bynajmniej być Niemcem i gniewałby się, gdyby go tak nazwano.

Gdyby Rosya miała zamiar ożywić i wzmocnić narodowość polską, postępowałaby sobie tak zupełnie, jak postępuje w celu wytępienia jej. Przy dobrem obejściu prowincye litewskie, dawniej zagarnione, możeby się były zwolna pojednały z nowemi swojemi pany. Ale Rosya, zdaje się, jakby umyślnie dokładała starań, by wpoić w serca ich niczem niezatarte uczucie i żal za Polską. Ogromem podatków, kwaterunkami, okrucieństwem poboru i służby wojskowej tak się dała we znaki, że ze łzami wspominają nam dobre czasy za rzeczypospolitej. Każda wioska, co rok w żałobie i rozpaczy, widzi uprowadzanych synów swoich, ginących bezpowrotnie. Sam namiestnik, Paskiewicz, wyprawiając roczny kontyngens, przypadający na jedną z majętności swoich, powiedział niedawno: »Widzisz tę setkę ludzi, przeznaczonych w sołdaty; wszyscy zginą na Kaukazie; dobrze, jeżeli choć jeden powróci.«

Jedność Polski wzmocniła się tym sposobem podwójnie. Zespolone położeniem, niedolą i żalami obie połowy królestwa (Polska i Litwa) ściślej jeszcze spaja ów spólny zasób podań wojennych, zaszczytnych i chwalebnych wspomnień bohaterskiego braterstwa, jakiemi wzbogaciły ich dzieje lat ostatnich. Ciaśniej związane z sobą, żyją jednem tylko sercem.

Polska wreszcie, pomimo wszystkiego, co mówią, była zawsze państwem jednolitem, naturalnem, powstałem bardzo prawowicie, tak prawie jak Francya. Tak w jednej jak i w drugiej (jak w każdem ciele porządnie uorganizowanem) harmonijna dwoistość jest środkiem jedności. Pomiędzy owemi dwiema połowami (Polską a Litwą) mniejsza zachodzi różnica, jak między Francyą południową a północną; nie masz tam owej uderzającej różnicy Prowensala od Flamanda.

Państwa, które się Polską podzieliły, są przeciwnie różnorodne i sztuczne zupełnie: Prusy to mozajka, Austrya karykatura, Rosya to potwór.

Powstała na tle straszliwej pajęczyny, w tem jest najszczególniej potworną, że łapy nie trzymają się bynajmniej cielska. Gdyby nie olbrzymie ściśnienie, utrzymujące całość w skupieniu, rozleciałyby się na wszystkie strony. Cielsko, kadłub, to 30 milionów (?) prawdziwych Moskali; łapy (Syberya, Litwa, Finladya itd.) nienawidzą kadłuba i chciałyby się odeń oderwać. Kozacy trzymają się jedynie nęceni korzyścią materyalną, jakiej używają w tak wielkiem państwie jako służba policyjna; zresztą gardzą Moskalami. Jedyni, co silnie trzymają się Rosyi w tych odśrodkowych posiadłościach, to Niemcy Inflant i Kurlandyi, którzy zajmują w państwie pięć szóstych urzędów, którzy rzeczywiście rządzą, którzy stanowią biurokracyą a powoli i szlachtę: zapełniają oni ją w liczbie ogromnej, czynownicy bowiem po kilku latach służby zostają szlachtą.

Rosya nic nie znaczy w Rosyi. Narodu tam nie ma; jest tylko biuro i bat; biuro, to Niemiec, bat, to Kozak.

To też uczyniło rozbiór tak łatwym; Rosya była rządem, z narodem lub bez narodu; Polska zaś narodem bez rządu.

Pozostała ona prawie na stanowisku państw XVI wieku przed centralizacyą. Miała wiele życia, ale rozpierzchłego po całym obszarze. Życie to nie było ześrodkowane; zabijając w niej przeto to, co miała centralnego, nie zabito nic zgoła.

Wrogowie Polski wiedzą o tem dobrze. Dzieło ich zdaje się im samym tak sztuczne, tak nietrwałe, iż, uprzedzając upadek jego, w którymby sami przepadli, zachowali sobie straszliwe lekarstwo; pielęgnowali oni jak najstaranniej zaród wojny socyalnej, tak, iżby w dniu, w którym Polska wzięłaby się do oręża, można w dwudziestu miejscach przeszyć ją sztyletem.

Ciekawa to rzecz, przyjrzeć się sposobom, jakich używał machiawelizm nieprzyjaciół Polski, ich praktykom rozlicznym ku rozdmuchiwaniu nienawiści; mechanizm przemyślny, którego widowisko w piekle radość budzić musiało nad wszystko inne. Ale nie!... piekło jest tu na ziemi.

Tu zmuszano pana pozostać panem wbrew jego woli. Tam robiono go urzędnikiem, narzucając mu przemocą urzędy znienawidzone od ludu.

. . . . . .

Austrya w Galicyi zmniejszyła pańszczyznę, ale skazując jednocześnie szlachtę na wykonawców ciemięstwa austryackiego, na wybieraczy podatków i rekruta.... Żwawe przedstawienia ze strony szlachty nie uzyskały najmniejszego skutku.

Od 1843 do 1846 r. proszą i błagają Austryi, aby im pozwoliła poprawić los włościanina, znieść pańszczyznę, zamienić ją na czynsze. Rząd niby przychylnie

odpowiada, przewleka tymczasem, stawiając tysiące przeszkód, a z swej strony cichaczem organizuje przeciwko nim rzeź 1846 r. Miasto korzyści możliwych i dalekich, płaci gotówką tyle a tyle za głowę szlachcica.

Taktyka Rosyi nie mogła być taż sama. Zagrożona tak bardzo sama w sobie buntami chłopstwa, ograniczyła się dotąd na dwóch rzeczach: z jednej strony kładła tamę wszelakim ulepszeniom, zamierzonym przez panów polskich; z drugiej nie opuściła żadnej sposobności wprowadzenia chłopa w mniemanie, że chciałaby go usamowolnić, opiekować się nim, uwolnić go.

W tem, jak we wszystkiem, nie było nigdy człowieka zmienniejszego, fałszywszego, jak cesarz Aleksander. Kiedy Napoleon nabawiał go strachem i kiedy uważał za stosowne pochlebiać Polsce, zażądał od kilku filantropów polskich wypracowania projektu do konstytucyi: »Przedewszystkiem, mawiał do nich, przynieśmy ulgę losowi biednego wieśniaka«. Doręczone sobie plany rzucał w ogień. Silniejszy w 1818 r. okazał się prawdziwym Moskalem. Szlachta litewska, zebrana w Wilnie, oświadczyła wyraźnie zamiar usamowolnienia włościan; Aleksander ukazem zabronił »myśleć o tem usamowolnieniu«. Ci, którzy przemawiali w tym duchu, ulegli prześladowaniu. Wkrótce potem nowy ukaz zabronił tworzenia szkółek wzajemnego uczenia, które panowie zakładali dla swoich włościan, a nawet zamknął przystęp do szkół wyższych młodzieży, nie mogącej udowodnić szlacheckiego pochodzenia.

Pierwszym aktem oswobodzicieli Polski w 1831 r. (mianowicie na Podolu), nim wzięli się do oręża, było uświęcenie go oświadczeniem, że chłopi są ich równymi braćmi. Nie było nic łatwiejszego, jak uwłaszczyć ich, w kraju bynajmniej nie ciasnym jak Francya lub Anglia, mającym mnóstwo odłogów, w kraju, gdzie dobra narodowe w niektórych województwach zajmują połowę całkowitego ich obszaru. Był to plan ministra skarbu, sła-

wnego Biernackiego. Panowie, opuszczeni przez część swoich włościan, którymby wydzielono grunta z dóbr rządowych, zatrzymaliby pozostałych pod najkorzystniejszymi warunkami. Wiadomo, jak szybko postępowały wypadki, i jak szlachetne te zamysły utonęły we krwi razem z Polską.

Wszelakie ulepszenia napotykały w rządach owych stanowczych przeciwników. Widzieliśmy, co zrobiła Austrya.

Nawet towarzystwa wstrzemięźliwości, ustanowione celem podniesienia ludu wiejskiego z moralnego upodlenia, napotykały na tysiączne zawady ze strony Austryi i Rosyi. Ukazem rosyjskim zabronione było przemawianie z ambony przeciwko pijaństwu.

Wszakżeżto w karczmach żydowskich Austrya uknuła przeciw-powstanie, w którem pijane chłopstwo wyrzynało oswobodzicieli kraju, co w owej chwili właśnie ogłaszali usamowolnienie włościan i darzyli ich własnością.

Wobec tej ohydnej propagandy, jaką Austrya i Rosya szerzą w łonie Polski, a która dzięki Bogu na jednem tylko miejscu powiodła się im skutkiem cale wyjątkowego położenia, należałoby wykazać inną propagandę.

Mówię o działaniu dziwnem, tajemniczem, jakie Polska mimo wiedzy i chęci samym faktem cierpień swoich i bohaterstwa wywiera na Rosyą. Zemsta, jaką odnosi nad nieprzyjaciółką swą, jest, że ją demoralizuje, że rozwija w niej niesłychaną siłę rozprzęgającą. Milcząc, nie działając, zdaje się, jakby zamąciła jej serce, zwichnęła jej umysł, osłabiła go, obłąkała. Zadziwiająca łatwość, z jaką Polska zmagnetyzowała Rosyą, ma swoje źródło w smutnej nader tajemnicy, którą musimy rozjaśnić, w próżni niezmiernej, jaką miała w sobie Rosya, w zniszczeniu wewnętrznem, jakiemu ulegała zwłaszcza od stu lat osta-

tnich. Boleść polska, przechodząc przez duszę rosyjską, nic w niej nie napotkała... tylko nicestwo.

XIV.

Jak zabito Rosyą?

Dziejopis rosyjski Karamzyn zatrzymuje się na wstępie wieku Piotra Wielkiego, u podwoi okresu świetnego i zgubnego, kiedy Rosya wzrasta jako państwo, upada jako szczep i naród, okupując blask zewnętrzny utratą swej rodzimej żywotności.

Wiadomo, że ten prawdziwy Rosyanin w poufnych memoryałach do cesarza Aleksandra pisanych w celu zbicia jego wolnomyślnych zachętek i jego myśli usamowolnienia, nie przeczył, aby Rosya innemi czasy nie mogła była przywiedzioną być do wolności. Ale, mówił dalej, rozszerzone pomiędzy Rosyanami niepomiarkowane użycie gorących napojów, zastraszające powodzenie, jakiego doznały po całem państwie kabaki cesarskie wódek, nie przysposabiają ich zgoła do usamowolnienia.

Uwaga Karamzyna jest słuszna; tylko że zastanawia się on nad pojawem zewnętrznym; należało pójść dalej, rozważyć, co pojaw ten znaczy. Jeżeli Moskal zanurza się, to nie w wódce; jeżeli chwilę zapomnienia okupuje ciągłem spodleniem i postępowem znikczemnieniem w krwi samej, to dla tego, że utracił do szczętu to, coby niegdyś utrzymywało jego duszę.

Rosyanie znakomici, których znam, szlachetni, pełni dowcipu, są tak dalece ukształceni, tak dalece żyli życiem i książkami zachodu, iż zdaje się, że nader mało posiadają poczucia własnego narodu. Są to Francuzi, i to błyszczący Francuzi, ale bynajmniej nie Rosyanie. Nie widzę w nich głębokości naiwnej, jakiejby potrzeba ku wyśledzeniu i dokładnemu pojęciu upadku i śmierci moralnej tej nieszczęśliwej ludności.

W przeciągu trzech wieków najświetniejszych w świecie, kiedy wynalazki przynajmniej podwoiły naukową puściznę rodu ludzkiego, Rosya, sama jedna tylko, nic nie wydała. Pozostała niemą w tym wielkim koncercie narodów.

Smutny znak, niech mówi kto, co chce. Przytaczają Rzymian, »którzy umieli tylko walczyć i panować«. Mylą się. Rzymianie pokryli świat użytecznymi pomnikami; obdarzyli go owym rozległym systematem praw, którego po dziś dzień się trzymamy. Żyją oni dziełami swemi. Ale niech zniknie Rosya, jakiż pomnik zostanie po niej? To namiot, dziś rozpięty wśród pustyni, jutro zwinięty.

Winaż to ludu rosyjskiego, że pozostał bezpłodnym? Nie, bez wątpienia. I któryżby płodnym był, cierpiąc to, co on ucierpiał?

Nigdzie nie znajdziesz więcej dowcipu, jak w wyższem towarzystwie rosyjskiem. Lud, co więcej, posiada rozmaitość zdolności, giętkość działania, rzutkość pomysłów, wielokształtny geniusz, co zadziwia a niekiedy czaruje. Jakim cudem zachował on jeszcze te szczęśliwe przymioty wśród straszliwych doświadczeń, które przebyć musiał? Tego pojąć niepodobna.

Był to, powtarzamy, lud zupełnie południowy krwią i duchem, bardziej ujmujący, jak silny, nie bardzo moralny, mało stateczny, ale łagodny, potulny, z łatwością kochający.

Niezasłużona wziętość z siły i oporu, jakiej używa w oczach Europy, stąd pochodzi, że sądzą o Moskalu jedynie z żołnierza rosyjskiego, nie pomnąc, że Rosya przeciw naszemu młodemu żołnierzowi wyprowadzała zawsze swoich starych żołnierzy, i że na ich ukształcenie potrzebowała lat dwudziestu. Ową nieruchomość machinalną nadają im jedynie, trzymając ich przez całe życie pod sztandarem, powiedzmy raczej, pod kijem. Otóż, jak ustalają Moskala: tworzą żołnierza, zabijają czło-

wieka. Przez tę okropną karność, mają maszynę, dusza przepadła; Rosyanin zginął.

Lud ten, w przeciągu dwuchset lat, przebył trzy operacye okropne, z których najmniejsza mogłaby sprowadzić wytępienie geniuszu jakowego ludu.

Około r. 1600, w epoce, kiedy poddaństwo znikało w Europie, poczyna się ono w Rosyi. Ów lud, najruchawszy ze wszystkich, wcielono do ziemi, wkorzeniono w rolę. I oto, zanim wiek upłynął, przybyły do tej nieruchomości poddanego rolnego wszelakie nędze i spodlenia poddaństwa.

Około r. 1700, w chwili, kiedy narodowości nowożytne odrożniają się i wyszczególniają z taką oryginalnością i siłą, Piotr Wielki (czy Piotr naśladowca?) wypowiada wojnę narodowości swojej ojczyzny; zabrania Moskalom być Moskalami, strzyże, goli ich, przerabia na Niemców. Straszliwa powódź zagranicznych intrygantów zalewa, opanowywa Rosyą. Nie wyszli oni z niej, a jednak tam panują. Zajęli miejsce szlachty. Dworacy i ulubieńcy, biurokraci i panowie, podwojonem ciemiężstwem, cesarskiem i pańskiem, zgnietli, spłaszczyli duszę rosyjską. Zniweczyć jej nie mogli; zabili ją. Owóż druga operacya.

Trzecia, którą wyjaśnimy zaraz, najokrutniejsza ze wszystkich trzech może, jestto operacya, która się odbywa obecnie we własności i warunkach poddaństwa. Tutaj znowu, i więcej jak kiedykolwiek, zobaczym Rosyą, idącą po raz trzeci na wstecz Europy. Pod pozorną nieruchomością dąży ona rakiem w barbarzyństwo. Okropny postęp wbrew przyrodzie! Poddaństwo nie dość już barbarzyńskie, wraca przeto do starożytnej niewoli.[1])

---

[1]) Utrzymują śmiało, że w straszliwym tym wzroście nędzy ludność szybko się zwiększa. Ale któż może powiedzieć z pewnością, jak się rzecz ma istotnie? Któż zna Rosyą? Pan Falloux powiedział z mównicy z znakomitą odwagą nieświadomości: »Rosya w 98 r. miała trzydzieści trzy miliony dusz, (Skąd to wie?)

Najdziwniejsza w tych smutnych nowościach, tak sprzecznych z duchem europejskim, że Rosya myśli, iż naśladuje Europę, a naprzód Niemce. Głęboki geniusz niemiecki w trzech idealnościach swoich, filozofii, muzyce

---

a dziś ma siedmdziesiąt milionów«. (Skąd to wie?) W istocie: cóż myślą Moskale i przyjaciele Moskwy, rzucając na los szczęścia te romansowe liczby? Zastraszać Europę. Ani wątpić, że komunizm rosyjski nieoględnością swoją sprzyja wzrostowi ludności, ale taż sama nieoględność, mordercza w takim klimacie, dziesiątkuje ją bez miłosierdzia, zwłaszcza w pierwszych latach. Ogromna większość dzieci na to się tylko rodzi, aby zaraz i umierać. Jakim sposobem Rosya mieć może prawdziwą statystykę? Statystyka wszelaka poczęta od wczoraj. Francya, jedyne państwo, coby ją mieć mogło jako scentralizowane najlepiej, nie była w stanie nawet w 1826 r. przyjść do rzeczywistego obliczenia (zob. pod tym względem prace nader zdrowego sądu pana Villermé). Ostatni dostrzegacz i najpoważniejszy, jaki zwiedzał Rosyą, p. Haxthausen, mimo całego poszanowania swego dla rządu rosyjskiego, przyznaje, że na dokumentach statystycznych, które ogłasza, nie można bynajmniej polegać. Utrzymuje on z wielu przyczyn, że nie można wiedzieć, ile wynosi ludność miast, która jest nadzwyczajnie ruchoma. Co do Rosyi wiejskiej, ta jest tak mało znana, że po lasach znajdują się wsie, których policya nawet z nazwisk nie zna; są to szczególniej różnowiercy, którzy chronią się przed prześladowaniem religijnem. Ludność wałęsająca się jest niezmierna; dużo zmienia miejsce pobytu, ażeby zmienić sposób utrzymania. Ci, co przyjmują do swoich majętności zbiegłych poddanych, i tym sposobem nabywają ich, celem ukrycia zapisują ich pod nazwiskiem jakiego zmarłego poddanego; stąd to owe zdumiewające długoletności, jakie w Rosyi tylko napotkać można. Nie jeden żyje tam dwa albo trzy wieki ludzkie, 150 lat i więcej. Czy ludność się powiększa? Zwolna, jeżeli sądzić można o całem państwie z kilku gubernii lepiej znajomych, naprzykład z Charkowskiej, która w 1780 r. miała 800,000 dusz, a w 1838 r. wzrosła do 1,150,000. (Zob. dzieło szczegółowe i szacowne Paska o gubernii Charkowskiej).

Wreszcie, czy ludność wzrasta mniej więcej szybko, to rzecz podrzędna, w porównaniu innej, nie ulegającej najmniejszej wątpliwości: że pokolenia nikczemnieją w swej energii, sile i żywotności. Dość spojrzeć w czasie przeglądów i to najpiękniejszych, przeglądów gwardyi rosyjskiej na te biedne, wybladłe twarze, te oczy zagasłe, bez życia. Pokolenia widocznie się zmieniają od lat trzydziestu, tak wzrostem nędzy, jak nadużyciem gorących napojów.

i poezyi, właśnie naśladowany najmniej. Niemiec nie idealista, to smutna natura człowiecza. Rosya właśnie tego Niemca przyswaja sobie. Piszczyk i kapral, biuro i kij, oto co przejęła od Niemiec.

Poddaństwo przez to ociężało okrutnie, stając się pedanckiem i systematycznem, jak ekonom Niemiec, zarządzający dziś dobrami. Pan rosyjski, sam płochy, zmienny i kapryśny, przepuścił nie jedno uwidzenie poddanemu. Niemiec nie przepuszcza nic. Pod nudną jego karnością skonał ze znużenia biedny geniusz słowiański z niepodległą swą ruchomością, z rzewnemi melodyami, z lekkiem życiem, swobodnem jak ptaszek leśny.

Ów śpiew przeciągły człowieka, co z pozoru żywy i wesoły, to była dusza sama Słowianina. Z ustaniem jego ustaje wszystko. W tej posępnej krainie milczenia zaledwie ozwie się w głębi lasów jaka pieśń dawna, rzucona z cicha. Język wysycha, mowa ustaje w tej krainie. Spojrzyj na lud kozacki, lud niegdyś poetę; zaniemiał od chwili, w której popadł w ręce lodowate Moskali.

Zdawało się po dwa kroć, że lud ten, ocucony, ukrzepiony, wzbije się do lotu, wróci do życia, zajmie miejsce pomiędzy narodami. Suwarow, Moskal prawdziwy, przebiegły waryat, trefniś, nabożniś, obudził duszę rosyjską, uniósł ją na chwilę. Napoleon i r. 1812, niebezpieczeństwo Moskwy świętej, car wzywający s w o j e d z i e c i, dobywający z ołtarza relikwie i rozkazujący obnosić je przed wojskami, to wszystko było potężnem wstrząśnieniem ludowem. Było też silne wrażenie: iść do Francyi, zobaczyć Paryż, Moskwę zachodu, dowiedzieć się, że Rosya to nie cała ziemia. Senny obraz został po tem wszystkiem i z ust do ust przekazywane opowieści. Nic wszakże nie wskazuje, aby stąd powstały legendy. Dusza rosyjska za chora i cierpi za wiele, by tak igrała z kwieciem poezyi. Raczej skłania się do przeczenia.

Rzecz nie małej wagi zastanowiła ich mocno; powoli dowiedzieli się nareszcie, że car spalił Moskwę. Długo, pełni uszanowania, pełni uczuć synowskich, uporczywie zaprzeczali, aby o j c i e c i c h mógł się takiej rzeczy dopuścić. »To Francuzi«, mawiali. Stało się światło nareszcie, pomimo wszelakich zaprzeczań. Nie tylko, że ostatni cesarz spalił miasto święte, ale nadto teraźniejszy zwalił je i to w czasach najzupełniejszego pokoju. Przestawia, przekształca Kremlin z barbarzyńską obojętnością na odwieczne świętości ludu rosyjskiego. Na otwartym rynku, przez licytacyą wyprzedawał szanowne sprzęty dawnych carów (by je zastąpić nowymi), stolec Iwanów, Dymitra Dońskiego.

Carowie szczepu niemieckiego za każdą chwilą objawiają głęboką nieznajomość ludu, któremu panują, i najlepszej jego strony.

Przykłady:

Mikołaj nie wiedział, jaką siłę przysięga ma u Moskala, i że, raz przysiągłszy, czuje się on mocno zobowiązanym i nie pierwej wolnym od przysięgi, dopóki prawnie, według wszelakich form nie będzie od niej zwolniony. Wstępując na tron, zażądał bezzwłocznie i bez żadnych objaśnień natychmiastowego posłuszeństwa od wojska, które niedawno złożyło przysięgę Konstantemu. Stąd straszny ów i tak prawowity bunt, z którego korzystali spiskowi.

Aleksander nie znał podstawy życia rosyjskiego, rodziny. Inaczej monarcha ten, bynajmniej nie okrutny, nie byłby podejmował barbarzyńskiego przedsięwzięcia swoich osad wojskowych. Zdawało mu się zupełnie naturalną rzeczą wprowadzić gościa nieznanego, żołnierza, w ciasną chatkę wieśniaka, położyć żołnierza pomiędzy żoną jego a córką. Aby pożenić żołnierzy, rozdzielonych pomiędzy gminę, nie łamano sobie głowy. Wszystkie dziewczęta wiejskie z jednej strony, z drugiej żołnierze, razem ciągnęli numera. Numer I. żołnierzy żeni się

z numerem I. dziewcząt, i na tem koniec. Powstawały stąd straszne bunty. Kozacy stawili nieugięty opór tym gwałtom. Kije, knuty nic nie pomagały. Dali się szarpać na kawałki a nie słuchali rozkazu.

Co niemniej zastanowienia godne, a przynosi nieskończony zaszczyt sercu Moskali, to wrażenie, jakie sprawiły na nich nieszczęścia Polski. Widzieliśmy to już w chwili, kiedy unoszono z pola bitwy Kościuszkę. Ale nadewszystko w pamiętnikach to Niemcewicza czytać należy o początkach tej reakcyi moralnej. Żołnierze rosyjscy, pod których strażą zostawał, w polskim więźniu swoim mieli jedynego powiernika. W nocy, nie bez narażenia się, przychodzili do niego, wzdychać i jęczeć, wynurzać przed nim życzenia swoje, zapytywać, czy nie ukrócą im służby wojskowej, czy ujrzą kiedy biedne swoje domy.

Otóż jak Polska przenika, owłada duszę rosyjską. Jeden Polak więzień w cytadeli, jeden przydzielony do pułku, wstrząsa i zamąca wszystko. Co zrobił? Nic. Zajęczał w nocy. I od tej chwili poczęło się wstrząśnienie moralne; wzrasta, szerzy się. Poczynają zastanawiać się, rozumować. »Ów więzień, to człowiek przecież, cierpi, nie wygląda na zbrodniarza«. Od dnia, w którym żołnierz rzekł to do siebie i począł się zastanawiać, od dnia tego, powiadam, serce jego w buncie.

Na czem było zbudowane to państwo? Na wierze, na wierze bydlęcej, barbarzyńskiej, ślepej, bez litości, nawet dla siebie, prowadzącej za sobą śmierć ducha i osoby. Kiedy ów bojar, wbity na pal z rozkazu Iwana, przez dwa dni swego okropnego konania krzyczał: »Boże zbaw cara!« wonczas zaprawdę państwo rosyjskie było niezachwiane.

Przez co się chwieje? Powiadam, przez zwątpienie. Zwątpienie wstąpiło w nie. A na zaszczyt natury ludzkiej litość sprawiła tu więcej jeszcze jak wszystko inne.

Któż nie zna, z rycin przynajmniej, świątnicy Rosyi, Kremlina, owych potężnych i dziwacznych murów, owych pałaców olbrzymich, w których przeziera duch mongolski, a które można nazwać skamieniałością grozy. Te potwory z czarodziejskiego świata, żyły, zdaje się, i przemieniły się w kamień, patrząc na Iwana Groźnego. Nadaremnie Napoleon ściągnął nań rękę, nadaremnie straszliwy pożar zalał go płomieniami: Kremlin stał niewzruszony.... Za dni naszych słabieje, granitowe węzły jego chwieją się, i chwilami szczyty wieżyc, niby pijane, kołyszą się.... Dlaczego? ach! dla drobnostki. Powiew w głębi gmachów jego, skarga w podziemiach jego cerkiew, głuchy jęk w grobowcach cesarskich... Wszyscy słyszeli go, oprócz jednego... To coś, słabe a silne, co wstrząsa wieżami, cóż to jest?... Westchnienie!

Westchnienie święte przyrody przeciw wyrodnemu światu, jęk pomięszany boleści dwóch narodów!... Nie zamknął się on tam; wzbił się, spotężniał jak tucza... Nie przepadł wśród lasów, bagien; opanował je, i lasy poczęły jęczeć, wody szlochać, sosny płakać poczęły!

Pojrzyjcie: on człowiek bez troski o jutro, płochy i smętny zarazem, co śpiewał przy pracy swą przeciągłą piosnkę, śpiewał już dosyć, a teraz rozważa, wstępuje w myśl. Myśleć on będzie teraz i zawsze.

A całą myśl jego wypowiem wam jednem słowem, streszczającem ją całą, i wielką zmianę, dopełniającą się od lat trzydziestu w jego losie: Zrodzony poddanym, umiera niewolnikiem.

Poddanym będąc, tkwił on w ziemi, był drzewem, pełnem rezygnacyi jak drzewo; wegetował nędzny i spokojny. Nierozważne ciemięstwo panów wyrwało go z ziemi.

Panowie, odrywając części dóbr swoich na sprzedaż lub podziały, mniemali, że krają ziemię tylko, a oni pokrajali człowieka. Żył on nie tyle w sobie, jak w gromadzie; oni rozbili ową całość żywą, w której układało

się do harmonii w odwiecznym komunizmie całe życie wieśniaka rosyjskiego. Ziemia, przechodząca z rąk do rąk w kole gromady, jak czara krążąca na godach, to moralny zasób Słowianina.

Nie dość na tem. Po rozbiciu gromady i podziele ziemi, nawet udział ziemi tej uszczuplili mu. »Jeśli rodzina twa zbyt liczna, idź, szukaj chleba, cieślo, ogrodniku, flisie na Wołdze; idź i przynoś nam pieniądz.«

To okrutnie, niesprawiedliwie! Jeżeli był poddanym ziemi, był poddanym ziemi a nie poddanym ruchomym; był poddanym w rodzinie, w gromadzie, otoczony pociechami, ulgami pracy wspólnej, mniejsza o to, poddaje się losowi, idzie. Ale wtedy to nie dosyć; pobudowali ogromne domy, w obrzydzeniu u Moskali, straszne galery, co zowią fabrykami, rękodzielniami, gdzie ludzie sprzedani, pracują i umierają pod batem. Sprzedani? nie, mylę się, cesarz, człek ludzki, zabronił sprzedawać; wynajmują człowieka na lat 90!

Biedne plemię, łagodne, słabe, owładnięte zupełnie uczuciami przyrodzonemi, co widziało państwo w rodzinie, a w panu ojca!... Był to widok śmieszny i rozrzewniający, kiedy nowy pan przybył do wioski; płakali wszyscy z radości: »Batiuszko!« wołali; padali na kolana, opowiadali swoje niedole, wszelakie sprawy domowe; wielu w głos się przed nim spowiadało.

Ojciec nad ojcami, car! cóż to było, wielki Boże! W modlitwach łączyli cara ziemi i cara niebios.

To uczucie synowskie, tak silne w duszy rosyjskiej, na jakież próby wystawiane nie było? Ojcemże ów pan chciwy, co sprzedaje swych ludzi? Ojcemże ów car, co taką słabą tarczą, że wolą poddaństwo jak wyzwolenie?

Ten świat, co traci powoli ideę swoją, swoją starożytną podstawę, ojcostwo, nie opiera się jeszcze na podstawie nowej, na prawie, na samorządzie człowieka.

O pustynio, o czczości, o nicestwo! Już bez ojca. Jeszcze bez prawa.

Nie tak puste i smutne owe stepy tatarskie, gdzie ziemia naga, słona, bezpłodna, ze wszystkich bogactw przyrody ma tylko dziki świst wiatru sybirskiego.

Rząd rosyjski dokonywa w tej chwili rzecz straszną. Utrzymując bezwzględny rozdział i jakby kordon zdrowia pomiędzy mieszkańcami Rosyi a resztą świata, nie wstrzymuje bynajmniej tych ludności od utraty ich dawnej idei moralnej, a wstrzymuje od przyjęcia idei zachodniej: coby je usadowiła na podstawie nowej. Trzyma je w czczości i nicestwie moralnem, bez obrony przeciw nagabaniom złego ducha i pokusom na puszczy.

Kiedy mówią, że ktoś z nas, z ludzi zachodu, dotknięty zwątpieniem, niewiarą, nigdy w tem nie ma bezwzględnej prawdy. Ów być może wątpiącym w historyi a niezachwiany, pełen wiary w fizyce, w chemii. Każdy tu wierzy w coś, dusza nigdy czczą nie jest. Ale tam w owym świecie ciemnym zupełnie, barbarzyńskim, który utrzymują w czczości duchowej, wyradzającej się w tradycyjną, gdyby człowiek staczał się po pochyłości zwątpienia, nicby go na niej nie wstrzymało, nic nie przeciwważyło; mielibyśmy straszliwy widok demagogii bez idei, bez zasady i uczucia. Lud, coby posuwał się ku zachodowi ruchem ślepym, straciwszy duszę, wolę, i uderzający na oślep, to automat straszny, niby trup nagalwanizowany, co uderza i może zabić jeszcze.

Któż wybawi Rosyą od tej piekielnej zatraty, a Europę od konieczności wytępienia tego olbrzyma pijanego i szalonego?

Przedewszystkiem biedna Polska.

Co Rosya ma najlepszego w tej chwili, i co ją łączy z ludzkością i z Bogiem, to poruszenie serca, które wzbudziła w niej Polska.

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 6
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

XV.

Co Polska może uczynić tymczasowo.

To wszystko, cośmy powiedzieli o nicestwie moralnem, w jakie popada Rosya, niczem jest w porównaniu tego, co powiedzieli w tej mierze sami Rosyanie. Stan ten tak jest bolesnym, że zakneblowane, okagańcowane, biedne te niemowy z głębi swojej otchłani milczącej dobyły przecię głosu. Wielu, jak sławny admirał Czyczaków, głośno zrozpaczyło, opuściło ojczyznę. Inni, zostając w kraju, okupili życiem szczęście godziny wolności, wołając: »Rosya umarła!«

Smutną tę tajemnicę odgadnąć można było w rozpacznych utworach jej ostatnich poetów, pełnych żałoby, ironii sceptycznej. Ale pośrednie te wyznania nie zadowolniały duszy rosyjskiej; zbyt skrępowaną się czuła.

Naraz, w piśmie zazwyczaj nieśmiałem i bladem, w Telegrafie Moskiewskim, artykuł, przepuszczony przez niebaczność cenzury, zatrząsł całą Rosyą. Artykuł ten z podpisem Czadajewa był nagrobnym napisem cesarstwa, autora także. Wiedział on, że pisać takie rzeczy byłoto poddać się śmierci, więcej jak śmierci, katowniom i więzieniom nieznanym. Przynajmniej pofolgował sercu. Z wymową żałobną, z spokojnością przerażającą napisał o swoim kraju jakoby testament śmiertelny. Żąda odeń liczby ze wszystkich goryczy, na jakie wskazują tego, co chce myśleć, rozbiera z głębokością rozpaczliwą, nieubłaganą, męczarnię duszy rosyjskiej; wreszcie, odwracając się ze zgrozą, przeklina Rosyą. Powiada jej, że po ludzku nie istniała nigdy; że wyobraża jedynie pewien niedostatek umysłu ludzkiego; oświadcza, że przeszłość jej była nieużyteczną, obecność zbyteczną i że nie ma żadnej przyszłości.

Cesarz rozkazał zamknąć tego człowieka w domu obłąkanych, ale Rosya z sercem na wskroś przeszytem uwierzyła, że on miał słuszność.

Zamilkła. Od 1842 r. ani jednego utworu rosyjskiego, ani dobrego, ani złego. Straszny ten artykuł w istocie zamknął i zapieczętował wieko grobowe.

W grobie tli iskra.[1]) Nie piszem się bynajmniej na klątwy Czadajewa.

Na dole widzim lud słaby, ale tem sprężystszy, że może się jeszcze podźwignąć. I podźwignie się on kiedyś braterstwem Polski.

Na górze widzim ludzi nielicznych, ale przedziwnych, ale bohaterów! Jakżeż inaczej nazwać mężów 14-go grudnia, onych, co sami jedni, w samej paszczy smoczej, odważyli się na krok ów śmiały!... Jakież inne dać miano chwalebnemu męczennikowi Bakuninowi, dziś zakutemu w kajdany, zagrzebanemu w ciemnicach Munkacza?... Ach! serce wielkie, duszo zacna, bracie ukochany Polski i Francyi, przebacz mi, żem wypowiedział te surowe rzeczy o kraju, który miłujesz! Bóg świadkiem że, jeśli niekiedy ręka mi zadrżała, kreśląc te słowa o Rosyi, to o tobie myślałem (o tobie, którego nie znam) ciebie jedynie bałem się zranić. Gdyby trafem książka moja przebiła mury twojego więzienia, niechaj ci powie, że serca nasze przepełnione tobą a oczy nasze łzami, myśląc o tobie, i że świat czuje ciężar kajdan twoich.....

I czemuż, pomimo naszego żywego, naszego gorącego współczucia dla wielkich patryotów rosyjskich, uwa-

[1]) Iskra! nie byłażby ona w wybornej broszurce, właśnie co ukazującej się? Autor, urodzony Moskal, lecz uposażony skądinąd najszlachetniejszą krwią reńską, pisze w mowie naszej z siłą bohaterską przedzierającą osłonę bezimienności a ukazującą wszędzie wielkiego patryotę. Czytałem i po dziesięćkroć odczytywałem ją z osłupieniem. Zdawało mi się, że widzę w niej dawnych bohaterów północy, kreślących bezlitośnem żelazem wyrok temu nędznemu światu. Niestety: to nietylko potępienie Rosyi, to potępienie Francyi i Europy. »Uciekamy przed Rosyą; ależ wszystko Rosyą jest; Europa, to ciemnica.« Dopóki Europa ma takich ludzi, dopóty wszakże nie ma co jeszcze rozpaczać. (Du développement des idées révolutionaires en Russie, par Iskander.)

żaliśmy za obowiązek wypowiedzieć tak swobodnie zdanie nasze o Rosyi? Bo niestety! niepodobna nam było dotąd rozróżnić ludu rosyjskiego od rządu, który go przygniata. Widzimy ich samotnych jeszcze, tych znakomitych obywateli. Są oni raczej obywalelami świata, jak Rosyi. Bunty częste zdarzają się w tej krainie; ale rewolucya, kiedyż nadejdzie? Ku temu potrzeba spólności wyobrażeń, a tej nic jeszcze nie zapowiada.

A więc musimy uważać Rosyę ryczałtem, tymczasowo i poprostu jako siłę, siłę barbarzyńską, świat bez prawa, świat nieprzyjazny prawu, który w kierunku tym żadnego nie czyni postępu, który idzie wstecz i wraca do starożytnych barbarzyństw, który przyjmuje cywilizacyę nowożytną dlatego jedynie, aby rozprządz świat zachodni i zabić samo prawo.

Świat prawa ma granice tam, gdzie je miał w wiekach średnich, po Wisłę i Dunaj.

Rosya przyjmuje od nas samo złe tylko. Wsiąka w siebie, przyciąga do się cały jad Europy. Oddaje go pomnożony i zjadliwszy.

Przyjmując Rosyę, przyjmujemy cholerę, rozprzężenie, śmierć. »Jakto! filozofowie!« odzywa sie do nas swoim najsłodszym glosem młoda szkoła rosyjska, kwitnąca w czasopismach naszych:[1]) »oddalacie się od braci waszej?... Gdzie filozofia? Gdzie miłość ludzkości?«

---

[1]) Wiadomo, jak szczelnie zamknięta Rosya dla dzienników i czasopism europejskich. Jedno z naszych wyjęte jest od tego, za szczególną protekcyą cesarza. Starają sie, aby się dostawało aż na Sybir. Skądże tyle względów? Musimy powiedzieć, a opieramy się w tem na świadectwie tych, co lat niemało przeżyli w onem piekle lodowem. Pismo francuskie, przepełnione pochwałami Rosyi, jest właśnie najpewniejszym środkiem wprowadzenia w błąd nieszczęśliwych jego czytelników co do myśli Francyi, przekonania ich, że świat stanowczo nawrócił się ku złemu, zagaszenia ostatniej ich nadziei na ziemi. Wyobraźcie sobie w tych ostatnich kończynach północy, wśród nocy wiecznych, nieszczęśliwego Polaka (jenerała Kopcia naprzykład, zesłanego do Kamczatki), jak sili się przy świetle zorzy północnej,

Taką jest propaganda rosyjska, nieskończenie rozmaita wedle ludów i krajów. Wczoraj mówiła do nas: »Jestem chrześcianinem«. Jutro powie nam: »Jestem socyalizmem«.

Używa dziennikarzy, ludzi światowych, niewiast dowcipnych i czarujących... Jakżeż nie przyjąć czary z pięknych rąk Medei?

Tu artykuły,[1]) ryciny nawet zręcznie wystawiane na przechadzkach naszych. Nad Dunajem to plosnki rosyjskie puszczane w obieg, układane przez poetów urzędowych cesarza, by skłonić Serbów, Bułgarów itd. do oddania się w ręce opiekunów Rosyi.

W Polsce propaganda ta przybiera piętno złowrogie, przypominające knowania Austryi przed galicyjską rzezią.

Rosya użyła strasznego środka ku pozyskaniu wzięłości u chłopa: okrutnego prześladowania żydów, ponawianego okrutniej corocznym zaborem ich dzieci. Ohydny pochlebca ludu, co, nie czyniąc mu nic dobrego, zawodzi po niedolą innych! Ustanowiono prawda i komisyę celem polepszenia losu włościan. Zaniechana i bez

---

by odczytać owe karty napisane w mowie ukochanej, w mowie Francyi jak chciwie szuka jakich dobrych wieści: a tu widzi Francyę umarłą! Co za domiar męczarni!... Takto Rosya, ona mistrzyni udręczeń, znalazła sposób rozdarcia na nowo serc już rozdartych, podwojenia podbiegunowych ciemności, przydania jeszcze jednego stopnia lodowego do zimna, łamiącego stal. Tak, rozpacz przychodzi od nadziei chcę mówić, od Francyi! Ach! co za cios mistrzowski: trzeba złożyć broń; wszystkie katy prześcignione!

[1]) Nawet dzieła, i to treści poważnej. Pan Alexis de Saint-Priest, syn księżniczki rosyjskiej i z rodziny obsypanej dobrodziejstwami przez Moskwę, odpłacił okazale dobrodziejstwa tej przybranej ojczyzny. Napisał on w »Revue des deux Mondes« Historyę rozbioru Polski, w której winę kładzie po stronie ofiar. Francya otworzyła mu tajemnicze swe skarby dyplomatyczne. Mógł swobodnie wybierać z nich wszystko, co potrafiło ubarwić najazd rosyjski; napisał książkę pełną talentu, któraby była nią więcej jeszcze, gdyby nie była tak bezczelnie stronną.

skutku, pomimo to budzi ona jednakże w chłopach myśl, że cesarz zajmuje się nimi.

Cóż pocznie teraz dziedzic polski? Stoi pomiędzy dwiema przepaściami.

Rosya podburza przeciwko niemu chłopa, powiada mu: »On nic dla ciebie nie robi!«

A niechże teraz popróbuje zrobić coś, to człek podejrzany, zgubiony. Naraz pod jakimś pozorem, porwany wrzucony do skrzyni, roztrząśniony na śmierć tysiącmilową drogą, pójdzie zamieszkać na zawsze krainę, z której się nikt nie wraca.

Wiem aż nadto, Polacy, pod strasznym tym rządem trudno wam odmienić los ludu. Większa część reform odroczona z konieczności do chwili oswobodzenia.

Moralnie możecie wiele. Jeżeli prawo bezsilnem, jeśli czyn wzbroniony, nic wszakże nie potrafi skrępować serca.

Wolnoż mi objawić życzenie, zapragnąć rzeczy możliwej, której wzbronić nikt nie potrafi? Znieście, o ile można, pośredników oddzielających was od włościanina; odprawcie rządzcę, ekonoma. Zajmujcie się sami ziemią waszą i tymi, co ją oblewają potem swoim. Żyjcie wśród nich, z nimi, kochajcie ich, a wszystko obróci się na dobre.

»Trzeba kochać, aby być kochanym«, mawiał jenerał Hoche.

Ów lud żąda od was więcej niż swobody, więcej niż własności, na którą tak bardzo zasłużył, więcej jak równości społecznej: żąda on nadewszystko przyjaźni.

Znamy waszą wielkość serca. Ci, co kochali nawet katów swoich, mogliżby nie kochać biednych swoich złomków?

Wieśniak ma powód kochania waszej dawnej rzeczypospolitej polskiej, która żądała odeń tak małego, tak lekkiego podatku, w porównaniu z dzisiejszymi, która go chroniła od barbarzyńców pod zasłoną owego ludu-

rycerza o milionie lanc, z którego ani jeden mąż przez ciąg wieków gdzieindziej nie umierał jedno na polu bitwy.

A wy, synowie onych rycerzy, miłujcie, podziwiajcie ów lud, co w strasznych zapasach waszych, tak bardzo nierównych przeciwko Rosyi, dał wam owych walecznych kosynierów, postrach Moskwy, co bił się, nie pytając, czy odzyskana wolność będzie dla niego, co w legionach polskich uszlachcony, sam rycerzem pod sztandarem Francyi szedł porówno z wami i cudami waleczności stanął z wami w równości chwały.

Narodowość polska, zagrożona tak srodze, poszarpana w granicach swoich, skruszona w życiu najgodniejszych swych mężów, prześladowana z zaciekłością i przez samowolę i przez prawo. Od was przecież zależy podźwignienie jej i odbudowanie mocniejszą, jak kiedykolwiek była. Tą razą niechaj się dźwignie poza granicami ustaw, gdzieindziej jak w państwie, które zawsze uległe ciosom. Załóżcie ją w duszy ludzkiej, w tym przybytku wszelakiego życia: zapuśćcie jej korzenie tam, gdzie ręka ciemięzcy nie sięga, w zobopólnej miłości i braterstwie.

Jeśli wam czyny wzbronione, nie wzbronione uczucia. Chciejcie, kochajcie: oznaki tego uzna każdy. Braterstwo serca, równość dobrowolna, objawiają się z łatwością. Jeżeli nie możecie jeszcze odmienić stanu społecznego mieszkańców wiejskich, możecie odmienić ich ducha. Zabroniono wam zakładać dla nich szkoły; ależ każdy z was jest szkołą. Nie zasklepiajcie się w samotnych dworach waszych, by tęsknić, czekać, umierać, by odwracać w łonie ostre żelazo boleści. Przestąpcie progi wasze, idźcie pomiędzy lud, podzielcie prace jego, zstąpcie na zagon, pójdźcie za pługiem, rozpowiadajcie im o tylu rzeczach, o których nie wiedzą niestety, a które są sercem serca, najgłębszą treścią ich istoty. Ten lud okropny skutkiem długiej niedoli przestał już znać samego siebie. Gdyby się ocknął! gdyby poznał się znowu! O ileżby to go

podniosło! jakże gorący i potężny balsam oywczy-wniknąłby w pierś jego!.... Oświata, jakiejby mu pzo trzeba, nie na tem zależy, aby go nauczyć na chwilę czytać (bo bez książek i potrzebnego czasu jutro jużby zapomniał). Czego mu potrzeba i coby chciwie przyjął, to własne wspomnienia swoje, odświeżone i ocknione, to pełne chwały starożytności swe, to Polskę samą. Rozpowiadajcie mu o waszych wielkich wojnach z Turkami i Europie przez was obronionej: powiedzcie mu o Janie Sobieskim, oswobodzeniu Wiednia, ocaleniu Niemiec; powiedzcie mu o owym papieżu, który posłom polskim, proszącym go o relikwie, powiedział: »Azaliż każda garść ziemi waszej nie jest relikwią męczeńską?«

. . . . . .

. . . . . .

Nie mówię wam, abyście się zaparli wierzeń waszych, Polacy. Wiem, jesteście ludem wiernym; odstępować nie umieliście nigdy. Tej wiary, nie żądam, abyście się wyrzekali, ale zrozumcie ją, rozszerzcie, zwiększcie. Długo, jak wszystkie dzieci, powtarzaliście słowa; dziś, mężowie wiekiem i boleścią, czas wam już przebić się do myśli. Widzieliście Boga na ołtarzach waszych w obrazach z kamienia; poczujcie go teraz w rodzie ludzkim, w obrazie jego ciała. Religia świata już nie owa samolubna wiara, co osobno pracuje nad zbawieniem swojem i pojedyńczo idzie do nieba. Ona zbawieniem wszystkim przez wszystkich, bratniem przysposobieniem ludzkości przez ludzkość....

Któż za dni naszych nie czuje w wnętrzu swojem odzywającego się Boga? Któż w godzinach boleści, sercem nie przeczuwa przyszłości?

Ale nie dosyć widzieć i czuć tylko, potrzeba chcieć jej, i ogromnem rozszerzeniem serca przyjąć z góry wszystkie ofiary, jakich świat nowy jutro od nas zażąda.

Któż nie będzie miał do złożenia ofiar? Z którejkolwiek spojrzę strony na narody, co czynnie wystąpić

mają w nowym dramacie świata, widzę, że przed wszelkim czynem Bóg zażąda od każdego z nich ofiary z tego, w czem się rozmiłował najbardziej, w ogólności z zastarzałych wad, wad ulubionych, pielęgnowanych w głębi duszy. Do Włoch rzeknie: »Złóżcie mi dawne niesnaski wasze, waszego ducha wyłączności i pychy miejscowej; żądam z nich ofiary; w jedności tylko pozyskacie wolność«. Do Niemiec powie: »Oddajcie mi dwie wady umysłu waszego, sprzeczne a jednak złączone przez was, szkolarstwo i marzycielstwo. Oddajcie mi ospałość waszych filistrów. Oddajcie mi waszą wiarę w księgi, we wszystkie kłamstwa pisane«. Do Węgier powie: »Waleczny ludu! oddaj mi dumę twoją: oddaj dawną twą królewskość.... Bądź bratem pośród braci... Królewskość znaczyż tyle co braterstwo?...«

Nieprzyjaciel, to najmniejsza w przyszłej olbrzymiej walce Wróg straszny w nas jest, w nas złe, którego się lękać trzeba!... A Francyaż! Pomyśleć nie śmiem o tem wszystkiem, czego Bóg zażądać ma od niej, aby się godną stała podnieść rękę do czynu! Ach! ludu, który Anglia nawet nazwała żołnierzem bożym, pomyśl, jakiego oczyszczenia dostojność taka wymaga od ciebie! Wszakci rycerstwo, pomnij to dobrze, nie miało prawa przepasać oręża przed oczyszczeniem duszy i ciała, przed kąpielą obmywającą zmazy....

Któż uprzedzi świat cały w ofierze przedwstępnej, w przedwieczorzu bitwy? Polska, jak zawsze.

I nieomieszkała też. Pierwsi synowie jej niektórzy, złożyli na ołtarzu ofiarę niesłychaną, ogromną... nienawiść Moskwy!

Reszta łatwiejsza. Mniejszych daleko potrzeba ku temu wysileń. Ależ bo od małych do wielkich, od wielkich do małych. Polska wewnątrz zbratnia się, kocha sama siebie.

Polegam tu, w tem nowem objawieniu serca owego ludu, nie na samych tylko Polakach, ale na was szcze-

gólniej, Polki!... Niewiasty narodu tego dzierżyły zawżdy początkowanie. Wśród najstraszliwszych niebezpieczeństw, wśród najwielkoduszniejszych usiłowań, nie opuszczały one swych małżonków. Miłość nie czczem słowem w Polsce. Towarzyszą im w bitwach, towarzyszą na męczeństwo. Złowrogi szlak sybirski okrywały długie rzędy niewiast polskich z dziećmi na ręku, z pokrwawionemi nogami, towarzyszących zakutym mężom swoim, pędzonym pod spisą kozacką. Podejmując te długie męczarnie i ubłogosławiając je swoją świętością, zwyciężyły miłością wszystkie wściekłości ciemięsców, rajem przyodziały Sybir, i z piekła zrobiły niebo!...

Anioły, roztoczcie skrzydła wasze w nowe bohaterstwo! Przodkujcie nam i tu także na tej trudnej drodze dobrowolnego ubóstwa, prostoty życia, jakich czas ten zażądać ma od nas. Słodkiem jest braterstwo, ale droga jego przykra jest. Nie jeden znajduje ją za ciężką. Nie jeden przywodzi rodzinę. Dla siebie żyliby w prostocie, powiadają; jeżeli hołdują zbytkom, jeśli nie mogą uczynić się ubogimi, zbratać się z biedactwem, od tego wstrzymuje ich kobieta; prowadzą życie wystawne dla ukochanego przedmiotu. Kobieta tylko może ich oswobodzić.

Tym ostatnim ofiarom, temu wielkiemu rozwarciu serca, jakiego położenia wymaga, podoła jedynie, Polacy! wrodzona waleczność wasza, co zawsze popychała was naprzód. W tej nowej drodze także będziecie znowu przednią strażą; pierwsi przejdziecie ciasną ścieżkę i pomost śliski, na którego przejście tak mało kto odważyć się może.

Mamże przypomnieć wam jedno z najpiękniejszych wspomnień waszych, ów nieprzebyty wąwóz hiszpański, którzyście unieśmiertelnili. Słuchajcie wojownika poetę, jak opiewa to dzieło rycerskie: [1])

[1]) Antoni Górecki »Dobycie wąwozu pod Samo-Sierra«. (Przyp. wyd.).

Z jakim łoskotem w alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturmu Frankowie zuchwali,
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudną dla mężnych ta droga;
Próżne wysiłki męstwa i rozpaczy,
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.

Wtenczas hohater, co wiódł nasze męże,
Przybiegł, gdzie polskie lśkniły się oręże;
W cichem milczeniu zwarte hufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:

»Wy co z waszemi znajome szeregi
»Egiptu piaski, Apeninu śniegi,
»Ty ze lwiem sercem młodzieży nietrwożna,
»Wamto zwyciężać, gdzie innym nie można.«

Rzekł, huczą trąby, ostrz mieczów się świeci,
Przez grad kartaczy las proporców leci,
Grzmi grom po gromie i razem ustały...
Na wierzchu szańców usiadł orzeł biały.

I teraz znowu na was kolej Niech Francya ma z sobą Polskę w tej nowej drodze, ciernistszej jak Somo-Sierra. Niech ma ją za towarzyszkę i siostrę. A chociażby od niej wyprzedzoną nieco być miała, zazdrościć jej nie będzie. Powie jej: »Twoja chwała jest chwałą moją... Idźmy społem na ofiarę, a pociągniem świat za sobą. Niech dąży za nami, jako za przednią strażą powszechnego braterstwa ludzkości«.

»Gon. Pol.« nr. 233—247 z 11/26 października 1851. «

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW, PLAC W. W ŚWIĘTYCH
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĄTYCH
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

SPIS RZECZY

zawartych w części pierwszej.

Str.

Socyalizm, Polityka i Narodowość 1
Odpowiedź Panu F. Z. z Pleszewskiego. 13
Feleton dla Feletonu 17
Wieszcze i Wieszczby. Rys dziejów nowszej poezyi polskiej. Wstęp. 27
Autobiografia Staszica 51
Kontuszowe Pogadanki i Obrazki z szlacheckiego życia przez Konstantego Gaszyńskiego Paryż 1851 63
Legenda o Kościuszce przez J. Michelet (Tłumaczenie z francuskiego) 81

CZĘŚĆ DRUGA.

L. GUMPLOWICZ. KRAKÓW, PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 8.
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

J. GUMPLOWICZ KRAK. W. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 6.
Wypożyczalnia Książek beletrystycznych
i naukowych.

LISTY.
KORESPONDENCYE.
POLEMIKA.

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW PLAC W. ŚWIĘTYCH L. 8
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

I.

Paryż, 28 sierpnia 1850.

(Niesłychana nędza emigracyi. — Nowa broszura. — Zmartwychwstańcy i Towiańczycy. — Wiadomości literackie i artystyczne.)

Stan naszego tułactwa jest bardzo smutny. Zasiłki, które dotąd przychodziły z kraju, teraz coraz się stają rzadszemi, bądź z przyczyny majątkowego wycieńczenia obywateli, bądź też, że pożar krakowski zwrócił w stronę chrobacką ostatki naszych dobrych chęci i ofiar. Komitet młodej emigracyi widział się zmuszonym zawiesić menaże, a, ktokolwiek zna położenie tułaczy tutejszych, ten zrozumie całą ważność tego fatalnego, acz niestety koniecznego kroku. Komisarz policyi, który przed niedawnym czasem zwiedził był menaż nasz, tak był rozczulony widokiem nędzy nie do opisania a zarazem szlachetnej rezygnacyi i współubiegania się w cierpieniu nieszczęśliwej polskiej młodzieży, że się w głos rozpłakał i na miejscu zrobił przedstawienie do władzy o konieczność ulżenia tylu nieszczęść. Wielkie sobie stąd roszczono nadzieje, a księżna Giedroić, która w pamięć dawnych swoich związków z cesarzową Józefiną ma pewne uwzględnienie w Elysée i zawsze go z uczuciem prawdziwej Polki używa na dobro licznych naszych biednych, starała się i ze swej strony wpłynąć na obudzenie pewnej litości w sercach władzców... Ale wkrótce przekonała się, że wszelkie takie kroki tylko są w stanie rząd obecny jeszcze więcej przeciwko nam rozjątrzyć. Wszelkie przedstawienia o nędzy emigrantów służą ministrom tylko za powód wypędzenia ich z Francyi.

Nie chcąc na siebie brać odpowiedzialności podobnych i zwykłych skutków, księżna Giedroić wolała z nami w milczeniu znieść nasze męki — i tak zagasł nam i ostatni promyk nadziei.

Grobowym tym dźwiękom naszej niedoli we Francyi wtórują ponure i, jeśli można, smutniejsze jeszcze echa z różnych stron świata, gdzie ostatnie wypadki nieszczęśliwych naszych ziomków zagnały. W Anglii i Grecyi szczególniej nędza tułaczej braci przechodzi wszelkie domysły. Większa część Polaków w Atenach pracuje przy drogach żwirowych i ma tylko tyle, ile potrzeba na życie, któreby wprost śmiercią z głodu nie było. Mieszkania nie mają. W nocy sypiają w stodołach, chlewach lub też i pod gołem niebem, i każden drży na myśl nadchodzącej pory zimowej i dżdżystej, w której i gołe niebo już schronienia nie da!....

W Turcyi położenie wychodźców naszych zdaje się być trochę lepszem, chociaż i stamtąd dochodzą nas żale. Kto może, wymyka się i wraca do Francyi lub Anglii; w tych dniach przybyło tu ich kilku, między nimi i porucznik ułanów Bombaj z legionu jenerała Wysockiego.

Pod względem moralnym stan emigracyi podobnie zasmucający przedstawia widok. Nie ma żadnego ogniska, wszystkie siły i chęci rozstrzelone. Hotel Lambert rzadko kiedy daje znak życia i działania swoje, jak się zdaje, ogranicza na wspieraniu wedle sił i zasobów licznych potrzebujących. Towarzystwo demokratyczne nominalnie zaledwie istnieje. Członkowie centralizacyi bawią w Londynie, gdzie weszli w ścisłe stosunki z Ledru-Rollinem, Mazzinim i resztą redaktorów pisma le Proscrit. Z ich poręki wyszła też w Paryżu nowa broszura p. t.: Co przed nami? Zawiera ona następujące artykuły: Przedburze; Odezwa komitetu centralnego demokracyi europejskiej (z Proscrit); O socyaliźmie; Socyalność (pięknym stylem napisany, jeśli się nie mylę, pióra Podoleckiego); O przyczynach upadku rewolucyi wiedeńskiej, przez by-

łego członka sejmu wiedeńskiego, posła galicyjskiego; nakoniec „Rzeczy krajowe.

Łatwo zrozumieć, że w obecnym stanie cierpienia i zwątpienia mistyczne dążności i kierunki więcej muszą nabierać siły i zwolenników, niż w spokojnych czasach politycznego organizowania, albo nawet rewolucyjnych czynnego bezpośredniego ruchu. Nie zadziwia więc obecne wzmaganie się stronnictwa Towiańskiego, które teraz najwięcej jeszcze okazuje czynności i ruchu. Przystąpienie niedawne do tego koła jednego z księży polskich z zakonu Zmartwychwstańców wiele tej sekcie dodało życia i wynagrodziło po części stratę, którą z usunięcia się Mickiewicza poniosła. Ksiądz ten, który tak w powstaniu 1831, jak i w wyprawie Zaliwskiego dał niezaprzeczone dowody gorącego patryotyzmu, był może najbardziej lubionym z całego zakonu Zmartwychwstańców, szczególniej przez młodzież tutejszą. Kilku też z niej swoim przykładem pociągnął i wespół z Goszczyńskim stanowi główną podporę Towiańszczyzny w Paryżu. Przeciwko niemu szczególniej wymierzone jest najnowsze pismo ks. Semeneńki, na które zaczepiony odpowiedział w liście obszernym, niedrukowanym, ale w licznych przepisach obiegającym.

Najbardziej jeszcze pociesza widok wzrastającego tu pokolenia polskiego, które w szkołach polskich i francuskich gotuje się do życia czynnego, obywatelskiego i da Bóg z pożytkiem dla kraju. Roczne egzamina szkoły polskiej w Batignolles odbyły się z zadowoleniem skromnych naszych życzeń, a na konkursie powszechnym wszystkich gimnazyów francuskich w Collége de France mieliśmy pociechę w jednym z rzadkich ukoronowanych przywitać rodaka, syna Józefa Ordęgi, który otrzymał nagrodę z historyi. Trzeci to syn pana Ordęgi, co tak publiczne i świetne już odniósł zwycięstwo i którego nazwisko jaśniało we wszystkich dziennikach i w Monitorze. Serdecznie winszowaliśmy rozczulonemu ojcu, który, mimo

wszelkich klęsk krajowych i domowych, tak niezmordowanie pracuje nad dobrem wychowaniem tych przyszłych obywateli biednej naszej Polski! Suum cuique!

O zatrudnieniach literackich i artystycznych naszych rodaków na tułactwie słów kilka jeszcze. Mickiewicz, który w odosobnieniu od dawnych swych współwierców w zaciszy pracuje, ma teraz wydać 2gą część Tadeusza i 1szą Dziadów, którą już przed 1830. w Szwajcaryi był napisał. Goszczyński podobno drukuje nowe poezye w Poznaniu. Lelewel wydał drugą część swego ogromnego atlasu; żali się mocno, że mu z kraju nic nie przysyłają z nowo wychodzących polskich dzieł, a jednak świętym to jest obowiązkiem tym groszem wdowim wspierać człowieka, który innego nie przyjmuje, a ten dany z takim procentem znowu narodowi zwraca. Ks. Jełowicki wydrukował swoje kazanie z powodu pożaru krakowskiego. Wyjdzie też niebawem nowe, z oryginału pomnożone znacznie i poprawione wydanie Poselstwa z ziemi Ucisku i Rozprawy o Narodowości Polskiej naszego nieśmiertelnego Brodzińskiego. Piękną do tego wydania przedmowę napisał Bohdan Zaleski. Mały ten pomnik, na ziemi obcej wystawiony wielkiemu patryocie, oby zachęcił obywateli w kraju do wystawienia większego i godniejszego — do wydania wszystkich dzieł Brodzińskiego, których tak wiele jeszcze w rękopismach, a z drukowanych, nie wyjmując wileńskiego wydania, czyli właśnie mając to wydanie na oku, tyle zeszpeconych i sfałszowanych!

Oleszczyński pracuje ciągle nad rysunkami do Wilczyńskiego dzieła o Wilnie. Tysiewicz bawi teraz u was i cieszymy się z jego sukcesu, o którym nam doniósł Goniec[1]). P. Seweryn Mielżyński z Miłosławia w prze-

[1]) Goniec Polski pisał w nrze 43 z 22 sierpnia, str. 171, o zamierzonem illustrowanem wydawnictwie Jana Tysiewicza, co następuje: »Powtórzyliśmy swego czasu z Dodatku literackiego do Czasu wiadomość o gotującem się wydaniu ozdobnem Konrada

jeździe swoim przez Paryż wyszukał i wykupił wielki obraz historyczny: Sobieski pod Chocimem, pędzla utalentowanego i zbyt wcześnie zmarłego rodaka naszego Molinari. Zobaczycie i osądzicie go wkrótce w Księstwie. My tutaj dziękujemy panu Mielżyńskiemu za jego szlachetne starania o zachowanie narodowi narodowego dzieła.

G. P. nr. 55 z 5 września 1850.

II.

Paryż, 5 września 1850.

(Michelet. — Składki na Kraków. — Montalembert i emigracya polska. — Kaplica grecko-słowiańska. — Mierosławski. — Klapka. — Lewicki.)

Zobojętnienie dla sprawy polskiej i dla imienia polskiego jest tu tak powszechnem, że nawet ludzie i pisma, którzy bądź z zasady szlachetnej bądź z potrzeby polemiki mniej szlachetnej wspominają o ludach uciemiężonych, o narodowościach pognębionych, wolą przytoczyć Węgry, Włochy, ba i Niemce, niż Polskę; Polska teraz wyszła z mody; bo we Francyi i w Paryżu szczególniej nawet i nieszczęście, nawet i męczeństwo narodu podlega warunkom owej mody, która jest tem teraz, czem było fatum u Greków... Nieoznaczone, nieujęte, rządziło ono jednak i bogami.

Jeden tylko pisarz stanowi w tem powszechnem dla nas zobojętnieniu wyjątek, a tym pisarzem jest Michelet.

Wallenroda i Grażyny, wraz z mniej pochlebną uwagą tegoż Dodatku. Dziś zdarzyło nam się widzieć niektóre drzeworyty do tej illustracyi przeznaczone, równie jak wiele rysunków, które za wzory do reszty drzeworytów posłużyć mają, i wynosimy wrażenie radości nad tem pierwszem trudnem, kosztownem usiłowaniem do uwiecznienia rylcem utworów wieszczów naszych. Literacki Dodatek zmodyfikuje zapewne także znacznie sąd swój, wyrzeczony po widzeniu prospektu tylko. Zresztą prospekt ten w całości tu załączamy, nie wątpiąc, że i artystom naszym i wszystkim czcicielom Mickiewicza mocno będzie pożądany. Nadmienić zapomnieliśmy, że wydawcą i rysownikiem illustrującym to wydanie jest znakomity nasz artysta p. Jan Tysiewicz«... itd.

Wielkopolanie może sobie przypomną ów serdeczny, ognisty, całym zapałem szlachetnej i wielkiej duszy tchnący list, który znakomity ten historyk zaraz w pierwszych rewolucyjnych dniach 1848 r. był napisał do komitetu narodowego w Poznaniu, i w którym wypowiedział swoje credo, że duszą całego nowego ruchu powinna być Polska, że jej zmartwychwstanie powinno być gwiazdą przedsterną wszystkich wolnych narodów i wszystkich mężów stanu tego nazwiska godnych. Temu przekonaniu pozostał wiernym Michelet; ani fatalny bieg wypadków, ani nieszczęścia i błędy nasze, ani zapomnienie wreszcie, któremuśmy ulegli, nie zdołały wyziębić w nim owej polskiej wiary. W prelekcyach swoich, czy w dziełach, wszędzie i zawsze głosi on tę prawdę żywotną. Jeśli jako Francuz, gorąco swój kraj kochający, naród swój nazywa pierwszym z bohaterów, nigdy nie omieszka dodać, że nasz jest pierwszym z męczenników, i że na wielkiej lutni przyszłości tylko z dźwiękiem polskim połączony dźwięk francuski będzie w stanie wydać harmonijny akord postępu i prawa. Prawdziwie rozczulającym jest to widok, z jaką wytrwałością szlachetnego serca przy każdej nastręczającej się sposobności, jak Cato swoje d e l e n d a, on swoje powtarza: r e s t i t u e n d a!

Uwagi te nasuwa mi przeczytanie 5go tomu historyi rewolucyi francuskiej Micheleta, który w tych dniach opuścił prasę. W tomie tym, jak i w poprzednich, znajdujemy kilka zwięzłych, ale gorących i szlachetnych słów o Polsce. Michelet nie zna dokładnie historyi polskiej, nawet do tego żadnej nie ma pretensyi, ale tym zmysłem poetycznym i konstrukcyjnym, który cechuje wszystkie jego historyczne prace, i tem szlachetnem uczuciem, którem przepełniony jest dla świętej naszej sprawy, wypełnia on, że tak powiem, nieświadomość faktów. Pierwszy on pojął rewolucyą francuską w zespoleniu z rozbiorem Polski. Podczas gdy Thiers, Mignet i t. p. ani domyślili się tajemniczego związku tych dwóch wielkich wypadków,

a Lamartine w zmiance o Polsce znalazł tylko sposobność dogodzenia bezrozumnej ku nam niechęci, Michelet wciąż zwraca uwagę na solidarność tych dwóch wielkich rewolucyj, na moralną zawisłość Francyi i Polski, a w koalicyi, występującej przeciwko rzeczypospolitej francuskiej, widzi zawsze i daje widzieć drugą, przeciwko rzeczypospolitej polskiej. Zasady, głoszone przez mocarzy nad Renem, objaśnia on ich zastósowaniem nad Wisłą i rękę, piszącą manifest brunświcki, porównywa z ręką, zbroczoną we krwi Pragi naszej.

Jeśli takie porównanie Francyi i Polski w końcu XVIII wieku niezaprzeczenie jest nauczającem dla historyi francuskiej, niemniej nauczającemby się stać mogło i dla historyi polskiej. W kreśleniu i rozbiorze ostatnich czasów naszego samoistnego bytu zazbyt się zwykle zaskorupiamy, za mało wyglądamy po za obręb nieszczęśliwej Polski, zbyt lekkomyślnie poświęcamy tło ogółu owego wieku, na któremby się jednak wypadki nasze w całej pełni odrysowały. Jakiż na przykład ścisły zachodzi związek między naszym sejmem czteroletnim a politycznem dążeniem ówczesnej Francyi, między naszą wojną kościuszkowską a pierwszą wojną młodej rzeczypospolitej przeciwko koalicyi! To usiłowanie nasze podniesienia miast, podźwignienia mieszczan, to wpisanie się Zamojskiego, Ignacego Potockiego, Czartoryskiego i t. d. do księgi mieszczan warszawskich nie odpowiadaż spółczesnym usiłowaniom we Francyi podniesienia tiers état do politycznej potęgi, nie poprzedzaż w czynie o lat tyle sławną broszurę Sieyesa? To powołanie całego narodu do obrony kraju, to porzucenie monarchicznej rutyny wojskowej i zaufanie w masach, które u nas wywołały zwycięstwa pod Racławicami, Krakowem, Wilnem i Warszawą, nie cechująż także bitew pod Valmy i Jemmapes? Ileżby wreszcie dobrych przykładów dało nam szczególniej teraz takie porównawcze skreślenie wojny barskiej i kościuszkowskiej! Nie byłoby zbytecznem zaiste pokazać

tym Polakom, którzy z urojonego strachu przed socyalizmem i komunizmem lecą na oślep w objęcia porządku austryackiego i moskiewskiego, ludzi, jak Potockiego Ignacego, Czartoryskiego Adama i t. p., których jakobinizm i terroryzm bynajmniej nie zniechęcił dla narodowego powstania. Nie byłoby zbytecznem tym naszym obywatelom, którzy w rzezi galicyjskiej widzą usprawiedliwienia bezczynności patryotycznej, i wzywają w pomoc urlopników austryackich, tych Puławskich, Krasińskich, Paców i t. d., którzy, mając Humań przed oczami, i tuż pod nożem Gontych(!) i Żeleźniaków, nie odstąpili jednak świętej chorągwi Baru!

Pozwolę sobie zwrócić uwagę na zarzut, który nam Michelet robi w jednym z przypisków 5go tomu swojej Rewolucyi. »Nie mogę pojąć, powiada on, dla czego Polacy zaniedbali ogłosić i rozpowszechnić tylu dzieł, któreby Europa pożerała, dzieł, jak pamiętniki Niemcewicza, tłomaczenie pamiętników szewca Kilińskiego i t. p.« Zarzut ten słuszny i dalej sięgający, jak go Michelet zamyślał. Bo, nie mówiąc już o Europie, wieleż rozpowszechnienia doznały te dzieła u nas samych? Wieluż takich, co czytali pamiętniki Niemcewicza? Nieoszacowane pisemko Kilińskiego znalazłoż aby dobrego wydawcę? Ileż to świetnych czynów i dramatów z naszego porozbiorowego życia w zupełnem już zapomnieniu! Pomyślałże kto u nas o opisaniu uniwersytetu wileńskiego przed 1830, o skreśleniu szlachetnego działania i męczeństwa Jana Kołakowskiego i t. d.? Mamyż biografią Staszica? Czyż każde z wielkich naszych zagasłych imion nie jest dla nas ciągłym żyjącym zarzutem? Przed 1846 r. Wielkopolska jeszcze czasami starała się wywiązać z tego świętego długu i wydawała pamiętniki o Konfederacyi Barskiej, pamiętniki Karpińskiego, pisma Kołłątaja... Teraz nawet i tych znaków pamięci i szacunku dla drogiej i wielkiej przeszłości nie daje!

Drugi znak przychylności i pamięci o nas dał nam

w tym tygodniu szanowny tutejszy arcybiskup. Pasterz ten szlachetny, który już znanym listem o Wenecyi dał dowody chrześciańskiego współczucia dla nieszczęśliwych narodów, nakazał we wszystkich tutejszych kościołach składki na Kraków od 1go września. Wobec zupełnej obojętności, z jaką wszystkie tutejsze stronnictwa przyjęły straszną wieść pożaru stolicy naszej — głos arcybiskupa znajdzie wdzięczne echo w sercach polskich, choćby dla Francyi miał tylko zostać głosem wołającego na puszczy.

W przeszłą niedzielę ks. Terlecki poświęcił kaplicę grecko-słowiańską, którą za staraniem ks. Lacordaira i profesora Ozanama (p. Montalembert do tego dzieła nie należał; może przez wzgląd na swego współczłonka w bractwie porządku, cesarza Mikołaja) w dosyć krótkim czasie był w stanie wystawić. Pomiędzy illustracyami, które obchodowi obecnemi były, widziano i Mickiewicza. Pan J. B. Ostrowski natomiast ostrzy swój miecz pamfletowy przeciwko grecko-słowiańskiej kaplicy. Pana Ostrowskiego nikt Donkiszotem z tego powodu nazwać nie może, bo przynajmniej nie przeciwko wiatrakom wystąpić zamyśla.

Jeśli wierzyć można pogłosce, p. Montalembert zamyśla utworzyć z kilku deputowanymi pewną radę przyboczną, którąby ministrowi spraw wewnętrznych dostarczała rad i uwag względem rozdawnictwa funduszów, dla emigracyi przeznaczonych. W jakim celu i z jakim skutkiem, przyszłość to niebawem okaże.

Ustanie dziennika Crédit (redakcyi Armanda Marrasta) pociągnęło za sobą nieogłoszenie dwóch ciekawych pamiętników, które właśnie w jego feletonie miały się drukować: Pamiętniki pani Georges Sand o swojem życiu, i jenerała Mierosławskiego o rewolucyi berlińskiej, poznańskiej, sycylijskiej i badeńskiej.

Polacy, którzy brali udział w powstaniu węgierskiem, nie bardzo tu zadowolnieni z wyszłych niedawno pamiętników jenerała Klapki. Zarzucają mu szczególniej, że

przypisuje sobie zwycięstwo pod Tarczalem, któremu nawet nie był obecnym.

Przykład, który dał Tysiewicz illustracyami Wallenroda i Grażyny, zdaje się pociągnąć za sobą kilka innych przedsięwzięć tego rodzaju. Rodak nasz i współtułacz, artysta Lewicki, wydaje tutaj illustracye do Paska.

G. P. nr. 60 z 11 września 1850.

III.

Paryż, 15 września 1850.

(Odparcie zarzutu drugiego korespondenta. — Zatrudnienie emigracyi francuskiej. — Szczegóły o wychodźcach polskich w innych krajach.)

List obecny zamierzałem zacząć od sprostowania uwag szanownego mego współzawodnika, korespondenta K., o szkole przygotowawczej polskiej, pod dozorem księcia Adama Czartoryskiego zostającej. Spostrzegam się jednak teraz, że to już p. J. P. z większą znajomością rzeczy i obszerniej, niżbym to ja mógł, uczynił. Pozostaje mi więc tylko uchylić od siebie publicznie odpowiedzialność za korespondencyą p. K.[1]), który bynajmniej nie jest, jak to szanowna redakcya zaświadczy, tą samą osobą, co unižony »x«[2])

Oprócz chybionego pocisku na szkołę, o której mowa, parować jeszcze muszę inny atak szanownego mego współzawodnika, który przeciw całej emigracyi wymierzył. Na czyniony jej zarzut próżniactwa i braku wytrwałości w całości zgodzić się także nie mogę. Wprawdzie trudno i próżnoby było zataić przed sobą i innymi, że wielu z braci tułaczej nie pojmuje ciężkich, ale i świętych, obowiązków pracy, kształcenia się i myślenia o sobie, które na nas Opatrzność Boża i stanowisko nasze wkładają; ale zarzut ten na cały lub prawie cały ogół rozciągnąć, byłoby krzyczącą niesprawiedliwością. Ten, co się chce

[1]) Ów drugi, literą »(K)« podpisujący się, paryski korespondent Gońca Polskiego, nie jest nam znany ze swojego nazwiska. (Przyp. wyd.)

[2]) Dwa te różne znaki do dwóch całkiem różnych korespondentów się ściągały. (Przyp. Red.)

rozpatrzyć i istotę rzeczy gruntownie zbadać, przyzna łatwo, że stosunkowo wychodźcy polscy sumienniej swe obowiązki pojmują i wypełniają od innych, a gdy jeszcze policzy nędzę materyalną, która nieraz najszlachetniejsze zniwecza zamiary, i liczne przeszkody, nam wszystkim wspólną umową rządu i wyższych warstw tutejszych wszędzie stawione, może się jeszcze zadziwi nad odwagą i wytrwałością naszą. Pracujących i szczerze pracę miłujących daleko większa liczba w istocie, niżby się zdawało, patrząc tylko przez zmniejszające szkło szanownego korespondenta K.; dość tylko rzucić okiem na comiesięczne sprawozdania komitetu nowej emigracyi. Wielu mógłbym wyliczyć, którzy bądź w fabrykach sukna, gobelinów i wyrobów z perłowej macicy, bądź w puszkarstwie i introligatorstwie (sam p. Stęligowski w swoim tutejszym warsztacie zatrudnia kilku rodaków), w Paryżu, w Beauvais, w Aix, w Marsylii, w Metz i t. p. gorzko na chleb gorzki pracują. Nie mniej wielu z naszych wychodźców napotykamy w zawodzie nauk i sztuk pięknych. W szkole centralnej na przykład w 1ym kursie Polacy są stosunkowo w większości (3 Francuzów, 3 Włochów, 2 Serbów, a 5 Polaków) i należą do najcelniejszych uczniów tego tak sławnego zakładu; Jan Gajewski w tegorocznych egzaminach świetnie się odznaczył. W fakultecie medycznym w Marsylii liczymy 3 rodaków; tutaj dwóch się ich sposobi do doktoratu, między nimi Jarociński, który przed dwoma laty chlubne odniósł rany w bitwie pod Książem i może jeszcze kiedyś tą samą ręką będzie leczył Prusaków, co mu ją z tem uczuciem sprawiedliwości, którego tylko u Niemców szukać, tak okrutnie pokaleczyli. Grzechemby było przy tej sposobności przepomnieć rodaka naszego p. Hirszfelda, profesora przy tutejszym fakultecie medycznym, który z prawdziwą szlachetnością ułatwia spółtułaczom, poświęcającym się zawodowi lekarskiemu, według sił i zasobów swoich, trudne ich przedsięwzięcie. W szkole agronomicznej w Grignon, z której już wielu

rodaków wyszło zdatnych i znalazło godziwe zatrudnienie, teraz uczęszcza czterech, z których jeden, Kwieciński, zdaje w tym miesiącu egzamin dojrzałości. W szkole sztuk pięknych nakoniec kilku wychodźców naszych chlubnie się odznacza na konkursach, pomiędzy nimi i znany w Księstwie ze swego lekkiego rylca Leon Kapliński.

Z nadeszłych tu z różnych stron wiadomości o położeniu wychodźtwa główniejsze zamieszczam. W Anglii stan nędzy i biedy jeszcze się nie zmienił. Czterdziestu za staraniem zbyt może skwapliwem towarzystwa literackiego wyjechało do Ameryki; pozostało jeszcze około 150. Kilku też z naszych rodaków znalazło przytułek w Sardynii, a na czele tej włoskiej emigracyi są: jenerał Antonini i pułkownik Kamiński. W Rzymie natomiast artyści polscy wystawieni są na liczne nieprzyjemności i prześladowania. Dwóch rodaków siedzi w więzieniu inkwizycyi z powodu przeszłej rewolucyi; jednym z tych uwięzionych jest młody Rymarkiewicz z legionu toskańskiego. — W Szwajcaryi tolerancya dla nas coraz się staje wątpliwszą. P. Czapek w Genewie zajął się zbieraniem składek na Kraków z niewielkim jednak skutkiem. Dziekoński w Bernie pióro zamienił na rylec i pędzel i kończy zdjęty z natury widok grobu Kościuszki w Soloturnie. — W Grecyi ambasada moskiewska wszelkich dokłada intryg, aby wychodźców zmusić do podania się o amnestyą. Polak jakiś, jeśli nim jest, tę opinią propaguje. Doniosłem już, że większa część naszych pracuje tam przy kolejach żwirowych. Otóż pułkownik od inżynieryi, figura moskiewska czystej wody, doglądający tych robót, nie opuszcza sposobności dawania uczuć biednym robotnikom twardego ich losu a twardszego jeszcze swego serca. Poważył się nawet jednego uderzyć szpicrutą w twarz, a na zbiorowe przedstawienie Polaków rząd grecki nie tylko żadnej nie dał satysfakcyi, ale i ten nawet im odebrał sposób utrzymania. Ratują się, jak mogą. Jedni przyjęli służby po domach, drudzy zarabiają na życie malowaniem pokojów;

inny znalazł zatrudnienie na wsi u jakiejś hrabiny włoskiej, Polakom przychylnej. Wielu, szczególniej na wyspie Syru (Syrus), umarło bądź z nędzy, bądź z febry; między tymi Świętosławski. Kto może, wykrada się do Turcyi, tylko że ambasada moskiewska pilnie przestrzega, aby żaden z Polaków w Grecyi nie otrzymał paszportu.

Jakoż w Turcyi stosunkowo najlepiej się jeszcze wiedzie naszym wychodźcom. Kilku z nich wstąpiło do wojska. Jenerał Bem fantastycznym swym duchem, który na fantastycznym wschodzie szerzej jeszcze skrzydła roztoczyć może, spodziewa się na rok przyszły naczelnego dowództwa i wojny z Moskwą. W tym celu na stare swe lata zaczął się uczyć tureckiego języka. Borzęcki, który dość skrzętnym włada pędzlem, odmalował portret wielkiego wezyra. Wezyr uprzejmie dar przyjął i okazał na Turka w tej mierze pewien wolteryanizm, bo wiadomo, że koran zabrania wiernym wszelkich obrazów i portretów. Na nieszczęście uznał Borzęcki za stosowne na tę religijną koncesyą ze strony wezyra, większą jeszcze ze swojej strony odpowiedzieć, i nie przyjął wprawdzie ofiarowanych sobie 3000 piastrów, ale zato przyjął religią muzułmańską; zdał egzamin z matematyki i został kapitanem artyleryi. Urząd też porucznika artyleryi otrzymał wychodziec Mucha; ale w nim przynajmniej nie potrzebujemy żałować religijnego odszczepieństwa, bo on z rodu jest muzułmaninem i należy do tych nierzadkich na Litwie szczególniej muzułmańsko-polskich rodzin, które tam »tatarskiemi« nazywają. Tu we Francyi mamy także młodego emigranta z 48 roku, tatarskiego Polaka, pana Bi ackiego. Czołchański, który w latach poprzednich we Wrocławiu i Belgii wyuczył się ślusarstwa, pracuje teraz w fabryce sułtańskiej rządowej pod Konstantynopolem i dosyć dobrze na tem wychodzi. Trzech innych założyło rodzaj warsztatu introligatorsko-galanteryjnego, co tydzień, w dzień święta, kiedy w Carogrodzie rodzaj jarmarku się odbywa, etablują swoje ładne wyroby i przedają je sułtan-

J. GUMPLOWICZ KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 3
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

kom i różom seraju. Może kto z nich przytem czyta Pamiętniki Janczara Polaka...

G. P. nr. 69 z 21 września 1850.

Bliższe szczegóły co do szkoły polskiej przygotowawczej ks. A. Czartoryskiego wyjaśnią czytelnikowi dostatecznie podane tu: obszerniejszy ustęp z listu korespondenta paryskiego, podpisującego się literą »(K)«, a następnie literami J. P. podpisane sprostowanie, które Gończowi z Paryża nadesłano. (Przyp. wyd.)

Ustęp z listu paryskiego korespondenta (K.).

»W szkole narodowej polskiej na Batignolles odbyły się egzamina a następnie rozdanie nagród. Dużo bardzo uczniów tej szkoły znaczny okazało postęp. Podziwiano niektórych bardzo piękne pejzaże, i wszystkie w ogólności rysunki na ogólną zasługiwały pochwałę, w innych objektach również wielu naszych następców wielką okazali zdatność, w ogólności szkoła narodowa na Batignolles na piękną pochwałę sobie zarobiła. Gdy tymczasem nie można tego powiedzieć o niejakiejsiś szkole, założonej przez Czartoryskiego, a o której sama emigracya paryska bardzo mało co wiedzieć może. Zostawieni samopas bez dozórców i nauczycieli, a następnie bez porządku wewnątrz i na zewnątrz, zebrani po największej części z uczniów wydalonych ze szkoły narodowej, lub z młodzieńców nową emigracyą składających, mają niby to uczęszczać do różnych szkół francuskich w Paryżu, przecież nie widzieliśmy ani jednego z nich czasu rozdawania nagród publicznych, żaden też nie figuruje w dziennikach. Gdy tymczasem młody Ordęga, syn emigranta, i młody książę Sanguszko zaszczytnie się odznaczyli i pierwszy nagrodę, a drugi pochwałę publiczną odebrali.«

»W szkole centralnej sztuk i rękodzielni P. Soluval z Warszawy otrzymał świadectwo zdatności w wydziale mechaniki, a P. Trembicki podobnież z Warszawy, uczeń rządowy, otrzymał dyplom inżyniera z wydziału konstrukcyi«.

»Wielu z młodej emigracyi, idąc za przykładem emigrantów starych, bierze się do rozmaitych nauk lub rzemiosł. PP. Michałowski i Cegielski założyli warsztat (ateliers) puszkarstwa. Nowiński wynalazł nowy sposób ładnego sztychowania nót muzycznych i założył magazyn muzyki. Wielu pracuje w fabrykach pugilaresów i portemonnaie, kilku u rymarzy, u meblarzy, u mechaników, słowem biedni,

jak mogą, zarabiają kawał chleba. Nieszczęście tylko, że podobnie donieść nie mogę o większości młodej emigracyi. Ta podobno nie pójdzie za przykładem swych kolegów. Przecież desperować nie można.«

G. P. nr. 50 z 30 sierpnia 1850.

— 10 września. Odbieramy z Paryża następujące sprostowanie, które w całości zamieścić pospieszamy:

»Szanowny redaktorze. Dość pilnie czytując Gońca, szczególnie cenię w tem piśmie oględność na powszechną takowego użyteczność, która to oględność, jak trafnie na wstępie pisma twego wyraziłeś, głównym jest warunkiem piśmiennictwa, a to do stopnia, »aby je wynieść do godności powołania«. Niemniej, sądzę, niezbędnym warunkiem piśmiennictwa jest i ścisłe przestrzeganie prawdy, wszelki bowiem fałsz, mącąc zdaniem powszechnem, klęski tylko rodzić może.

»Ubiegłe dotąd numera Gońca, pod tym dwojakim względem, okazały się zadowalniającemi; co mu tem więcej publiczność jednaćby powinno, że zaleta ta w wielu dotychczasowych publikacyach mało cenioną bywała, a czego smutne skutki pokazały się w 1848 i 1849 roku. Dzieląc powszechne, sądzę, dla Gońca uczucie szacunku, z zadziwieniem i wcale bolesnem uczuciem natrafiłem w pięćdziesiątym jego numerze na ustęp korespondencyi paryskiej z daty 25 sierpnia, niby na zaletę szkoły polskiej na Batignolles służyć mający, a widocznie na celu mający jedynie poniżenie i oszpecenie innego, równie na korzyść tułactwa istniejącego w Paryżu naukowego zakładu. Mocno zaś przeświadczony, że ów nieszczęśliwy ustęp, tak oczywiście z zacnością redakcyi Gońca niezgodny, tylko podstępnie mógł się wkraść w jej kolumny, nie waham się przesłać Ci, szanowny redaktorze, proste opowiedzenie faktów, które niefortunny twój korespondent paryski tak nielitościwie potrącił, mówiąc o Szkole Polskiej przygotowawczej w Paryżu, utworzonej i istniejącej pod opieką księcia Adama Czartoryskiego.

»I nie wątpię wcale, że, choćby jedynie przez poszanowanie prawdy, zechcesz opowiadaniu memu w szacownem piśmie twem udzielić uprzejmie miejsca. Jak równie nie wątpię, że uznasz, iż się sprawiedliwość ta od ciebie należy, już dla tego, aby czytelnicy twoi znaleźli prawdziwą i rzetelną wiadomość o zakładzie, którego utrzymanie i wzrost mocno tułactwo obchodząc, nie może być i krajowi obojętnem, już to wreście, aby dość znaczną liczbę dzieci polskich, na tułactwie wychowanych, oczyścić z potwarzy, przez jakiegoś nieznanego zapewne korespondenta[1]), ale za pośrednictwem twego wcale poważnego pisma rzuconej.

[1]) Korespondent, który tę wiadomość udzielił, jest nam znany. Wzmianka, w liście jego o szkole przygotowawczej uczyniona, płynęła

»Szkoła polska przygotowawcza pod koniec 1848 roku utworzoną została, w celu usposobienia młodzieży tutejszej do szkół specyalnych, i dla tego właśnie nowi emigranci, o ile usposobień swych dowieść są zdolni, umieszczenie w niej znajdują. Użyteczność tego zakładu najlepiej dowodzi się tem, że Paryż jest pełen podobnych instytutów, znanych pod nazwą écoles préparatoires, w których to instytutach młodzież francuska, wychodząc z rządowych lyceów, przez rok lub dwa przysposabia się do różnych szkół specyalnych, płacąc zwykle rocznie od osoby 2000 franków. Któryż emigrant dość się na tułactwie zapomógł, aby podobną sumę był w stanie przez rok lub dwa opłacać?

»Książę Adam Czartoryski, ten, od pół wieku przeszło, twórca i opiekun tylu naukowych w Polsce zakładów, książę Czartoryski, o którym Nowosilzoff napisał był, że szkołami swemi o sto lat więcej odwlókł wynarodowienie Litwy i Rusi, książę Czartoryski, mówię, i w tym razie przyszedł w pomoc potrzebie polskiego tułactwa i otworzył dla jego młodzieży szkołę przygotowawczą, która właśnie tyle żółci korespondentowi paryskiemu wykrztusza.

»Przeznaczenie zakładu tłómaczy, dla czego ten dopiero od lat dwóch utworzonym został; w tej bowiem epoce synowie tułaczy dopiero do wyższych nauk dorastać, a świeża młodzież z kraju przybywać poczynają. Wszakże już po nieszczęściach 1846 roku książę Czartoryski utworzył był dla nowo przybywających szkołę, której szczęśliwsze stosunkowo okoliczności i bliższe nadzieje pozwoliły były nadać charakter wyłącznie wojskowy. Szkoła ta, pięknie rozwijająca się pod uczonem kierownictwem jenerała Chrzanowskiego, zamknąć się musiała po rewolucyi lutego. Dziś już ledwie myśleć wolno o tem tylko, co dorastającej młodzieży pozwolić może w przyzwoitej pracy szczęśliwszych doczekiwać czasów.

»O tem wszystkiem korespondent paryski mało wiedząc lub wiedzieć nie chcąc, twierdzi, że uczniowie szkoły przygotowawczej »są zebrani po największej części z wydalonych ze szkoły Batignolskiej,« a czem każe się domyślać, że każdy, co jako nieuk lub złych skłonności ze szkoły Batignolskiej był ekskludowanym, znajduje się w szkole przygotowawczej. Twierdzenie to, z gruntu i w całości fałszywe, osławia... kogo? młodzieńców, co dopiero na świat wychodzić mają. Szkoła przygotowawcza liczy kilku dawnych uczniów Batignolskich, z których żaden ekskludowanym nie był. Są to ucznio-

---

zapewne z dawnej choroby emigracyjnej, zawadzania przy sposobności o osoby stronnictwa przeciwnego. Zostawiliśmy ją, bośmy ją za uzasadnioną poczytywali, a od powiedzenia prawdy w rzeczy publicznej nie może nas wstrzymać wzgląd na osoby, chociażby z resztą najszanowniejsze. (Przyp. Red.)

wie, którzy w 1848 roku, przerywając swe nauki, poświęcając swą przyszłość, pobiegli ku granicom Polski, sądząc, że ich tam głos powinności woła. Szlachetni ci młodzieńcy, zawiedzeni w nadziei, gdy się nikt nie znalazł, coby ich przytulić chciał, wrócili do Francyi. Smutnem nader było ich położenie, nie czas już było do elementarnej wracać szkoły, a do wyższych nauk nie dostawało im jeszcze zupełnego usposobienia. W porę więc im przyszła ojcowska troskliwość księcia Adama Czartoryskiego. Otwierając szkołę przygotowawczą, odpowiedział książę i ogólnej potrzebie tułactwa i odpłacił szlachetnym młodzieńcom skwapliwość i poświęcenie, z jakiemi biegli do obywatelskiej, rycerskiej powinności. Jakkolwiek nie było w poruszeniach 1848 roku dostatecznej rozwagi, przecie za jej brak młodzieńcy a raczej podrostki odpowiadać nie powinni, im zawsze przynajmniej zachęta należy. Polacy dotąd poświęcenia pełni poświęcenie cenić umieli; inaczej to widać pojmuje pan korespondent paryski i lekko sobie ciska niesławą na młodzieńców, których jedyną winą, że w nich ojcowska, polska krew zawrzała.

»Następnie korespondent ten mówi: »nie widzieliśmy ani jednego z nich, czasu rozdawania nagród, żaden też nie figuruje w dziennikach.« Prosimy szanownych czytelników Gońca, aby chcieli przejrzeć Journal des Débats z 15 sierpnia, a la Presse, l'Evénement, le Constitutionnel z 14. t. m. pod rubryką Lycée Louis le Grand; do liceum tego uczęszczało sześciu uczniów szkoły przygotowawczej. Z tych odebrali nagrody panowie: Kazimierz Zakrzewski (z nowej emigracyi) dwie pierwsze nagrody i jeden accesit; Antoni Kosiorowski (b. uczeń Batignolski) jedną pierwszą nagrodę i 4-y accesit; Bolesław Fijałkowski (b. uczeń Batignolski) jedną pierwszą nagrodę i dwa accesit; Józef Zaliwski (b. uczeń z Batignolles) dwa accesit, i nazwiska te »figurują w dziennikach.« W liceum Napoleon pan Ludwik Płoński (uczeń szkoły przygotowawczej) otrzymał cztery accesit.

»Stosownie do głównego przeznaczenia, szkoła przygotowawcza przysposobiła i posyłała w ubiegłym roku szkolnym do szkoły centralnej sztuk i rzemiosł trzech uczniów na kurs pierwszoletni. Na 180 uczniach tego kursu, 95ciu tylko postąpiło na kurs wyższy, nasi trzej Polacy znajdują się w ich liczbie, otrzymując numera porządkowe, jak następuje: Ludwik Chryniewiecki (b. u. Bat.) 28y; Bronisław Bukaty (z nowej emigracyi) 39y; Stanisław Wrotnowski (b. u. Bat.) 44ty. Numera te świadczą, że między promowowanymi nasi do celniejszej należą części. W szkole rolniczej w Grignon i w szkole wojskowej sztabu głównego szkoła przygotowawcza umieściła po usposobieniu po jednym uczniu; jednego zaś już umieściła na praktyce u inżyniera. Panowie ci są następujący: Radzikinaj (rolnik), Borowicz (wojskowy), Rymkiewicz (inżynier).

»Przyznasz zapewne, szanowny redaktorze, że rezultat ten, otrzymany na liczbie 22 uczniów, z których większa część potrzebuje jeszcze uczyć się języka francuskiego, nie jest tak niejakim, jak się to korespondentowi paryskiemu wyrzec podobało. Rezultat ten, sądzę, uwalnia od potrzeby mówienia o zarządzie i dozorze szkoły, które równie jak i uczniów korespondent rzeczony potępia. Pozwolisz wszakże, szanowny redaktorze, abym jedynie przez uczucie wdzięczności, jakie od każdego Polaka należy się poświęconym dobru ogólnemu, wymienił nazwiska zacnych ziomków, którym bliższa opieka nad młodzieżą szkoły przygotowawczej jest powierzoną. Imiona te są: Dyrektor zakładu, major Zawierski; prefekt, pan J. Bukaty; dozorcy i nauczyciele, panowie Piotr Butkiewicz i Kaźmirz Zawistowski; nauczyciel ćwiczeń wojskowych, kapitan Gościmiński.

»Żałuję, szanowny redaktorze, że szczegóły, których dotknąć musiałem, nie dozwoliły mi, w ściślejszych zamknąć się szrankach; raczysz mi to łaskawie przebaczyć a przyjąć etc.

J. P.

G. P. nr. 60 z 11 września 1850.

IV.

Paryż, 26 września 1850.

(Składki na Kraków. — List do duchowieństwa. — P. J. B. Ostrowski i ks. Terlecki. — Internowanie Polaków. — Goście. — Branicki.)

Doniosłem już dawniej, że szanowny tutejszy arcybiskup nakazał po kościołach składki na Kraków, które kilka tygodni trwać miały. Trwały niestety tylko dzień jeden i przyniosły wszystkiego sto franków. Zwięzły to fakt, ale wielomówny! Przyczyny nagłej przerwy, jakiej dobroczynne to przedsięwzięcie doznało, trudno dociec. Jeśli wolno pogłoskom wierzyć, niechęć przeorów kościelnych i duchowieństwa wogóle zniewoliła arcybiskupa do zawieszenia składek i odłożenia ich ad calendas graecas, oj, prawdziwie graecas, bo, że to nie rzymsko-katolickie było postępowanie, każden z Polaków boleśnie uczuje. Najwięcej jeszcze ze składek wpłynęło w kościele św. Genowefy. Uważano tam, że bogate panie, te właśnie, które dla świątyni Pańskiej osobną mają toaletę i wdzięcznie przed ołtarzem jak przed zwierciadłem klękają, że te, mówię, ładnych woreczków, na alabastrowych zawieszonych

paluszkach, odsznurować nie raczyły; biedne tylko chłopki i uwryerki dobywały mosiężnego grubego susa z głębokiej kieszeni i rzuciły go w skarbonę, zapytawszy się wprzód prawie stereotypowo: »où est Cracovie?« i stereotypową otrzymawszy odpowiedź »en Pologne!« Teniers by może w tej scenie był wziął nowy szczegół do swego obrazu »Wyjścia z kościoła«, a Massillon byłby wdzięczny w tem znalazł tekst do kazania o groszu wdowim; ale, gdy w czasach tych zimnych niema ani Teniersów ani Massillonów, niechaj skromnemu korespondentowi wolno będzie wielki ten rys skromną i suchą prozą opowiedzieć a upoetyzowanie jego przekazać sercu naszych Polek.

Mimo tego smutnego końca zapowiedzianego dzieła, muszę jednak wspomnieć o liście jawnym, który się jego tyczy i właśnie w dzień jego rozpoczęcia wyszedł. Bolesne czytanie jego robi wrażenie, teraz właśnie, gdy już wiemy, jak miernym uwieńczony został skutkiem, bolesne, jak czytanie przepisów zdrowia dla chorego, który już umarł. Ale ulotne owo pismo, jako rzadki w tych czasach objaw na tułactwie, zasługuje na wzmiankę a wiele prawd w nim wyrzeczonych na sumienne zgłębienie. Jest to list w francuskim języku przez bezimiennego pisany i wystósowany do przewielebnych kardynałów, arcybiskupów i biskupów Francyi. Zaczyna on od wystawienia znaczenia Krakowa i powiada o nim, że jest »świętą stolicą Polski i wyobraża jej przeszłość, jej męczeństwo, jej walki dla obrony Europy, jej wiary i nadziei«. »Francya, powiada dalej, zbiera corocznie znaczne sumy dla szerzenia wiary w zamorskich krajach. Mogę tylko podziwiać myśl, która natchnęła to pobożne przedsięwzięcie. Ale jakto? Kochacie dalekich, a nie macie miłości dla bliskich i bliźnich! nie macie modłów, ni jałmużny ni poświęcenia dla tej Polski, dla tego żołnierza ludzkości i chrześciaństwa, który w roku 1240 i 1683 ocalił Europę od najazdu mahometańskiego i mongolskiego? Ta Polska, prześladowana lub haniebnie opuszczona od chrześcian,

skąpiłaż kiedy złotem swojem i krwią swoją? Chcecie pozyskać Chrystusowi ludy pogańskie, a oddaliście zniszczeniu chrześcian, których ziemia, jak się szczytnie wyraził jeden z papieżów, w każdej stopie przesiąkła krwią męczeńską, dla obrony chrześciaństwa przelaną! Gdyż wy to wiecie, i cały świat to wie: na zachodzie były wojny dynastyczne, handlowe, zaborcze, wojny bez moralnego celu i bez boskiej pobudki, jedna tylko Polska jedne tylko znała wojny odporne dla zabezpieczenia drugich!« »Przed kilkoma laty zbierano ogromne sumy dla odbudowania Hamburga, stolicy kupieckiej i protestanckiej. Bóg, zezwoliwszy na pożar Krakowa, zdaje się pytać, czy w chrześciańskiej Europie znajdzie się litość i jałmużna dla stolicy bohaterskiej i katolickiej. Modląc się i poświęcając się dla świętej męczennicy, chrześcianie znajdą środek cudownie im przez Opatrzność wskazany dla zaspokojenia sumienia, zniepewnionego i zbrudzonego zabójstwem chrześciańskiego ludu. Jeśli polityka ludzka opuszcza naród polski, niech jej sumienie chrześciańskie nie naśladuje. Bądźcie litościwymi w sprawie waszego własnego zbawienia. Możecie i powinniście nimi być. Stróże Kościoła, odbudujcie kościoły spalone!«

Na ten list Polaka, z dnia 1go września datowany, duchowieństwo tutejsze b r e v i m a n u odpowiedziało!... Sumienie chrześciańskie poszło w ślady ludzkiej, czyli raczej nieludzkiej polityki...

Pan J. B. Ostrowski wystąpił wreszcie ze swoją krytyką grecko-słowiańskiej kaplicy i usiłowań ks. Terleckiego. Kwestya ta dosyć ma wagi, by o niej choć tylko pobieżnie wspomnieć, i więcej jej jeszcze przez to nabiera, że dwa artykuły pana J. B. O. znalazły umieszczenie w dzienniku »La Voix de la vérité«, który pod bezpośrednim tutejszego arcybiskupa zostaje wpływem i jest niejako przeciwpismem Universa. I ta polemika, jak wszystkie inne pana J. B. O., razi osobistościami i przywiązywaniem wielkiego znaczenia do drobnych rze-

czy. Pan J. B. O. jeszcze nie strawił święconych pana Branickiego i w obecnych artykułach mu się ciągle odbijają. W niewinnem Christos woskres, którem pan Branicki przywitał w ów dzień kilku gości, rozżarzona jak zwykle w niestrawności imaginacya polemisty upatruje związek i sprzysiężenie z Moskwą na zagładzenie Polski. Quel bruit pour une omelette, albo raczej, pour un jambon! Dowodzi nawet J. B. O., zastrzegłszy sobie wprzódy, że żadnej osobistej nie robi alluzyi, iż można być zarazem komunistą i Moskalem; naturalnie, że tu nic osobistego, i dosyć trafnie przytem przytacza słowa Sperańskiego, naczelnika wydziału prawodawczego w Petersburgu, że w Rosyi własność jest tylko tolerowaną, że na nas zaś pan J. B. O. apostrofą do Mickiewicza, o którym już dawno przepowiedział, że tak skończy, i waryuje przytem sławne słowa Chateaubrianda z 1839 roku »Inutile Cassandre«. Ale, oczyściwszy polemikę z tych niepotrzebnych osobistości, pozostają zawsze pewne zarzuty, jeśli nie prawdziwe, bo o tem wyrokować nie śmiem, to przynajmniej znaczące i wymagające odpowiedzi. Wszystkie te zarzuty można zamknąć w sławnym wierszu: że kto chce iskry z czarta kuźni, by przepalić czarta moc, ten świat wpycha w gorszą noc. Ks. Terlecki, podług jego przeciwnika, idzie nierozważnie drogą słowiańsko-moskiewską, szuka zbawienia we Wschodzie, jak gdyby Zachód, jak gdyby religia i cywilizacya łacińska i misya Francyi i Polski nie były w stanie przezwyciężyć Moskwy. Ks. Terlecki, zwątpiwszy o sile Zachodu, zwątpił i o Polsce, a szukając broni w Słowiańszczyźnie, kuje ją tylko przeciwko własnemu narodowi. Słowiańszczyzna to ogień, na który Moskwa dmucha, i który się tylko powiększy, gdy i ze strony polskiej nań dmuchać będą. Ks. Terlecki nie szanuje dosyć historyi polskiej, gdy w niej upatruje prześladowania religijne i uciemiężenie innowierców, jakich nigdy nie było, i w charakterze Słowianina zawiera charakter Polaka. Nie rozumiem tylko, jak pan J. B. O. mógł mię-

szać przytoczenia z kazań i pism ks. Terleckiego z przytoczeniami z dziennika La Pologne. Cóżby powiedział polemizant, gdyby ks. Terlecki przytoczył i zrobił go odpowiedzialnym za następujący peryod z Przeglądu kwietniowego, w którym czytamy: »Niech się Rosya nawraca, niech podda się Kościołowi, Europę i świat już wtenczas nieprzepartą siłą zdobędzie; jako katolik powiem, Amen!« Cóż, gdyby ks. Terlecki chciał z tych słów ten sam wniosek wyciągać, jakie przeciwnik jego w słowach La Pologne znajduje, cóż, gdyby się zapytał: Jakto, więc gdy Rosya się nawróci, my Polacy żadnych byśmy już nie mieli roszczeń i praw? Jakto, gdy się Rosya podda Kościołowi, nie będziemyż się jeszcze: »a Polska?« pytali, nim jako katolicy powiemy »Amen?!« Jestem przekonany, że ks. Terlecki tą bronią walczyć nie będzie i w odpowiedzi swej, bez naciągania, jasno swe stanowiska określi i zasady sformułuje.

W tych czasach upływa termin internowania naszych wojskowych w Turcyi. Wyglądamy tu z niecierpliwością końca. List jenerała Wysockiego z Kutai, do jednego ze swych przyjaciół w ostatnich czasach pisany, naucza nas tylko, że Polacy w Turcyi w tej samej pozostają niepewności, co i my. Nie tracimy jednak nadziei, że wkrótce ujrzym i uściśniem nowe pokolenie naszych wojowników. Tymczasem przybywa tu wiele obywateli z kraju, by tu przepędzić zimę. Z Królestwa Polskiego łatwiej się nawet teraz wymknąć niż dawniej. Powiadają nasi, że ich umyślnie puszczono, by im zbrzydzić rzeczpospolitę i demokracyą. Są nawet i tacy z przybyszów, którzy przepędzili pewien czas w Wiesbaden i przepełnieni są wodą i legitymizmem. Polak zapalający się dla sprawy Henryka V! Zaiste, trzeba to widzieć, aby temu uwierzyć; ja to widziałem.

P. Branicki przeznaczył na biedne nasze tułactwo w Londynie dwa tysiące funtów szterlingów[1]): Christos woskres.

G. P. nr. 77 z 1 października 1850.

---

[1]) To doniesienie sprostowano niebawem w liście z Londynu, umieszczonym w »Gońcu Polskim«, nr. 88 z d. 13 października 1850 r.

V.

Paryż, 19 października 1850.

(Słowo pana Bertin. — Polska i dziennikarstwo paryskie. — Pogłoski Bulletina. — Spory emigracyjne. — Wiadomości z emigracyi. — Sprostowanie sprostowania.)

»Polska nie jest kwestyą bieżącą i nie na porządku dziennym« — powiedział niedawno w towarzystwie pewnem p. Armand Bertin, ów Nestor, przynajmniej co do starości, jeśli nie co do mądrości, tutejszego dziennikarstwa. Jest to w treści i myśli zwykła odpowiedź tych ludzi, którzy jeszcze przez pewien wstyd nie chcą wprost oświadczyć się ze swojem prawdziwem zdaniem. W gruncie słowo to p. Bertin nie wiele się różni od zwięzłego wyznania Universa, że wszelkie dążności narodowe są zbrodniczemi, i że jedyne tylko świata zbawienie w związku ścisłym z Austryą. Univers ma tu przedewszystkiem Włochy na celu. Pan Bertin, co do Włoch, nie może wprawdzie wznieść się do tej heroicznej abnegacyi Universa; onby wolał tam jednak widzieć rząd konstytucyjny margrabiego d'Azeglio niż Ferdynandowe biczowania kobiet z bożej łaski. Co do Polski zaś, to p. Bertin wolnym

---

11 października. Odbieramy z Londynu, od jednego z naszych wychodźców, następujące sprostowanie:

»Mam sobie za obowiązek czytelników Gońca wyprowadzić z błędu, w jaki wprowadził ich korespondent paryski. W nr. 77, pod datą 26 września z Paryża, pisze on, że pan Branicki przeznaczył na biedne nasze tułactwo w Londynie 2000 funtów szterlingów. My od przybycia z Turcyi, inni dawniej jeszcze, nie tylko o takiej sumie, ale o żadnej przez pana Branickiego przeznaczonej dla nas, nie słyszeliśmy. Od ostatecznej nędzy bronią nas dotychczas szczupłe składki emigracyi starej i Czartystów, a o tak pomyślnej i tak blisko dotyczącej nas nowinie dowiadujemy się po raz pierwszy z Gońca. Dobrzeby było, żeby korespondent podał szczegóły bliższe wiadomości udzielonej. Dwa tysiące funtów szterlingów byłoby dla nas prawdziwem »Chrystos woskres«, które obroniłoby nas od chłodu i głodu.

Pozdrowienie braterskie etc.«

jest od tych »kramarskich słabostek«. Bo cóż to znaczy, proszę, to słowo, że Polska nie jest kwestyą bieżącą? Jakto, czy sprawiedliwość, ludzkość, prawo boskie narodowości, męczeństwo bez granic, nie jest kwestyą bieżącą? Czyż, mówiąc z Szekspirem, tysiączne nasze krwawiące się rany nie są tysiącznemi ustami wołającemi o pomoc, stawiającemi kwestyę tak bieżącą i świeżą, jak bieżąca w nich krew świeża? I ci ludzie, którzy nam dziennego światła rozbioru i dyskusyi odmawiają, dziwią się potem, gdy nas w nocnych cieniach spisków i powstań spotykają! I ci ludzie, którzy Polskę z dziennego porządku wykluczają, dziwią się potem, gdy ją w każdym dziennym znajdują n i e p o r z ą d k u!!

Mimo tego wypowiedzenia p. Bertin, przyznać trzeba, że właśnie w ostatnich czasach Polska stała się znowu tematem dziennikarstwa paryskiego. Z obowiązku korespondenta muszę zwrócić uwagę na ten symptom mały, nieznaczący na pozór, ale dowodzący w każdym razie, że wzmianka o sprawie naszej nie jest już tak zakazaną i prawdziwy wstyd przynoszącą, jak to jeszcze przed niezbyt dawnym bywało czasem. Może też, że w powszechnej monomanii, która teraz opanowała Francyą w szukaniu sławnej solucyi, zdrowy acz niejasny jeszcze instynkt naprowadza mimowoli ludzi myślących na jedyną prawdziwą solucyą rewolucyjnego stanu Europy, na kwestyą polską.... Nie chciałbym się jednak łudzić tą myślą i zaprzestaję na teraz na konstatowaniu tego faktu, że tu i owdzie w dziennikach paryskich teraz pod różnymi kształtami wypływa kwestya polska, bądź w lekkiej wzmiance, bądź w dosyć bezstronnie prowadzonej dyskusyi, bądź wreszcie w feletonie i artystycznych artykułach. Sam nawet dziennik pana Bertin, ogłaszając niedawno swój program polityki niemieckiej, wspomniał o rzezi galicyjskiej, o zbrodniach Metternicha i o karze Bożej, spadłej na Niemce, za zbrodnią podziału Polski. Od tak poważnego, przemądrego i tak mało ruchliwego dziennika, jakim są Debaty,

wielkie to musiało być wysilenie, wypowiedzieć te w gruncie nic nie znaczące słowa; dzięki mu więc niech będą, nie w miarę znaczenia i doniosłości tych słów, ale w miarę heroizmu, którego ich wypowiedzenie wymagało! Śmielej i szczerzej dotknął naszej sprawy przed kilkoma dniami dziennik Le Siècle, organ Lamoriciera i Cavaignaca. Rozbierając obszernie stan obecny Niemiec i odwieczne, przedpotopowe pytanie ich jednoty, przychodzi do tego rezultatu, że Francya tak ze stanowiska moralności jak swego dobrze zrozumianego interesu póty na jedność Niemiec zezwolić nie może, póki Niemce nie zrzekną się zaboru polskiego i w przywróceniu państwa polskiego nie dadzą rękojmi tak moralności swoich dążeń jak bezpieczeństwa dla Francyi ze strony wszechgermańskich zachętek. Polska, powiada dalej ów dziennik, jest nieodzownym, pierwszym i jedynym warunkiem jedności niemieckiej, a z Polską i Węgry i Słowiańszczyzna, i wszystko to, co w etycznem zorganizowaniu nowego świata ma swe uprawnienie i uświęcenie. I te słowa wprawdzie nie są jeszcze verba magistri, w któreby wprost wierzyć wypadało, ale w każdym razie dowodzą one rozsądniejszego i sprawiedliwszego zapatrywania się na sprawy polityczne, i niechaj to nam będzie dobrą wróżbą! Nawet i Presa Girardina, która, jak wiadomo, najzaciętszą i najdawniejszą była nieprzyjaciółką naszej sprawy, zamieszcza teraz jakieś tragiczne feletony z nad Dniepru, w których mowa o cierpieniach i męczeństwach Polski, o Sybirze, o kopalniach i o łaskach cara.

Ale najczęstszym tematem dziennikarstwa są właśnie spodziewane dla nas łaski cara. Jak zwykle, mowa tu o rekonstytucyi Polski pod rządami jakiegoś carewicza lub Leuchtenberga. Stare to są rzeczy i prawie wstyd już o tej przedpokojowej polityce wspomnieć. Jeśli jednak o niej wspominam, to tylko dla źródła, z którego pochodzi. Najskwapliwszym w ciągłem powtarzaniu i waryowaniu tej pogłoski, jest Bulletin de Paris, nietajny organ eli-

zejskiego pałacu. Cóż jest powodem, że właśnie ten dziennik pierwszy tę nieświeżą zaiste wiadomość odświeżył i na przemian, jako rzecz bardzo pewną, albo jako słabe, echowe »on dit« podaje? Cóż jest powodem, że właśnie elizejskie dzienniki, Constitutionnel, Patrie, Pays tę wiadomość powtarzają i skrzętnie rozszerzają? Osoba, mająca pewne stosunki i wpływy, takie mi dała tego fenomenu objaśnienie. Na kongresie, mającym się otworzyć w Warszawie między carem i różnymi monarchami, i monarchiczny czyli raczej imperatorski aspirant, p. Bonaparte, chciałby mieć swego zastępcę, i to w osobie najzaufańszego swego przyjaciela, który wszystkie tajniki jego próżnego posiada serca, jednem słowem, w osobie pana Fialin de Persigny. Berlin, do którego się znowu udał ów elizejski Merkury w szlifach, ma tylko być stacyą dla niego na drodze do Warszawy. Ale, żeby nie zbytecznie zrazić opinii tutejszej tem wysyłaniem swego syamskiego brata do cara północy, i dla przygotowania umysłów w tym celu, wymyślił prezydent odświeżyć i propagować pogłoskę o carskich zamiarach względem Polski, i tym sposobem misyi pana Persigny nadać charakter nawet i popularny. Jakkolwiek całą tę argumentacyą z bardzo pewnego czerpam źródła, nie śmiem jednak jej nazwać prawdziwą, właśnie może dla tego, że tak prawdopodobna, i kończę ten ustęp nie kategorycznem: dixi, ale tylko skromnem: relata refero.

Wobec tego pocieszającego przechylenia się opinii ku nam, tem boleśniej dotykają każdego prawego i o honor narodowy dbającego wychodźca wypadki zaszłe niedawno w gronie nowej tutejszej emigracyi. Milczałem o nich, bo łudziłem się nadzieją, że ludzie niepomni na naszą spokojność, na nasz honor i na nasze nieszczęścia, przynajmniej wzgląd pewien dla kraju będą mieli i obrady i niegodziwości kilku złych i zaślepionych utają przed oczyma dalekich. Stało się inaczej, a niedokładna znajomość stosunków spowodowała Gońca do uderzenia

w prawo i w lewo i do rozstrzygnięcia sprawy rozpłataniem żyjącego dziecka jak i umarłego. Ale sąd Salomona nie zawsze się daje zastósować i nie zawsze to się nazwie sprawiedliwością, gdy jedną jak i drugą stronę zarówno się potępia. Komitet nowej emigracyi nie zasłużył w niczem na ostre słowa Gońca, należy mu się przeciwnie wdzięczność za obstawanie przy prawie i słuszności wobec podnieconych przez kilku intrygantów i amnestyowanych (bo przedewszystkiem niechaj szanowna redakcya Gońca na uwadze mieć raczy!) najbrudniejszych namiętności, za zniesienie z pokorą więcej jak ludzką wszystkich obelg i napadów, jakich się tylko tacy dopuścić mogli, którzy przed Mikołajem paść na ziemię umieli i z amnestyą w kieszeni między bracią tułaczą przebywać mają czoło. Życzenie Gońca, aby ofiary krajowe składane bywały na ręce bezstronnych i znanych osób, dawno już urzeczywistnionem jest. Wszystkie prawie fundusze dla nowej emigracyi przechodzą przez ręce jenerała Gawrońskiego, doktora Gałęzowskiego i doktora Hłuśniewicza. Bezstronności i zacności tych godnych obywateli nikt, spodziewam się, nie będzie śmiał zaprzeczyć, ani też temu, że oni tylko w komitecie właśnie swe zaufanie pokładają. Śmiem się nawet do nich w tej mierze wprost odezwać, a szanowna redakcya niechaj raczy wybaczyć zbytniej może cierpkości moich słów; odwołuję się do zdania L'Hopitala, że nie można być dosyć cierpkim, gdy chodzi o prawdę.

Oby tylko te smutne zajścia nie stały się przyczyną zobojętnienia w kraju dla nędzy i niedoli wychodźtwa, która przechodzi wszelkie granice pojęcia! Samobójstwa i obłąkania coraz się stają u nas częstszemi. Jeden z nowych wychodźców rzucił się z nędzy i rozpaczy w Tamizę; inny, Jan Wojniewicz, odebrał sobie życie; profesor matematyki w Nancy, Morawski, człowiek godny i zasłużony, jest teraz w domu obłąkanych. Rosya wszędzie intryguje, by nędzą i cierpieniami przymusić nas do podania się o amnestyą. Tak się dzieje w Malcie, tak też szczególniej

w Grecyi. Grecya jest teraz prawdziwem piekłem naszej emigracyi. Jak piekło, była ona nasamprzód wysłana dobremi intencyami. Podczas wojny węgierskiej, statki rządowe greckie przyjmowały ochoczo Polaków, co myśleli brać udział w wojnie. Dawano im wolny przejazd, pieniądze na drogę i najłaskawsze zaręczenia. Teraz zaś takie jest prześladowanie, takie wyrafinowanie w okrucieństwach, że mimowoli przychodzi myśl, czy przeszłoroczne postępowanie rządu greckiego nie było szatańskiem wyrachowaniem dla pociągnięcia Polaków w matnią moskiewską. Moskwa w Atenach jest samowładną i rządzi życiem i honorem wychodźców. Wszystkie zabiegi ku temu są skierowane, by ich zmusić do proszenia amnestyi. Królowa grecka, rządząca teraz w Atenach, jest nieodrodną córą tego szczepu, który już nas Katarzyną i Maryą Teresą obdarzył. Wspomniałem już o pułkowniku greckim, co tak podle dał się użyć za narzędzie zemsty moskiewskiej. Dobrze, żeby Polacy spamiętali jego nazwisko: Scheteky, nazwisko wpół węgierskie, może też i węgierskiego renegata!

Amnestya lub Ameryka, te są teraz alternatywy naszej nędzy. O pierwszej zbytnie słów tracić nie potrzebuję: kto w tym kroku nie widzi shańbienia honoru polskiego, wyparcia się tradycyi świętej, dwudziestą laty tułactwa i męczeństwa drogo okupionej, kto tu nie woła: potius mori, quam foedari, ten dowodów i dowodzeń żadnych nie przyjmie, bo ten ani cienia cieniów nie ma w sobie sumienia polskiego. I tu niechaj mi wolno będzie wspomnieć o jednej rzeczy, której wyjaśnienie dla wszystkich będzie nader pożądanem. Jest tu wieść w emigracyi, że ks. Czartoryski wyrobił u ministra Barocha dla każdego wyjeżdżającego za amnestyą sukurs ze 100 fr., i że nadto ze swojej strony dokłada książę 50 fr. Nie wierzę temu, wierzyć temu nie mogę, ale w obec tak ogólnie rozpowszechnionego mniemania trudnoby było je

zamilczeć, i zdaje mi się, że ze strony hotelu Lambert z radością się uchwycą nadarzonej tu przezemnie sposobności, by pogłoskę tę tem, czem niezawodnie jest, potwarzą, publicznie nazwać.

Drugą mniej straszną ostatecznością jest Ameryka. Wielu się już tam udało; między nimi i ks. Korycki, który tak chlubnie się w kampanii 1831 r. jako kapelan i żołnierz odznaczył, i F. Wrotnowski, znany autor »Pamiętników« o powstaniu. Tam też i towarzystwo literackie londyńskie skwapliwie wyprawia oddających się w jego opiekę Polaków. Gdyby tylko była pewność, że raz na miejscu wywiezieni znajdą zatrudnienie i przytułek! Nie uważanoby nawet już na ukrytą w tych wyprawieniach myśl pozbycia się rewolucyonistów. Ale nieszczęściem w Ameryce, jak i wszędzie indziej, trzeba fachu lub kapitału, by przyjść do jakiegoś zarobku; bez nich tam jeszcze gorzej niż w Europie.

Uwięzionego dotychczas w Rzymie z powodu rewolucyi tamecznej Czerwińskiego wypuszczono i wydalono z państwa kościelnego po upływie przeznaczonej kary więziennej. Natomiast nic jeszcze nie wiemy o ostatecznym losie drugiego więźnia Rymarkiewicza. Spodziewać się należy, że bawiący teraz w Rzymie księża Zmartwychwstańcy za nim się wstawić zechcą.

Zapowiedziane pismo »Wychodziec« dotąd znaku życia nie dało i tylko sobie tego winszować możemy: boby z tej góry coś gorszego od śmiesznej myszy wylęgnąć się mogło. Natomiast mówią tu o przygotowaniach do pisma, mającego wychodzić w Brukseli.

W końcu muszę obstawać przy prawdziwości podanej przezemnie wieści o 2000 funtach szterlingów pana Branickiego. Pieniądze oddane były na ręce pana Zamojskiego. Dla czego więc szanowny korespondent z Londynu o tym darze nie zasłyszał, nie mnie w to wchodzić.

Niechaj się o to rozprawi z p. Branickim, lub towarzystwem literackiem londyńskiem [1]).

G. P. nr. 98 z 25 października 1850.

---

[1]) Niebawem ukazało się na łamach Gońca Polskiego w nr. 113 z dnia 13 listopada 1850 następujące w tej sprawie oświadczenie, nadesłane z Londynu:

Upraszamy Szanowną Redakcyą o umieszczenie w swem piśmie »Gońcu Polskim« następującego artykułu od towarzystwa Braci Polaków pracujących.

Stósownie do rady paryskiego korespondenta Gońca (nr. 98, str. 381) na posiedzeniu towarzystwa Braci Polaków pracujących (3 listopada 1850) wybrani zostali dwaj delegowani (obywatele Lewandowski i Golczewski) do towarzystwa przyjaciół Polski, z poleceniem zapytania sekretarza pana Szulczewskiego o owe 2000 funtów szterlingów; odpowiedź, jaką otrzymali, jest następująca:

»Pan Branicki w czerwcu r. b. przysłał 100 funtów szterlingów z wyraźnem zastrzeżeniem, aby użytemi były jedynie na wyprawienie do Ameryki«.

Od tego czasu p. Szulczewski nie wie o żadnym datku Branickiego. Przed parą miesiącami pan Zamojski nadesłał 400 funtów szterlingów także na cel rzeczony; fundusze te są już wyczerpane, wszelako znajdą się jeszcze środki wysyłania do Ameryki, gdyby znaleźli się ochotnicy do wyjazdu.

Sądzimy, że tą już razą szanowny korespondent da pokój sprostowaniom i udzielaniu podobnych wiadomości, tak szkodliwych dla nas. Odwołując się do odezwy naszej z miesiąca października, powtarzamy, że w położeniu obecnem liczymy jedynie na współziomków, których nie dotknęła smutna konieczność tułania się między obcymi. Brak pracy coraz bardziej czuć się daje, a odejmując środki zaspokojenia potrzeb materyalnych, odejmuje nam równie sposobność zgromadzania się na niedzielne posiedzenia towarzystwa, na których słuchamy wykładu dziejów ojczystych Podoleckiego, lub artyleryi Sztolcmana. Bracia, myślcie o nas!

w Londynie, dnia 7go listopada 1850.

A. Przezdziecki. Julian Cześnicki, sekretarz towarzystwa.
Mitkiewicz, prezydujący posiedzeń.

Adres: M. Alois Przezdziecki à Londres Nr. 8. Sussex Street Totenham Court Road.

VI.

Paryż, 5 listopada 1850.

(Wychodziec. — Hrabia Wacław Jabłonowski, redaktor Trzeciego Maja. — Ks. Terlecki. — Atlas polski Wrotnowskiego. — Wiadomości z ruchu naukowego, literackiego i artystycznego. — Pomnik Chopina.)

Wbrew wszelkim oczekiwaniom »Wychodziec« pokazał światu swoje miedziane czoło. Goniec już swoje zdanie o nim wypowiedział [1]), a jabym już nie rozruszył

---

[1]) Energicznie i stanowczo potępił »Goniec Polski« to wydawnictwo K. Milewskiego w następującym artykule, zamieszczonym w nrze 102 z d. 30 października 1850 r.

Poznań, dnia 29 października.

Mamy dziś znowu bolesny obowiązek publicznego wzmiankowania gorszącego pojawu w dziedzinie spraw polskich.

Tą razą rzecz się dzieje na polu piśmiennictwa naszego. Zgorszenie jest publiczne, milczeniem więc lub prywatnem potępieniem zbyć go nie możemy.

Udzieliliśmy przed niejakim czasem czytelnikom naszym prospekt na pismo peryodyczne, mające wychodzić w emigracyi polskiej, w Paryżu, pod nazwą: Wychodziec, a pod redakcyą pana Konstantego Milewskiego.

Otóż pierwszy zeszyt tego pisma wyszedł już z druku i, jak do rąk naszych się dostał, tak podobnież zapewne już obiega po kraju i emigracyi.

Odczytaliśmy ze wstrętem, ale odczytaliśmy cały zeszyt od początku do końca, a nie znając osobiście pana Milewskiego, nie wiedząc w tej chwili bliższych okoliczności, wydawaniu tego pisma towarzyszących, jesteśmy w wątpliwości, co to wszystko ma znaczyć?

Domysły więc nasze i kombinacye zestawiamy wedle stopnia ich prawdopodobieństwa. I tak:

Albo piszący jest chory na umyśle, a wtedy potępienie tych spotkać musi, na których ciężył obowiązek czuwania nad chorym.

Albo ma to być dowcipno-złośliwa satyra na kierunek rozpasania umysłowego obok braku wszelakiej podstawy gruntowniejszej, w który niestety! pojedyńcze cząstki młodzieży naszej, rozproszonej po różnych krajach, czasami popadały; a wtedy lekarstwo jest tak silne, tak obosiecznością swoją niebezpieczne i tak odrażające, że mało znajdzie takich, coby go bronić chcieli.

Albo, dalej, wydawca jest bezwiednem narzędziem nieprzyjaciół dobrej sławy imienia polskiego, polskiego piśmiennictwa i polskiego wychodźtwa.

tych śmieci, gdyby nie wątpliwy domysł Gońca, że brudne to pismo może jest organem jakiegoś choć małego odłamu wychodźtwa. Nie, tak nisko jeszcześmy nie upadli! P. Milewski sam oświadcza, że artykuły niepodpisane są pióra redaktora; a ponieważ oprócz wierszyków żaden artykuł nie nosi podpisu, więc dowód materyalny, że wszystko spada tylko na głowę doktora i chirurga z własnej łaski. Mogę zaręczyć, że Wychodziec wszędzie równe obudził oburzenie; mogę zaręczyć, że każden tułacz podziela żal i gniew szanownej redakcyi; mogę zaręczyć, że oprócz dwóch tylko n i e s z c z ę ś l i w y c h (»poveretto« nazywa chłop włoski rozbójnika), nikt, nikt zgoła tego pamfletu nie propagował.

Albo wreszcie (co najnieprawdopodobniejsza), pismo to ma być rzeczywiście organem dziennikarskim jakiejś cząsteczki emigracyi polskiej; a wtedy nie możemy dość silnie potępić tej występnej lekkomyślności i zarozumiałości młodzieńczej, która, odrzuciwszy na bok wszelkie względy ludzkie i polskie, w ten sposób pozwala sobie nadużywać wolności słowa i wolności druku.

Nie chcemy zbytniej wagi tej publikacyi nadawać, dlatego wstrzymujemy się od przytoczeń, ile, że wybór jest bardzo trudny, bo trzebaby i możnaby oniemal wszystko (z wyjątkiem wierszyków) na poparcie słów naszych powtarzać, zacząwszy od tytułu i przedmowy, aż do końcowej nowelki.

Czytelnicy zechcą nam może tymczasem zawierzyć, że w zeszycie w mowie będącym mieszają się w chaotycznym bezładzie: płytkość i trywialność niewypowiedziana, zarozumiałość bez granic, paradoksa do bezwstydu posunięte, czczość szumnych frazesów aż do gramatycznej i loicznej niezrozumiałości, wreszcie odrażająca gminność języka.

Objaw ten bolesny, już dla tego, że w polskiem ma miejsce piśmiennictwie, tem boleśniejszym się staje, iż to jedyna dziś podobno w wychodźtwie polskiem peryodyczna publikacya, i że wydawca, jak się zdaje, chce w piśmie swem występować jako obrońca sprawy polskiej i wolności.

Zaprawdę! najsilniejsza z siebie sprawa upaśćby musiała, gdyby tylko takich miała rzeczników, najsprawiedliwsza i najczystsza mogłaby pójść w ohydę.

Nie wątpimy, iż większość wychodźtwa naszego wszelkimi możebnymi sposobami zrzuci z siebie solidarność tego »Wychodźca«, i wszelkich dołoży sił, ażeby dalszemu zgorszeniu tamę położyć.

Mieliśmy w tych czasach drugi smutny objaw drukarski na tułactwie. Pan hrabia Wacław Jabłonowski napisał do »Gazette de France« list, w którym zaręcza, że uczucie narodowości wygasło już w sercu Polaków, że oni jedyne tylko mają roszczenie używać pod rządami słowiańsko-rosyjskimi praw poddanych słowiańskich, i że, gdyby cudem wojska najezdnicze nagle opuściły naszą ziemię, toby żywioł prawdziwie szlachecki i narodowy padł niezwłocznie ofiarą demagogii chłopskiej, niemieckiej i żydowskiej. Te słowa świętokradzkie, te piekielne bluźnierstwa pisał w tych dniach we francuskim języku do francuskiego dziennika człowiek, który się jeszcze »dobrym patryotą« na końcu mieni, człowiek, który shańbił piękne historyczne imię, które nosi, i z którego jeszcze odpowie kiedyś przed Bogiem i narodem, człowiek.... Powiem, co to za człowiek, aby czasem Sancho Pancy nie brano za Judasza. Pan hrabia Wacław Jabłonowski był dawniej redaktorem Trzeciego Maja; zbankrutowawszy na tem przedsięwzięciu, ale nie na wierze monarchicznej, uciął czerwoną wstęgę z chorągwi naszej i z białym szmatem przeszedł do obozu francuskich legitymistów. Zasila teraz swymi artykułami dzienniki minorum gentium tej fakcyi, jak np. Corsaire, Mode, Henri IV itp.; wydaje raz po raz broszurki, tchnące mikołajowym i henrykowym duchem, i choruje na wynalazki. Przed pewnym czasem dedykował Mikołajowi projekt urządzenia armii na łyżwach, a Henrykowi plan urządzenia balonów z działami i wojskiem, by tym sposobem z góry napadać na demagogią i na głowę pobić czerwonych. Jeśli ten polski hrabia za błogim powrotem Henryka V nie dostanie nominacyi na markiza, to już chyba sprawiedliwości, jak mówi Jean Paul, nie u ludzi, ale u pokrzyw szukać.[1])

[1]) Na wystósowaną do Gońca Polskiego obronę swojej politycznej teoryi otrzymał Wacław Jabłonowski ze strony redakcyi tegoż pisma sprawiedliwą i słuszną odprawę, umieszczoną w nrze 13 z dnia 17 stycznia 1851 r.:

Ks. Terlecki odpisał w dzienniku la Voix de la verité na zarzuty p. J. B. Ostrowskiego. Nie widzę jednak potrzeby streszczania tu tych debatów, gdyż ks. Terlecki, jak to sam oświadcza, tylko ze stanowiska religijnego obronę swoją prowadzi. Kwestyą polityczno - narodową przepuszcza milczeniem, tę właśnie, na której wyświeceniu nam najbardziejby zależało. Bo co do stanowiska religijnego ks. Terlecki właściwie wszelką dyskusyą już tem oświadczeniem zamyka, że wszystko, co dotychczas działał,

---

Odebraliśmy z Paryża długi list od p. Wacława Jabłonowskiego, byłego redaktora dziennika Trzeci Maj, w którym to liście stara się on odeprzeć rzucony nań wyrok ciężkiego potępienia przez naszego paryskiego korespondenta.

Pan Jabłonowski pisze między innemi: »Jeżeli sprawiedliwość nie wymarła jeszcze na polskiej ziemi, jeżeli dziennikarstwo nie jest w oczach twoich, panie redaktorze, li tylko handlem słów i papieru na korzyść jakiejś koteryi, ale gatunkiem kapłaństwa, mającym na celu rozszerzanie politycznych prawd i czuwanie nad interesami narodu, jestem pewny, że nie odmówisz mi miejsca w kolumnach twego dziennika na odparcie zarzutów, uczynionych przez korespondentów paryskich i t. d.«

Zarzuty zaś te odpiera pan Jabłonowski nie sprostowaniem faktu jakiego, mylnie lub potwarczo podanego, ale obszernym wywodem swojej polltycznej teoryi, która się zasadza i kończy na dobrowolnem połączeniu się Polski z Rosyą. Pan Jabłonowski zaręcza, że czerpie przekonanie o zbawienności tej teoryi z jasnego poglądu politycznego, ze znajomości dziejów i charakteru narodowego i z prawdziwego patryotyzmu.

Choćbyśmy chcieli przypuścić to wszystko, nie możem listu jego zamieścić, właśnie dla przyczyn, przez niego samego przytoczonych, i przy spokojniejszej rozwadze sam pan Jabłonowski przyzna, że trudno od nas żądać, abyśmy powtarzali to, co w przekonaniu naszem jest zbrodniczem, zabójczem i bluźnierczem dla sprawy polskiej.

Z żądaniem ogłaszania rzeczy podobnych wypada zgłosić się do pokrewnych w duchu dzienników. Między nami bowiem, t. j. między panem Jabłonowskim a redakcyą Gońca, to już tylko wspólnego chyba, że jednym piszemy językiem.

Słowa niniejsze zechce pan Jabłonowski poczytać za odpowiedź na list swój do nas wystósowany.

stało się za pozwoleniem i upoważnieniem najwyższej władzy duchownej, ojca świętego, i że przed ten trybunał oddaje i nadal niezmiennie oddawać będzie wszystkie swoje sprawy. Wolno panu J. B. O. teraz być bardziej papieskim od papieża, my na tem poprzestać możemy. Ale natomiast byśmy bardzo życzyli, aby ks. Terlecki zechciał i drugą stronę swojej sprawy wziąść pod rozwagę i ją nam lepiej objaśnić. Bo tu, w rzeczach politycznych i narodowych, nie ma niemylnej najwyższej instancyi i sumienia polskie mogą jeszcze być zakłócone póty, póki jasno i bez ogródki się wszystkiego nie wypowie.

Muszę sprostować dawniejsze moje doniesienie o wyjeździe p. Wrotnowskiego do Ameryki. Nie autor pamiętników to był, ale jego imiennik, inżynier. P. Feliks Wrotnowski przebywa ciągle w Londynie i w tych dniach ukończył swój pyszny atlas Polski wespół z panem Dufour. Praca ta przynosi prawdziwy honor tułactwu. Pan Wrotnowski skorzystał ze wszystkich możliwych zasobów, by dzieło swe prawdziwie godnem tego imienia Polski zrobić, które nosi na tytule. Prace kwatermistrzowstwa naszego i rosyjskiego i jenerała Chrzanowskiego, badania hydrograficzne i geologiczne rodaka naszego Ignacego Domejki, (który teraz jest konsulem w Sant Jago, w Chili, a którego naukowe zasługi niedawno uczczone zostały przez znakomitego uczonego, p. Michel Chevalier, w dziele o monecie), kosztowne zbiory p. Cichowskiego, wszystko znalazło korzystne uwzględnienie w dziele p. Wrotnowskiego: »Atlas de l'ancienne Pologne«. Atlas ten w wielkim formacie, na pysznym papierze i z prawdziwie artystycznem i naukowem opracowany wykończeniem, zawiera dwanaście kart double in folio: kartę hydrograficzną, geologiczną, fizyczną, etnograficzną, religijną. Karty historyczne z w. X, Bolesławowego, Piastowego, Jagiellońskiego, Zygmuntowego, Stanisławowego, z czasów rozbioru, rekonstytucyi i obecnego stanu. Życzyćby należało, aby rodacy w kraju starali się nabyciem tego dzieła upiększyć swoje patryo-

tyczne inwentarze i wywdzięczyć się zasłużonemu autorowi za jego mozolną i chwalebną pracę.

Niechaj mi wolno będzie list obecny zakończyć dopełnieniem wiadomości z ruchu naukowego i literackiego na tułactwie. Rodak nasz, p. Pepłowski, były uczeń agronomicznej szkoły w Grignon, przebył zaszczytnie konkurs w tym tygodniu i został mianowany profesorem w tym samym naukowym zakładzie, w którym dawniej był uczniem. Mickiewicz, o którym teraz ciągle głoszą, że ma wystąpić z nowemi dziełami, drukuje podobno dramat francuski na dochód Krakowa; tak mi to przynajmniej zaręczył bliski znajomy naszego wieszcza. Pan Konstanty Gaszyński, który teraz bawi w Paryżu, drukuje »Kontuszowe pogadanki«. Lewicki zabiera się do drugiego zeszytu illustracyj Paska. Tysiewicz wrócił ze swojej wycieczki do kraju. Może i Norwid da się namówić do publikowania cudownych swych illustracyj do Irydiona i Nieboskiej komedyi; mógłby się on niezawodnie stać Flaxmanem naszego Dantego.

Obchodziliśmy tu mszę żałobną za duszę ś. p. Chopina. Odkryto także teraz na Père Lachaise jego pomnik: Melodya płacząca, dłuto znakomitego Clesingera. Wystawienie tego pomnika kosztowało 15 000 fr., na które się złożyli spółzawodnicy wielkiego naszego artysty.

G. P. nr. 111 z 10 listopada 1850.

VII.

Paryż, 8 listopada 1850.

(P. Alexis de St. Priest i p. Tytus Działyński. — Słowo Kościuszki. — Zbiory Leonarda Chodźki. — Wiadomości emigracyjne.)

P. Alexis de Saint Priest jest dyplomatą historycznym i historykiem dyplomatycznym. Napisał on już dzieje upadku zakonu jezuickiego i teraz »naturalnym« biegiem swych studiów nad dyplomacyą XVIII wieku natrafił na epokę rozbioru Polski i tę opisał. Już tu na samym wstępie byłoby coś bardzo ważnego

do nadmienienia. Dyplomatyczną historyą dyplomatycznego, w ostatnich przynajmniej czasach, zakonu OO. Jezuitów pisać niezawodnie można, ale możnaż i rozbiór Polski dyplomatycznie, t. j. li tylko ze stanowiska depesz, relacyj, jawnej i tajnej korespondencyi gabinetów i intrygantów napisać? Mnie się zdaje, że nie, mnie się zdaje, że to wszystko podrzędnem tylko źródłem będzie dla prawdziwego historyka, a główniejszem będą: literatura narodu, tradycya ludowa, duch czasu, wychowanie moralne i polityczne obywatelstwa... słowem, to wszystko, co właśnie by i najdelikatniejszym nerwom i najbystrzejszym oczom dyplomatów na zawsze ukrytem zostaje. Tłomaczę się jaśniej. Możnażby było historyą rewolucyi francuskiej napisać ze źródeł dyplomatycznych relacyj jakiego, i bardzo genialnego nawet, sekretarza legacyi? Oczywista, że nie! Znalezionoby w nich pewno dowcipne anekdoty, skeptyczne aksyomata, delikatne sylwetki, trafne, o włos nie chybiające spostrzeżenia, któreby może właśnie dla tego najgłówniejszą rzecz chybiły. Ale, żeby odetchnąć prawdziwem żarnem powietrzem owego czasu, a nie destylowaną parfiumą tej starej zalotnicy, którą dyplomacyą nazywamy, historyk uda się do pamfletów Desmoulina, do dziennika Loustalota, do marzeń klasycznych pani Roland, do społeczeńskiego układu Roussa, do marseliezy, do karmanioli i t.d., słowem, do tych wszystkich zjawisk, w których bije prawdziwy puls owej epoki, do tych wszystkich ukrytych warsztatów, w których anioły i szatany kuli myśl wieku... Thucydides w historyi wojny peloponeskiej nigdzie dyplomatycznych relacyj nie przytacza; ale za to opisuje nam wiece i zgromadzenia Ateńczyków i Spartańczyków, przedstawia nam to życie genialno-próżniacze demokratycznych obywateli, tego żebraka greckiego, który i w łachmanach swoich umie się tak drapować, że zawsze będzie pięknym posągiem, tego Periklesa, który, niby to popychany, sam popycha, i jest ciągłym pretendentem przez ciągłe abdykacye... i dalibóg Thucydides jest większym

historykiem od pana Alexis de St. Priest! Wolno i dostateczna dyplomatycznym cyrklem mierzyć intrygę upadku jezuitów, panią Pompadour i księcia Choiseul, ale ta miara nie wystarcza na tę tragiczną epokę rozbioru Polski i na kolosalne figury Puławskich, księdza Marka, Rejtana.... Pan Alexis de St. Priest też tego, przyznać muszę, i nie robi, bo nigdzie nie wspomina o Puławskich, o ks. Marku i o Rejtanie. Ale jakaż to, proszę, będzie historya rozbioru Polski, w której nic nie ma o bohaterach Baru i o pośle nowogrodzkim! Nie będzież to Iliada bez Achillesa i Hektora?...

W takim stanie rzeczy nawet i dobra wiara nie ochroniłaby była pana de St. Priest od napisania fałszywego i nierzetelnego dzieła. Cóż dopiero, gdy nawet i tej dobrej wiary nie było i nie ma! Pan Alexis de St. Priest musiał »naturalnie« przyjść do tego rezultatu, że Polska z własnej winy upadła, że rozbiór jej był koniecznością historyczną, a nie zbrodnią, i że, a o to dyplomacie najgłówniej chodzi, nic niesprawiedliwszego nad zarzuty, robione przez płytkich sentymentalistów ówczesnej dyplomacyi, która, mój Boże, była tak uczciwą, tak rozsądną i sumienną, w gruncie tylko prostem narzędziem »opatrznej« woli. »Opatrznym!« tak i Voltaire nazwał wówczas podział Polski... P. Alexis de St. Priest nie zasłania się powagą Voltaira; ma on za sobą pamiętne słowa papieża: że to był czyn sprawiedliwy i chrześciański!

Sumienna ta praca pana Alexis de St. Priest, nasamprzód ogłoszona w Revue de deux mondes, wyszła potem osobno i, jakby czarodziejską różczką dotknięte, dwa wielkie dzienniki, organa naturalnie religii, familii i własności, uchwyciły się tego dzieła i szeroko się nad niem rozwiodły. P. Cucheval-Clarigny w Constitutionnelu i pan John Lemoinne w Debatach (ten sam, którego przeszłorocznie listy o Rzymie tak wielkie zrobiły wrażenie), obadwaj w tym samym dniu oświadczyli się z zapałem za p. Alexis de St. Priest.... mylę się, za Moskwą, bo całej

tej bajki nauka była, że porządek, który panuje w Warszawie, jest w »opatrznym« porządku rzeczy. P. John Lemoinne szczególniej nie taił się z tem zdaniem, że pan Alexis de St. Priest dziełem swem większą jeszcze niż pan Barbès 15ym maja oddał Francyi przysługę, bo ją radykalnie od wszelkiej słabostki dla Polski wyleczył, i z pewną tygrysią rozkoszą powtórzył J. Lemoinne kilka razy jedyną może anekdotę, którą wie z historyi polskiej, anekdotę o »finis Poloniae«.

P. Tytus Działyński, obywatel wielkopolski, bawiący chwilowo w Paryżu, odpisał w Debatach na te nielitościwe i nierozsądne frazesa pana Lemoinne. Zdaje mi się, że redaktor, mający jakiekolwiek sumienie i poczucie swego powołania, z obowiązku, pozwoliwszy na takie zabójcze dla całego narodu zdania, nie stawiałby przeszkody nieszczęśliwym synom tej najnieszczęśliwszej ojczyzny w obronie jej tak narażonego honoru. Ale to były zbyt drobne względy dla tak wielkiego polityka, jakim ma szczęście być szanowny redaktor Debatów, pan Armand Bertin. Salus publica przedewszystkiem! P. Bertin poddał odpowiedź p. Działyńskiego ostrej cenzurze, i obciętej, pokaleczonej dopiero udzielił skromnego miejsca w swoim dzienniku. I w tym jednak uszkodzonym i nadwerężonym stanie odpowiedź p. Działyńskiego jest piękną, godną i silną. Dzięki mu szczere niech będą za to wystąpienie i za ujmowanie się za honor naszej Ojczyzny! P. Działyński zadaje fałsz twierdzeniom p. Alexis de St. Priest; zaręcza, że nigdy Kościuszko owych banalnych słów nie powiedział i nigdy ich żaden prawy Polak nie powtórzył. Przyszłość okaże, mówi dalej p. Działyński, czy ci, którzy radzili Francyi opuszczenie gnębionych narodowości, byli jej prawdziwymi przyjaciółmi, a teraz spojrzyjcie tylko na obecny kongres warszawski, patrzcie, jak tam car całą polityką Europy trząsa, i powiedzcie sobie, jakie to błogie dla was skutki z rozbioru Polski. Byłbym tu całą odpowiedź pana Działyńskiego zamieścił, bo tego we wszys-

tkiem jest godną, ale myślę, że, nim mój list dojdzie, szanowna redakcya Gońca już jej w swych kolumnach zasłużone dała miejsce.[1])

P. Alexis de St. Priest w krótkich słowach, gładkich i ostrych jak nóż, odpisał na zarzuty p. Działyńskiego; przyznaje nam odwagę i bohaterskość, ale nie rozumie, jak można twierdzić, żeśmy nie z własnej i z własnej tylko winy upadli. Na tem stanęła polemika. Ja tu tylko jeszcze objaśniającą zrobię uwagę, którą sobie na sam koniec zostawiłem. P. Alexis de St. Priest jest synem jenerała de St. Priest, byłego gubernatora moskiewskiego w Kijowie; sam p. Alexis jest pułkownikiem moskiewskim na odstawce i ma żonę Moskiewkę. Jest to więc pan Circour potrojony. Teraz wszystko się staje bardzo jasnem i bardzo »naturalnem«!!!

Dziwna, jak czasami najniedorzeczniejszy fałsz nie tylko przybiera z czasem powagę prawdy, ale i staje się hasłem całego prawie świata. Są pewne anekdotyczne frazesa, które każden wie na pamięć, które ci każden przy każdej okoliczności powtórzy, które są, jeśli tak się wyrazić godzi, pacierzem historycznym gminu, a w których mimo tego wszystkiego ani słówka nie ma prawdy. Któż nie wie, któż tysiąc razy w życiu nie powtórzył mniemanych słów Cezara: »Et tu Brute«, mniemanego wykrzyknika Franciszka I. »tout est perdu fors l'honneur«, Cambona: »La garde meurt et ne se rend pas«, Mirabeau: »La force des bajonettes seule peut chasser les représentants d'un peuple« i t. d. i t. d. A jednak rzecz to dowiedziona, że te słowa, zdania, frazesa nigdy nie były wyrzeczone, że w pewnych razach nigdy nawet niemi być nie mogły!! Owego tak pięknego, tak prawdziwego zdania naszego Zygmunta: »Pocóż tyle narodów zagarnąć, kiedy tak trudno je wszystkie uszczęśliwić?« tego zdania,

[1]) Rzeczoną odpowiedź hr. T. Działyńskiego zamieszczamy poniżej str. 42. (Przyp. wyd.)

co może się stać chlubnym napisem całej historyi polskiej a świętym przykazaniem dla całej przyszłości... tego nikt nie zna, nikt nie powtarza; a ileż za to razy obiło się o nasze uszy, jako wielka i mądra prawda, to niby Kościuszkowe słowo: finis Poloniae, które tak było dalekiem od ust jego jak od serca, którego życiem i czynem nigdy nie uznał, którego się wprost wyparł. P. Leonard Chodźko posiada list własnoręczny Kościuszki do przyjaciela, w którym zaręcza, że owego słowa nigdy nie wyrzekł.... Przed tem świadectwem zamilczećby raz musiał rozsądek i sumienność ludzi. Ale cóż kiedy przywiedzie do milczenia ludzką głupotę i niesumienność?!

Wspomnieliśmy mimochodem o panu Leonardzie Chodźce, niechaj mi wolno będzie choćby kilka słów tu powiedzieć o jego zbiorach, tak mało znanych w kraju. Pan L. Chodźko od dwudziestu pięciu lat zajmuje się zbieraniem wszystkich materyałów, tyczących się dziejów polskich, począwszy od śmierci Sobieskiego. O bogactwie, porządku i staranności jego zbiorów tylko ten sądzić właściwie może, kto je naocznie widział. Wszystkie wiadomości gazeciarskie, wszystkie publikacye krajowe i zagraniczne nas się tyczące, wszystkie relacye, depesze, korespondencye, z polskiemi sprawami jakiekolwiek mające związki, są tu w nieprzerwanem następstwie, w największej pełności, w porządku chronologicznym i materyalnym, jakiego drugiego w innych rządowych nawet zbiorach niełatwo znaleść. Pan Chodźko posiada rzadkie autografy, kopie wszystkich depeszy i relacyj, które się po archiwach francuskich a szczególniej w archiwie ministerstwa spraw zewnętrznych znajdują: wszystko z najskrupulatniejszem oznaczeniem daty i źródła; tajne korespondencye (np. Stanisława Augusta ze swoim sekretarzem i Ignacym Potockim), ulotne pisma, cyrkularze, wiersze i t. p. Słowem, że zbiór pana Chodźki jest nie tylko niezbędnem, ale i jedynem źródłem dla tego, co chce poznać nasze dzieje z wieku XVII, XVIII i XIX. Przytem

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 1
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

i tę ważną ma zbiór pana Chodźki zaletę, której wielkość uznać łatwo, że nic w nim nie ma sztucznie i w celu pewnym urządzonego, że nie ma żadnej edycyi castigatae et emendatae ad usum Delphinorum, że wszystko z najskrupulatniejszą sumiennością i dokładnością jest zachowane. A ile tam badacz napotkać może prawdziwych niespodzianek, o tem świadczy sławny memoryał ksks. Czartoryskich do cesarzowej Katarzyny, który pan Chodźko pierwszy odkrył w tutejszem archiwie spraw zewnętrznych i ogłosił w Polsce malowniczej, a które tak dziwne, rażące rzuca światło na ówczesne dzieje. I w wygotowanych przez pana Chodźkę dwóch dziełach: o księciu Józefie i o Kościuszce, spodziewać się i z pewnością rachować możemy na nadzwyczaj ważne i zupełnie nieznane dokumenta. W końcu dodać muszę, że pan L. Chodźko z wielką uprzejmością każdemu pracującemu rodakowi pozwala użyć tych tak starannie i kosztownie nagromadzonych skarbów, i z najwyższemi zaletami bibliofilów, bibliomanów i zbieraczy łączy w sobie niezwykłą u nich tolerancyą i usłużność.

Większa część nowego wychodźtwa, bawiącego w Paryżu, wydała oświadczenie, w którem pochwala postępowanie komitetu i zupełnie się zgadza na postawiony warunek nieudzielania wsparcia tym, co się do amnestyi podadzą. Z komitetu wystąpiło trzech członków, których miejsce teraz zajęli: Bieliński, były poseł galicyjski i adjutant jenerała . . . ., Gajewski Jan, uczeń szkoły centralnej, i Klaczko Julian.

G. P. nr. 114 z 14 listopada 1850.

Podajemy tu tekst odpowiedzi hr. Tytusa Działyńskiego, jak ją ogłosił Goniec Polski w nr. 114 z d. 14 listopada 1850.

»Do redaktora. Nie należę do polskiej emigracyi i obcy jestem jej czynnościom; wszakżeż, odwołując się do uprzejmości i do uczucia słuszności pana, sądzę, że mi przyznasz prawo głośnego sprzeciwienia

się orzeczeniu, wydanemu przez dziennik pański na współziomków moich, a to przy rozbiorze dzieła pana hrabiego Aleksego de Saint Priest.

»Ludzie, którzy w dniu 15 maja 1848 usiłowali obalić rząd Francyi, dowiedli przynajmniej pewnej znajomości serca ludzkiego, starając się pokryć występne poczynanie płaszczem uszanowania dla świętej i słusznej sprawy Polski. Wiedzieli oni, że, oskarżając we Francyi władzę o przestąpienie praw honoru, zadaje się poniekąd śmierć tej władzy. Skierowali więc wszystkie swoje pociski w słabą stronę świetnego pancerza, który w osobie Ludwika Filipa tak długo Francyą zakrywał. Niedaleka przyszłość pokaże, czy głosy, doradzające rządowi dzisiejszemu wyrzec się sprawy narodowości i niepodległości ludów, płyną z serca bardziej przyjaznego chwale, potędze i bezpieczeństwu Francyi. Jeżeli Polacy brali rzeczywiście udział w jakiejkolwiek bądź walce pomiędzy członkami wielkiej rodziny, która im użyczała tak wspaniałomyślnej gościnności, zaiste byłoby to rzeczą nader pożałowania godną; wszakże okoliczność ta bardzo jest wątpliwą; zresztą trzebaby bardzo mało być Francuzem, ażeby przypuścić, iżby garstka cudzoziemców posiadała dłoń dosyć silną do wzruszenia olbrzymiej Francyi z dawnej jej posady.

»W każdym razie żałować przychodzi, że pan de Saint-Priest, przechodząc dzieje ostatnich dni Polski, nie potrafił w nich upatrzyć, jak tylko zjawisko odosobnione, bez następstwa i doniosłości. Jeżeli kto chce, wolno mu bez wątpienia zapatrywać się na liche kółka, odbywające swój obrot w całości wielkiego składu, jedynie pod względem ich urządzenia cząstkowego. Ale człowiek sztuki widzi w każdej części maszyny warunek niezbędny ruchu i harmonii całości. Zbyteczną byłoby rzeczą chcieć wykazywać, że Polska nie uległa działaniu zabójczemu anarchii; przeciwnie, jej to sąsiedzi ciągle się starali rozdrażniać wstydliwą tę ranę i skojarzyli się na zniszczenie nasze wtedy dopiero, kiedy postrzegli, że naród cały wstępuje odważnie na drogę porządku i rozumnej wolności. Kiedy Polska ogłosiła dziedziczność tronu, kiedy zniesła liberum veto, kiedy uświęciła wolność wyznań, kiedy rzuciła fundamenta trzeciego stanu, armii i wybornego systemu wychowania, kiedy konwencya francuska wyrzucała jej, iż nie jest rewolucyjną, wtedy to zaczęto zewsząd podkopywać u niej żywioły jej pomyślności i jej wielkości przyszłej. Nieprawdziwem jest twierdzenie, aby Kościuszko miał wyrzec słowa: Finis Poloniae. Nie wyrzekł on nigdy słów, których żaden Polak nigdyby nie powtórzył.

»Bądź co bądź, Europę zajmować dziś powinien, nie sposób, w jaki nieszczęsne te ciosy zadano, ale wpływ, jaki wywarły na nią i wywierać nie przestaną. Położenie zaś rzeczy, wywołane przez tę

katastrofę, jest w dwóch słowach następujące: Warszawa, poniżona w dawnej chwale swojej, zatrzymana w swoim rozwoju, zamieniona w słabą stolicę króla, zrobionego i odrabianego przez wszeteczną kobietę; Warszawa, to pole szermierki zepsutej dyplomacyi, miasto stołeczne kraju bez broni i bez twierdz żadnych, ta królowa dobroduszna plemienia walecznego, ale nie szukającego zaczepki, obca i prawami swemi i obyczajami wszelkiej myśli zaboru, a która zdawała się być tam postawioną przez Opatrzność dla złagodzenia starcia się wielkich mocarstw z sobą i dla służenia za pośredniczkę pokoleniom słowiańskim i germańskim; ta Warszawa jest dziś mieszkaniem cara, sędzi samowolnego Niemiec i Europy. Tamto przychodzą obecnie odbierać natchnienia swoje synowie cezarów, Habsburgi i Hohenzollery; tamto jego ministrowie wołają: »Polacy i wy Słowianie! byliście niezadowoleni z królów Europy; patrzcież więc teraz na robotę ludów; patrzcie na Niemców w Frankfurcie, patrzcie na nich w Erfurcie; patrzcie mianowicie na republikanów Francyi; nie widzicież tych pokoleń wyrodzonych, zarówno niezdolnych do zniesienia zupełnej wolności jak zupełnej niewoli, i nie pożądających już ani honoru monarchiów (!), ani cnót rzeczypospolitych. Nadeszła kolej potęgi plemion północnych«. A ludy słowiańskie słuchają i spuszczają głowę ku ziemi.

»Otóż jest, powtarzam, położenie sprowadzone przez wyparcie się Polski.

Paryż, 1. listopada 1850. hrabia Działyński.«

W Gońcu Polskim, nr. 122 z d. 23 listopada 1850 r., znajdujemy o reklamacyi Hr. Tytusa Działyńskiego jeszcze następującą wzmiankę:

Paryż, 7 listopada. Korespondent paryski Czasu pisze pod tą datą: Dnia 4. t. m. Journal des Débats zamieścił list hr. Działyńskiego w odpowiedzi na wnioski p. John Lemoinne, wyprowadzone w dzienniku z powodu pracy pana Alexego de Saint Priest o Polsce. List, o którym mowa, zrobił dobry skutek. Krajowcy powinni często naśladować hr. Działyńskiego, bo reklamacye emigrantów albo nie wzbudzają już wiary, albo nie mają wielkiej powagi. Coś podobnego zrobił już z równem powodzeniem pan August Cieszkowski. Pan Alexis de Saint Priest odpowiedział na list z widoczną złą wiarą, jak to zwykli czynić wszyscy Francuzi, rzucający kamieniem na nieszczęście.[1])

---

[1]) Pan Alexis de Saint Priest, dziś tak niesłusznie przeciw Polakom występujący, jest synem emigranta francuskiego, którego Rosya mianowała gubernatorem Podola. Jak się dowiadujemy, szlachta podolska ma jeszcze w ręku dotąd wiele niepopłaconych obligów byłego gubernatora. (Przyp. Redakcyi Czasu.)

VIII.

Paryż, 14 listopada 1850.

(List Kościuszki. — P. Poraj Goczałkowski. — Emigracya w Grecyi i Algierze. — Dr. Gałęzowski. — Słabość księcia Czartoryskiego.)

W ostatniej mojej korespondencyi wspomniałem o liście Kościuszki, w którym wielki bohater wypiera się najuroczyściej przypisywanych mu słów »Finis Poloniae«. Postaramy się tutaj o zamieszczenie tego ważnego dokumentu w Debatach, ale, nim się to uskuteczni, zdawało mi się stósownem zakomunikować go szanownej redakcyi Gońca. Bo przecież i u nas niejeden, słysząc ciągle o tej bajce, mógł w końcu uwierzyć w jej prawdę, choć nie w naukę, którą nieprzyjaciele nasi z tej bajki wyciągnąć chcieli. Zdaje mi się, że szanowni czytelnicy nie wezmą mi za złe, że miejsce, przeznaczone bieżącym wiadomościom, wypełnię na teraz odwieczną prawdą. »Stara to, ale dobra nowina« i uczciwość, serdeczność słów Kościuszki, ta dobra polskość mimo tej złej francuszczyzny, w której wyrażona, przynosi w tych czasach goryczy i zwątpienia słodką ulgę i miłą nadzieję.

List ten brzmi dosłownie następnie:

»Paris, 20 Brumaire an XII.
(12 Novembre 1803.)

»Monsieur le Comte!

»En vous remettant hier l'écrit relatif á l'affaire de M. Adam Poniński sur sa conduite dans la campagne de 1794, il y a encore un autre fait, qui se rattache à la malheureuse bataille de Macieiowice, et qu'il me tarde d' éclaircir.

»L'ignorance ou la mauvaise foi s'acharnent à faire mettre dans ma bouche le mot de Finis Poloniae, que j'aurais prononcé dans cette fatale journée. D'abord, avant l'issue de la bataille, j'ai été presque mortellement blessé, et je n'ai recouvré le sens que deux jours aprés, et lors-

que je me suis trouvé entre les mains de mes ennemis. Puis, si un pareil mot est inconséquent et criminel dans la bouche de tout Polonais, il le serait beaucoup plus dans la mienne.

»La nation polonaise en m'appelant à défendre l'intégrité, l'indépendance, la dignité, la gloire et la liberté de la patrie, savait bien, que je n'étais pas le dernier Polonais, et qu'avec ma mort sur le champ de bataille ou autrement, la Pologne ne pouvait et ne devait pas finir. Tout ce que les Polonais ont fait depuis dans les glorieuses légions polonaises et tout ce qu'il feront encore dans l'avenir pour recouvrer leur patrie, prouve suffisamment, que si nous, soldats dévoués de cette patrie, nous sommes mortels, la Pologne est immortelle, et il n'est permis à personne ni dire, ni répéter l'outrageante épithète de Finis Poloniae.

»Que diraient les Français, si à la fatale bataille de Rossbach, en 1757, le maréchal Charles de Rohan, prince de Soubise s'écriait: Finis Galliae, ou si on lui faisait dire ces cruelles paroles dans ses biographies?

»Je vous serais donc obligé de ne pas parler de ce Finis Poloniae dans la nouvelle édition de votre ouvrage, et j'espére que l'autorité de votre nom imposera à tous ceux, qui, á l'avenir, voudraient répéter ces mots, et m'attribuer un blasphème, contre lequel je proteste de toute mon âme.

»C'est mon cousin et mon élève, le jeune Georges Zienowicz, qui aura l'honneur de vous remettre cette lettre; quoique son intention soit de se vouer à la carrière militaire, il sera néanmoins heureux de pouvoir mériter votre bienveillante protection, si jamais les circonstances le mettaient à même d'en profiter.

»Veuillez agréer, monsieur le comte, l'assurance de ma considération la plus distinguée.

»*T. Kościuszko*«.

Nie jestem romantykiem i przez antytezy i kontrasty działać bym nie chciał. Ale mimo woli, wspomniawszy o dobrej polskości w złej francuszczyźnie, wpadłem na inny dokument, świadczący o złej polskości w dobrej francuszczyźnie. Jest to broszura jakiegoś p. Poraja Goczałkowskiego pod tytułem: »Harmonie des peuples«. Ten pan Poraj jest to coś na kształt hrabiego Wacława Jabłonowskiego, o którym już wspomniałem. Pan Poraj widzi zbawienie świata, cywilizacyi, religii, familii i własności tylko w powrocie Henryka V do swego ukochanego Paryża; tylko »wnuk św. Ludwika« (jakto się emfatycznie wyrażają; czemu nie lepiej i prościej: syn księżny Berry?) może być tym wielkim kapelmistrzem, co harmonią narodów przywróci. Pan hrabia Poraj (bo prawie zapomniałem dodać, że i to ma podobieństwo z p. Wacławem Jabłonowskim, iż jest hrabią) myśli, nawet jest przekonany, że, gdy się Henrykowi zwróci jego nieprzedawnione prawa, to nie bez tego, żeby i nam naszych z czasem nie wrócono!!! Tak rezonuje P. Poraj, tak rezonują wszyscy nasi polscy legitymiści, których miałem nieszczęście poznać; tak pewno i ci, których mam honor nieznać. Co to za głupota, co to za świętokradztwo, co to za bluźnierstwo w tem zestawieniu praw naszych z temi domniemanemi prawami Henryka V! Na nieszczęście nie mam żadnych bliższych szczegółów o tym p. Poraju Goczałkowskim, nie mogę nawet zaręczyć, czy taki mąż w istocie egzystuje, bo ja dotychczas jednego tylko Poraja z Pana Tadeusza znałem, i obym nigdy nie był innego poznał! Pisemko, o którem mowa, i w którem tyle jest »harmonii«, ile w kociej muzyce studentów i fortszritsmenerów niemieckich, dotychczas tylko się święci w oknach sławnego pana Jeanne, tego wielkiego męża z Passage Choiseul, który, jak wiadomo, z konfesyi swojej jest papiernikiem, a z profesyi legitymistą. Przechodząc w tych dniach koło jego magazynu, stanąłem w tłumie i przypatrywałem się różnym drukarskim, malarskim, snycerskim i muzy-

cznym wyrobom, ozdabiającym okna tego sklepu, a głoszącym wszystkie zarówno chwałę tego, który na trzech stoi koronach (moskiewskiej, austryackiej, pruskiej), a sam bez korony (może i głowy), a którego imię H. V. . . . . Obok mnie stało dwóch z tych nieporównanych płodów paryskiego bruku, które w obecnych demokratycznych czasach zdają się mieć przeznaczenie swym bystrym dowcipem bawić lud, jak w dawnych monarchicznych czasach nadworne błazny bawiły nim monarchów: słowem, stało dwóch gamenów. Jeden z nich, z trudnością przesylabizowawszy nazwisko Poré—Joksalkowski, »drôle de nom, ma foi, zawołał; mais c'est tout de même un nom polonais, hé!« »Oh que non!« odrzekł mu drugi z tą determinacyą i niezmięszaną wiarą w siebie, którą znowu tylko u Francuzów znaleść można, »ce n'est pas du tout polonais, c'est croate!« Zasępiło się trochę na to szerokie sumienie słowiańskie... ale ściślejsze sumienie polskie nie mogło się wstrzymać od uśmiechu, w którym Lawater by nawet pewne złośliwe zadowolnienie mógł znaleść.

Wiadomości emigracyjne z innych stron świata nie są ni liczne ni ważne. W Grecyi pewne nastąpiło przesilenie. Wiadomo już, jakie tam zabiegi robił ambasador moskiewski, by przebywających tam emigrantów zachęcić do podania się o amnestyę. Kilku usłuchało jego rady i, czekając na odpowiedź rządu moskiewskiego, żyło przez pewien czas na koszcie ambasady. Przyszła wreszcie oczekiwana odpowiedź i, z wyjątkiem dla dwóch, odmowna. Intryga więc moskiewska zupełnie się udała: zachęciła, zmusiła nieszczęśliwych do czołgania się przed carem, który ich za to nogą w twarz uderzył... Nauka okropna, która może się stać zbawienną, jeśli z niej skorzystamy. Tymczasem biedni oni, co z słabości charakteru dali się namówić do owego ostatecznego kroku, okropnie teraz za to pokutują; bo ani ambasador moskiewski, ani większa część współtułaczów ich uznać i z nimi się wdać nie chce. Doniosłem już, że tułacze, pozbawieni w Atenach

zarobku z dróg żwirowych, rzucili się na różne sposoby, by na życie zapracować. I tak pułkownik Izenszmidt utrzymuje szczwalnię, wielu ujeżdża konie i uczy jazdy. Milbitz, były komendant Rzymu z czasów rewolucyi, a później przez Mazziniego mianowany dowódzcą legionu polskiego, objął zarząd administracyjny funduszów greckiej naszej emigracyi; wszyscy bowiem do wspólnej kasy wnoszą swój zarobek i z tej sumy, przy względzie na pomoc tym, co chwilowo zarobku nie mają; następuje rozdział równy między wszystkich!! Jedyny to może przykład moralnego komunizmu! Muszę też wspomnieć o pewnym akcie sprawiedliwości, którego się tam doczekało kilku tułaczów. Sześciu z nich wstąpiło było do wojska greckiego z angażowaniem na sześć lat służby. Ale już po czwartym miesiącu przysłano im dymisyą na energiczne przedstawienie ambasady moskiewskiej. Dymisyowani wytoczyli proces rządowi greckiemu za niedotrzymanie warunków i za straty. Proces ten się w tych czasach w ten sposób rozstrzygnął, że rząd skazany został na wypłacenie każdemu z wydalonych 600 drachmów.

Nowej emigracyi w Algierze jest około 150. Są to ci sami, którzy z rozkazu rządu austryackiego wywiezieni z Krakowa do Ameryki na morzu śródziemnem, z takiem nieuszanowaniem dla władzy, jakby tu powiedział Czas, zmusili austryackiego kapitana okrętu do zwrócenia statku w port tuloński, z którego ich potem z rozkazu francuskiego rządu wyprowadzono do Algieru. Część ich mieszka w Algierze, inna w Bonne. Pracują przy kolejach żwirowych, a czasem i miasta się na nich trochę składają. Nadeszło tu z ich strony pismo, wynurzające oburzenie na »Wychodźca«, którego im p. Milewski przysłał.

Tutaj w Paryżu obawiamy się straty głównej podpory naszej biedy i naszego nieszczęścia. P. doktór Gałęzowski ma podobno zamiar powrócić do Meksyku, skąd go wypadki 1848 r. wyprowadziły. Rodak ten nasz, już zaszczytnie w swojej młodości na Litwie znany, walcząc

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 1
Wypożyczalnia książek beletrystycznych.

długo z wielu trudnościami, znalazł wreszcie przystań w Meksyku, a tam sławę, nieograniczoną miłość i znaczny majątek, którego tutaj na nasze dobro używał. Większa część funduszów dla emigracyi nietylko na jego ręce, ale i z jego rąk spływała. Gałęzowski jest tem na emigracyi, czem w Księstwie był nieboszczyk Marcinkowski. Opuszczającemu nas towarzyszyć będą żale i błogosławieństwo tych licznych rodaków, których darem, radą, słowem przez trzy lata niezmordowanie wspierał i pocieszał.

Książę Czartoryski mocno zachorował; ma się już jednak lepiej.

G. P. nr. 119 z 20 listopada 1850.

Sprawie opublikowanego w powyższej korespondencyi listu T. Kościuszki poświęciła Redakcya Gońca Polskiego w tym samym urze. (119) osobny od siebie artykuł, który tu w całości umieszczamy.

Wiadomo, że pisarze i dziennikarze niemieccy, pomimo prostowań i zaprzeczań, roztrębują od lat wielu przy każdej sposobności potwarczą anegdotę o wyrzeczonych jakoby przez Kościuszkę słowach bluźnierczych: Finis Poloniae. Nie było na to lekarstwa, bo niemieccy mędrcy, pisząc dzieje Polski, nie umieją nawet po polsku; choćby więc nawet mieli przypadkiem chęć dania świadectwa prawdzie, to nie mają do tego sposobności. Co gorsza, wielu z polskiej młodzieży, wychowanej w szkołach i uniwersytetach niemieckich, wsysało w siebie, mimo wiedzy i woli, podobne fałsze niemieckie, bo się uczyli polskich dziejów z kompendiów niemieckich.

Teraz przyszła kolej na Francuzów. Wyzyskują oni znowu w obec łatwowiernej i nieświadomej publiczności wszystkie anegdoty fałszywe, oklepane ogólniki i ckliwe sofizmata, byle tylko uświęcić zbrodnię, a cnotę i nieszczęście oplwać, podeptać i potępić.

I na to nie ma lekarstwa, bo i tu nie tylko nieświadomość języka i dziejów, ale nadto i zła wiara stoją na przeszkodzie daniu świadectwa prawdzie.

Jedno więc nam tylko pozostaje zadosyćuczynienie, to jest uroczyste, powtórzone i głośne ogłoszenie za niegodnych i złośliwych potwarców tych wszystkich, co nadal jeszcze Kościuszce owe słowa bluźniercze przypisywać będą. Nikt ich nigdy z ust jego nie słyszał; Kościuszko więc tylko może być świadkiem i sędzią w tej mierze,

a Kościuszko zawsze fałsz zadawał stanowczo i z oburzeniem tej anegdocie, wymyślonej przez okrutnych i podstępnych zarazem nieprzyjaciół.

Na świadectwo słów naszych ogłaszamy własnoręczny list Kościuszki do przyjaciela, znajdujący się w oryginale w Paryżu, w zbiorze pana Leonarda Chodźki. Pismo Kościuszki jest znane; pełno autografów jego znajduje się po różnych zbiorach i archiwach; każdy więc pisarz, któremu nie o potwarz rozmyślną, ale o prawdę historyczną chodzi, z łatwością może sprawdzić wiarogodność dokumentu, który tu podajemy w polskiem tłómaczeniu. Oryginał francuski znajdą czytelnicy w paryskiej naszej korespondencyi.

List Kościuszki brzmi:

»Paryż, 20 Brumaire, roku XII (12 listopada 1803).

»Panie Hrabio! Przy sposobności złożonego panu wczoraj pisma, dotyczącego sprawy pana Adama Ponińskiego, co do jego postępowania w kampanii 1794 r., wypada mi dotknąć innego jeszcze faktu, odnoszącego się do nieszczęśliwej bitwy pod Maciejowicami, a który wyjaśnić pospieszam.

»Niewiadomość albo też zła wiara upierają się, aby wkładać w usta moje wykrzyk Finis Poloniae, które to słowa miałbym jakoby wyrzec w tym dniu fatalnym. Naprzód, zostałem ranny prawie śmiertelnie przed skończeniem bitwy i odzyskałem przytomność dopiero we dwa dni potem, już w ręku nieprzyjacielskiem. Potem, jeżeli słowa podobne są niewłaściwemi i zbrodniczemi w ustach każdego Polaka, to musiałyby być niemi tem bardziej w moich uściech.

»Naród polski, powołując mnie do obrony całości, niepodległości, godności, sławy i wolności ojczyzny, wiedział dobrze, iżem ja nie był ostatnim Polakiem, i że ze śmiercią moją na polu bitwy albo w inny sposób, Polska ani mogła, ani powinna była się skończyć. Wszystko to, co Polacy zdziałali od owej chwili w sławą okrytych legionach polskich, i wszystko, co zdziałają jeszcze w przyszłości w celu odzyskania swej ojczyzny, dowodzi dostatecznie, że, aczkolwiek my, żołnierze poświęceni tej ojczyzny, jesteśmy śmiertelnymi, to przecież Polska jest nieśmiertelną, i nie wolno nikomu wyrzec ani też powtarzać hańbiącego słowa: Finis Poloniae!

»Cóżby powiedzieli Francuzi, gdyby w fatalnej bitwie pod Rosbach w r. 1757, marszałek Karol Rohan, książę Soubise, był wykrzyknął: Finis Galiae! albo gdyby mu te okrutne słowa w usta wkładano w jego życiopisach?

»Bardzo więc pana proszę, żebyś nie mówił już o tem: Finis Poloniae w nowem wydaniu swego dzieła, i spodziewam się, że powaga

imienia twego wpłynie na tych, coby w przyszłości powtarzać chcieli owe wyrazy i przypisywać mi bluźnierstwo, przeciw któremu ogradzam się z całej duszy mojej.

»Mójto kuzyn i mój wychowaniec, młody Jerzy Zienowicz, będzie miał zaszczyt wręczyć panu list niniejszy. Aczkolwiek on zamyśla poświęcić się zawodowi wojskowemu, będzie wszakże szczęśliwy, jeżeli potrafi zasłużyć na względy twoje łaskawe, w razie potrzeby korzystania z takowych.

»Racz przyjąć, panie hrabio, zapewnienie szczególnego mego szacunku.

T. Kościuszko.«

IX.

Paryż, 18 listopada 1850.

(Widoki wojenne. — P. Henryk Kamionka. — Messaż Prezydenta. — Jenerał Wysocki. — Biblioteka polska. — Ks. Czartoryski. — Rocznica 29 listopada.)

Widoki wojenne w Niemczech zajęły naturalnie i umysły naszego wychodźtwa. Politykowaliśmy tu ciągle i długo, i jeszcze tylko piwa bawarskiego potrzeba było, a bylibyśmy się stali prawdziwymi niemieckimi burmistrzami, których już Mefistofeles tak dowcipnie przedrwiwał, że podagrą swoją przeczuwają polityczne burze. Alea jacta est, wołał każden. Pokazało się w końcu, że kość tylko rzucona była dla psów dyplomatycznych, by ją obgryzały. Smacznego apetytu!

Z okoliczności tych wojennych aspektów odezwał się znowu p. Henryk Kamionka, o którym, jako o osobie zapewne mało lub wcale nieznanej, kilka słów jeszcze rzucić muszę. P. H. K. jest jakąś mistyczną figurą, która w wieczornym tutejszym dzienniku l'Evénement na naszą pokutę pokutuje. P. H. K. pisze do tego dziennika, skądinąd nam bardzo przychylnego (jest organem Wiktora Hugo), listy polskie (Lettres polonaises) z różnych stron świata, które »lotem błyskawicy« przejeżdża. Mieliśmy listy datowane z Krakowa, z Warszawy, ze Lwowa, z Hermanstadtu, z Jass i z innych miast tureckich, tylko nie z miasta Banialuki, chociaż wszystkie pisma wyraźny

stempel tego czcigodnego nosiły grodu. Głos jakiś wewnętrzny (daimonion, powiedziałby Sokrates) mnie szepce, że p. H. K. całą tę podróż tylko koło swego stolika w Paryżu odbył; ale to są osobiste stosunki, w które mnie wglądać nie wolno. Co dziwniejsza, to, że p. H. K. jest skoligowanym i spokrewnionym z najwyższą naszą arystokracyą, że ciągle nam prawi o swoim wuju księciu A, ciotce księżnie B, stryju hrabi C, (w ostatnim liście nawet zaręcza nam, że jest siostrzeńcem biskupa krakowskiego), a sam jest czerwonym, jak burak lub jak rak upieczony, i o Galicyi np. pisał piórem, zaostrzonem prawie nożem Szelów i Gontych(!). Otóż ten p. H. K. pisze nam w ostatnim liście z Wrocławia, że Polacy W. Ks. Poznańskiego wysłali adresa do króla pruskiego z dziękczynieniem za bronienie honoru narodowego (jakiego?) i z ofiarowaniem wszelkich usług!!! »Dobrześ ryknął lwie!« mówi Szekspir. Ja sobie ten ustęp cały tylko pozwoliłem, aby wypogodzić na chwilę uśmiechem zmarszczone czoło czytelników i wynurzyć zarazem żal, że jedyny prawie dziennik, nam szczerze sprzyjający, na takiego właśnie natrafił korespondenta.

Ze sfer wyższej polityki, jak to mówią, to się nam tylko objawiło, że prezydent rzeczypospolitej w swoim ostatnim messażu pierwszy raz wspomniał o wychodźcach polskich obok węgierskich w kwestyi tureckiej. Dotychczas p u d o r i s c a u s a tylko o Madziarach internowanych urzędowo mówić śmiano. W gruncie rzecz to obojętna i może tylko l a p s u s c a l a m i. Co się zaś tyczy kwestyi internowania naszych ziomków w Turcyi, to ta bynajmniej jeszcze nie jest tak bliską rozwiązania, jak to różne dzienniki głosiły. Widziałem owszem w tych dniach list jenerała Wysockiego, w którym donosi, że jemu i jego kolegom urzędowo oświadczono, że jeszcze przez całą zimę będą przytrzymani w Azyi.

Jednem z najgłówniejszych ognisk naukowego życia w emigracyi jest biblioteka polska, założona tu na r u e

de Saussayes przez ks. Adama Czartoryskiego i ś. p. Niemcewicza. Instytucya ta posiada znaczny zbiór książek i rękopismów, tyczących się historyi i literatury polskiej, i niedawno jeszcze znacznie zbogaconą została darem ś. p. Wodzińskiego, który jej testamentem wszystkie swoje zbiory drezdeńskie przeznaczył. Na nieszczęście, fundusze, przeznaczone na utrzymanie tego zakładu, są tak szczupłe, że nietylko na zakupienie nowości nie wystarczają, ale nawet i na zrobienie dogodnem użycia tego, co już posiada, mimo wielkiej pieczołowitości szanownego bibliotekarza p. Sienkiewicza i usłużności amanuensa p. Staniewicza, którym wszelka w tej mierze należy się sprawiedliwość. Ponieważ biblioteka ta oddawna już jako dowód wdzięczności naszej ofiarowana jest Francyi, przeto ks. Czartoryski umyślił teraz wyrobić u rządu, aby ten zakład ogłosił publicznym i tym sposobem zaręczył i przyjął na siebie utrzymanie i dalsze prowadzenie jego. Rada stanu (Conseil d'Etat) ma teraz tę sprawę rozstrzygnąć. Członek tej rady, p. Horace Say, którego miałem sposobność widzieć temi dniami, upewnił, że ją wszelkiemi siłami popiera i, że spodziewać się należy, iż skutek będzie pożądany. My tutaj możemy sobie tylko życzyć przeprowadzenia tej sprawy i dziękować księciu Czartoryskiemu za troskliwe się nią zajęcie; ale zarazem chcielibyśmy się i przypomnieć naszym pisarzom i nakładcom w kraju, szczególniej w Ks. Poznańskiem i Galicyi, aby bibliotece naszej w Paryżu dostarczali nowości; będzie to grosz wdowi.

Stan księcia Czartoryskiego nie daje już żadnych powodów do obawy. Goniec nie raz wspomniał o pamiętnikach, nad którymi książę pracuje. O ile ja zasłyszałem, nie mają to być ścisłe pamiętniki, ale biografia Niemcewicza, która zarazem ma objąć główne wypadki tak długiego i doświadczonego życia samego księcia. Wiadomo, że Niemcewicz był ścisłym przyjacielem księcia Adama i tu na emigracyi wydał poemat ostatniego, jeszcze w r. 1795 pisany p. t. Bard Polski. Książę chce znowu

ze swojej strony wystawić literacki pomnik swemu przyjacielowi i pod jego firmą skromnie teraz ukryć swoje życie, jak ukrył był dawniej swój wiersz młodzieńczy i piękny.

Nadchodzi bliska rocznica 29 listopada. Oby dzień ten przeminął dla nas w świętości i godności, na jaką zasługuje, bez prowokacyi z jednej i manifestacyi z drugiej strony!... Ksiądz Terlecki zamyśla dzień ten święty obchodzić w swojej kaplicy mszą i kazaniem.

P. Cieszkowski opuszcza nas jutro i wraca do Berlina, by zająć swe stanowisko na sejmie pruskim.

G. P. nr. 123 z 24 listopada 1850.

X.

Paryż, 24 listopada 1850.

(Schyzma w demokracyi londyńskiej. — Okólnik komitetu centralnego i p. Darasz. — Uwaga nad pieśniami narodowemi. — Wiadomości ze wschodu o powstaniu w Alepie i o jenerale Bem. — P. John Lemoinne.)

Z Londynu oprócz balu polskiego, o którym Goniec już z inszych pewno gazet szczegółów udzielił [1]), jeszcze jest do doniesienia o pewnej schyzmie, powstałej tam w łonie polskiej emigracyi. Wiadomo, że w komitecie centralnym europejskiej demokracyi obok Mazziniego, Ledru-Rollina, Rugego i t. d. i polska [2]) ma zastępcę w osobie Darasza. Przeciwko temu komitetowi podniosła się opozycya ze strony różnych wychodźców różnych krajów. Świadomi stosunków widzą w tem machinacyą Ludwika Blanca, któryby tak w dziedzinie piśmiennictwa jak i polityki chciał być głównym redaktorem i dyrektorem Nowego świata. Dosyć, że pewna część emigracyi europejskiej, bawiącej w Londynie, wystąpiła z protestacyą przeciwko komitetowi centralnemu, a ponieważ, co Francuz wymyśli, to Polak kupi, więc mieliśmy przyjemność i podpisy pol-

[1]) Nie natrafiliśmy dotychczas nigdzie na szczegóły o tym balu. (Przyp. Red.)

[2]) Mylnie w Gońcu wydrukowano »*Polska*« zamiast »*polska*« (scil. demokracya).

skie przywitać na tym manifeście, który zresztą nowo wychodzący tutaj dziennik Vote Universel (organ Ledru-Rollina) ostrej poddał krytyce. Głównymi agentami tego kroku emigracyi polskiej w Londynie byli pp. Janowski i Sawaszkiewicz. Ostatni mieszkał długi czas we Francyi i wydał dziełko we francuskim języku o historycznych stosunkach Francyi do Polski, dziełko nie bez pewnych zalet, chociaż bynajmniej nie tej wartości, jaką mu autor ze zwykłą słabością rodzicielską przypisywać raczy.

Wyszedł też w tych dniach z Londynu głos komitetu centralnego do Niemców, wzywający ich do obliczenia się wprzódy z monarchami, nim o ruchu narodowym pomyślą. W rozbiór tego »skutecznego rad sposobu« dla Niemców wdać się, nie mam obowiązku, ani Goniec pewno prawa wobec teraźniejszych stosunków prasy. Zdawałoby się mnie wszakże, iż takie postępowanie, jakiego doradza ów głos, byłoby dla Niemców początkiem końca, lub końcem początku, nie zaś brzemiennym w przyszłość czynem. Ale, jeszcze raz, nie mnie w to wchodzić; niechaj Niemców samych głowa o nich boli! Mnie to tylko obchodzi, że pan Darasz mógł podpisać okólnik, w którym Niemcom za jedyny grzech i za jedyną przyczynę ich upadku poczytana jest tolerancya dla królów, kiedy daleko większym ich grzechem i daleko głębszą przyczyną ich nie zbyt godnego obecnego położenia jest nietolerancya dla świętych praw narodowości i haniebne postępowanie względem Polski. Kwestya monarchów może być jeszcze tematem do dyskusyi, ale kwestya Polski i gnębionych przez Niemców narodowości żadnej nie podlega metodzie rozumowania i opiniowania, jest prawdą odwieczną dla sumienia każdego uczciwego człowieka, każdego przedewszystkiem Polaka; i mnie się zdaje, że pan Darasz, jako Polak, ten ważny punkt przed wszelkimi innymi powinien był sobie zastrzedz.

Bardzobyśmy sobie życzyli, aby Goniec nas dokładnie oświecił i zbudował co do rzeczywistego stanu opinii

w Niemczech; bo dzienniki tutejsze francuskie przepełnione są potwornemi baśniami o zapale, który niby to teraz porwał szanownych Teutonów. Ja, który, jak mówi Wallenstein, znam moich Pappenheimerów, ja z trudnością mogę uwierzyć w zaręczenia tutejszych dzienników, jakoby wszystkie niemieckie szlafmyce się naraz najeżyły w straszne baszty i cały ich kraj od Niemna do Renu brzmiał odgłosem sławnej pieśni Arndta. Nasuwa mi się tu mimowoli uwaga o dziwnej różnicy, zachodzącej między naszą a narodową pieśnią niemiecką. Nasza pieśń zaczyna od tego tak pięknego, tak bohaterskiego twierdzenia: »Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!« Pieśń niemiecka zaczyna od pytania: »Jakaż jest Niemca ojczyzna?« pytanie fatalne, bo biada temu narodowi, który musi się jeszcze pytać, gdzie i jaka jego ojczyzna! Nasza pieśń postępuje dalej w ciągłych twierdzeniach, pełnych wiary i zaufania w sobie, że odbierzemy, że przejdziem Wisłę i Wartę itd. Niemiecka postępuje w ciągłych przeczeniach, że tą ojczyzną nie jest Austrya, nie Prusy, nie Bawarya... Nie jestże to charakterystycznem? Nie przebijaż w tem cały duch skeptyczny i zaprzeczny Germanów? Nasza pieśń kończy obrazem już rzeczywistym, obrazem tak czysto sielskim i polskim, obrazem ojca, mówiącego do Basi: »Słuchaj jeno pono nasi!« Niemiecka na samym końcu zdobywa się na postulat dopiero: »Całe Niemcy mają tą ojczyzną być, tak ma być...« So *soll* es sein, so *soll* es sein.... Pium desiderium!! Nawet i nie p i u m....

Przepraszam za ten wyskok literacko-psychologiczny. Wracam znowu z pokorą do obowiązków korespondenta. Listy, któreśmy w tych dniach odebrali ze wschodu, udzielają nam bliższych szczegółów o powstaniu w Alepie. Okoliczna to horda Beduinów napadła to miasto i zabijała mieszkających tam europejskich i azyatyckich chrześcian. Basza Alepu zawarował się z wojskiem i działami w zamku i z założonemi rękoma przypatrywał się okropnej rzezi. Skutki byłyby najstraszliwsze, gdyby się stary Bem nie

był zerwał ze swego chorego łoża i, zebrawszy kilku żołnierzy i ochotników, nie zmusił strasznych napastników do ucieczki. Cały konsulat francuski był już w ręku Beduinów, z których go wydarł Bem. Tutejsze dzienniki o tem ocaleniu francuskich ziomków przez Polaka mądrze przemilczały. Bem, odparłszy Beduinów, wysłał spieszną depeszę do Stambułu z prośbą o posiłki. Baszy Alepu zarzuca Bem w depeszy podłość i tchórzostwo i przedstawia go jako kandydata na stryczek. Odpowiedzi ze Stambułu jeszcze nie wiemy.

P. John Lemoinne napisał wczoraj drugi artykuł o dziele p. Alexis de St. Priest. Z listu Kościuszki i z innych od Polaków udzielonych mu uwag i dokumentów żadnego nie zrobił użytku. O! uczciwości!....

G. P. nr. 127 z 29 listopada 1850.

Reklamacye w sprawie Janowskiego i Sawaszkiewicza. List Janusza Wojny.

»Szanowny redaktorze! Goniec Polski, donosząc we wczorajszym numerze pod rubryką: Francya o powstałej jakoby schyzmie w łonie emigracyi polskiej w Londynie, wyraża między innemi:

»»Wiadomo, że w komitecie centralnym europejskiej demokracyi obok Mazziniego, Ledru-Rollina, Rugego i t. d. i Polska...««[1])

»Pokazuje się, szanowny redaktorze, że paryski korespondent Gońca ma talent udawania starych rzeczy za nowe, a co gorsza, wystawiania ich w dziwnie nierzetelnem świetle.

»Rzecz, o której w powyższem doniesieniu mowa, nastąpiła jeszcze w połowie września r. b., a zatem przed półtrzecia miesiącami; nie jest żadną nową schyzmą w łonie emigracyi polskiej, ale tylko, jeżeli już koniecznie potrzeba użyć tego wyrazu, schyzmą między sekcyą Londynu towarzystwa demokratycznego polskiego a trzema ludźmi, narzucającymi się gwałtem temu towarzystwu na kierowników i reprezentantów pod nazwą centralizacyi. Jest to więc rzecz ściśle wewnętrzna towarzystwa demokratycznego polskiego i dla człowieka obcego, jak korespondent Gońca, trudniejsza do rozpoznania, niżby się mogło wydawać. Sekcya Londynu nie pisała manifestu ani żadnej protestacyi przeciw tak zwanemu komitetowi centralnemu demokracyi europejskiej, ale po prostu (i to, rozumie się, po polsku) odezwę do ogółu towarzy-

---

[1]) Zob. wyżej początek listu X, str. 55.

stwa demokratycznego polskiego, a zatem nie mógł korespondent Gońca witać podpisów polskich wraz z podpisami cudzoziemskimi na jednym i tym samym akcie. Nie uczyniła tego także bynajmniej przez proste naśladownictwo Francuzów i Niemców, protestujących przeciw Ledru-Rollinowi i Rugemu (Mazzini, sam jeden z pośród czterech mężów, ma ogólne przyzwolenie swoich współziomków i obcych), ale z szeroko rozpościeranych i oddawna tajonych żalów przeciw W. Daraszowi i spółce. Wolno zaiste korespondentowi Gońca uznawać w osobie Wojciecha Darasza zastępcę czyli wyobraziciela Polski w tak zwanym komitecie centralnym demokracyi europejskiej; ale, spodziewam się, wolno także członkom towarzystwa demokratycznego polskiego, którzy nie dla czczej formy mienią się demokratami, odmiennego z nim być zdania, i zbyt długiem milczeniem nie uświęcać wpośród siebie wdzierstwa. Jeżeli korespondent, nie znający widocznie stanu rzeczy w towarzystwie demokratycznem (dziś we Francyi, głównem swojem siedlisku, do milczenia przywiedzionem), przyznaje tę wolność jego członkom, jakiemże prawem i jakiem sumieniem w kroku sekcyi Londyn widzi machinacyą Ludwika Blanc, a w Janowskim (J. N.) i Sawaszkiewiczu (L. L.) głównych jego ajentów? Równem zaiste prawem i równie sumiennie mógłby ich nazwać ajentami Mikołaja. Czemu nie? Odi profanum vulgus et arceo.

»Bezstronność twoja, szanowny redaktorze, nakaże ci, pewny tego jestem, umieścić te kilka słów w najbliższym numerze Gońca. Napisałem je w interesie prawdy i obrażonego charakteru dwóch osób, świadomy dobrze wszystkiego. Pozdrowienie i szacunek. Janusz Wojna. Dnia 30 listopada 1850.«

Bezstronność, do której szanowny reklamant się odwołuje, nakazała nam powyższy list jego w całości zamieścić, lubo list ten mniej potrzebnie a zgryźliwie korespondenta naszego paryskiego dotyka, w którego charakterze i bezstronności najzupełniejsze pokładamy zaufanie.

Pozostawiając naszemu korespondentowi paryskiemu odpowiedzenie w kilku słowach na list niniejszy, jeżeli uzna to za stosowne, nadmienić sobie tymczasem pozwalamy, że wyraz: zastępca Polski, który nam zdawał się brzmieć nieco ironicznie w piśmie naszego korespondenta, zrobił na szanownym reklamującym wrażenie poważnego zupełnie twierdzenia.

G. P. nr. 131 z 4 grudnia 1850.

List Seweryna Bielińskiego.

Odbieramy list z Paryża, traktujący o wiadomych już czytelnikom Gońca artykułach p. Jabłonowskiego, jak niemniej polemizujący ze

zwykłym naszym korespondentem paryskim. Lubo nam się widzi, że autor listu nie zrozumiał dobrze, o co chodziło naszemu korespondentowi, którego zdanie w zupełności podzielamy, dla tego, że z bliska przypatrywaliśmy się, jak ludność niemiecka, a nie tylko rządy, rozbrat uczyniła ze sprawiedliwością dla narodowości i narodów, i jak wszystkie piękne a filantropijne oświadczenia pierwszych koryfeów liberalizmu niemieckiego były tylko dźwięcznemi słowami, pokrywającemi polityczne samolubstwo i zaborczą chciwość; pomimo to, powtarzamy, list ten w całości zamieszczamy, ponieważ szanowny piszący występuje w charakterze prostującego niesłuszne i jakoby osobiste zarzuty.

List dopiero co wspomniany brzmi:

»Zapewno w Księstwie Poznańskiem dziennik Assemblée nationale nie znalazł i jednego miłośnika na swoje pomysły arcy carskiego porządku; produkt przeto ostatni jakiegoś Wacława Jabłonowskiego, umieszczony w tymże dzienniku, zaginąłby dla was niepostrzeżony. Nie wielka rzeczywiście strata, i czułe westchnienia do carskiej prawdy możnaby w milczeniu pominąć, ale, że p. Jabłonowski osnuł swój produkt z obecnych zawikłań politycznych, nie będzie od rzeczy obejrzeć go bliżej.

»Wszak nam tu trudno nie politykować, i, kiedy mocarze świata w grze dyplomacyi na jedną kartę losy ludów stawiają, to i my, jak korespondent x pisze, politykujemy; jednak nasza polityka i przy kuflu i bez kufla piwa nie da się dziwnym dowcipem z niemiecką porównać. Kto przy każdym objawie dobijających się o swe prawa, o swe istnienie ludów z powstrzymanem serca biciem wysłuchuje: czy grobowe wieko nad naszą Polską nie uchyli się? temu polityka nie przykuflową pogadanką, o której wesoły korespondent donosi[1]).

»P. Jabłonowski przeczuwa, że kruki polskiego stronnictwa demagogicznego zwietrzyły już barykady, że w niedołężnym patryotyzmie gotowi dać się złapać na lep półsłówek, półuśmiechu, że popadną w sidła dworu berlińskiego. Przenikliwy polityk upatruje w zamianowaniu księcia Radziwiłła wodzem armii pruskiej nad Menem niewątpliwe oznaki, że rząd pruski w razie wojny zamierza oprzeć się na żywiole polskim przeciw Austryi, a nawet przeciw Rosyi. W zgrozie na taki buntowniczy zamach przeciw carowi, przywodzi on na pamięć machiawelizm zdradliwego wazala Brandeburczyka, przypomina podstęp Prus przed trzecim Polski podziałem, przytacza wypadki 1848 roku. Ludność polska, powiada on, tylko od Romanowów może spodziewać się zbawienia, a gdyby nawet przypadkiem w sojuszu z pruskimi

---

[1]) Zob. wyżej początek korespondencyi nr. IX »Widoki wojenne w Niemczech...« etc.

podszepty Polska, krwią szlachty zbroczona, udzielność odzyskała, toby pod pazurami liberalności rodu niemieckiego uległa na nowo. Nie dosyć na tem, że demagogią polską o te zbrodnicze zamachy posądza, ale, co gorsza, taką pochopność i w rozważniejszych Polakach przypuszcza. Wszak, powiada on, i książę Czartoryski w roku 1846 zerwał z ludźmi, którzy mu najwyższe dostojności przysporzyć chcieli, i stał się wspólnikiem demagogii. Straszny tłum buntowników, mówi dalej zacny p. Jabłonowski, pod sztandarem głupiego patryotyzmu o rozpacz przyprawia rozważniejszych obrońców narodowości. Według jego przezornego osądzenia Polacy powinni dozwolić demagogii niemieckiej zbezwładnić się w zapasach z Rosyą i Austryą; wtenczas dopiero Polska, wsparta na wdzięczącym się jednym lub drugim nieprzyjacielu, znajdzie siły i nowy byt.

»Zaprawdę, nie wiedzieć, czy w tym panu Jabłonowskim bezczelność czy też ogromne ograniczenie przeważa. Wybór trudny; jednak najsłuszniej podobno będzie, jeżeli mu jedno i drugie w zupełności przyznamy.

»Półsłówka, półuśmiech Prus są mu zdradliwym lepem na ślepy patryotyzm, a jednak sam chce oprzeć nowy byt Polski na wdzięczeniu się jednego lub drugiego nieprzyjaciela Polski! Zamiłowanie carskiego knuta, to rzecz gustu; wolno p. Jabłonowskiemu z nim się popisywać, ale bezrozumną gadaniną nicość swoją osławiać nie wolno pod karą utraty względów carskich służalców, którzy z wzgardą potrącą niedołężnych posługaczy; w własnym interesie powinienby zacny p. Jabłonowski nad tem pomyślić.

»Dosyć nam tej znajomości z p. Jabłonowskim. Zostawmy go, atletę sławy caryzmu, nie ze zgryzotą sumienia, to niepodobnem, ale w zachwyceniu nad dwuznaczną pochwałą redaktora »Assemblée nationale«, który mu ją w słowach »noble coeur« dając, zasłużoną wymierzył chłostę.

»Niepodobna w obecnych stosunkach dziennikarstwa rozbierać wypadki w Niemczech, niepodobna, odnosząc je do naszej sprawy, określić w nich stanowisko Polski; to jednak powiedzieć można, że w historyi czerpana nauka miarą nam być powinna w naszych postanowieniach. W niej to znajdziem należyte ocenienie naszych sąsiadów, znajdziem kierunek do wyboru między nimi, jeżeli koniecznie wybór robić trzeba. Ale odwołanie się do słusznych niechęci narodowych, poczętych w innych czasach, w innych stosunkach, przenosić do teraźniejszości na nowe kształty społeczność ujmującej, byłoby zasępiać sąd jasny, byłoby mierzyć dawną miarą nową przyszłość. W stosunkach narodów w przeszłości a przyszłości ta wielka zachodzi różnica, że dawniej rozstrzygał je interes dynastyczny, składał i wikłał je nie według potrzeby ludów. Kto teraźniejszą dążność pojął, temu stosunki

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 5
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

narodów już nie w tych trudnych, co dawniej, przedstawiają się zawikłaniach, i kierunek Polski w sprawach ludów zaznaczy się wyraźnie, jeżeli nie zechce wraz z zacnym p. Jabłonowskim wyglądać zbawienia od Romanowów, jeżeli święte prawa ludu, jeżeli wolność, ochrzcona przez niego demagogią, nie jest mu straszną.

»Tu mi przyjdzie wspomnieć o wydanym sądzie korespondenta z na wyszły w Londynie głos komitetu centralnego do Niemców, o sądzie potępiającym gotowość Darasza do podpisania tymże głosem objętych orzeczeń. »»W tym głosie — mówi korespondent — wzywa komitet centralny Niemców do obliczenia się z monarchami, nim o ruchu narodowym pomyślą. W rozbiór tego skutecznego rad sposobu dla Niemców wdać się, nie mam obowiązku, ani Goniec pewno prawa w obec teraźniejszych stosunków prasy. Zdawałoby się mnie wszakże, iż takie postępowanie, jakiego doradza ów głos, byłby dla Niemców początkiem końca, lub końcem początku, nie zaś brzemiennym w przyszłość czynem. Ale, jeszcze raz, nie mnie w to wchodzić; niechaj Niemców samych głowa o to boli! Mnie to tylko obchodzi, że pan Darasz mógł podpisać okólnik, w którym Niemcom za jedyny grzech i za jedyną przyczynę ich upadku poczytaną jest tolerancya dla królów; kiedy daleko większym ich grzechem i daleko głębszą przyczyną ich niezbyt godnego obecnego położenia jest nietolerancya dla świętych praw narodowości i haniebne postępowanie względem Polski. Kwestya monarchów może być jeszcze tematem do dyskusyi, ale kwestya Polski i gnębionych przez Niemców narodowości żadnej nie podlega metodzie rozumowania i opiniowania, jest prawdą odwieczną dla sumienia każdego uczciwego człowieka, każdego przedewszystkiem Polaka; i mnie się zdaje, że pan Darasz, jako Polak, ten ważny punkt przed wszelkimi innymi powinien był sobie zastrzedz.««

»Okres, który wywołał powyższe uwagi szanownego korespondenta, tak brzmi dosłownie:

»»Zostaliście zwyciężeni, niepojmując dostatecznie, że sam tylko upadek waszych licznych ciemiężycieli mógł wam dać jedność narodową, że sama tylko jedna i niepodzielna demokracya mogła wam wrócić wolność i niepodległość, że naród niemiecki nie może uzyskać istnienia z uszczerbkiem (aux dépens) innych narodów, że nie może nim być prawomocnie urządzony bez przymierza z innymi europejskimi ludami, równie niepodległymi i wolnymi.««

»W prostem zestawieniu przytoczonych dwóch ustępów całe koszlawe rozumowanie korespondenta upada, a wymierzone przeciw panu Daraszowi, monarchizmem zaostrzone pociski, łamią się o pierś jego własną.

»Nie w złej zapewne wierze korespondent odbiegł od jasnego brzmienia owego głosu, wydając pobieżnie swój sąd, ale raczej, albo

zapomniał go, albo niezrozumiał. W pierwszem przypuszczeniu przytoczyłem go w całej osnowie, sądząc, że posłuży korespondentowi do odwołania pochopności swej w potępianiu; w drugiem przypuszczeniu pozwoli się objaśnić.

»Komitet centralny, w odezwie do Niemców rozprawiając o przyczynach upadku nowoczesnych ich usiłowań, o uzyskaniu jedności, niepodległości i wolności, nie powiada, że samo tylko nieobrachowanie się z monarchami przyczyną ich upadku. Twierdzi raczej, że jedności narodowej bez upadku licznych ciemiężycieli nie osiągną; być może, że korespondent pojmuje jedność narodową niemiecką z licznymi królami, królikami i książętami; to tylko dowodzi bystrości jego pojęcia o jedności, której komitet zdaje się nie ma. Za przyczyny zaś niepowodzenia wylicza komitet centralny nietylko sam upadek licznych ciemiężycieli, nietylko samą jedną i niepodzielną demokracyę, ale wymaga poszanowania innych narodowości, przymierza z innymi europejskimi ludami, równie niepodległymi i wolnymi.

»Otóż pan Darasz, jako Polak, ten ważny punkt narodowości zastrzegł najuroczyściej.

»Mylny sąd korespondenta zapewne stąd powstał, że wyrazy »»sam tylko«« znalazł przed okresami, mówiącymi o upadku licznych ciemiężycieli, i o jednej niepodzielnej demokracyi, a nie znalazł je przed następnymi okresami.

»Logika jest w swojem żądaniu nieubłagana; niepodobną przeto było komitetowi powiedzieć, że samo tylko uznanie narodowości da Niemcom jedność, wolność i niepodległość, bo z niem samem nie popełnianoby grzechu nietolerancyi innych narodowości, ale jedności i wolności nieuzyskanoby; wszak fakta mówią, że można mieć uznaną narodowość, a nie mieć ani jedności ani wolności. Trzeba więc było komitetowi, choć z narażeniem się na potępiający sąd korespondenta, i o tych wspomnieć dodatkach, z zastrzeżeniem wyraźnem poszanowania innych narodowości i przymierza z innymi wolnymi i niepodległymi ludami.

»Powiadają, że w ogóle szczegół objęty; gdyby przeto komitet i zastrzeżenia wyraźnego poszanowania narodowości nie orzekł, mógłby w upadku licznych ciemiężycieli i w przyjęciu demokracyi zabezpieczenie tych ich praw objęte uważać, ale dla ludzi, kwestyę monarchów za temat jeszcze dyskusyi uważających, dodał wyraźne orzeczenie poszanowania narodowości wolnych i niepodległych. Toćby powinno korespondenta z komitetem pojednać, i spodziewać się muszę, że korzystać będzie z danego wyjaśnienia, aby lekce rzuconą odwołał klątwę.

»Wreszcie nieprzyszło też korespondentowi na myśl, pisząc dekret potępienia p. Daraszowi, że ludzie różnych narodowości, zasiadając

w jeden komitet, dążąc do jakiegoś wspólnego celu, nie mogliby do współuczestnictwa przystąpić bez wzajemnego uznania swoich wymagań. Te dla Polaka, jeżeli nie jest p. Jabłonowskim, nie mogą być inne, jak Polska i jej narodowość. Inaczej korespondent nie mógł sądzić bez potępienia siebie samego. Kto przeto za głosem komitetu pójdzie, już tem samem poszanowanie narodowości jak konieczność naturalną przyjmuje.

»Dobrze, że korespondent niechce się dla Niemców nabawić bólu głowy, chociaż to płonna obawa; wszak oni sami o tem pomyślą, co im dać może przyszłość w jedności i wolności Niemiec, a nim temat do dyskusyi w kwestyi monarchów rozstrzygnionym będzie, powiadają przez organ liberalny National Zeitung: że bez Polski nie ma jedności i wolności Niemiec. Korespondent może temu nie wierzyć; ja wierzę, bo widzę taką konieczność.

G. P. nr. 140 z 14 grudnia 1850.

List Stanisława Worcella i list S. J. Wojciechowskiego.

Odbieramy jednocześnie dwa listy, jeden z Londynu, drugi z Paryża, oba zaś polemizujące przeciwko pismu pana Janusza Wojny, które zamieściliśmy w nrze. 131 Gońca. Powtórzywszy list pana Wojny, wypada nam i obecne dwa objaśniające i reklamujące pisma powtórzyć. Zastrzegamy wszakże wyraźnie, że w tej materyi dalszej już polemice miejsca dawać nie będziem, chyba, że jedna ze stron będzie miała jakiś faktyczny fałsz w krótkich wyrazach do sprostowania. Zmusza nas do tego, raz: wzgląd na ograniczony zakres pisma, który nie dozwala mniej więcej osobistym zajściom jednego ze stronnictw emigracyi zbyt obszernego ustępować miejsca, tem bardziej, iż większa część czytelników nie przywiązuje do tych zajść tej wagi, jaką jej strony interesowane nadają; potem: że materya ta z natury swojej bardzo śliska, i mógłaby nas wprawić w kolizyą z władzami administracyjnemi lub ustawami prasowemi, pod któremi stoimy.

Przy tej sposobności przypomnieć musimy szanownemu piszącemu z Londynu, że powtarzania tego rodzaju dokumentów, jak »Odezwa do Niemców«, pozwalać sobie możemy o tyle tylko, o ile je znajdziem poprzednio powtórzone w jakiem pruskiem ministeryalnem czasopiśmie. Dla tego samego powodu nie możem powtórzyć łaskawie zakomunikowanego »Okólnika«.

List z Londynu brzmi:

»Londyn, 9 grudnia. Szanowny redaktorze! Trudne położenie, w jakiem się znajdujesz z powodu praw, dotyczących druku, wkładało na nas obowiązek pomijania różnych niewłaściwych docinków, centra-

lizacyi towarzystwa demokratycznego polskiego czynionych, lub mylnych o niej doniesień twego paryskiego korespondenta. Milczeliśmy nawet na niedorzeczny zarzut[1]), do jakiego dała powód odezwa do Niemców, wydana przez komitet centralny demokracyi europejskiej, a którą obywatel Wojciech Darasz, jako członek centralizacyi i jej delegowany, podpisał. Odezwa ta publikowaną była we wszystkich językach; znajduje się nawet w Gońcu Polskim, chociaż w niektórych ustępach zmieniona, dla tego zapewne, że nie z oryginału, ale z Reformy niemieckiej tłómaczona. Chcieliśmy więc poprzestać na tem, ufni w twoich, szanowny redaktorze, czytelników rozsądek. Że jednak to dało powód do polemiki jakiemuś panu Januszowi nazywającemu się Wojną, sądzimy przeto, że ta sama bezstronność, która, jak twierdzisz, nakazała ci pismo pana Janusza zamieścić, nakaże ci takoż zamieścić następny wyjątek z okólnika centralizacyi z dnia 20 listopada r. b.:

»Bolesna rzecz dla nas, że w obec tak chwalebnych przykładów »musimy przytoczyć czyn występny i gorszący.

»Kilkunastu członków sekcyi londyńskiej targnęło się na orga»nizacyą towarzystwa nieuznawaniem poprawy ustaw, zatwierdzonej »przez ogół w 1847; występowaniem przeciw centralizacyi, nie drogą »ustawami wskazaną, ale samowolną i anarchiczną; rozsiewaniem fał»szów o nieistnieniu władzy i rozwiązaniu towarzystwa; nakoniec »jawnem wypowiedzeniem posłuszeństwa, zerwaniem stosunków z sekcyą, »przywłaszczeniem sobie nazwy sekcyi przewodniczącej i tym»czasowej komisyi, oraz występowaniem na zewnątrz przez łączenie »się z innemi towarzystwami politycznemi.

»Zamach ten spowodował sekcyą londyńską, że onych obywateli »zawiesiła w czynności członków towarzystwa.

»Członkowie zawieszeni w czynności są ci:

»L. L. Sawaszkiewicz . . . . . Jan N. Janowski . . . . itd.

»Nazwiska te nie przeto podajemy do wiadomości ogółu, abyśmy »przywiązywać mieli niezasłużoną ważność do całej tej rzeczy, równie »podrzędnej jak niegodnej, ale, aby zawiadomić, że od czasu postano»wienia sekcyi londyńskiej z d. 7 października wszelkie kroki pomie»nionych obywateli, czynione w charakterze członków towarzystwa »demokratycznego polskiego, nie mają żadnej wagi ani waloru.

»Postanowienie w tej mierze sekcyi londyńskiej z dnia 7-go pa»ździernika 1850 centralizacya zatwierdziła, a w porze właściwej nie »omieszka zapozwać obwinionych przed sąd towarzystwa, dla ukarania »występnych, a opamiętania uwiedzionych«.

---

[1]) Drukujemy tak, jak napisano, u nas w kraju wszakże, a przynajmniej w Wielkopolsce, zwykliśmy przymiotnika niedorzeczny w całkiem innych używać przypadkach.

(Przyp. Redakcyi.)

»Poprzestajemy na przytoczeniu tego faktu. Kto zna dzieje towarzystwa demokratycznego polskiego, tego ani powstawanie przeciw centralizacyi kilku wichrzących, ani ich wyrzucenie z grona towarzystwa demokratycznego polskiego dziwić nie będzie. Było to po wszystkie czasy, i chyba wraz z emigracyą ustanie. Czy towarzystwo demokratyczne polskie i czy centralizacya towarzystwa demokratycznego polskiego istnieje, czy się towarzystwu narzuca, o tem przekona cię, szanowny redaktorze, najlepiej dołączony tu, a powyżej w wyjątku przytoczony okólnik.

»A teraz jedna jeszcze uwaga:

»Pojmujemy obowiązki dziennika; wiemy, iż wszystkie akta publiczne do jego dyskusyi należą; ale niechże je ocenia wówczas sam i we własnem imieniu, a nie zasłania się listami nieznanych osób i przybranem okrywających się nazwiskiem. Powiedzenie wtedy, że osoba piszącego znaną jest redakcyi, wystarczyć nie może; można bowiem być znanym od bardzo niedawnego czasu, a nieśmieć stanąć śmiało, dla ciężkich grzechów, przed tymi, pomiędzy którymi przebyło się lat dziewiętnaście. Czy ten wypadek nie mógłby mieć miejsca z obywatelem Januszem, niech redakcya pomyśli. My wątpimy, aby obywatel Wojna chciał wojny. Pozdrowienie braterskie. W imieniu i z polecenia centralizacyi towarzystwa demokratycznego polskiego. Stanisław Worcell, członek jej.«

Paryski list opiewa:

»Szanowny panie redaktorze. Czytałem i doniesienie twego korespondenta z Paryża, nr. 127 dziennika, i objaśnienia pana Wojny z Londynu, nr. 131 dziennika, jak w przeglądzie z 1-go grudnia nazywasz: »w sprawie Janowskiego i Sawaszkiewicza«. Z obydwóch tych jeszcze czytelnicy twoi nie mogą się obeznać z przedmiotem, o którym piszą twój korespondent i pan Wojna; zwłaszcza, że obydwa według mnie odmienny mieli cel pisania. Szanowny twój korespondent, któremu wspólnie z tobą, o ile go tu znamy, chcemy przyznać potrzebną korespondentowi ufność w jego charakter i bezinteresowność, podniósł tę rzecz z powodu niedawno ogłoszonego wezwania do Niemców przez komitet demokracyi europejskiej i wymienił, z kogo się ten komitet składa, a, donosząc ci o tem wezwaniu, nie pominął i odezwy emulantów. Celem przeto jego korespondencyi było doniesienie, co się dzieje w emigracyi. Nie zastanawiam się nad jego rezonowaniem o królach i nad zarzutem pominięcia Polski w wezwaniu komitetu europejskiego; to oddzielnego, obszerniejszego ustępu mogłoby być przedmiotem. Nie przyznaję także jego wyrażeniu o Daraszu znaczenia ironicznego, bo, jak go do tego nic nie upoważnia, tak też, gdyby tak być miało, nie możnaby mu przyznać bezinteresowności; a szukając powodu, że do wyrażenia ironicznego był powodowany sprzyjaniem innemu, nie demo-

kratycznemu stronnictwu, powiedzieć byśmy musieli. Takie przeto wyrażenie kładę raczej na karb zwykłego mu sposobu pisania, jaki w każdej niemal napotykam korespondencyi. Już zaś pan Wojna widocznie na celu miał interes osób, co, zdaje mi się, mało kogo obchodzi, i mylnie też rzecz przedstawił. Twój korespondent, szanowny redaktorze, pisał o manifeście, podpisanym przez Janowskiego i Sawaszkiewicza, 10-go listopada roku bieżącego do demokratów socyalistów całego świata w Londynie wydanym; a pan Wojna pisze o odezwie, do ogółu towarzystwa demokratycznego polskiego napisanym, o którym tu nikt nie wie. Tak twój korespondent właściwie wspomniał o schyzmie przy doniesieniu o manifeście demokracyi europejskiej, tak pan Wojna niewłaściwie, jakby dla zamięszania sprawy, wmięszał odezwę, o której, jak powiedziałem, nikt nie wie w towarzystwie, chyba tylko współkonspirujący przeciw niemu. Co zaś do samego przedmiotu, rzecz się tak ma: Kiedy w roku zeszłym wydalono z Francyi wielu emigrantów polskich, a pomiędzy nimi wielu towarzyszów demokratycznych i wszystkich pięciu członków centralizacyi towarzystwa demokratycznego; dwóch z nich tylko Darasz i Worcell udali się do Londynu, skąd mogli działać w imieniu towarzystwa, inni trzej zaś zyskali pozwolenie zostania we Francyi, gdzie w obec istniejącego prawa o klubach i towarzystwach nic przedsiębrać nie mogli. Z tego powodu Worcell i Darasz dla sformowania małego kompletu powołali trzeciego z grona towarzystwa i tak sformowany komplet poddawszy do potwierdzenia towarzystwu, jego przyzwolenie do dalszych działań zyskali. Mylnem przeto jest twierdzenie o uzurpacyi czyli narzucaniu się trzech na kierowników i reprezentantów towarzystwa, ci to trzej, potwierdzeni przez towarzystwo w działaniu w imieniu towarzystwa, połączyli się z komitetem demokratycznym europejskim i należą do niego, a do podpisywania odezw tego komitetu z pomiędzy siebie wyznaczyli Darasza. Płonnych, nie wymienionych przez pana Wojnę zarzutów, nie będę i nie mam potrzeby odpierać, bo Darasz powołany do centralizacyi przez ogół towarzystwa; wdając się w ten temat, musiałbym długo opisywać oddawna w towarzystwie przedsiębrane machinacye przeciwników jego pomyślności, powodowanych osobistością; dodam tylko, że pan Janowski i Sawaszkiewicz przywłaszczają sobie tytuł delegowanych komisyi nieustającej sekcyi demokracyi polskiej, bo za popełniane nadużycia wbrew prawom towarzystwa demokratycznego polskiego są pod sądem ogółu tegoż towarzystwa, oddani pod ten sąd w moc obowięzujących ustaw przez właściwą do tego sekcyą Londyn, która ich do czasu, kiedy ogół wolno w tej mierze będzie mógł wyrzec, zawiesiła w czynności członków towarzystwa. Inde ira. Te szczegóły, mniemam, są potrzebne do uzupełnienia podawanych z emigracyi wiadomości, poważyłem się przedstawić ci je, szanowny redaktorze, i pewny jestem, że podasz je czytelnikom

swoim, bo wiem, że ich zamilczeniem nie zechcesz być wspólnikiem paszkwilów lub potwarzy. Przyjm zapewnienie szacunku i braterskie pozdrowienie. *S. J. Wojciechowski.* Paryż, dnia 9 grudnia.

G. P. nr. 141 z 15 grudnia 1850.

XI.

Paryż, 6 grudnia 1850.

(Rocznica 29 listopada. — Dr. Brawacki. — Kwestya pruska. — P. Montalembert i p. Wołowski. — P. Kamionka i W. Jabłonowski. — Prześladowanie rządu i wyjazd do Ameryki. — Domejko. — Jeszcze o liście Kościuszki.)

Rocznica 29 listopada odbyła się u nas w cichości i pokoju, a więcej na ten raz sobie życzyć nie mogliśmy. W kościele de l'Assomption nie było kazania, z powodu przeszłorocznego zgorszenia, »które przez nierozmyślność nie wielu przyniosło zniewagę świątyni Pańskiej i zasmuciło wszystkich«, jak się zapraszający okólnik dość dwuznacznie wyraził. I bez kazania jednak nie zabrakło na wzniesieniu ducha i cichem zbudowaniu. Uroczystość śpiewów religijno-narodowych, płacz kobiet, tłumione łzy starych wojowników: wszystko to miało niewymowny urok tego chrześciańskiego cierpienia, które inne narody przez sztukę tylko a naród polski przez życie swoje wyobraża!.. W kaplicy grecko-słowiańskiej ks. Terlecki miał mszę i kazanie. Wielu wychodźców, którzy w pamięć przeszłorocznego zajścia nie chcieli pójść do kościoła Assomption, a którym znowu z drugiej strony bytność w kaplicy grecko-słowiańskiej zdawała się manifestacyą słowiańską, wiążącą w pewnej mierze narodowe sumienie, wolało zakupić mszę w kościele św. Seweryna na ulicy św. Jakóba, tam, gdzie jest kopia Matki Boskiej Częstochowskiej. Mieszkający na Batignolles znowu, w pobliżu będącym kościele obchodzili rocznicę. Jakkolwiek to rozstrzelenie się na cztery miejsca, tam, gdzie uczucie było jedno, nie wiele miało pocieszającego, pocieszała jednak ta myśl, że, jeśli nie było jedności, to przynajmniej i nie było sporu.

W samą rocznicę, w dzień 29 listopada, stawał przed sąd wojenny rodak nasz, stary lekarz Brawacki, który szczególniej w niższych warstwach ludności paryskiej wielkiego doznaje szacunku. Oskarżony był o udział w strasznej pamięci wypadkach czerwcowych. Chory, zgrzybiały i paralityk, wniesiony był na krześle pod eskortą, i temu stanowi pewno zawdzięcza stosunkową lekkość kary. Brawacki bronił się, że tylko z powołania lekarza brał udział, który się ograniczył na leczeniu rannych. Skazany został na pięć lat więzienia. Nie wchodząc tutaj w żadne polityczne ocenienia wypadków, nie nas się tyczących, bolesną to wszakże tu dla każdego było myślą, że właśnie w rocznicę polskiej rewolucyi Polak we Francyi sądzony i skazany był za udział w rewolucyi francuskiej.

Nagłe załatwienie także kwestyi pruskiej przyczyniło się nie mało do zrobienia smutnego dnia 29 listopada dla nas jeszcze smutniejszym. Bo, mimo zaręczenia i przedstawień tych, co znają stosunki Niemiec, wychodźtwo nasze, a szczególniej starsze, wierzyło naturalnie stale w wojnę, a przeciwnie jak w Żeglarzu Mickiewicza, grom, co u was tylko błyskał, u nas już bił. Teraz naturalnie i najzaciętsi Tomasze z biedy się nawrócili, a z całej tej logomachii austryacko-pruskiej skorzystaliśmy tylko to, żeśmy bliżej poznali dawnych naszych przyjaciół. Stanowisko nasze było bardzo jasne. Bezpośrednio ani Austryi ani Prusom przychylnymi być nie mieliśmy przyczyny; inaczej zaś się rzecz miała pośrednio. Z małą zmianą mieliśmy to samo hasło, co ów Rzymianin: Inimica Austria, inimica Prussia, sed amica veritas. Prawdą zaś było oczywistą, że w całej tej kwestyi nie tyle o Austryą i Prusy, jak o despotyzm i liberalizm chodziło, a pośrednio o Rosyą i Antirosyą czyli Polskę. Prawdą było oczywistą, że, w razie wojny, Prusy, chcąc nie chcąc, musiałyby się oprzeć na żywiołach liberalnych i ostatecznie wezwać w pomoc gnębione przez Austryą narody. Tę prawdę uznawali nawet nasi polscy konserwatyści, a im nawet

bardziej, niż innym, uśmiechała się nadzieja wojny. Z tego więc stanowiska sądziliśmy debaty w komisyach zgromadzenia narodowego. Czterech było tam głównych mówców, którzy nas bliżej obchodzili, i o których tu pobieżnie wspomnę, o pierwszym, o panu Odillon Barrot najpobieżniej, bo biedny ten rewolucyonista à la fourchette od czasu sławnego bankietu, na którym nie był, taką cierpi niestrawność zakazanego owocu wolności i tak się fatalnie zakrztusił od czasu, jak łyknął ministeryalnego powietrza, że sumiennie nic mu za złe brać nie podobna. Drugi, p. Gustave de Beaumont, sławny autor dzieła o niewolnikach czarnych, ze stanowiska swego filantropicznego powinien był właściwie z inszej gwizdać piszczałki. Ale my na nieszczęście nie czarni; jesteśmy tylko biali i czerwoni nawet jeszcze do tego: taką przynajmniej jest nasza chorągiew. Wrogi zaś nasze, jak to już Brodziński zauważał, mają w swych chorągwiach i »czarność«, sympatye więc i antypatye pana Beaumont dostatecznie usprawiedliwione. Najciekawszym dla nas był p. Montalembert; stał się też najciekawszym i dla wszystkich, bo, kiedy inni jeszcze przez pewien wstyd całej swej myśli wypowiedzieć nie śmieli, p. Montalembert miał tę odwagę i jasno i bez ogródki oświadczył, że w razie ostatecznym jedyny tylko może być sojusz z Austryą, »w której ludzie porządku przywykli widzieć obrońcę cywilizacyi.« »Już się tutaj rozśmiałem, czy piekło?« zapytam się z Hamletem... Także to teraz myśli o Austryi p. Montalembert, którego pamiętna mowa o rzezi galicyjskiej jeszcze mi dźwięczy w uszach? Ta samaż to ręka, która tłómaczyła księgi Pielgrzymstwa, ściska teraz Breindla i Haynaua? Są rzeczy na świecie, powiem dalej z Hamletem, o których się nie śniło nie tylko filozofom, ale nawet najprostszym ludziom, mającym choć cień sumienia... a rzeczy to, dodam, podłe, arcy podłe!!!

Jeden tylko się znalazł z konserwatystów w komisyi, który ze zdrowym rozsądkiem i uczciwem sercem prze-

mówił, który zrobił dystynkcyą między cywilizacyą a despotyzmem, między propagandą rewolucyjną a przewagą moskiewską w Europie, i który wprost dotknął tej Moskwy, która, jak ów człowiek w jasełkach, temi austryackiemi i pruskiemi lalkami kieruje. To zdanie wyrzekł konserwatysta, ale Polak zarazem: nasz rodak Wołowski, ze skutkiem, który pewno sam przewidział. Od pamiętnego 15 maja pierwszy to raz, że się p. Wołowski odezwał w sprawie nie ekonomicznej i czysto politycznej. Wielu miało to mu za złe, że przez tak długi czas ukrył chorągiew polską pod sztandar ekonomicznego porządku. Kto znał trudne położenie kwestyi politycznej w obecnym stanie Francyi i bardzo krępowane stanowisko p. Wołowskiego z przekonaniem nierozwikłanie wplątanem w partyą konserwatystów a sumieniem centrifugalnem polskiem, ten inaczej sądził o tym mężu, pełnym zasług, i który prywatnie wiele dla rodaków robi dobrego z częstem nawet narażaniem się na kolizye z policyą i wyższemi władzami.

Dzienniki tutejsze nietylko sobie nie taiły pośredniego związku kwestyi pruskiej z naszą, ale nawet więcej do niej przywiązały wagi, niż się właściwie należało, a na przewidzianą burzę zlatały się dwa znane już czytelnikom Gońca gazeciarskie ptaki: dudek i kruk. Nasamprzód o dudku. P. Henryk Kamionka rozpuścił swe pióra i pisał niestworzone rzeczy; w zapale nawet zapomniał, że my Polacy a nie Niemcy. Jeden przykład wystarczy. P. H. K. zaręcza Francuzom, że »my« (nous) śpiewamy narodową »naszą« pieśń »Wallerallerah!« Od czasu, jak żyję, jeszcze takiej narodowej polskiej pieśni nie słyszałem! Zostawmy Niemcom, co niemieckiego, a najmniej mamy przyczyny zazdrościć im ich patryotyzmu i patryotycznych pieśni.

Najbardziej niepokojony kwestyą pruską, właśnie ze względu na Polskę, był dziennik Assemblée nationale, organ ambasady moskiewskiej. Między innemi baśniami

zaręczał on z pewnego źródła, że pewna illustracya polska udała się z całym swym głównym sztabem do Berlina i że na tajnej naradzie ministrów pruskich w przytomności króla postanowiono landwerę polską zostawić w Ks. Poznańskiem i pozwolić jej noszenia kolorów narodowych. W jakim celu ta wiadomość podaną była, odgadnąć łatwo, i widać, że to był mot d'ordre ambasady tutejszej moskiewskiej, bo i p. hrabia Wacław Jabłonowski, który się stosunków swoich z legacyą rosyjską bynajmniej nie zapiera, w podobnym duchu napisał list do tegoż dziennika pod dniem 3 grudnia, który głupotą i podłością przechodzi wszystkie znane mi dotąd objawy naszych apostołów. Człowiek ten, o którym zbytecznieby było powiedzieć, że bez czoła, bo on widocznie i bez głowy, widzi już lecącą do Berlina emigracyą polską, »kruki czujące zapach barykad«, liczy już talary, którymi sobie zapycha kieszenie, i przed tem »strasznem stadem wichrzycieli« przestrzega dobrze myślących. I niechaj nikt nie myśli, dodaje ten wyrodek, że tu tylko o polskich demokratach mowa, bo całe polskie społeczeństwo jest »bez głowy u góry, bez nóg u spodu i zgangrenowane we środku« (»société décapitée, ingambe par en bas, et gangrénée par le milieu«); czyż sam książę Czartoryski w r. 1848 nie jechał do Berlina? czyśmy nie widzieli, jak ten najprawdziwszy jeszcze naczelnik polskiej szlachty w r. 1846 wyparł się ludzi i zasad, którzy najwyższą dla rodziny jego tworzyli pozycyą (tu daje się poznać niestłumiony żal zbankrutowanego ongi redaktora Trzeciego Maja), i wchodził w układy z demagogiczną bandą krakowską? Mianowanie księcia Radziwiłła naczelnym wodzem wojsk pruskich jest rewolucyjnem wyzwaniem dla Polski (któżby się był tego domyślał?), a rząd pruski myśli zawezwać do Szląska demagogicznych jenerałów Dembińskiego i Bema!!! P. Jabłonowski widzi w tem wszystkiem grożące niebezpieczeństwo dla cywilizacyi i dla katolicyzmu, dla katolicyzmu, powtarzam jeszcze raz, aby

nie myślano, że to lapsus calami z mojej strony lub omyłka druku!!! W takim okropnym stanie, prowadzi dalej rzecz swoją ten advocatus diaboli, Francya powinna się starać, aby kwestya niemiecka jak najprędzej załatwioną została, mniejsza przez kogo (»par n'importe quelle main«), a przedewszystkiem być surową, ostrą, bez litości, bez tych pochwał niezasłużonych dla Polaków, »którzy wszystkiego teraz spodziewać się mogą od domu Romanowów« (qui ont tout à attendre aujourd'hui de la race des Romanofs).

Takie słowa wyszczekał p. Wacław Jabłonowski, a redaktor Assemblèe Nationale upatrzył w nich wylew »szlachetnego serca«. Où la noblesse va-t-elle se nicher?!! Oby p. Jabłonowski na tamtym świecie to tylko miał świadectwo moskiewskiego siepacza za sobą, gdy mu przyjdzie przed Bogiem odpowiadać za swe matkobójcze słowa! Oby ta Matka najświętsza, która i Matką jest Polski, na rany tylko wskazała, któremi Jej pierś skrwawił, gdy, skazany wiecznym ogniom na pożarcie, łaski i modlitwy jej zawezwie ten nikczemnik, dla którego Dante, gdyby teraz powstał, noweby wymyślił koło w swem Piekle!!!

Zresztą życzenia, nie zrobię mu tego honoru, bym powiedział: przedstawienia p. Jabłonowskiego zaczynają się urzeczywistniać. Rząd francuski w ostatnich czasach zaostrzył swoją surowość przeciwko wychodźcom polskim. Bez żadnego pretekstu, bez podania najmniejszej przyczyny wypędzono w tych czasach z Bordeaux i z Paryża wielu wychodźców, starych od lat 20 osiadłych ojców familii, z rozkazem opuszczenia Francyi w przeciągu trzech dni. Bravo! bravissimo, panie Wacławie Jabłonowski!!!

Dobrowolnie opuściło Francyą w tym tygodniu 30 emigrantów. Za staraniem p. Zamojskiego popłynęli do Ameryki.

P. Domejko, Litwin, a obecnie konsul francuski w Sant Jago, o którym już wspomniałem w przeszłych korespondencyach, nadesłał tu do druku na ręce znako-

mitego uczonego, pana Beaumont, (który, jak wiadomo, dyrygował ułożeniem wielkiej geologicznej mapy Francyi) dzieło swoje mineralogiczne w języku hiszpańskim. Po znanych już pracach p. Domejki można sobie wiele obiecywać.

W końcu dodam jeszcze słówko o liście Kościuszki, którym niedawno udzielił szanownej Redakcyi Gońca. W pośpiechu i merkuryalnej niespokojności korespondenta zapomniałem powiedzieć, do kogo nasz wódz ten list wystosował. Przepraszając za to uchybienie, prostuję je teraz. List adresowany jest do hrabiego Ségura (l'ainé) mistrza ceremonii Napoleona i znanego autora licznych dzieł historycznych. List odnosi się do trzeciego wydania znanej historyi Fryderyka Wilhelma II, która w tem 3-ciem wydaniu wyszła p. t. Décade historique. W tem wydaniu jest też świadectwo Kościuszki, tyczące się Ponińskiego, o którem Kościuszko w komunikowanym przezemnie liście na samym wstępie wspomina.

G. P. nr. 138 z 12 grudnia 1850.

XII.

Paryż, 18 grudnia 1850.

(Le peuple de Marseille. — Jak p. Sainte-Beuve rozumie sentymentalizm. — Jak p. John Lemoinne rozumie religią. — Zbiór rycin biblioteki polskiej. — Śmierć jen. Sznajdego. — P. Konstanty Milewski. — Replika.)

Rocznica 29 listopada przez jeden tylko, o ile mi wiadomo, francuski dziennik została uczczoną. Redaktor naczelny marsylskiego »Peuple«, p. Edouard Hervé, poświęcił naszej rewolucyi długi artykuł wstępny, w którym, mimo stronniczego stanowiska i mnie przynajmniej niezbyt pożądanego roztopienia naszej sprawy w idealnym błękicie uniwersalnej demokracyi, niepodobna jednak nie uznać szczerych chęci i serdecznych słów. Pozwolę sobie z tego artykułu przytoczyć jeden mały ustęp, który tchnie,

że tak rzekę, pewną polską wonią. Ustęp to, w którym p. Hervé sądzi o narodzie polskim, że swem idealnem życiem jeszcze kiedyś »przemieni sztukę i natchnie wieszczów dziełmi nowemi, w harmonii z rozszerzeniem się naszych myśli«. »Ten naród oderwał nas od małostek osobistych i natchnął nas heroicznemi namiętnościami tych czasów, za któremi się ugania nasze religijne podziwienie śród minionych wieków.« Może się mylę, ale ten ustęp ma pewien dźwięk Garczyńskiego, Mickiewicza i autora Przedświtu...

Pan Sainte-Beuve taki ustęp pewnoby nazwał sentymentalizmem, a wspominam tu o nim, aby dać przykład, jak pisarze »wielkiego stronnictwa porządku« na każde zawołanie i bez żadnego powołania starają się nam szkodzić. Pan Sainte-Beuve, który tym samym cudem doszedł do reputacyi uniwersalnego krytyka, jakim pan Radowitz do reputacyi liberalnego ministra, wydał w tych dniach rozbiór dzieł Fryderyka II pruskiego według nowego berlińskiego wydania. Na samym wstępie oświadcza pan Sainte-Beuve, że na te dzieła tylko ze stanowiska literackiego zapatrywać się myśli; mimo to nie może się wstrzymać od zrobienia następującej, nie ściśle literackiej, uwagi. »Oceniając Fryderyka, powiada on, zwykliśmy zarzucać mu udział w rozbiorze Polski. Nie chciałbym tu pobieżnie dotknąć tej drażliwej kwestyi (prawdziwie jezuicka prozopopeja...), ale to muszę powiedzieć, że czasby nam już wreszcie było porzucić ten miękki sentymentalizm i brać wypadki polityczne tak, jak były i być musiały.« Oburzenie więc na zbrodnią, na najpodlejszą zbrodnią, jaką kiedykolwiek dokonano na narodzie, za którą samej nawet Maryi Terezyi (sic) ciężko było odpowiadać przed swem habsburskiem sumieniem, to oburzenie nazywa pan Sainte-Beuve czystym sentymentalizmem!!« Zdanie to bardzo charakterystyczne, a często teraz bywa powtarzane tak przez pana Sainte-Beuve, jak i panów Alexis de St. Priest, John Lemoinne itp. Tylko obecne zakłócenie sumień we

Francyi może nam wytłómaczyć to dziwne zamięszanie wszelkich moralnych pojęć dobrego i złego! Ci Francuzi, którzy się obawiają sentymentalizmu, wyglądają mi na tego biedaka, który, skazany na śmierć i prowadzony do szubienicy, odmówił ofiarowaną mu szklankę wina dla tego, iż słyszał, że wino z czasem może się stać szkodliwem zdrowiu. Ale tak być musi w obecnem położeniu Francyi. W czasach, w których brak sumienia uznany jest hartem duszy, a Monk ideałem patryoty, w takich czasach wszelkie zdrowe, uczciwe uczucie będzie się zwać sentymentalizmem.

Tak pan Sainte-Beuve rozumie sentymentalizm; nie wiele inaczej rozumie pan John Lemoinne religią. Od rewolucyi lutowej, a szczególniej od wyboru Bonapartego, religijność weszła w modę we Francyi. Jak my dawniej broń naszą, tak teraźniejsi bankierzy francuscy swoje kufry ukryli pod ołtarzami i modlą się z zapałem w dziennikach. Jednym z głównych obrońców tego neokatolicyzmu jest pan John Lemoinne. Jak Donoso Cortès, ma on teraz dwie wielkie pasye: kościół i żandarmeryą. Nikt bardziej nie obstawa za uszanowaniem religii, nikt ostrzej i genialniej nie gromi Anglików za ich demonstracye przeciwko kardynałowi Wiseman i religii katolickiej. Przeciwko temu naturalniebym nic nie miał i to już tylko z samego stanowiska moralnego; zupełnie się więc zgadzam z panem Lemoinne, że demonstracye angielskie są niegodne narodu, dumnego ze swego politycznego rozwoju, i gwałcą najświętszą i najgłówniejszą wolność człowieka, wolność sumienia. Gdyby tylko z pod tej pobożnej włosiennicy nie wyglądał ogon Voltaira! W drugim bowiem artykule o znanem dziele pana de St. Priest pan Lemoinne wspomina o konfederacyi barskiej, o jej sławnej przysiędze i religijnej całej barwie. Dla człowieka, mającego tylko czyste moralne uczucie, takie podniesienie sprawy narodowej do świętości moralnej, takie pojęcie ojczyzny w związku z tem, co jest najszlachetniejszego, najmniej

egoistycznego, najmniej ziemskiego w człowieku, powinnoby było mieć jakiś urok, stać się przedmiotem czci i wzniesienia ducha. Cóż dopiero dla człowieka religijnego, jakim się głosi pan Lemoinne, dla człowieka, co z takim zapałem wynosi duchowe, nadziemskie przymioty wiary; który z taką goryczą ubolewa nad brakiem takiego uczucia w obecnem społeczeństwie, który w sprawie rzymskiej szczególniej z taką uporczywością broni połączenia władzy duchownej i świeckiej?! Pan Lemoinne nie może też nie upatrzyć w konfederacyi barskiej pewnej heroicznej i religijnej wielkości; ale, dodaje on, takie dziwne zjawisko religijnego patryotyzmu, któreby było pięknem i wzniosłem w wiekach średnich, w nowszych naszych czasach oświaty i cywilizacyi, »w wieku Voltaira« (mówi wyraźnie pan L.) było tylko »anachronizmem« i potępiało się samo przez się!! Tak pan Lemoinne rozumie religią! Religia więc dla niego jest tylko krawiecką materyą, z której sobie do woli i do potrzeby kraje płaszcz królewski dla Francyi a całun grobowy dla Polski! O pobożności dziennikarska! która nawet i tego nie widzi, że, jeżeli połączenie religii z narodowością jest w istocie »anachronizmem«, to połączenie jej z kapitałem, ze spekulacyą giełdową, i z tym tak mistycznym dogmatem 5%, jest jeszcze czemś więcej, bo brudnem bluźnierstwem!!

Doniosłem już o wzbogaceniu się naszej biblioteki darem świętej pamięci Wodzińskiego. Najważniejszą częścią tego legatu jest bardzo kosztowny zbiór rycin, który pan Sienkiewicz uporządkował i w tym miesiącu zrobił przystępnym dla publiczności. Widziałem już tam wiele ślicznych rycin naszego sławnego rytownika z XVII wieku, Falka; większa ich część avant la lettre i nieoszacowanej wartości. Jeśli mi zatrudnienia pozwolą, dam obszerniejszy pogląd na ryciny polskie, znajdujące się w tym zbiorze.

Wczoraj pochowaliśmy tu jenerała Sznajdego. Śmierć jego była tak nagłą, a nawet pobyt jego w Paryżu tak mało wiadomy, że wielka część bawiących tu Polaków

nie wiedziała o tym smutnym wypadku i nie oddała ostatniej posługi staremu żołnierzowi. Mimo to orszak grobowy był bardzo liczny; a jenerał Mierosławski podobno piękną mową uczcił pamięć swego towarzysza broni i polityki.

Pan Konstanty Milewski, osławiony redaktor Wychodźca, opuścił świat, który się na jego wielkości tak mało poznał, i popłynął do Ameryki. Sit ei nova terra levis!

Przedostatnia moja korespondencya wywołała dwie repliki, z Paryża i z Poznania(?). Odpowiem na nie kolejno, a pierwszeństwo dam szanownemu memu przeciwnikowi z Paryża.[1]) W korespondencyi owej powiedziałem, iż mnie dziwi, że p. Darasz podpisał okólnik, w którym powiadają Niemcom, że główną przyczyną ich upadku była tolerancya dla królów, kiedy mnie się zdaje i każdemu Polakowi zdawać się powinno, że daleko główniejszą przyczyną była nietolerancya dla Polski i haniebne postępowanie z nami. Na to mi odpowiada mój przeciwnik, że w manifeście jest mowa o tem, że Niemcy nie powstaną »z uszczerbkiem innych narodów« i »bez przymierza z innymi europejskimi ludami, równie niepodległymi i wolnymi.« I tym ogólnikiem chce mnie mój przeciwnik zaspokoić, i to mi ma wystarczyć, i to wystarcza polskiemu sumieniu mego interpelanta!!! Otóż jeszcze raz powtarzam moje dawne twierdzenie i oddaję je pod sąd tych wszystkich, w których kosmopolityzm demokratyczny nie zatarł zdrowego uczucia polskiego. Otóż powtarzam, że mnie taki ogólnik jest nieznośnym, że ja takiej Polski intra parenthesis, takiej Polski, której się nawet i nazwiska nie wymawia i której mi się każą domyślić z eufemizmu »ludów i narodów«, nie rozumiem, że ja moją narodową chorągiew stawiam wysoko i śmiało i nie ukrywam ani zniżam jej nawet i przed tą bajeczną chorągwią »nowego świata«, do którego mój przeciwnik tak raźno i ochoczo się zabiera!

[1]) Zob. wyżej str. 59 »List Seweryna Bielińskiego«.

Ja szanuję narodowość włoską, w pewnych granicach i węgierską, ale moją wyżej stawiam, niż wszystkie inne, bo ona ma zasługi starszeństwa, większego męczeństwa i świętszego powołania; zasługi, których może mój interpelant w demokratycznem swem i niwelującem przekonaniu nie uznaje, ale które uzna każden, co nie jest Polakiem tylko dla tego że demokratą. Manifest komitetu zawiera tyle niepotrzebnych a zbytecznych rzeczy (przecież tam mowa nawet i o bardiettach, t. j. o rzeczy, o której śród tysiąca Niemców ledwie jeden może wie, co ona znaczy), że rzecz tę najpotrzebniejszą, wyraźną i dobitną wzmiankę o Polsce, mógł bez szkody dla siebie a z korzyścią dla podpisującego Polaka zawierać. Prawda, że ten komitet centralny nie o wszystkiem ma czas pamiętać, i w ostatnim np. swoim okólniku do wojsk świętego przymierza, w którym radzi żołnierzom uciekać ze swoim rynsztunkiem, zapomniał nawet tym biedakom powiedzieć, dokądże właściwie uciekać mają?!! Ja też tylko podobne zapomnienie wytknąłem u p. Darasza, a kiedy mi odpowiadają, że Polska już objęta w owym ogólniku o ludach i narodach, to po drugi raz i po raz tysiączny zawołam, że to nie wystarcza! Srożyliśmy się tak długo i tak słusznie na tę zepsutą izbę Ludwika Filipa, która nie miała odwagi wymówić tego nazwiska Polski i w corocznych adresach do tronu miała paragraf eufemiczny o »nieszczęśliwej narodowości«. Czyż lepszy teraz eufemizm tego manifestu? Gdzie pod wyrazami »narody i ludy« ukryta jest Polska? Ja się na to zgodzić nie mogę, bo dla mnie Polska powinna być pierwszym wyraźnym artykułem wszelkiego traktatu, a nie zaś wstydliwym dodatkiem jakiegoś tajnego kodycylu; dla mnie Polska jest alfą i omegą, a nie zaś jakiemś jota subscriptum. Czy mnie rozumie już teraz mój szanowny interpelant? A jeśli jeszcze nie rozumie, to tem gorzej i dali Bóg nie dla mnie.

To samo się ma i z ogólnem zapatrywaniem się

mego przeciwnika na rzeczy niemieckie, które ja, pozwoli sobie powiedzieć, lepiej znam od niego, bom je nie z wysokości demokratycznego braterstwa widział, ale w realności życia politycznego i naukowego poznał. Ja wiem, co to są demokraty niemieckie; ja wiem, że pan Struve, ów demokrata par excellence Teutonów, gdy podniósł chorągiew rewolucyjną demokratyczną i socyalną w r. 1848 i zwołał konwent Niemiec, do tego państwa niemieckiego zaliczył i księstwo Poznańskie; ja wiem, że np. ta National-Zeitung, którą mój przeciwnik z takiem widocznem zadowolnieniem przytacza, w roku 1848, gdy nas ćwiertowano, mordowano, piętnowano, że ta sama, mówię, National-Zeitung nie chciała wówczas przyjąć żadnego artykułu w naszej obronie! To wszystko wiem, i o tem wszystkiem bym miał zapomnieć dla tego, że w strachu teraz przed Moskalem kilka słów tam bełkocą o Polsce? Tak naiwnym już być nie mogę; z tego raju demokratycznego dawno wyszedłem, gdym skosztował gorzki, oj i bardzo gorzki owoc wiadomości niemieckiego złego i dobrego. Czyżbym przeto już miał powiedzieć, że nie powinniśmy w razie danym wspólnie działać z Niemcami i korzystać ze zdarzonych okoliczności? Odwołuję się tu do przeszłej mojej korespondencyi, którą pisałem, nim szanowny mój przeciwnik mnie tak miłosiernie objaśnić raczył. I ja myślę, że się może zdarzy sposobność, w której staniemy obok Niemców, ale tylko obok, nie z nimi; współdziałając, ale nie mięszając się z nimi; w zdrowem i godnem stanowisku, ale nie w demokratycznych uściskach. Chłop jeden wielkopolski podczas pożaru Książa w r. 1848 powiedział te prawdziwie natchnione słowa: »Nie Książ się to, Panie, to nasze braterstwo z Niemcami się pali!« Tak myślał prawie chłop tylko polski bez inteligencyi, a nie kosmopolityczny demokrata; ale ja sobie pozwolę być zdania tego prostaczka, i ja też powiem, że nasze braterstwo z Niemcami dawno już z Książem spłonęło, a teraz tylko mowa być może, nie o braterskim

szale, lecz o zimnej rozsądnej rachubie. Szanowny mój interpelant chciałby, abyśmy z Niemcami znowu odegrali komedyę: Embrassons nous Folleville! którą tu daje teatr Montansier; ale ja z galeryi Vaudevilu na dramat ludzkości poglądać nie zwykłem i, jeślibym już miał jakąś rolę obrać, to niezawodnie nie ową Follevilla, prędzej ową Brutusa Szekspirowego, który łączy się wprawdzie w potrzebie z Kassiuszem, ale z całą świadomością jego nikczemności. Przeciwnik mój, który pewno o tem nie wie, że na sławnym parlamencie frankfurckim sławny Jordan jeden nam tylko przyznał przymiot tancerzy, przeciwnik mój, mówię, chciałby zatańczyć z Niemcami jakąś szaloną rewolucyjną karmaniolę; jabym się najwięcej z nimi do porządnego i poważnego kontradansu zniżył, w którym sobie pary czasami ręce podawają, ale wtedy tylko i tak długo tylko, jak tego takt polityczny wymaga. Najchętniejbym zaś z nimi potańczył poloneza Kościuszki.... Czy mnie teraz rozumie już mój szanowny interpelant? A jeśli jeszcze nie rozumie, to tem gorzej i dalibóg nie dla mnie!

Szanowny mój przeciwnik paryski zarzuca mi poniżenie p. Darasza, do którego się tak mało poczuwam, jak do zbytniego wywyższenia [1]) tej osoby, o które mnie z drugiej strony obwinia p. Wojna z całą srogością, ukrytą w tem nazwisku.... Panu Wojnie na fakt tylko odpowiem, który poruszył. Zaprzecza on, aby Polacy podpisani byli na manifeście przeciwko komitetowi centralnemu wespół z Francuzami itd. Otóż to nie tylko jest

[1]) Wywyższenie to zawdzięcza p. Darasz samemu tylko szanownemu zecerowi Gońca. Pisałem: »w komitecie europejskiej demokracyi i polska (rozumie się: demokracya) ma zastępcę w Daraszu.« Zecer zamiast »polska« wydrukował »Polska« — et inde irae! Nie pierwszą to mi psotę prawi szacowny zecer i korzystam tu z nadarzonej sposobności, by go uprosić o większą dla mnie troskliwość. Przecież już obecny tylko przypadek może go przekonać, że, jak za czasów Ludwika XIV źle postawione okno w Trianonie, tak i za naszych czasów źle stawiona litera w Gońcu może wywołać — Wojnę!

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W ŚWIĘTYCH L. 5
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

prawdą najprawdziwszą, jak się każden może przekonać z Constitutionnela, Debatów, République itp., ale ja na drugim jeszcze manifeście antykomitetowym, wydrukowanym w République z dnia 29 listopada, »miałem przyjemność« wśród nazwisk francuskich, niemieckich, włoskich i węgierskich »przywitać« i trzech Polaków, którzy się tam z całą potrzebną i niepotrzebną frazeologią podpisali jako: »Délégués de la commission en permanence de la séction démocratique polonaise à Londres«; a jednym z tych trzech jest właśnie wzmiankowany przezemnie pan Sawaszkiewicz. Na tem ograniczę moją replikę, nie wchodząc w dalsze rezonujące ekspektoracye p. Wojny; bo ja, a ze mną pewno każden inny czytelnik Gońca, oprócz p. Wojny, mamy coś ważniejszego do roboty, jak to ważenie emigracyjnych pyłków na pajęczych szalach koteryi. P. Wojna rzucił mi wiersz: Odi profanum vulgus, którego stosowności nie rozumiem. Ale ja w takich rzeczach dłużnikiem zostawać nie lubię. Ząb za ząb i wiersz za wiersz, a spodziewam się, że stosowniejszy:

Nec humana palam coquat exta *nefarius*...!

G. P. nr. 149 z 25 grudnia 1850.

XIII.

Paryż, 9 stycznia 1851.

(Śmierć Bema. — M. Czajkowski. — Polacy na wschodzie. — Kościelski. — Wenta w Paryżu. — Odjeżdżający do Ameryki. — Komitet emigracyi.)

Z wczorajszym Kuryerem z Carogrodu odebraliśmy bolesną wiadomość o śmierci jenerała Bema w Alepie. Okoliczności, które śmierci towarzyszyły jeszcze nam nieznane. Oddawna już rozsiewane pogłoski o zamiarach moskiewskich względem Bema spowodowały wielu do myślenia o otruciu; zimniej rzecz uważający widzą w tym zgonie wielkiego wojownika naturalny skutek moralnych cierpień i fizycznego wycieńczenia, o którem już oddawna wiedziano. Wielu także przypomina sobie, że Bem już

w Węgrzech przepowiadał swoją śmierć w r. 1850. Pod pierwszem wrażeniem tej wiadomości niech nam wolno będzie zapomnieć na chwilę o nierozważnym kroku naszego rodaka, który popełnił, wstąpiwszy na ziemię turecką, i który może poczęści odkupił ostatnim żołnierskim czynem swego żołnierskiego życia: bronieniem chrześcian przeciwko napadowi Beduinów; niech nam wolno będzie pożegnać go westchnieniem i tą rozdzierającą myślą, że trzeci to jenerał naszych dzielnych zastępów z r. 1831, który w tym roku zakończył doświadczone życie na ziemi tułaczej! Tylu to naszych ciągle ubywa, a ci, którzy ich zastąpić mają, jeszcze się nie objawili światu!...

Inną jeszcze nie mniej bolesną wiadomość otrzymaliśmy ze wschodu. Michał Czajkowski przeszedł na wiarę muzułmańską. Znany ten powieściopisarz był, jak wiadomo, od kilku lat ajentem ks. Czartoryskiego na wschodzie i okazał wielką zręczność i biegłość w poruczonej mu misyi. Na te zabiegi Moskwa naturalnie niechętnem patrzała okiem i oddawna się domagała od Porty jego wydalenia. Dotychczas zakrywała go ambasada francuska, przy której miał charakter pewien urzędowy jako attaché! Ale ostatnie zbliżenie się Francyi do Rosyi pozbawiło go i tej podpory. Opuszczony od poselstwa francuskiego, w obec nalegań Rosyi i ulegania dywanu, Czajkowski w ostateczności chwycił się ostatecznego środka i przyjął turban turecki. Krok to, przeciw któremu nie dość energiczną tylko założyć protestacyą; pod każdym względem zasługuje on na potępienie. Dla starego żołnierza, jak Bema, jeszcze można było mieć pewne wyrozumienie, ale człowiek, jak Czajkowski, który, jeśli nie do celniejszych, to niezawodnie do najbardziej znanych narodowych pisarzy należy i który miał honor reprezentować politykę polską na wschodzie, taki człowiek ostrzejszemu podpada sądowi. Wiem, wiemy wszyscy, że Czajkowski, nie z widoków osobistych, ale w chęci służenia narodowej sprawie i po długiej walce i w ostateczności do tego potwornego

aktu przystąpił, ale tem większy na nas cięży obowiązek wypowiedzenia tego starego zdania, że cel ważny a ukryty nie odwszetecznia nagannej drogi, i że takie poświęcenie odwiecznej narodowej prawdy dla czasowych, chociażby i najpatryotyczniejszych względów, oburza sumienie narodowe i w końcu szkodzi najszlachetniejszemu dziełu. Do czegoż nas doprowadzi takie odbieganie od narodowego stanowiska? Do czegoż nas zapędzi to odszczepieństwo od zasad, zaszczepionych w Polskę mieczem Jagiełłów, Sobieskich, Twardowskich i Czarnieckich? Jakiż byt gotują Polsce ci ludzie, którzy jej wszelką racyą bytu odejmują? W cóż się obróci cała dawna chrześciańska historya Polski, gdy sztandary, niegdyś przez naszych przodków na Turkach zdobyte, spleciem i skręcim w turbany? Czyż Polska, czyż świat, czyż Bóg w tych Mustafach, Amuradach itd. zechce poznać wnuków wielkich turkogromców? Nie potrzebujemy już wprawdzie gromić Turków, bo już chrześciaństwu nie zagrażają, bo nie noszą już śmierci drugim, ale sami dogorywają; lecz tem mniej wolno nam przejść do ich obozu, tem mniej wolno nam obrócić się do księżyca, dla tego, że ciężkie chmury zakrywają nam polskie słońce! Ja przynajmniej nie mogę bez rumienienia się wziąść teraz do ręki naszego Kochanowskiego lub Twardowskiego, naszego Długosza lub Bielskiego, gdy pomyślę, że Polacy, jak Bem, jak Czajkowski, zostali bisurmanami! Ja przynajmniej z obojętnością czytałem potwarze p. Alexis de St. Priest na Polskę, ale, kiedym natrafił na kartę, w której, opowiadając sojusz naszych konfederatów barskich z Portą, podstępny Francuz woła: »Polska, ta tarcza chrześciaństwa, ci konfederaci katoliccy ze sztandarem Matki Boskiej w związku z niewiernym Turkiem... nie byłoż to samobójstwem?« O, czytając ten ustęp, zadrżałem, ta jedna zatruta strzała trafiła... bo to było prawdą, choć przez niecne usta wypowiedzianą! Ale jakże daleko jeszcze od tego politycznego sojuszu z Turkami naszych konfederatów do tych reli-

gijnych koncesyj, które robimy teraz Muzułmanom, zadawając fałsz naszej całej przeszłości, burząc mogiły naszych ojców, rozrzucając na cztery wiatry święte prochy Warny i Cecory! W kwestyi tak wielkiej i sumiennej wszystkie polityczne względy właściwie znikają, ale i tę politykę nawet, jeśli to ma być jaką, niech zrozumie, kto chce, nie ja. Ja przynajmniej podzielam zupełnie zdania, które Goniec niedawno szeroko wywiódł, że dotychczasowa nasza polityka na wschodzie jest bezskuteczną a nawet i niebezpieczną. To galwanizowanie Turcyi nie zastąpi nigdy organicznego życia, które się w Słowiańszczyźnie budzi. Słowianie nigdy nie zechcą zrozumieć tego, że utrzymanie Turcyi jest w ich interesie. Zdrowy, polityką niezaćmiony ich narodowy instynkt wskazuje im Turków jako niewiernych i ciemiężycieli, a tego instynktu nie zatrą ani żadne Reszydowe reformy ani żadne cywilizacyjne hattiszeryfy. Nasza polityka ze Słowianami tureckimi powinna być prosta i narodowa, a nie kręta i dyplomatyczna. Emancypujmy ich jako narodowe indywidualności, obudźmy w nich ducha chrześciańskiego, przedstawiajmy im grożące niebezpieczeństwo ze strony moskiewskiego byzantynizmu i despotyzmu, ale nie wmawiajmy w nich, że lepsza niewola turecka, niż moskiewska, i że politycznie jest utrzymać państwo ottomańskie, wlewając w nie ducha chrześciańskiej cywilizacyi. Bo to jest nonsensem, bo to jest matactwem, którego tureccy Słowianie ze zdrowym swym rozsądkiem nigdy zrozumieć nie chcą, i tylko tego przekonania nabiorą, że i my nie lepsi od Turków. Bodajbym był fałszywym prorokiem, ale ja przewiduję, że to sztuczne utrzymanie Turcyi taką samą będzie decepcyą dla Polski, jaką sztuczne utrzymanie Austryi w r. 1848 dla Czechów, mimo całej politycznej głębokości i zręcznego syllogizmu rachmistrzów. Nie chciałbym tu osobistości naruszyć, i wręcz oświadczam, że wierzę w szlachetność zamiarów i zręczność środków ks. Adama Czartoryskiego, ale w skuteczność ich, w ich

moralną prawdę wierzyć nie mogę. Książę Czartoryski w polityce tureckiej taką samą popełnia omyłkę, jaką dawniej popełnił w polityce aleksandrowskiej. I wtenczas zamiary jego były szlachetne, środki bardzo zręczne, rachuba bardzo ścisła, ale do tej rachuby nie wciągnął najważniejszego czynnika, nie wciągnął sumienia narodowego, które instynktowo Moskwę odpychało, a jak przyszło wreszcie do zsumowania tych dyplomatycznych ułamków, nad których dodawaniem książę tyle lat życia styrał, tyle nocy nie przespanych prześlęczał, pokazał się wielki deficyt, z którego się jeszcze wciąż częściowo wypłacamy, wypłacamy łzami i krwią! Zupełnie tak samo się ma teraz z polityką księcia na wschodzie. I tu nie bierze on w rachubę najważniejszego czynnika, chrześciańskiego sumienia Słowian, i, jeszcze raz powtarzam, bodajbym był fałszywym prorokiem, ale ta rachuba nowy i większy jeszcze deficyt okaże!... Niech mnie Bóg broni od tego, abym ks. Czartoryskiego chciał zrobić odpowiedzialnym za odszczepieństwo Czajkowskiego; wiem przeciwnie, że cała jego polityka dąży do tego, według mnie niepodobnego rezultatu, aby Portę pogodzić z chrześciaństwem, i kwestye religijne usuwać z dywanu przed kwestyami politycznemi. Ale właśnie ten smutny przypadek z Czajkowskim powinien przekonać księcia, jak obosieczną jest broń dotąd używana, jaka fatalna leży konsekwencya w solidaryzowaniu naszych interesów z pozornym choćby tylko bytem Porty. Słowianie południowi już oddawna nas mają za Pół-Turków (te słowa słyszałem sam jeszcze w 1847 roku z ust bardzo szlachetnego i wykształconego Serba); cóż dopiero pomyślą o nas teraz, gdy w dotychczasowym wyobrazicielu naszej polityki na wschodzie poznają całego Turka?!

Reszta wiadomości ze wschodu bardziej zaspakaja. Wielu z internowanych w Szumli popłynęło do Ameryki. Wszystkie listy chwalą bardzo postępowanie posła Stanów Zjednoczonych. Z prawdziwem braterskiem uczuciem,

któregobym przez wzgląd na rzeczpospolitą, co mnie otacza, prawie już nie śmiał nazwać republikańskiem, zajmuje się on losem naszego wychodźtwa i wspiera naszych rodaków radą i pieniędzmi. Tak kwestya internowanych krok naprzód zrobiła; mimo to, zostajemy jeszcze w zupełnej niewiadomości co do przeznaczenia ważniejszych osób tureckiej emigracyi, jenerałów Dembińskiego, Wysockiego, Koszuta itd. Boleśnie dotknęły nas nieprzyjemności, oszczerstwa, nawet i haniebne napady, na które w ostatnich czasach wystawiony był Władysław Kościelski. Obywatelom Wielkopolski, którzy znają charakter Kościelskiego, nie potrzebuję powiedzieć, jak bezzasadnemi są zarzuty i obelgi miotane na Polaka, który zawsze dawał dowody patryotyzmu, poświęcenia i bezinteresowności. Za trudy i mozoły, które Kościelski ponosi w Turcyi, na inszą zasłużył nagrodę ze strony młodych emigrantów. Na nieszczęście, ze wszystkich dawnych narodowych tradycyj jednąśmy tylko widać i najmniej piękną w nieskazitelności przechowali, kłótliwość i liberum veto. Młoda emigracya pod tym względem bardziej jeszcze grzeszy, niż stara. Ale to temat, który dłuższego żąda wywodu, odkładam go na przyszły raz.

Przy końcu roku odbyła się tu, jak zazwyczaj, wenta (muszę już użyć tego cudzoziemskiego wyrazu, bo w polskim języku nie znam na to słowa) na korzyść Polaków. Urządza ją, jak wiadomo, Towarzystwo dam polskich pod przewodnictwem księżnej Adamowej Czartoryskiej. Ostatnia wenta była bardzo okazałą. Przedażą wyrobów kierowały księżna wirtembergska, księżna Adamowa i księżniczka Izabella Czartoryska, pani Faucher, pani Bahrmann, żona ambasadora szwajcarskiego, margrabine de Luzada i de Montebello, pani de Fleury, de Pernetti itd. Asystowali im młodzi polscy panicze z emigracyi, z Galicyi i Wielkopolski. Wyroby nadesłane od Polek z Drezna bardzo drogo się przedały, i w ogóle dochód był świetny w porównaniu do lat ostatnich; zysk czysty ma wynosić

15000 franków. Wenta nawet miała i pewne polityczne znaczenie pod tym względem, że poseł turecki zakupił na niej osobiście wyrobów za ilość 1000 franków. Oddając wszelkie zasłużone pochwały i podziękowania szlachetnym damom za ich starania, i z zupełnem uznaniem ich szlachetnych intencyj, nie mogę się wstrzymać od zrobienia uwagi, że, wszystko razem wzięte, wenta bolesne zrobiła wrażenie. Te eleganckie stroje, te balowe fraki i żółte rękawiczki, te powozy i cugowe konie dziwny kontrast stanowiły nie tylko z nędzą naszą, ale i z powszechną niechęcią, którą do nas wszystkie tutejsze wyższe warstwy czują, a do których kieszeni tę tak właśnie swoim wyelegantowaniem rażącą zrobiono odezwę. Nie tajnem było nikomu, że większa część kupujących Francuzów, nie ze współczucia dla Polaków, ale ze światowych względów salonowych znajomości chodziła na wentę. Bolesnem było myśleć, że niejeden Francuz mniemał pokwitować się z Polską, z krwią, którą dla jego narodu przelała, z napisami polskimi, które się jeszcze świecą na arc du triomphe de l'Etoile; pokwitować, mówię, temi pięcią lub dziesięcią frankami, które złożył »dans des mains gantées de charmantes dames!« Była to żebranina: tirée à quatre épingles!! Pani Lamothe, która się na tem znała, powiedziała: że są dwa sposoby żebrania, u drzwi kościelnych i w karetach. Nasza wenta była żebraniną w karetach!! Jeśli już nam koniecznie trzeba żebrać, wolałbym już, żeby to było u drzwi kościelnych... Ale, czyż w istocie koniecznie potrzeba?.. Mnie się zdaje, że nie! Mnie się zdaje, że te szlachetne damy, gdyby użyły swoich wpływów, stosunków i znajomości, mogłyby wynaleść dla naszych wychodźców pomieszczenia i zatrudnienia, któreby nam wszystkim wstydu, a pobierającym wsparcia tego tak demoralizującego środka utrzymania się bez pracy oszczędziły. A że to, mimo obecnych tak nieprzyjaznych nam okoliczności, nie byłoby niepodobnem, tego dowiódł właśnie w tym miesiącu jeden szlachetny

mąż, którego że wymienić mi nie wolno, mocno żałuję, a który sam jeden wynalazł pomieszczenia i zatrudnienia, wprawdzie bardzo skromne, ale godziwe, godne i godność indywidualną podnoszące dla kilkudziesięciu młodych emigrantów.

To pomieszczenie wielkiej części młodej paryskiej emigracyi tem było większem dobrodziejstwem, że z końcem roku komitet nowej emigracyi złożył swój mandat, a na jego miejsce inny wybranym nie został. Pod każdym względem można sobie tylko tego winszować. Położono tem tamę wszelkim kłótniom, sporom, osobistościom, intrygom i niecnym potwarzaniom.

W końcu muszę wspomnieć o smutnem zajściu w Hawrze. Rzecz się tu znowu toczy o wyjazd do Ameryki. Goniec, jak widzę, jeszcze w tej kwestyi sobie zdania nie wyrobił. Dla tego, co nawet bliżej zna stosunki, także trudnem będzie przyjść w tej rzeczy do stałej opinii. Jeśli z jednej strony nietolerancya rządu francuskiego i niesłychana nędza przemawiają za Ameryką, to z drugiej strony wiele innych względów mówi przeciwko temu. Trzeba wiedzieć, jak demoralizujące skutki wywiera wyrwanie z ojczystej ziemi i z familijnych stosunków, jak często przez to regularny dotąd bieg życia zamienia się w bujanie po bezdrożach, po krętych nawet i błotnistych drogach, a wtenczas nie tak pochopnym się staje w naradzaniu do Ameryki, w której i słaby węzeł życia polskiego tułaczego się urywa, w której każden samemu sobie zostawiony, znajdzie może kawał ziemi, ale straci Polskę, i z emigranta, który, bądź co bądź, ma zawsze pewien odrębny, kapłański charakter, stanie się prostym spekulantem z hasłem: Monney is all! Trzeba w końcu wiedzieć, że w tem pochopnem wysyłaniu do Ameryki ukrywa się, jakem to już raz powiedział, chęć pozbycia się rewolucyonistów.... a wtedy się może i do żalu jakieś gorsze uczucie przymięsza. Bądź co bądź, w końcu roku kilkudziesięciu młodych emigrantów miało popłynąć z Hawru

do Ameryki, gdy nagle powstały nieukontentowania, skargi, że nie dotrzymano obietnicy; że nie dostarczono zaręczonych przez ks. Czartoryskiego odzienia, obuwia; że okręt, na którym ich chcą wysłać, tak uszkodzony, że żadnej gwarancyi nie daje. Ile i czy w ogóle w tych skargach prawdy było, powiedzieć nie umiem, bo relacye naturalnie stosownie do stronnictw stronnicze. Co pewna i bardzo zasmucająca, to, że ajent księcia w Hawrze, gdy wielu wsiąść na okręt się wzdragało, zawezwał pomocy policyi i wojska. Powstał zgiełk, krzyki o zdradę, a kilku poranionych osadzono w więzieniu. Drugi to już raz, jak zbyt usłużni pomocnicy księcia wzywają pomocy policyi i wojska przeciwko współrodakom i według wszelkiego prawdopodobieństwa z taką samą niezgrabnością, jak to było już pierwszego razu. Jeśli jest jakie prawidło dla nas, to niezawodnie to: Lavons notre linge en famille!

G. P. nr. 11 z 15 stycznia 1851.

XIV.

Paryż, 22 stycznia 1851.

(Ogólne uwagi nad stanem emigracyi. — Okólnik o amnestyi. — Dowody poświęcenia. — Doktor Moraczyński. — Naukowe prace p. Jastrzębskiego. — Wynalazek majora Brońskiego. — Wybór członka w akademii des Inscriptions. — Demokrata Polski.)

»Quandoque dormitat Homerus«, powiadali Rzymianie. Tem bardziej wybaczyć trzeba, gdy korespondent sobie czasem zadrzymie, a mianowicie wybaczyć to trzeba korespondentowi w położeniu mojem. Postanowiwszy sobie o tem tylko donosić z Paryża i z reszty świata, co tylko wyłącznie jest polskiem lub jak najściślej ze sprawą polską ma związek, znajduję się nieraz w takiej penurii, jakiej wyobrazić sobie nawet nie jest w stanie każden inny śmiertelnik, co nie, jak ja, ten próżnością swoją właśnie tak ciężki dźwiga obowiązek korespondenta. W tym tak umyślnie ścieśnionym zakresie nigdy mi wprawdzie nie zabraknie materyałów, ale bardzo często materyi do

pisania. Trudno być stenografem milczenia, a emigracya nasza na teraz zamilkła i prawie żadnego znaku narodowego życia nie daje. Dawniej zbyt może głośną była; dziś oniemiała, i zdaje się tylko ucha natężać ciekawie, czy nie usłyszy głosu z kraju.... Jednym dawny, a drugim nowy sposób zachowania się emigracyi podobać się będzie; ja ani w tym ani w owym upodobania nie znajduję. Nie chciałbym, aby wychodźtwo przywłaszczało sobie losy narodu i narzucało mu z góry swoje wyobrażenia i osoby, ale nie chciałbym znowu, aby w luźnej pozostawało bezczynności i wyglądającem odrętwieniu. Między temi ostatecznościami byłby jeszcze środek prawdziwy, godziwy i patryotyczny, t. j., gdyby emigracya zostawiła, co krajowego, krajowi, a wzięła się do tych robót, do których kraj przystąpić nie może, a które jej ułatwia pobyt za granicą wśród wolniejszych praw, rozleglejszych stosunków i tak licznych naukowych i moralnych zasobów. Na nieszczęście, jak w wielu innych rzeczach ludzkich, tak i w tej takie środkowe stanowisko jest trudnem do osiągnięcia, a jeszcze trudniejszem utrzymanie się na niem bez podejrzeń ze strony tych, co więcej w sobie mają gwałtowności lub mniej sumienia, a najmniej o niem zdaje się teraz myśleć emigracya nasza. Większa część, wyniszczona nieszczęściem i biedą, uganiając się w potach i mozołach za tym tak gorzkim powszednim chlebem, ledwie chwilkę znajduje czasu do pomyślenia o obowiązkach polskich, które ciężkiem, ale próżnem zbywa westchnieniem; a gdy się znajdą tacy, co nad wszystkie trudy przenoszą trud narodowy i względami codziennego życia nie dają się odwieść od pomyślenia nad wiekuistem życiem ojczystego ducha, to ci znowu występują z taką przesadą, z takiem nieobliczaniem lub przerachowaniem sił swoich, z takiem zarozumieniem o swoich prerogatywach, inicyatywach i intuicyach polskości, z takiem pobłażającem sądzeniem o sobie, a bezwzględnem odsądzaniem innych, że zaiste nie wiem, co wtedy przenosić, czy

lód obojętnych, czy ten żar rozgorączkowanych samosłańców, co ani ogrzewać, ani oświecać, ale tylko palić umieją. Młoda emigracya pod tym względem bardziej jeszcze grzeszy od starszej. W nieprzyjaznych okolicznościach, które jej wyjściu z kraju towarzyszyły, w prześladowaniu, którego ze strony rządu bardziej niż dawna doznaje, widzi ona na nieszczęście pewne usprawiedliwienie dla swego trybu życia, który, (muszę to już raz szczerze i otwarcie wypowiedzieć z całym bólem i żalem, ale i z najenergiczniejszem zastrzeżeniem, że i pod tym względem mamy bardzo wiele nader szlachetnych wyjątków), który tylko nierozważnym, zgubnym i wszystkie święte prawa i obowiązki wychodźtwa przekraczającym nazwać umiem. I co najboleśniejsza, to, że nie ci, którzy w zupełnem ogołoceniu, w zupełnym braku wszelkich materyalnych środków utrzymania się, jeszczeby prędzej na pewną wyrozumiałość zasłużyć mogli, ten gorszący przykład dają; ci owszem wśród tych najcięższych okoliczności są po większej części wzorami dobrego prowadzenia się, niezmordowanej pracy i heroicznej prawie wytrwałości. Ale właśnie ci, co z tych lub innych powodów wolniejszymi są od tych trosk pośrednich, i którymby stan materyalny ułatwiał to lub owo naukowe praktyczne zatrudnienie się, najmniej są dbali o obowiązki, które na nich charakter Polaków i wychodźców wkłada: ci najmniej o tem pamiętają, że w moralnym kodeksie człowieka i patryoty zmiana miejsca nic nie zmienia, i że nie dosyć jest krzyknąć: »nie zginęła« i uciec do Paryża. Zobojętnienie, chociaż wierzę, że tylko chwilowe, dla narodowych prac i spraw, życie z dnia na dzień, bez myśli, bez celu, bez najmniejszego planu, zbywanie jednej chwili następną i tak bez końca, jest prawie filozofią życia u wielu z naszych młodych wychodźców. A gdy się znajdą tacy, którzy całą czczość i niedogodność tego uznają i wyższe i świętsze w sobie powołanie czują, to ci znowu w tem tak przesadzają, z taką pretensyą występują i z taką nieomylno-

ścią wyrokują, jakby na każdym ich włosku losy narodu wisiały, a każde ich poruszenie jakimś czynem przyszłości być miało. Do jakiego stopnia dochodzi takie rozumienie i zarozumienie o sobie, mieliśmy świeży dowód w litografowanym okólniku pewnego młodego wychodźca do braci tułaczy. Chodzi tu o amnestyą. Zdanie moje w tym względzie nieraz już miałem sposobność objawić i nadomiar je jeszcze raz tutaj powtarzam, że amnestyą uważam za akt rozpaczy i odszczepieństwa od świętej i drogiej wszystkim tradycyi, z chlubą i wiernie przechowanej przez lat dwadzieścia; że się piszę bezwarunkowo na wyrzeczone niedawno słowa przez naszego Bohdana Zaleskiego: »że nie my cara, ale car naszej amnestyi potrzebuje«. Uznaję nawet za konieczne, aby ogół emigracyi w publicznym akcie uroczyście w tej mierze swe zdanie objawił. W normalnym stanie sprawa by się dała prędko i skutecznie załatwić. Możnaby było zwołać braci tułactwa, bawiących w Paryżu, do walnego zgromadzenia, któreby zredagowany przez wybraną przez siebie komisyą akt roztrząsało i zatwierdziło. Ale, w obec teraźniejszego prawa stowarzyszeń i jawnej niechęci rządu francuskiego, o takim normalnym i legalnym kroku ani myśleć. Zależy więc teraz wszystko od inicyatywy pojedyńczego, któryby się podjął zredagowania takiego aktu w sposób prosty, uroczysty i przystępny dla każdego przekonania. Każden rozsądny mi przyzna, że ta inicyatywa powinna wyjść z łona starszej emigracyi, która większe już dowody poświęcenia i wytrwałości dała, i ze strony człowieka, któryby był znanym ogółowi przez swoją pozycyą w świecie polityki i piśmiennictwa, ze strony np. Lelewela, Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego i t. p. Bo niech się młoda emigracya nie łudzi! Nie wyobraża ona żadnej odrębnej, nowej myśli w tułactwie, nie ma żadnego prawa przodkowania w niczem, a, mimo wszelkich demokratycznych dążności naszego wieku i czasu, zdrowe uczucie zawsze tym pierwszeństwo przeznaczy, co dali dowody większej

pracy i wytrwalszych cierpień. Nie tak sądził szanowny kolega, o którym mowa. Na własną rękę zredagował akt swój i zredagował w sposób, na jaki żaden człowiek, dbający o to, aby godziwa myśl w godziwej się objawiła formie, przystać nie może. Dotychczasby tylko autora aktu o zbytnią pochopność i zwykłe młodości zaufanie w sobie obwinić było można. Ale, co przechodzi wszelkie granice pobłażania, to, iż szanowny autor oświadcza w litografowanym okólniku, że ten jego akt stanie się kamieniem probierczym, i że, kto go nie podpisze, da tem samem świadectwo o swojem patryotycznem usposobieniu!! »Co tego, to za wiele!« — muszę już zawołać z panem Zrzędą, i właśnie, że to za wiele, musiałem o tem tę przydługą może wzmiankę uczynić.

Nie chciałbym jednak, aby te wytknięte przezemnie wady rozciągano na ogół, albo tylko znaczną część naszego tułactwa. Nie brak u nas i na poświęceniu i pracy, mamy nawet pod jednym i drugim względem prawdziwie wielkie i szlachetne wzory. Miałem już nieraz sposobność wspomnieć o troskliwości i pieczołowitości wielu szczególniej starszych emigrantów, którym Bóg dał środki i serce po temu, dla biednych i nieszczęśliwych braci. Najbardziej w tem celują rodacy lekarze; dwóch w Paryżu bawiących czytelnicy Gońca już z imienia znają; pozwolę sobie teraz wspomnieć o trzecim, który na prowincyi jest prawdziwą opatrznością dla współtułaczów. Mówię tu o doktorze Moraczyńskim w Vienne z nowej emigracyi. Przez krótki czas swego pobytu zyskał sobie tak przez swoją sztukę, jak i przez dobroczynne i ludzkie postępowanie, wielkie wzięcie wśród ludności francuskiej i zrobił sobie pozycyą piękną i niezawisłą; ale, co piękniejsza, to, że prawie cały swój zarobek poświęca na dobro emigrantów. W roku przeszłym szczególniej, kiedy ciągłe przechody odbywało tułactwo w różne strony świata, Moraczyński okazał niezmordowane zabiegi w chęci pomożenia mu. Dla przejeżdżających najął nawet umyślnie dom na noclegi,

i wszyscy bez wyjątku, ci, co do Węgier, do Włoch i Szwajcaryi szli lub stamtąd wracali, doznawali od niego wszelkiego rodzaju pomocy w radach, usługach, pożyczkach i t. p. Jeśli prawda, że jeden zły szkodzi wielu dobrym, to większa jeszcze prawda, że jeden taki dobry wynagradza i pociesza za wielu złych na tym świecie! Jeszcze jeden szczegół o dowodzie wiary i poświęcenia u nas. Stary emigrant, który po długiej i mozolnej pracy znalazł wreszcie godziwe i korzystne bardzo miejsce u jednego z najznaczniejszych tutejszych agents de change, na odgłos wojny węgierskiej porzucił swe miejsce, żonę i dzieci i pospieszył do legionów naszych! Dzięki Bogu, że po niedawnym swoim powrocie do Paryża odzyskał opuszczone miejsce u pryncypała, który, rozczulony (któżby się tego od ajenta giełdowego był spodziewał?) jego poświęceniem, ofiarował mu dawną pozycyą pod korzystniejszymi jeszcze nawet warunkami.

Wielu mamy także pracujących i zaszczytnie odznaczających się w pracy. Uważałem to zawsze za obowiązek donosić o tem i zwrócić uwagę kraju na zasługi, tem większe, że pod tak nieprzyjaznemi konstellacyami dokonane. Miło mi i teraz się z tego wywiązać. Mamy tu w naszem gronie p. Jastrzębskiego, który na kilka miesięcy przyjechał z Rzymu do Paryża, by ostatecznie z powtórnem prześledzeniem tutejszych rękopismowych zbiorów zakończyć swoją wielką pracę. Stary ten emigrant, skończywszy nauki w sławnej tutejszej École des chartes i gruntownych nabywszy wiadomości w dyplomatyce i paleografii, przedsięwziął zwiedzić wszystkie francuskie, angielskie i włoskie archiwa dla wyśledzenia materyałów do historyi słowiańskiej i polskiej. O sławnym Texte du sacre w Rheims, tak ciekawym dla literatury głagolickiej, a który teraz Hanka w Pradze tak starannie wydał, pierwszy to Jastrzębski (w Journal de l'instruction publique) przed kilkoma laty dał szczegółową, gruntowną i wszystkie dawniejsze wątpliwości i matactwa obalającą

wiadomość. Miał nawet sposobność zemszczenia się pod tym względem na Moskalu, na panu Strojewie, członku akademii archeologicznej w Petersburgu, który, wysłany umyślnie kosztem rządu moskiewskiego do Rheims dla zbadania tego rękopismu, nie poznał się nieborak na głagolicy i oświadczył, że to albo gruziańskie, albo albańskie pismo, i dostał w nagrodę za to piękne odkrycie 2000 rubli od cara!! Plon, który pan Jastrzębski ze swoich poszukiwań odniósł, jest nadzwyczaj bogaty. Szczęśliwem natchnieniem wiedziony, udał się do Rzymu i pierwszy z Polaków uzyskał pozwolenie zwiedzenia archiwów watykańskich. Jakie tam skarby pan Jastrzębski dla historyi polskiej odkrył, łatwo każden odgadnie, co tylko sobie pobieżnie pomyśli, że Polska przed XVI wiekiem jedynym prawie tylko węzłem była z zachodem połączona, węzłem łacińskiego Kościoła, i jedyne tylko relacye zewnętrzne tam miała z Rzymem. Pan Jastrzębski odkrył tam nieoszacowane materyały do historyi Kościoła naszego, do czasów Kazimirza Mnicha, Władysława Jagiełły i t. d. Ale nie na rękopismach tylko ograniczył nasz rodak swoje poszukiwania; w myśl ewangielicznego słowa: pukajcie, a będzie wam otworzono, zakołatał do wszystkich stron i zakątków, i traf mu w tem nawet często więcej się przysługiwał, niż systematyczne badania. Nieraz w ręku rzymskiego pospólstwa znalazł szacowne, nieznane zupełnie medale, które bito w Rzymie na cześć naszych zwycięstw nad Turkiem; na szyi biednej dziewczyny spostrzegł np. raz medal przedstawiający Chodkiewicza, ofiarującego papieżowi sztandar zdobyty pod Chocimem! Do najpiękniejszych rezultatów topograficznych poszukiwań pana Jastrzębskiego policzyć trzeba odkrycie kościoła polskiego, przez dawnych naszych królów w Rzymie utrzymywanego, a o którym później wszelka zaginęła tradycya, tudzież odkrycie grobu św. Cyryla w odwiecznem mieście; a ostatni ten fakt nie tylko już wartość historycznej ma pamiątki, ale jest jeszcze do tego nowym i zwycięskim argumentem za

prawowiernością rzymsko-katolicką tych pierwszych apostołów Słowiańszczyzny (św. Cyryla i Metodyusza), w których erudycya moskiewska bez sumienia, choć nie bez celu, chce widzieć wysłanników greckiej schizmy. Po kościołach i bazylikach odwiecznego miasta wyszukał i przerysował nadto nasz rodak freski, przedstawiające różne wypadki historyi naszej, jak np. hołdowanie Kazimirza Mnicha papieżowi, życie św. Stanisława Kostki, św. Jacka, freski kreślone wielką ręką Giotta, Benozza Gozzoli i t. p.!! Wszystkie te dyplomata, rysunki i pamiątki, starannie zebrane i krytycznie roztrząsane, zamyśla pan Jastrzębski ogłosić w tym roku w Rzymie. Nie bez rozczulenia, nawet nie bez pewnej choć niewinnej zazdrości, można widzieć tego dzielnego badacza, skromnie opowiadającego o swoich trudach i pracach i pokazującego rzadkim wybranym i powołanym ten grosz wdowi, który zebrał dla narodu, a który się dlań stanie prawdziwym i długo niewyczerpanym skarbem.

Na innem polu, na polu przemysłu spotykam także pracę jednego wychodźca, która jemu i nam chwałę przynosi. Stary emigrant, major Broński, który niedaleko Lyonu zarządza fabryką jedwabiu, widział wreszcie w tych dniach uwieńczone skutkiem dzieło, powzięte mozolnie po długiej pracy i wielkiem doświadczeniu. Już na przeszłorocznej wystawie przemysłu w Paryżu zwrócił na się oczy publiczności i rządu francuskiego pomysł naszego rodaka, za pomocą którego można otrzymać jedwab w czterykroć większej ilości, jak zwykle, i tak wyborny, jakiego dotąd we Francyi otrzymać nie umiano. Minister handlu i rolnictwa wyznaczył z powodu tego specyalną komisyą do rozpoznania wynalazku i traktowania z jego autorem. W tych dniach wreszcie stanął układ, na mocy którego rząd francuski nabył sekret majora Brońskiego; zastrzeżono także w układzie, że jedwabniki, hodowane na nowo odkryty sposób, zwać się będą »de la race Broński«. Naszemu rodakowi i samym sobie winszujemy tego powo-

dzenia; zasługa jego wynalazku, na którą i dziennik Siècle, przedewszystkiem baczący na interesa przemysłu, wielki kładzie przycisk, musiała być wielką, kiedy zdołała przezwyciężyć tak jawną i normalną już teraz niechęć urzędowej Francyi do uznania zasług Polaków. Mieliśmy w tych czasach nowy i smutny dowód tego nieprzyjaznego usposobienia. Akademia tutejsza francuska, która dopiero co wybrała na członka pana Montalemberta dla zasług w literaturze więcej niż problematycznych, przystąpiła także w sekcyi des inscriptions do wyboru honorowego członka na miejsce zmarłego naszego Lindego. Wiktor Hugo, chociaż nie należał do tej sekcyi, starał się jednak wpłynąć na obór nowego Polaka w miejscu zmarłego i wstawił się za Lelewelem. Potrafił też, jak to z bardzo pewnego mam źródła, jednego członka tej sekcyi dla swego tak pod względem politycznym jak naukowym usprawiedliwionego zdania pozyskać, ale też tylko ten jeden członek był za Polakiem: akademia wolała na miejscu Lindego obrać niejakiegoś Hudsona w Kalkucie!!

W środku tego miesiąca pokazał się pierwszy numer Polskiego Demokraty, wychodzącego teraz na nowo po długiej przerwie w Brukseli. Zawiera on artykuł wstępny o obecnym stanie sprawy demokratycznej, dosyć szumnym stylem napisany; dalej okólnik centralizacyi z dnia 10 sierpnia 1850 roku o »akcyach sprawy polskiej«, wypuszczonych w obieg na wzór akcyj sprawy włoskiej Mazziniego, i nekrolog o jenerale Sznajdem z małym ustępem z mowy Mierosławskiego. Ponieważ artykuł wstępny oświadcza, że Demokrata »występuje po staremu«, nie miałbym właściwie potrzeby tu się więcej nad pismem rozwodzić, którego myśl, forma i sposób każdemu są znane. Ale jeden ustęp z okólnika centralizacyi zdawał mi się objawiać trochę zmieniony kierunek, któremu tylko bez ogródki przyklaskiwać umiem i na którybym chciał zwrócić uwagę czytelników Gońca. Ustęp to, który oświadcza, że rozwi-

kłaniem obecnego dylematu jest »dla ludów europejskich wyzwolenie polityczne i socyalne, a dla nas Polaków: narodowość, ojczyzna, rzeczpospolita polska, demokratyczna, cała, niepodległa!« Słowa to piękne i prawdziwe i na taką Climax każden się pisze. Tak jest: dla innych ludów wyzwolenie polityczne i socyalne, dla nas Polaków przedewszystkiem narodowość nasza, którą wszelkiemi siłami utrzymać i podźwignąć musimy, ojczyzna nasza z jej świętemi tradycyami i wielkiemi pamiątkami, których gdy wiernymi będziemy stróżami, odzyskamy i rzeczpospolitą polską, wzniesiemy ją na podstawach ludowych i demokratycznych, ujrzymy ją całą i niepodległą! Że sprawa nasza ściśle ze sprawą wolności, postępu i demokracyi jest połączoną, o tem już teraz wątpić nikomu nie wolno; to wszystko się już da per contradictionem dowieść; dowieść już z tego, że reakcya i monarchizm zawsze wrogiemi dla nas były i teraz solidarnie przeciwko nam się sprzysięgły. Tylko nie mieńmy sprawą wolności tego wszystkiego, co tylko jest sprawą egoizmu i brudnych instynktów; odróżniajmy od myśli szlachetnych i wielkich podłe ambicye niemieckich Polako-żerców, choćby się ci chwilowo i demokratami przezwać mieli; wystrzegajmy się przedewszystkiem od eksperymentowania na naszem zbolałem, rozdartem i rozszarpanem ciele tych niewypróbowanych teoryj, które i tak silny i tak zdrowy organizm jak Francyi do tego stopnia wycieńczyły i zbezwładniły. Dla wolności abstrakcyjnej nie poświęcajmy realnej naszej; dla nowego świata nie zapomnijmy o dawnej Polsce; dla braterstwa ludów nie zaniechajmy Ligi polskiej; dla teoryj socyalnych nie stańmy się nieukami w naszej historyi, literaturze; dla wielkiego zmartwychwstania nie dobijajmy się do reszty .... i powiedzmy to sobie raz na zawsze: dla innych ludów wyzwolenie polityczne i socyalne, a dla nas Polaków przedewszystkiem narodowość, przedewszystkiem ojczyzna, et toutes leurs conséquences... jak to mówią tutaj!!

G. P. nr. 22 z 28 stycznia 1851.

XV.

Paryż, 27 stycznia 1851.

(Adres hr. Telekiego. — Towarzystwo pożyczkowe emigracyi. — Dziennik Siècle o posłach wielkopolskich. — Vote universel o Rosyi. — Praca p. Pimodan. — Dzieło jenerała Lamoricière. — Broszura p. Tołstoja i sąd Revue de deux mondes. — Moskale i moskiewszczyzna w Paryżu. — Dama Pikowa Halevego. — P. Iwanow. — PP. Durand i Yvon. — Polskie dzieła na wystawie paryskiej: panna Szymanowska, Norblin, Stattler, Fajans, Oleszczyński. — Uwaga o illustracyach do Paska.)

Z powodu nieodżałowanej śmierci jenerała Bema, były poseł węgierski, pan hrabia Władysław Teleki wystosował i ogłosił dziś w dziennikach w imieniu emigracyi węgierskiej adres do Polaków, wynurzający wspólny z nami żal Węgrów. »Wspólna boleść narodów nie jestżeż najpewniejszą wróżbą ich wspólnego wyzwolenia?« woła pan Teleki w tym okólniku, pełnym szlachetnych myśli i serdecznych słów, i wzywa nas do uczczenia grobu naszego bohatera wspólnie z Węgrami przysięgą dla wolności i braterstwa ludów; a gdy się uiścim z tej przysięgi, najlepszy i jedynie to będzie godny pomnik dla zmarłego wodza. Kończy zaś pan Teleki temi słowy: »Uważamy to za obowiązek donieść wam, że, nie mogąc w obecnych okolicznościach i w teraźniejszem naszem położeniu dać innego dowodu naszej czci dla pamięci jenerała Bema, postanowiliśmy wspólnie i jednogłośnie przywdziać żałobę na znak głębokiego smutku, w który nas poniesiona pogrążyła strata«. Więc jeszcze jest pamięć dla Polaka? Więc jeszcze jest wdzięczność dla jego usług i zasług? Więc w tych zimnych czasach bezwstydnego samolubstwa pojawiają się jeszcze jednak żywe, szlachetne uczucia, jak te czyste lilie, wyrastające z brudnych bagien?...

Zawiązało się tu u nas towarzystwo pożyczkowe dla emigracyi, którego skutki będą tak piękne, jak myśl, która to przedsięwzięcie natchnęła. Myśl tę powzięły dwie szlachetne Polki, od dawna odznaczające się czynnem i ser-

decznem krzątaniem się koło cierpiących i nieszczęśliwych emigrantów. Towarzystwo to pożycza każdemu potrzebującemu na narzędzia do pracy i do poczęcia pewnej roboty (za zaręczeniem znajomej osoby) na raz 50 do 100 fr., z których się tygodniowo po franku wypłaca. Jaki dobroczynny wpływ wywrze ta instytucya, ten tylko oceni, co zna dobrze położenie i całą biedę naszych emigrantów, których najszczersze chęci i najskuteczniejsze zabiegi nieraz się rozbijają o brak kilkudziesięciu franków, niezbędnych dla każdego, co albo na swoją rękę chce coś przedsięwziąść, albo u doświadczonego majstra znaleść pomieszczenie. Dziwna, że taka nietylko piękna ale i praktyczna myśl założenia małego banku wyszła od płci, której zazwyczaj samą tylko piękność przypisywać chcemy.

Zresztą na polu polityki nic nowego, oprócz, że dziennik Siècle, organ Cavaignaca, w ostatnich czasach mocno powstawał na posłów wielkopolskich, że przez »narodowy egoizm« nie popierają opozycyi pruskiej. Dziennik ten odbierał od swego spółpracownika, pana Jullien, bardzo ciekawe i znajomością rzeczy odznaczające się korespondencye z Berlina. Na nieszczęście, nie zrozumiał on naszego tak anormalnego położenia na sejmie pruskim, i chociaż nieraz przychodziło mu powiedzieć prawdę o całej nieszczerości, hipokryzyi i reakcyjnych dążnościach obecnej opozycyi pruskiej, wyrzucał nam jednak nasze bierne stanowisko w tej całej fałszywej grze, w której ani jednej nie ma kozery dla wolności i Polski. Jeden z rodaków wystosował w tej mierze list do redaktora Siècla, objaśniający cały nasz stosunek do Niemiec, do Prus i pruskiej opozycyi i broniący postępowania naszych posłów, tak pełnego oględności i godności. Ale śmierć nagła redaktora, pana Louis Perré, (która jest prawdziwą stratą dla sprawy demokracyi francuskiej), przeszkodziła natychmiastowemu wydrukowaniu tej reklamacyi, którą potem cofnął piszący, gdyż już było zbyt późno.

Reszta dzienników mało się zajmuje sprawami polskiemi. Tylko Débaty zamieściły w ostatnich czasach dwa artykuły o Polakach w Turcyi, z których pierwszy, noszący widoczne piętno hotelu Lambert, opowiadał sturczenie Czajkowskiego i dosyć zgrabnie cień cały rzucił na dyplomacyą francuską, która naszego rodaka opuściła w potrzebie, a drugi, z łaskawością dla nas w Debatach nie zwykłą, chwalił bardzo zachowanie się polskich wychodźców na wschodzie. Natomiast jest teraz Rosya częstym tematem rozbiorów w dziennikarstwie i piśmiennictwie paryskiem. Vote Universel zamieszcza długi szereg artykułów pod tytułem: »Françya i Rosya czyli bilans przyszłości«. Bilans ten każden łatwo obrachuje, co wie, że dziennik rzeczony zastępuje dawną Reformę i jest organem Ledru-Rollina. P. Pimodan, oficer francuski, który służył w wojsku austryackiem, opisuje w Revue des deux mondes kampanią węgierską i swoją niewolę, ale nie wspomina ni jednem słówkiem o Polakach i Moskalach. Oddaje on pewną sprawiedliwość dobrym i szlachetnym stronom Węgrów, ale w ogóle pisze z takim bałwochwalczym zapałem dla Austryi i z takiem uwielbieniem dla cesarza, tego jedynego cwancygera, który jeszcze jest w państwie austryackiem (jak rozpaczliwa humorystyka wiedeńska nazwała dwudziestoletniego Franciszka Józefa), iż nikt mu kwalifikacyi na współpracownika Czasu zaprzeczyć sumiennie nie może. Jeśli p. Pimodan ustępuje starannie z drogi Moskalom, to znany znowu ze swej śmiałości jenerał Lamoricière wybiera się na nich z dziełem o stanie ich wojska, które (zaręcza) miał sposobność doskonale poznać podczas swego poselstwa w Warszawie i Petersburgu. Widać więc, że junacki jenerał nie tylko w karty tam grać, ale i drugim w karty zaglądać umiał. Mogę z bardzo pewnego źródła zaręczyć, że pan Lamoricière, w jednym z paryskich salonów zapytany o to dzieło, szeroko się rozwodził nad rezultatem swoich poszukiwań, który bynajmniej nie będzie

pożądanym dla Mikołaja. Jenerał bowiem utrzymuje, że wojsko moskiewskie nie może w żaden sposób stawić czoła francuskiemu; że Rosya tylko przez zręczną swoją dyplomacyą tak cięży na sprawach europejskich, i że nic praktyczniejszego zrobić nie można, jak raz zmusić Rosyą, aby zamiast dyplomatów wysłała w pole żołnierzy. W takim razie, utrzymuje francuski jenerał, Rosya się tylko na 200,000 ludzi zdobyćby mogła, po zniesieniu których dopieroby się o Moskwę oparła. Z tych też przyczyn Lamoricière ostro na owym wieczorze osądził krok Görgöja i kapitulacyą jego najnierozsądniejszym czynem nazwał. Tak Francuz, zasługujący pod tym względem na powagę, myśli o Rosyi i kampanii węgierskiej. Jakiż inny natomiast obraz przedstawia nam Moskal, p. Tołstoj, w niedawno ogłoszonej broszurze p. t. »Rélation des opérations de l'armée russe en Hongrie«. Podług p. Tołstoja Rosya jest drugą Palestyną, opływającą, jeśli nie w miód i mleko, to w siły niewyczerpane, w wojsko bez liku, w poświęcenia bez granic, w wiarę bez podobieństwa jakiegobądź zachwiania. P. Tołstoj jest, jednem słowem, zapalonym moskiewskim patryotą na komendę, który widzi w czystym duchu wielkość swego cara, wielkość jego wojska, wielkość ich przeznaczenia, a przedewszystkiem wielkość tej orderowej wstęgi, która autora broszurki czeka! Pocieszny bardzo był sposób, w jaki Revue des deux mondes uczyniła wzmiankę o tym carskim dytyrambie pana Tołstoja. Revue de deux mondes, jak Debaty, jak cała partya guizotowskich »ci devants«, którą te dwa pisma reprezentują, nie ma z natury żadnego nabożeństwa dla Moskwy, nawet nie jest bez pewnej obawy co do wzmagającej się potęgi cara. Ale w tej obawie postępuje ona sobie, jak ten struś, co w strachu przed nadchodzącymi strzelcami zakopuje główkę w ziemię i czeka. Revue des deux mondes, by nie mieć strachu przed Moskalami, postanowiła sobie gwałtem ich nie widzieć i wyrobiła sobie, zupełnie w swym doktrynerskim

i fikcyjno konstytucyjnym duchu, w tej mierze pewną doktrynę i fikcyą, które na tem polegają, aby zwycięstwo nad Węgrami przypisać li tylko Austryakom. Austrya to wszystko sama zrobiła, sama zwyciężyła, sama zniszczyła »demagogią węgierską«, a Moskale właściwie niepotrzebnie tam byli, ot tak dla dekoracyi, jako statyści, jako chór w trajedyi greckiej. Tak już szanowne pismo wyrokowało zaraz po poddaniu się Görgöja, i to samo zdanie powtarza ono teraz naprzeciw panu Tołstojowi, kończy zaś swoje ekspektoracye następnym obłudnym frazesem: »Chociaż nie możemy podzielać zdania szanowego pisarza, niepodobna nam jednak wobec zwątpienia, niewiary, egoistycznego rozstrzelenia, które nas otaczają, nie uznać w narodzie pana Tołstoja tych pięknych przymiotów, godnych zazdrości, które jego pismo nam objawia, tego silnego zaufania, tej głębokiej wiary i tego szlachetnego uczucia solidarności«. Obłuda, nic tylko obłuda!! Jeśliby tym mężom stanu w istocie o te piękne przymioty chodziło, nie szukaliby ich w Rosyi, tylko trochę bliżej, w Polsce! U nas są te piękne przymioty, bez tych wielkich brzydkich rysów, które szpecą Moskwę, a które nikomu nie tajne! U nas są wszystkie te żywotne siły, za któremi wzdycha konserwatywne pismo, bez tej brutalności moskiewskiej, która cywilizacyi i wolności zagraża! U nas jest to zaufanie w sobie, ale bez tej pogardy i nienawiści dla reszty świata, którą tchnie car! U nas jest to uczucie solidarności, ale bez tej psiej podłości, co się korzy przed despotyzmem! U nas jest ta wiara, ale w swojej czystości, w swojej zgodzie z cywilizacyą łacińską, w swojej harmonii z przeszłością i przyszłością, dodatnia a nie ujemna, silna a nie barbarzyńska, budująca a nie obalająca: jednem słowem, ta wiara b e z c a r a!! Jeśli wam w istocie o prawdę chodzi, przyjmijcie ją, nie z rąk silnego siepacza, ale z rąk silniejszego jego męczennika; jeśliście w istocie spragnieni, udajcież się do »życia prądu« a nie do »życia trądu«, jak wielki nasz

wieszcz powiedział; jeśli wam iskry z nieba potrzeba, nie kuźnia czarta wam jej da, da ją wam Prometeusz narodów, któregoście sami do skały przykuli, i, któremu wasze sępy wyjadają wnętrzności!!

Nie tylko w świecie piśmiennym, ale i w salonowym i artystycznym można teraz często w Moskali i moskiewszczyznę natrącić. Pani de Lieven, ta sławna Egerya, u której Numa-Guizot czerpa swe wyroki, rozłożyła znowu swój obóz salonowy w Paryżu, i jest, jak zwykle, ogniskiem wszystkich illustracyj i intryg moskiewskich. Pani Matylda Demidowowa, siostra prezydenta, a w elizejskocesarskim stylu wprost »la princesse Mathilde« nazywana, ma także swój petersburski salonik ze swymi »Kiryłami, Gawryliczami, Kozodusinami«. Wogóle ćma teraz Moskali się spuściła na Paryż i krząta się po wszystkich stronach.

W operze włoskiej przedstawił się publiczności paryskiej znany petersburski śpiewak pan Iwanow. Ale, mimo skłonności niepohamowanej do Moskali i mimo przedwstępnych roztrębywań i reklam o tym »słowiku północnym«, nie obudził najmniejszego dla siebie zapału i prawdziwe zrobił f i a s c o. Widać, że Francuzi nad muzyczne bankowe przenoszą noty z Petersburga i nie bez racyi. Natomiast wielkiego tu doznaje powodzenia w Operze Komicznej: »Dama Pikowa« Halevego, osnuta na życiu moskiewskiem. Sztuka ta nie obraża w niczem polskiego naszego uczucia, bo oddaje wiernie polerowane zepsucie naszych ciemięzców; a biegunami osi, około której się intryga obraca, są te same, jak w prawdziwem wyższem życiu moskiewskiem: kopalnie i ruleta; Połock i Karlsbad; poddaństwo i butwa. Treść do tej sztuki wziął pan Scribe z powieści Puszkina, i tak mało idealizował, że wielu krytyków, zdawając sprawę z tej opery, przytoczyło mimowoli sławne słowa Napoleona: »Grattez le Russe, vous trouverez le Tatare!« Dla uniknienia wszelkich nieporozumień, muszę tu jednak dodać, że, jeśli

pan Scribe nie idealizował Moskali, to nie w dobrych jego intencyach zasługi tu szukać, ale w jego naturze: pan Scribe i z Maryą Malczewskiego nie inaczejby sobie był postąpił, jak z Damą Pikową Puszkina.

W dziedzinie malarstwa Moskale nie występują produkcyjnie, ograniczając się tylko na protegowaniu znaczniejszych artystów z wspaniałomyślnością, która nie jest bez pewnego wyrachowania. I tak n. p. Kniaź Anatol Demidow (mąż księżny Matyldy) poruczył znakomitemu rysownikowi francuskiemu, panu Durand, zeszkicowanie wszystkich piękniejszych okolic Renu, a zbiór tych rysunków ma pan Demidow ogłosić i ofiarować prezydentowi Napoleonowi. Pan Yvon, jeden ze znakomitszych młodszych malarzy i wielki faworyt cara, dał na wystawę tegoroczną wielki obraz historyczny, zrobiony dla Mikołaja, obraz nie bez pewnych zalet, ale w którym energia przechodzi w dziwaczność. Przedstawia on zwycięstwo Moskali nad Mongołami pod Kulikowem w r. 1380. Ciekawy jest dopisek, który malarz dołączył w katalogu obrazów wystawy do notatki objaśniającej tę bitwę. »Działo się to, mówi on, w tym samym roku, w którym na drugim krańcu Europy chrześcianizm ostatecznie odniósł zwycięstwo nad mahometanizmem i wypędził Maurów z Hiszpanii«. Zadrzałem, gdym to przeczytał, bo o mało co nie zwątpiłem o chronologii, którą sobie różnymi sposobami, sposobem Strassa, Reventlova i Jaźwińskiego niegdyś byłem wbił w moją biedną głowę, a która mnie uczyła: że wypędzenie Maurów z Hiszpanii było w roku 1492, a bitwa pod Kulikowem w roku 1380, w którym to roku, nawet lat dziesiątku, nic w Hiszpanii ważnego z Maurami nie zaszło, tak, że ówczesny król Grenady, Abu-Hadżar-Mohamet, mógł się spokojnie oddać kulturze swego kraju. Kwestyą tę chronologiczną śmiem oddać pod sąd akademii archeologicznej w Petersburgu, z zaręczeniem jednak, że, chociaż c h r o n o l o g i a tej historyi nie jest mi dosyć jasną, to natomiast bardzo mi

jest jasną jej filozofia. Pan Yvon w roku przyszłym gotów wystawić obraz bitwy nad Kałką, z uwagą, że w tym samym roku Moskale obronili Wiedeń przed Turkiem!!

Polacy, nie protegujący i nie protegowani, dziś jak dawniej stawili swój roczny kontyngent do wystawy dzieł sztuki w Paryżu. Spostrzegam właśnie, że szanowny kolega Norwid mnie w tej mierze swoim feletonem wyprzedził;[1]) miło jednak będzie rodakom jeszcze drugi raz usłyszeć o naszych pracach tutaj, zwłaszcza, że niektóre słowa Norwida mogą dać miejsce do nieporozumień. Szanowny n. p. feletonista w trochę szrubowany sposób nazwał obraz panny Szymanowskiej »Matką Polką«, pod którą nazwą każden nie wtajemniczony mógłby upatrywać jakieś malarskie upostacienie owej krwawo ironicznej pedagogiki, którą znany wiersz pod tym tytułem nam przekazał; gdy tymczasem obraz, o którym mowa, przedstawia po prostu panią Adamową Mickiewiczową z dwiema córkami, i żadnej innej pretensyi nie ma, jak tylko być portretem, portretem ożywionym wprawdzie pewnym wyrazem tej naiwnej smętności, tem tak szczytno-skromnem piętnem bólu, które każda nasza niewiasta nosi na dumnem swem czole sieroty! Cokolwiekbądź, portret ten można śmiało zaliczyć do lepszych wystawy, i po tej próbie wielce sobie z talentu naszej rodaczki rokować możemy. Panna Zofia Szymanowska bawi dopiero od kilku miesięcy w Paryżu i poświęca się muzyce i malarstwu. Jak pani Mickiewiczowa, jest ona córką sławnej Maryi Szymanowskiej, której genialna gra na fortepianie zachwyciła starego Goethego w Karlsbadzie i natchnęła do pięknego wiersza (an Marie Szymanowska) i do piękniejszych jeszcze słów, które nam Eckermann w swoich Rozmowach z Goethem przechował. Dwa inne dzieła naszej młodej ma-

[1]) C. K. Norwid. »Z Pamiętnika.« Goniec Polski, nr. 17 z d. 22 stycznia 1851, str. 66.

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 5
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

larki, zapowiedziane w katalogu, jeszcze nie wystawione, również jak Kwiatkowskiego Ostatnie chwile Chopina, które także tylko z katalogu dopiero znamy. S. Norblin, syn sławnego naszego malarza z czasów Stanisława Augusta, laureat 1-ej klasy, dał obraz św. Jana. Tysiewicz tą razą nie próbował szczęścia; zrażony pewno niepowodzeniem św. Piotra na przeszłorocznej wystawie. J. P. Falęckiego próżnośmy szukali w szeregu konkurujących rodaków. Natomiast dał pan Fajans z Warszawy rysunek dyktatora Chłopickiego, a 15-letni Stattler popiersie tego jenerała, o którem, jako i uczczeniu jego przez dyrektora muzeów p. Niewerkerke, Goniec w swoim czasie już był doniósł. Pan Antoni Oleszczyński dał wybór swoich pięknych rytów do Albumu Wileńskiego pod tym trochę pretensyjnym tytułem: »Gravures d'après les anciennes peintures de l'école du Nord«. Więcej niż to, razi, że pan Oleszczyński jedną swoją etiudę dedykował panu Utkin, dyrektorowi szkoły sztuk pięknych w Petersburgu!! Pan Oleszczyński zażądał i otrzymał amnestyą; o to się z nim rozprawiać nie będziemy; zostawiamy to jego sumieniu wychodźca. Ale tego publicznego afiszowania dedykacyi dla Moskala mógł pan Oleszczyński i sobie i nam zarówno oszczędzić. Skromny Lewicki nie dał swoich robót na wystawę, chociażby i jemu i jej honor przyniosły.

Ponieważ wspomniałem o Lewickim, pozwolę sobie kilka uwag do uwagi szanownego Norwida nad illustracyami do Paska[1]), zwłaszcza, że sam, jeśli się nie mylę, w jednej korespondencyi oświadczyłem się przeciwko formatowi obranemu przez naszego genialnego rytownika[2]). Norwid przypomina, że dla wniebowzięcia Tycyana Wenecyanie osobny, wielkości obrazu odpowiadający kościół

[1]) C. K. Norwid. »Z Pamiętnika«. Goniec Polski, nr. 17 z 22 stycznia 1851, str. 66.

[2]) Była o tem w Gońcu Polskim przygodna wzmianka, zob. nr. 8 z d. 11 stycznia 1851, str. 30.

wystawili. Prawda. Ale dla arabesków, choćby watykańskich Rafaela, tegoby nie zrobili! Jak w życiu tak i w sztuce tylko stosownie do naszych wewnętrznych warunków możemy stawiać zewnętrzne. Madonna Sykstyńska ma osobną ścianę; nie mają i nie powinni jej mieć Teniers lub Ostade. Illustracya wszelka jest z natury swej podrzędną; zawisłą od tego, co illustruje; nie żąda samoistnego znaczenia, łatwo poczętą musi być i łatwo pojętą; lekka w duchu, powinna nią być i w formie. Tego prawidła przestrzegali tak Giulio Romano jak Flaxman, Chodowiecki jak Kaulbach, a Norwid to lepiej wie odemnie. Pasek chce być łatwo czytanym i łatwo illustrowanym. Illustracye Paska grand in folio tak samo razić muszą, jakby raziły niezawodnie i same jego Pamiętniki wydane in folio; i tu, jak i tam, wrażenie by było w dysproporcyi z zachodem. Ryciny Lewickiego tem bardziej pod tym względem grzeszą, że na jednej karcie zawierają kilka przedmiotów, tak, że nawet materyalnej potrzeby tego wielkiego formatu człowiek nie widzi, a przez tę mnogość wrażeń naraz i na jednej karcie rozstrzela się myśl i nie może przyjść do pewnego skupienia, dla każdego dzieła sztuki niezbędnego. Mówię to wszystko ze wszelkim szacunkiem dla znakomitego talentu pana Lewickiego i kompetentnego sądu drogiego kolegi Norwida.

G. P. nr. 26 z 1 lutego 1851.

Uwagi Klaczki o naukowej niezwykłej doniosłości poszukiwań i odkryć Ludwika Jastrzębskiego w archiwach watykańskich (zob. wyżej korespondencya nr. XIV, strona 95—97) wywołały najpierw ogłoszony w Gońcu polemiczny artykuł p. t.: Suum cuique, którego autor podpisał się literami S. M. Z listownych wynurzeń Klaczki dowiadujemy się, iż poza literami S. M. ukrywał się zasłużony historyk poznański, Józef Łukaszewicz. Na łamach Gońca Polskiego wywiązała się stąd pomiędzy pa-

ryskim korespondentem tegoż pisma, Julianem Klaczką, a poznańskim kontradyktorem jego, Józefem Łukaszewiczem, nader ożywiona, obustronnie z nie małą osobistą zawziętością prowadzona polemika, do której w dalszym ciągu wmięszał się także redagowany przez Jana Koźmiana Przegląd Poznański. Następowały jedna po drugiej żwawe i cięte repliki i kontrrepliki, które tu wszystkie, nie wyłączając artykułów Przeglądu Poznańskiego, dla wszechstronnego wyrozumienia tego w swoim rodzaju niezmiernie ciekawego turnieju literackiego, w kolejnym porządku ogłaszamy. Ludwik Jastrzębski, uczony paleograf i pracowity badacz historyczny, urodzony 1805 na Wołyniu, odebrał sobie życie w Rzymie 1853 r.

(Od wyd.)

Suum cuique.

Korespondent paryski donosi Gońcowi (patrz nr. 22 tego pisma) o wielkich odkryciach pana Jastrzębskiego w Rzymie, licząc do tych odkryć pomniki piśmienne watykańskie, odnoszące się do dziejów Polski, tudzież kościół polski w tej stolicy chrześciaństwa. Pięknie, owszem chwalebnie jest, że pan Jastrzębski czasu i zdolności swoich nie tyra, jak wielu z ziomków naszych w emigracyi, na próżnowaniu; że śledzi pilnie za granicą pomniki ojczyste; ale wybaczy nam korespondent paryski Gońca, gdy mu powiemy, że pan Jastrzębski nic nowego do dziejów Polski w Rzymie nie odkrył i odkryć nie mógł, bo te mniemane jego odkrycia już są bardzo dawno odkryte, i przez Garampiego, kardynała a niegdyś nuncyusza w Polsce, dokładnie spisane. Jeszcze za panowania Stanisława Augusta uczony Albertrandy, z polecenia króla i wsparty jego protekcyą, zwiedził archiwum watykańskie i z niego i z innych archiw (!) rzymskich zrobił wyciągi na kilkaset pisanych arkuszy. Użył część tych wyciągów do swojej historyi Naruszewicz. Po Albertrandym zrobiono z archiwum watykańskiego takie same wyciągi rzeczy polskich i ruskich dla kanclerza rosyjskiego Rumiancowa. W nowszych czasach profesor Schulz z Lignicy, kosztem niezgasłej pamięci hr. Edwarda Raczyńskiego, wyjął z archiwum watykańskiego wszystko, co się dziejów Polski tyczy, aż do 16go wieku, Toż samo zrobił przed kilku laty hrabia Aleksander Przeździecki i owoc poszukiwań swoich drukiem ogłosił. Nic więc nowego, skądinąd nieznanego, do historyi polskiej na Watykanie pan Jastrzębski odkryć nie mógł, a my z doświadczenia dodać możemy

śmiało, że pożal się Boże jego pracy, bo materyały watykańskie do dziejów Polski tak są szczupłe, tak mało ważne, że najlichsze archiwum katedralne w kraju daleko więcej od niego wątku nowego do dziejów ojczystych dostarczy. Ważniejsze rękopisma archiwum watykańskiego, odnoszące się do dziejów polskich, już są drukowane w bularyach, w Raynaldzie, w rozmaitych dziełach Bzowskiego, w Wadingu, Somersbergu i t. d. Niektóre nawet, jak n. p. Cilly o powstaniu kozaków za czasów Jana Kazimierza, w włoskim języku wyszły osobno z druku.

Co się tyczy kościoła polskiego w Rzymie, przez pana Jastrzębskiego świeżo z niepamięci, jak korespondent paryski Gońca mówi, odgrzebanego, nie wiemy prawdziwie, co powiedzieć. Kościół ten znanym jest w kraju naszym nietylko literatom, ale każdemu duchownemu, każdemu oświeceńszemu człowiekowi. Założył go Stanisław Hozyusz roku 1570 przy ulicy delli Pollacchi, uposażyła go Anna Jagiellonka; za panowania Stanisława Augusta zbierano po dyecezyach polskich składki na restauracyą jego, a za czasów kongresówki rząd polski wyłożył blisko 200,000 złotych polskich na odzyskanie nieruchomości jego, utraconych w czasie wojen francuskich na schyłku wieku zeszłego. Zresztą świątynią tę i jej losy opisuje obszernie Rocznik instytutów religijnych na rok 1826/27 strona 189—191. Jeżeli takie tylko odkrycia pan Jastrzębski w Rzymie robi, to pozwolimy sobie zapytać go: czy w tem mieście nie odkrył także kościoła św. Piotra i Pawła?

S. M.

G. P. nr. 24 z 30 stycznia 1851.

XVI.

Odpowiedź panu S. M. [1])

»Tretet nicht so mastig auf...«
Faust.

Doniesienie moje o pracach i odkryciach p. Jastrzębskiego znalazło tak dziwnego, tak z siebie zadowolnionego kontradyktora w szanownym p. S. M., że niepodobna mi tej całej sprawy przepuścić pobłażającem milczeniem. Czytelnicy Gońca raczą mi łaskawie wybaczyć, że tą razą lekkie pióro korespondenta zamieniam na ciężki rylec

[1]) Odpowiedź ta odnosi się do korespondencyi paryskiej w Nr. 22 Gońca z r. b. i do artykułu nadesłanego pod napisem: Suum cuique, w Nr. 24 Gońca. (Przyp. Red.)

erudycyi, i w miejscu nowin dziennych podaję dysertacyą o starych, spleśniałych rzeczach. Nie moja w tem wina: muszę odpierać tą samą bronią, którą mnie zaczepiono; chociaż to zardzewiała i niezbyt lśniąca broń. »Tu l'as voulu Georges Dandin!« Muszę też tu z góry przeprosić p. Jastrzębskiego, że bez jego upoważnienia, i bacząc tylko na egoistyczny interes zgłodniałego korespondenta, pozwoliłem sobie rozgłosić przed światem rezultata poufnej i przyjacielskiej rozmowy. Żałuję tego tem bardziej, że p. Jastrzębski, ze stoiczną rezygnacyą, na jaką się tylko stary paleograf zdobyć może, żadnej nie ma ochoty wystąpić w swojej i mojej obronie, i woli zostawić wszystko czasowi, który wszystko wyświeci. Tak więc zostawiony jestem własnym wątłym siłom, ale niech się łaskawy czytelnik (w którym ze zwykłą pisarzom próżnością śmiem podejrzywać pewną dla mnie i o mnie troskliwość) zbytecznie o mnie nie boi. Jakkolwiek wątłemi są me siły, wystarczą one jeszcze przeciwko panu S. M., a, jeśli rozgniewany Achilles nie spieszy na teraz w pomoc Patroklowi, to tylko dlatego, że wie, iż nie z Hektorem ma do czynienia....

Szanowny p. S. M. oświadcza, iż tylko może powiedzieć: »pożal się Boże pracy p. Jastrzębskiego!« Ja na to mogę tylko odpowiedzieć: »pożal się Boże żalowi pana S. M.!« Kontradyktor mój nie wierzy, aby pan Jastrzębski mógł coś ważnego i nowego w archiwach watykańskich dla naszej historyi odkryć, a to z trzech powodów: 1) że materyały watykańskie nic wielkiego i ważnego do dziejów Polski nie zawierają, słowem, że w nich (risum teneatis!) nic nie ma; 2) że mniemane odkrycia p. Jastrzębskiego są już bardzo dawno odkryte i przez kardynała Garampiego »dokładnie spisane«; 3) zaś, że ś. p. Albertrandy, a później Schulz i Przeździecki »wyjęli z archiwum watykańskiego wszystko, co się dziejów Polski tyczy«. Wszystkie te trzy argumenta po kolei wyświecę i pokażę, że tylko dlatego tak głośne, bo wewnątrz próżne.

Pierwszy argument pana S. M. jest prawdziwie zadziwiający swoją śmiałością. Kto tylko raz w życiu miał sposobność poznać istotę bibliotekarskich i archiwowych poszukiwań, ten raz na zawsze będzie to sobie miał za prawidło, zaręczać tylko, że, co widział w pewnym zbiorze, jest, nigdy zaś albo przynajmniej bardzo a bardzo rzadko będzie śmiał powiedzieć, że czegoś niema, a najmniej się na takie dictum odważy badacz polskich i słowiańskich rzeczy, na których w świecie zachodnim tak mało się znają, dla ocenienia których najuczeńszym nawet konserwatorom i archiwistom zbywa prawie zawsze na zamiłowaniu i wiadomościach. Pozwolę sobie przytoczyć przykład z własnego mego, tak młodego jeszcze doświadczenia. Byłem przez rok urzędnikiem wielkiej narodowej biblioteki w Paryżu, i więcej, niż kto inny, miałem sposobność poznać wszystkie materyały słowiańskie, które biblioteka zawiera; bo nie tylko miałem pod ręką zawsze wielki katalog, (którego bardzo rzadkim tylko i zaleconym udzielają), ale miałem nadto w każdej chwili, jako urzędnik, wolny przystęp do samychże składów, do samych szaf; przeszedłem całą literę M, Y i G, (pod któremi literami mogła się mieścić historya, geografia, literatura, statystyka polska i słowiańska), biorąc każdą osobną książkę osobno do ręki. Słowem, miałem wszystkie środki, nie miałem żadnych przeszkód... Zdaje się, że w takim stanie rzeczy mógłem był powiedzieć, że mniej więcej znam wszystko, co biblioteka w sobie dla nas ciekawego zawiera, że przynajmniej wiem wszystko, co jest najważniejszego... któżby o tem śmiał wątpić? — niezawodnie nie pan S. M., który tak mało o sobie wątpi!... Otóż, razu jednego, trafem, czystym przypadkiem, zabłąkałem się do tych sal biblioteki, w których dzieła wschodnie złożone. Trafem, czystym przypadkiem, zajrzałem do jednej szafy, od niechcenia wydobyłem pierwszą lepszą książkę wschodnią, i ledwie oczom wierzyć mógłem: ta książka wschodnia była po prostu w języku słowiańskim!... Ten przypadek zachęcił

mnie do dalszych szperań i pokazało się, że to nie jedyna była książka słowiańska, która ten prawdziwie frankfurcki miała »pociąg do Wschodu«. I proszę uważać, że coś podobnego zaszło z książkami drukowanemi, na których się daleko łatwiej poznać, które daleko łatwiej uporządkować... Cóż dopiero się dzieje z rękopismami, z ulotnemi ćwiartkami, umieszczonemi nieraz tam, gdzie ich nikt nie szuka, gdzie znalezione nawet, długo, długo czekają, nim się kto na nich pozna! Habent sua fata libelli! A wie pan S. M. np. o receptach Marcella Burdigalensis z V. wieku, które tutaj się w bibliotece znajdują, które tysiąc uczonych widziało, przepisywało, a w których dopiero przed dwoma laty sławny Jakób Grimm odkrył, że, oprócz lekarsko-łacińskich, jeszcze inne, obcym językiem pisane zawierają słowa, które to obce słowa są iryjskie, i które to odkrycie obala na raz cały system Guizota, Micheleta i t. d. o rasach, zamieszkałych w Gallii przed przyjściem Franków? A słyszałże p. S. M. np. o tem, że w tych tyle razy już i przez ludzi, jak Pertz, Lappenberg i t. d. przeglądanych i zbadanych archiwach magdeburskich młody profesor Waitz przed rokiem odkrył formułę zaklęcia, na której się nie spostrzegł żaden z jego poprzedników, a która jest nie mniej i nie więcej, jak najdawniejszym zabytkiem pogaństwa Niemców? a ten Texte du sacre, który tak długo leżał niepoznany w Rheims, który nie zwrócił uwagi takich wielkich uczonych i takich gruntownych paleografów, jak Montfaucon i Mabillon, o którym nikt nie myślał, żeby był słowiańskim, aż raz, trafem, Piotr W., zwiedzając Rheims i widząc ów Texte, zdziwił się, że coś tak podobny do cerkiewnego pisma; któremu nawet i ten traf nie posłużył, bo i potem jeszcze blisko półtora wieku w zapomnieniu leżał, przez p. Strojewa gruziańskim kodeksem nawet ogłoszony został, aż dopiero p. Jastrzębski pierwszą o nim prawdziwą dał wiadomość, z której korzystali uczeni czescy? A wie p. S. M., że p. Jastrzębski pokazał mi w bibliotece tutejszej rękopism w runach skandynawskich, którego nikt

czytać nie potrafił, a to z tej prostej przyczyny, że te runy skandynawskie ukrywają słowiański język, że to książka słowiańska, pisana skandynawskimi runami?!! Żałuję, że p. S. M. o takich i podobnych rzeczach nie wie; inaczej nie byłby tak pohopny z oświadczeniem, że w archiwach watykańskich nic nam już do śledzenia nie pozostaje, nawet gdyby to tak pewną było rzeczą, że kardynał Garampi zbiory watykańskie »dokładnie spisał«, a ś. p. Albertrandy i Schulz i Przeździecki wszystkie materyały, nas się tyczące, z archiwum »wyjęli«. Ale przypatrzmy się bliżej i tym argumentom.

Całą swoją erudycyą o kardynale Garampim czerpa pan S. M. z broszurki p. Przeździeckiego, którą i ja mam pod ręką; ale mam ja jeszcze i coś lepszego, mam kopią przedmowy i dedykacyi Garampiego do swego dzieła, z których sobie pozwolę kilka ustępów przytoczyć, a z góry już panu S. M. powiadam: »Nie ma za co«, bo mi niezawodnie podziękuje za to, że się odemnie dopiero dowie, co to jest właściwie owe dzieło Garampiego, którem siebie i mnie tak niepotrzebnie straszy. A nasamprzód trzeba wiedzieć panu S. M., że Garampi pracę swoją wykonał nie w archiwum watykańskiem, ale w Warszawie, i że spisane tam w alfabetycznym porządku materyały do historyi naszej, nie z archiwów watykańskich, ale najwięcej z książek drukowanych, i z książek w Polsce drukowanych, są zebrane, jak to sam kardynał w rzeczonej przedmowie wyznaje:

»Eodem tamen tempore perscrutandam quoque »mihi duxi polonicarum Ecclesiarum veterem recentiorem- »que disciplinam, eoque consilio statuta antiqua et nova »provinciae Gnesnensis et constitutiones synodales a Karn- »kovio primum anno 1579 collectas evulgatasque studiose »accurateque pervolvi; voluissem equidem integra ea syno- »dorum acta perscrutari, quorum notitiam nobis dederat »clar. vir, de ecclesia ac gente Polonica optime meritus »mihique, dum viveret, amicissimus Josephus Andreas

»Zaluskius, episcopus Kijoviensis, qui conspectum novae »collectionis Legum Ecclesiasticarum Poloniae, seu Syno- »dicon Poloniae Orthodoxae an. 1744 evulgaverat in 4°, »sed quo tempore is per maximum scelus captivus »detinebatur a Moschis etc. etc.«

A w drugiem miejscu:

»Servato igitur temporum ordine, antiquiores scripto- »res, qui de rebus polonicis tractarunt, nempe Martinum »Gallum, Vincentium Kadlubkonem, Boguphalum, Archi- »diaconum Gnesnensem, ac praecipue Joannem Dlugossum »arripui, attente perlegi et, quidquid Ecclesiarum illarum »historiam et disciplinam attingeret, in mea adversaria (!) »referre non omisi.«

Karnkowski więc, Załuski, Gallus, Kadłubek, Boguchwał, archidyakon gnieźnieński, Długosz: oto, według samego wyznania Garampiego, główne źródła jego pracy, nie zaś archiwa watykańskie!... Bo też Garampiemu nie chodziło o to, aby powiedzieć Polsce, co dla niej jest w Rzymie, ale Rzymowi, co dla niego jest w Polsce, jak to znowu sam w dedykacyi do Piusa VI. powiada:

»Quae igitur apud diversos historicos aliosque »de rebus polonicis ac praecipue Ecclesiasticis dispersa et »involuta celantur, ea in praesenti opere pro utilitate »Romana a me proferuntur in medium.«

To wszystko nie zmniejsza w niczem wielkiej wartości mozolnego dzieła Garampiego, którego ogłoszenia drukiem najgoręcej wszyscy życzymy. Ale to tylko dowodzi, że spis Garampiego nie jest alfą i omegą historyczną bibliografii polskiej. Wolno panu S. M. mniemać, że przejrzenie Garampiego przez p. Przeździeckiego wszelkie dalsze poszukiwania uczyniło niepotrzebnemi i bezskutecznemi; ciekawszy i troskliwszy pod tym względem pan Jastrzębski na tem nie zaprzestał, i wdzięczni mu tylko za to być winniśmy. Bo rezultatem tych badań jest, że Garampi, pomimo czynionych wzmianek o niektórych dokumentach, należących do zbioru aktów nuncyatur rzymskich w Polsce,

nie objął nawet tysiącznej części tego niewyczerpanego źródła do historyi polskiej, niewyczerpanego, mówię, bo ten ogrom dokumentów, zawierający wszystkie akta, które nuncyusze rzymscy w Polsce od Grzegorza XIII aż do trzeciego rozbioru naszego kraju za powrotem do odwiecznego miasta z sobą zabierali i do archiwum watykańskiego składali, nawet dotąd jeszcze nie jest skatalogowany. Akta te, tylko chronologicznem następstwem składane, które jeszcze prawie nietknięte, i które wedle zdania pana Jastrzębskiego kilkudziesięciu kopistów ledwie w lat kilkanaście by potrafiło w całości skopiować, wszystkie te akta objął pan S. M. swojem orlem okiem z góry patrząc, i śmiało oświadczył, że nic nie było i nic nie będzie!! O erudycyo!!

Ale odpowiada na to pan S. M.: przecież ś. p. Albertrandy, a później Przeździecki i Schulz »wyjęli z archiwum watykańskiego wszystko!« Nasamprzód, gdyby ci uczeni robili nawet poszukiwania w samych archiwach watykańskich, nie przeszkodziłoby to w niczem (jakem już na samym wstępie wyłożył) innemu, odkryć po nich jeszcze materyały, przez nich zaniedbane lub niepostrzeżone.[1]) Ale gdzież to Albertrandy powiedział, że pracował w archiwach

[1]) Z Albertrandym jeszcze zachodzi ten stosunek, że nie sam wydał wszystko, co zebrał, że dopiero Moskal Turgeniew z pozostałych po nim tek ogłosił znany swój Codex diplomaticus. Turgeniew sam zaś w przedmowie naiwnie wyznaje, że wiele dokumentów zebranych przez Albertrandego opuścił, bo były mniej ważne, ściągały się n. p. do stosunków kościelnych Rusi!! Dokumenta te, mniej ważne dla Moskala, są niezawodnie bardzo ważne dla nas. Jeszcze przed rokiem, czytając Turgeniewa i dowiedziawszy się, że jeden z tutejszych naszych uczonych rodaków pisze o stosunkach kościelnych Rusi, uprosiłem szanownego mego przyjaciela p. Karola Królikowskiego, aby zwrócił uwagę piszącego na to matactwo Turgeniewa. Zwróciłem też na to uwagę szanownego księdza Terleckiego. Gdyby więc ś. p. Albertrandy w istocie był zwiedził archiwa watykańskie i gdyby był z nich »wszystko wyjął« (i proszę uważać, co to za monstrualne »gdyby«), pozostałoby tam jeszcze Polakowi »odkryć odkryte rzeczy«, jak się ironicznie wyraża pan S. M., pozostałoby znaleść to, co wprawdzie już znalazł Albertrandy, ale co, jako »mniej ważne«, opuścił Turgeniew.

watykańskich? Gdzież to powiedział pan Przeździecki? Schylam czoło przed pełnem czci imieniem zenopolitańskiego biskupa, oddaję należną pochwałę zabiegom pana Przeździeckiego, jednakże widzę się zmuszonym powiedzieć panu S. M., że bez żadnego dowodu i powodu przypisuje im badania w archiwach watykańskich. Byli oni, jak był pan Schulz, jak był p. Ranke, jak było wielu innych u archiwisty, który im udzielał dokumentów, jemu znanych; lecz że ten tysiącznej nawet części archiwów dla braku katalogów nie zna, a w tak ogromnym zbiorze woluminów, pergaminów i papierów skrupulatnie i pilnie bez osobliwego zamiłowania w przedmiocie szukać nie może, stąd wynika, że wymienieni poszukiwacze otrzymali to tylko, co było, że tak powiem, na wierzchu archiwów, i co im było dane. Pan Jastrzębski zaś otrzymał to, czego sam chciał, i za czem sam śledził, bo nie był tylko u archiwisty, ale w archiwach. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, prace Albertrandego, nieoszacowanej zawsze wartości, dokonane były po większej części w bibliotece watykańskiej i w innych publicznych i prywatnych bibliotekach Rzymu. Facsimile przynajmniej sławnego listu Grzegorza VII. do Bolesława Śmiałego z r. 1075, które p. Jastrzębski zdjął z oryginalnego, w archiwach przechowanego tekstu regestrów papieskich, porównywane z tekstem drukowanym w kodeksie Turgeniewa a wyjętym z teki Albertrandego, dowodzi swoimi waryantami, że Albertrandy oryginału pod ręką nie miał, ale zdjął kopią z błędnej kopii tego listu, znajdującej się w bibliotece Corsini. Po tak smutnych próbach erudycyi, które dał szanowny pan S. M., nie zażąda on odemnie, abym własnym nie wierzył oczom!!

Pan S. M. w końcu żartuje sobie z odkrytego kościoła, myśląc, że to kościół św. Stanisława, o którym już dawno ksiądz prawił z ambony.... Otóż mogę panu S. M. w sekrecie powiedzieć, że, oprócz tego kościoła św. Stanisława, jest jeszcze drugi dawny kościół polski N. P. Maryi Żyro-

wickiej (fundacyi litewskiego obywatela Sołtana), w którym pan S. M. nie tylko znaki, orły, pogonie i pamiątki polskie by znalazł, aleby mógł nawet napotkać księży polskich, bibliotekę polską, obrazy królów i wielkich mężów polskich.... i niech pan S. M. tylko znowu nie myśli, że tu mowa o kościele burgundzkim, w którym teraz nasi księża Zmartwychwstańcy odprawiają nabożeństwo w Rzymie. W owem mojem doniesieniu, z którego tak wygodnie sobie żartuje pan S. M., ani o kościele św. Stanisława ani nawet o tym N. P. Maryi Żyrowickiej mowy nie było. Pan S. M. może o tem nie wiedzieć, jak i o wielu innych pamiątkach polskich, znajdujących się w Stambule lub Madrycie. Może i to się wyda śmiesznem panu S. M., że pan Jastrzębski znalazł w Rzymie dzisiejsze miejsce spoczynku ramienia św. Wojciecha, ofiarowanego niegdyś cesarzowi Ottonowi III przez Bolesława Chrobrego w Gnieźnie?... Habeat sibi!

Żal mi, prawdziwy żal, że się pan S. M. tak niepotrzebnie ze swoją erudycyą skompromitował. Pociesza mnie tylko ta myśl, że skoro pan Jastrzębski wystąpi publicznie ze swymi dokumentami, pan S. M., jako dobry Polak i amator polskiej historyi, pierwszy przyklaskiwać będzie pracy, o której teraz, idąc torem tak licznych niestety u nas proroków, tak przed czasem i nie w czasie tak smutne i fałszywe dał proroctwo!

Korespondent paryski Gońca.

G. P. nr. 36 z 13 lutego 1851.

Słów kilka na odpowiedź korespondenta paryskiego, umieszczoną w Gońcu, numerze 36.

»A nie rozwodząc się w słowach uczenie,
Ani cytując Szkotów i Bartolów,
(Pocóż tak zbytne głowy zaprzątnienie?)
Zaczął od rzeczy Hidaspów, Paktolów.«

Krasicki.

Korespondent paryski Gońca, donosząc w numerze 22 tego pisma o odkryciach i wynalazkach emigracyi naszej we Francyi, powiedział między innemi i to o panu Jastrzębskim: »Szczęśliwem natchnieniem wie-

dziony, udał się do Rzymu i pierwszy z Polaków uzyskał pozwolenie zwiedzenia archiw (!) watykańskich. Jakie tam skarby pan Jastrzębski dla historyi polskiej odkrył, łatwo każdy odgadnie, co tylko sobie pobieżnie pomyśli, że Polska przed XVI wiekiem jedynym prawie tylko węzłem była z zachodem połączona, węzłem łacińskiego kościoła. Pan Jastrzębski odkrył tam nieoszacowane materyały do historyi kościoła naszego, do czasów Kazimirza Mnicha, Władysława Jagiełły i t. d.« I niżej: »Do najpiękniejszych rezultatów topograficznych poszukiwań pana Jastrzębskiego policzyć trzeba odkrycie kościoła polskiego, przez dawnych naszych królów w Rzymie utrzymywanego, a o którym później wszelka zaginęła tradycya«.

Ujmując się za sławą mężów naszych uczonych, należących do owej małej liczby w rzeczypospolitej nauk rodaków, których imię głośne poza granicę kraju wybiegło, jakimi byli Bzowski, Albertrandy i kilku innych, co dawno, bardzo dawno mniemane odkrycia watykańskie pana Jastrzębskiego odkryli, zwróciłem na to uwagę publiczności w nr. 24 Gońca, utrzymując, że po Bzowskim, a mianowicie zaś po Albertrandym pan Jastrzębski nic nowego do dziejów Polski na Watykanie nie odkrył i odkryć nie mógł. To sprostowanie omyłki widocznej, zamiast ucieszyć korespondenta paryskiego z tej miary, że przodkowie nasi już od niepamiętnych czasów o dzieje, pomniki i rzeczy ojczyste byli dbałymi, wyszukując je po całej Europie, to sprostowanie, powtarzam, zamiast ucieszyć korespondenta paryskiego, poruszyło jego żółć do najwyższego stopnia. W numerze 36tym Gońca zżyma się na mnie, łaje nie pomału, urąga się z biednej erudycyi mojej, miece mi w oczy recepty Marcella Burdigalensis, Grimma, profesora Waitza, Texte du sacre w Rheims, jakieś runy skandynawsko-słowiańskie; niedość na tem: wprowadza na harc przeciwko mnie bohaterów Troi i Hellady, a wszystko to, aby dowieść, że pan Jastrzębski pierwszy z Polaków przedarł się do wnętrza archiwum watykańskiego; że w niem odkrył niesłychanie ciekawe, nikomu nieznane dotąd rzeczy, odnoszące się do dziejów Polski, że odgrzebał nieznany nikomu z żyjących Polaków kościół polski w Rzymie.

Mniejsza o kościół, bo korespondent paryski Gońca, mówiąc: że ani kościoła św. Stanisława, ani Panny Maryi Żyrowieckiej w pierwszej korespondencyi na myśli nie miał, sam nie wie, co za kościół polski pan Jastrzębski w Rzymie odkrył. Nie będziem się więc z nim o kościół swarzyć, ale przystąpimy zaraz do rzeczy głównej, to jest do kwestyi:

1) Czy pan Jastrzębski pierwszy z Polaków, jak korespondent paryski utrzymuje, przedarł się do wnętrza biblioteki i archiwum watykańskiego?

2) Czy mógł w niem co nowego a ważnego i dotąd nikomu z Polaków nieznanego do dziejów narodowych odkryć?

3) Czy archiwum watykańskie zawiera istotnie tak ważne materyały do dziejów Polski?

Co do 1-go. Już temu chwała Bogu 250 lat dobiega, kiedy z upoważnienia Pawła V. Bzowskiemu, prowadzącemu dalej roczne dzieje kościelne Baroniusza, archiwum i biblioteka watykańska stały otworem: »Ad eum modum, mówi sam, tantis et tam magnis auspicibus ad commentandum erectus, Archivi et Bibliothecae Apostolicae recondita monimenta perscrutari et ex his Ecclesiasticae rei illustrandae pleraque eruere coepi etc.« Bywał więc i to przez lat wiele i codzień po kilkanaście godzin w archiwum watykańskiem na 250 lat przed panem Jastrzębskim.

Albertrandy wysłanym został do Rzymu przez króla Stanisława Augusta z listownemi poleceniami tego monarchy, prymasa i innych znamienitych w kraju osób, do papieża, kardynałów i urzędników archiwum i biblioteki watykańskiej. Czy korespondent paryski Gońca sądzi, że Albertrandemu, opatrzonemu w listy rekomendacyjne od króla i w znaczne fundusze, trudniejszym był przystęp do Watykanu, niż panu Jastrzębskiemu, emigrantowi, pozbawionemu wszystkich tych pomocy i tak potężnej protekcyi? Był więc i on niezawodnie wewnątrz archiwum watykańskiego, na wiek blisko przed panem Jastrzębskim.

O nowych zwiedzaczach polskich archiwum watykańskiego zamilczam, nie chcąc rzeczy nudnej z samej siebie robić nudniejszą rozwlekłością.

Co do 2-go. To jest, czy po Baroniuszu, Raynaldzie, bullaryach, pisarzach historyi rozmaitych zakonów, Albertrandym itd. pan Jastrzębski co nowego do dziejów Polski, mianowicie zaś do historyi kościoła polskiego, do czasów Kazimierza Mnicha i Władysława Jagiełły na Watykanie mógł odkryć, niech mi korespondent paryski pozwoli o tem wątpić. Znana całemu światu tak Bzowskiego jak Albertrandego niezmordowana niczem pilność i głęboka nauka. Pierwszy do olbrzymiej pracy swojej Rocznych dziejów kościelnych i do pomniejszych pism o zakonie dominikańskim czerpiąc z archiwum watykańskiego, nie pomijał w niem najmniejszego szczegółu, tyczącego się Polski; drugi wszystko, co tylko do Polski odnoszącego się na Watykanie znalazł, złe czy dobre, przepisał, albo też, gdy mu było skądinąd znanem, zanotował, że się znajduje także w archiwum watykańskiem... »Tym sposobem — mówi jego uczeń Feliks Łubieński — z Watykanu do 100 woluminów swoją wypisuje ręką«.

W nowszych czasach między innymi Marini, dozorca archiwum watykańskiego, zrobił z niego dla rządu rosyjskiego kilka ogromnych

woluminów wyciągów rzeczy ruskich i polskich. Schulza i Przeździeckiego pomijam.

Co do 3go. Czytałem spis wyciągów Albertrandego; mam przed sobą spis ich Przeździeckiego. Znam tedy dobrze treść archiwum watykańskiego co do rzeczy polskich. I na zasadzie tej znajomości powtarzam raz jeszcze: Pożal się Boże pracy Jastrzębskiego! Najlichsze archiwum katedralne w kraju, np. płockie, przemyślskie, że nie powiem krakowskie, warmińskie, dostarczy sto razy więcej nowego, nieznanego skądinąd wątku do dziejów Polski, niż archiwum watykańskie. Znał też Garampi dobrze to ubóstwo archiwum watykańskiego co do rzeczy polskich, gdy spis swój tegoż archiwum co do rzeczy kościoła polskiego uzupełniał wiadomościami w Polsce i z polskich archiw(!) i pisarzy zebranemi. A Baroniusz, Raynald, Bzowski dzieje kościelne Polski nadstawiać raz po raz musieli Miechowitą, Kromerem itp.

Zdaje mi się przeto, żem dowiódł jasno i wyraźnie, iż p. Jastrzębski nie pierwszy z Polaków był w środku archiwum watykańskiego i że w niem nic nowego do dziejów Polski odkryć nie mógł. Jeśli się atoli korespondent paryski na to ostatnie ze mną nie zgodzi, niech nam raczy wymienić to nowe odkrycie p. Jastrzębskiego na Watykanie, a zobaczymy, czy to nie będzie odkrycie Ameryki po Kolumbie.

S. M.

G. P. nr. 41 z 19 lutego 1851.

Słowo o literackich zasługach P. Jastrzębskiego.

Korespondent paryski Gońca, z godną pochwały troskliwością o prace rodaków za granicą podejmowane, doniósł temu pismu (patrz Nr. 22) o poszukiwaniach historycznych p. Ludwika Jastrzębskiego. Opisał, jako ten uczony nasz paleograf pierwszy odkrył i objaśnił, że sławny Texte du Sacre, w Rheims znajdujący się, po głagolicku pisanym jest, i jako później w Rzymie nazbierał wiele szacownych materyałów do historyi polskiej i w ogólności słowiańskiej, między innemi wspominając o odnalezieniu w Rzymie kościoła polskiego, przez dawnych naszych królów utrzymywanego. Tym dwom ostatnim zasługom pana Jastrzębskiego pan S. M. w numerze 24tym Gońca daje bezwzględne zaprzeczenie. Powiada, że po zwiedzeniu archiwum watykańskiego przez Albertrandego, Schulza z Lignicy i Aleksandra Przeździeckiego, nic już tam do odkrycia nie pozostało, a co do rzeczonego kościoła twierdzi, iż on znanym jest w kraju naszym, nie tylko literatom, ale każdemu oświeceńszemu człowiekowi, i w końcu ironicznie zapytuje, czy p. Jastrzębski w Rzymie nie odkrył także kościoła św. Piotra i Pawła.

Chcielibyśmy tutaj niektóre znajome nam szczegóły objaśnić.

P. Jastrzębski przybył do Rzymu w r. 1844 i oddał się zaraz w tem mieście mozolnym poszukiwaniom po bibliotekach. Z czasem wynalazł bardzo wiele ciekawych dokumentów, listów, osobliwie zaś relacyj o Polsce, czynionych przez Nuncyuszów, lub niższych kapłanów, po powrocie z poselstw do kraju naszego. W r. 1847 miał już materyałów na kilka tomów druku. Hr. Adam Potocki przyobiecał zająć się wydaniem onych. Wypadki 1848 r. przerwały ten zamiar. Można się jednak spodziewać po znanej gorliwości obywatelskiej pana Potockiego, że, czy prędzej czy później, zechce się z swego przyrzeczenia wywiązać. Wtedy okaże się owoc pracy p. Jastrzębskiego. Tymczasem świadomsi rzeczy mogą i powinni donosić o otrzymanych rezultatach. Zaprzeczać stanowczo w żadnym razie nie godzi się. Czyż dla tego, że Albertrandy, albo Schulz z Lignicy, przerzucili archiwum watykańskie, to już nic w niem nie pozostało do wyszukania? W najlepiej przejrzanych bibliotekach często później ważne odkrywają się dokumenta, to na okładkach, to wszyte między inne manuskrypta. Tym sposobem Kardynał Mai osiągnął w temże archiwum nader cenne zdobycze. Być może, że korespondent Gońca zbłądził, ograniczając swą wzmiankę do Watykanu. Przecież w Rzymie nie jedna lub dwie, lecz kilkadziesiąt znajduje się bibliotek. Każdy prawie kościół i klasztorek ma swoją. Pan Przeździecki przejrzał ich 16. Nawet archiwum śgo Izydora, małego klasztorka iriandzkiego, dostarczyło kilka ciekawych odkryć co do Polski. Czemużby p. Jastrzębski przez cztery czy pięć lat skrzętnej pracy nie miał nic ważnego i dotąd nieznanego napotkać? Zasługi zacnemu p. Przeździeckiemu nie chcemy w niczem odejmować. Ale przybył on do Rzymu dopiero w końcu 1846 r. Wyciągał po większej części wypisane już dawniej dokumenta przez pana Jastrzębskiego, a że bogatszy, prędzej o nich wiadomość ogłosił. Tak to my Polacy częstokroć podwójną i potrójną pracę dajemy jednemu przedmiotowi. Dla tego też na drugi i jednej nas nie staje.

Co do odkrycia kościoła polskiego, pomyłka Pana S. M. pochodzi z niewiadomości, że jest w Rzymie więcej niż jeden kościół, którego początek lub związek odnieść można do Polski. On tylko wie o jednym i to nie dobrze. Kościół śgo Stanisława biskupa znajduje się przy ulicy Botteghe Oscure, bokiem przytyka do Vicolo dei Polacchi. Co rok odbywa się w nim z wielką uroczystością święto patrona 7go Maja, nie jak u nas 8go. Dziś zależy od Rosyi. Cesarz Mikołaj, jako król polski, jest kollatorem. Lecz oprócz tego kościoła, oprócz śgo Klaudyusza dziś par excellence polskiego, bo jest w ręku kapłanów zakonu Zmartwychwstania, oprócz jezuickiego przy Kwirynale, zwykle kościołem śgo Stanisława Kostki zwanego, oprócz wreszcie kościoła, zbudowanego na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem, przy forum Trajana, znajdują się jeszcze dwa inne, mniej dotąd znane, a temi są:

1° N. Panny Żyrowickiej nie daleko Kwirynału, gdzie pełno grobowców polskich, między innymi Miszewskiego i Charzewskiej, — 2° S. Paolo, primo eremita, obok placu Barberini. O tych dwóch w żadnej nowszej książce czytać nam się nie zdarzyło. S. Paolo rzadko otwartym znaleść można. Pierwszy ołtarz po prawej stronie mieści w sobie wielki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Kościół ten był dawniej w posiadaniu Paulinów. Te dwie okoliczności odkrył p. Jastrzębski. Z nich wniósł, że to był zakład Paulinów z Częstochowy. Suum cuique.

Przegląd Poznański. 1851. T. XII. str. 112.

Dodatek do artykułu o zasługach literackich pana Jastrzębskiego.

Już po wydrukowaniu niniejszego numeru wyczytaliśmy w Gońcu (Nr. 36) odpowiedź korespondenta paryskiego na zarzuty pana S. M. Korespondent stwierdza wszystko to, cośmy wyżej powiedzieli. Smaga przeciwnika dowcipem, a okłada uczonemi cytacyami. Słusznie utrzymuje, że co do wielkich archiwów i bibliotek można zaręczać tylko, iż coś jest, nigdy zaś, iż czegoś niema. Twierdzi przytem, iż Garampiemu nie chodziło bynajmniej o to, aby powiedzieć Polsce, co dla niej jest w Rzymie, ale Rzymowi, co dla niego jest w Polsce. W jednym tylko punkcie nie zgadzamy się z korespondentem. Kościół N. Panny Żyrowickiej nigdy nie przestał być znanym i uczęszczanym przez Polaków. Ponieważ jest dziś spór względem niego, myślimy, iż nie będą obojętnymi czytelnikom następujące szczegóły, równie o nim jak o czci cudownego obrazu w Żyrowicach, które po większej części wyjmujemy z dzieła Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego pod tytułem: Starożytna Polska (Tom III, str. 689.) Żyrowice leżą o 2 mile od Słonima w dawnem województwie nowogrodzkiem. Była tu przedtem rozległa puszcza, w której pasterze odkryli roku 1480 na gruszy mały obraz Bogarodzicy, w tem miejscu właśnie, gdzie dziś ołtarz Jej poświęcony znajduje się w kościele. Pobożny właściciel tej okolicy. Aleksander Sołtan zbudował tu kościołek drewniany, który ozdobił i uposażył Jan Sołtan, marszałek Słonimski, a po zgorzeniu zaczął nowy obszerny około r. 1560 murować. Reforma religijna przerwała na czas oddawanie czci obrazowi cudownemu i fundusze kościelne w obce dostały się ręce. Dopiero Jan Mieleszko, kasztelan Smoleński, wprowadzając w r. 1613 zakon Bazylianów do Żyrowic, znowu ożywił to miejsce. Znakomicie przyczynił się żarliwością swą i nauką do ściągnienia tu mnogiego napływu pobożnych, sprawując obowiązki przełożonego w Żyrowicach, Józafat Kuncewicz, który z czasem został arcyb. połockim. Lew Sapieha hojnie kościół ten uposażył. W r. 1644 Władysław IVty z żoną dwa dni tu na nabożeństwie przepędził. W 1651

Jan Kaźmierz pobożną pielgrzymkę odbył do Żyrowic. Sobieski w 1688 z synem swym Jakóbem, później August IIgi, a w 1784 Stanisław August, uroczyście byli tu przyjmowanymi przez zgromadzenie zakonne. Bazylianie utrzymywali tu szkołę i założyli drukarnią. Nazwanie cudownego obrazu N. Panny Żyrowickiej przeniesione zostało na początku 18go wieku do innego obrazu Bogarodzicy, znajdującego się w Rzymie, w kościele unickim śś. Sergiusza i Bacha. Nadał tę świątynię Bazylianom w r. 1639 na wstawienie się kardynała Barberini, Urban VIII, kardynał zaś stałym funduszem opatrzył. Znaleziony około r. 1719 malowany na murze w zakrystyi wizerunek N. Panny, zupełnie podobny do tego, jaki znajduje się w Żyrowicach, umieszczono z razu w pobocznym ołtarzu kościoła śś. Sergiusza i Bacha. Lecz za objęciem rządów zgromadzenia bazyliańskiego w Rzymie przez ks. Ignacego Kulczyńskiego w r. 1729, wystawiony został piękny marmurowy ołtarz wielki, do którego ów obraz P. Maryi 29go października t. r., przy nabożeństwie odprawionem przez Floryana Hrebnickiego, arcybiskupa unickiego połockiego, przeniesiono. Odtąd kościół ten zaczął lud rzymski nazywać kościołem N. Panny Maryi Żyrowickiej, della Madonna del Pascolo, bo pascolo znaczy w języku włoskim paszę, albo żer. Kulczyński podczas swego rektorstwa w Rzymie wydał r. 1732 opisanie historyczne cudownych obrazów żyrowickich, pod tytułem Jaspis cudowny, (Il diaspro prodigioso). Rektorem kościoła tego w Rzymie roku 1794, a razem prokuratorem zakonu Bazylianów przy stolicy apostolskiej, był ks. Jordan Mickiewicz, który największe poniósł zasługi, nie tylko najporządniej utrzymując w całości, ale nawet powiększając pierwiastkowy fundusz tego zakładu. Przebudowanie tego kościoła odnosi się do r. 1741. Użytym ku temu architektem był Francesco Ferrari. Freski na sklepieniu są pędzla Sebastyana Ceccarini. W jednym z pobocznych ołtarzów znajduje się obraz śgo Bazylego, w drugim obraz śś. Sergiusza i Bacha. Oba malował Ignacy Stern. Oprócz wprzód przez nas wymienionych w tym kościele grobowców, wspomnieć jeszcze wypada grób zmarłego w 1641 w Rzymie metropolity Rafała Korsaka, arcyb. kijowskiego i halickiego.

Przegląd Poznański. 1851. T. XII. str. 133.

Słowo o literackich zasługach pana Jastrzębskiego.

W artykule pod takim napisem i w dodatku do tego artykułu, Przegląd Poznański, poszyt pierwszy na rok 1851, wmięszał się w spór mój z korespondentem paryskim Gońca o mniemane odkrycia pana Jastrzębskiego nieznanych nikomu materyałów do dziejów Polski w archiwum watykańskiem i kościołów polskich w Rzymie, a wmięszał się bez należytego zastanowienia nad przedmiotem sporu, a nawet nad

tem, co sam prawi, bez głębszej znajomości rzeczy, o którą spór, i nareszcie bez najmniejszej potrzeby, gdyż, jak sam w dodatku powiada, korespondent paryski Gońca smaga mię dowcipem i okłada uczonemi cytacyami, musi zatem mieć siły potemu, aby mię zgnieść na miazgę i bez pomocy Przeglądu, potęgą swojego dowcipu i erudycyi.

W samem Słowie powiada Przegląd, że pan Jastrzębski wynalazł bardzo wiele ciekawych dokumentów, listów, osobliwie zaś relacyj o Polsce, czynionych przez nuncyuszów, lub niższych kapłanów, po powrocie z poselstw do kraju naszego. W roku 1846 miał już materyałów na kilka tomów druku. Hrabia Adam Potocki przyobiecał zająć się wydaniem onych. Wypadki 1848 roku przerwały ten zamiar. Co do kościołów polskich w Rzymie, utrzymuje Przegląd, że jest na tem miejscu więcej niż jeden kościół, którego początek lub związek odnieść można do Polski. Do takich kościołów liczy kościół śgo Stanisława Kostki, kościół zbudowany na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem, N. Panny Żyrowickiej i śgo Pawła pustelnika. O dwóch ostatnich powiada, że mu się o nich w nowszej książce czytać nie zdarzyło, a w dodatku wypisuje całą legendę o kościele N. Panny Maryi Żyrowickiej z bardzo nowej książki, to jest z Starożytnej Polski Lipińskiego i Balińskiego. Kościół śgo Pawła pustelnika uważa dla tego za polski, że należał do księży Paulinów i w jednym z ołtarzy mieści w sobie obraz N. Panny Maryi Częstochowskiej. W dodatku podaje legendę o kościele N. Panny Żyrowickiej i powtarza twierdzenie korespondenta paryskiego: że co do wielkich bibliotek i archiw (!) można zaręczać tylko, iż jest coś, nigdy zaś, iż czegoś niema. Zapomniał tylko dodać: jeżeli nie są porządnie spisane i skatalogowane.

Rozprawiwszy się już dostatecznie z korespondentem paryskim Gońca o właściwy przedmiot sporu, to jest o to: 1) Czy pan Jastrzębski pierwszy z Polaków, jak korespondent utrzymuje, przedarł się do wnętrza archiwum watykańskiego? 2) Czy w nim po Bzowskim, Albertrandym i innych, mógł co nieznanego dotąd do dziejów Polski odkryć? i nareszcie 3) Czy archiwum watykańskie jest istotnie tak ważnem pod względem rzeczy polskich? nie będę tu poruszał znowu kwestyi tej bez potrzeby, lecz przystąpię natychmiast do wytknięcia Przeglądowi: 1) braku zastanowienia się nad tem, co pisze, 2) braku znajomości rzeczy, o której pisze.

Co do 1go: Przegląd liczy do najważniejszych odkryć pana Jastrzębskiego na Watykanie relacye i listy nuncyuszów papieskich do Polski, bo te relacye, te listy nie gdzieindziej składano tylko w archiwum watykańskiem. Co tylko to powiedziawszy, dodaje zaraz: »Być może, że korespondent Gońca zbłądził, ograniczając swą wzmiankę (o odkryciach Jastrzębskiego) do Watykanu«. Wyżej utrzymuje, że

Pan Jastrzębski odkrył bardzo ciekawe relacye na Watykanie, tu wini korespondenta paryskiego, że zbłądził, gdy za miejsce wielkich odkryć pana Jastrzębskiego uważa Watykan. W Słowie powiada, (jakem wyżej nadmienił), że mu się nie zdarzyło czytać w nowszej książce o kościele N. Panny Żyrowickiej w Rzymie, a w dodatku do tego Słowa przytacza cały wyciąg o tym kościele z bardzo nowej książki, to jest Starożytnej Polski Balińskiego i Lipińskiego.

Co do 2go: Wielką nieznajomość rzeczy okazał Przegląd, nazywając listy i relacye nuncyuszów papieskich do Polski ciekawemi. Aż do czasów Lippomaniego za panowania Zygmunta Augusta stałych nuncyuszów czyli nuncyatury w Polsce nie było. Wysyłani przedtem w pewnych peryodach i okolicznościach nuncyusze papiescy do Polski, jak np. w zatargach Krzyżaków z Polską, albo dla pobudzenia Polaków do wojny przeciw Turcyi, jak np. za panowania Władysława Warneńczyka, zdawali Rzymowi relacyą tylko o interesie, w którym byli wysłani do Polski, nie troszcząc się zresztą o nic więcej. Jeżeli zaś który z nuncyuszów papieskich posunął ciekawość swoją poza interes, w którym został do Polski wysłanym, natenczas relacyą jego bądźto w formie biografii, bądź opisu, lub t. p. ogłaszano drukiem. I takie relacye o Polsce nuncyuszów papieskich mamy w dziełach Eneasza Sylwiusza, później panującego pod imieniem Piusa IIgo, w dziełach Zacharyasza Ferreryusza, nuncyusza papieskiego do Zygmunta Igo, w życiu Komendoniego, nuncyusza do Zygmunta Augusta, wydanem przez Gratianiego i t. p.

Po zaprowadzeniu nuncyatury w Polsce, nuncyusze papiescy stali się pewnym rodzajem sądu apelacyjnego w sprawach duchownych, np. o dziesięciny, beneficia, rozwody i t. p., a ciągle tem zajęci, nie mieli ani dość czasu, ani też chęci do zdawania Rzymowi relacyj o czem innem. Nadmienić tu muszę, że akta nuncyatury znajdują się nie w Rzymie, ale w Warszawie.

Równie wielką niewiadomość rzeczy okazał Przegląd co do odkryć kardynała Maj(!). Nie pojmuję, jak mógł powiedzieć: »W najlepiej przejrzanych bibliotekach często później ważne odkrywają się dokumenta, to na okładkach, to wszyte między inne rękopisma. Tym sposobem kardynał Maj osiągnął w temże archiwum nader cenne zdobycze.« Lepiej było dać święty pokój kardynałowi Maj, niż mu poddawać tak łatwy sposób odkryć nie zbyt zresztą ważnych ułamków starożytnych pisarzy. Nie znajdował on swoich odkryć na okładkach książek, albo wszyte między inne rękopisma, ale zupełnie innym sposobem; to jest w rękopismach pergaminowych, na których, zatarłszy poprzednie pismo, pisano rzecz inną; odczytując w tych rękopismach słabe ślady pisma pierwiastkowego, robi swoje odkrycia.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o mniemanych kościołach polskich w Rzymie, których Przegląd aż pięć wylicza. Tymczasem znajduje się tylko jeden kościół polski, to jest św. Stanisława, założony przez Hozyusza, uposażony przez królowę Annę Jagiellonkę. O tyle on atoli tylko był polskim, że go Polak założył i królowa Anna Jagiellonka nie zbyt hojnie uposażyła. Rząd polski, czyli królowa, jak korespondent Gońca mieć chce, nie utrzymywali w Rzymie żadnego kościoła polskiego, a nawet i na kościół św. Stanisława nic nie łożyli. Gdy się zaczął walić, gdy duchowni przy nim nie mieli z czego żyć, zbierano w kraju po wszystkich dyecezyach składki, aby go podeprzeć, aby kapłanów przy nim jałmużną zasilić. Nabożeństwo też nie odbywało się w nim w języku polskim, z przyczyny, że w Rzymie nigdy gminy polskiej nie było. Polacy zaś, którzy, bądź jako urzędnicy papiescy, bądź jako zakonnicy, bądź też na naukach w Rzymie przebywali, uczęszczali na nabożeństwa do innych kościołów, bliższych swoim gospodom. Nawet wyłącznego przywileju mieszczenia w sobie nagrobków, zmarłych w Rzymie Polaków, nie miał kościół św. Stanisława. Jest ich tyleż albo więcej po innych kościołach, np. w kościele Panny Maryi za Tybrem, w kościele Panny Maryi ad Minervam, w kościele św. Łucyi, w kościele Panny Maryi del Popolo itp. Mniejsza o to, do jakiej ulicy bokiem, do jakiej frontem kościół św. Stanisława przypiera, jest to taka drobiazgowość w sporze moim z korespondentem paryskim Gońca, że nie pojmuję, jak Przegląd, pismo z innych miar szacowne i poważne, mógł na nią zwrócić uwagę.

Kościół Panny Maryi Żyrowickiej nie był nigdy polskim; poświęcony zakonnikom wyznania wschodniego z zachodniem połączonego, był ruskim, często miał przy sobie Bazylian z innych narodów, a w roku 1689 do 1701 mieszkał nawet przy nim Teofanes Prokopowicz, później arcybiskup nowogrodzki, znany w moskiewskiej schizmie pisarz.

Kościół pod tytułem św. Pawła pustelnika nie należał nigdy do Paulinów Częstochowskich. Że przy nim byli Paulini, i że jeden z jego ołtarzy bocznych zawiera w sobie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nie idzie już zatem, że był polskim. Pan Jastrzębski, a za nim i Przegląd mogli byli sobie inaczej i daleko prościej tę rzecz wytłumaczyć. Z wszystkich w całej Europie klasztorów paulińskich najsławniejszym był klasztor ich na Jasnej Górze Częstochowskiej, a sławę tę i bogactwa winien był cudownemu obrazowi Matki Boskiej. Cóż więc dziwnego, że klasztory paulińskie po kościołach swoich nietylko we Włoszech, ale i w Węgrzech i innych krajach wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej umieszczały. U nas w Polsce i Litwie znajduje się po kościołach pełno Matek Boskich Loretańskich, świętych Alojzych Gonzagów, świętych Franciszków, Antonich i t. p.; sąż przeto te kościoły

włoskimi, albo mają początek włoski lub też odnoszą się w jakimkolwiek bądź sposobie do Włoch? Wreszcie dla zakończenia tego bezowocnego sporu o kościoły polskie w Rzymie, dodać tu muszę, że tak pan Jastrzębski jak i Przegląd nadaremny trud podejmowali, odkrywając kościoły w Rzymie; są one już wszystkie od bardzo dawna odkryte i szczegółowo opisane w tysiącznych dziełach włoskich, łacińskich, francuskich, angielskich, niemieckich, hiszpańskich, a nawet częściowo i w polskich, wydanych pod rozmaitymi tytułami, np. Chiese di Roma, Guida della città di Roma, Roma vetus et antiqua (Jezuity Donata) itp., Pielgrzym włoski, Rzym pogański i chrześciański, Delicye ziemi włoskiej itd. Przegląd, kończąc artykuł przeciw mnie wymierzony, poczęstował swoich czytelników suchą legendą o N. Pannie Żyrowickiej, wyjętą z Starożytnej Polski Balińskiego, ułożoną podług Kojałowicza i Niesieckiego. Czytelnicy Gońca nie wezmą mi przeto za złe, że ich także uraczę daleko poetyczniejszą legendą o N. Pannie Żyrowickiej, wyjętą z Morza łaski Bożej Pruszcza, napisaną przed 200 laty według akt monasteru Bazyliańskiego w Żyrowicach, a zatem in omnibus punctis et clausulis wiarogodną.

»W Wielkiem Księstwie Litewskiem, mówi Pruszcz, w powiecie słonimskim, o milę drogi od miasta Słonima, jest wieś rzeczona Żyrowice nad Szarą rzeką i łąkami pięknemi, przy górach wyniosłych. W tej wsi są dwie cerkwie murowane, jedna pusta, a przy drugiej są zakonnicy św. Bazylego, unitowie religii greckiej. W tej jest obraz Panny Przenajświętszej, malusieńki na kamieniu (według niektórych jaspisowym) malowany, naleziony na temże miejscu natenczas w lesie od pastuchów, którzy, bydło daleko w las zapuściwszy a za niem postępując, obaczyli na drzewie gruszkowem leśnem światłość wielką, nakształt ognia pałającego płomieniem, a coby to był za cud, z podziwieniem się przypatrowali pilno, zwoływując do dziwowiska towarzyszów, drugich pastuchów. Przystępując tedy pastuchowie do drzewa bliżej, zoczyli w onej wielkiej światłości stojący obraz Panny Maryi, a ośmieliwszy się, gdy widzieli, że już światłość nieco ustała, przystąpili i z drzewa zdjęli i do pana swego, natenczas p. Aleksandra Sołtana, kawalera grobu świętego, zanieśli i porządnie wszystko, jako się im pokazał, powiedzieli. Za to im pan baczny podziękował, a obrazek od nich wziął, a do szkatuły z wielką uczciwością i poszanowaniem schował. A gdy nazajutrz goście do niego przyjechali, ten z wielkiej radości chcąc ich ucieszyć, on obraz chce im pokazać i historyą znalezienia powiedzieć, szkatułę onę kazał przynieść, a otworzywszy ją po kilka razy nic nie znalazł. Z czego bardzo zafrasowany i zdumiały rzekł: zaprawdę nie ludzka to sprawa, ale sam Pan Bóg coś dziwnego chce nam przez ten obraz pokazać, niechże będzie wola Jego święta!

Pastuchowie zaś powtóre na tejże gruszce znaleźli obraz Panny Maryi, który znowu wzięli i do pana zanieśli. Ten z wielką także uczciwością obraz wziąwszy, nazajutrz z tymi pastuchami do lasa jechał, a zbliżając się do onego miejsca pieszo szedł, dobrodziejstwa Pańskie nabożnie rozmyślając, tak iż zaraz postanowił tamże cerkiew zbudować, co wkrótce wykonał, z dodaniem wielkiego ochędóstwa i potrzeb do niej należących; las zaś, miejsce jasne cerkwi czyniąc, on dał na pole wyrąbać. Lecz cerkiew pogorywała, a obraz cały i nienaruszony został i na kamień, który jest pod cerkwią pod górą, uchodził. A iż go obywatele z zakonnikami przez kilka dni szukając nie mogli znaleść, miłosierny Pan Bóg skarbu tego nie chciał długo taić i owszem niewiniątkom chciał go objawić, bo dzieci, z szkoły idąc, wedle miejsca pogorzałego igrały, a drugie po górze chodziły; przyczem obaczyły z daleka Pannę bardzo wspaniałą i śliczną pod górą na kamieniu, w jasnych około promieniach siedzącą. Te przelęknione, jako im się dało znać i widzieć, kapłanom powiedziały, którzy, mało wierząc dziatkom, obraz ten, co był w cerkwi, znaleźli ze świecą przed nim gorejącą, któremu pokłon nisko oddawszy, a Panu Bogu podziękowawszy, nazad wrócili się, a niemięszkając z procesyą ludu pospolitego tam pod górę do kamienia onego po obraz przyszli, kędy już ona świeca zniknęła, a obraz sam został. Ten z wielką uczciwością kapłani wzięli i do kapliczki małej do czasu zbudowanej zanieśli, przy którym Pan Bóg cuda wielkie czyni. Za czasem więcej niż we dwudziestu lat, za sprawą panów dziedzicznych tamtecznych cerkiew z klasztorem stanęła, w której ten przezacny obraz wielce cudowny dotychczas jest, wielkość jego wzdłuż na trzy palce, podługowatej figury, na ciemno-zielonym kamieniu wyryty, Pana Jezusa piastujący, wkoło niego literami ruskiemi i słowackim językiem jest napisano, które słowa i obraz sam rzetelnie każdy obaczyć może, z którego zapach wdzięczny wychodzi, lecz tego obaczyć rzetelnie i zapachu uczuć nie mogą heretycy i inszej wiary ludzie i w grzechach będący. Ludziom zaś wiary dobrej i sumienia czystego wesołym i jasnym się pokazuje.« S. M.

G. P. nr. 50 z 1 marca 1851.

XVII.

Jeszcze raz odpowiedź panu S. M.[1])

Pan S. M. właściwie mi na nic nie odpowiedział. Starałem się nasamprzód pokazać mu, że trzeba być bar-

[1]) Zamykamy polemikę niniejszem i dalszych artykułów polemicznych w tej materyi zamieszczać już nie będziemy. (Przyp. Red.)

dzo ostrożnym w wypowiedzeniu, że czegoś w zbiorach archiwowych niema, i na dowód tego przytoczyłem mu przykłady różnych niespodzianych odkryć z najbliższych lat, po zbiorach zwiedzanych nieraz i przetrząsanych przez najuczeńszych badaczów. Pozwoli też sobie przytoczyć przykład, że nawet w zbiorze druków (nie rękopismów) i tak dobrze już zbadanym i przejrzanym jak w bibliotece narodowej paryskiej można znaleść jeszcze zupełnie zaniedbane lub niepostrzeżone rzeczy.[1]) Nie przytaczałem, jak mniema p. S. M., »Szkotów i Bartolów«; ale tymi przykładami dowiodłem, i to nie do zbicia, że nawet w archiwach, przez tysiąc poprzedników zwiedzanych, można jeszcze znaleść nowe nieznane dokumenta. Pan S. M. mi na to nie odpowiedział.

Pan S. M. utrzymuje, że w archiwum watykańskiem nic dla naszej historyi nie ma. Przedstawiłem mu, że się tam znajdują nieskatalogowane jeszcze nawet wszystkie akta nuncyatur rzymskich w Polsce od Grzegorza XII aż do 3-go rozbioru naszego kraju. Pan S. M. nic na to nie odpowiedział.

Pan S. M. utrzymywał, że Garampi zbiory watykańskie dokładnie spisał. Dowiodłem mu, że Garampi o tem ani myślał, że pisał w Polsce, nie w Rzymie, że spisał, co w Polsce, nie co w Rzymie. Pan S. M. nic na to nie odpowiedział, i wraca tylko znowu do wyrazów: »Garampiego

---

[1]) Jeszcze w tym tygodniu znalazłem w tutejszej bibliotece narodowej i to w wydziale druków, gdzie być nie powinien, (pod literą Y. 5650 A. B. a. art. 327 supplt. in 4⁰ — oprawa z liliami przedrewolucyjna) rękopism polski Seweryna Rzewuskiego, znanego naczelnika Targowicy; jest to tłómaczenie tragedyi Laharpa: Warwick, wierszem miarowym polskim. Zwróciłem na ten rękopism uwagę konserwatora wydziału druków, który go też odesłał do wydziału manuskryptów. Rękopism ten, o ile sądzić mi wolno, nie ma wartości dla naszej literatury, ale może mieć jaką dla biografa Seweryna Rzewuskiego, a wreszcie dla jego familii. Dla nich też tylko tę krótką wzmiankę przeznaczam.

spis archiwum watykańskiego«. To już przechodzi wszelkie licencye polemiczne.

Pan S. M. utrzymywał, że śp. Albertrandy, Schulz, Przeździecki byli w archiwach. Pytałem się: u archiwisty, czy w archiwach? Pan S. M. mi na to nie odpowiedział. Myśli tylko, że Albertrandy, opatrzony w rekomendacye i fundusze, musiał niezawodnie być w archiwach. Ja przeciwko temu »niezawodnie« pana S. M. stawiam moje »prawdopodobnie«, które opieram na tem, że facsimile zdjęte z oryginału listu Grzegorza VIII, a porównane z tekstem Albertrandego, dowodzi swymi waryantami, że Albertrandy nie miał oryginału przed sobą. I na to mi pan S. M. nie odpowiedział.

Powiedziałem jeszcze, że, ponieważ wiemy, iż Moskal Turgeniew supprymował wiele z materyałów zebranych przez Albertrandego w Rzymie, pozostałoby jeszcze Polakowi »odkryć odkryte rzeczy«, ale właśnie teraz zaginione. I na to mi pan S. M. (który, że nawiasem też wspomnę, nie wiem, zgrabnie czy niezgrabnie mięsza ciągle archiwum watykańskie, nikomu nie przystępne, z biblioteką watykańską, która jest publiczną), i na to mi nic nie odpowiedział.

Pan S. M. wreszcie zaręcza, że sam nie wiem, o jakim kościele chciałem mówić. Otóż pozostaje mi tylko jeszcze raz i jak najuroczyściej oświadczyć, że bardzo dobrze wiem, o jakim kościele mówię, a w razie potrzeby zaświadczy mu to szanowna redakcya Gońca.

Korespondent paryski Gońca.

G. P. nr. 53 z 5 marca 1851.

Dalszy ciąg polemiki co do poszukiwań pana Jastrzębskiego.

Pan S. M., nie bez szwanku z zapasów z korespondentem paryskim Gońca wyszedłszy, gniew swój teraz obraca na Przegląd. Zarzuca on nam (patrz Nr. 50 Gońca): 1, brak zastanowienia się nad tem, co piszemy, 2, brak znajomości rzeczy, o której piszemy. Aby

tego dowieść, chwyta się dwóch czy trzech mało znaczących wyrażeń, z pominięciem wszystkich ważniejszych objaśnień, któreśmy uczynili, nic także nie wspominając o pomyłkach, których się sam dopuścił. Najważniejszym jego zarzutem, bo po trzykroć powtórzonym, jest ta okoliczność, że w głównym artykule powiadamy, iż nam się nie zdarzyło czytać w nowszej książce o kościele N. Panny Żyrowickiej, a w dodatku przytaczamy wyciąg o tym kościele z bardzo nowej książki, to jest Starożytnej Polski Balińskiego i Lipińskiego. Chętnie przyznajemy się do nieścisłości wyrażenia, do zapomnienia nawet, choć nam się zdaje, że dzieł, jak Starożytna Polska, które z natury swej są i muszą być kompilacyami, za nowe książki uważać trudno. Sam p. S. M. najdobitniejszą nam nastręcza obronę, bo zaraz nieco dalej twierdzi i słusznie, że przytoczona przez nas z dzieła Balińskiego i Lipińskiego legenda nie jest żadną nowością, ale opisem poprostu z Kojałowicza i Niesieckiego wyjętym. Drugi, równie drobny zarzut, nie głównej sprawy, ani żadnego faktu, ale wyrażenia tyczący się, odnosi się do nawiasowej naszej wzmianki o kardynale Mai.[1]) Nasze słowa tym sposobem miały jedynie na względzie główną myśl całego okresu, w którym staraliśmy się okazać, że nawet w najstaranniej urządzonych i obejrzanych bibliotekach często nadzwyczajny przypadek do ważnych odkryć prowadzi. Że wyrazy te nie mogły się żadną miarą ściągać do dwóch mimochodem rzuconych a szczegółowych przykładów, jak rozmaitemi drogami poszukiwacze na podobne natrafiają odkrycia, i że nie od pana S. M. po raz pierwszy dowiedzieliśmy się, jakim trybem Angelo Mai osiągnął swoje zdobycze, to łacno byłoby usprawiedliwić. Moglibyśmy nie tylko puścić się na szeroką rozprawę o palimpsestach, o codices rescripti, rasoria etc., ale nadto wskazać sale i szafy, w których po kilkakroć oglądaliśmy owe zabytki. Cóżkolwiekbądź, wstrzymujemy się z obawy, by nas kto nie posądził, że, ganiąc pana S. M., sami wpadamy w jego dziwny tryb zasłaniania pomyłek ogromem eru-

[1]) Pisarzowi za lada słowo chwytającemu godzi się wyrzucić, że błędnie pisze Maj, zamiast Mai, równie jak godziło się nam wskazać mu, że mówiąc z ironią o kościele św. Stanisława, jako o przedmiocie we wszystkich szczegółach doskonale znajomym, powinien był dowiedzieć się, przy której ten kościół leży ulicy, a przynajmniej fałszywej nie podawać. Skąd inąd p. S. M., traktując wszystko niezmiernie z góry, zowie odkrycia kardynała Mai nie zbyt ważnemi. Niczem jest dla niego odzyskanie listów Marka Aureliusza i L. Verusa, kilku ksiąg Dionizyusza Halikarnasseńskiego, Euzebiusza Chronicorum canonum libri duo, Juliusza Valeriusza Res gestae Alexandri, Itinerarium Alexandri, Plauta Vidularia, niczem odkrycie mów Cycerona pro Scauro, Tullio, Flacco, in Clodium et Curionem, niczem nawet wydobycie na jaw zagubionego dzieła cycerońskiego de Republica! P. Jastrzębski, którego poszukiwań i odkryć nie dozwala on nawet ciekawemi nazwać, będzie się mógł pocieszyć we wspólnej z kardynałem Mai niedoli.

dycyi, zdobytej dopiero wtedy, gdy mu te pomyłki wskazanemi zostały. Mniej jeszcze godziwym jest zarzut, że powiedziawszy, jakoby relacye i listy nuncyuszów nie gdzieindziej składano tylko w archiwum watykańskiem, tymże samym tchem odważyliśmy się rzec korespondentowi Gońca, iż się pomylił, ograniczając swą wzmiankę o odkryciach pana Jastrzębskiego do Watykanu. Tu pan S. M. przeistacza najdobitniej przez nas wysłowione zdanie. Właśnie rzecz wprost przeciwną utrzymujemy. Powiedzieliśmy, że relacye i listy nuncyuszów nie tylko na Watykanie znajdują się, i że z tej to przyczyny zdaje nam się, iż korespondent Gońca nie powinien był ograniczać prac pana Jastrzębskiego do Watykanu, ale owszem rozciągnąć je do wielu innych bibliotek. Jakoż, gdyby p. S. M. był nieco uważniej przeczytał katalog pana Przeździeckiego, toby się był zaraz na trzeciej stronicy dowiedział, że instrukcye nuncyuszom do Polski dawane i relacye ich za powrotem do Rzymu o Polsce pisane, znajdują się w licznych kopiach tak w bibliotece watykańskiej jak w bibliotekach Minerwy i Filipinów, oraz książąt Corsini, Barberini, Chigi, Albani. W bibliotece Minerwy jest korespondencya kardynała Gaetani, legata w Polsce (1596) w trzech tomach, — w bibliotece Corsini obszerna relacya o Polsce nuncyusza Marescotti (1670), — w bibliotece Barberini Eugeniusza IVgo listy do spraw polskich (1439—1444). Pan Przeździecki ani zwiedził, ani wyliczył wszystkich zbiorów. I tak wiemy, że w bibliotece książąt Borghese znajdują się relacye i listy kardynała Aldobrandini, legata w Polsce (1588), późniejszego Klemensa VIIIgo. Słyszeliśmy i o innych zbiorach, posiadających dokumenta do historyi polskiej, ale w braku bliższych wiadomości nic stanowczego twierdzić nie śmiemy. To pewna, że duchowni do obcych krajów wysyłani, relacye swe i listy za powrotem do Rzymu nie tylko na Watykanie składali, ale przekazywali w odpisach to swym rodzinom, to klasztorom lub kościołom, przy których przemieszkiwali. Łatwo więc przydarzyć się może, iż dokument, trudny do wynalezienia na Watykanie, gdzieś w daleko mniej głośnem archiwum bez mozołu zostanie odkrytym. Jest przeto obszerne jeszcze pole dla pracy, na którem i pan Jastrzębski i nie jeden rodak w późniejszym czasie zdoła przysłużyć się krajowi. Ale p. S. M. z góry zapowiada, iż w żadnym razie listów i relacyj nuncyuszów za ciekawe uważać nie można. »Wielką (mówi on) nieznajomość rzeczy okazał Przegląd, nazywając listy i relacye nuncyuszów papieskich ciekawemi«. Na to jedna jest tylko odpowiedź. Wolimy pozostać przy naszej skromnej niewiadomości, pełnej uszanowania dla każdego dokumentu, choćby ubocznie dotykającego dziejów narodowych, jak piąć się na szczudła pedantyzmu, lekceważącego prace innych, pomiatającego wszystkiem, co mu jest nieznanem, z pogardą odrzucającego naprzód każdy nabytek, którego wpływu na rozświecenie historyi naszej od razu dobitnie nie widzi.

Myśmy ani twierdzili, ani twierdzimy, iżby zbiór pana Jastrzębskiego miał posiadać jakie zadziwiające odkrycia. Użyliśmy skromnego wyrazu ciekawy. Gdyby ciekawym nie był, toby pewnie po przejrzeniu onego tak oświecony obywatel, jak pan Adam Potocki, odmówił był swej pomocy i kosztownego na druk nakładu. Co do kościołów, p. S. M. na grubej niewiadomości schwytany, ratuje się teraz szerokimi wywodami, jak i kiedy który z nich był uposażonym, czy była gmina polska w Rzymie, czy się nabożeństwo w języku polskim odbywało. Wszystko to bardzo zajmujące, tylko, że o żaden z powyższych szczegółów w sporze nie szło. Korespondent Gońca nadmienił, iż jeden z rzymskich kościołów, odnoszący się do Polski swą fundacyą i pamiątkami, odszukanym został przez pana Jastrzębskiego. Pan S. M. wyśmiał to doniesienie i, wiedząc tylko o jednym podobnym kościele, to jest o kościele św. Stanisława biskupa, wystąpił z jego opisem. Przytem rzucił ironiczne zapytanie, czy przypadkiem pan Jastrzębski także św. Piotra w Rzymie nie odkrył? Gdyby był słyszał pierwej o którymkolwiek innym, byłżeby omieszkał skorzystać z tak przyjaznej sposobności rozszerzenia swego wywodu, byłżeby się wystawił na dotkliwe zaprzeczenia? Pan S. M. nadrabia dziś przytoczeniami z Pruszcza. Bardzo to szacowne, wszakże przychodzi post festum. Data wszystko tu znaczy. Skoro fakt zostanie wskazany, łatwo każdemu, co ma książki pod ręką, znaleść rozliczne materyały. Uczoność powinna w porę się pokazać. Trzeba było poradzić się książek przed napaścią. Cytacye po napaści, w taki sposób jak przez pana S. M. uczynione, są jednym więcej dowodem, że spór lekkomyślnie rozpoczęty został. Co do kościoła św. Pawła pustelnika, ani my nie utrzymujemy, ani niezawodnie pan Jastrzębski nie utrzymuje, jakoby z pewnością miał on należeć do Paulinów Częstochowskich. Powiedzieliśmy tylko, że są ślady naprowadzające na domysł. Stanowcze fakta w tym rodzaju poszukiwań poczynają się najczęściej od odkrycia prawdopodobieństw.

Jakiż jest teraz wypadek całego sporu? Oto p. S. M., który wywołał dyskusyą, nie przyznawszy się ani do jednej z wytkniętych sobie pomyłek, poruszył niezmierną liczbę kwestyj do sporu nie należących, aby jako tako z boju się wycofać. Korespondent paryski wylicza mu kategorycznie 6 głównych zapytań, na które nie odpowiedział. Darował mu wiele, i Garampiego, o którym p. S. M. z dziełka pana Przeździeckiego się dowiedział, i niewiadomość, że tenże pan Przeździecki dopiero we dwa lata po panu Jastrzębskim zwiedzał biblioteki rzymskie, i wreszcie ową wycieczkę co do kościołów rzymskich, która powinnaby zostać w pamiętnikach polemik literackich jako wyborne ostrzeżenie dla wszystkich zbyt porywczych i bezwzględnych kontradyktorów. Pan S. M. utrzymuje, że Przegląd wmięszał się do tego sporu bez należytego zastanowienia, bez głębszej znajomości

a nawet bez najmniejszej potrzeby. Czy potrzebnie, z zastanowieniem, a osobliwie, czy ze znajomością rzeczy p. S. M. począł ten spór? czytelnicy Gońca i Przeglądu łatwo osądzić zdołają. Co się nas tyczy, mieliśmy do wdania się w dyskusyą powody następujące: 1, Myślimy, że pismo jak Przegląd nie może zostać obojętnem, skoro jaka naukowa kwestya poruszoną zostanie. 2, Chcieliśmy przynieść objaśnienia i fakta, o których korespondent Gońca nie wspomniał, a o których p. S. M. nie wiedział. 3, Znamy osobiście pana Jastrzębskiego i byliśmy w Rzymie świadkami jego mozolnej a wytrwałej pracy. 4, Uraziła nas, tak jak każdego bezstronnego czytelnika dotknąć musiała, ta pochopność do sądzenia o rzeczach jeszcze na jaw nie wyszłych, ta ochoczość do odsunięcia pracowitego i już dobrze znanego w naukowym świecie rodaka od wszelkiej zasługi, i ten ton ex cathedra, jakiego nie usprawiedliwiają ani zdolność, ani uczoność, ani nawet powaga doświadczenia.

Przegląd Poznański. 1851. T. XII. str. 244.

Odpowiedź Przeglądowi na dalszy ciąg polemiki co do poszukiwań pana Jastrzębskiego.[1])

Przegląd, prowadząc dalej polemikę o odkryciu (!) pana Jastrzębskiego w Rzymie, do której się bez najmniejszej wmięszał potrzeby, jak mu zaraz niżej dowiodę, umieścił w poszycie II. na rok bieżący odpowiedź na odparcie moje napaści jego na mnie z boku, w poszycie I. na r. b. umieszczonej. Odpowiedź tę zaczyna od przypisywania mi niecnej bardzo namiętności, to jest zemsty. Utrzymuje bowiem, że, pobity na głowę od Gończowego korespondenta paryskiego, owioniony zemstą, popuszczam mego pierwszego przeciwnika a rzucam się zapamiętale na niewiniuteńki sobie Przegląd. Zapomniał tylko nieborak, że nie ja go zaczepiłem, ale od niego byłem napastowany, a napadnięty musiałem się bronić, a bronić się orężem, jaki pod ręką miałem, nawet i uczonością, jak ją nazywa, post festum, która, mówiąc nawiasem, prawie zawsze na same gody, ante festum, do Przeglądu trafić

[1]) Niniejszy artykuł nadesłany odnosi się do polemicznego ustępu, zamieszczonego w poszycie Przeglądu, który w tych dniach z druku wyszedł. Pan S. M. rozpoczął właściwie walkę z naszym korespondentem paryskim, który w Przeglądzie sprzymierzeńca znalazł. Zamieszczając wszakże obecny polemiczny artykuł pana S. M., nie zrywamy bynajmniej w pośredni sposób domyślnego traktatu zaczepno-odpornego, łączącego każdą redakcyą z jej współpracownikami, ale tylko uwzględniamy chwilowe położenie publicystyczne naszej prowincyi, gdzie niemasz innego prawie organu do polemiki z Przeglądem, chociażby nie zasadniczej, jak Goniec. Zresztą spór ten z Przeglądem na niniejszym drugim artykule pana S. M. zamykamy.

(Przyp. Red.)

może, gdy on o dziejach lub rzeczach ojczystych prawić zacznie. Przegląd motywuje wprawdzie potrzebę swojej napaści na mnie: 1) nieobojętnością na kwestyą naukową; 2) chęcią objaśnienia faktów, niewspomnionych w tym sporze przez korespondenta paryskiego; 3) świadectwem mozolnej i wytrwałej pracy p. Jastrzębskiego; 4) nareszcie oburzeniem na moją ochoczość odsunienia od wszelkiej zasługi pracowitego rodaka. Piękne to są zaiste pobudki do szermierki ze mną; ale, skoro Przegląd w pierwszym i drugim artykule swoim utrzymuje, że zostałem od korespondenta paryskiego na głowę porażonym, już tem samem przyznaje, że pan Jastrzębski jego bitnych posiłków nie potrzebował. Ja przydam do tego, że, gdyby nawet łaskawa fortuna, jako jest pani niestała z przyrodzenia, dozwoliła mi była odnieść walne zwycięstwo nad korespondentem paryskim, jeszcze i natenczas obyłoby się było bez posiłków Przeglądu, bo sam pan Jastrzębski samem ukazaniem mi wielkich swoich odkryć mógł mnie, jak niegdyś bogini mądrości pokazaniem głowy Meduzy, z zadumienia w niemy głaz zamienić. Wyprowadził więc Przegląd swoje potężne zastępy przeciw mnie nie tylko niepotrzebnie, ale nawet nieszlachetnie, bo przeciw pobitemu; lubo zaprzeczyć nie można, wystąpił tu bardzo politycznie, jak robią nieraz mocarstwa pierwszego rzędu, obracające oręż przeciw pobitym. Coś, jakoś tęgi dyplomatyk z tego pana Przeglądu!

Co do samych pobudek, które Przegląd do wmięszania się w spór mój z korespondentem paryskim nakłoniły, nie ma co mówić, są one bardzo szlachetue i chwalebne; tylko szkoda, że Przegląd nie zastanowił się nad tem, że te samiuteńkie pobudki także mną i piórem mojem kierowały. I ja sądziłem, że mi nie wolno być obojętnym w kwestyi naukowej, którą znam dobrze; i ja chciałem przynieść objaśnienia i fakta, o których korespondent Gońca nie wspomniał; i ja, znając dobrze nie tylko mozolne, ale nawet olbrzymie prace Bzowskich, Albertrandych, chciałem także dać świadectwo i hołd należny zasłudze, pilności, nauce; i mnie oburzyła ochoczość do usunienia od wszelkiej zasługi mężów daleko uczeńszych, daleko pracowitszych od nas wszystkich razem, z którymi i o których spór, nie wyłączając z tego towarzystwa i Przegląd, mężów, jakimi byli Bzowski i Albertrandy, mężów, którzy, od świętej pamięci policzeni między umarłych, krzywdy na tym padole płaczu sobie wyrządzonej sami dochodzić nie mogą. Prócz tych pobudek Przeglądowych miałem ja jeszcze ważniejszą do starcia się z korespondentem paryskim. Bolało mię utrzymywanie, że naród nasz dopiero w r. 1848 wydał człowieka dbałego o pomniki ojczyste, co pierwszy z Polaków przedarł się do wnętrza archiwum watykańskiego i w niem odkrył niesłychanie ważne materyały do dziejów i rzeczy polskich, a odkrył to po Bzowskich, Albertrandych, którzy zatem szukać zapewne nie umieli i nie chcieli, bo podobno nie o archi-

wum samo, ale tylko o archiwistów zawadzili. Stanąłem zatem w obronie mężów bardzo uczonych i zasłużonych, zakonnika i biskupa, przeciw mniej uczonemu i mniej zasłużonemu człowiekowi świeckiemu, w obronie umarłych przeciw żyjącemu. Już ta sama jedna okoliczność powinna była wstrzymać pobożny Przegląd od zapędów przeciw mnie, powinna była rozbroić nieubłagany gniew jego. Ale gdzie tam, szczypie, kąsa mię, jak jakiego bezbożnego Lichtfreunda.

A nasamprzód powiada, żem poruszył niezmierną liczbę kwestyj do sporu nie należących, aby jako tako z boju się wycofać. Ktokolwiek z uwagą cały spór mój z korespondentem paryskim czytał, przyzna zapewne, że się zawsze jednego i tego samego trzymałem, nie zboczywszy od kwestyi głównej ani na krok w lewo lub w prawo. Od początku sporu utrzymywałem i utrzymuję przeciw twierdzeniu korespondenta i Przeglądu: 1) że p. Jastrzębski nie pierwszy z Polaków był w archiwum watykańskiem. 2) Że w archiwum tem po Bzowskim i Albertrandym nic nowego do rzeczy polskich nie odkrył i odkryć nie mógł. 3) Że archiwum watykańskie nic ważnego, skądinąd nieznanego do dziejów i rzeczy polskich nie zawiera. 4) Że prócz polskiego (si Diis placet) kościoła św. Stanisława innych kościołów polskich w Rzymie nie ma. Wszystko zaś to utrzymywałem i utrzymuję na zasadzie znajomości dzieł Baroniusza, Bzowskiego, Raynalda, Bulariów i stu innych tego rodzaju; na zasadzie spisu wyciągów Albertrandego, który czytałem, na zasadzie znajomego mi świeżego spisu rzeczy polskich i ruskich w archiwum watykańskiem, uskutecznionego przez Mariniego, konserwatora tego archiwum, nareszcie na zasadzie spisu pana Przeździeckiego i znajomości mnóstwa źródeł bibliograficznych.

Przegląd, mięszając się w ten spór, mógł go natychmiast przeciąć, jak niegdyś Aleksander W. węzeł gordyjski, samem wyłuszczeniem odkryć pana Jastrzębskiego. Gdyby był powiedział: Pan Jastrzębski odkrył takiego a takiego annalistę przedgallowego, taki a taki statut nieznany przedwiślicki, taką a taką pieśń polską przed Boga rodzicą, lub t. p., uderzyłbym się był w piersi i przyznał, żem względem pana Jastrzębskiego ciężko zgrzeszył. Ale zamiast wymienienia odkryć pana Jastrzębskiego, Przegląd zjeżdża na kardynała Mai, na Żyrowice, na jakieś tam kościoły polskie w Rzymie i t. p., a gdy mu na te zboczenia odpowiadam, on poruszenie przez siebie odrębnej od sporu kwestyi na karb mój zwala, a srożąc się, gromiąc, przyznając się do nieścisłości, objaśniając się, argumentując, a nawet moralizując, po staremu i po swemu dowodzi znowu, że nielitościwie bogowie odmówili mu zupełnie daru zastanawiania się nad tem, co pisze, że przedmiot, o którym spór, zaledwie zna powierzchownie, a zatem wmięszał się do niego nie tylko niepotrzebnie, ale nawet lekkomyślnie, bo się wpierw nie obrachował z swemi siłami i quid humeri valeant. Upraszając

łaskawego czytelnika o cierpliwość, zaraz mu to dowiodę analizą artykułu Przeglądu.

1. Przegląd utrzymuje, że przygotowane do druku materyały p. Jastrzębskiego, zebrane w archiwach rzymskich, muszą być ciekawe, alias ważne, bo .... ale zgadnież też czytelnik, dla czego muszą być ważne? Oto dla tego, że tak oświecony obywatel, jakim jest p. Adam Potocki, nie chciałby łożyć kosztu na ich druk, gdyby nie były ważne. Nie ubliżając w niczem nauce innego rodzaju, światłu a nadewszystko dobrym dla kraju chęciom pana Adama Potockiego, cóż mi to za dowód ważności materyałów, o których mowa? Jak można tu było powoływać pana Potockiego na sędziego, gdy jeszcze nie złożył najmniejszej próby znawstwa takiego rodzaju? Gdy się Przegląd nie mógł odwołać do świadectwa jakich Czackich lub Ossolińskich, lepiej było ten dowód schować do kieszeni.

Ale pozwólmy, że pan Adam Potocki jest w tej sprawie właściwym sędzią. Przed rokiem 1848 chciał on łożyć koszt na druk materyałów pana Jastrzębskiego, ale kto wie, (łaska pańska na pstrym koniu jeździ) może zamiar swój porzuci. W takim razie cóż się stanie z ważnością zebranych przez pana Jastrzębskiego materyałów? Oto każdy powie: przed rokiem 1848 uznawał je pan Potocki za godne druku, dziś po ściślejszej rozwadze, po dojrzalszym wieku inaczej o tem sądzi, muszą zatem być nic warte. Tym sposobem przecina nawet Przegląd p. Jastrzębskiemu wszelką appellacyą do właściwego sądu i odejmuje mu jedyną pociechę utrapionych autorów w owem: lis pendet adhuc sub judice. Na obronę Przeglądu powiedzieć jednak muszę, że p. Jastrzębskiemu nie chciał wypłatać tego figla, uwikłał się tylko w takie siecie zwyczajnym sobie brakiem zastanowienia się nad tem, co pisze.

2. Przegląd urzymuje, że dzieła, jak Starożytna Polska, które z natury swojej są kompilacyami za nowe książki uważać trudno. Tymczasem każdy kodeks dyplomatyczny, każda historya traktująca o przeszłości, każdy zbiór uchwał, każda gramatyka, każdy słownik jest kompilacyą dawnych dokumentów, faktów i zdarzeń, form i prawideł, nareszcie wyrazów, które są dawniejsze od wszystkich zabytków piśmiennych. Idzież zatem, że kodeks dyplomatyczny, albo historya n. p. grecka, zbiór konstytucyj sejmowych, gramatyka albo słownik, wydane w r. 1850, są dziełami starożytnemi?

3. Przegląd, objaśniając pole odkryć p. Jastrzębskiego, twierdzi w drugim swoim artykule, że relacye nuncyuszów papieskich nie tylko się w archiwum watykańskiem w oryginałach i w kopiach znajdują, ale i po innych bibliotekach rzymskich, i odwołuje się w tem do świadectwa Przeździeckiego. Lubo się samo przez się rozumie, że nuncyusz papieski nie posyłał swoich relacyj przeorowi dominikańskiemu,

lub t. p. w Rzymie, ale samemu papieżowi, a ten składał je w Watykanie, pozwalam jednak, że pan Jastrzębski odkrywał te ciekawe relacye w innych archiwach i bibliotekach rzymskich, wszakże mimo tego Przegląd, unikając Scylli, wpada w Charybdę. Spór bowiem był o to: czy p. Jastrzębski co nowego i ważnego do dziejów Polski w Rzymie odkrył. Przegląd, przenosząc te mniemane odkrycia ciekawych relacyj z Watykanu do innych archiw (!) i bibliotek rzymskich, dowodzi, że nie wie, iż Albertrandy w wszystkich tych archiwach i bibliotekach był i z nich wyciągi do kraju przywiózł. Zresztą, ponieważ tu jest mowa o relacyach nuncyuszów papieskich, napomknąć muszę nawiasem, że nie tylko po archiwach i bibliotekach rzymskich, ale znajdują się one i u nas w licznych egzemplarzach, a Janocki w spisie rękopismów biblioteki Załuskich powiada pod nr. 143: »De relationibus nunciorum apostolicorum ad Maximos Ecclesiae Romanae Pontifices, codices quam plurimi.« (w bibliotece Załuskich).

4. Przegląd w przekonaniu, że o Garampim i jego pracach uczonych nie można się już znikąd więcej dowiedzieć tylko z Przeździeckiego, przypisuje zapoznanie się moje z Garampim i jego pracami łasce Przeździeckiego, i tym sposobem wykrywa swoją niewiadomość, a wykrywa ją jedynie z braku zastanawiania się nad tem, co pisze. Nie sam tylko Przeździecki wspomniał o indeksie Garampiego dokumentów watykańskich, odnoszących się do Polski. Już to zrobił przed 55 laty Marian de Romanis, umieściwszy na czele 1-go tomu katalogu książek Garampiego biografią tego męża i wyliczywszy w niej wszelkie prace jego, naukowe, dyplomatyczne i t. p. Po nim w roku 1834 objął biografią Garampiego Ciampi w swojem dziele: Bibliografia critica delle antiche corrispondenze dell' Italia colla Polonia, a lubo z biografii napisanej przez Mariana de Romanis nie korzystał, przecież z listów Franciszka Concellieri, sekretarza Garampiego w Warszawie, przytacza o indeksie archiwum watykańskiego sporządzonym przez Garampiego wyrazy: »I materiali per buona sorte si conservano nell' Archivio segreto del Vaticano, ove ha lasciato (Garampi) gli indici più esatti, e copiosi di tutte le memorie ivi raccolte.« Nie dowiedziałem ja się jednak z tych źródeł o indeksie Garampiego, ale z listów Albertrandego z Rzymu pisanych.

5. Przegląd utrzymuje, że z przytoczeniami z Pruszcza wyjechałem post festum, żem to był powinien zrobić przed wskazaniem sobie faktu, że uczoność powinna się w porę pokazać i t. p. Pytam bezstronnego czytelnika, czy tu Przegląd pokazał aby za złamany szeląg zastanowienia się nad tem, co pisze? Jaż miałem w sporze o odkryciach p. Jastrzębskiego w Rzymie pleść o kościele bazyliańskim w Żyrowicach w Litwie wpierw, nim kościół ten Przegląd poruszył? Czyż mogłem pomyśleć, że on kościół w Rzymie darowany uniatom za polski

uważać będzie? Podług niego więc wmięszanie czego odrębnego w kwestyą główną jest uczonością w porę, dla tego też w pierwszym artykule wmięszał w spór Maja, jak Piłata w Credo.

6. Przegląd odpowiada na moje twierdzenie, że listy i relacye nuncyuszów papieskich o Polsce nie są ciekawe: »iż woli pozostać przy swojej skromnej niewiadomości, pełnej uszanowania dla każdego dokumentu, choćby ubocznie dotykającego dziejów narodowych, jak się piąć na szczudła pedantyzmu, lekceważącego prawa innych, pomiatającego wszystkiem, co mu nie jest znanem, z pogardą odrzucającego naprzód każdy nabytek, którego wpływu na rozświecenie historyi naszej od razu dobitnie nie widzi«. Tu znowu nie zastanowił się nad tem, co pisze; nie zastanowił się nad znaczeniem wyrazu pedantyzm. Nie ten jest pedantem, który nie do każdego pomnika piśmiennego z wieków upłynionych ważność naukową przywięzuje, ale ów, który każdy szpargał stary uważa za ciekawy, jak np. Przegląd, który relacye nuncyuszów papieskich uważa za ciekawe, chociaż próbkę takiej ciekawości ma w zbiorze Pamiętników Niemcewicza o dawnej Polsce, który jeszcze, wiedzieć trzeba, samę, jak mówią, kwintesencyą z nich wyciskał. Nie zastanowił się nad tem, że, aby w skromną jego niewiadomość uwierzono, trzeba ją było w inną barwę słów i wyrażeń przybrać; bez tego przykrycia pokazuje ona się tem, czem istotnie jest, to jest nagą, dumą, płaszczem żebrackim Dyogenesa, z którego każdej dziury pycha głowę wytyka.

7. Przegląd mówił na koniec: »Co do kościołów, p. S. M. na grubej niewiadomości schwytany, ratuje się teraz szerokimi wywodami, jak i kiedy który z nich był uposażonym, czy była gmina polska w Rzymie, czy się nabożeństwo w polskim języku odbywało? Wszystko to bardzo zajmujące, tylko że o żaden z powyższych szczegółów nie szło. Korespondent Gońca nadmienił, iż jeden z rzymskich kościołów, odnoszący się do Polski swą fundacyą i pamiątkami, odszukanym został przez p. Jastrzębskiego. P. S. M. wyśmiał to doniesienie i, wiedząc o jednym podobnym kościele, to jest o kościele św. Stanisława biskupa, wystąpił z jego opisem«. Znowu i tu okazał Przegląd brak zastanawiania się nad tem, co pisze. Twierdzi, że co do kościołów polskich (si Diis placet) w Rzymie schwytany zostałem przez niego na grubej niewiadomości, a jeszcze mi nie pokazał ani jednego kościoła polskiego w tej stolicy chrześciaństwa prócz kościoła św. Stanisława, który przynajmniej na pół za polski uważać można. Niech mi wpierw inny kościół polski, ale polski fundacyą i utrzymywaniem, polski nabożeństwem w języku polskim, polski własnością i kollacyą polską, w Rzymie ukaże, a wtenczas dopiero będzie mógł powiedzieć, że mnie schwytał na grubej niewiadomości co do kościołów polskich w Rzymie. Dotąd rzucenie mi w oczy tej grubej niewiadomości

jest niczem więcej tylko brakiem zastanowienia się Przeglądu nad tem, co pisze. Kościołów odnoszących się do Polski nagrobkami, pomnikami, a nawet gdzieś niegdzieś i fundacyą jest pełno nie tylko w Rzymie, ale i w Niemczech i Francyi i w Włoszech, nie są one przeto polskimi. Zresztą tak Przegląd jak i p. Jastrzębski nadaremny, powtarzam, podejmują trud w odkrywaniu kościołów w Rzymie. Są one już od dawna odkryte, w rozmaitych językach europejskich co do daty swoich fundacyj, pomników itp. dokładnie opisane[1]). Przegląd zamienił wprawdzie teraz odkrycie na odszukanie, ale ja się trzymam pierwszego wyrażenia jego, bo się poprawił post festum.

S. M.

G. P. nr. 83 z 10 kwietnia 1851.

XVIII.

Paryż, 27 lutego 1851.

(Demokrata polski i gastronomia polityczna. — Karnawał. — Bank emigracyi. — Śmierć pani Dobrskiej. — P. Walewski dziewosłębem. — Jenerał Aupick. — Mathilde. — Feletony pana Circourta. — Przygody baronowej Beck. — Wiadomości o emigracyi w Grecyi.)

W numerze 5 Demokraty polskiego prostuje p. Worcel »w imieniu i z polecenia centralizacyi« omyłkę drukarską, która i mnie bliżej obchodzi. Czytelnicy Gońca przypomną sobie może, że w jednej z moich korespondencyj doniosłem o odezwie centralizacyi[2]) zamieszczonej w 1-szym numerze Demokraty, w której się znajduje ustęp: »dla ludów europejskich wyzwolenie polityczne i społeczne, a dla nas, dla Polaków, narodowość, ojczyzna itd.« W prostocie ducha myślałem, że tu żadnej omyłki nie ma, że tu bardzo jasne i prawdziwe wypowiedzenie naszych myśli i obowiązków, i z całej duszy się ucieszyłem. Radość przedwczesna! P. Worcel, aby nie myślano, »że Towarzystwu demokratycznemu idzie już tylko o narodowość,

---

[1]) Kościołem polskim, o którego odszukaniu nasz korespondent paryski wspominał, jest kościół św. Brygidy, założony przez Wazów. Pan Jastrzębski w Rzymie, a Sienkiewicz w Paryżu między papierami Sieniawskimi, odkryli jego akta fundacyjne. Przyczyny, które zmuszały dotychczas naszego korespondenta i nas do nie wymienienia nazwiska tego kościoła, już ustały. Zresztą jest wszelka nadzieja, że papież go odda polskim księżom. (Przyp. Redak.)

[2]) Zob. wyżej list nr. XIV, str. 98 i 99.

i przedewszystkiem (więc nawet i nie przedewszystkiem?!!) o narodowość«, oświadcza, iż ustęp powyższy fałszywie był w Demokracie wydrukowanym, i że właściwe jego brzmienie jest: »dla ludów europejskich wyzwolenie polityczne i społeczne, a dla nas, dla Polaków, okrom tego, narodowość, ojczyzna, itd.« Tak poprawiwszy z polecenia centralizacyi omyłkę, pozostałoby mi tylko dodać z Perrinem Moliera: »je vous demande pardon, d'avoir eu une trop bonne opinion de vous.« Ale uważam za konieczne dodać jeszcze kilka wierszów, w których centralizacya objaśnia myśl swoją. »Odzyskanie (mówi dalej pan Worcel z polecenia i w imieniu centralizacyi) przez Polskę niepodległości, jest wyzwoleniem politycznem; zniesienie czynszów, pańszczyzny, nadanie włościanom własności gruntowej bezwarunkowe i usamowolnienie pracy, jest wyzwoleniem socyalnem«. Na tem bym mógł zakończyć, gdybym tylko wiedział, co właściwie centralizacya rozumie pod »usamowolnieniem pracy«? Że to ma być socyalizm, rzecz jasna; ale mniej jasna, jakiegoż to rodzaju socyalizm, przez jakiż to system nasza biedna Polska ma »usamowolnić pracę«: czy przez system pana Proudhona lub Blanca, Fouriera lub Cabeta?... Spodziewam się, że mi tego niedyskretnego pytania za złe nie wezmą. Mirabeau opowiada gdzieś o kurczętach zwołanych przez kucharza i pytanych przez niego, w jakim sosie życzą sobie być zjedzone: »mais nous ne voulons pas du tout être mangés«, odpowiedziały na to kurczęta... Ja tak bezwstydnym nie będę, nie powiem, jak owe kurczęta, że wcale nie chcemy, aby nas zjedli... boby to Demokrata nazwał reakcyą, arystokracyą, monarchizmem. Zapytam się tylko, w jakim to sosie mają nas zjeść, czy à la sauce piquante Proudhon, lub à la sauce moutarde Blanc, albo wreszcie à la sauce poivrade Cabet?...

Choć nie nad wulkanem (bo ten wulkan socyalizmu u nas »dymi tylko przez słowa«), tańcujemy tutaj z całą furyą »Polka mazurki« (czy ta nowa forma kręcenia się

znana już w Bazarze waszym?) i, jak mówi Shakespeare, »gładką posadzkę zwinną łechtamy podeszwą«. Doniosłem już w przeszłej korespondencyi[1]) o balach w hotelu Lambert, którym wtórują teraz inne wieczory mniej lub więcej tańcujące, dawane przez czas karnawału po dostojniejszych domach polskich tutaj. Wieczory te mają i tę korzyść, że zbliżają rozstrzelonych po tem wielkiem mieście obywateli polskich i przyczyniają się do bliższych znajomości i stosunków. Ja, który chociaż demokratą, nie jestem nim jednak na wzór spartański, i który wręcz wyznaję, żebym nie przestawał na czarnym rosole, ani chciał, abyśmy się dla wolności i równości zanudzili, ja naturalnie nic nie mam przeciwko tym wieczorom, zwłaszcza, że panie nasze tak liczne dają dowody, iż umieją łączyć zabawy z dobroczynnością i że rączki ich jeszcze zwinniejsze od nóżek. O tem już przekonać może wyszłe w tych dniach sprawozdanie banku polskiego dla emigracyi przez damy nasze założonego, a o którym już doniosłem. Według tego sprawozdania przychód banku (od 12 stycznia do 15 lutego) wynosił 2538 franków, z których pożyczono trzem osobom po 100 fr., 32 po 50 fr., 1 po 60 fr., 6 po 40, 4 po 30, 5 po 25 a 1 po 15 fr. Jeden paragraf sprawozdania brzmi: »Z prawdziwą pociechą bank zaświadcza o akuratności, z jaką szanowni rodacy wypłacają się«. Pozwalam sobie jeszcze raz zwrócić uwagę kraju na tę tak dobroczynną i piękną instytucyą, zwłaszcza, że Goniec codzień prawie zdaje sprawę licznych składek we W. Księstwie na rzecz naszego biednego wychodźtwa.

Pochowaliśmy wczoraj panią Dobrską, która się nagle po długich cierpieniach moralnych i fizycznych rozstała z tym światem. Młoda ta Polka ciężkie wytrzymała próby w ostatnim peryodzie swego tak krótkiego a tak bolesnego życia, bo w 20tym zaledwie roku już zakoń-

---

[1]) List, o którym tu mowa, musiał w drodze zaginąć, bo nie doszedł rąk naszych. (Przyp. Redak.)

czyła swoją tak bolesną pielgrzymkę ziemską. Córka to nieszczęść i bólu, córka naszego pułkownika Zaliwskiego, znanego ze swojej wyprawy i z długich męczarń więzienia austryackiego, którejśmy towarzyszyli wczoraj do miejsca ostatecznego spoczynku po tak smutnem, tak doświadczonem a tak młodem jeszcze życiu! Boże, świeć nad jej duszą, a wy, polskie niewiasty, westchnijcie nad grobem tej waszej siostry, której ostatni wzrok, rzucony koło siebie, widział tylko rozpacz i — nędzę!

Zmiany zaszłe wczoraj w sferze dyplomacyi francuskiej i nas się pośrednio tyczą. Przeniesienie jenerała Aupick ze Stambułu do Londynu wpłynie także i na nasze stosunki na Wschodzie, i niestety, o ile wnosić można, nie zbyt korzystnie. Bo jen. Aupick, który od tak dawnego już czasu zasiadywał w Stambule, był w ścisłych stosunkach z ks. Czartoryskim, pułk. Zamojskim, Bystrzonowskim i z Michałem Czajkowskim. Na ważnem stanowisku, które zajmował, miał on nieraz sposobność oddać nam za pośrednictwem wyż wymienionych osób wiele wielkich, choć nie głośnych usług. Do Michała Czajkowskiego jeszcze w ostatnich czasach napisał list z oświadczeniem, że zmiana wiary nie zmieni szacunku i przywiązania, które oddawna dla niego powziął; jemu też najbardziej jenerał Dembiński zawdzięcza szczęśliwe zakończenie swego internowania. Łatwo więc sobie wystawić, jak bolesnem jest dla nas przeniesienie jen. Aupick do Londynu, zwłaszcza, że jego zastępca, pan de la Valette, ma bardzo sprzyjać Moskwie i według wszelkiego podobieństwa w myśli elizejskiej osobistej polityki, która teraz się bardzo o przyjaźń Mikołaja stara, na Wschodzie działać będzie.

O wiele mniej, bo właściwie tylko z powodu nazwiska polskiego, obchodzi nas mianowanie pana Walewskiego ambasadorem w Hiszpanii. Pan Walewski jest krewnym prezydenta rzeczypospolitej i oddawna już lancé, jak to mówią, w karyerze dyplomatycznej. Misya poru-

czona mu teraz przez prezydenta należy do najdelikatniejszych. Ludwik Napoleon od pewnego czasu jest à la recherche d'une position sociale, czyli, wyraźniej mówiąc, szuka żony. Chodziła nawet pogłoska, że nawet o córce Mikołaja zamyślał, ale że się układy rozbiły o odrzucenie dotacyi przez izbę; co niewyczerpanemu w kalamburach p. Dupin miało dać sposobność do powiedzenia: »ce n'est pas une dotation, c'est une dot qu'on vient de rejeter«. Cokolwiekbądź, to zdaje się pewnem, że prezydent już zrezygnował co do córki carów i rzucił okiem na »zaśnieżną Pirenę«, mówiąc stylem Dmóchowskiego. Na nieszczęście dwie aż kandydatki do ręki prezydenta w Hiszpanii. Jedna bez realów, ale realna infantka, siostra królowej Izabelli; a tę ofiaruje Narvaez. Królowa zaś Krystyna, nieprzyjaciółka teraz Narvaeza, swata prezydentowi inną ze swoich córek, którąby tylko przez grzeczność infantką nazwać można było; bo to właściwie córka z łoża lewego, panna Munoz. Lekkość pochodzenia chce Krystyna zrównoważyć jednym z tych ciężkich worów, które podczas swego panowania konserwatywnie, jeśli nie konstytucyjnie, sobie zaskarbiła. Prezydent jest teraz, jak Herkules na rozdrożu; wolałby, jak to zrobił Jakób, gdy błogosławił synów Józefa, albo, jak to teraz jeszcze robią czasami przy fortepianie, wolałby, mówię, krzyżować ręce i wziąść zarazem posag z lewej i pannę z prawej ręki... Otóż tę tak delikatną misyą poruczono panu Walewskiemu, i jeśli mu się uda, drugi to będzie Polak, co uprowadził infantkę hiszpańską, tylko z większą jak pierwszy bezinteresownością, bo nie dla siebie.

Ponieważ już się zapuściłem w świat wyższej polityki, opowiem także anegdotę ciekawą z tego świata, za której autentyczność ręczę, ale której dla pewnych przyczyn nie wolno mi w całości opowiedzieć. Boerne mówi gdzieś, że domyślniki to karty wizytowe, które od siebie próżne myśli przesyłają czytelnikowi, nie chcąc mu osobiście wizyty oddać. Ja tylko mogę zaręczyć, że myśli

moje nie z dumy, ale z prawdziwej niemożności oddania wizyty załączają tu swoje karty. Wracam do rzeczy. Nie wyrządzę czytelnikom Gońca tej obrazy, abym się ich miał pytać, czy czytali romans: Mathilde, mémoires d'une jeune femme. Otóż, niechże sobie łaskawie wystawić raczą, że ten romans wyszedł teraz w nowem, zupełnie zmienionem wydaniu, że bohaterka nie jest żoną Ulryka, ale jakiegoś bardzo bogatego kniazia północy, że jest córką Hieronima, który dawniej był królem (tam, gdzie niedawno jeszcze odbyła się sławna walka konstytucyjna), a teraz jest pierwszym z inwalidów; że bohaterka żyje w separacyi z mężem i dostaje od niego na rozkaz największego kniazia bardzo znaczną roczną pensyą; że bohaterka odmówiła swemu ojcu kilkudziesięciu tysięcy franków, które od niej chciał pożyczyć, a rozgniewany ojciec napisał do swego zięcia list z objawieniem pewnych peccadillek, w skutek czego kniaź odmówił swej żonie pensyi rocznej, a żona wytoczyła z powodu tego skargę przed największym kniaziem. Jeśli to sobie łaskawi czytelnicy Gońca wszystko raczą wystawić i przejrzeć przez zasłonę, którą według sił przezroczystą zrobiłem, dowiedzą się wtenczas o awanturze, która jest teraz przedmiotem różnych dowcipnych i złośliwych uwag i niewyczerpanym tematem rozmowy świetnych salonów paryskich.

Gdy już mowa o awanturach, wspomnę także o: Aventures de la Baronne Beck, które od tygodnia Constitutionnel ogłasza w swoim feletonie. Jest to opis przygód swoich podczas wojny węgierskiej, które baronowa Beck dosyć zabawnie kreśli, choć nie bez rażącej pretensyjności i zupełnie niekobiecego popisywania się swymi czynami. Opowiada ona różne koleje swojej emisarki, bądź do Wiednia i Kromieryża, bądź do Galicyi, do której ją używali Kossuth, Görgey i śp. Woroniecki. O Polakach dotychczas mało co wspomina, ale zawsze z wdzięcznością i miłością. Jeźliby coś nas bliżej obchodzącego w toku swego

opowiadania zamieściła, nie omieszkam wówczas zwrócić na to uwagę czytelników Gońca. Dziennik legitymistyczny Opinion publique, organ hr. de St. Priest (byłego gubernatora Odesy i ojca znanego już nam p. Alexis de St. Priest), ogłasza teraz w swoim feletonie pracę dobrego naszego przyjaciela, pana de Circourt. Jest to opis podróży do Petersburga odbytej w roku 1837. Pan Circourt jest naturalnie wielkim wielbicielem Mikołaja, unosi się nad szczęściem, którego wszystkie ludy pod jego »łagodnem berłem« doznają, i wciąż zaręcza, że jest chrześcianinem i katolikiem.

Wiadomości, któreśmy odebrali z Grecyi są bardzo smutne. Żadnemu z wychodźców pod żadnym pozorem paszportu wydać lub wizować nie chcą. Trzymają ich jak w kwarantanie, starają się ogołacać z wszystkich środków, przeszkadzać wszelkiemu zarobkowi, aby tylko zmusić do zażądania amnestyi. Wskutek nalegania posła austryackiego i moskiewskiego, rząd grecki nakazał rozwiązanie komisyi emigracyjnej, która pod naczelnictwem Milbitza zajmowała się losem biednych wychodźców, a o której już w swoim czasie doniosłem.

G. P. nr. 52 z 4 marca 1851.

XIX.

Paryż, 10 czerwca 1851.

(Polemika niepolemiczna. — Bank emigracyjny. — Towarzystwo literackie. — Ks. Wasilewski. — P. Levitoux. — Publikacye emigracyjne. — Legendy demokratyczne Micheleta. — Moskwa i grób święty. — Siècle o internowaniu jenerała Wysockiego. — Wiadomości z Grecyi.) [1]

Po długiej przerwie, za którą szanowną redakcyą Gońca najusilniej przepraszam, wracam znowu do dawnego obowiązku korespondenta z ponowieniem dawnego zastrze-

[1] Listy korespondenta naszego paryskiego, jako mniej związane z bieżącą polityką francuską, w feletonie nadal podawać będziemy. (Przyp. Red.).

żenia, że tylko o sprawach i wypadkach wyłącznie Polski się tyczących donosić będę. To też niechaj i nadal będzie usprawiedliwieniem nie zbyt częstego wystąpienia; gdyż zaiste, gdybym chciał i musiał w regularnych peryodycznych odstępach korespondować, nierazby mi wtenczas przyszło, według pruskiego przysłowia, »meldować, że nic nie ma do meldowania.«

I nateraz cały plon nowin z pola emigracyjnego dwoma palcami dałby się objąć. Bo przecież do nowin nie mogę policzyć politycznych i polemicznych deklamacyj brukselskiego Demokraty Polskiego, o których wprawdzie bardzo wygodnemby było długo się rozpisywać, choć nie bardzo godnem. Ależ to wszystko nie nowiny: te insynuacye, złośliwości, podejrzenia i potwarze są tak stare, jak świat, który sobie Demokrata Polski oddawna ad usum Delphini Pszonki stworzył, i nad którym ad majorem gloriam centralizacyi panuje. Korzystam nawet z tej sposobności, aby raz na zawsze oświadczyć, że na obelgi i skrycie lub jawnie wymierzone pociski tego pisma na mnie lub na Gońca nigdy odpowiadać nie będę. Dałem nie raz dowody, że polemiki nie unikam, zarzucano mi nawet, że jej zbyt skwapliwie szukam. Nie unikałem lub szukałem jej, wszędzie, gdzie była dobra wiara lub przynajmniej godziwy, przyzwoity sposób wyrażania się z drugiej strony; ale z Demokratą, który mnie na równi z pisarzami Dziennika Warszawskiego p. hrabiego Rzewuskiego stawia (»Wär' die Geschichte nicht so verflucht gescheidt, man wäre versucht, sie herzlich dumm zu nennen« powiedziałbym tu z Wallensteinem), z nim polemizować, byłoby tylko abdykacyą wszelkiej osobistej godności. Błotem na błoto odrzucać ani chcę, ani mogę, bo ja jeszcze dbam o czystość rąk moich.

Przejdźmy lepiej do mniej hałaśliwych, ale rzetelniejszych rzeczy, i do ludzi, którzy, w ścieśnionym obecnie zakresie działań, robią, co mogą, dla dobra ogółu. Przedewszystkiem wymienić tu muszę bank polskiej emigracyi,

o którego założeniu i prędkim wzroście w swoim czasie doniosłem. Z prawdziwą radością przychodzi mi i teraz donieść naszym rodakom, że ta tak dobroczynna jak dobrze pomyślana instytucya coraz bardziej się wzmaga i coraz piękniejsze na przyszłość obiecuje owoce. Ma ona kapitału przeszło 14,000 franków: suma na nasz obecny stan i towarzyszące mu okoliczności nie mała; a obrót tego kapitału, wpływ i wypływ, odbywają się z regularnością, sumiennością i wyrozumiałością, które jak najpochlebniejsze dają świadectwo tak o przezorności i pieczołowitości opiekunów, jak i o szlachetnem i mimo tylu ciężkich doświadczeń nieskażonem usposobieniu naszego wychodźtwa.

Nie mniej pocieszającem jest krzątanie się Towarzystwa literackiego, którego odezwę Goniec już przed miesiącem wydrukował. Czy i o ile zamiary wyrzeczone tam przyjdą do skutku, powiedzieć jeszcze teraz trudno, gdyż wszystko zawisło od mniejszej lub większej liczby ofiar, które kraj będzie wstanie na to łożyć. W każdym razie poczęta robota ma już to w sobie dobrego, że wywołała pewien ruch w gronie naukowem i literackiem wychodźtwa, że obudziła uśpione przez długi czas chęci i przedsięwzięcia, że stała się ogniskiem różnych zachodów i przyczyną zbliżenia się rozstrzelonych oddawna w przeciwne kierunki umysłów. Wielu dawnych członków Towarzystwa, którzy się byli oddalili przez brak wszelkiego zatrudnienia i myśli ku jakiemu wspólnemu działaniu, znowu teraz wróciło i bardzo czynnie się ożywieniem koła zajmuje. Mickiewicz szczególniej, który od niedawnego czasu opuścił dawne swoje mieszkanie na przedmieściu Batignolles, tem prawdziwem Tusculum naszych mistyków i duchoborców, i osiadł w samym środku Paryża, w tem quartier latin, które w naszej nowożytnej Babeli reprezentuje naukę, sztukę, prawodawstwo, a dalej na prawo i starożytność: arystokracyą; Mickiewicz, mówię, z właściwym sobie zapałem uchwycił tę nową myśl

rozleglejszego naukowego stowarzyszenia i okazuje gotowość do wszelkich, choćby najuciążliwszych formalnych robót. Wielu też i nowych członków wstąpiło do towarzystwa: między nimi i pan Leonard Chodźko. Spodziewać się także należy przystąpienia Bohdana Zaleskiego. Zaręczono mi także, że Towarzystwo zamierza mianować honorowym swoim prezesem zasłużonego weterana nauk historycznych u nas, Joachima Lelewela. Myśl tę ze wszech miar pochwalić należy, nie tylko jako słuszny hołd, oddany niezaprzeczonej zasłudze i czystemu katońskiemu życiu, ale nadto prezesostwo Lelewela nadałoby całej instytucyi prawdziwy naukowy charakter, któregoby nie miała pod przewodnictwem innej znakomitej osoby naszego wychodźtwa, wielkie wprawdzie, ale nie ściśle naukowe mającej znaczenie. Stary Lelewel spotkałby się tu na tułactwie w nowem tem naukowem towarzystwie z niejednym, któremu niegdyś w Wilnie w kole filaretów, filomatów i całego uniwersyteckiego życia nauką, patryotyzmem i cnotą przewodniczył, i jak w tej pięknej legendzie średnich wieków polegli rycerze jeszcze jako duchy w powietrzu dalej bój prowadzili, tak i tu po długiej przerwie zebrani w jeden szereg rodacy prowadzić będą dalej ten bój duchowy, niegdyś pod tem samem przewodnictwem na ziemi polskiej rozpoczęty.

Tu w Paryżu rozstał się ze światem po długich cierpieniach ksiądz Jan Dąbrowski, kapelan wojsk polskich i świadek wielu wielkich czynów broni polskiej; umarł w szpitalu obłąkanych. Na żałobnem nabożeństwie, odbytem w kościele Notre Dame des Victoires, przemówił w krótkich, ale poważnych i patryotycznych słowach ks. Wasilewski z nowej emigracyi. Ustęp o Kordeckim i o bulli papieża Pawła IV do Polaków szczególne zrobił wrażenie. Powiadają (bo tylko relata refero), że ksiądz Wasilewski w tej swojej mowie wystąpił ostro przeciw księżom Zmartwychwstańcom, zarzucając im pewną patryotyczną chłodność i zbytnie oglądanie się za dominu-

jącemi teraz interesami. Arcybiskup paryski kazał sobie przetłomaczyć to kazanie i oświadczył swoje zadowolnienie. Ks. Wasilewski ma otrzymać posadę duchowną w Paryżu.

W tutejszym fakultecie medycznym złożył w tych dniach egzamin doktorski p. Levitoux, brat Karola Levitoux, męczennika polskiego, który się spalił w cytadeli warszawskiej. P. Levitoux potrafił szacunek, który budziło już samo jego niezatarte w dziejach naszego męczeństwa nazwisko, utrzymać i podwyższyć przykładnem, honorowem i skromnem, mozolnej pracy poświęconem życiem, i niezawodnie nie przesadzę, gdy powiem, że całe nasze tułactwo serdecznie winszuje młodemu koledze tego pierwszego powodzenia i szczerze mu dalszych i większych na przyszłość życzy.

Piękna praca naszego Feliksa Wrotnowskiego doczekała się zaszczytnego uznania w Revue des deux mondes, która atlas p. Wrotnowskiego nazwała najdokładniejszą geograficzną pracą około stron północnych po karcie Szafarzyka. Muszę tu jeszcze raz ponowić uwagę, że bardzoby było do życzenia, aby obywatele w kraju starali się rozpowszechniać to dzieło i, wynagradzając ziomkowi ukończoną pracę, ułatwiali mu ukończenie wielu innych poczętych a bardzo pożytecznych. P. Wrotnowski zamierza wydać nowy umiejętny słownik polski, do którego już dużo zebrał materyałów.

Mimo zaprzeczania kilkakrotnego w dziennikach polskich, bliscy znajomi Mickiewicza nie przestawają w zapowiadaniu drugiej częściej Tadeusza. Spodziewać się także należy bliskiego wystąpienia naszego Bohdana Zaleskiego z dwoma nowymi dramatami historyczno-legendarnymi. Tymczasem, w oczekiwaniu tych większych i godniejszych dzieł, musimy się kontentować małemi polityczno-mistycznemi publikacyami. I tak okazała się na horyzoncie wychodźtwa bezimienna mała broszurka, w kształcie listu starego emigranta do nowego, w której,

oprócz zwykłych waryacyj nad modnym tematem o Słowiańszczyźnie i Napoleonie, co innego jak tylko dobre chęci znaleść trudno; nie obeszło się tu wszakże bez obrotów i ewolucyj kolumn jasności i szarych duchów. Nie mniej też i pan J. B. Ostrowski wystąpił z nowem ulotnem pisemkiem w języku francuskim p. t. La Russie, którego bliższy rozbiór zostawiam sobie na przyszły raz. Czy do publikacyj Polaków mam policzyć i dzieło o instytucyach kredytu ziemskiego w Polsce, Prusach i Austryi, które p. Choński na rozkaz tutejszego ministra rolnictwa ułożył? P. Choński jest spółpracownikiem sławnego Constitutionnela, który niezmordowany jest w ohydzaniu Polaków i z szatańską zgrabnością gromadzi i zmyśla fakta dla oczernienia nas przed światem. To wszystko nie zniechęca wprawdzie p. Chońskiego do dziennika Vérona, ale nasby w końcu do pana Chońskiego zniechęcić mogło. Godne to przytem uwagi, że Polacy to przedewszystkiem, którzy swemi pismami dali we Francyi popęd do pomyślenia o kredycie ziemskim w tym kraju i wciąż tę ekonomiczną propagandę prowadzą. Inicyatywę w tem wziął nasz Cieszkowski dziełem o kredycie, które jemu i nam tyle sławy za granicą zjednało. Dalej tę myśl prowadził Wołowski, niezmordowany, choć dotychczas nie zbyt szczęśliwy adwokat kredytu ziemskiego w izbie prawodawczej. W końcu i p. Choński (jeśli tego jeszcze sub beneficio inwentarza do Polaków zaliczym) przyczynia się do rozpowszechnienia przekonania o konieczności tej instytucyi. Gdybym chorował na Słowianomanię, jak wielu z moich szanownych rodaków, widziałbym już w tem początek nowej gminno-władnej i rolniczej epoki, którą mamy inaugurować na zachodzie. Ale ponieważ się wystrzegam uogólniania pojedyńczych dorywczych faktów i boję się wytykać opatrzności drogi, któremi ma ludzkość nadal prowadzić, więc wolę nic nie spekulować, pomny szczególniej sławnych słów Mefistofelesa o zbytniem spekulowaniu. W poczet publikacyj polskich zaliczę wreszcie

biografię Bema, którą tu we francuskim języku wydał węgierski pułkownik Lajos.

Godzi się też przy tej sposobności wspomnieć o innej nowej publikacyi, która, chociaż nie polska, jednak Polskę obchodzić będzie. Mam tu na myśli Legendy Demokracyi sławnego historyka Micheleta, których ogłoszenie w swoim feletonie zapowiedział na ten miesiąc dziennik Wiktora Hugo, l'Evénement. W tem nowem dziele zamierza Michelet opisać życia i działania wszystkich sławniejszych męczenników wolności różnych narodów i wyraźnie przytem w programie oświadcza, że i polskich męczenników zamieści w tym epicznym cyklu demokratycznej Iliady. Myśl to nadzwyczaj piękna i szlachetna, i niezawodnie użyteczna. Zaprawdę, wielka jest potrzeba przypomnieć naszej apatycznej obecności, która tylko myśli o spokojności i o używaniu, która szydzi z wszelkich poświęceń i ze zmysłem Judasza za tyle i tyle srebrników gotowa przedać wszystkie wolności krwawo zdobyte i wszystkie wspomnienia krwawych ofiar poległych na niegdyś świętym ołtarzu; zaprawdę, wielka to potrzeba przypomnieć tych zapomnianych wielkich męczenników tej zapoznanej teraz, wielkiej myśli, i uchylić zasłony z tych ostrych stygmatyzmowanych twarzy: ich widok może odstraszy od złego . . . . . I pewnej części nawet naszej polskiej młodzieży nie zaszkodzi przypomnieć owych Łukasińskich, Konarskich, Zawiszów, Trynkowskich, Lewitów(!), Sierocińskich, i tych wszystkich, których za Polskę ścigał świat, za Polskę męczył kat, którym pierś palił skwarny brzeg, lub kryły oczy wygnań śnieg, i więziła cytadela . . .

Myśl piękna i użyteczna, ale, czy jej odpowie wykonanie? Michelet okazał wprawdzie wielki artystyczny talent w kreśleniu męczeństw; dość tu tylko przypomnieć ustęp o św. Tomaszu i o dziewicy Orleańskiej w jego historyi Francyi. Ale już tam ta właśnie artystyczność, ta sztuka w miejscu natury, odjęła wiele uroku, uroku

cichej wielkości i głębokiej prostoty kreślonym figurom. Od tego czasu umysł Micheleta coraz fatalniej zaczął ulegać temu sztucznemu, niespokojnemu, gorączkowemu kierunkowi; siła przeszła w gwałtowność, głębokość w mistycyzm, łagodne ciepło w żar dymiący, a odtąd, zamiast poważnego rysunku Leonarda da Vinci, widzimy na jego historycznych obrazach silny wprawdzie, ale konwulsyjny rysunek Michała Anioła. Czy taki styl może odpowiadać takiemu zadaniu? A to zamięszanie różnych i odrębnych funkcyj życia, to ciągłe przekraczanie różnych sfer ducha i kłócenie nieba z ziemią i naprzemian, które teraz tak cechuje Micheleta, jak wszystkich a szczególniej polskich mistyków, nie odejmież historycznej sztuce Micheleta pierwszego warunku takiej sztuki, warunku rozgraniczenia, plastyki, jasności? Mnie już pod tym względem sam tytuł zapowiedzianego dzieła, tytuł Legend, niepokoi. A bardziejm jeszcze niespokojny właśnie o te postacie polskie, które Michelet z męczeńskich grobów wywołać zamyśla. Brak gruntownej znajomości naszych dziejów potrafi może Michelet zastąpić historyczną intuicyą, w której celuje; zresztą spodziewać się należy, że przyjazna ręka Mickiewicza w tem mu dopomoże. Ale Michelet pała prawdziwie bezrozumną nienawiścią ku katolicyzmowi, uczynił wieczny rozbrat z chrześciaństwem; a jeśli jakie, to niezawodnie nasze figury męczeńskie tylko na złotem tle religii rysować się dają. Ja się boję, żeby wywołane cienie naszych Trynkowskich i Sierocińskich nie odpowiedziały Francuzowi, jak odpowiedział niegdyś cień Samuela Saulowi: »Pocoś moją spokojność zakłócił?«

Ale spostrzegam się, że piszę recenzyą przed dziełem (co się zresztą może niejednemu recenzentowi zdarzyło) i w miejscu do tego najmniej stosownem. Wracam więc do mego przedmiotu, do polityki.

Roszczenia rosyjskie do świętego grobu nie zrobiły tu żadnego wrażenia i nie oburzyły w niczem religijno-politycznych umysłów; chociaż tu się n. p. Montalember-

towi nadarzyła piękna sposobność wystąpienia w obronie świętej sprawy i usprawiedliwienia tytułu fils des croisés, który był sobie przed rokiem windykował. Ale p. Montalembert innym teraz i świeższym grobem zajęty, tym, który kopie dla konstytucyi i rzeczypospolitej francuskiej:

»But is this law?«
»Ay, marry is't; crowner's — quest law«

jak powiada grabarz w Hamlecie. Dzienniki poświęcone obronie religii, familii i t. d. po większej części zupełnie to przemilczały, a jedyny dziennik, który z prawdziwem oburzeniem wystąpił przeciw domaganiom się Moskwy, był Siècle, organ Cavaignaca. Relikwia to, woła on, całego chrześciaństwa, a jeśli chodzi o własność, tośmy jeszcze nie słyszeli o tem, aby greccy schizmatycy byli kiedyś zdobyli grób święty. Siècle by jeszcze silniejszy mógł znaleść argument; mógł był n. p. przytoczyć pewne ustępy z Alexiady, w której Anna Komnena z całą, rzekłbym prawie moskiewską, bezczelnością opowiada, jakie zapory, przeszkody i zasadzki stawiał jej szanowny ojciec, najjaśniejszy samodzierżca wszech Greków, wojskom krzyżowym w Europie i w Azyi, jak się umawiał na nich z poganami, jak go wreszcie książęta Bohemond i Raymond oskarzali głośno o zatruwanie studni i podobne sztuczki à la Orłow. Prawda, że te przytoczenia nie wieleby pomogły, bo świat nie wiele teraz dba o historyczne dowodzenia i nabyte prawa; pod tym względem nie ma różnicy między Frankfurtem a Petersburgiem ... Jakikolwiek będzie faktyczny rezultat tych roszczeń moskiewskich, rezultat moralny już osiągnięty i wielkiej wagi; bo Moskwa znowu miała sposobność wystąpienia w oczach południowych Słowian w zwodniczem świetle obrońcy chrześciaństwa przeciw poganom, braci Słowian przeciw Turkom. Nasza polityka na wschodzie jest całkiem inną; zaręczają mi nawet, że daleko piękniejsza i skute-

czniejsza, bo jej dążnością jest mistyfikowanie Turków, Słowian, wreszcie i nas samych!!!

Ponieważ już się zapędziłem na wschód, dodam jeszcze kilka nowin z tamtej strony. O stanie emigracyi w Turcyi Goniec, jak widzę, już i bezemnie dobrze zainformowany. Mógłbym to tylko nadmienić, że wyż wspomniony dziennik Siècle ujął się w tych dniach za naszego jenerała Wysockiego i zapytał się: jakiem prawem mogła francuska dyplomacya przystać na dalsze internowanie człowieka, do którego Austrya żadnego nie mogła rościć prawa, bo przecież Wysocki nie ma tego szczęścia, co Kossuth, być poddanym Franciszka Józefa? Siècle uważa, że tylko demokratyczne opinie naszego jenerała wyjednały mu tę nieproszoną protekcyą dyplomacyi, i pewno się w tem nie myli.

Wiadomości z Grecyi są trochę pomyślniejsze. Szlachetny i prawie jedynie nam z Greków przychylny pan Negri, z wielkiem poświęceniem czasu i kapitałów, stara się zatrudniać pewną liczbę naszych wychodźców, pod dyrekcyą pułkownika Milbitza zostającą. Rzadki to w tych czasach przykład bezinteresowności i godzien zapisania. Ci, którzy w Grecyi przyjęli amnestyą moskiewską, zaprowadzeni zostali do Odessy i tam podzieleni na dwie kategorye, zdrowych i chorych. Zdrowych przeznaczono do pułków kaukaskich i zaraz etapami do miejsca przeznaczenia odstawiono; chorych skazano na dwa lata do aresztanckich poprawczych rot. Oto amnestya cara!!! W końcu załączam zakomunikowaną mi łaskawie listę zmarłych w Grecyi polskich braci; może się przydać familiom. Umarli: kapitan Karol Lipski; podporucznik Bitkowski Paweł; Rykowski Wincenty; Świętosławski Władysław; Szczepowski Julian; Idzikowski Antoni i Bognajzer. † † †.

G. P. nr. 136 z 15 czerwca 1851.

J. GUMPLOWICZ KRAK. R. PLAC N. W ŚWIĘTYCH L. 1
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

XX.

Paryż, 3 lipca 1851.

(Inkrutowiny. — Dzienniki reakcyjne i sejmy prowincyonalne. — Konspiracya milczenia: p. Blanqui, p. Thiers, p. Guizot. — P. Geuiller. — Publikacye emigracyjne. — Broszurka rosyjska. — Stan wychodźtwa we Francyi.)

Szanowna redakcya Gońca raczyła przenieść mnie gwałtownie z wyższych sfer polityki na bruk feletonu,[1]) nie uprzedziwszy mnie w niczem o tej nagłej translokacyi. Miałoż to być wywyższeniem? Miałoż być poniżeniem? Bo feleton jest zarówno rodzajem konsoli, a popularniej mówiąc, serwantki, na której redakcya rozkłada wszystkie swoje kosztowniejsze sprzęty i bawidełka, jak i rodzajem kosza, w który się niedbale (nie przymawiając tu w niczem szanownym moim kollaboratorom feletonowym) wrzuca wszystkie niepotrzebne papiery.... Serwantka czy kosz, w każdym razie

je n'ai mérité ni cet excès d'honneur,
ni cette indignité;

i muszę wyznać, że nigdy nie byłem miłośnikiem mieszkania par terre, gdzie się bardziej niż na wyższych piętrach jest wystawionym na ciekawość publiczną. Dodam nawet, że, jeśli zaprzestaję na tej małej protestacyi i dalszej nie myślę robić opozycyi, to tylko dla tego, aby choć raz pokazać pisarzom Czasu, że i my, pisarze Gońca, umiemy się zastosować do dokonanych faktów, że i my jesteśmy w stanie uszanować władzę, skoro tylko ta władza jest polską. Anch'io....!

Nic ciekawszego nad taktykę tutejszych dzienników konserwatywnych. Sprawa nasza w ich oczach jest zazwyczaj ingrata et execrata; wzmianka o nas jest prawie dowodem złego wychowania; ale skoro możemy posłużyć za, choćby tylko i pozorny, argument dla sprawy ogólnej

---

[1]) Zob. wyżej str. 148 przypisek Redakcyi Gońca, umieszczony pod tekstem korespondencyi nr. XIX.

reakcyi; skoro się tylko możemy przydać na jaką eksperyencyą in anima vili, o! wtedy dziennikarze umiarkowanie uczciwi, przepraszam, chciałem powiedzieć umiarkowani i uczciwi, pozbywają się naraz wszelkiej wstydliwości, wtedy się wspomni i o nas, i zakazane słowo: Polska, w końcu się wyksztusi. Zabawny tego przykład mieliśmy w tych dniach z okoliczności okólnika ministra Westphalen, zwołującego dawne stany pruskie. Prawowierne dzienniki, jak Constitutionnel, Assemblée Nationale i tutti quanti ucieszyły się naturalnie temu zwrotowi do »dawnych dobrych tradycyj«. Ale, żeby choć trochę przykryć rażący kontrarewolucyjny charakter tego nowego pruskiego wymysłu, wiecież, jakiego się argumentu te szanowne pisma chwyciły?... argumentu narodowości polskiej!!! Risum teneatis!... »Rozporządzenie to (donoszą te dzienniki cichutkim głosem) wielką obudziło radość w W. Ks. Poznańskiem: Polacy widzą w niem skuteczny środek obronienia swojej szlachetnej narodowości (noble nationalité)!«... Że to rozporządzenie właśnie co do nas jeszcze stokroć niesprawiedliwszy przybrało charakter biurokratycznej samowolności; że, jeśli się w ogóle z tego rozporządzenia cieszymy, to tylko jako z mniejszego złego; że, jeśli sobie winszujemy, to chyba tylko tego, że z pod rynny jedności niemiecko-pruskiej schronimy się pod deszcz prowincyonalny.... o tem wszystkiem przemądre dzienniki przemądrze przemilczały. Cóż więc dziwnego, że liberalni Francuzi się dziwią naszej radości, że nie umieją sobie pogodzić naszego kontrarewolucyjnego ukontentowania z naszemi rewolucyjnemi aspiracyami? Nie dziwiłoby mnie to nawet, gdyby wielu z szanownych moich współtowarzyszów tułactwa, nieobeznanych z położeniem wyjątkowem W. Ks. Poznańskiego, upatrzyło w waszej radości zdradzenie sprawy demokratycznej.... Trafiały się przecież podobne przypadki!

Ci z pośród nas, którzy obeznani są ze stosunkami Księstwa, ci nie tylko że nie złorzeczą rozporządzeniu, ale

nadto wyglądają chwili wykonania jego, jako chwili wielkiej próby dla tej części naszej ojczyzny, która pod rządem pruskim pozostaje. Mamy tu wszyscy nadzieję, że Wielkopolanie potrafią skorzystać z nadarzonej sposobności i wyciągnąć z niej wszystkie możebne następstwa. Gwałty i dowolności biurokracyi nie powinny być przepuszczone milczeniem, ale też z drugiej strony nie powinny odwrócić nas od tego archimedesowego punktu rodzimej, swojskiej parlamentarki, którego się owszem wszelkiemi siłami uchwycić potrzeba. Na tej drodze możemy przynajmniej wiele z tego odzyskać, cośmy od roku 1848 stracili, i ta, choćby tylko pozorna, choćby tylko nominalna oddzielność od innych prowincyj państwa pruskiego, już wielkiej jest wartości. Na tej drodze można przystąpić do wielu małych, ale w skutkach swoich doniosłych ulepszeń, i wymódz na rządzie wiele z tych rzeczy, które na wielkim sejmie berlińskim zbywał już samą małą ich ważnością. Wszystko to wprawdzie nie jest ostatecznem słowem naszych zadań i obowiązków, i smutnemby bardzo było, gdybyśmy się dali zupełnie ukołysać w ciasnej kolebce lilipuckiego sejmiku; ale nad jutrem nie zasypiać dnia dzisiejszego i, nie tracąc nigdy z oczu gwiazdy przewodniej zbawienia, pilnować jednak i małego steru: to jest pierwszem prawidłem wszelkiego politycznego życia. Nadto, sejm W. Księstwa może posłużyć Wielkopolanom nie tylko do domowych i prowincyonalnych spraw, ale także do objawienia przed całą liberalną Europą prawdziwej naszej wyższości moralnej i całej istotności naszego narodowego ducha. Nie podlega bowiem wątpliwości, że szlachta wszelkich innych prowincyonalnych sejmów w Prusiech odznaczy się serwilizmem i wielkiem reakcyjnem namaszczeniem. Otóż szlachta wielkopolska, jeśli się tylko skrzętnie weźmie do dzieła, (bo o jej dobrych chęciach nikt z nas nie wątpi) potrafi okazać, jaka przepaść ją dzieli nie tylko od pruskiej, ale od wszelkiej innej szlachty na świecie, jaka zachodzi różnica między poświęceniem

a egoizmem; potrafi okazać, że, jeśli sobie w ogóle jakie prawo do przodkowania ludowi rości, to chyba tylko do przodkowania w boju i przewodniczenia w postępie!

Wróćmy do Francyi i do sposobu zapatrywania się tutejszych konserwatorów na naszą sprawę. Źle się wyrażam: bo właściwie jeden tylko tu znają sposób nie zapatrywania się na nas wcale, kompletnego nas ignorowania. Raz po raz wprawdzie odzywają się dzienniki z jakiemiś nowinami z Polski, z nowinami, których naiwność czasami dochodzi do głupoty; i tak np. czytaliśmy w ostatnich czasach wielką nowinę, że wyszedł ukaz zabraniający posiadania broni w Kongresówce bez szczególnego pozwolenia rządu; jak gdyby Kongresówka od 1831 roku nie była pod prawem doraźnem! I tak znowu donieśli w tych dniach, że rząd kazał zabrać wszystkim obywatelom Królestwa wszelkie srebra, nawet stołowe, i dać im w zamian za to asygnaty!... Ale, żeby choć raz wejść w nasze położenie i zamiast takich bajek dać rzetelny obraz naszego stanu, dokonanych na nas gwałtów, ucisków, prześladowań, o tem żaden z tutejszych publicystów ani pomyśli. Pod tym i pod każdym innym względem jest przeciwko nam prawdziwa konspiracya milczenia. Uczony pan Blanqui np. pisze relacye o wystawie londyńskiej; nie może się wstrzymać od łez na widok płodów lombardzko-weneckich, nad którymi powiewa sztandar austryacki; ani zaś mu na myśl nie przyszło, że tuż obok wyroby polskie ukryte pod skrzydłami drapieżnego potworu moskiewskiego. Pan Thiers wraca z Londynu z wielkim szacunkiem dla przemysłowości Rosyi, której »na nieszczęście« wielką zapowiada przyszłość; że największa zaś część tego krajowego bogactwa, którem się Rosya w Londynie pyszni, pochodzi właśnie z nieszczęśliwych krajów naszych, z Królestwa, z Wołynia, Podola i t. d., że te skarby zgromadziły skute i skrwawione ręce polskie; o tem p. Thiers ani pomyślał. P. Guizot wydaje historyą rządu parlamentarnego w Europie, śledzi jego

początków w Anglii, we Francyi, we Włoszech, w Niemczech i w Hiszpanii; a ani się zdaje wiedzieć o tem, że w Polsce było życie parlamentarne, które do najpiękniejszych dziejowych zjawisk należy, które wydało mężów, jak Zbigniewa Oleśnickiego i Grzegorza z Sanoka, Tarnowskiego i Kmitę, Zamojskiego i Skargę, Ignacego Potockiego i Rejtana, które w początkach swoich może wskazać na statut Wiślicki i unią litewską, a w końcu swoim na sejm czteroletni i sąd sejmowy.... I o tem wszystkiem taki uniwersalny historyk, jak p. Guizot, nie wie, i to ma się nazywać badaniem ducha czasów!! Komuż tu się nie przypomną słowa Fausta:

»Was ihr so den Geist der Zeiten nennt,
Ist im Grunde nur der Herren eigner Geist!«

Aby być sprawiedliwym, muszę dodać, że nie wiele lepiej usposobieni są względem nas i republikanie, szczególniej republikanie od wczora, wielce szanownej koteryi Nationala. Dość tu tylko jeden ciekawy przykład przytoczyć. Wiadomo, że p. Emil de Girardin wśród wielu innych łamanych sztuczek, które przedstawia w swoim dzienniku, występuje od niedawnego czasu z zupełnie nową i niebyłą: z kandydaturą wyrobnika na przyszłego prezydenta rzeczypospolitej francuskiej. Przeciwko temu pomysłowi polemizuje p. Geuiller, adept Nationala, dosyć ostro i nie bez pewnego talentu. Co zaś mnie tu w całej tej sprawie obchodzi, to, że p. Geuiller główniejsze swoje argumentacye opiera na tem, że taki wyrobnik albo będzie zwolennikiem zasad komunistycznych i zechce całą Francyą zamienić w Ikaryą, albo będzie fantastą i zechce wydać wojnę w celu oswobodzenia Polski!!! To zestawienie dwóch możebności, z których jednaby była szaloną zbrodnią, a druga w najgorszym razie tylko szaloną cnotą, przynosi wielki zaszczyt sercu pana Geuiller. Takie przedwczesne strachy o Lachy ze strony koteryi, która na tej swojej kwaśnej sympatyi dla sprawy naszej wzrosła jak na drożdżach i, nie wiem już przez ile lat, niezmordowanie

trąbiła na wojnę o Polskę... to wszystko byłoby bardzo zabawnem, gdyby nie było tak podłem!

W ostatnim moim liście przyrzekłem zapoznać bliżej szanownych czytelników Gońca z treścią broszurki »la Russie«, bo ją tylko znałem z przelotnego przejrzenia. Dopiero później spostrzegłem się, że to pisemko zawiera tylko tłómaczenie ciekawego artykułu, który przed niedawnym czasem zamieścił Przegląd Poznański w odpowiedź na sławną notę Tatyszczewa; pozostaje mi więc tylko przeprosić za niedokładne doniesienie, które zresztą pochodziło z tego, że tłómacz francuski zaniedbał wspomnieć o prawdziwym oryginale i jego źródle [1]). Natomiast pozwolę sobie przytoczyć mały ustęp z Lajosa biografii jenerała Bema, (o której już doniosłem), odnoszącej się do apostazyi naszego wielkiego wojownika. Ustęp ten brzmi następnie: »Oficer pewien turecki, tajny ajent, przyszedł do Bema w Widdynie i radził mu w imieniu jednej wysoko postawionej osoby, przyjąć muzułmańską wiarę. Przedstawiano jenerałowi, że to jest jedyny sposób ujścia niebezpieczeństwa. Na słowo to: niebezpieczeństwo, uśmiechnął się tylko jenerał; a na przedstawienia o świetnej przyszłości, którą sobie może zgotować, odpowiedział z pogardą. W rozpaczy ze swego niepowodzenia wystąpił wreszcie Turek z oświadczeniem, że jenerał odmowną swoją odpowiedzią pozbawia rząd turecki wielkiego kłopotu, gdyż Muzułmanina nigdyby Porta nie wydała i możeby się przeto naraziła na wojnę. »»Wojna — odrzekł na to radośnie Bem, — to co innego: jestem Muzułmaninem««. Oto jest ścisła prawda o czynie, który tak ostro i tak niesłusznie nie raz był sądzony. Tak cały ten przebieg opowiada p. Lajos, który pod tym względem zdaje

[1]) Muszę też przy tej sposobności sprostować i inną niedokładność, która się wkradła do mojej korespondencyi. Pogłoska, jakoby arcybiskup paryski kazał był sobie przetłómaczyć kazanie ks. Wasilewskiego i objawić swoje zadowolnienie, okazała się zupełnie bezzasadną. (Zob. wyżej korespondencya nr. XIX, str. 152.)

się zasługiwać na wszelką wiarę. Całe to pisemko jest wcale dobrze ułożone, zawiera wcale zdrowy sąd o wojennej polityce Węgrów; razi tylko w tej broszurce bardzo dziwna na wstępie i bardziej jeszcze zbyteczna apoteoza Taylleranda! W ogóle panu Lajos zbyt wyraźnie z pod żołnierskiego pancerza wygląda teka dyplomatyczna.

Gdy już mowa o emigracyjnych publikacyach, wspomnę także o katechiźmie ludu rosyjskiego, broszurce napisanej przez rosyjskiego wychodźca po rosyjsku, i która według zaręczenia tutejszych dzienników w tysiącznych egzemplarzach obiega po Rosyi. Univers obszerne zamieścił wyjątki z tej broszurki, która w kształcie rozmowy Adepta z Prześladowanym (Adepte et Persécuté) w czterech rozdziałach o carze, szlachcie, o wojsku i rządzie narodowym, wykłada naukę demokratyczną à l'usage du Tatare, jakby tu powiedział Napoleon. Rezultat moralny tej broszurki jest: krzyk do broni!! Tak zaręczają dzienniki tutejsze konserwatywne, nie bez pobożnych westchnień, że może i Rosya wkrótce nie uniknie burzy, a robak rewolucyjny się lęgnie w bujnym kwiecie caryzmu.

Położenie nasze wobec rządu trochę się polepszyło. Aczkolwiek pozostajemy jeszcze pod ścisłym, nużącym i czasem nawet śmiesznym dozorem policyi (i tak np. w aktach osobistych tutejszej prefektury zanotowany jest każden emigrant, który, horribile dictu! przed dwoma laty prenumerował Tribune des peuples!!!), jednak wyznać trzeba, że od czasu wstąpienia pana Faucher do ministerstwa obchodzenie się władz z nami daleko łagodniejszy przybrało charakter. Ustały na teraz gwałtowne wypychania do Ameryki, a na prośby o wsparcie lub żołd kładą już tylko przedwstępny warunek udania się na prowincyą. Wyrozumiała część naszej emigracyi oddaje pod tym względem słuszny hołd panu Faucher, na którego bardziej ludzkie dla nas usposobienie zapewne też wpływa i p. Wołowski.

G. P. nr. 155 z 9 lipca 1851.

XXI.

Gibelini Polscy.[1])

»Nie znam na was hańby słowa!
»Nie, że język mój ubogi,
»Lecz, że boską ludzka mowa,
»Nadto piękna — czysta — święta,
»Bo z anielskich krain wzięta,
»By was nazwać po imieniu!«

.... W te słowa, o wielki nieznajomy wieszczu, w te palące słowa odezwałeś się przed sześcią laty do tych, co chcą pozbawić ludzkość serca; nie znajdzieszże teraz podobnych wyrazów dla tych, co chcą Polskę pozbawić czci i godności?... Ty, którego imię nieznane jest cichą modlitwą narodu a głośną chwałą wieku, ty, któryś jak Dant przez piekło przeszedł za życia, ale który, nie jak Dant ani jak pisarze Czasu, widzisz zbawienie świata w cesarzu wiedeńskim, nie rzuciszże słowa przekleństwa na tych polskich Gibelinów, którzy z nadzieją i z radością wyglądają zejścia imperatora z Karpatów?... Ty, który ziarno siane w śmieci od wersalskich dzieci rozwiałeś żarnem twego ducha tchnieniem, pozwoliszże, aby to inne ziarno,

---

[1]) .... »A naszże Kraków co robi? Nasz Kraków, który pierwszy ma powitać w murach swych najjaśniejszego pana, czyż nie zadrgnie życiem?

.... »Czyżby nie lepiej było ... wszystkie ulice i plantacye kagańcami napełnić, aby z nocy jasny dzień zrobić, aby mnóstwem światła objawić wesele, jakie napełnia mieszkańców z przybycia najjaśniejszego pana? A nad tem wszystkiem niech jeszcze zamek Wawelu i wieża Panny Maryi zajaśnieją w bengalskim ogniu, który, rozlewając się szeroko po okolicach, obwieści bytność wysokiego gościa i serca rozjaśni nadzieją.

.... »W ogóle uważając dzisiejszą fizyonomią Krakowa, jeżeli nie postrzegamy przygotowań do festynów publicznych, zato dostrzedz można na twarzach wyraz oczekiwania, bliskie spełnienie słodkich nadziei. Nie masz nikogo, ktoby sobie nie rokował lepszej przyszłości: bo przecież oko pańskie konia tuczy, mówi stare przysłowie; a bytność monarchy zawsze zostawi ślad dobroczynny po sobie, o którym mówić będą późne pokolenia.« (Wyjątek z feletonu Czasu.)

J. GUMPLOWICZ ... PLAC ... ŚWIĘTYCH L. ...
Wypożyczalnia książek beletrystycznych

które teraz sieją stare dzieci Krakowa i Lwowa, przyjęło się i zeszło na tej naszej świętej polskiej ziemi? Ty, któryś nam śpiewał dawidzki hymn miłości, żalu i dobrej woli, nie widziszże, iż teraz czas uderzyć w strunę drugą, czas zaśpiewać psalm sumienia, psalm godności narodowej?...

Gdziekolwiek jesteś, mistrzu słowa, powiedz, czyż nie przejęła twego serca jakaś bojaźń boża, gdyś ujrzał ten brud feletonowy krakowskiego pisma? Nie rozległoż się w twojej wielkiej duszy coś nakształt echa tego śmiechu szyderstwa, w który parsknął trup carycy, tego skrzypienia zrastających się jej z radości kości na widok takiej naszej hańby i sromoty? Powiedz, czyś się nie zląkł i nie struchlał, gdyś usłyszał te sprośne słowa, zalecające nam cieszyć się przybyciem wnuka Maryi Teresy, przywitać z radością sprawców rzezi galicyjskiej, zajaśnieć naszą hańbą, podskoczyć w naszych kajdanach?....

I do tej szalonej bakchanalii, do tej maszkary wszeteczeństwa, do tego tańca śmierci, jak to nazywano w wiekach średnich, wzywają pisarze polscy mieszkańców tego grodu, w którym złożone święte prochy naszych królów, w którym się wznoszą szczytne mogiły owego Kościuszki, który z wrogiem nie znał miru, i owej Wandy, która nurty Wisły przeniosła nad uściski austryackiego księcia! I wnukomto tego Sobieskiego, który za ocalenie Wiednia nie uzyskał ani jednego słowa uznania od Austryaka, wnukomto tego męża radzą śpiewać hymny dziękczynne temuż Austryakowi za czyny Kaunitza i Metternicha, Kriega i Stadiona! I to piszą i to głoszą kilka mil tylko od tego Tarnowa, w którem popełnioną została największa rządowa zbrodnia tego wieku, kilka mil tylko od tej Byczyny, pod którą ongi Zamojski wziął w niewolę przodka Franciszka Józefa!

Och! i to wszystko nie jest konwulsyjne, epileptyczne drgnienie nieprzytomnego umysłu, to jest życie, »życie zdrowe i organiczne!« To nie sen, ale jaw; to nie wybryk, ale system; to nie szaleństwo, ale metoda; to nie feleton,

ale program! Za tym pisarzem stoi falanga, za tym dziennikiem stoi partya, a tę partyą stanowi część owej szlachty, bez której ludu nie ma!!

A ty milczysz, wieszczu wielki! Patrz, im pęta nie ciało tylko ale już żrą ducha... a ty milczysz, nasz psalmisto! Patrz, to pióro polskie, to berło narodu i rózga dla wrogów w twojej potężnej dłoni, stało się laską błazeńską i wachlarzem cesarskim w ręku niesumiennych belletrystów, a w koło ciebie cisza tylko? Patrz, oni szatę Polski nieskalaną, przenajczystszą i świetlaną, ścielą pod krwi i błota pełne stopy ciemięzcy, i z niebieskiego tronu twojej świętej Matki robią podnóżek dla syna Zofii, a ty w grzmiącem pieniu im serc wszystkich nie rzucisz wszechprzekleństwa?....

. . . . . .

Gibelini polscy! A wiecież, jaki los sobie i swemu narodowi zgotowali wasi poprzednicy, Gibelini włoscy? Och! i oni, jak wy, mieli ojczyznę wielką, świetną i szlachetną a potem rozdartą, rozszarpaną i nieustannie zakłóconą; i oni, jak wy, przelękli się tych wewnętrznych bólów i rozdwojeń; i oni, jak wy, zrozpaczyli o sile, o samoistnej dzielności swego kraju, o podobieństwie wydźwignienia; i oni, jak wy, zadrżeli przed wewnętrzną anarchią, którą szerzyli biali i czarni narodowej partyi Gwelfów; i oni, jak wy, byli konserwatystami; i oni, jak wy, złorzeczyli wszelkim ruchom ludowym, wszelkim objawom demokracyi w Lombardyi czy w Niemczech, we Francyi czy w Szwajcaryi; i oni, jak wy, żądali przedewszystkiem silnego rządu, uszanowania dla władzy, monarchii: »de monarchia« taki jest tytuł dzieła jednego z największych geniuszów chrześciaństwa — Dantego; i oni, jak wy, rzucili się w objęcia cesarza wiedeńskiego, który miał ustalić ten rząd, tę władzę i monarchią... A wiecież, w jaką przepaść nieszczęścia, niewoli i sromoty zepchnęli siebie i swoją ojczyznę? A wiecież, jaką krwią ich imię przesiąkło w grobach, jaką hańbą ono teraz okryte w dziejach, jakiem przekleństwem

w narodzie? Chcecież i wy podobnego i nieuchronnego doczekać się losu? Chcecież i wy z takim grzechów ogromem stanąć przed Bogiem, z takim znakiem odszczepieństwa pozostać w pamięci narodu?

O! nierównie surowszy, niż o włoskich Gibelinach, wyda o was sąd jeszcze historya! Bo jaka też wielka między nimi a wami zachodzi różnica! Po tamtych krwi jama została, po was zostanie kałuża błota! Tamci byli olbrzymami w zbrodni, wyście tylko karłami! Tamci wdziewali pancerze, a wy mundury stanowe! Tamci szli za swoim cesarzem na pola Roncaglii, wy za waszym idziecie na reduty i bale! Tamci oddawali imperatorowi klucze Medyolanu i Werony, Florencyi i Rzymu, wam imperator daje kluczyki kamerherów i kamerjunkrów! Tamci czołem Tytanów ścierali obłoki, wy nogą faunów łechtacie przedpokojowe posadzki! Tamtych to wszystko prawie usprawiedliwia, tłómaczy, co was potępia! Tamtych od ciemięzcy dzieliły tylko Alpy, was od niego dzieli czerwone morze rzezi tarnowskiej! Tamci dla swego sojuszu mieli przynajmniej wielką, świetną tradycyą Karola Wielkiego i cesarstwa rzymskiego, tradycyą prawie całych wieków starożytnych i nowszych, pogaństwo i chrześciaństwo; o jakąż wy tradycyą zahaczycie waszą doktrynę? Chyba może o tę radę, którą jeszcze w XVI wieku, jak opowiada Gratiani, dał waszym przodkom sam poseł rakuski, ów Rosenberg, abyście, pomnąc na wydartą waszym słowiańskim braciom wolność i narodowość, na wieki się wystrzegali rakuskiego jarzma? Tamci szukali pomocy tego, który nimi nie gardził, hołdowali temu, który się nimi szczycił. Ten zdobywca był zdobytym; ta furia tedesca szukała swojej aureoli w virtus romana; ten cesarz sam siebie nazywał barbarzyńcem, a Włochów największym w chrześciaństwie narodem; ci Hohensztaufy (!) mówili po włosku, a wstydzili się prawie swego własnego języka; Fryderyk II i Enzio szukali chluby w swoich włoskich rymach: dumni ze swojej siły, nie zaprzeczyli, zazdrościli owszem poko-

nanym ich sławy.... Jakiegożeście się wy kiedykolwiek uznania doczekali od Habsburgów? Jakiż kiedykolwiek cesarz przemówił waszym językiem? Kiedyż was inaczej jak barbarzyńcami nazywano? Czyż najniższy urzędnik względem was nie czuje się wyższym z niemieckiej łaski? Tamci nie ufali własnym siłom, samodzielnej żywotności swego narodu, ale oparli się przynajmniej o jeden z dwóch wielkich filarów średniowiecznego świata budowy; opuścili papieża, który trzymał z Gwelfami, ale połączyli się z cesarzem, którego władza w świecie materyalnym była wówczas prawie tak wielką, tak uznaną, tak uczczoną, jak papieża w świecie duchowym. Na czemże się wy opieracie? Na tej słabej trzcinie habsburskiej, która już tylko igraszką w ręku Moskala; na tej Austryi, która zawsze tylko silną ze słabymi a słabą z silnymi, groźną z pokornymi a pokorną z groźnymi być umiała![1]) Tamci, i to jedynem ich usprawiedliwieniem w oczach potomności, w poddaniu się obcemu władzcy szukali, spodziewali się zespolenia, zjednoczenia rozdartej swej ojczyzny: Imperator wówczas znaczył jedność Włoch! Wy waszem poddaniem się tylko ten rozbiór ojczyzny utrwalacie, to rozdarcie narodu jeszcze powiększacie: Imperator teraz znaczy podział Polski! Taka to meta tej drogi, którą ślepi zaślepionych wodzicie, o polscy Gibelini! Wy, co chcecie naród odrzeć z chwały, męczenników przemienić w przedpokojowców, wy, co szlachtę schłopić myślicie.... Bo dotychczas chłop tylko galicyjski cesarskim się nazywa, wy chcecie, aby się taką nazwała i szlachta galicyjska, ta szlachta, która się niegdyś »równą cesarzowi« pisała, a którą historya wyższą cesarzów zapisała!

Nie! Nic prócz środków nie macie z dawnymi Gibelinami wspólnego! Wyżsi oni od was byli odwagą i dzie-

[1]) ... O Austria! .....
..... Thou slave, thou wretch, thou coward;
Thou little valiant, great in villainy!
Thou ever strong upon the stronger side!
Shakespeare, King John. III, 1.

łem, wyżsi pomysłem i wykonaniem, wyżsi pobudkami i celem! Bo tylko strach waszą pobudką, egoizm waszym celem! Strach przed rewolucyą, bojaźń utraty dobrego bytu i marnych wygód życia, nienawiść dla wszystkich nowych myśli wieku, dla wszystkich wielkich zdobyczy ludzkości: oto, co wami powoduje; spokojne używanie, choćby w hańbie i sromocie narodu, bezpieczne rozgoszczenie się na ziemi, choćby ta i lennictwem najezdzców była, hałaśne brząkanie, choćby tylko i łańcuchami, byle tylko złotymi: oto, czego wy pragniecie, czego wy z utęsknieniem wyglądacie.....

Nie wszyscy! Na chwałę naszą nie wszyscy śród was tak myślą! I jakżeby tak myśleć chcieli, tak myśleć mogli ci śród was, a jest ich wielu, których rany jeszcze nie zagojone po wielkich walkach Grochowa i Ostrołęki, których ręce jeszcze noszą piętna dźwiganych kajdan, którym młodzieńczy włos osiwiał w więzieniach Munkacza i Spielbergu, i którzy, w danym razie, o żniw porze, pójdą naprzód w imię Boże i znowu dzielne, wierne, polskie wytężą ramię?.... Na chwałę naszą, na pociechę polskiego honoru, nie wszyscy śród was wychodzą z tych pobudek i dążą do tego celu! Dobroduszni i łatwowierni, ciężko doświadczeni i ciężko zawiedzeni, dali sobie wmówić, że nie przedawają przyszłości, ale tylko ratują teraźniejszość; że się nie wiążą z wrogiem, ale się tylko nie targają w włożonej obroży, by bardziej nie dusiła; że to wszystko nie haniebna kapitulacya, ale tylko zawieszenie broni dla chwilowego wypoczynku.... A jeżeli się kłania najezdzcy, to tylko by lepiej jego achillesową piętę wypatrzyć..., a jeśli się głaszcze drapiezcę, to tylko by go uśpić... a jeśli się kadzi ciemięzcy, to tylko by go odurzyć... a jeśli się chwali wroga, to tylko by go oszukać....

Oszukać wroga!... Jestże to godnem, jestże to szlachetnem? Lew raniony i przekłuty gdy sił ostatki straci, legnie cicho i ponuro, zatrzyma ryk w rozległej piersi

i brwią szeroką żal oczu przytłumi... ale w lisa się taki lew nie przemieni!

Oszukać wroga!... Potrafiżto tylko ten naród szlachetny i dumny, który jaśnieje w dziejach szczerością i wspaniałomyślnością bez granic? który wszystko, co zyskał, zyskał na drodze miłości lub jawnej rycerskiej, czystej w pobudkach i celach walce, a wszystko, co stracił, stracił na krętych drogach traktatów, dyplomacyi i podstępstwa? który przez największych swoich wrogów niegdyś, przez Osmanów, był »gołębim narodem« nazwany, a o którym już Kromer, gdy jego historyą pisał, wyrzekł: »iż woli być oszukanym, niż oszukać?«...

Oszukać wroga!... Potrafiłże to jakikolwiek naród na świecie!... Jeden to tylko naród potrafił, Moskal to potrafił z Mongołem! Tak, on to umiał pełzać przed Chanem, posyłać mu głowy najszlachetniejszych patryotów i uwijać się, jak wąż, by potem ukąsić... Ale jestże w narodzie waszym ta mięszanina krwi normandzko-fińsko-tatarskiej, która jedynie takiej sztuki dokazać może? a wrogi wasze, jeśli nie ustępują w okrucieństwach Mongołom, mają oni i tę barbarzyńską dobroduszność, tę wschodnią ograniczoność Mongołów, jedyne pole, na którem się taka sztuka udać mogła?...

Oszukać wroga!... Oszukać tego, co powstał, wzrósł i żyje z oszukaństwa, z obłudy i kłamu! który wydał Karola V i Filipa II, Kaunitza i Metternicha! który umiał ściskać Jagiełłę, gdy poduszczał Witowda, płakać przed Rohanem, gdy nasz podział podpisywał! który, chociażbyście jak wąż inne przybrali ciało, zawsze będzie podejrzywał, że w waszej duszy wiele pozostało dawnego; wszak zostało i na wieki zostanie w nim!...

. . . . . .

O wieszczu, wielki wieszczu! Czemuż nie powiesz tym ludziom zaślepionym, że ich doktryna iskrą z czarta kuźni, i że Polskę w gorszą wpychają noc? Czemuż do nich nie zawołasz, że mongolskich natchnień słuchają,

z których się Moskwa-piekło raduje! Czemuż ich nie napomnisz do uszanowania świętych prochów ojców, do zachowania w czci nieskalanego dotąd imienia męczenników, i do tej cnoty, która najwyższym jest rozumem!

Spojrzyj na nasz stan obecny, o wielki wieszczu, patrz, jaki jad w nas sączy niewola i zwątpienie!... My niegdyś wielcy, jakeśmy zmaleli! My apostoły, jakież z nas apostaty! wrzkomo z nas duchy, a trupy w istocie! Spojrzyj na tych hrabiów lwowskich, którzy pindaryczne marzenia krakowskiego feletonisty tak rączo i tak skoro urzeczywistniają! Tak łatwo im przychodzi przeskoczyć przez trupy tarnowskie, które stopy tronu zalegają! W takiego bałwochwalcę się przemienił ten, co ludu jest kapłanem! Tak dalece Pankracego w egoiźmie przeszedł ów hrabia, co swym mieczem ma przytrzymać runącą kopułę świętego krzyża!... Takie to zakończenie dają Nieboskiej Komedyi!...

O wieszczu, wielki wieszczu! Czas uderzyć w strunę drugą... Czas zaśpiewać psalm sumienia, psalm godności narodowej!...

G. P. nr. 170 z 26 lipca 1851.

Obrona konserwatystów i Czasu.
Napisał Henryk Wodzicki.

Szanowny redaktorze! Słusznem jest, aby każdy oskarżony bronić się mógł, ale, jeśli jest niewinnym, bronić się ma obowiązek. Gdy obrona samemu oskarżonemu staje się niepodobną, zdarza się, że przyjaciel, lubo nieproszony, z obawy wyroku zaocznego sprawę wyjaśnia.

Z okoliczności ogłoszenia listu z Paryża »O Polskich Gibelinach«, spisałem uwag kilka, które rzucą niejakie światło na stan Galicyi i Krakowa i dadzą, zda mi się, jaśniejsze pojęcie o opiniach i dążnościach ludzi zasad zachowawczych i dziennika Czasu.

Ogłoszenie tego artykułu uważałbym za dowód bezstronności w sądzie o ziomkach i z tego jedynie tytułu mam nadzieję, że mu kolumny Gońca otworzysz.

List z Paryża »Gibelini Polscy« nie mało zapewne tak dla świetności stylu, jak i dla szlachetnych uczuć, jakie go dyktowały, nie mało, powtarzam, zrobi wrażenia. Będzie on miał za sobą tych wszystkich gorąco czujących, którzy godność narodową cenić umieją, i dziś, kiedy ludzkiem okiem patrząc, żadnego promyka nadziei nie widzą, zachowanie tej godności za pierwszy obowiązek narodowy uważają. Uczucie to szanuję, chcę atoli parę słów o opiniach tak nazwanych konserwatystów, o położeniu Czasu i o warunkach jego istnienia powiedzieć, które to położenie i warunki, czy z przekonania, czy z uprzedzenia, żaden nieomal dziennik polski uznać nie chce, a jak dalece są trudne, zdaleka pojąć nie może. Dla czego nie chwalę postępowania Krakowian, to jest tych, którzy się manifestują w słowach przez Gońca przytoczonych, a dla czego usprawiedliwiam Czas, dwie na pozór sprzeczności, będę się starał wyjaśnić. A naprzód słowo o stanie i składzie społecznym Galicyi.

W Galicyi są urzędnicy, właściciele ziemi czyli szlachta i chłopi.

Urzędnicy wszystko trzymają, wszystkiem rządzą i wszystko robią; o wojsku nie mówię, bo jest środkiem wykonawczym.

Właściciele ziemi, czyli szlachta, są to indywidualności, w całem znaczeniu tego wyrazu, bez organizacyi, bez znaczenia, bez wpływu i bez przywódzców; nie stanowiący nic osobnego i oddzielnego w narodzie, a jednak w skutku ustaw politycznych austryackich oddzieleni i wyosobnieni. Ci, przestraszeni swoją słabością liczebną, zagrożeni upadkiem majątkowym, wystawieni pod wszelkimi względami na wielkie niebezpieczeństwa, nie mogąc się skupić, bo im brakło i człowieka, a co najważniejsza, i środka, poszli każdy podług swoich instynktów: jedni zbyt na prawo, drudzy zbyt na lewo, jedni zupełnie et quand même do rządu, drudzy do rewolucyi; a że nie wiele w nich rozumu politycznego, nie zatrzymują się jedni i drudzy w umiarkowaniu, ale dochodzą do ostatecznych kresów swoich dążności; jedni do płaszczenia się, drudzy do wyczekiwania jakichsiś zjawień nadzwyczajnych.

Chłopi, masa nieoświecona, zbałamucona, dziś na pozór rządowa, podłechtana niegodziwymi środkami, krzycząca, że jest cesarska, a zachowująca, nie w opiniach, (bo ich nie ma), ale w życiu i tradycyi więcej narodowości polskiej, niż niejeden piszący patryota. Mimochodem mówiąc, zdaniem mojem, wszystkie objawy barbarzyństwa a zarazem tak nazwanej miłości dla rządu austryackiego chłopa galicyjskiego mają dwie przyczyny: jeden obłęd i jednę cnotę; obłęd, ale którego nie on winnym, jest przekonanie, że rząd wszystko może, że od niego wszystko przyszło i wszystko przyjdzie; cnotę, którą jest uszanowanie i uległość dla władzy. Te dwie główne przyczyny spro-

wadziły stan chłopów w Galicyi, inne podrzędne grały także swoją rolę, ale bardziej jako objaw, niżeli jako przyczyna; bo nienawiść, chęć grabieży, okrucieństwo itd. są namiętności, które we wszystkich, nawet najwięcej wykształconych społeczeństwach, w stanie ukrytym się znajdują, ale u których dzierżenie silne prawa wybuchom tych namiętności tamę kładzie, co, jak wiadomo, w Galicyi w roku 1846 ustało. Uszanowanie dla władzy nazwałem cnotą, i jestem tego silnego przekonania, że nie ma większego nieszczęścia dla społeczeństwa, jak tę cnotę w masach osłabiać. Ci, którzy o tem wątpią, niech przypuszczą na chwilę, że okoliczności postawiły ich u steru rządu w narodzie, gdzie uszanowanie dla władzy znikło; opłakaną iluzyą by było pochlebiać sobie, że jedną władzę szanować będzie ten, którego uczono nieszanować żadnej; w takim narodzie ani organizacyi, ani przyszłości, tylko despotyzm i siła brutalna.

W Galicyi, gdzie jest rządzący urzędnik, zindywidualizowany szlachcic i masa nieoświecona — chłop, nie ma stanu ani organicznego, ani normalnego, ani mogącego mieć w jakiem bądź przypuszczeniu zbawiennych skutków.

Pogląd na ten stan rzeczy, przekonanie, że rozwiązanie kwestyi narodowej na innej drodze, niż do dziś dnia, szukane być musi, rozumowanie ścisłe, a zatem odrzucające możebność wszelkich przypadków szczęśliwych, dowodzące, że na przyszłość budować potrzeba i że budować nie można tylko na podstawie tego, co jest; doprowadziły wielu ludzi oświeconych i szlachetnych do tego twierdzenia, że, nim o jakiejkolwiek przyszłości narodowej myśleć można, pierwej się trzeba uporządkować; pierwej trzeba przyjść do jakiejś organizacyi, a w następstwie tej do harmonii między żywiołami społeczeństwa, z tej harmonii pierwej trzeba wyrobić jakieś siły narodowe, samorodne, na ziemi ze stosunków naturalnych wyrosłe, pierwej trzeba przyjść do jakiejś całemu ruchowi towarzyskiemu[1]). Że taka zgoda, że taka jedność, że taka zbiorowa dążność, że takie porozumienie się, że nawet możebność do jakiegoskolwiek zbiorowego działania, nie mówię, narodowego, ale towarzyskiego w Galicyi, nie egzystuje, wątpliwości nie podpada. Nie ma tam ani jednego stanowiska, ani jednego stosunku, ani jednego wpływu naturalnego, bądź z instytucyi, bądź z hierarchii, bądź z tradycyi wypływającego; są rozbite materyały jakiegoś gmachu starożytnego, jedne koło drugich, niejako siłą inercyi i ciężkości trzymane, ale nie tworzące z sobą ani całości, ani harmonii, ani jedności, a zatem nie mogące mieć ani siły spojności, ani siły oporu, a tem mniej siły działania.

---

[1]) Tak jest w rękopisie. Nie powiada on, do czego pierw przyjść trzeba. (Przyp. Red.

Z tego przekonania powstała opinia polityczna tak nazwanych konserwatystów, którzy za współdziałaniem rządu chcieli kraj organizować i niejako naród jednolity stworzyć. Pewne oświadczenia liberalne rządu, zapewnienia, że nie odmówi krajowcom wpływu na rzecz publiczną, intencya organizowania gmin i cyrkułów, a więc zapewnienia przewagi elementów miejscowych, nareszcie wyrzeczenie uszanowania dla narodowości, to wszystko podniosło nadzieję i ugruntowało przekonanie, że za pomocą rządu i za przyczyną zdrowych zdolności krajowych kraj dojdzie do stanu uporządkowanego, harmonijnego i hierarchicznego i że życie narodowe pod zasłoną i za pomocą praw rozwijać się będzie tak pod względem moralnym, jak intellektualnym i moralnym.

Takie przekonanie, jeżeli jest sumienne, z miłości kraju płynące, z żadnym osobistym widokiem nie powiązane, tylko ten potępić może, który zawsze nadzwyczajnych wypadków wyczekuje, rachuje na wojny, na rewolucye i obce pomoce, a dzięki takim nadziejom nic nie robi, nic robić nie może, a pracą na wielkie rozmiary na przyszłość, na kilka generacyj obrachowaną gardzi, bo nie jest dosyć wzniosły umysłem, ani dosyć szlachetny sercem, by pracować dla przyszłości, bo jego osobie nic stąd nie przyjdzie, a on dla siebie i na jutro chce pracować.

Powtarzam więc jeszcze: oto są pobudki, oto są zasady, oto są dążności partyi tak nazwanych konserwatystów, których organem jest »Czas«. W każdem stronnictwie, lubo to stronnictwem ledwo nazwać można, bo stronnictwo ma jakąś organizacyą i przywódców, w każdem stronnictwie, mówię, są ludzie ostateczności, biegnący za rączo, przesadzający cel, obok ludzi jasno widzących, spokojnych, umiarkowanych i, którzy, nie odrzekając się zasad, opuszczą środki, jakich się chwycili, jeżeli podstawa, na której budować chcieli, pokaże się wątłą i fałszywą. Że tacy ludzie ostateczności wyradzają się wszędzie, to, sądzę, najchętniej przyznają uczciwie liberalni i patryotyczni obywatele Księstwa Poznańskiego. Otóż i w tym przypadku są ludzie, którzy doktrynę przyjąwszy tak ją tłómaczyli: nie ma nic do robienia, jeno się rzucić bezwarunkowo w objęcia rządu; kto nas zasłoni od chłopów? rząd; kto nas wyratuje z toni? rząd; kto nam pomoże? cesarz; kto nam da spokój? cesarz; a więc trzeba pochlebiać, trzeba się płaszczyć, i to nie tylko przed panującym, ale przed jego zastępcą, ale przed wszystkiem, co wyobraża władzę. Przez strach z jednej strony, a przez omylną nadzieję z drugiej, zapomnieli o godności narodowej, o godności obywatelskiej, i przenoszą korzyści osobiste nad obowiązki względem całego kraju; co więcej, ich rozumy tak są maluczkie i serca tak ciasne, że nawet takich obowiązków nie widzą, nie pojmują i w każdym kroku swoją tylko zgubę lub zbawienie na celu mają.

Są także ludzie, ale tym ograniczoność sensu politycznego zarzucić można, którzy myślą, że, kiedy lica ich okraszone głupowatym uśmiechem cesarz obaczy, gdy pokornem czołem wybijać będą pokłony, a w mundury stanowe przebrani, przeobrażą się w reprezentantów kraju; wnet rząd, najściślejsze tradycye rządzenia mający, wnet rząd, mówię, i systemat zmieni i cesarz do serca przyciśnie swe wierne poddane, da i spokój i kredyt i pieniędzy. Cóż o takich płaskich półgłówkach powiedzieć? nic, jeno, że w każdem społeczeństwie ludzkiem są pewne ułomności, które się ciągle powtarzają.

Oto są ludzie ci i owi, którzy kompromitują całe uczciwe stronnictwo w Galicyi i w Krakowie wobec rządu i wobec tych wszystkich, którzy tego odcienia widzieć nie mogą. Takich ludzi przed chłostą korespondenta z Paryża zasłaniać nie myślę. Ale, żeby człowiek wyższy i mający właśnie dla swojej wyższości obowiązek sądzenia spokojnie, rozumnie i rozsądnie, rzucał klątwę na całe miasto, na cały kraj, za to, co kilka płaszczących się kreatur przemówi, a co dziennik powtórzyć m u s i, jeżeli żyć chce, to mi się zda sądem zbyt srogim. Tak samo rozumując, rządy potępiły Kraków roku 1846, gdy wmawiały przed Europą, że całe miasto zrobiło rewolucyą, a nie liczyły, ile oburzenia sprawiały i ruch i zasady w tym czasie ogłaszane, ile żalu, ile łez gorzkich wyciskało przekonanie, że piętno szaleństwa biedne miasto nosić będzie.

Pozostaje mi jeszcze parę słów powiedzieć o »Czasie«. Dziennik ten, ostrą cenzurą ściśnięty, która mu nigdy objawienia całej jego myśli nie dozwala, a objawy sympatyj rządowych umieszczać nakazuje, party z drugiej strony wymaganiami ludzi ultra rządowych, o których się rzekło, zawdzięcza swoją egzystencyą jedynie umiarkowaniu, oględności redakcyi i temu jej sumiennemu przekonaniu, że dla przykrości, których doznaje, że nawet dla podejrzenia, które na siebie ściąga, nie godzi mu się opuszczać dobrego i wiele większego, które tak licznymi sposoby sprowadza. Czyż za nic liczyć jego zasługi, jako to, że obudza interes do rzeczy publicznej, że zachęca wszystko dobre, co się w kraju pojawia, że zajmuje umysły rzeczami poważnemi, umysły próżniacze, których »Czas« jest jedyną książką; że się dzielnie przyczynia do oświaty w Galicyi, do nadania jakiegoś życia umysłowego. Temu wszystkiemu tylko przeczyć może, kto nie zna Galicyi i stopnia wykształcenia, na jakim się znajduje tak zwana oświeceńsza klasa w tym kraju.

Powiedziałem, że »Czas« jest ostrą cenzurą ściśnięty, a wymaganiami party. Gdy polityczny artykuł pod cenzurę idzie, tak bywa obcięty, że zaledwie jest zrozumiały. Gdy jaka mowa lub manifestacya na cześć rządu jest redakcyi nadesłana, nieogłoszenie uchodzi za niechęć do rządu; są artykuły przez urzędowe osoby nadsełane, które umieścić trzeba, bo się wznieci podejrzenie, a tylko pociągnięcia pióra

trzeba do zniesienia dziennika; nareszcie, a i to bywa, przynosi ktoś artykuł, nie odpowiadający dążności redakcyi; gdy się wzbrania ogłoszenia, oświadcza autor, że ten artykuł już zakomunikował wyższemu jakiemu urzędnikowi, który bardzo go chwalił, a więc ogłosić go trzeba, zastrzeżenia żadnego nie robiąc. Miecz Damoklesa wisi ciągle nad dziennikiem i za najleksze przekroczenie spaść może, a uczucie obowiązku żyć każe. Takie to są warunki, pod którymi »Czas« żyje. Uszanowania i szacunku, na jakie zasługuje praca twarda i często niewdzięczna i często zapoznana a w imie dobra kraju i z uczucia obowiązku podjęta i prowadzona, nie powinny osłabić żadne liryczne i dytyrambiczne potępienia, jakkolwiek wzniosłe i piękne i szlachetne, kiedy nie rozróżniają winy od pozoru, konieczności od dobrej woli. I dla tego na wymowne słowa autora listu o Gibelinach Polskich skromny głos podnoszę, nie za tymi, którzy na potępienie zasłużyli, ale za tymi, którzy milczeć muszą; i dla tego wierzę, że wieszcz hymnów zaklęcia nie usłucha, bo on gorącem swem sercem rozpozna winnych albo obłąkanych od niewinnych, bo on, który kocha, nie rzuci słów potępienia na cały starożytny gród za podłość kilku niezgrabnych dworaków.

H. W.

G. P. nr. 182 z 9 sierpnia 1851.

Odpowiedź Gońca Polskiego na obronę konserwatystów i Czasu.

Nieraz już objaśnialiśmy zasady, które służyły do obrony tak nazwanych konserwatystów galicyjskich i Czasu. Szczerze i otwarcie, wedle sumienia i przekonania naszego, czynić to będziem i nadal, o ile nam pozwoli wzgląd na przepisy prawa prasowego i karnego. Dziś tylko kilka słów w tej mierze.

Stronnictwa ściśle sformułowane, nieodzowne w państwie wolnem, w położeniu naszem rozerwanem, przy nader niskim stopniu wykształcenia politycznego, nie są niezbędną potrzebą; czasami nawet ścieśniają i tak już bardzo ciasne pole, na którem pod ustawami nam nieprzyjaznemi w życiu publicznem obracać się nam wolno. Z natury jednakże ludzkiej, z dziejowego rozwoju społeczeństwa wynika konieczność różnicy zasad i zdań. Konieczność ta płynie z samego życia i ruchu towarzyskiego; dla tego i nam, mimo rozerwania i niewoli, poddać się jej trzeba. Ludzie utyskujący na ścieranie się zdań i zasad w ograniczonej dobroduszności swej nie wiedzą o tem, że żądają dobrowolnej zagłady, nieochybnej śmierci. Nie różnica i ścieranie się zasad i zdań przynoszą szkodę w trudnych usiłowaniach naszych, lecz sposób, w jaki się je objawia. Objawiajmy w dobrej wierze i sumiennie przekonania

nasze, a przy bezustannej i bacznej zawsze uwadze na cel ostateczny, do którego wszystkie usiłowania nasze zmierzają, unikając namiętnych względów na osobistości, znajdziemy w końcu godziwą drogę, po której złączonemi siłami dojść wreszcie musimy do celu. Prawda zawsze się znajdzie: potrzeba jej tylko szukać w poczciwości i dobrej wierze.

Bądźcież sobie więc i nazywajcie się konserwatystami, jeżeli wam się ta nazwa podoba, lecz bądźcie nimi w gołosłownem znaczeniu tego wyrazu, bądźcie konserwatystami polskimi. Dziś przedewszystkiem ograniczeni jesteśmy na zachowaniu nieskazitelnem jedynego skarbu, który nam się jeszcze pozostał, na zachowaniu ostatniej już podstawy, na której spoczywa cała przyszłość nasza. Tym skarbem, tą zasadniczą podstawą istnienia naszego jest godność narodowa. Zachowujcie tę godność, czuwajcie nad czystością i nieskazitelnością jej; uszanujcie ducha i charakter narodowy przez szczere zamiłowanie rodzimego obyczaju i rodzimej myśli; zachowujcie pamięć samodzielnej przeszłości waszej, poczciwego imienia przodków waszych i nieugiętej ich duszy; jednem słowem, bądźcie zawsze i wszędzie Polakami — a naród błogosławić będzie konserwatystów polskich. Lecz bądźcie konsekwentnie konserwatystami i nie naśladujcie bez rozmysłu i rozwagi konserwatystów zagranicznych. Czyż uszanowanie dla władzy, jako władzy, które wszelkiemi siły w naród wpoić usiłujecie, miałoby być następstwem konserwatyzmu waszego? Czyż adoracya prawa faktycznie istniejącego, w którem się rozmiłowaliście; czyż żądza wasza organizowania kraju za współdziałaniem rządu zgadza się, nie mówim już z dążnością zachowawczą, lecz z prostym rozumem i z doświadczeniem, jakie wam się w ciągu niewoli naszej zbyt dotkliwie narzucało? Czyż zasada ta nie prowadzi do uszanowania brutalnego gwałtu, do uszanowania zbójcy, przykładającego nóż do piersi bezbronnej? Zastanówcie się nad okropnością skutków dążności waszej i nie zadawajcie fałszu konserwatyzmowi waszemu.

Dawniej nieco wypowiedzieliśmy już obszerniej zdanie nasze o nierozumie i szkodliwości wypływającej z uszanowania władzy, jako władzy. Dziś dodamy tylko, że rozdział, jaki obecnie istnieje pomiędzy prawem faktycznem a sprawiedliwością, istnieć musi w przekonaniu narodu naszego. Dla tego nie zaszczepiać zgubnych adoracyj, lecz przeciwnie wyjaśniać i utrzymywać nam wypada w przekonaniu ludu przeciwieństwo zachodzące pomiędzy sprawiedliwością i prawem przypadkowem, narzuconem. Wymaga tego po nas uczucie moralności i myśl czysto zachowawcza. Chcieć zagubić w przekonaniu narodu sprzeczność tę, jest to zrzekać się uprawnienia naszego, odrzucić nadzieję na przyszłość, wypierać się przeszłości, utracić wiarę w nieodzowne zwycięstwo sprawiedliwości i prawdy.

Powtarzamy, bądźcie konserwatystami w imie Boże, lecz bądźcie nimi konsekwentnie, bądźcie konserwatystami polskimi. Pod tym jedynie warunkiem na jednej i tejże samej spotkamy się drodze.

Znamy dostatecznie trudne położenie dziennika, który się organem konserwatyzmu być mieni, znamy liczne trudności, z jakiemi ma do walczenia Czas krakowski; lecz pamiętamy zarazem dobrze godło, które przyjął w pierwszych czasach istnienia swego, godło, któremu poczciwe polskie sumienie nic nie ma do zarzucenia; godło mieszczące się w wyrazach: godność osobista, cnota i dobra sława. Dla tego też wymagamy po nim, ażeby nie zadawał fałszu samemu sobie. Obrońca jego twierdzi, że czasami umieszczać musi to, co nie jest właściwem jego przekonaniem. Zła to obrona. Że przekonania swego jasno wypowiedzieć nie wolno w stanie uciemiężenia, dostatecznie to i my wiemy z własnego doświadczenia. Lecz pytamy się, czy istnieje jakakolwiek władza na ziemi, lub jakakolwiek konieczność, zmuszająca do pokrywania płaszczem nikczemnej podłości, zapierającej się imienia i pochodzenia swego? Czy względne nawet rozszerzanie trucizny moralnej zgadza się z cnotą i dobrą sławą? Czyż może być jakakolwiek korzyść, dla którejby usprawiedliwiać nam wolno było poziome i niegodne objawy odstępców świętej i sprawiedliwej sprawy naszej? Jeżeli przekonania naszego objawić nam nie wolno, natenczas milczenie jedynym obowiązkiem naszym. Żadna władza, żadna konieczność, milczenia, tej ostatecznej protestacyi w niewoli, odjąć nam nie zdoła.

Utraciliśmy wszystko, co przemocą wydarte być może. Utraciliśmy wszystko aż do poczciwego imienia. Wszystko napowrót zdobędziemy, jeżeli moralnej czystości i godności narodowej nie podamy sami w pogardę. Z moralnej śmierci nie masz zmartwychwstania. Póki nam więc jeszcze odzywać się wolno, wołamy i wołać nie przestaniemy z głębi naszej duszy: nie popełniajcie samobójstwa, zachowujcie godność w uciemiężeniu, czuwajcie nad godnością narodu i ducha polskiego!

G. P. nr. 183 z 10 sierpnia 1851.

XXII.

Korespondenta paryskiego odpowiedź panu H. W.

»Szanowna redakcya Gońca pewno już wyręczyła mnie w odpowiedzi na list pana H. W. Dziękuję za to szanownej redakcyi z całej duszy, zwłaszcza, że wielkie fizyczne osłabienie nie pozwoliłoby mi obecnie odpowiedzieć na znakomity ów list w sposób, na jaki zasługuje

ważność samego przedmiotu i wysoki charakter piszącego. Dwóch tylko punktów dotknąć się czuję obowiązanym:

»Nasamprzód protestuję jak najuroczyściej przeciwko twierdzeniu szanownego pana H. W., jakobym chciał »rzucić klątwę na całe miasto, na cały kraj«. Od takiego kroku jużby mnie nie tylko rozsądek, ale coś wyższego nad to, od tegoby mnie wstrzymało sumienie Polaka. Potępiłem partyą Gibelinów polskich, partyą tylko: nie miasto, ani kraj, i w tej partyi nawet umiałem odróżnić przywódzców od dobrodusznych i łatwowiernych, ale uczciwych stronników. Ja umiem szanować kraj mój i cały ten starożytny gród, w krórym spoczywają prochy wielkich naszych królów-rycerzy i w którym się wznosi mogiła większego jeszcze króla-chłopa Kościuszki: oby to tylko tak szanować umieli nasi Gibelini! Wiem, jak gorąco swem gorącem sercem wielki wieszcz hymnów kochać umie; ale i to wiem, że i moje serce nienawiści nie zna. Nie wiem, czy mistrz słowa, przed którego najwyższą instancyą śmiałem zapozwać tych, co honorem narodowym frymarczą, mego głosu usłuchał i swój głos podniesie; ale to wiem, i za to ręczę, że, jeśli go nie podniesie, to tylko dla tego, że w jego duchu jest ta pogarda, »co ma także swe panieństwo«...[1])

---

[1]) W prywatnym liście J. Klaczki do Wład. Bentkowskiego, pisanym pomiędzy 6 a 22 września 1851 r., znajduje się wzmianka następująca:

Pytasz się, co powiedział Zygm. na Gibelin.? M n i e (bo Zygm. jest dyplomatą, więc innym coś innego mógł powiedzieć) mnie powtarzam odpisał:

»Uczucia objawione w Czasie są to wyrazy kilku indywiduów,
»a nie massy narodowej — więc nie ma niebezpieczeństwa. Tym
»Jegomościom możnaby odpowiedzieć sześcioma literami: ś.....!
»a innego głosu przeciw nim podnieść nie warto.«

Ja na to f i n d e n o n r e c e v o i r odpowiedziałem wierszem z Biblii, który Zygm. sam zacytował w Psalmach:

»mają oczy, aby widzieli, a nie widzą: — uszy mają, aby słyszeli, a nie słyszą.« e b a s t i c i!! (Przyp. wyd.)

»Szanowny pan H. W. oświadcza następnie, że Czas musi przyjmować haniebne i hańbiące artykuły.... Niech mi p. H. W. wybaczy, ale ci, którzy mu to zaręczyli, niesumiennie nadużyli jego dobrej wiary... Nie, takich artykułów Czas przyjmować nie musi. Znamy wszyscy charakter i ton przymusowych artykułów... charakter sztywny i zapięty, jak mundur stanowy, ton zimny i gładki, jak ostrze sztyletu; taki charakter i ton artykułów przymusowych w Kuryerze Warszawskim, w Gazecie Warszawskiej i t. p., i dla tego nikt tych pism o zdradę obwiniać, nikt ich potępiać nie miał sumienia. Ale inne to wcale znamię owych lirycznych feletonów i cesarskich dytyrambów krakowskiego dziennika! Takie nie pochodzą z biura urzędowego, takie pochodzą z serca, z serca nie wiem jakiego, ale niezawodnie nie polskiego. W niewoli i uciemiężeniu można i trzeba nieraz wiele słów szlachetnych zamilczeć, ale nigdy nie wolno podłych i podlących słów powiedzieć, bo do tego żadna przemoc ludzka nas zmusić nie jest w stanie: nie ja to mówię, powiedział to już Czasowi Przegląd Poznański, pismo konserwatywne par excellence, ale dbające jeszcze o honor narodowy, o godność sumienia polskiego, jedyny skarb, któryśmy ocalili z naszego rozbicia. Pan H. W. utrzymuje, »że żyć jest pierwszym obowiązkiem« — nie, nie jest nim, gdy takie życie materyalne tylko moralnem samobójstwem się okupuje. Powtarzam jeszcze raz: takich artykułów, jak Czas, nie ma ani Kuryer Warszawski, ani Gazeta Warszawska: ma je tylko jeszcze Dziennik hrabiego Rzewuskiego. Oświadczam to po sumiennej a bolesnej rozwadze, sire ira et studio: Czas tylko formatem i formą się różni od Dziennika Warszawskiego, nie różni się od niego ani kierunkiem, ani celem.

»Tyle na teraz. Powtarzam jeszcze raz mój szczery żal, że bardzo nadwątlony stan zdrowia nie pozwala mi obszerniej odpowiedzieć znakomitemu mężowi, z którym mnie nie tylko łączy dawna znajomość, tak pełna uszano-

wania z mojej, jak pobłażania z jego strony — ale z którym mnie nadto wiąże wspólność tych zasad demokratycznych, które tak szczerze i wymownie w r. 1848 objawił w pisemku: *Liga i zasady demokratyczne.* Pozostaje mi tylko powiedzieć panu H. W., że umiem należycie ocenić to wysokie chrześciańskie uczucie litości, które spowodowało go bronić zaczepionej, acz najgorszej sprawy, tak jak dawni wielcy Chrześcianie wieków średnich nie wymawiali się nigdy od urzędu advocatus diaboli.

»Szanowny pan H. W. powiada, że mam za sobą »tych wszystkich gorąco czujących, którzy godność narodową cenić umieją, i dziś, kiedy, ludzkiem okiem patrząc, żadnego promyka nadziei nie widzą, zachowanie tej godności za pierwszy obowiązek uważają«... Dzięki, z całego szczerego i zbolałego serca dzięki panu H. W. niech będą za te słowa, które mi staną za najwyższy tytuł chwały, za najsłodszą pociechę w tem mojem tak młodem jeszcze a już tak doświadczonem życiu!... Z ludźmi, co gorąco czują, godność narodową cenić umieją i jej zachowanie za najwyższy obowiązek narodowy uważają... z takimi ludźmi, ojców Boże, jeśli już nie siać i zbierać, z takimi ludźmi pozwól mi choć umierać!... Umierać godnie: okryty choćby i rąbkiem tylko tej czystej szaty nieskalanej Polski; ale nigdy mundurem stanowym — nigdy — nigdy!

Paryż, 11 sierpnia.

Korespondent paryski Gońca«.

G. P. nr. 189 z 19 sierpnia 1851.

W przedmiocie Gibelinów polskich drugi list Henryka Wodzickiego.

Odbieramy list następujący, który zamyka niejako małą polemiczną utarczkę z okoliczności »Gibelinów polskich«, w kolumnach dziennika naszego wytoczoną; chyba, że nasz paryski korespondent uzna za stosowne, dorzucić jeszcze z swej strony kilka słów odpowiedzi.[1]) Co

---

[1]) Zob. niżej list XXIII zawierający »Odpowiedź panu H. W.«

do nas, nie mamy przy tej sposobności nic nowego do nadmienienia, ile że wycieczki nasze przeciwko Czasowi były każdą razą dalekie od nieprzyjaznych ogólników i opierały się zawsze na jawnie wytkniętych pobudkach i kategorycznie wyłożonym sposobie widzenia rzeczy. List ten brzmi:

»Szanowny Redaktorze! Przed niedawnym czasem, szlachetnym wiedziony uczuciem, otworzyłeś mi kolumny Gońca, gdym, z powodu listu o Gibelinach, spisał uwagi o stanie Galicyi i stanowisku Czasu. Dziś o podobną łaskę proszę, a to jeszcze w imieniu tej bezstronności, której dałeś dowody. Pismo moje będzie krótkie, bo nic innego powiedzieć nie chcę, jak tylko, że list korespondenta paryskiego, jakkolwiek piękny, a dla mnie zbyt pochlebny, zdania mojego w niczem nie zmienił. Przeciwko wyrokowi, którego o brak dobrej wiary nie oskarżam, nie pozostaje mi, jak sumienne moje orzeczenie postawić.

»W artykule moim broniłem zasad Czasu ogólnych, broniłem ludzi redakcyi pisma tego przewodniczących, broniłem z przekonania, że pierwsze wynikają z rzeczywistego położenia i potrzeby krajowej i tejże odpowiadają, że drudzy pracują sumiennie i wedle sił swoich dla dobra kraju jedynie. Nie broniłem wcale wszystkich artykułów, a zwłaszcza takich, jak feleton, o którym mowa, bo redakcya za feleton nie odpowiada i ten jest zupełnie odrębny i osobną ma redakcyą.

»Wystawiłem trudności, jakich doznaje Czas, i warunki, pod jakimi stoi. Korespondent je zaprzeczył; prostem zaprzeczeniem przymuszony jestem oświadczyć, że są prawdziwe co do słowa.

»W potępieniu bezwzględnem pisma i ludzi, daruje mi korespondent, jeżeli powiem, że przebija młodość, do której się przyznaje, oddalenie, w jakiem go wiemy, a może i cokolwiek uprzedzenia, któreby znikło, gdyby położenie kraju i dziennika lepiej mu było znajome.

»Położenie nasze tak jest drażliwe i nieszczęsne, tak łatwo jest wziąść błąd za zbrodnią, tak łatwo oskarżyć i potępić, że nie można być dosyć oględnym i sumiennym w wyrokowaniu. W sądzie o każdej robocie narodowej obowiązkiem jest, uważać się za przysięgłego i dopiero po spokojnym i poważnym rozbiorze wszystkich szczegółów, powodów i skutków wyrokować. Wszakże w liczbie przysięgłych może dwóch ludzi zacnych wydać różny wyrok o tym samym czynie, a jednak ich nikt o brak sumienia posądzić nie śmie. Mam nadzieję, że i w dzisiejszej sprawie zachowamy wzajemny szacunek, lubo, jako przysięgli, inaczej orzekamy.

»Dodać jeszcze muszę, że pochlebne wyrazy korespondenta i tę cenę, którą do mojego przywięzuje sądu, uważam tylko za grzeczności formę. Jedno wszakże wyrażenie sprostować muszę: korespondent mówi, że w naszych stosunkach było »pobłażenie« z mojej strony. Autor listu o Gibelinach bardzo dobrze wie, i chętnie to publicznie wy-

znaję, że mam dla jego charakteru prawdziwy szacunek a dla jego nauki uszanowanie, które się każdej rzeczywistej zasłudze należy. Że nas łączy nie tylko znajomość, ale i wspólność zasad, ani na chwilę nie wątpię, jeżeli się on od r. 1849 nie zmienił.

H. W.«

G. P. nr. 203 z 4 września 1851.

XXIII.

Odpowiedź panu H. W.[1])

Trudno mi nie skorzystać z łaskawego pozwolenia redakcyi dorzucenia jeszcze słów kilku w mojej polemice z szanownym panem H. W. Trudno mi dobrowolnie zaprzestać w walce, w której, jak w owej homerowej walce Diomeda z Glaukiem, w zamian za moją stalową broń dostaję złotą... A jednak właściwy i główny punkt naszego sporu dotychczas ominąłem i nadal ominąć muszę. Punktem tym jest ta nowa i niebyła teorya o uszanowaniu dla władzy... obcej, najezdniczej, i z której wszystko inne wypływa. Wprawdzie walka przeciwko takiej teoryi nie byłaby mi trudną: przeciwko niej za broń by mi służyła loika całego świata i sumienie całego mego narodu, a za świadków bym mógł wziąść tych wszystkich wielkich naszych mężów, którzy już dawniej i nieraz przeciwko obcej władzy walczyli: Kościuszkę i Kilińskiego, Niemcewicza i Czartoryskiego... Ale stosunki »wyższe«, pod którymi pozostaje Goniec, każą mi o tej teoryi zamilczeć, choć nie zapomnieć. Kilka słów więc tylko jeszcze o Czasie.

Co do tego pisma, to jeszcze raz oświadczam, że tylko z jego kierunkiem, z jego dążnością i celem mam do czynienia, a nie z ludźmi, którzy go redagują lub się nim opiekują, i o których wolę wierzyć, że wielu z nich przynajmniej działa w dobrej myśli i szczerych intencyach;

---

[1]) Zob. wyżej str. 182 »W przedmiocie Gibelinów polskich drugi list Henryka Wodzickiego.«

przecież już św. Paweł to powiedział, że »i piekło jest wysłane dobremi intencyami.« Kierunek zaś tego pisma uważam za zgubny i potępienia godny. Szanowny pan H. W. także nie wszystko w Czasie chce usprawiedliwić, ale na obronę jego znowu znalazł argument, o którym znowu tylko powiedzieć mogę, że ci, którzy mu go podali, niesumiennie nadużyli jego dobrej wiary. Szanowny pan H. W. na usprawiedliwienie redakcyi Czasu mówi, że ona nie odpowiada za feleton, który zupełnie jest od niej niezależnym. Otóż to jest czystem niepodobieństwem, mogę to szanownemu panu H. W. najsumienniej zaręczyć. Jestem wprawdzie młody... mój Boże, ja się tego wcale nie wstydzę, a gdybym chciał tu sobie przypomnieć pewne nasze nowsze pokolenie, możebym nawet miał przyczynę być dumnym z tego, że należę do tej młodzieży, która jeszcze umie być młodą... Jestem wprawdzie młody, ale stosunki dziennikarskie znam dokładnie, bo w nich niestety zużyłem kilka lat mego życia, i mogę z najzupełniejszą świadomością rzeczy szanownemu panu H. W. zaręczyć, że tego nigdy nie było i nie będzie, że to czystem niepodobieństwem, aby redakcya główna nie miała i nie musiała wiedzieć o feletonie swego pisma i zań nie odpowiadała. A zresztą i to jest rzeczą tylko podrzędną w tej sprawie; bo nie tylko sam feleton Czasu świeci nieraz narodowym cynizmem. Cóż np. szanowny pan H. W. myśli o wiedeńskich korespondencyach pana W..... w Czasie?

Szanowny pan H. W. nie odpowiedział na najgłówniejsze moje i, jak mi się zdaje, kategoryczne pytanie: czemu takich haniebnych artykułów, jak Czas, nie mają ani Kuryer Warszawski ani Gazeta, t. j. te pisma, które niezaprzeczenie pod najtrudniejszemi egzystują konstellacyami, a czemu takie tylko ma jeszcze dziennik hrabiego Rzewuskiego, znanego zdrajcy i apostaty? Czas tylko o pierwszej połowie łacińskiego wiersza: Vera loqui timeo wiecznie pamięta, o drugiej zaś i najważniejszej

połowie: dedignor dicere falsa, ciągle zapomina i zadaje ciągły i nieustanny fałsz naszym uczuciom, naszym myślom i naszemu sumieniu. Nie, nie ma łagodzących okoliczności dla podłości, a jeśli na jedyne swoje usprawiedliwienie Czas tylko znaleść może owe słowa supplikanta Taylleranda: »il faut donc que je vive!« to mnie tylko pozostaje odpowiedzieć z tym samym Tayllerandem: »je n'en vois pas la nécessité!« Bo kilka egzemplarzy Poselstwa Brodzińskiego więcej nauczą Galicyą tego, co jej wiedzieć potrzeba, jak najgruntowniejsze polityczne rozprawy, okupione kosztem naszego dobrego imienia i naszej dobrej sławy.

Szanowny pan H. W. oświadcza w końcu, że ani na chwilę nie wątpi o wspólności naszych zasad (nb. »demokratycznych« — pan H. W. pewno tylko z pośpiechu zapomniał o tym dosyć ważnym epitecie, o którym ja nie zapomniałem), jeśli się od roku 1849 nie zmieniłem. Na pociechę szanowego pana H. W. mogę mu najsumienniej zaręczyć, że się od tej epoki nie zmieniłem. Jak wtenczas tak i dziś jestem zwolennikiem demokracyi współubiegania się i poświęcania, a przeciwnikiem demokracyi zazdrości i zawiści. Jak wtenczas tak i dziś chcę zachowania naszej godności i szczerej, sumiennej a narodowej pracy. Jak wtenczas tak i dziś jestem przeciwko wszelkim niewczesnym politycznym wybuchom i niebezpiecznym socyalnym eksperymentom. Taki był nasz wspólny program w roku 1849; taki był program Ligi Polskiej i tej pięknej broszurki pana H. W., do której wciąż z upodobaniem powracam. Dopiero później i niedawno temu zaczęto do tego uczciwego programu z pewnej strony dodawać pewne »zgubne innowacye« i zastraszające kodycylki o współdziałaniu z ....., o uszanowaniu dla .....[1]) i, proh pudor, proh horror! — o cnocie w rzezi galicyjskiej.... kodycylki i innowacye, które wywracają

[1]) Stanowcze wyrazy musieliśmy wypuścić. (Przyp. Red. Goń.)

z gruntu cały dawny nasz kontrakt i których ani mogłem podejrzywać w r. 1849, bo ich nikt wtenczas nie ogłaszał, nikt o nich choćby najlżejszem słówkiem wspomnieć nie chciał, może też i nie śmiał!! Świadczę się tu Bogiem i sumieniem mojem, a szanowny pan H. W. sam mi to pierwszy zaświadczy.

Szanowny pan H. W. widzi, że ja się nie zmieniłem od r. 1849, a jeśliby się znaleźli tacy, coby temu zaprzeczyli, to niechaj pan H. W. raczy pamiętać, że zawsze unoszonym prądem potoku się wydaje, iż nie oni od brzegów, ale brzegi od nich uciekają, i że, tem samem prawem optycznego złudzenia, ludzie, którzy się falą Czasu dali porwać i zapędzić aż na Cap de nulle espérance, mogą myśleć, że nie oni mnie, ale ja ich odstąpiłem, ja, który, siłą czy to mojej ciężkości czy mojej stałości, pozostałem niewzruszony na dawnem naszem wspólnem stanowisku z r. 1849.

Korespondent paryski Gońca.

G. P. nr. 212 z 16 września 1851.

XXIV.

(Stare nowiny. — »Porządek« i marszałek Sebastiani. — Śmierć pułkownika Rusieckiego. — Po deklaracyi ale i po nowinie. — Demokratyczna niwellacya Mikołaja. — Fantazya Miłosławska pana Mierosławskiego. — Emigracya w Anglii.)

Mimowolna przerwa, która nastała w mojej korespondencyi, zmusza mnie do udzielenia nasamprzód kilka nowin już trochę przestarzałych, ale których jednak w tej feletonowej kronice emigracyjnego naszego życia opuścić bym nie chciał.

Kilka tygodni temu zakończył żywot człowiek, który się sławnem słowem zapisał do niezatarcia w nowszych dziejach naszego narodu, w dziejach całego nawet XIX wieku. »L'ordre régne à Varsovie« zmarłego teraz marszałka Sebastiani będzie pamiętnem nie tylko dla nas,

ale też — bo tak solidarnie teraz związane losy ludzkości — i dla wszystkich uciemiężonych narodów, dla wszystkich pokrzywdzonych w najświętszem prawie ojczystego bytu... Ciekawą do napisania i nauczającą do zgłębienia by była historya haseł, historya tych wyrazów, które, zrazu nieznaczne i przypadkowe, stały się z czasem znaczącemi i fatalnemi, z początku dla chwili tylko obrachowane i prawie bezwiednie improwizowane, służyły w końcu za epitom dla całego historycznego kierunku epoki, niestety! nieraz i za epitaf, za napis grobowy, dla niejednej wielkiej myśli wieku, dla niejednego wielkiego narodu w chrześciaństwie! W takiej to historyi haseł słowo marszałka Sebastiani znajdzie jeszcze kiedyś wyraźne, wielkie bodaj i pierwsze miejsce... Słowo »porządek« jest tak stare, jak świat, bez którego nigdy nie istniał, bez którego istnieć by nie mógł; ale Sebastiani pierwszy nadał temu słowu to nowsze fatalne znaczenie, pierwszy użył go dla określenia i upiększenia tej zbrodni politycznej, uciemiężającej i podbijającej naród upominający się o swe najświętsze prawa, o niepodległość swego bytu i imienia, pierwszy określił niem ten stan, który o dwa tysiące lat przed nim już rzymskim lakonizmem oznaczył rzymski wielki historyk: ruinas faciunt, pacem appellant. Gdy Sebastiani pierwszy raz owe słowo w owem fatalnem wymówił znaczeniu, przed dwudziestą laty, echo mu głośnem odpowiedziało oburzeniem, izba francuska zawrzała, dzienniki wołały o pomstę, liberaliści o zdradę... Dziś, gdy z okoliczności śmierci Sebastianiego te same dzienniki wystąpiły z jego nekrologiem, gdy wyliczyły wszystkie ważniejsze wypadki jego życia, rekapitulowały jego wielkie i małe czyny — żaden, żaden z tych dzienników mu tego słowa nie wyrzucił, żaden mu go nie przypomniał... och, bo też jego słowo było proroczem, prawdziwiej, niż owa kokarda, którą ofiarował Bailly Ludwikowi XVI, zrobiło ono »le tour du monde«, to słowo stało się ciałem! Porządek już nie tylko w Warszawie, panuje on

teraz we Wiedniu i Peszcie, w Medyolanie i Neapolu, w Wenecyi i Zagrzebiu! W imieniu tego porządku Guizot i Montalembert, Assemblée Nationale i Univers bronią tych okropnych rządowych zbrodni, które niedawno Gladstone w całej obrzydłej nagości przedstawił dla tych ludzi, co jeszcze mają sumienie... w imieniu porządku tego nazywa Univers Ferdynanda IIgo »le meilleur des rois chrétiens!« Z jakąż radosną pogardą musiał marszałek spoglądać na tych ludzi, co teraz bałwochwalczo ubóstwiają to słowo, które dawniej w jego ustach im się zdawało bluźnierstwem, jakiż to tryumf musiał być dla tego męża stanu! I mamże powiedzieć, jaki go jeszcze inny tryumf czekał, o którym pewno nie wiedział, o którym pewno nie pomyślał, którego by się spodziewać nigdy nie śmiał?... Otóż, w dzień jego śmierci, w ten sam dzień, w którym się zamkły powieki tego korsykanina, czytano w Gońcu tę obronę polskich konserwatystów, która tylko jest rozprowadzeniem i usprawiedliwieniem owego słowa »porządku«, w znaczeniu Sebastianiego. Mógłże marszałek kiedykolwiek marzyć o takiem świetnem zadosyćuczynieniu, o takiem gorącem przyznaniu ze strony tych samych, których zapoznanie i pokrzywdzenie mu tak długo wyrzucano? Nie byłaż to najpiękniejsza, arcydzielna korsykańska vendetta dla tego człowieka, że własne usta ofiary powtarzały własne słowo potępienia, że Polacy, Polacy sami, w rzezi galicyjskiej przyznali cnotę, cnotę uszanowania porządku i władzy, i prawie całowali ten nóż, który ich zarzynał, dla tego, że na tym nożu była cyfra cesarska?!

W takim stanie rzeczy, w takiej ogólnej winie, którą z nim teraz dzielą nie tylko jego współwinowajcy, ale i ci, którzy go za to niegdyś potępili, ale i ci nawet, którzy padli ofiarą jego zbrodniczego słowa... prawie bym chciał usprawiedliwić zmarłego, prawie bym chciał widzieć w nim bezwiedne, niewinne narzędzie ogólnego grzechu... Ale nie! Człowiek jest odpowiedzialnym na tym świecie,

i nawet wtenczas nim być nie przestaje, gdy jego wina staje się winą całego świata! Bóg sprawiedliwy, w swoich wyrokach niezgłębiony, ale nieraz poznany, Bóg już i w tem życiu srodze ukarał marszałka i pozbawił go tego szczęścia w domu, którego on innych pozbawił w ojczyźnie... Nie opowiem tu tego okropnego zdarzenia, które każdej pewno pamięci jest przytomnem, które wstrzęsło całą moralną powagą wyższych warstw Francyi i krwawym swym blaskiem, jak błyskawica piorun, zapowiedziało upadek tej dynastyi, dla której Sebastiani poświęcił nawet i sumienie... Ale, co wartem opowiadania, bo to mniej znanem, bo to godnem jest zapisania i może posłużyć dla psychologicznego wyjaśnienia człowieka i jego słowa, to ta ciasność duszy, ta lodowatość serca, z którą ten człowiek zniósł cios tak okropny: Sebastiani do końca życia mieszkał w tym swoim hotelu na rue du Faubourg St. Honoré, w którym jego nieszczęśliwa córka zginęła od sztyletu swego męża Praslina!... Drzwi tylko owej fatalnej komnaty, gdzie spełnioną została ta straszna zbrodnia, przybito i żaluzye tych grobowych okien spuszczono..., a zresztą panował »porządek« w tym złowrogim hotelu, w którym marszałek nic nie zmienił, do ostatniej chwili życia gościł i nawet dawał wieczory! Kilka miesięcy temu, przechodząc koło tego hotelu, zajrzałem w głąb i widziałem śliczne niewinne dzieci, bawiące się tuż pod owemi zamkniętemi oknami owej sypialni... Były to dzieci pani Praslin!! To stępienie wszelkiego uczucia delikatności w sercu ojca i dziadka nie objaśniaż nam dostatecznie i czynów i słów męża stanu? Jakżeż miał uczuć upadek obcego narodu ten, który własnego upadku uczuć nie był w stanie, i jakżeż nie miał się cieszyć z porządku panującego w Warszawie ten, co tak prędko i obojętnie przywykł do porządku w hôtel-Sebastiani?...

O! Bóg wielki, Bóg, który nas nie opuszcza, chociaż siebie samych opuszczamy, Bóg swoim karzącym palcem

naznaczył nawet i ten obchód grobowy owego człowieka, który na nasz grób rzucił słowo obrazy! Kilka dni temu pochowano z całą wojskową okazałością Francyi zwłoki marszałka w hotelu inwalidów. Trumna wystawioną była przez jeden dzień w tem sklepieniu marszałków, ozdobionem wielkiemi trofeami zwycięstwa, chorągwiami zdobytemi przez Francuzów na nieprzyjaciołach. Otóż, przez jeden z tych przypadków, w których nieraz myśl Boża ukryta, sztandary te zapaliły się od jednej z pochodni oświecających katafalk i spłonęły wszystkie, jakby się wstydziły obwiewać skronie żołnierza, co nie uszanował tej Polski, której synowie byli niegdyś jego towarzyszami broni. Szkoda, którą przez ten dziwny i niebyły przypadek poniosła skarbnica trofeów francuskich, jest bardzo wielką, chociaż rząd starał się zatrzeć jak najprędzej jej ślady, a teraz znowu porządek panuje w hotelu inwalidów, jak panował w hotelu Sebastianiego, jak panuje w Warszawie...

W tym samym czasie, co Sebastiani, ale nie w hotelu, tylko w szpitalu, nie w stolicy świata, ale w jakimś zakątku Francyi, we Vierzon, w departamencie Cher, zakończył swoje mniej świetne może, ale czystsze i cnotliwsze życie stary wojak polski, któż wie, czy nie towarzysz broni marszałka? Pułkownik Józef Rusiecki urodził się w roku 1770 i już w r. 1787 był żołnierzem. W roku 1792 walczył pod Kościuszką w szeregach tych wielkich wojowników, co nie szanowali władzy austryacko-moskiewskiej, ale szanowali ojczyznę świętą i godność imienia polskiego. Po bitwie pod Maciejowicami schronił się do Francyi, wstąpił do tych legionów republikańskich, które dziś taką odrazą przejmują naszych ludzi porządku, walczył we Włoszech i wysłany potem pod dowództwem jenerała Rochambeau do Saint-Domingo, był jednym z tych rzadkich, co uratowali życie z tej podłej zasadzki, którą na naszych zastawił rząd niewdzięczny. Z powrotem do Francyi otrzymał stopień porucznika w 2giej dywizyi kirysierów,

którą dowodził jenerał d'Hautpoul (ojciec niedawnego ministra) i który w objęciach naszego tego rodaka skonał w bitwie pod Eylau. Gdy po tej ciężkiej potrzebie reorganizowano tę dywizyą, bardzo przerzedzoną kulami nieprzyjaciół, oficer jeden ze świty Napoleona zrobił uwagę, wskazując na Rusieckiego, że nie ma wzrostu należnego dla kirysiera. Napoleon kazał naszemu wojakowi zsiąść z konia i, zmierzywszy się z nim dos à dos, wykrzyknął: »mylisz się, waćpan; to nie karzeł.... on tego samego wzrostu, co ja« (»Vous vous trompez, monsieur; ce n'est pas un nain... il est de ma taille«) i zamianował go kapitanem w tym samym oddziale. Później, jako szef batalionu, odbył w roku 1812 kampanią moskiewską i niemiecką. W r. 1831 wreszcie dowodził 22im pułkiem liniowym. Żył poczciwie i umarł w nędzy. Wielu z mieszkańców Vierzona, część gwardyi narodowej z dowódzcą na czele, towarzyszyła zwłokom naszego wojaka, który w małym cmętarzu lichego miasteczka spokojniej spoczywać będzie, niż marszałek Sebastiani w hotelu inwalidów... Pokój jego czystej, polskiej duszy!

Po smutku wesele, mówi przysłowie... więc i ja też powiem coś o weselu, które w krótce nastąpi. Mój Boże! Jakżeż to niewdzięczną jest praca korespondenta! Ileż to razy wyciągam chciwe ręce za jakąś nowiną, a wiatr tylko uchwycę... a kiedy się wreszcie w istocie jakaś nowina nadarzy, gdy, goniąc i błądząc, nieznużony goniec, wreszcie natrafię na jakąś porządną »trouvaille« (jak to tu nazywają w argocie dziennikarskim), którąby nie zaskarbiła łaski wszystkich chciwych nowości... o, wtedy stają znowu pewne względy na zawadzie, które każą wstrzymać się z ogłoszeniem i czekać z nowiną, póki nie będzie zapomnianą! Gdybym np. temu pół roku był oznajmił pięknym czytelniczkom Gońca (jakem to mógł), że książę Witold, pierworodny syn księcia Adama Czartoryskiego, oświadczył się pannie Grocholskiej, Wołyniance, jednej z najpiękniejszych gwiazd (gdybym się nie bał, po-

wiedziałbym najpiękniejszej), które tej zimy jaśniały na tańcującym firmamencie polskiego towarzystwa w Paryżu... nieprawdaż, żebym z tą nowiną zrobił pewne furore? Jakżeżby to chciwie czytelniczki wydzierały sobie wówczas moją korespondencyą, jakżeżby rączo błyszczącemi oczkami przebiegały te wiersze, któż wie nawet, czyby się nie znalazła i taka, coby anielskim półuśmiechem przesłała nieznajomemu feletoniście podziękowanie za jego grzeczność i dorzeczność?.... ale, jak mówi Hamlet w swoim sławnym monologu?

. . . . . the native hue of resolution
Is sicklied o'er with the pale cast of thought....

i właśnie to thought, ta refleksya, te szkrupuły sumienia i delikatności kazały mi się wstrzymać z tą wiadomością, póki się nie stanie oficyalną. Dziś wprawdzie już po deklaracyi, ale niestety i po nowinie, a szanowne Wielkopolanki mnie tylko wyśmieją, że opowiadam im to, o czem już dawno i pewno daleko szczegółowiej odemnie wiedzą, o czem już w wizytach, przy pożegnaniu na wschodach (bo przy pożegnaniu na wschodach zaczyna się dopiero u naszej płci pięknej na dobre konwersacya) prowadziły już od niepamiętnych czasów »długie rozmowy między dwunastą a południem«, jak mówi Shakespeare, i o czem już nawetby zapomniały, gdyby o takich rzeczach zapomnieć można było.... Et nunc erudimini correspondentes... i miejcież nadal szkrupuły sumienia i delikatności! Ja ich już mieć nie myślę i wręcz opowiem świeży szczegół, tyczący się tej hymenowej sprawy. Szanowna matka tej panny, którą młody książę swem oświadczeniem zaszczycił, pisała do cesarza Mikołaja z prośbą i zapytaniem, czy pozwala na te śluby, i otrzymała w imieniu jego odpowiedź od Orłowa, że car nie mięsza się w sprawy córek swoich poddanych i że zatem pozwala na ślub panny Grocholskiej (i tu kładę moje: sic!) »s Witołdom Czartoryskim... s Witołdom Czartoryskim....« Car potomka Giedyminów nie raczył uczcić tytułem księcia nie tylko,

ale nawet i nie tytułem powszedniego p a n a lub powszedniejszego o b y w a t e l a! O, Demokrato brukselsko-polski[1]), ty, który, skasowawszy książąt i panów, miałeś jednak jeszcze tyle niepotrzebnego arystokratycznego wstydu, żeś umyślił nagości naszych imion przykrywać obywatelem.... patrz, jak daleko cię przeszedł car Mikołaj, który z tym demokratycznym zmysłem dla prostej nagiej natury, tak gorąco zaleconym przez J. J. Rousseau, i ten figowy liść obywatela z nas odziera! O, Demokrato brukselsko-polski, car mniej jeszcze ma »socyalnych przesądów« od ciebie.... P e n d s t o i S c a p i n!

Gdy już mowa o Demokracie, wspomnę też o fantastycznym opisie bitwy miłosławskiej, który w trzech jego numerach zamieścił pan Mierosławski[2]). Opis ten wymierzony jest przeciwko znanemu dziełku pana Moraczewskiego, dziełku: »w którem, mówi Mierosławski, jest prawda, jeno dużo gorsza od fałszu, bo nie cała«. W opisie p. Mierosławskiego jest także prawda, jeno dużo gorsza od tej, co nie cała, bo w i ę c e j n i ż c a ł a... Czytając te artykuły, ledwo oczom uwierzyć mógłem, takie tam zastałem niespodzianki. Że Mierosławski ma niechęć do obywateli Księstwa, że ją do nich mieć p o w i n i e n, dla tego właśnie, że względem nich zawinił... tego się spodziewałem. Nie zdziwiło mnie też, że Mierosławski żartuje z »osiedlonych obywateli«, że Pleszew ironicznie nazywa »Numancyą«, Kosińskiego »nerwowym«, Brzeżańskiego »konserwatystą szwadronowym, który miał o j c o w s k ą (sic!) pieczołowitość dla koni«, Garczyńskiego »kustoszem obozowym« itp. Ale, czego się nie spodziewałem, to, żeby Mierosławski bitwę miłosławską wystawił, nie jako heroiczny i spontaniczny czyn biednego, bezbronnego ludu, uwiedzionego obietnicami rządu, a potem opuszczonego,

---

[1]) Pismo D e m o k r a t a P o l s k i wychodziło najpierw w Poitiers, później w Paryżu, a od r. 1850 w Brukseli. (Przyp. wyd.)

[2]) »Opis bitwy pod Miłosławiem w roku 1848«, Demokrata Polski, 1851, nr. 26, 27 i 28. (Przyp. wyd.)

otoczonego zewsząd wrogiem i szukającego w pewnej śmierci (która się dziwnym trafem przemieniła w niespodziane zwycięstwo) środka ocalenia honoru i zemszczenia tyle ofiar padłych niewinnie, ale jako prawdziwą bitwę, jako »odporno-zaczepną wojnę«, do której stosuje wszystkie reguły strategii i taktyki, które nawet w jednem miejscu z bitwą pod Hohenlinden porównywa!... Czego się nie spodziewałem, to, żeby Mierosławski (który w tym opisie mówi o sobie w trzeciej osobie, jak Cezar i Napoleon) chciał to nieobrachowane spotkanie, w którem jedynym dowódzcą był zapał i uczucie honoru narodowego, przedstawić jako wynik swoich głębokich rozporządzeń, i prawił o wykombinowanym i stosownie do zmienionego stanu znowu zmienionym planie!! Plan ten swój rzekomy nazywa pan Mierosławski »improwizacyą«; jabym prędzej tak nazwał obecny jego opis tego planu!

Wiadomości, które odbieramy z emigracyi w Anglii, są bardzo smutne. Liczba wychodźców naszych, świeżo z Węgier tam przybyłych, powiększoną została dezerterami z załogi austryackiej, w Hamburgu goszczącej. Wiadomo, że część tej załogi składają pułki galicyjskie, w których się znajduje i wielu wziętych w niewolę podczas kampanii węgierskiej. Ci ostatni skorzystali z bliskości morza, by z zupełnym wreszcie brakiem uszanowania dla władzy wyrwać się z niewoli austryackiej i uciec do Londynu. Wszyscy ci nowi wychodźcy pracują, jak mogą, po hutach, kuźniach i t. p. Pewna część zarabia na utrzymanie przez robienie pantofli! Za robotę od tuzina dostają 8 sous. Pewną inną częścią zajmuje się jakiś stolarz angielski, którego że nam nazwiska nie udzielono, mocno żałuję, i który z bezprzykładnem teraz prawie poświęceniem przedał swój warsztat, by ulżyć nędzy naszych ziomków!

Wiadomości naukowe i literackie odkładam na przyszły raz, bo już zaczynam przekraczać granice korespondencyi naznaczone.

G. P. nr. 201 z 2 września 1851.

XXV.

Paryż, 2 września 1851.

(Marya, Zosia i Telimena. — Ukrainka Balzaca. — Z romansów romans. — Spieniężona relikwia. — P. Chrystian Ostrowski i jego dwie słabości. — Koniec snu będzież przebudzeniem?)

Wszelka poezya narodowa, skoro nią jest w istocie, wyrabia pewne wielkie typy kobiet, wyobrażające główniejsze odcienia płci pięknej tego narodu. Uwagę tę zrobił już Goethe. Poezya grecka ma swoją Penelopę, Antigonę i.... Lysistratę; włoska swoją Beatrycę, Laurę i Fiamettę; francuska swoją Heloizę, Zemirę i Lizettę; niemiecka swoją Luizę, Małgorzatę i Doroteę i t. d. Nasza polska poezya wyrobiła trzy wielkie, prawdziwe i żywotne typy: Maryę, Zofię i Telimenę....

Marya jest to typ i ideał zarazem: niewiasta polska, jaką być powinna i jaką nieraz bywa. W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota, wzbija ona ducha wiary nad księgą żywota; całym blaskiem jej czoła jest uśmiech cierpliwości, i wzrok jej skromnie ku ziemi spuszczony; ale, gdy go podniesie, może spojrzeć śmiało, ostro, jak sierota spojrzeć może! Pokorna, miłująca, szanuje ona powagę rodziców, nie odłącza ich woli od swojej i cieszy się ich szczęściem, łagodzi ich smutek. Nie wychodząc nigdy z czystej sfery kobiecej, nie umie ona być amazonką z wypaloną piersią, ale umie ocenić święte obowiązki, które na nas wkłada ojczyzna, i mężowi przy rozstaniu może bez jutra, gdy go chorągwie ojczyste zawezwą do boju, każe być »odważnym, stałym, wytrwałym, dzielnym....« zastrzeże sobie tylko, aby był »i uważnym«. Dla tego męża cała jej miłość, i wszystkie jej chęci, by żyć dla niego i w nim, umierać przed nim, być jego chwil osłodą, czasem i ozdobą; czasem i ozdobą!... w tem jednem już słowie leży cała różnica naszej Maryi od wszystkich Lelii, Waleryj i innych bohaterek pani George Sand,

które chcą, aby mąż lub kochanek był tylko księżycem (z rogami lub bez rogów) nigdy nie schodzącego słońca kobiety....

Marya to typ, ale i ideał zarazem, więc nie zbyt częsta. Częstszą daleko u nas jest owa Zosia, którą wielki wieszcz nam z tą misterną i niewinną sztuką skreślił, z jaką Dominichino umiał oddać swe dzieci-aniołki. Taką Zosię można u nas prawie w każdym szlacheckim domku napotkać, w każdym przynajmniej, który się nie zrujnował na guwernerach i guwernantkach francuskich. Jest to niewiasta cicha, wesoła, nawet, prawdę powiedzieć, trochę gapiowata, ale zawsze miła, milutka i słusznie nazwana tym przymiotnikiem wdzięczna, który jest wyłączną własnością tak naszego języka jak i naszych Zosi, który zarazem oznacza piękność twarzy i serca, który jest polskiem i, że tak powiem, zeskromnionem, cichszem przetłómaczeniem tego misternego przymiotu, który Grek kalokagathią nazywa. Żywa, żwawa i, jak to mówią, Bogu duszę winna, prawdziwa wychowanica pani Jędykowiczowej, bawiąca się z dziećmi i pasząca gęsi, zniszczy ona illuzye hrabiego, gdy na jego deklaracyą, pełną concettów, wytrzeszczy swoje duże, szczere i zdziwione oko, ale pozyska za to proste serce prostego Tadeusza i będzie dobrą żoną, dobrą matką, dobrą Polką i, jeśli nie tak świętą i nadziemską, jak Marya, to równie czystą i równie niewinną.

Trzecim typem nareszcie jest Telimena. Jest to kobieta już nie młoda, ale która umie przykrywać sztuką »de l'âge l'irréparable revers«. Wychowana zagranicą, mówiąca i myśląca po francusku, ma ona pewną odrazę do swego kraju i do jego prostaczych zwyczajów; o ojczyźnie nigdy nie wspomni, ale biegle dysertuje o muzyce, malarstwie itp.; ma album w biurku i wachlarzyk w ręku; była w wielkiej stolicy i ku niej tęskni z wieczora, z jutrznią tęskni i płacze. Myślą wciąż błądzi w świątyni dumania, w której jeśli nie zawsze znajdzie

owe fatalne mrówki, o których wiecie, zawsze jednak napotka rój wietrznych, płochych, skrzydlatych motylków. Gardząca istotami powszedniej natury, jest ona wyższa, dumna, świetna, lśniąca, przebóg, i narożowana!... Typ to wcale nie pocieszny, ale prawdziwy i rzeczywisty. Nie możemy mu być radzi, ale sarkać na los nie mamy za to przyczyny. Bo naród, który się szczyci Maryą i Zofią, ten może znosić i Telimenę. Przecież i nasz patryarcha Jakób w dodatku do Racheli musiał wziąść i Lię, o której oczach zamilczeć wolę, chociaż o nich niedwuznacznie mówi Biblia w jednem miejscu.

Ale, na co sarkać mamy niezaprzeczone prawo, co jest bolesnem i ubliżającem dla naszej narodowej dumy, i co, jak mówi Klaudiusz, miało być »krótkim sensem tej długiej mowy«, to, że, podczas gdy Marya siedzi cicho pod swoją rodzinną lipą przy boku ojca lub Wacława, podczas gdy Zosia najdalej robi wycieczkę do bliskiego powiatowego miasta, Telimena obiega ziemię całą i wszystkie jej stolice, od czasu nawet gdy »dryndulki«, o których mówi p. Podkomorzy, zastąpione zostały kolejami żelaznemi, prawie równocześnie się ukazuje na różnych punktach czyli raczej salonach wielkiego świata, i ona, ona tylko sama w oczach cudzoziemców wyobraża Polkę, jest przykładem nie tylko speciei, ale generis całej naszej płci pięknej, a szczególniej we Francyi. We Francyi długo znano Polkę w kształcie owej Lodoiski, która na brudnem bagnie osławionego romansu wyrosła cichą, smętną, białą lilią. Teraz naszą niewiastę już tylko znają jako mniej lub więcej młodą, mniej lub więcej różowaną, ale zawsze tę samą w gruncie Telimenę!... Chateaubriand w swoich pogrobowych pamiętnikach widzi w Polce »une Eve innocente et tombée, ignorant tout, sachant tout, vièrge et amante à la fois«. Liszt nazywa nasze Polki »divines chattes, généreuses et avares à la fois, démones et charmeresses.« Balzac wreszcie odzywa się do swej Ukrainki: »tu es Polonaise, c'est à dire, tu es ange par l'amour,

démon par la fantaisie, enfant par la foi, vieillard par l'expérience, homme par le cerveau, femme par le coeur, géante par l'espérance, mère par la douleur!!!« To wszystko może być bardzo antytetycznem, może się nawet niejednemu zdawać bardzo pięknem (mnie się to wydaje niedorzecznem i niemoralnem), ale to w żadnym razie nie jest obrazem polskiej niewiasty. Przeciwko temu protestuje prawda, protestuje sumienie, protestują nasze Marye i nasze Zosie!...

Ukrainka Balzaca, o której wspomniałem, była tematem wszystkich salonów i feletonów tego tygodnia w Paryżu, i dla tego i ja kilka słów jej poświęcić muszę.... Ukrainka i Balzac? — przerwie mi tu niezawodnie łaskawy czytelnik — jakiż związek może zachodzić między córką naszych poetycznych stepów, a osławionym malarzem wszystkich brudów prozaicznego Paryża? Tak mnie się niezawodnie zapyta nasamprzód najłaskawszy czytelnik i pomyśli, że mu prima aprilis chcę spłatać nie w porę, bo któregoś tam września. Nic jednak szczerszego i prawdziwszego, chociaż na pozór to tak dziwnem. Między mieszkanką pustej, smutnej, tęsknej, bujnej Ukrainy, a autorem tych brudnych, wszetecznych i bezbożnych romansów, jakim był Balzac, właściwie żadnego nie powinno być związku, i ludzie tych dwóch tak różnych stref powinni być sobie obcy, jak obce są sobie te strefy....

..... ale czasem miłość
I ludzi zbliża: znałem ludzi dwoje...

W tej naszej Ukrainie, w której tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosy, tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy, co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy... mieszkała jeszcze temu niedawno Polka, która pewno nigdy nie czytała Maryi, ale która za to połykała romanse Balzaca. Malczewski umarł nieznany, zapoznany, nie znalazłszy ani jednego uśmiechu miłości, przyjaźni na tym świecie... »Geniusz przemknął się jak cień«, powiedział o nim Mochnacki. Ale Balzac utkwił

w pamięci i w sercu naszej Polki, owładnął jej duszę, i to Balzac tylko autor, bo go tylko znała z jego romansów i dla nich go ubóstwiła i z głębi Ukrainy posyłała mu listy... jakie Heloiza posyłała Abelardowi (tj. w poemacie Popego). Listy te oddychały palącą, gwałtowną miłością, były pełne owej »wiary dziecięcia i doświadczenia starca«, o którycheśmy już słyszeli. I to wszystko dla samych tylko dzieł, dla samych tylko romansów, dla tej może powieści »La fille aux yeux d'or«, którą obyście tylko znali z krzyku szlachetnego oburzenia, który wyrwała naszemu Grabowskiemu! I nie bez przyczyny wymieniłem tu autora Literatury i Krytyki, bo nasza Ukrainka była siostrą jego przyjaciela, była jednem słowem siostrą tego hrabiego Henryka Rzewuskiego, który tak gwałtownie powstaje na niemoralność naszego wieku, który taki wieczny rozbrat widzi między cywilizacyą a religią, a który jednak nie musiał nic nagannego znaleść w Balzacu, skoro go tutaj jako swego szwagra pospieszył przywitać!! Bo nasza Ukrainka z listów miłosnych zstąpiła do kontraktu małżeńskiego i, stargawszy pęta, opuściła Ukrainę i dała zakończyć Hymenowi dramat, tak dziwnie poczęty przez Amora. Ale Bóg nie pobłogosławił temu związkowi: Balzac kilka miesięcy po ślubie zakończył życie, a pani de Balzac została sama ze swoją rozpaczą i zwojem papierów po mężu.

W tych papierach — i tu się właśnie zaczyna moja »chronique de la semaine«, jak to nazywają Francuzi — w tych papierach znalazła nasza Ukrainka nieznane, niewydane jeszcze dzieło swego męża. Dziełem tem jest komedya Mercadet le faiseur, w której Balzac z wielką sztuką, z większą jeszcze wiernością, z prawdziwym pędzlem Rembrandta skreślił typ tych giełdowców, którzy są tak gorliwymi obrońcami religii, familii i własności, tych łapigroszów, jak ich nazywał Rej, którzy się tak hałaśnie rozgościli na urzędowym świecie od wstąpienia na tron Ludwika Filipa, których Balzac znał z gruntu, bo z nimi

obcował i spekulował, nie lepszy w niczem od nich: on n'est jamais trahi que par les siens!..... Pani de Balzac porwała tę drogą relikwię, pozostałą po mężu, oblała ją łzami miłości, tuliła serdecznie do łona i — przedała dyrektorowi teatru Gymnase.....

Gdy wieść ta gruchnęła w Paryżu, wielkie nastąpiło przerażenie w niezliczonych szeregach giełdowców. »Ils ne voulaient pas qu'on les joue«, jak powiedział Molière. Taki Robert Macaire redivivus był wcale nie miłem zjawiskiem dla tych, co się w nim poznać strach mieli. Sam p. Armand Bertin, wszechwładny mocarz Debatów i arcykapłan giełdy, miał wystąpić z piorunującym artykułem przeciwko przedstawieniu pośmiertnej komedyi. W tem właśnie, że to dzieło jest pośmiertnem, znaleziono zgubną, acz nieuczciwą, bo nie w dobrej wierze podjętą broń. Jest-to narazić ustaloną już i przypieczętowaną, bo grobem, sławę na możebną przegranę, po której wszelki odwet niepodobny, wołali płatni feletoniści. Niektórzy nawet zrobili nas, nas biednych Polaków, odpowiedzialnymi za ten ich — strach! Tylko cudzoziemka, pisali niektórzy, może tak lekceważyć sławę francuskiego pisarza; tylko »córka narodu, który tak dalekim jest od właściwych nam uczuć delikatności«, może się na taki krok odważyć!.... My, my musieliśmy odpowiadać za panią de Balzac!....

Quidquid delirant Telimeny, plectuntur Polacy!... ale Ukrainka nie dała się zrazić tymi krzykami; zaręczają nawet, że dokonała cudów zgrabności i wytrwałości, przezwyciężyła wszystkie przeszkody, potrafiła złagodzić Lwa Faucher i zmiękczyć kamienne serce nawet pana Bertin, tego pana Bertin, którego nasz pan Tytus Działyński tak napróżno błagał o sprawiedliwość dla Polski. Jednem słowem: Mercadet ujrzał w tym tygodniu światło lamp, Paryż ma zabawne widowisko na parę miesięcy, a pani de Balzac cieszy się chwałą swego męża i dochodem, który przynosi jej .... komedya!

Nie tak szczęśliwym in rebus scenicis był pan

Chrystian Ostrowski. Ponieważ, ile spamiętam (!), pierwszy raz szanownego tego rodaka wspominam w mojej kronice, wypada mi go trochę bliżej zapoznać z szanowną publicznością. P. Chrystian Ostrowski (którego trzeba odróżnić od pana J. B. Ostrowskiego) jest synem czcigodnej pamięci wojewody i sam ze wszech miar honorowym człowiekiem. Na nieszczęście ma on dwie wielkie słabości, polityczną i literacką. Pod względem politycznym choruje pan Chrystian na oratorstwo i epistolografią. Daremne były moje tylekrotne pytania u szanownych współtułaczów, czy kto z nich słyszał co z mów p. Chrystiana Ostrowskiego? żaden z nich nie chciał wziąść na siebie odpowiedzialność takiego faktu; a jednak sam na własne oczy widziałem drukowaną broszurkę z tytułem: »Discours politiques de M. Christien Ostrowski!« Bardziej znane są nam listy tego szanownego rodaka, które przy każdej sposobności brevi manu et proprio motu w imieniu Polski publikuje. Pan Lamartine n. p. ma mowę, w której nas dotyka; wraz następnego dnia czytamy: »Reponse de m. Christien Ostrowski à m. de Lamartine.« Car wydaje proklamacyą do wojska idącego na Węgry; trop za nią idzie: »Reponse de m. Chr. Ostrowski au Czar de Russie.« Pan Teleki ogłasza odezwę do Polaków z powodu śmierci jenerała Bema; tuż i dzienniki przynoszą: »Reponse des Polonais aux Hongrois, par m. Chr. Ostrowski« i t. d.! Chęci tu jak najszczersze, ale sposób nie najszczęśliwszy. Szanowny pan Ostrowski jest rodzajem Dziadowego Konrada: nazywa się milion i za miliony peroruje i proklamuje! Drugą słabością naszego rodaka jest wierszomania francuska. Wprawdzie rzecz to niewinna i wcale nie szkodliwa; a jednak zdawałoby mi się, że Polak na obcej ziemi coś lepszego ma do roboty jak rymołówstwo (że użyję wyrażenia Korcewskiego) w obcym języku, że zawsze lepiej swojem piórem ustroić białego orła, jak galskiego koguta, i że wozić francuskie tragedye do Paryża, jestto to samo, co wozić sowy do

Aten i piasek do Brandenburgii. O ile wiem, dwóch jeszcze tylko rodaków w nowszych czasach popadło w ten grzech, czy w tę słabość, ale obaj prędko się upamiętali. Pan Przeździecki historycznemi narodowemi badaniami stara wynagrodzić sobie chwile stracone na tragedyi Don Sébastian de Portugal; a nasz Konstanty Gaszyński otrząsł się w swoich Pogadankach z kilku sonecików francuskich, które miał na sumieniu. Jeden tylko pan Chrystian Ostrowski wytrwał, z odwagą godniejszą lepszego przedmiotu. Z początku był tłómaczem i miał ten szlachetny, acz skutkiem nie uwieńczony cel zapoznania Francuzów z Mickiewiczem. Ale potem chciał ich też zapoznać z daleko mniej ciekawym poetą, z samym sobą, i stał się niewyczerpanym w płodach, w tragedyach i dramatach, które tylko dowiodły, że nie trzeba być koniecznie geniuszem, jak Malczewski, by się »jak cień przemykać«. Pan Chrystian Ostrowski przedstawił w tych dniach komisyi literackiej teatru francuskiego (comité de lecture) nowy swój płód dramatyczny p. t. Koniec snu (la fin d'un rève), który jednak równością głosów został odrzuconym: sit ei levis teka autorska! Niektóre tutejsze dzienniki doniosły o tym wypadku wprawdzie bez żalu, ale z zadziwieniem, że komisya nie miała więcej uwzględnienia dla .... cudzoziemca! Nie wiem, czy szanowny nasz rodak będzie wdzięczny dziennikom za tę ich trochę dwuznaczną grzeczność, ale my, jako rodacy, nie potrzebując być tak grzecznymi, szczerze życzyć możemy autorowi, aby ten jego dramat stał się dla niego prawdziwym końcem snu francuskiego rymołówstwa, i aby niezaprzeczone swe zdolności zechciał skierować do czegoś pożyteczniejszego i narodowego.

Mój Boże! Tyle słów już napisałem, a tak mało rzeczy! Nie moja w tem wina; ta Telimena mi dużo miejsca zabrała! Do niej więc miejcie urazę, łaskawi czytelnicy, jeśli najważniejsze nowiny odkładam do przyszłej korespondencyi.

G. P. nr. 206 z 7 września 1851.

XXVI.[1])

Do Teofila L.....

Paryż, 6 września 1851.

Z daleka do Paryża zaleciał mnie jeden z twoich cudnych wierszów, drogi Teofilu!.... Daruj, daruj, że go tu bez twego upoważnienia ogłoszę! Pozwól, aby ci, co jeszcze umieją cenić prawdziwą sztukę, czysty i prosty głos natury, których zmysły nie stępiły się jeszcze na szalonych, mistycznych, mesyanicznych i tytanicznych płodach naszej nowszej poezyi, pozwól, aby ci z równą jak ja rozkoszą czytali ten twój wiersz:

D z i e w c z y n a.

Oj, wesołaż ja dziewczyna,
Wszystko mnie się śmieje!
Dla mnie srebrzy się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje.
Dla mnie świecą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki,
Dla mnie dałeś wszystko, Boże,
Na piosnki, powiastki!
Bo i któżby myślał w świecie,
Przy tym niepokoju,
O powoju, co się plecie
Po krzakach, przy zdroju,
I o lichej tej ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie?...
Już ja o tem myśleć muszę,
To mój kłopot cały:
Żeby w letnią, skwarną suszę
Kwiatki nie zwiędniały,

---

[1]) Przesyłając niniejszy list Gońcowi Polskiemu, pisał Klaczko jednocześnie do redaktora Wład. Bentkowskiego, co następuje: »Załączam małą korespondencyjkę, nie bardzo do rzeczy, ale chciałem trochę ulżyć sercu. Wolno Ci przy a n d r o n a c h zrobić uwagę i zaprotestować — ale nie wymaż mi tego, proszę Cię, ani ustępu o młodzieży poznańskiej. *Ich thue mir darauf etwas zu Gute*«. (Przyp. wyd.)

Żeby chłopcy nie wybrali:
Małych ptaszek z gniazdka,
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka.
Za to od lilii, ruty,
Kwiatki mam dla siebie,
A ptaszek mnie uczy nuty
Do pieśni o niebie.
Od zdroju mam orzeźwienie,
Tę świeżość poranka,
A z gwiazd lecą mi promienie,
Jakby srebrna tkanka.
I tak dobrze, tak mi lekko,
U matki jedynej,
Że i nie wiem, jak tam cieką
Lata, dnie, godziny;
Czasem tylko, gdy do chatki
Zła wieść zakołacze,
To na łonie miłej matki
Żal nad ludźmi spłaczę.
Bo chociaż ja tak wesoła,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z sioła,
I często samotna.
Lada co to mnie pocieszy,[1])
Lada co zasmuci,
Czasem mała rzecz rozśmieszy,
Mała rzecz zakłóci.
Teraz to mniej śpiewam sobie,
Mniej skaczę jak dziecię;
Od czasu, jak brat mój w grobie,
Smutno mi na świecie!

Oh! co to za wiersz, mój Teofilu! Jakaż to w nim prostota i jakaż wielkość, jakaż prawda i jakaż sztuka zarazem! To prawdziwy fenomen w czasach, które tylko wydają Promethidiony, Zwolony i inne androny![2]) Mu-

[1]) W tekście drukowanym w Gońcu Polskim jest ten wiersz opuszczony. (Przyp. wyd.)

[2]) Powtarzając wiernie słowa naszego korespondenta, musim wszakże w tem tu miejscu wyłączną mu pozostawić odpowiedzialność za raniącą igraszkę słów. (Przyp. Red.)

zyczność tu pieśni ludowej ujęta plastyką Goethego, dźwięki tu Chopina wcielone w słowa. Od czasów »Krosienki« (!)[1]) naszego Bohdana nie było takiej pieśni!... Bo nieprawdaż, mój Teofilu, ta twoja dziewczyna, co jeszcze bawi u matuli i tylko myśli o kwiatkach, jest młodszą siostrą tej panny Bohdana, co mieszka u cioci i już musi być ostrożną?.... Pieśń ta tak skromna, jak lilia, tak czysta, jak promień gwiazdeczki, tak świeża, jak poranek, a tak smętna, jak myśl o Polsce.... Jak słońce w krysztale, tęczuje się w niej radość; jak kropla rosy w kielichu róży, drży w niej smutek.... Na brudnej ulicy Paryża, w mojej ciasnej izdebce, zaleciała mnie świeżą, rzeźką wonią naszych pól i lasów, i wśród turkotu i gwaru hałaśnej stolicy wionęła cichem, głębokiem echem naszych gór i dolin.

Co to za cudna strofka, ta druga, którą tu jeszcze raz powtórzę; przecież ją tysiąc już razy powtarzałem sobie:

Bo i któżby myślał w świecie,
Przy tym niepokoju,
O powoju, co się plecie
Po krzakach przy zdroju....
I o lichej tej ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie?

W tej poetycznej teleologii, rzewnej, jak westchnienie siostry, figlarnej, jak uśmiech Amorka, rzewnej i figlarnej zarazem, jak łezka w dołku piękności, a przedewszystkiem tak naiwnej, jak oczko nowonarodzonego dziecięcia, ileż to dźwięku i wdzięku, ileż to światła i cienia, ileż religii i filozofii!... Bo nie jestże to religijna myśl, że Bóg ma w swojej pieczy każdą roślinę i każde żyjątko, i powój i ptaszynę? Nie jestże to myśl filozoficzna, że wszystko

[1]) Właściwy tytuł utworu: »Rojenia wiośniane. Dumka przy krosienkach.« (Przyp. wyd.)

ma swoją przyczynę i swój cel na tym bożym świecie?... I to wszystko wypowiedziałeś w ośmiu wierszach, lotnych, wiewnych, cichych!....

I jakaż to znowu cicha sztuka w niedokończeniu ostatniej strofy.... Przerwałoż ją łkanie biednej dziewczyny za braciszkiem lub gruchnięcie ptaszyny? Uklękłaż tu i przeżegnała się, lub pobiegłaż za motylkiem?....

Daruj, daruj Teofilu! Prawie już chciałem rozbierać twój wonny wierszyk, strofkę po strofce... jak to głupie dziecko, aby się przekonać o piękności swojej róży, wydziera i ogląda listeczek po listeczku.

I takie to pieśni, pełne klasycznej spokojności, możesz nucić »przy tym niepokoju!« I takie to czyste dźwięki wydobywasz z lutni wtenczas, gdy rówiennicy twoi z niej tylko dzikie tony rozpaczy i zwątpienia wydobywają i głoszą się męczennikami, by się w własnych oczach podwyższyć, i skrobią się na zdrowem ciele, by się poszczycić ranami!

A jednak, jeśli kto, to ty, mój Teofilu, miałbyś prawo sarkać na losy, wyzywać przeznaczenie i zagrzmieć przekleństwem! Bo jesteś tułaczem na własnej ziemi, bo nigdy nie wiesz zrana, gdzie wieczorem strudzoną głowę położysz, bo cię trawią te powszednie troski życia, które wycieńczają ciało i wypalają mózg, bo żyjesz śród ludzi, którzy ciebie nie znają, śród młodzieży, która nawet nie wie, że się tam koło niej tuła autor tych cudnych pieśni: Jak to na Mazowszu, Dziewczyna itp.

Jakżeż się to czasy zmieniają! Gdybyś, mój Teofilu, temu lat dziesięć niespełna żył śród nas, tam, na Litwie, w gronie tej młodzieży, którą los teraz w różne świata zagnał strony, jakżebyśmy cię tu kochali, mój drogi Teofilu, jakżebyśmy cię na ręku nosili, jakżebyśmy dumni byli z twej znajomości, jakżebyśmy się szczycili twem posiadaniem.... A teraz! Sam przecież kilka miesięcy temu widziałem, jakeś się jak cień przekradał w P.....[1]) jak

[1]) W Poznaniu. (Przyp. wyd.)

mało kto o tem myślał, by cię swą znajomością zaszczycić, jak mało nawet było takich, co o tobie wiedzieli, słyszeli. O, bo teraz młodzież, dzięki Bogu, daleko rozsądniejsza! Ona już tak dojrzała, tak umiarkowana!... Ona żałuje tych szaleńców, co siedzą w cytadeli, wie, że człowiek nie żyje poezyą, myśli o dobrej partyi, szanuje władzę i gra w preferansa!

A ty jednak nie sarkasz na losy, nie wyzywasz przeznaczenia, nie grzmisz przekleństwem, i tylko śpiewasz cudne pieśni, śpiewasz sobie cicho, niewinnie, jak ta licha ptaszyna na kalinie...[1])

Śpiewaj, śpiewaj, mój Teofilu! Bądź lepszym wieszczem od twoich słuchaczów i patrz w górę, ostro, śmiało.... Bo, mimo wszystkich nieszczęść i bólów, mimo nędzy i osamotnienia, możesz sobie dać to świadectwo, które rzadko kto sobie teraz dać jest w stanie: możesz sobie powiedzieć, żeś potrzebny. Tak, tyś potrzebny, mój Teofilu!... bo i któż, jeśli nie ty

.... by myślał w świecie,
Przy tym niepokoju,
O powoju, co się plecie
Po krzakach przy zdroju...
I o lichej tej ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie?...

G. P. nr. 209 z 12 września 1851.

---

[1]) W jednym z listów Lenartowicza do Ew. Estkowskiego znajdujemy właśnie z powodu tej korespondencyi Klaczki następującą wzmiankę: »Krytyka Klaczki za nadto pochlebna, a dla Norwida za złośliwa, przykro mi, bo Norwid może myśleć, że w tem jaki udział ja miałem — bo ty nie wiesz, jak ludzie są podejrzliwi i posądzający. — Wierszyk o dziewczynie (niegodziwie z opuszczeniem całego jednego wiersza) wydrukowany przez Klaczkę w Gońcu, dostał się do niego do Paryża przez jakąś pannę, co go sobie przepisała, maleńka ta rzecz niegodna takich pochwał.

Wiersz opuszczony: »Lada co to mnie pocieszy.«
(Przyp. wyd.)

XXVII.

Paryż, 11 września 1851.

(Broszura pana Iskander. — Słówko o literaturze naszej w porównaniu do rosyjskiej i o zasługach naszych względem Słowiańszczyzny.)

Do rzędu nowszych publikacyj nas obchodzących wypada przedewszystkiem zaliczyć wyszłą niedawno broszurkę francuską pana Iskander (pseudonym)[1] p. t.: »Du développement des idées révolutionnaires en Russie«. (Paris, Franck. 1851). Autor tego pisemka znany już poniekąd czytelnikom Gońca; bo jego też pióra była i przeszłoroczna niemiecka broszurka »Vom andern Ufer«, o której jeden z szanownych moich feletonowych kollaboratorów zdał był w swoim czasie obszerną w tych kolumnach relacyą[2]. P. Iskander, emigrant rosyjski, tak dobrze włada językiem francuskim jak niemieckim: zjawisko nie rzadkie u Słowian, szczególniej u Moskali, z których każden prawie jest takim »difne Kekrops«, jak mówili Grecy. Nowe to pisemko francuskie ma te same wady i te same zalety, co i dawniejsze niemieckie. Uderza w niem to samo nie miłe mięszanie ateizmu germańskiego i socyalizmu francuskiego, to szczepienie Proudhona na Feuerbachu, to rewolucyjne usposobienie serca i głowy; a ujmuje znowu ta sama rodzima barbarzyńskość, ta sama dzika ironia gnębionego słowiańskiego sumienia przeciwko rozwścieklonemu w teoryach i praktykach zachodowi, ujmuje przedewszystkiem pewne głębokie uczucie moskiewskiego patryotyzmu: uczucie wprawdzie w dziwnym pozostające kontraście z afiszowanemi tuż obok wyobrażeniami ateistycznego i socyalnego kosmopolityzmu, a jednak, mimo to lub może właśnie dla tego, jak wszelka niekonsekwencya loiki, która jest konsekwencyą serca, napiętnowane

---

[1]) Pseudonim Aleksandra Herzena. (Przyp. wyd.)

[2]) »Z tamtego brzegu«. Goniec Polski, nr. 116 i 117 z 21 i 22 maja 1851. (Przyp. wyd.)

cechą wielkiej szczerości i wymuszające pewne uważanie i poważanie nawet na polskim czytelniku, chociaż naturalnie nie bez pewnych zastrzeżeń, zawarunkowań i restrykcyj.

Podobieństwo w myśli i formie tego nowego pisemka ze znanem już dawniejszem, jako też i wzgląd, że szanowny relator o broszurce »Vom andern Ufer« zechce pewno sam zapoznać bliżej czytelników tego dziennika z pisemkiem »Du développement des idées révolutionnaires en Russie«, uwalniają mnie od trudnej trochę pracy głębszego rozbioru ostatniego. Zamierzam dotknąć tu tylko dwóch ważniejszych punktów, bliżej mnie dotyczących, bo wchodzących w zakres moich zatrudnień.

P. Iskander stara się to, co on rozwojem myśli rewolucyjnych w Rosyi nazywa, dokumentować także i rozwojem równoległym literatury rosyjskiej w nowszych czasach, i daje nawet do zrozumienia, że w niej tylko jednej należy szukać objawu ducha słowiańskiego. Przeciwko takiemu orzeczeniu, i to nie tylko w takiej ogólności, ale nawet i w największem ściśnieniu do najskromniejszych rozmiarów, zaprotestuje każdy, co miał sposobność poznać literaturę moskiewską i słowiańską. Taki nawet zaprzeczy wszelkiej samoistnej narodowej literatury u Moskali i to dowodami czerpanymi z samego pisemka pana Iskander. Bo p. Iskander ciągle utrzymuje (i słusznie), że narodowość rosyjska jest dotychczas jeszcze w stanie ukrytym (»dans un état latent«), niewyrażonym, nieobjawionym, i że to, co na powierzchni olbrzymiego państwa widzimy, są tylko szumowiny obcych, francuskich i niemieckich napływów... Możeż więc taka narodowość, która się jeszcze wcale nie poznała, nie poczuła, która dopiero jest w stanie embrionowym, możeż taka mieć prawdziwą, t. j. swojską, rzeczywistą literaturę? Oczywista, że nie! I to jest taką prawdą, że to, co powszechnie literaturą rosyjską nazywają, jest tylko niezgrabnem szczepieniem Schillera na Byronie, Walter Scotta na Lamar-

tinie itp., jest tylko łataniną angielskich, francuskich i niemieckich rozbitków, zupełnie tak, jak nią jest i to urzędowe społeczeństwo rosyjskie, dla którego i w którem ta rzekoma literatura rzekomo kwitnie. Od Puszkina i włącznie nie wydała ona ani jednego dzieła, któreby pod względem oryginalności i żywotności prawdziwej mogło wejść w porównanie z naszym Tadeuszem lub z naszą Maryą, z Irydionem lub Księgami Pielgrzymstwa, z Przenajświętszą Rodziną lub z Psalmem dobrej woli.

Ktokolwiek zechce zgłębić ten ciekawy przedmiot, ten koniecznie przyjdzie do tego przekonania, że nie tylko rosyjski, ale żaden naród słowiański, prócz polskiego, nie ma jeszcze literatury prawdziwej, t. j. takiej, któraby była wyrazem myśli narodu, objawem jego ducha, odbiciem jego przemian historycznych. Taką literaturą jest tylko polska. Rzućmy tylko pobieżnem okiem na jej dzieje z ostatnich choćby lat 30: ileż tu dzieł, ileż zjawisk, ileż pomników oryginalnych, żywotnych, ściśle zrosłych z wszystkimi politycznymi i moralnymi wypadkami narodu! Gdy po wielkim i krwawym dramacie napoleońskich wojen, w którym i my niepoślednią odgrywaliśmy rolę, naród nasz pod umiejętnem przewodnictwem Czackich, Lelewelów, Staszicow i Czartoryskich zanurza się swojem własnem łonie i wydobywa z niego pamiątki dawnej chwały i wielkości, natchnienie czerpane z najgłębszych warstw swego społeczeństwa, uśpione tradycye uśpionego ludu, równocześnie też i kongruentnie odpowiada temu kierunkowi historyczna, ludowa, na tradycyach wiejskich oparta poezya w Wiesławie Brodzińskiego, w Maryi Malczewskiego, w Balladach Mickiewicza. Potem wzmaga się życie wyższych szkół u nas; lyceum krzemienieckie i uniwersytet wileński stają się ogniskami młodzieży, która, jak każda młodzież, a szczególniej uniwersytecka i z lat 1815—20, daje się shołdować jakiemuś niewypowiedzianemu pociągowi ku sentymentalności, miłości, naturze.... i ta faza znowu odbija się

zaraz w naszej poezyi, w erotycznych pieśniach Adama, w Rusałkach Bohdana, w Gustawie i w cudnych krajobrazach, które sonetami krymskimi nazywamy.

Młodzież dalej dorasta, pod mistycznym wpływem Zana zaczyna się sposobić do życia obywatelskiego w Wilnie, na hasło Łukasińskiego zaczyna spiskować w Warszawie, i znów stosownie do tego nowego diapazonu nastraja i muza nasza swoją lutnię, śpiewa pieśni wojny, wolności i zemsty, rozlegają się ukraińskie śpiewy Zaleskiego, Zamek Kaniowski wystrzela swe baszty z poetycznej mgły kozaczyzny, Oda do młodości każe sięgać, gdzie wzrok nie sięga, łamać, czego rozum nie łamie, i nuty te wszystkie zlewają się w ten fałszywy, ale proroczy akord Wallenroda! Po tej dzikiej muzyce Kaniowa i Grochowa, Marjenburga i Ostrołęki, gdy nad nami zawołano »biada!« jak nad głową Wallenroda, naród nasz znowu cofa się do swego łona i znajduje tam nową wielką świętą iskrę, iskrę wiary, religii.... i nastaje ten tak psychologicznie jak historycznie konieczny kierunek religijnego rozpamiętywania. Jański na tułactwie, Trynkowski i inni w kraju rozpłomieniają tę świętą iskrę i znów współcześnie nastaje u nas religijna szkoła wieszczów, »owa wieczerza pańska polskich poetów«, jak ją ślicznie nazwał Słowacki; Mickiewicz wydaje Księgi Pielgrzymstwa, Brodziński swoje Poselstwo, Witwicki uderza w harfę Dawidów, a nad nimi wszystkimi unosi się najczystszem namaszczeniem wiary dawny piewca Rusałek i Mazepy, i staje się bez zaprzeczenia największym religijnym poetą naszego czasu, tak jedynem zjawiskiem poezyi religijnej XIX wieku, jak jedynem był le Sueur w malarstwie religijnem XVIII wieku. W ślad za tem i za pokojem i uciszeniem, które przynosi wiara, idzie i spokojniejsze, pogodniejsze, epiczniejsze zapatrywanie się na życie, na dzieje, na ludzi, na przyszłość, a w poezyi powstaje ta prawdziwa opopea, która się pod skromną nazwą Pana Tadeusza ukrywa, a za nią następują Pamiątki

Soplicy, Witolorauda itd.; i cały ten spokojny, epiczny, historyczny kierunek wznosi w końcu gmach szczytny i przestronny dla Polski nie tylko, ale dla całej Słowiańszczyzny, w trzech pierwszych latach sławnego kursu w Collège de France. Ale niestety, nie długo się ostał naród w tej równowadze ducha, na drodze religijnego i historycznego pokoju i rozwoju, w tem umiarkowaniu chęci i sił, zamiarów i zasobów. Pod wpływem wielkich nieszczęść i większych złudzeń, wyrobił się w religii kierunek mistyczny, w polityce anarchiczny; tamten chciał dotrzeć nieba, a ten zaryć się i podminować w najniższych pokładach ziemi, tamten chciał każdego człowieka zrobić Bogiem, a ten królem.... I tym też tonom, acz fałszywym, acz niezgodnym, umiała jednak odpowiedzieć poezya nasza, umiała nawet użyczyć im tej harmonii, której w sobie same nie miały, uchwycić i uwiecznić je w Improwizacyi Konrada, w Nieboskiej, w Królu Zamczyska, i wydała wreszcie jednego poetę, który niejako objął formą i myślą cały zenit i nadyr tego tytanizującego w górę i w dół kierunku: Słowackiego! Następuje wreszcie wielkie przesilenie i mistycyzm pęka w bańkę Towiańszczyzny, anarchia wybucha w okropną lawę Tarnowa, a naród, oświecony tą podwójną błyskawicą, wstrzymuje się nad przepaścią, cofa się znowu w siebie i w swojem tak rozdartem, tak rozszarpanem łonie znajduje jeszcze skarb, który mu stanie za wszystkie wydarte bogactwa i który śmiało stawić może na wielką loteryą tajnej przyszłości, znajduje w sobie dobrą wolę! I znów poezya nasza tę myśl wciela w słowo i przez usta dawnego wieszcza Nieboskiej, a charakterystycznego później przeciwnika Juliusza, przemawia w ten szczytny Psalm dobrej woli, który może jest najczystszym dźwiękiem chrześciańskiej lutni, a bez zaprzeczenia najwyższym hymnem polskiej duszy..... Takie to koleje, takie przemiany, takie żywotne fazy, takie corsi e ricorsi, jak mówi Vico, przebyła nasza poezya w przeciągu lat

tylko 30! takie dzieła wywołała z głębi wiecznego ducha narodu i takie to ritorni al segno, ale zbogacone ciągle nowemi doświadczeniami, nowemi arcydziełmi, w coraz bardziej rozszerzających się kołach, odbyła kilkakrotnie w latach kilkudziesięciu!! Możeż coś podobnego wskazać jakakolwiek literatura słowiańska?

Nie! nie! Literatura rosyjska, niewolnicza i urzędowa, bez korzeni w narodzie i ze sztucznymi kwiatami u góry, nie może się zwać narodową, nie może być objawem jakiejbądź myśli i jakiegobądź ducha, i mimo kilku beranżerowskich i byronowskich wierszów dwuznacznego liberalizmu, nie ma w sobie ani jednego promienia z nieba, ani jednej iskry wolności!! Ducha i historyą ma tylko polska poezya, bo tylko człowiek i to, co jest ludzkiem, ma historyą: nie ma jej małpa. A literatura rosyjska dotychczas jest tylko małpiarstwem piśmiennictwa francuskiego, angielskiego lub niemieckiego!

Drugi ważniejszy punkt, którego dotknąć chciałem, jest zarzut robiony Polsce, jakoby od czasów Bolesława Chrobrego żadnych zasług nie położyła względem Słowiańszczyzny.... Zarzut to bardzo teraz upowszechniony; powtórzył, lub podpisał go przynajmniej jeszcze niedawno sam p. Darasz w znanym okólniku Komitetu Europejskiego do Polaków [1]). Pan Darasz, jako centralny oby-

[1]) W osnowie tego okólnika mieści się ustęp następujący: »»Czyliż Europa nie wie o tem, że wy przynieśliście światu wielką myśl: federacyę ludów słowiańskich? Ta myśl objawiła się za Bolesława W.; arystokracya nie umiała jej pojąć. W występnej bezczynności zmarnowała potęgę inicyatywy, którą w tej myśli powinniście byli zaczerpnąć; jak wszelka arystokracya, streściła ona wszelkie życie, sama w sobie; jeźli kiedy działała w tej myśli, to zawsze w samolubnym interesie. Wszędzie, wewnątrz czy zewnątrz, nawet w onych ruskich ziemiach, w onem pierwszem koczowisku barbarzyńców, idących pomimowolnie po namaszczenie Rzymu, wszędzie narodowość-kasta zaparła się wzniosłej misyi polskiej, uciskając i przytłumiając natchnienia ludowe. Dziś w ludowem natchnieniu ta myśl odżyć powinna; dziś chłop urzeczywistni to — co przeczuł Bolesław W.«

Demokrata Polski, nr. 31 z dn. 3 sierpnia 1851. (Przyp. wyd.)

watel uniwersalnej demokracyi, nie ma może obowiązku znać specyalną historyą swego kraju; ale u pana Iskander, który wszędzie objawia pewną znajomość rzeczy słowiańskich, słusznie dziwić może takie banalne wyrzeczenie. Jakto! więcby Polska nic dla Słowiańszczyzny nie zrobiła od czasów Bolesława Chrobrego? A jakież p. Iskander znaczenie nadaje np. owej unii naszej z Litwą, owej unii, która połączyła z Polską nie tylko Litwę, ale i Ruś całą, i tych Polanów kijowskich, o których wspólnem z nami pochodzeniu świadczy już Nestor stary? I cóż znaczyły te nasze ciągłe wojny z Mongołami, Tatarami i Osmanami? miałyż one inny cel, jak zabezpieczenie chrześciaństwa i Słowiańszczyzny od barbarzyństwa, jak zapewnienie im spokojnego, chrześciańskiego i wolnego rozwoju? I w tej rycerskiej a fatalnej wyprawie, którą podjął nasz Warneńczyk, nie oświadczałże wyraźnie i nieraz, że jej celem jest wyswobodzenie »braci Słowian«, wolność tych Serbów i Bułgarów, którym posyłał te szczytne słowa braterskiej miłości, przechowane nam na wieczną naszą chwałę przez Długosza i Callimacha? Myżbyśmy nic nie zrobili dla Słowian, my, którzyśmy ich wiązali z sobą wszystkimi świętymi węzłami wolności, religii i oświaty, lub w ich obronie krew naszą przez cały wieków szereg wzdłuż Dunaju i Bałkanu przelewali?.... Przymusu wprawdzie, podboju, grabieży, despotycznego ich zbicia w jedno ciało, o! tegośmy w istocie nie znali, tych pięknych sztuk nie byliśmy magistrami i król nasz na ofiarowaną sobie koronę czeską i węgierską umiał odpowiedzieć: »Pocóż tyle narodów owładać, kiedy tak trudno i jeden uszczęśliwić?«... słowo wzniosłe i chrześciańskie, które wartoby jeszcze kiedyś przypomnieć niemieckim hegemonom, a które zawsze w pamięci mieć powinni Słowianie, gdy zechcą sądzić nas, nas, którzyśmy z nimi dzielili komunią krwi i miłości! Mybyśmy od Bolesława Chrobrego nie pamiętali o nich? Otóż, niech p. Iskander weźmie w rękę pierwszego lepszego z naszych wielkich pisarzów XVI

wieku, a przekona się, jakie to słowiańskie serce biło w mężach, jak Rej, gdy w sławnym dystychu naszemu Kochanowskiemu dank przed sobą dawał i pieśń tęż swą »Bogini Słowiańskiej oddawał«; jak nasz Jan, gdy dla najdroższej istoty, którą miał na świecie, gdy dla swej Urszuli szukał wyrazu pieszczoty, nie znalazł innego jak: »Słoweńka«, i gdy wreszcie swoje »Omen« chciał wypowiedzieć, wyśpiewał z głębi duszy te śliczne strofy:

Gdzieś to piękne boginie tak łaskawe były,
Żebych ja, ile chęci, tyle miał i siły
Służyć ojczyźnie miłej: a jej sprawom sławnym
Nie dopuszczał zamierzknąć w ciemnym wieku dawnym?

Gdzie pojźrzę, wszędy widzę Polskiej siły znaki,
Tu do czarnego morza jeszcze świeże szlaki:
Tu droga znakomita przez śnieżne Bałchany:
Tu psie pola, a sam brzeg Pruski zwojowany.

A ktoby oczy podał jeszcze w głębsze lata,
Przodkom naszym wielka część hołdowała świata.
Bo od zmarzłego morza po brzeg Adryański
Wszytko był opanował cny naród słowiański [1]).

Prawda! Była epoka, w którejśmy zapomnieli o Słowianach, ale była to ta sama epoka, w którejśmy zapomnieli o samych sobie, wiek to XVII i XVIII! Ale, gdyśmy się z tego letargu ocknęli, gdyśmy się przebudzili ze snu dwuwiekowego, naszem pierwszem słowem nie byłaż Słowiańszczyzna? Otóż, niech pan Iskander tylko zajrzy w dzieła tego z naszych mężów, który pierwsze dał hasło naszego odrodzenia, w Przestrogi dla Polski Staszica, w jego Żywot Zamojskiego i Ród Ludzki, a szczególniej w tem ostatniem dziele, wprawdzie wcale niepoetycznem, bardzo nużącem, ale wielce ciekawem, znajdzie już całą nowszą teoryą o Słowiańszczyźnie, nawet w jej wyskokach i w przesadach, znajdzie tam całą myśl Ojcze-Nasza! Od początku

[1]) Omen Jana Kochanowskiego. Pieśń I. 29.

tego wieku wszystkie siły umysłowe Słowian skupiły i spromieniły się na polu historycznych badań. Otóż, nie wiem, czy na tem polu znajdzie się choć jeden, któryby miłością dla tej sprawy, zapałem i poświęceniem, mógł się zrównać z naszym Chodakowskim, z tym wiecznym tułaczem Słowiańszczyzny; choć jeden, któryby mozolnością poszukiwań, sumiennością badań, genialnością pomysłów, mógł sprostać naszemu Surowieckiemu, na którego pracach Szafarzyk, jak to sam wreszcie przyznaje, mógł dopiero ugruntować swoje wielkie dzieło. A jednak wszystkie te wielkie prace Szafarzyków i Wuków, Chodakowskich i Surowieckich długo jeszczeby spoczywały martwe bez znaczenia i myśli; badania same, to mało; ogromby leżał a bez czucia, trzeba jeszcze było iskry z nieba do rozkucia marzącego w śnie olbrzyma... I któż tę iskrę przyniósł, któż wlał w ten ogrom duszę i nadał tym trudom jedność, cel i kierunek, zbił elektrycznym promieniem te martwe żywioły w całość wielką i żywotną i dał wszystkim hasło i słowo życia, któż, jeśli nie nasz Mickiewicz w tych prelekcyach o Słowiańszczyźnie, które stały się sybillińską księgą wszystkich szlachetnych i czujących Słowian, księgą życia dla całego szczepu, vade mecum dla samego nawet pana Iskander? I Polska by nic nie zrobiła dla Słowiańszczyzny, ta Polska, która jeszcze w ostatniej śmiertelnej walce ze śmiertelnym wrogiem umiała sobie jednak przypomnieć, że i w nim krew słowiańska, i umiała napisać na swojej chorągwi te słowa szczytne, których wtenczas niestety nie zrozumiano, ale które kiedyś jeszcze zrozumiane i usłuchane będą, bo bez nich nie ma zbawienia dla wszystkich tych narodowości »w ukrytym stanie« (o których mówi pan Iskander), słowa: »za naszą i waszą wolność!!«

O, i gdyby Polska w istocie nic, nic zgoła nie zrobiła dla Słowiańszczyzny, jużby wiele, jużby prawie wszystko zrobiła samym swoim bytem i przykładem! Mój Boże, ja to rozumiem, ja to nawet tłómaczę, że Słowianie, gdy ich

gnębi pięść germańska, wskazują na pięść moskiewską, jako pogróżkę i zemstę.... Ale, skoro chcą siłą ducha się zmierzyć z ciemiężącym zachodem, jakież zasługi mogą oni wtenczas kłaść w swoją szalę, jeśli nie zasługi tego narodu, który wydał Kopernika i Kochanowskiego, Mickiewicza i autora Irydiona? A jeśli nie zechcą poszczycić się bratem, który się nigdy cudzą grabieżą nie skalał, który umiał być mężnym a nie dzikim, wielkim acz wspaniałomyślnym, który jaśniał w dziejach cnotą i poświęceniem bez granic, czyjeż tu imię wymienią, jeśli nie to męczeńskie imię biednego Lacha? A jeśli w wielkim poczcie słowiańskich bohaterów zechcą wskazać na bohatera, który umiał być wielkim człowiekiem, który męstwo lwa w sobie łączył z prostotą gołębia, i który, jak to ślicznie w tych dniach właśnie wypowiedział genialny i wielkoduszny historyk francuski,[1]) był »ostatnim rycerzem i pierwszym obywatelem na wschodzie«, na kogoż wtedy wskażą, jeśli nie na naszego Kościuszkę?

G. P. nr. 215 z 19 września 1851.

XXVIII.

Z listu, który odbieramy z Paryża, pod datą 10 grudnia, podajem następujące wyjątki:[2])

Tutaj cicho, jak w grobie. Jesteśmy w zupełnej nieświadomości tego, co się dzieje. O protestacyi Barrota itd. dowiedziałem się dopiero dziś z Gońca! Bo dzienników, prócz rządowych, nie ma; zagraniczne pisma, Indépen-

[1]) J. Michelet. (Przyp. wyd.)

[2]) Przydłuższy ten ustęp z listu, pisanego w tonie całkiem poufnym do Wład. Bentkowskiego, zamyka niejako szereg paryskich korespondencyj Klaczki, w Gońcu Polskim opublikowanych. Inne wynurzenia Klaczki osobistej i ściśle poufnej natury, zawarte w osnowie tego listu, którego autograf szczęśliwym trafem ocalał w redaktorskiej tece Gońca, spożytkowaliśmy na właściwem miejscu w przedmowie do niniejszej publikacyi. (Przyp. wyd.)

dance Belge itd. zakazane; listy przychodzą rozpieczętowane z poczty. Za najmniejsze słówko, za jakąbądź nowinę, aresztują i zabijają. Przedwczoraj na polu marsowem rozstrzelano 130 osób; to jest rzeczą pewną. Zdaje się także, że aresztowanych jenerałów wyślą do Nouka-Hivy; to pewna, że ksiądz, co chciał widzieć jenerała Bedeau i prosił o pozwolenie, otrzymał odpowiedź, że, nim przybędzie do Ham, więźniowie już będą na morzu. Giełda idzie w górę. Montaniardzi ocalili honor, bo się bili, jak lwy; ale robotnicy, osłupieni, rozbrojeni, odurzeni przywróceniem wyborów powszechnych, zadowolnieni aresztowaniem Changarniera, Thiersa itd., wreszcie pomni strasznych dni czerwcowych z r. 1848, bić się nie chcieli. Legitymiści tylko pieniądze przelewali, ale krwi swojej szczędzili. Wojsko było okrutne; przyzwyczajone do walki z Arabami i Kabylami, traktuje ono w ten sam sposób i Francuzów. Zresztą w pierwszych dniach wojsko wcale nie wiedziało, o co chodzi. Myślało, że się bije przeciwko socyalistom, i nie wiedziało o aresztowaniu afrykańskich jenerałów. Polacy się, dzięki Bogu, nie skompromitowali; ale hr. Poniński z Podola zabity został, jak wielu innych niewinnych, przez rozpasane żołdactwo. Żona jego w okropnym stanie! Piszę ci bez ładu, jak bez ładu są me myśli. Montalembert się oświadczył za prezydentem, tudzież Veuillot, redaktor Universa. Wszyscy, co otaczają krzywoprzysiężcę, są ludzie bez czci i wiary, jak Véron, Cassaignac, St. Arnaud, Morny (brat Bonapartego z nieprawego łoża). Jest to jednem słowem sprzysiężenie Kataliny; jest to rzeź galicyjska, oparcie się na ślepej masie, brutalnej sile i zwierzęcej chuci, przeciwko wszystkiemu, co ma intelligencyą w kraju! A nasi panowie się cieszą!!

Szlachta nasza, bawiąca tutaj, jest w upojeniu, nie boi się już czerwonych: »On a fini avec la canaille«, powiedział wczoraj jeden z polskich panów.

Wszystko, co się tu dzieje, jest oparte na wielkim fałszu: na liście doradzców czytamy co dzień w Monitorze

nazwiska osób, jak L. Faucher, Mortemart etc., którzy notorycznie wszelkiego współudziału odmówili. Ministerstwa dotąd nie ma, chociaż Monitor już 3 razy ogłosił jego listę; nawet i Fould nie przyjął jeszcze teki. Wszystkie wiadomości rządowe o okrucieństwach republikanów na prowincyi są wierutnem kłamstwem. Ale to pewna, że prowincye spokojnie się zachowują. Tylko w Basses-Alpes się biją; legitymiści tam się połączyli z republikanami; na czele Trouvé-Chavel, dawny minister Cavaignaca. W Calais aresztowano Louis Blanca, w Arras Bastida itd. Thiers dał słowo, że wyjedzie do Włoch i podobno już Francyą opuścił. Montaniardów jest jeszcze w Paryżu do 70. Policya ciągle się za nimi ugania. Hieronim Bonaparte, dawny król westfalski, podobno napisał list do prezydenta z upominaniami i zalecając zwołanie izby ustawodawczej. L. Faucher protestował energicznie, tudzież Molé. Najwyższy trybunał ogłosił uzurpatora »hors la loi«, »mais il est dedans l'armée«, odpowiedział na to Persigny. Wojsko wotuje hurmem; przeciwnych oficerów aresztują i rozstrzelają; cała jednak inżynierya, tj. intelligencya wojskowa, wotuje przeciwko niemu. Chłopstwo i kobiety za nim prawie bez wyjątku. Ma on za sobą dwie najbrutalniejsze siły społeczeństwa: wojsko i głosowanie powszechne. Emil de Girardin wyjeżdża podobno do Ameryki. Członkowie najwyższego trybunału aresztowani.

Jaka opinia? Nie ma żadnej, bo jest strach. Oburzenie większe w wyższem mieszczaństwie, niż w ludzie; a niższe mieszczaństwo, odźwierni, handlarze itd. za nim. Oficerowie sztabu powiedzieli twemu znajomemu ***[1]): »l'épaulette est un lourd fardeau par le temps qui court«. Dodali także, że wojsko nie za uzurpatorem, ale tylko przeciwko anarchii. Czy się wojsko zachwieje? Nie wierzę. Dowodzący jenerałowie Carrelet, Canrobert, Guillabert,

[1]) W autografie zamiast gwiazdek: »na rue de S. Pères«.

Mazulard itd. uradzili, w razie gwałtownej śmierci uzurpatora, (bo ciągle gadają o tem, że będą do niego strzelać) ogłosić rejencyą hrabiego Paryża: istny pretoryanizm.

Wszyscy oburzeni; nie podlega jednak wątpliwości, że się orleaniści i legitymiści z nim pogodzą. Zmiana głosowania imiennego na tajemne nastąpiła z pewnością na przedstawienie Montalemberta i kilku innych legitymistów i orleanistów, tajemnie bowiem mogą nań wszyscy głosować. Strach przed czerwonymi paraliżuje wszelką opozycyą. Republikanie stracili głowę i przyznają, że koniec Francyi; sam to słyszałem od ludzi najzacniejszych.

Czy się Napoleon utrzyma? Nie wątpię o tem. Bo ma za sobą wojsko, chłopstwo, apatyą ogólną, centralizacyą, a przedewszystkiem niemoralność i tchórzostwo największej części narodu.

G. P. nr. 284 z 16 grudnia 1851.

J. GUMPLOWI[illegible] SWIĘTYCH L. 9
Wypoży[illegible] beletrystycznych
i naukowych.



J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. W. ŚWIĘTYCH L. 6.
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

Spis rzeczy.

Strona.

List I. Niesłychana nędza emigracyi. — Nowa broszura. — Zmartwychwstańcy i Towiańczycy. — Wiadomości literackie i artystyczne - 1

List II. Michelet. — Składki na Kraków. — Montalembert i emigracya polska. — Kaplica grecko-słowiańska. — Mierosławski. — Klapka. — Lewicki - - - - - - - - - - - - - - - - - - 5

List III. Odparcie zarzutu drugiego korespondenta. — Zatrudnienie emigracyi francuskiej. — Szczegóły o wychodźcach polskich w innych krajach - 10

Ustęp z listu paryskiego korespondenta (K.) - - - - - - - - 14

Sprostowanie. J. P. - - - - - - - - - - - - - - - - - - 15

List IV. Składki na Kraków. — List do duchowieństwa. — P. J. B. Ostrowski i ks. Terlecki. — Internowanie Polaków. — Goście. — Branicki - 18

List V. Słowo pana Bertin. — Polska i dziennikarstwo paryskie. — Pogłoski Bulletina. — Spory emigracyjne. — Wiadomości z emigracyi. — Sprostowanie sprostowania - - - - - - - - - - 23

List VI. Wychodziec. — Hrabia Wacław Jabłonowski, redaktor Trzeciego Maja. — Ks. Terlecki. — Atlas polski Wrotnowskiego. — Wiadomości z ruchu naukowego, literackiego i artystycznego. — Pomnik Chopina - - - - - - - - - - - - - - - - - - - 31

List VII. P. Alexis de St. Priest i p. Tytus Działyński. — Słowo Kościuszki. — Zbiory Leonarda Chodźki. — Wiadomości emigracyjne - 36

Odpowiedź hr. Tytusa Działyńskiego - - - - - - - - - - - 42

List VIII. List Kościuszki. — P. Poraj Goczałkowski. — Emigracya w Grecyi i Algierze. — Dr. Gałęzowski. — Słabość księcia Czartoryskiego - 45

W sprawie listu Tadeusza Kościuszki - - - - - - - - - - 50

List IX. Widoki wojenne. — P. Henryk Kamionka. — Messaż Prezydenta. — Jenerał Wysocki. — Biblioteka Polska. — Ks. Czartoryski. — Rocznica 29 listopada - - - - - - - - - - - 52

Strona

List X. Schyzma w demokracyi londyńskiej. — Okólnik komitetu centralnego i p. Darasz. — Uwaga nad pieśniami narodowemi. — Wiadomości ze wschodu o powstaniu w Alepie i o jenerale Bem. — P. John Lemoinne - - - - - - - - - - - - - 55
Reklamacye w sprawie Janowskiego i Sawaszkiewicza:
List Janusza Wojny - - - - - - - - - - - - - - - 58
List Seweryna Bielińskiego - - - - - - - - - - - - 59
List Stanisława Worcella i list S. J. Wojciechowskjego - - 64
List XI. Rocznica 29 listopada. — Dr. Brawacki. — Kwestya pruska. — P. Montalembert i p. Wołowski. — P. Kamionka i W. Jabłonowski. — Prześladowanie rządu i wyjazd do Ameryki. — Domejko. — Jeszcze o liście Kościuszki - - - - - - - - 68
List XII. Le peuple de Marseille. — Jak p. Sainte-Beuve rozumie sentymentalizm. — Jak p. John Lemoinne rozumie religią. — Zbiór rycin biblioteki polskiej. — Śmierć jen. Sznajdego. — P. Konstanty Milewski. — Replika - - - - - - - - - - - - - - - 74
List XIII. Śmierć Bema. — M. Czajkowski. — Polacy na wschodzie. — Kościelski. — Wenta w Paryżu. — Odjeżdżający do Ameryki. — Komitet emigracyi - - - - - - - - - - - - - 82
List XIV. Ogólne uwagi nad stanem emigracyi. — Okólnik o amnestyi. — Dowody poświęcenia. — Doktor Moraczyński. — Naukowe prace p. Jastrzębskiego. — Wynalazek majora Brońskiego. — Wybór członka w akademii des Inscriptions. — Demokrata Polski - - - - - - - - - - - - - - - - - - - 90
List XV. Adres hr. Telekiego. — Towarzystwo pożyczkowe emigracyi. — Dziennik Siècle o posłach wielkopolskich. — Vote Universel o Rosyi. — Praca p. Pimodan. — Dzieło jenerała Lamoricière. — Broszura p. Tołstoja i sąd Revue de deux mondes. — Moskale i moskiewszczyzna w Paryżu. — Dama Pikowa Halevego. — P. Iwanow. — PP. Durand i Yvon. — Polskie dzieła na wystawie paryskiej: panna Szymanowska, Norblin, Stattler, Fajans, Oleszczyński. — Uwaga o illustracyach do Paska - - 100
Suum cuique. S. M. (Józef Łukaszewicz) - - - - - - - - 110
List XVI. Odpowiedź panu S. M. - - - - - - - - - - - - 111
Słów kilka na odpowiedź korespondenta paryskiego, umieszczoną w Gońcu, numerze 36. S. M. - - - - - - - - - - - - 119
Słowo o literackich zasługach P. Jastrzębskiego. (Przegl. Poznański) 122
Dodatek do artykułu o zasługach literackich pana Jastrzębskiego. (Przegląd Poznański) - - - - - - - - - - - - - - 124
Słowo o literackich zasługach pana Jastrzębskiego. S. M. - - 125
List XVII. Jeszcze raz odpowiedź panu S. M. - - - - - - - - 130
Dalszy ciąg polemiki co do poszukiwań pana Jastrzębskiego (Przegląd Poznański) - - - - - - - - - - - - - - - - - - 132

Strona.

Odpowiedź Przeglądowi na dalszy ciąg polemiki co do poszukiwań pana Jastrzębskiego. S. M. - - - - - - - - - - - - 136

List XVIII. Demokrata polski i gastronomia polityczna. — Karnawał. — Bank emigracyi. — Śmierć pani Dobrskiej. — P. Walewski dziewoślębem. — Jenerał Aupick. — Mathilde. — Feletony pana Circourta. — Przygody baronowej Beck. — Wiadomości o emigracyi w Grecyi - - - - - - - - - - - - - - - - - - - 142

List XIX. Polemika niepolemiczna. — Bank emigracyjny. — Towarzystwo literackie. — Ks. Wasilewski. — P. Levitoux. — Publikacye emigracyjne. — Legendy demokratyczne Micheleta. — Moskwa i grób święty. — Siècle o internowaniu jenerała Wysockiego. — Wiadomości z Grecyi - - - - - - - - - - - - 148

List XX. Inkrutowiny. — Dzienniki reakcyjne i sejmy prowincyonalne. — Konspiracya milczenia: p. Blanqui, p. Thiers, p. Guizot. — P. Geuiller. — Publikacye emigracyjne. — Broszurka rosyjska. — Stan wychodźtwa we Francyi - - - - - - - - - 158

List XXI. Gibelini Polscy - - - - - - - - - - - - - - - - 165

Obrona konserwatystów i Czasu. Napisał Henryk Wodzicki - - 172

Odpowiedź Gońca Polskiego na Obronę konserwatystów i Czasu 177

List XXII. Korespondenta paryskiego odpowiedź panu H. W. - - 179

W przedmiocie Gibelinów Polskich drugi list Henryka Wodzickiego 182

List XXIII. Odpowiedź panu H. W. - - - - - - - - - - - - 184

List XXIV. Stare nowiny. — »Porządek« i marszałek Sebastiani. — Śmierć pułkownika Rusieckiego. — Po deklaracyi ale i po nowinie. — Demokratyczna niwellacya Mikołaja. — Fantazya Miłosławska pana Mierosławskiego. — Emigracya w Anglii - - - 187

List XXV. Marya, Zosia i Telimena. — Ukrainka Balzaca. — Z romansów romans. — Spieniężona relikwia. — P. Chrystian Ostrowski i jego dwie słabości. — Koniec snu będzież przebudzeniem? 196

List XXVI. To Teofila L(enartowicza) - - - - - - - - - - - 204

List XXVII. Broszura pana Iskander. — Słówko o literaturze naszej w porównaniu do rosyjskiej i o zasługach naszych względem Słowiańszczyzny - - - - - - - - - - - - - - - - - - 209

List XXVIII. - 218

J. GUMPLOWICZ. KRAKÓW. PLAC W. [illegible] ŚWIĘTYCH L. 5.
Wypożyczalnia książek beletrystycznych
i naukowych.

